

ŚMIERĆ ANIOŁA

JOHN SACK



JOHN SACK

ŚMIERĆ ANIOŁA

Angel's Passage

Z angielskiego przełożył
ZBIGNIEW KOŚCIUK



Mary Read

Od autora

Śmierć anioła to powieść. Imiona postaci, nazwy miejsc i wydarzeń zostały zmyślane, a jeśli mają charakter historyczny, użyto ich w sposób fikcyjny. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób, zdarzeń lub miejsc jest przypadkowe.

Przedmowa

Sabine Baring-Gould w książce *The Book of Were-Wolves* (Księga wilkołaków) tak opisuje pogańskie i chrześcijańskie wyobrażenia istot ludzkich, które za pomocą przeróżnych środków na pewien czas przyjmują postać zwierząt:

W wielu podaniach... osoba zmieniająca postać traktowana jest z nabożną czcią jako należąca do wyższego porządku, mająca boską naturę. Z kolei w krajach chrześcijańskich wszystko, co łączyło się z pogańską mitologią, budziło podejrzliwość duchowieństwa, a cudowne moce nieusankcjonowane przez Kościół były przypisywane złemu. W ten sposób pogańscy bogowie zamienili się w demony, a nadprzyrodzone zdarzenia z nimi związane zaczęto postrzegać jako skutek działania diabła. Transformacja, stanowiąca przejaw potęgi starożytnych bóstw, była w świecie chrześcijańskim uważana za skutek czarów... Ludzie zmieniający postać zaczęli być uznawani nie za istoty boskie, domagające się czci, lecz za godnych pożałowania czarowników zasługujących na stos.

Norweska opowieść o wilkołakach zaczerpnięta z kart tej samej książki nie sugeruje, aby stworzenia te były żądne krwi:

W osadzie ukrytej pośrodku lasu mieszkał z żoną wieśniak Lasse. Pewnego dnia poszedł ściąć drzewo, zapomniał się jednak pierwiej przeżegnać i zmówić *Pater Noster*, dlatego opętali go troll lub *varga mor* (wilcza wiedźma), zamieniając w wilka.

Żona opłakiwała go przez wiele lat. W pewne święta Bożego Narodzenia do jej drzwi zapukała wynędzniała żebraczka w łachmanach. Zaczna gospodyni zaprosiła ją do środka i godnie ugościła. Na odchodnym staruszka oznajmiła, że ponownie ujrzy męża, nie umarł bowiem, lecz błąka się w lasach pod postacią wilka.

Przed zapadnięciem zmroku żona poszła do spiżarni, aby wziąć kawałek mięsa na następny dzień. Gdy się odwróciła, ujrzała wilka, stąpającego po schodkach do spiżarni i wpatrującego się w nią smętnymi, głodnymi oczami. Widząc to, wykrzyknęła: „Gdybym wiedziała, żeś jest mym nieszczęsnym Lasse, dałabym ci kawałek mięsa”. W tym momencie wilcza skóra opadła i jej oczom ukazał się mąż w ubraniu, które miał na sobie owego nieszczęsnego poranka, gdy widziała go po raz ostatni.

W indyjskim poemacie *Ramajana* Rama spotyka *wiranów* - podobne ludziom istoty o małpiej skórze i ogonie. Ich król, Hanuman, pomaga Ramie szukać porwanej żony, Sity. Później staje u boku Ramy i jego brata Lakszmana w walce z jej porywaczem, Rawaną, władcą demonicznych *rakszasów*.

Kiedy podczas walki jeden z *rakszasów* poważnie rani Lakszmana, zrozpaczony Rama prosi Hanumana, aby udał się po życiodajne zioła. Rawana, licząc na to, że po śmierci Lakszmana pogrążony w smutku Rama straci ducha i zrezygnuje z walki, wysyła wuja, aby skusił Hanumana bogactwem. Krokodyl - w rzeczywistości nadprzyrodzona istota skazana na to, aby przez jakiś czas mieszkać wśród demonów - uprzedza Hanumana o intrydze Rawana i król-małpa zabija wuja Rawana.

Aby dowiedzieć się, czy Hanuman ocali Lakszmana i uwolni Się, przeczytaj piątą księgę *Ramajany* zatytułowaną *Sundara Kanda* opowiadającą o przygodach władcy *waranów*. Dla celów tej opowieści wystarczy wiedzieć, że wilkołaki, człekopodobne małpy, obciążone klątwą nadprzyrodzone krokodyle i inne magiczne stworzenia mogły w dawnych czasach żyć na ziemi. Wielu uważa, że pozostały na niej do dziś.

Jack Sack
Jacksonville, Oregon, 2007

Postaci

WSPÓLNOTA TODI

Coldimezzo

Capitano della Coldimezzo

donna Lucrezia, jego matka

Buonconte di Capitano, syn Capitania

Cristiana, jego żona

Amata, jego córka

Fabiano, jego syn

Guido di Capitano, syn Capitania

Vanna, jego córka

Teresa (Teresina), jego wnuczka

Bruno, leśniczy z Coldimezzo

Miasto Todi

Iacobello Lorenzini

donna Lucia, jego żona

Angelo, jego syn, później brat Angelo da Todi

Silvestre, syn *donny* Lucii z nieprawego łoża

maestro Gastaldo, sługa Lorenzinich

Nella, służąca *donny* Lucii

Rema, kucharz Lorenzinich

doktor Bartolo, nauczyciel Angela i Benedetta

doktor Filippo, brat Bartola, także nauczyciel Mario

Boschi, przyjaciel Angela di Iacobello z dzieciństwa

maestro Maccabeo, notariusz

Leta, jego żona

Enzo, brat Lety

Pietro Gaetani, biskup Todi

Benedetto Gaetani, jego bratanek, późniejszy papież Bonifacy VIII

Roffredo Gaetani, brat Benedetta

Commacio, *podesta*¹ z Bolonii, a później z Todi

Jacopo dei Benedetti, notariusz, później brat Jakub z Todi

Wieża Wilka

Lorenzo (*Il Lupo*), zmarły hrabia z Wieży Wilka (*Torre del Lupo*), ojciec Iacobella Lorenziniiego

Urso, rządcą Wieży

Marcello, jego syn

Maria Vidone, wieśniaczka

Tino, jej syn

Gina Paoli, wieśniaczka

WSPÓLNOTA ASYŻU

Angelo di Pietro Bernardone, handlarz wełną

RZYM

Paganello, uczony sycylijski

Omar Kasim, saraceński uczony i medyk

BRACIA MNIEJSI

Konrad z Offidy

Jan z Alwerii

Pier Jean d'Olivi

Pietro da Fossombrone (później brat Clareno)

Pietro de Macerata (później brat Liberato)

Salimbene, skryba i kronikarz

Sanguigno, spowiednik w kościele San Fortunato w Todi

Hubertyn z Casale

Ministrowie generalni i wikariusze

1212-1226 święty Franciszek z Asyżu

1221-1227 wikariusz: Eliasz Bombarone

¹ *Podesta* (wł.) - dosł. władza - w niektórych włoskich republikach miejskich najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędziowskich i wojskowych.

1227-1232 Jan Parenti
1232-1239 Eliaz Bombarone
1239-1240 Albert z Pizy
1240-1244 Hajmon z Faversham
1244-1247 Krescenty z Iesi
1247-1257 Jan z Parmy
1257-1274 Bonawentura z Bagnoregio
1274-1279 Hieronim Masci, późniejszy papież Mikołaj IV
1279-1283 Bonagracja z Bergamo
1283-1285 wikariusz: Pietro z Falgario
1285-1286 Arlotto z Prato
1286-1287 wikariusz: Pietro z Falgario
1287-1289 Mateusz z Aquasparty
1289-1295 Rajmund Godefroy
1296-1304 Jan Mincio z Morrovalle
1304-1313 Gonsalvus Hiszpan

Rozdział pierwszy

Palestrina, rok Pański 1299

W języku kraju, z którego pochodził, miejsce owo nazywano *carceri*, on jednak wolał jego francuskie określenie *oubliette* - nędzną norę, w której nieszczęsny grzesznik gnął do śmierci w całkowitym zapomnieniu.

Czy go jeszcze pamiętają? Silvestre? Albo Maria? Nie sądził, chociaż wolał zapomnienie od tego, by źle o nim myślała.

Wiedział, że przebywa niedaleko Palestriny, dokąd przywieziono go papieskim powozem pod osłoną nocy. Mimo ciemności w świetle księżyca rozpoznał zburzone wieże Colonney.

Był pewny, że jego loch znajduje się niedaleko klasztoru benedyktynów. Mnich, który przynosił mu codziennie jadło i wodę, nosił czarny habit owego zakonu, a gdy wiał zachodni wiatr, było słychać benedyktyńskie śpiewy.

Jaskinia, do której go wtrącili, przypominała ogromny ul z okrągłą podłogą o średnicy sześciu metrów, choć wejście miało nie więcej niż metr kwadratowy. Znajdowała się pod ziemią z wyjątkiem okienka, przez które słudzy papieża opuścili go rok, może dwa lata temu. Kamienną ścianę porastał mech, pośrodku zaś owego ula, w najniższym punkcie jego pochyłej podłogi, znajdował się głęboki otwór na odpadki - które spychał patykiem - i, jak podejrzewał, ciała zmarłych więźniów.

Kiedy go pojмали, chciał ponieść karę za innych braci, którzy podpisali Manifest z Longhezzy - Deodata Rocciego, Jakuba z Todi, Corrada da Perugię - lecz ludzie papieża kontynuowali poszukiwania, dopóki nie schwytali wszystkich buntowników. Od tego czasu nie miał od nich żadnych wieści. Żywił nadzieję, że spotkał ich lepszy los niż tych w Colonne - otrutych, uduszonych garotą lub usuniętych z tego świata w inny, równie paskudny sposób.

Wielokrotnie pocieszał się myślą, że papież jest starym człowiekiem - być może kolejny Ojciec Święty okaże się bardziej przychylny dla uwięzionych mnichów. Któregoś dnia strażnik opuścił na dół zakorkowany flakonik z inkaustem i pióro, ukryte w koszu z jadem. Co jakiś czas podsylał mu też kawałki pergaminu, aby mógł spisywać myśli, które zaprzętały jego umysł. Były to bez wątpienia zakazane dary, lecz chętnie korzystał z każdego dobrodziejstwa.

Co rano dreptał po zewnętrznej krawędzi okręgu, najpierw w prawą, a potem w lewą stronę. Na przemian umieszczając to jedną, to drugą nogę na pochyłej podłodze, zmniejszał obciążenie wygiętego kręgosłupa. Ojciec Mojżesz Scytyjczyk powiadał: „Usiądź w swojej celi, a nauczysz cię wszystkiego”. Nic to, że jego cela była więziennym lochem, a nie celą pustelnika. Magdalena, wiodąca pustelniczy żywot w leśnej głuszy, nie miała pośrednika między sobą a Bogiem. Podobnie jak on.

W lochu nic nie mąciło mu myśli. Mógł bez końca sycić się samotnością i ciszą, wolny od światowych trosk i szurów, cieszyć się codzienną rutyną i temperaturą, które rzadko się zmieniały. Mógł bez przeszkód spisywać myśli i śnić rojenia starego człowieka. Zaczął wierzyć w sny. Kiedy świeciło słońce, przesuwał swoje siedzisko, obserwując promienie tańczące na podłodze. Deszcz obmywał jego ciało i celę, łagodząc smród dochodzący z czeluści i powodując, że słabiej cuchnęła gnojem. W porównaniu z latami wygnania jego jaskinia wydawała się niemal niebem.

Niemal, nie potrafił bowiem umknąć jednej piekielnej udręce.

Ekskomunice, anatemie, przed którą ostrzegł go Pietro da Fossombrone. Bonifacy zakazał udzielania mu sakramentów. Jeśli umrze, nie uzyskawszy rozgrzeszenia, jego dusza na całą wieczność pogrzeży się w piekle. Można by pomyśleć, że papież zwyciężył w ostatniej rundzie srogich waśni, które stały się dlań niemal rozrywką, krwawą walką, którą toczyli z sobą od lat.

- Słodki Jezu! - modlił się w niezmaconej nocnej ciszy. - Daleś swemu namiestnikowi władzę wiązania dusz na ziemi i w życiu przyszłym. Błagam cię, porusz serce papieża, abym nie został oddzielony od Ciebie na wieki. - Czasami miał ochotę płakać.

„Ekskomunika”. Słowo to okazało się prawdą w każdym sensie. Jego duchowi bracia i rodzina przypuszczalnie nie wiedzieli, gdzie się znajduje ani czy w ogóle żyje. Jedynym człowiekiem, z którym się stykał, był benedyktyński strażnik, któremu zakazano z nim rozmawiać. Istniał poza granicą ludzkiej pamięci.

Jego problem polegał na tym, że długie dni, tygodnie i miesiące mógł wypełnić jedynie wspomnieniami. Zasięg pamięci wydawał się nieograniczony. Zatarg z papieżem przypominał zatrutą zadrę, której uschłe korzenie sięgały niemal pięćdziesiąt lat wstecz. Tego ranka jego umysł zapuścił się najgłębiej, do najbardziej sękatych gałęzi tego dotkniętego chorobą drzewa - do pierwszego spotkania z papieżem, kiedy był małym Angelo Lorenzinim, a kilka lat starszego papieża Bonifacego VIII znano jako Benedetta Gaetaniego.

Todi, Umbria, rok Pański 1250

Angelo widział śmierć ojca, gdy miał zaledwie trzynaście lat. Stał oparty o framugę drzwi, patrząc na łożo boleści i odzianego w czerwoną tunikę medyka. Przez otwarte okiennice wlewała się do środka delikatna mgiełka, widać było świeże liście drzew na podwórku. Z nadludzkim spokojem obserwował, jak wilgoć tworzy delikatne kropelki na rynnie i bębni, opadając na ziemię. Wydawało się, że wilgoć nasączająca deski podłogowe i belki dwupiętrowej loggii przenika do kości.

Osiem lat wcześniej biegł kruzgankiem, czmychając przed starszym chłopcem i drąc się wniebogłosy, aż dom zadrżał w posadach. Ojciec wszedł po schodach z drugiej strony i złapał ich obu za kaptury opończy. Wygnał towarzysza zabaw Angela z domu należącego do ich rodziny. Chłopak nigdy więcej nie wrócił.

Iacobello Lorenzini trzepnął przerażonego syna w głowę.

- W twoich żyłach płynie szlachetna krew! - huknął. - Żebyś cię więcej nie przyłapał na brataniu się z uliczną hołotą! - Chwytał garść jasnych włosów świadczących o tym, że chłopak pochodzi z Lombardii i zaciągnął go do skrytorium.

Angelo, „Anioł”, spędził kolejne lata zgarbiony nad pulpitem. Złożył skrzydła jak motyl, który przysiadł na korze drzewa, pilnie trzepocząc deklinacje w rytm bakalarskiego kija i skórzanej ojcowskiej dyscypliny. Zacisnąwszy kurczowo palce na rylcu, wypisywał na woskowej tabliczce: „amo, amas, amat”, choć w tym chłodnym i surowym domu nikt nikogo nie kochał.

Nie dziwota, że mając takie wspomnienia, nie przejawiał większego zainteresowania ostatnimi słowami ojca, który ledwie słyszalnym głosem wyszeptał: „Gelino”, unosząc się na przepeconych poduszkach. Mały anioł. Matka nadal tak się do niego zwracała, lecz *papà* nie używał tego określenia od lat. Często powtarzał: „W dzieciństwie wszyscy z rodu cezara byli zwyczajnymi ludźmi”. Gniewne spojrzenie, z którym wypowiadał te słowa, powodowało, że chłopak zastygał w bezruchu. Ponure doświadczenia z dzieciństwa przygniotły go i odpędziły marzenia o tym, by latać, teraz jednak wiedział, że brutal spoczywający w łożu już nigdy go nie skarci, nawet jeśli nie udzieli mu odpowiedzi.

- Gelino!

Płacz dławił go w gardle, a jego oczy skupiły się na sinych, drżących wargach umierającego. Ojciec drgnął boleśnie, zdzierając pled z piersi i ramion. Medyk podbiegł do łóżka, zwilżył czoło pacjenta i przyglądał palcami włosy.

- Uspokój się, *signore* Iacobello - ozwał się łagodnym głosem, śliskim jak maści, które

przyrządzał. Mówiąc, poruszał skrzydełkami nosa, nawykłego do wdychania woni leczniczych ziół. Angelo pomyślał, że medyk wygląda jak kogut zbierający ziarno rozsypane na piersi pacjenta. Kiedy ciało ojca się rozluźniło, lekarz sięgnął po małą szkatułkę, którą umieścił na *prie dieu* stojącym w kącie pokoju. Medyk grzebał w swych lekach, a postać ukrzyżowanego Chrystusa spoglądała w dół z pokrytej tynkiem ściany, zakrwawiona i wykrzywiona bólem. Ojciec Angela pozwolił sobie umrzeć w tej krótkiej chwili nieuwagi.

- Zaniechaj szukania, pijawko - warknął chłopak. - *Papà* nie potrzebuje twych bezwartościowych leków.

Medyk zamknął szkatułkę. Żółte fałdy skóry wokół jego ust opadły, oczy łypnęły niespokojnie. Spojrzał najpierw na chłopca, potem na łóżko. Przeszedł przez komnatę i uniósł ramię Iacobella, przykładając palec wskazujący i środkowy do nadgarstka, a następnie przesuwając dłoń wzdłuż gardła mężczyzny. Przytknął ucho do nieruchomej piersi i ściągnął brwi. Ze stolika obok łóża wziął świeczkę, przechylił głowę *signore* jedną ręką, drugą przesuwając płomień pod jego nosem. Chłopak przykucnął, próbując zobaczyć, czy ogień spali białe włoski wystające z ojcowskiego nosa, ale płomień nie drgnął.

Medyk odstawił świeczkę, zrobił poważną minę i krzyknął donośnie:

- Iacobello Lorenzini! - Chwycił obiema dłońmi przód szkarłatnej szaty i po dramatycznej pauzie ogłosił: - *Conclamatum est*. Jego dusza została wezwana, lecz nie odpowiedział. Umarł. Zawołaj sługę, chłopcze.

- Sam go sobie zawołaj, pijawko - odburknął chłopak. - Pójdę do kościoła braci zakonnych, powiedziec mamie. - Odwrócił się i ruszył przed siebie, aby po chwili rzucić przez drzwi: - W przyszłości pamiętaj, żeby zwracać się do mnie *signore* Angelo. Teraz ja jestem panem tego domu.

Wyjrzał na ulicę przez główną bramę. Nigdy nie wychodził sam - czynił to jedynie w towarzystwie ojca lub służących. Nawet gdy *signore* Iacobello zostawiał ich po niedzielnej mszy, jeden ze sług odprowadzał chłopca, by strzec go przed zgubnym wpływem niewiast, jak wyjaśnił ojciec.

Ciągłe waśnie między zwolennikami papieża i stronnikami cesarza zamieniły Todi w pole bitwy. Chociaż Wielka Rada zakazała noszenia broni na ulicach miasta, można było zostać zranionym kamieniem lub celnym ciosem pięści. Dzieci małpowwały swoich rodziców, więc burdy były na porządku dziennym - kolejny powód, aby nie wychodzić z domu bez zbrojnej eskorty.

Angelo łowił zapachy, gnając w stronę górnego miasta. Smród wilgotnych pustych ulic

odpychał go. Jak rozkładające się szczątki nocnych wędrowców, pomyślał. Z powodu lekkiej mżawki lub odoru demonów wywołujących chorobę nie zobaczył żadnych dzieci. Rozluźniony przeszedł spokojnie kilka uliczek, dopóki nie zbliżył się do pałacu biskupa.

- Zmiataj stąd, ty pokręcony inkubie! - Usłyszał krzyk przypominający głos handlarza ryb wołającego syna. Spojrzał w stronę okratowanego okna na rumianą twarz otoczoną gronostajowym futrem.

Angelo się wzdrygnął. Choć był w Todi zaledwie od trzech tygodni, bratanek biskupa zaczął już drwić z jego zgarbionych ramion. Dopiero po wielu latach dowiedział się, że plotkarki przesiadujące na *piazza* natychmiast ogłosiły go przeklętym. Gdy uczył się chodzić, ludzie obserwowali, z jakim trudem wstaje i idzie wyprostowany, kiwali głowami i powtarzali stare plotki o jego dziadku, Lorenzu.

Tamtego roku słońce zniknęło z nieba na kilka godzin, gwiazdy zaczęły migotać w środku dnia, a przestraszony motłoch tłoczył się na ulicach, nie wiedząc, co czynić. Biskup niósł duży krucyfiks, wiodąc za sobą ubranych w szare habity zakonników i innych duchownych Via Misericordia na główny rynek, gdzie przez ostatnie dni wygłaszał kazania. Jakaś starucha przewróciła oczami, spoglądając na dziecko. Później, zaraz po jego dziewiątych urodzinach, kiedy jego kły przerosły siekacze, doszło do trzęsienia ziemi, które uszkodziło romańską katedrę. Dowody przeciwko niemu stały się rozstrzygające.

Dość tego! Skończył trzynaście lat, był panem we własnym domu i miał po dziurki w nosie szyderstw, szczególnie kpin nowego przybysza. Spojrzał na chłopaka, napiął bicepsy i pogroził pięścią w stronę okna.

- *In vostro culo, Gaetani!* - zawołał. - Zmiataj do Anagni! - Jego krzyk odbił się echem od kamiennych ścian i bruku.

Twarcz zniknęła i Angelo ruszył dalej. Powiedziawszy, co chciał, przypomniał sobie o różnicy wzrostu i wieku, powierzając własne bezpieczeństwo chyżości nóg.

Wbiegł po stopniach San Fortunato, pomagając sobie rękami jak uciekające zwierzę. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy dopadł marmurowego nadproża głównych drzwi kościoła, próbując złapać oddech. Piersi palił mu ogień, serce waliło o mostek, lecz nikt go nie ścigał. Uśmiechnął się. Nigdy wcześniej nie wykrzykiwał takich nieprzyzwoitości, a już z pewnością nie do bratanka biskupa. Uśmiechnął się szerzej, gdy pomyślał, jak mogłoby wyglądać jego życie bez pilnującego nieustannie ojca.

Teraz, gdy sam był starcem, brat Angelo potrafił spojrzeć na ów poranek oczami Gaetaniego. Benedetto mógł zwyczajnie tkwić w oknie, pragnąc wyładować swój gniew na

pierwszej istocie, która przejdzie ulicą. Jak niemowlę na siłę karmione mdłym kleikiem, od tygodni konał z nudów, uwięziony w czymś, co musiało być dla niego górkim pustkowiem. Wywieziono go ze słonecznej, wygodnej willi ojca na przedmieściach Rzymu, gdy papież wyświęcił jego wuja, Pietra, na biskupa tej ponurej miejsciny. Braciszek niemal słyszał ojcowską radę: „W ten sposób, Benedetto, postawisz stopę na pierwszym szczeblu drabiny. Obserwuj wuja, ucz się. Kiedyś i ty zostaniesz prałatem i zdobędziesz władzę. Nie zapomnij o księgach. Górskie miasta podobne do Todi mają bakałarzy świetnie znających prawo kanoniczne i cywilne”.

Wyobrazil sobie służalczego doktora Bartola, wskazującego chłopca z wykrzywionym kręgosłupem i cerą tak bladą jak skóra wołu.

- To jeden z moich uczniów. Najbardziej uzdolniony. Jego ojciec ma przenikliwy umysł, dzięki któremu sam zarządza interesami rodziny. To najnowsza moda wśród drobnej arystokracji. - Bakałarz wydał lekko wargi, aby wyrazić, że podziela pogardę Gaetaniego dla niższej szlachty. - Biedny bakałarz musi zarabiać na życie, jak się da - dodał, wzruszając ramionami.

Niezależnie od powodu, dla którego wrzasnął na Angela, Benedetto najwyraźniej nigdy nie przebaczył mu tej podniesionej pięści. Tamten gest, podobnie jak cokolwiek innego, mógł zdecydować o tym, że teraz gnije w lochu. Gdyby zignorował szyderstwo, nie przerywając pospiesznego marszu do San Fortunato, trwająca pięćdziesiąt lat wendeta Gaetaniego zostałaby zduszona w zarodku.

Naparł na ciężkie rzeźbione drzwi kościoła i otworzył je na tyle, aby precyzyjnie się do środka. Wykrzywił twarz, czując woń rozkładających się ciał mnichów dolatującą z krypty pod świątynią. Tego ranka wszędzie unosił się zapach śmierci. Zanurzył palce w kropielnicy z wodą święconą, przeżegnał się i pobiegł do fresku Maryi Panny, gdzie miał nadzieję znaleźć matkę i jej służkę, Nellę. Codziennie te dwie niewiasty klęczały godzinami przed malowidłem przedstawiającym Madonnę z Dzieciątkiem. Nie wracały tak długo, aż jego ojciec posyłał sługę Gastalda, by sprawdził, co się z nimi dzieje.

Owego dnia, gdy powóz Gaetaniego wjechał z głośnym turkotem na ulice Todi, wioząc biskupa Pietra i jego bratanek, *signore* Iacobello udał się do kościoła osobiście, prowadząc syna i służącego. Chciał się upewnić, czy opowieść Gastalda o kolanach niewiast, które wyżłobiły wgłębienia w posadzce, jest prawdziwa. Sługa nie kłamał. *Signore* Iacobello odkrył ponadto małe pęknięcia wyżłobione przez zaschlą sól, w miejscu, gdzie łyżony kapały na posadzkę. Zwilżył czubek palca i potarł żółtawe kryształki, a następnie dotknął palcem warg.

Nagle kolana się pod nim ugięły i runął na posadzkę w drgawkach i konwulsjach. Gastaldo i chłopiec zanieśli go czym prędzej do domu, gdzie przeleżał bez ruchu trzy tygodnie aż do ostatniego, nabożnego zawołania „Gelino!”.

Tego dnia kobiety miały na sobie czarne suknie, z powodu nie tyle choroby *signore*, ile wspólnej nieustającej żałoby. Jasnoszara zasłona skrywająca pokrytą sińcami twarz matki stanowiła jedyną plamę światła w ponurym wnętrzu. Angelo doskonale wiedział, dlaczego ją nosi. Ani ścianka oddzielająca jego posłanie od łoża rodziców w rodzinnej komnacie, ani poduszka, którą przyciskał do głowy, nie mogły odgrodzić go od odgłosów nocnego bicia i krzyków matki.

Pewnego ranka, gdy był sam w pokoju, podniósł jej zmiętą nocną koszulę i przyłożył do twarzy, wdychając zapach. Rozłożył ją na narzucie, obserwując obszyty koronką wysoki kołnierz i rękawy. W dolnej części matka wyhaftowała różę z otworem - mógłby w niego włożyć palec środkowy i kciuk. Ręka mu drżała, gdy dotykał ścięgu. Wiedział, że przez niego go poczęła.

Zaniepokoiło go to wspomnienie. Patrząc na kobiety, próbował pozbyć się natrętnej myśli, w końcu jednak odnalazł skraj sukni matki. Westchnął i powiedział delikatnie:

- Mamo...

Odwróciła się w jego stronę górną częścią tułowia. Chociaż nic nie powiedział, domyśliła się. Skłoniła głowę i wyszeptwała przez zasłonę tak, że mógł ją usłyszeć:

- *Santa Maria, grazie. Grazie molte.*

Rozdział drugi

Kiedy opuszczali kościół, lało jak z cebra. Deszcz nie przestawał padać przez sześćdziesiąt sześć dni - jeden dzień deszczu za jeden rok życia Iacobella Lorenziniego. Woda oczyściła kanały ściekowe i wypłukała ziemię z tarasowych winnic poza murami miasta. Kmiecie wyglądali na niepokieszonych, a czaple białe brodziły, szukając robaków i kijanek w wezbranej wodzie, brązowej niczym włosiennica. Obywatele Todi kręcili głowami, powiadając, że to niebiosa płaczą nad zmarłym *signore*, lecz matka i syn byli pewni, że miasto po prostu oczyszcza się z wszelkich śladów obecności tego człowieka.

Ludzie, którzy złożyli wyrazy uszanowania rodzinie w owych dniach przesiąkniętych wilgocią, opuszczali *palazzo* z dziwnym wyrazem powściągniętej radości na twarzach, jak wówczas, gdy dwoje staruszków na nowo odkryje miłość.

Mieszczanie i szlachta ziemską przechodzili obok ciała wystawionego w wielkiej sali, zdumieni zastygłym wyrazem frustracji malującym się na twarzy nieboszczyka, wywołanym zlekceważeniem jego ostatniego polecenia.

Nieliczni płakali, a najbardziej notariusz *maestro* Maccabeo. Wdowiec był niezawodnym partnerem, z którym *signore* Iacobello grywał w szachy w niedzielne popołudnia. Łzy spływały po zmarszczkach żłobiących jego twarz, tak jak deszcz po tarasowych winnicach.

- Niech mu Bóg wybaczy - powtarzał. - Niech się zmiłuje i odpuści wszelkie słabości ciała.

Większość gości usiadła na krzesłach z prostymi oparciami ustawionymi po ściankami sali, jedząc ciasto i placki z mięsem roznoszone przez sługi. Wydawało się, że wraz z okruciami strząsanymi z kolan usuwają wszelkie uporczywe, przykre uczucia żywione do zmarłego.

- Zmarł jak prawdziwy chrześcijanin... Powiadają, że nie odrywał oczu od świętego krucyfiksu. - Wszyscy byli zdumieni, że wdowa tak dobrze znosi stratę, mimo długiego czuwania.

W dniu pogrzebu *donna* Lucia umieściła ślubną obrączkę w trumnie męża i wróciła do domowników. Ustały codzienne wyprawy do San Fortunato. W każdym pokoju pojawiły się wazony z wiosennymi kwiatami, a służący usunęli zasłony ze wszystkich okien z wyjątkiem tej strony domu, gdzie zacinął deszcz. Kiedy siniaki zniknęły, *donna* Lucia zaczęła zdejmować welon - początkowo nieśmiało, później z nieskrywaną radością. Zgodnie ze

zwyczajem nadal nosiła czarne suknie, lecz wdowie szaty jedynie podkreślały biel jej policzków od lat nietkniętych przez promienie słońca. Wcześniej Angelo rzadko widywał jej twarz - jedynie powolne, przepełnione bólem ruchy. Zapomniał, że była niemal czterdzieści lat młodsza od męża.

Zaczęła go uczyć zarządzania domem. Podobnie jak inne miejskie *palazzi*, dom Lorenzinich miał własne stajnie i obory, spichlerz i komorę z szynkami, serami, smalcem i innymi dobrami pochodzącymi z wiejskiej posiadłości rodziny. Były w nim też warsztaty dla cieśli, szewca i kowala oraz dla służek wytwarzających świece, gręplujących wełnę i przędących. Każda potrzebowała zapasów, każda wytwarzała dziennie określoną liczbę świec czy motków wełny.

- Uwielbiam tę codzienną krzątanicę - przyznała *donna Lucia*. - Dzięki niej zdołałam przeżyć. - Zapewniła, że nadal będzie nadzorowała funkcjonowanie gospodarstwa, lecz jej Gelino, jako nominalny pan, powinien wiedzieć, co się w nim dzieje.

Codziennie rano, po rodzinnym *collazione*, prowadziła syna do paleniska, które syczało podczas ciągnących się tygodniami deszczów. W pochmurne poranki, gdy płomienie migotały przez mosiężny ruszt, siadywała naprzeciwko niego na wysokim krześle i ujmowała jego dłonie w swoje.

- Robotnicy zatrudniani do prac dorywczych, bednarze, wywożący gnój i robotnicy na dniówkę, są zwykle leniwi i skłonni do rozgłaszania złych plotek, jeśli im kiepsko zapłacisz. Zatrudniaj jedynie tych spokojnych i z góry przystań na tyle, ile zażądatają. - W małym miasteczku najważniejsze było dobre imię.

Później zaczęła mu przekazywać domowe przepisy, „na wypadek gdyby poślubił niewiastę źle przyuczoną przez matkę i sam musiał jej wszystko wbić do głowy”. Pogłaskała policzek syna, zaniepokojona myślą o oddaniu go innej kobiecie, a następnie wyjaśniła, jak usunąć pchły z siennika.

- W nocy ustaw wokół deseczki z lepem na ptaki i zapal na nich świece. Pchły będą ciągnąć do światła jak ćmy i przykleją się do chleba. Rozłóż na ziemi lub łóżku zwykle prześcieradło, a pchły na nie skoczą. Prześcieradło powinno być białe, aby łatwiej było pasożyty złapać i rozgnieść.

Z błyszczącymi oczami i nieskrywanym podziwem obserwowała, jak Angelo krąży po domu. Miała oczy ciemniejsze i bardziej przenikliwe od jego pomarańczowych, jasnobrązowych tęczówek. Czy zawsze podglądała go zza zasłony? Pomyślał o najadzie z gobelinu wiszącego na ścianie sypialni rodziców, podglądającej przez wodospad niczego niepodejrzewającego młodzieńca, kąpiącego się w sadzawce. Przyglądała się mu także w

nocy, rano bowiem wspominała, że wiercił się niespokojnie lub kilka razy głośno zapłakał przez sen.

Zaczęła go pieścić, jakby dopiero po śmierci męża odzyskała trzynastoletniego syna, który dawno temu, jako niemowlę, został zabrany spod jej opieki. Odesłała bakałarza, powiadając, że Angelo powinien pozwolić odpocząć swojemu młodemu umysłowi, dopóki nie zakończy się czas żałoby. Kroiła dla niego mięso i jedli z tego samego półmiska. Wieczorem, w porze kąpieli, zjawiała się bez ostrzeżenia, stając za drewnianą balią i szorując mocnymi, jednostajnymi ruchami jego pokryte pryszczami i guzkami plecy. Obejmował kolana rękami, obawiając się, że zabrudzi wodę. Nie dostrzegając, że syn wstrzymuje oddech, i nuciła kołysanki, pocierając krzywiznę jego ramion. Dopiero gdy ponad linią wody nie było już nic do umycia, kazała mu wstać, przesuwając dłonią po jego mokrych włosach i wychodziła, mówiąc, aby sam dokończył kąpieli.

W nocy leżał w milczeniu na swoim pościeliu, czekając z podnieceniem na jej rytuał kładzenia się do łóżka. Matka modliła się w domowej kaplicy, podczas gdy on mościł się na sienniku. Później wślizgiwała się do komnaty delikatnie jak wiatr i zdmuchiwała świeczkę. W ciemności Angelo słuchał, jak zdejmuje czarną suknię i halkę, wkłada koszulę nocną z wyhaftowaną różą, a następnie kładzie się w łóżu z baldachimem i zaciąga zasłony.

W noc kąpieli ujrzał jej cień przesuwający się po ścianie, a po chwili usłyszał, jak wchodzi do komnaty. Przekręcił się na bok i przyłożył oko do szpary w zasłonie. Teraz zapali świeczkę i przysunie się do światła, pomyślał. Kiedy znalazła się w jego aureoli, spojrzała na swoją żałobną suknię, na dłonie i stopy, jakby były uwięzione w kołyszącym się płomieniu. Zdjęła welon z głowy i wolno rozwinęła czarny warkocz, uwalniając sięgające bioder loki.

Jego ciało przeniknęła fala gorąca, nasączając potem nocną koszulę. Starał się uspokoić, zamykając oczy, lecz szelest zdejmowanej bielizny sprawił, że jego powieki się otworzyły.

Skóra barwy kości słoniowej, oświetlona blaskiem świeczki, odbijała złotą poświatę - krągły, piękny krajobraz złamany jedynie rdzawoczerwonymi aureolami okalającymi sutki i splątanymi czarnymi włoskami łona. Kiedy wzięła w dłonie swoje piersi, wydobywając je na światło, poczuł się tak, jakby jego głowa odłączyła się od tułowia. Zaciśnął powieki i trzymał je zamknięte, dopóki nie usłyszał, jak matka wkłada koszulę i odmawia modlitwę.

W końcu podniosła się z kolan, lecz jeszcze nie zdmuchnęła świeczki. Zamiast tego przysunęła się do zasłony. Przekręcił się na plecy, naciągając kołdrę na głowę.

- Gelino - wyszeptwała. - Śpisz?

Zawahał się przez chwilę, a następnie odpowiedział tak sennie, jak potrafił:

- *Non, mamma.*

- *Bene*. - Ukłękła przy postaniu i przesunęła dłonią po jego czole. - Martwi mnie, że płaczesz przez sen. Chodź do mnie. Mama cię przytuli tak jak wtedy, gdy byłeś małym chłopcem.

Chociaż był niemal tak wysoki jak ona, kołysała go w ramionach, przytulając jego policzki do swej piersi.

- Tyle razy w wietrzne zimowe noce wstawałam, aby dać ci pierś - westchnęła. - Gdy byłeś niemowlęciem, ciągle płakałeś, a ja nie wiedziałam dlaczego. Lękałam się, że cię stracę, że zostałeś obiecany śmierci jeszcze w moim łonie. Miałeś trudne narodziny. Ubrudzony krwią zaskomlałeś jak szczenię, zanim położna zdążyła cię klepnąć. Potrząsnęłam tobą, aby ci się przyjrzeć. Rozbierałam cię kilka razy dziennie, przypatrując się twym krzywym plecami, lecz nigdy nie zrozumiałam... dlaczego dotknęło to ciebie, nie twego ojca?

Odgarnęła mu włosy z czoła.

- Może to kara za grzechy dziadka, jak powiadają stare niewiasty. Powiedziałam twemu *papà*, że nie urodzę kolejnego dziecka, bo może być takie jak ty, chociaż wielokrotnie bił mnie z tego powodu.

Przesunęła dłonią po garbie między jego łopatkami.

- Teraz wszystko minęło, mój słodki Gelino.

Angelo ułożył się wygodnie, czując miękkość jej ciała i woń kwiatów. Przespał w ramionach matki całą noc - pierwszą z wielu szczęśliwych nocy, które zakończyły się sześćdziesiątego szóstego, ostatniego dnia oczyszczających deszczów.

Strażnik był poczciwym człowiekiem. Dzisiaj na wierzchu kosza, który opuścił do celi, leżał szorstki wełniany pled. Nieoczekiwanie mężczyzna przemówił niskim głosem:

- Bracie Angelo, okrywaj się nim w nocy i składaj, by siedzieć na nim za dnia. Jednak, na miłość Boga, jeśli zjawią się tu ludzie papieża, ukryj go pod ubraniem. W przeciwnym razie zaszkożysz nam obu.

Angelo wyjął z kosza jedzenie i pled, a następnie pociągnął za sznur. Mnich spuścił kubek z wodą, którą więzień przelał do wyszczerbionego dzbana. Strażnik odszedł bez słowa. W ogóle nie powinien był rozmawiać z więźniem.

Po przedłużeniu posiłku jak długo się dało, braciszek wypróbował swoją nową poduszkę. Wspomnienia powróciły, gdy tylko kości jego wątłego siedzenia spoczęły na tym nieoczekiwanym zbytku. Niektóre cicho uderzały w czułe miejsce jego serca. Chociaż się opierał, umysł powrócił do tamtego pełnego gorzkości dnia, kiedy deszcz przestał padać, on zaś uległ oblężeniu róż.

Przypomniął sobie, że owe wydarzenia przyniosły też dobre rzeczy. Zdołał uniknąć przynajmniej jednego koszmaru, ku któremu pchały go pragnienia w następnych latach. Dzięki Bogu, obdarzyły go też Silvestrem - Silvestrem, o którego był kiedyś taki zazdrosny. Mimo to uważał dzień róż za drugi z najbardziej ponurych dni swego życia.

Pozbawiony perspektywy czasu, którą dysponował posunięty w latach więzień, mały Angelo uznał pierwszą z róż za znak ruiny. Róża miała karminowoczerwone płatki i groźne kolce, które przeżyła, wyginając się z wazonu stojącego przy bocznym ołtarzu kościoła San Fortunato. Jej widok poraził jego oczy jak błysk ognia w kuźni i przykuwał uwagę, dopóki za pulpitem nie stanął nowy ksiądz, franciszkanin.

Dopiero jego gromkie powitanie uwolniło Angela spod panowania kwiatu i pozwoliło oderwać od niego wzrok. Spojrzał na młodego braciszka z groźną tonsurą i włosami sterczącymi wokół głowy niczym korona cierniowa. Gęste, krzaczaste brwi okalały źrenice płonące w głębokich oczodołach, które równoważyły gładkie, brązowe od słońca czoło oraz rzeźbiony delikatny nos i wargi. Zestawienie tych cech zdumiało chłopca. Czyżby na ambonie stanął sam anioł sądu?

Braciszek przedstawił się jako przybyły niedawno z Viterbo *padre* Sanguigno i oznajmił, że zacznie spowiadać, począwszy od następnego ranka. Matka Angela puściła jego dłoń i szepnęła coś do służącej.

Ksiądz rozpoczął kazanie. Natchniony pąkami róż otwierającymi się przed kościołem mówił o Róży z Vitebro, której miał zaszczyt doradzać, przebywając w owym mieście. Chociaż była dzieckiem, złożyła wyższe śluby, żyjąc zgodnie są regułą świętego Franciszka dla świeckich i osiągając doskonałość w ogrodzie Boga. Mówiąc, popatrywał z wyrzutem na odzianych w futra gibelinów siedzących w ławach zarezerwowanych dla szlachty.

- Owa pobożna dziewica - ciągnął - nigdy nie wyrzekła się lojalności wobec papieża i stronnictwa gwelfów. Często karciała obywateli Viterbo za sprzyjanie cesarzowi Fryderykowi, potwierdzając swoje słowa licznymi cudami. Mimo to wygnano ją z miasta.

- Zaiste dobrze uczyniono - mruknął jakiś mężczyzna stojący za Angelem. - Dobrze, że pozbyto się tej sowy uszatej. - Między ławkami rozlegały się pomruki niezadowolenia, gdy homilia dobiegała końca. Angelo zauważył, że żony gderających nie odrywały wzroku od urodziwego braciszka. Kilka tak się zasłuchało, że aż spłonęło rumieńcem, chociaż Angelo nie dostrzegł w słowach księdza niczego, co mogłoby wywołać podobną reakcję. Zrozumiał to później. To ognisty ogier wpadł między miejskie klacze, spychając na bok podstarzałe wałachy. Ten ksiądz narobi nam kłopotów, przepowiedział. Był ciekaw, dlaczego *padre*

Sanguigno opuścił Viterbo lub został o to poproszony.

Donna Lucia zadała po kolacji to samo pytanie. Siedziała z chłopcem w kuchni, pijąc ciepły napój, który zaparzyła pomywaczka, aby zapobiec skutkom deszczów - owoce dzikiej róży zalane wrzątkiem.

- Nie sądzisz, że ma groźny wygląd, mój synu? - zapytała. Chłopak wzruszył ramionami, pragnąc, by ten przykry dzień jak najszybciej się zakończył.

- Żałuję, że nie mogłam go zobaczyć - wtrąciła służąca. - Od mszy dziewczęta nie rozmawiają o niczym innym. Tkwiłam tu cały ranek, skubiąc kury.

Angelo ziewnął, odstawiając kubek i rozprostowując ramiona.

- Jestem śpiący, mammo. Pójdę do łóżka.

Dość miał słuchania o nowym księdzu. Chciał jedynie skłonić matkę, aby rozpoczęła ich nocny rytuał, który nieodmiennie powodował, że krew w nim wrzała, a gardło było suche jak wiór - szczególnie gdy obserwował przez zasłonę, jak się rozbiera. Każdy wieczór ukazywał jej ciało pod innym kątem, kiedy stała przodem, odwracała się bokiem lub tyłem do świecy. Jak spragnione zwierzę wpatrywał się w odcienie i krągłości jej ciała. Lękał się, że jego łądzwie wybuchną, a gdy czuł, że dłużej tego nie znieśie, wkładała koszulę i szeptała: „Gelino, Gelino”. Imię to stało się dla niego zaproszeniem do szczęścia. Nawet gdy wypowiadała je w ciągu dnia, dźwięk „Gelino” powodował, że kręciło mu się w głowie. Angelo zauważył, że gdy w kuchni mówiła o księdzu, nazwała go „swoim synem” zamiast użyć zdrobniałego imienia.

Nie podniosła się też ze stołka, na co miał nadzieję, lecz kontynuowała rozmowę z dziewczyną. Musiał czekać w nocnej koszuli w niszy w sypialni. Wdychał wilgotne powietrze i ciężką woń kilkunastu przesiąkniętych deszczem krzewów róż na dziedzińcu. Zapach drażnił jego nozdrza, szybując niczym bełt kuszy wprost do jego mózgu i powodując, że kręciło mu się w głowie. Przytrzymał się kamienia, dopóki nie odzyskał równowagi, a następnie z ociąganiem powlókł się na posłanie. Pospiesz się, mammo, błagał.

W końcu weszła do sypialni. Złapał się kurczowo za bolący brzuch. Jaką miarą jego zrebięce oddanie mogło się równać z tym księdzem ogierem? Wił się w agonii, zapominając o podglądaniu przebierającej się matki, dopóki nie usłyszał jej delikatnego zaproszenia.

Gdyby pomyślał, odmówiłby jej tej nocy, jednak róże pozbawiły go wszystkich zmysłów z wyjątkiem dotyku. Niestety, opuściła go również zdolność racjonalnego myślenia. W jego wnętrzu panował zamęt.

Wiedziony przyzwyczajeniem oparł szyję na mocnym skrzydle ramienia matki, przytulając policzek do jej piersi. Potrzebował więcej czasu niż zwykle, aby jej oddech go

uspokoił i mógł wsunąć dłoń pod głowę. Objął ręką miękką krągłość, dotykając przez koszulę czubkami palców twardego sutka.

Wcześniej, prócz głębszego oddechu nie dawała znaku, że przeszkadza jej spać. Potrafił to wyjaśnić. Nadal traktowała go jak małe dziecko, celowo ignorując jego zmieniający się głos i włoski ciemniejące na górnej wardze. Oczywiście nie widziała niczego złego w staniu nago tam, gdzie mógł ją zobaczyć, lub pozwalaniu, aby pieścił jej piersi. Dzieci robią takie rzeczy, szukając lubieżnymi palcami źródła pokarmu.

Przez jakiś czas leżenie obok niej odnosiło, jak co noc, uspokajający skutek. Niepokój ustał i Angelo pogrążył się w drzemce, dopóki perwersyjny powiew wiatru nie otoczył jego snów wonią róż. Chłonał ją, smakując językiem napar z owoców dzikiej róży. Matka w nocnej koszuli leżała obok. Podobnie jak tamtego ranka pozwolił, aby dłoń powędrowała do haftowanej róży. Wymacał ją delikatnie aż czubek palca dotknął kręconych włosków. Koniuszek palca zaczął drżeć, w miarę jak Angelo powoli się budził. Zrozumiał, że to, co robi, jest zakazane, i począł cofać rękę, lecz matka chwyciła i zatrzymała jego dłoń.

- Nie, *padre*, nie wolno - mruknęła. Przestraszony próbował się odwrócić, lecz wzmocniła uchwyt, przyciągając go z powrotem.

Nagle otworzyła oczy. Odrzuciła jego ramię i zepchnęła z materaca.

- Nieobczajny chłopaku - syknęła. - Kto cię nauczył dotykania tych części ciała?

Podniósł się na kolana, wiedząc, że naruszył ich niepisaną umowę. Kiedy udawał ciekawe wszystkiego pacholę, akceptowała wszelkie eksploracje, przekroczył jednak niewidzialną granicę, gdy wsunął koniuszek palca w otwór koszuli. Nie miała wyboru. Musiała przyznać, że jest już młodzieńcem, co gorsza, zachowującym się lubieżnie w łóżu własnej matki. Wiedział, że jej odrzucenie musi być całkowite i nieodwołalne.

Wstała i podeszła do okna. Zauważył ze zdziwieniem, że padający dotąd nieprzerwanie deszcz ustał. Światło księżyca utworzyło aureolę wokół jej postaci i rozświetliło rysy twarzy. Łagodny uśmiech, niezmienny od czasu, gdy zdjęła welon, ustąpił miejsca grymasowi niezadowolenia, przypominającemu żałobny lament.

- Będziesz musiał co rano wyznawać ten grzech ojcu Sanguignowi - powiedziała kategorycznie. - Zanim zły opęta twoją duszę i pogrąży w najgłębszej otchłani piekieł. Musisz mu wyznać, że próbowałeś wykorzystać samotność owdowiałej matki.

Serce w nim zamarło. Nie mogąc dłużej znieść bólu żołądka, skoczył na równe nogi i pobiegł do latryny. Po raz pierwszy od sześćdziesięciu sześciu dni zatęsknił za swym zmarłym *papà*.

Rozdział trzeci

- Powiadasz, że widziałeś matkę nago przez przypadek? Chyba nie za drugim razem? Zali to prawda, chłopcze? Takie rzeczy nie zdarzają się dwukrotnie!

Oczy ojca Sanguigna świdrowały Angela z taką natarczywością, z jaką promień słońca przenika strzelniczy otwór w murze. Chłopak skulił się pod gwałtownymi promieniami światła. Spuścił wzrok. Wyznał, że dwukrotnie podglądał matkę przygotowującą się do spoczynku. Nic ponadto. Nie wspomniał o tym, ile razy trzymał jej pierś, ani o tym, jak badał różę. Nie miał zamiaru mówić o tym księdzu.

Kiedy Angelo milczał, Sanguigno sam udzielił sobie odpowiedzi.

- Jak nic to prawda! - warknął. - Czyś nie czerpał lubieżnej przyjemności z jej widoku?

- Byłem ciekawy. Nigdy wcześniej nie widziałem nagiej kobiety.

- Łżesz! Nie mogę udzielić ci rozgrzeszenia, dopóki wszystkiego mi nie wyznasz! - Ksiądz uniósł pięść, jakby chciał uderzyć klęczącego Angela, lecz zamiast tego dotknął wątych ramion chłopca. Rozsiadł się, wygładzając habit. - Czy spozierając przez zasłonę nie popełniłeś też grzechu Onana, wylewając nasienie na ziemię? Czy prawdziwym celem twych przespiegów nie był samogwałt? Pragnienie pobudzenia się niczym lubieżna małpa? Przyznaj to, synku, i przyjmij rozgrzeszenie.

Angelo znów zaprzeczył, tym razem mówiąc prawdę, w owe noce bowiem był zbyt pobudzony, aby ryzykować dodatkową podniecie. Pozostawił to na samotne chwile spędzane w latrynie.

Ksiądz zwolnił uścisk, przymknął oczy i przykazał:

- Opowiedz mi jeszcze raz, co widziałeś, abym mógł rozstrzygnąć, jak poważnego grzechu się dopuściłeś, i wyznaczyć ci właściwą pokutę. Widziałeś piersi matki?

- *Si, padre.*

- Młode, jędrne piersi?

- Ma trzydzieści lat, *padre.*

- Aaach. - Kapłan pochylił się do tyłu, nie otwierając oczu. Zwilżył wargi szybkim ruchem języka.

- A zewnętrzne narządy płciowe?

Angelo pokręcił głową, zdumiony użytymi słowami.

- Nie wiem...

Cienkie wargi *padre* Sanguigna wygięły się w dół, lecz wypytywał dalej:

- Gdzie był wówczas twój ojciec?

Chłopak zawahał się, czując narastające zdenerwowanie.

- Mój *papà* nie żyje. - Kapłan wyciągnął z niego większość informacji, które pragnął zataić.

- Tak? - Ojciec Sanguigno wyprostował plecy i spojrzał na słabo oświetloną nawę. - Przyczyną twojej słabości jest brak dyscypliny, chłopcze. Nic dziwnego, skoro w domu nie ma mężczyzny. Czy jest tu twoja matka? Muszę się z nią rozmówić. Była dla ciebie zbyt pobłażliwa.

- Czeka z tyłu kościoła, by się wyspowiadać - bąknął Angelo.

- *Bene. Znasz Ojczy nasz?*

Angelo skinął głową.

- Oto pokuta: masz uklęknąć w tylnym rzędzie nawy i powtarzać modlitwę, dopóki nie skończę rozmawiać z twoją matką. Cały czas wpatruj się w proch pod nogami, błagając o przebaczenie za twój haniebny uczynek. Pamiętaj, że grzeszne ciało zamieni się w ten sam proch, gdy twoja nieśmiertelna dusza zostanie wezwana przed tron Boga na sąd. - Ksiądz uniósł dłoń, udzielając błogosławieństwa. - *Ego te absolvo de omnibus peccatis tuis. Vade in pace et nolle enim peccare.*

Skinął ręką, dając znak, aby chłopiec odszedł.

- Przyślij tu swoją mamę.

Serce Angela zapłonęło nienawiścią do zakonnika, uczynił jednak to, co mu kazał, sprowadzając matkę i przystępując do odprawiania pokuty. Wbił wzrok w posadzkę kościoła, próbując zignorować szloch dochodzący zza ołtarza i melodyjny, czuły szczebiot księdza. Co jakiś czas do nawy dolatywały urywki rozmowy, wlewając się jak trucizna do jego uszu.

- Ach! *Signora*, jesteś pani zbyt młoda, aby być sama... Taka smutna... Z pewnością Bóg pragnie wypełnić tę próżnię...

Chłopak przyciskał dłonie do uszu. Nie mógł się modlić, bo po jego policzku zaczęły spływać ciężkie łzy. Uniósł głowę, słysząc płacz matki, lecz w panujących ciemnościach zdołał dojrzeć jedynie nienawistne spojrzenia kobiet klęczących w pobliżu, czekających w kolejce, aby opowiedzieć o swojej samotności, rzucających czujne spojrzenia niczym pikę w kierunku pogrążonego w mroku ołtarza księdza i rytmicznie zawodzącej matki Angela. Jedynym wyjątkiem była Nella, która czekała z pochyloną głową, ukrywając twarz za czarną chustą, z ramionami wstrząsanymi płaczem za swoją zgubioną panią.

Brat Angelo zaszlochał w podziemnym lochu:

- Biedny chłopiec. Biedny, samotny chłopiec.

Przypomniął sobie, że tym chłopcem jest lub był on sam. Wszak można współczuć samemu sobie. Nawet gdy dobiegł czterdziestki, bracia zakonnicy dziwili się, dlaczego w jego oczach gościa czasem tajemniczy smutek, nie wiedząc, że ma źródło w mroku oświetlonej księżycem komnaty dzieciństwa.

Wyobraził sobie, że wstaje z posłania i wchodzi do San Fortunato, kiedy chłopiec klęka, aby rozpocząć pokutę. Zakonnik chwyta go za rękę.

- Chodź, Angelo - mówi. - Nie musisz na to patrzeć.

Wyprowadza chłopca z kościoła. Gdy idą, czuje się w obowiązku go ostrzec.

- Angelo, czeka cię jeszcze wiele smutnych lat. Mimo to, gdy osiągniesz podeszły wiek, znajdziesz odrobinę spokoju. - Po chwili dodaje: - W najmroczniejszej godzinie poprowadzi cię inny członek naszego rodu.

Wkraczając na dziedziniec rodzinnego domu, zakonnik uśmiecha się na widok potężnego dębu, na którego gałęzi wdrapywał się jako chłopiec, udając, że szpieguje służących ze stengi swej galery. Z tej wysokości codzienna krzątanina nie wydawała się tak gorączkowa.

- Podsadzę cię - proponuje, splatając dłonie.

Kiedy chłopak jest na dolnej gałęzi, wzywa go, aby nie przestawał się wspinać.

- Najwyżej jak potrafisz - zachęca.

Dziecko znika wśród liści na dłuższy czas. Kiedy wraca na ziemię, jego twarz ma poważny wyraz.

- Czego się dowiedziałeś? - pyta zakonnik.

- Bóg do mnie przemówił - wyjaśnia chłopak. - Powiedział, że nazaczył mnie jako jednego ze swoich, lecz podobnie jak ty ostrzegł, że najpierw doświadczę wielkiego cierpienia.

Zawahał się.

- I...?

- Powiedział, że zranię innych. Że ktoś straci przeze mnie życie.

Zakonnik nie jest na to przygotowany. Opuszcza głowę i obejmuje skronie dłońmi, jakby chciał się pozbyć tych niechcianych słów.

Ma już dość wspomnień i zaczyna tęsknić za swoim lochem. Ponownie ujmuje dłoń chłopca.

- Chodź. Pora wracać do kościoła. Twoja matka skończyła spowiedź.

Później, kiedy się uspokoił, brat Angelo pozbierał kawałki pergaminu, odnalazł czysty i napisał:

Wspiąć się na drzewo bożej miłości to nigdy nie ustawać...

Stale sięgać następnej gałęzi rosnącej w górze...

Czasami miał wrażenie, że niemal przedarł się przez zasłonę oddzielającą go od bóstwa. Czuł, że dotarł do miejsca, w którym widzialne łączy się z niewidzialnym, namacalne z ulotnym, mrok ze światłem, pojęte z niepojętym.

- Omarze Kasimie, wyjaśnij mi...! - zawołał w ciszy. Poznał tego saraceńskiego medyka, gdy jako młodzieniec bawił w Rzymie, w noc jedyne doświadczenia z haszyszem. Arabski uczoney był pierwszym, który powiedział mu o zasłonie oddzielającej poszukującego od tego, co pragnie odnaleźć.

- Nie zdołasz jej usunąć - mówił Kasim. - Może to uczynić jedynie Umiłowany. Kiedy zasłona opadnie, stanie się to w sposób cielesny, tak jak wówczas, gdy niebo przesywa błyskawica. W niewyjaśniony sposób znajdziesz się po drugiej stronie. - Medyk uchwycił jego przedramię obiema dłońmi i dodał: - Stanie się to w jednej chwili, mój młody przyjacielu. Takie rzeczy dokonują się poza czasem.

Przez wiele nocy, leżąc w lochu, czuł, że zaledwie oddech dzieli go od wizji, która umykała mu przez całe życie. Zasłona zadrżała, tańcząc jak motyl, prowokując go przelotnymi obrazami tego, co się za nią kryło, a co zawsze pozostawało poza zasięgiem. Spoglądał na poruszającą się zasłonę, wiedząc, że opadnie przed nim, gdy sama tego zechce.

Matka i syn opuścili San Fortunato w milczeniu. Nie usłyszeliby żadnego słowa, podobnie jak kamienia wrzuconego w bezdenną przepaść, która między nimi powstała. Osłonili się mgłą własnych myśli i płynęli ulicami jak para unosząca się z bruku. Kiedy w ciszy mijali pałac biskupi, w bramie stanął doktor Bartolo.

- *Donna Lucia. Signore Angelo.* - Skłonił się tak nisko, jak pozwalała mu tusza. - *Buon giorno.* - Zdjął czapkę okrągłą niczym bochen chleba, odsłaniając obwisłe policzki. Powinien być smutny, pomyślał chłopak. Od śmierci ojca nie zarobił u nas ani denara. Mimo to był rad, że bakałarz nazwał go *signore*.

- Spotykamy się w samą porę, doktorze Bartolo - powiedziała matka. - Miałam dziś po ciebie posłać. Angelo może już wrócić do nauki. - Nie spojrzała na niego, lecz mówiła o nim tak, jakby został w kościele. Nie był już „Gelino”, lecz „Angelo”. Przez następne lata nie

usłyszał tego zdrobnienia aż do dnia, w którym wyszeptano je w Rzymie podczas szalejącej burzy.

Bakałarz o zaczerwienionych policzkach umieścił czapkę na łysiejącej łepetynie, w jednej chwili niwecząc wszelkie swe podobieństwo do cheruba.

- Bardzo się cieszę, *signora!* - odparł. - Brakowało mi mojego wyjątkowego ucznia.

Donna Lucia spojrzała na niego lekko zdziwiona. Bartolo wskazał *palazzo*, który przed chwilą opuścił.

- Wyjątkowy umysł Benedetta Gaetaniego przewyższa jedynie umysł pani syna - oznajmił niskim głosem.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- To ten głupek, który całymi dniami wygląda przez okno?

Doktor Bartolo zamrugał wolno. Przez wiele lat zabiegał o to, by nie urazić rodzicielskiej dumy.

- Proszę zapamiętać moje słowa, *signora*. Pewnego dnia ci dwaj zaświecą nad Todi niczym bliźniacze gwiazdy, przynosząc chlubę swemu nauczycielowi. Jeśli tu pozostaną, podzielą miasto między sobą. Biskup Gaetani wybrał dla bratanka karierę duchowną. Jest przekonany, że chłopak będzie celował w prawie kanonicznym, a zmarły małżonek pani, niech Bóg się zmiłuje nad jego szczodroliwą duszą, pragnął, by *signore* Angelo uczył się prawa cywilnego.

- Lepiej znasz się pan na ich zdolnościach niż ja - odparła *donna Lucia*, ruszając dalej. - Czekamy na waszmość jutro rano - rzuciła przez ramię.

Bakałarz skłonił się ponownie.

- *A domani, signora*. To tak, jakbym czekał tysiąc lat.

Aby dotrzeć do skryptorium, Angelo musiał minąć pokój, w którym zmarł ojciec. Zajrzał do środka, ciekaw, czy jego duch nie unosi się gdzieś w mrocznych kątach.

Łoże było przykryte czarną tkaniną od dnia, w którym słudzy zabrali sztywne ciało pana. Woda w czterech żelaznych garnkach, w których zanurzono nogi łoża - aby choroba ojca nie przeniknęła do domu - przybrała ciemną, czerwonawą barwę. Drzewo przy oknie wpuściło do komnaty świeżą gałązkę. Szczygieł, który na niej przysiadł, spoglądał czujnie na chłopca przez wąską przestrzeń, która ich oddzielała. W środku nowej pajęczyny uciepionej krucyfiksu na ścianie nieruchomy pająk kontemlował swój następny posiłek. Kąciki ust Angela uniosły się lekko, gdy na ścianie za drzwiami wyskrobał paznokciem: *alla vita*.

Słudzy uprzątnęli klasę poprzedniego dnia, wycierając kurz z ksiąg i woskowej tablicy.

Niektóre z ksiąg osobiście skopiował na podstawie oryginałów Bartola, ucząc się sztuki pisania. Sterta związanych rękopisów wskazywała na przebieg jego nauki w ciągu siedmiu ostatnich lat, od *Ars grammatica* Aeliusa Donatusa (z której uczył się łaciny) po zbiory bajek i legend o świętych, a ostatnio także Boecjusza.

Traktat *O pocieszeniu, jakie daje filozofia* okazał się dla niego prawdziwym kamieniem milowym. Była to pierwsza księga, której treść wykraczała poza ćwiczenia gramatyczne. Oczywiście stanowiła również wprowadzenie do logiki. Jednakże, stoickie podejście autora do boskiego planu, obejmującego między innymi jego niesprawiedliwe uwięzienie, pozwoliło Angelowi inaczej spojrzeć na świat.

Przeczytał znaczną część księgi, gdy ojciec leżał przykuty do łoża, i to właśnie jej lektura sprawiła, że śmiertelna choroba rodziciela nie zrobiła na nim większego wrażenia. To prawda, że sam o mało nie skonał, gdy *padre* Sanguigno spólkował z jego matką za ołtarzem, lecz ściana milczenia, jaka ich oddzielała, sprawiła, że w ciągu jednej nocy uznał ten incydent za kolejny z niepokojących sennych koszmarów. Z perspektywy nowego, beznamiętnego dystansu, matka prawie dla niego nie istniała. Dom był rozległy, a ich ścieżki rzadko się krzyżowały.

Usiadł przy stole i zadumał się nad innym snem z poprzedniego dnia. Był spokojniejszy, lecz zgoła niezwykły, sen na jawie, który przerwał jego pokutę - dziwne czary, w których ukazał mu się stary mnich, ujmując go za rękę i wyprowadzając z miasta. Ich śladem podążał cicho biały wilk.

Doktor Bartolo z trudem szedł przez podwórze. Sapał i dyszał, powłócząc nogami, by wspiąć się po schodach do sali lekcyjnej na drugim piętrze. Kiedy do niej wchodził, uczeń odłożył na bok Boecjusza. Bartolo postawił na stole torbę z książkami, ciężko dysząc.

- Straciłeś dziesięć tygodni nauki, *signore* - rzekł w końcu. - Musimy przejść na kolejny poziom. Koniec z autorami, którzy kaleczą łacinę niczym wiejski dialekt. Od dziś zaczniemy czytać pisarzy starożytnych. Ich słowa wydadzą ci się przypadkowe, a końcówki skomplikowane, lecz gdy je opanujesz, będziesz umiał przemawiać przed każdym sądem w Europie. Nic nie wywrze takiego wrażenia na sędzim jak trafnie dobrany cytat z dzieł dawnych filozofów.

Młodzieniec odpowiedział wymuszonym uśmiechem i nieznacznym uniesieniem górnej wargi. Nauczyciel wyczytał z jego twarzy jedynie rezygnację. Ani śladu entuzjazmu. Bartolo oznajmił następnie, że - jak zaplanował ojciec - pewnego dnia chłopak zostanie *notaio*, wykonując zawód łączący talenty prawnika, notariusza oraz pisarza prowadzącego księgi

finansowe i prawne, jak również lichwiarza i bankiera.

- Być może pewnego dnia zostaniesz sędzią - powiedział, lecz chłopiec i tym razem nie okazał większego zainteresowania. - Jak zapewne wiesz, *signore*, twój ojciec był kimś w rodzaju sędziego... Był sędzią naszych czasów - ciągnął. - Umiął odczytać znaki zmian, nieunikniony upadek wiejskich dworów. Przeniósł się do miasta i związał swój los z *buoni uomini*. - Byli to feudalni panowie, którzy rządili państwami-miastami, dorównując pozycją biskupom, księżtom i cesarskim legatom. - Pragnął takiej przyszłości i dla ciebie - zakończył Bartolo.

Po tym krótkim wstępie nauczyciel wyjaśnił, że gildia sędziów i notariuszy stanowi linię demarkacyjną oddzielającą niższą arystokrację od zamożnego mieszczaństwa. Jest też linią współpracy, umożliwiającą pokonanie granicy za pomocą małżeństw mieszanych, dzięki którym zamożni kupcy wymieniają bogactwo na szlachetne urodzenie, o czym zmarły *signore* myślał pewnie dla syna.

Angelo rzucił okiem na skórzane grzbiety ksiąg z nazwiskami sławnych autorów, wyglądającymi równie uroczyście jak te, które wyryto na ich kamieniach nagrobnych: Wergiliusz i Cyceon, Juwenalis i Katon, Persjusz i Lukan. Zrobił skwaszoną minę.

- Czy nie chciałbyś zobaczyć, jak sędzia skazuje żebraka na stryczek jednym „celnym cytatem”? - zapytał. - Jak wysyła nieszczęśnika na szubienicę, aby udowodnić, że zna Katona?

- Słucham?

- Cóż, trudno to uznać za sprawiedliwe, nieprawdaż? - Chłopak spojrzał na niego z rozdrażnieniem. - Miałem na myśli posługiwanie się łaciną w sądach. Kmiecie nie potrafią śledzić przebiegu własnego procesu. Aby się bronić i złożyć apelację po łacinie, muszą zatrudnić prawnika, na co nie mogą sobie wszak pozwolić. A więc nie mogą się bronić. Już na początku są skazani na porażkę.

Bartolo splótł palce na brzuchu, obserwując błagalne spojrzenie młodzieńca.

- Nie interesuje cię to, *signore*? Wynika stąd, że jeśli opanujesz łacinę, nigdy nie będziesz się uskarżał na brak dochodów. Poznasz również arytmetykę i zrozumiesz naturę pieniądza. Kupcy, u których się zaopatrujecie, znają tę ostatnią, lecz łaciną posługują się jak kmiecie. Wiedza przeciętnego szlachcica też jest niewielka.

Przerwał, pocierając brodę.

- Odłóżmy na chwilę księgi i zejdźmy na podwórze - zaproponował. - Nakreślę ci koncepcję zbyt rozległą, aby zmieściła się na woskowej tablicy... koncepcję poszerzającą widzenie świata, w który niebawem wkroczysz.

Gdy znaleźli się na dworze, wziął do ręki solidny patyk i zaczął rysować na szerokim pasie błota.

- Wielki Łańcuch Istnienia to boska hierarchia bytów, obejmująca wszystko, począwszy od Boga po najmniejsze z jego stworzeń - zaczął. - Najwyższym ogniwem było Logos, które ukształtowało świat... - Mówił przyciszonym głosem maga wprowadzającego ucznia w mroczne tajniki sztuki czarnoksiężskiej.

Najpierw nakreślił trójkąt.

- Rozpocznijmy od Boga istniejącego w trzech osobach: Ojca, Syna i Ducha Świętego, niezmiennego, wszechmocnego, przekraczającego nasze poznanie. - Rysował, nie przerywając wykładu. - Wszechmocnego przez całą wieczność wielbi siedem chórów anielskich, każdy innej rangi, poniżej zaś są święci Kościoła triumfującego, wiedzeni przez Maryję Dziewicę. Taki jest porządek niebieski. Pod nim są duchowni i świeccy przewodnicy Kościoła walczącego.

- Umieściłeś papieża i cesarza obok siebie - zauważył chłopak. - Czy Innocenty nie powinien znajdować się nad Fryderykiem?

- To prawda, jak dotąd porządek duchowy pozostaje wyższy od doczesnego - przyznał nauczyciel.

- Czy nie wymyślili tego ludzie Kościoła?

- Nie wymyślili, jeno objaśnili, *signore*. Nawet ziemscy władcy nie sprzeciwiają się teologicznej treści tej hierarchii.

- Idę o zakład, że Fryderyk jej nie uznaje. Nie chce, aby Rzym sprawował nad nim władzę. Ojciec mówił, że papieże ciągle go ekskomunikują, on zaś zajmuje Państwo Kościelne. - Uczeń przestał patrzeć na rysunek, kierując spojrzenie na bakałarza. - Co odpowiadasz, kiedy ludzie pytają, po czyjej jesteś stronie? Papieża czy cesarza?

Doktor Bartolo przygotował sobie odpowiedź na to pytanie i wielokrotnie ją przećwiczył. Spuścił skromnie wzrok i rzekł:

- Moja wiedza jest tak niewielka, że nie ośmielę się opowiedzieć po żadnej ze stron.

Natychmiast zganił sam siebie. Nie, był winien chłopakowi i sobie bardziej uczciwą odpowiedź.

- Czas najwyższy porozmawiać o stronnictwach - oznajmił. - Przyznam, że temat ten jest dla mnie trudny. Jak mądry kupiec, pragnący sprzedawać towary wszystkim nabywcom, muszę obrać kurs między Scyllą i Charybdą.

Odłożył kij, zastanawiając się, jak zacząć.

- Opowiadanie się za wspomnianymi stronnictwami wypływa, jak mniemam, z

dawnych błędów, wendet, które niewiele mają wspólnego ze szlachebnymi ideałami. Szlachta, oczarowana władzą, staje po stronie cesarza. Prosty lud popiera papieża, ponieważ gardzi szlachtą. Jednak nawet wspomniana różnica klasowa jest zatarta. Twój ojciec, szlachcic, należał do kościelnej rady Todi. Był żarliwym gwelfem i wspierał papieństwo.

- Mnie też to zastanawia - odparł Angelo. - Większość szlachty to gibelini. Popierają przedstawiciela cesarza, *podesta* przedkładając go nad biskupa, który jest człowiekiem papieża. Co się wszakże dzieje, gdy szlachcic zostaje biskupem, jak Pietro Gaetani? Staje wówczas po stronie papieża czy cesarza? Nie może występować przeciwko własnemu urzędowi. A co jeśli na urząd *podesta* wybiorą gwelfa?

- To znakomite pytania, *signore*... węzeł gordyjski, który może przeciąć jedynie miecz Fryderyka.

Nauczyciel spojrział na przeciwną stronę podworca.

- Myślę, że przed tym problemem stanął Innocenty Czwarty. Jego ród, do którego należą hrabiowie Lavagna, to fanatyczni zwolennicy cesarza. Nawet Fryderyk z radością powitał jego wybór i oddał cześć jako szlachebnemu synowi cesarstwa. Wystarczyło jednak kilka miesięcy, aby Innocenty doszedł do wniosku i ogłosił publicznie, że żaden papież nie może być gibelinem.

Doktor Bartolo ponownie podniósł patyk, mając nadzieję na zmianę tematu, lecz w tej samej chwili dzwony San Fortunato poczęły głośno bić. Podniósł wzrok i pokręcił głową. Jego uczeń wciągał powietrze niczym zwierzę, próbujące wyczuć woń dymu lub innego niebezpieczeństwa.

- Wybacz, *signore* - powiedział, cofając się z ukłonem w stronę łuku bramy. - Wygląda na to, że nadeszły ważne wieści. Za pozwoleniem, jutro wrócimy do naszej lekcji.

- Pójdę z tobą - odparł Angelo.

Bartolo się zawahał.

- Nie powinieneś poczekać na przybocznego, *signore*?

- Mamy dzień targowy - odparł uczeń. - *Mercato* będzie pełen ludzi. Nic mi nie grozi w tłumie.

Rozdział czwarty

Benedetto Gaetani miał w Todi krewnych, którzy pomagali mu rozproszyć nudę panującą w biskupim pałacu. W pobliżu mieszkała ciotka z trzema synami - młodymi mężczyznami mniej więcej w jego wieku. Starszy brat Benedetta, Roffredo, przybył, aby spędzić lato z nim i kuzynami. Cała piątka - młodych, rośłych i hałaśliwych mężczyzn - włóczyła się po ulicach bez lęku. Na wszelki wypadek Benedetto ukrył sztylet pod tuniką. Wiedział, że nawet gdyby go przyłapano z bronią, nikt nie odważyłby się oskarżyć bratanka biskupa.

Gaetani zbili się w małą gromadkę na *piazza*, słuchając starców narzekających na ostatni edykt lub podatki nałożone przez radę miejską. „W tych czasach człowiek ledwie zdoła wyżywić rodzinę, namiestnicy wyszarpną ostatni grosz, którego nie zgarnie Kościół”. Cała piątka grała palcami na nosie, naśmiewając się za ich plecami i robiąc poważne miny, gdy na nich spojrzano.

W dni targowe krążyli między straganami rozstawionymi na *mercato* jak banda niezdarnych trolli. Podszczypywali służące robiące sprawunki dla swoich pań lub narzekali na podłą jakość towarów. Widzieli przecież rzymskie targowiska, gdzie można było nabyć najlepsze produkty na świecie. Chociaż kuzynowie pobrzękiwali sakiewkami i dumnie pokazywali sztuki złota, nie chcieli trwonić grosza na tandetę.

Wyciągnięci z pałacu tymi samym dzwonami, które wzbudziły ciekawość Angela, Gaetani stanęli na końcu alei wiodącej na *mercato* w chwili, gdy on wyłonił się na drugim.

- To on, Roffredo! Garbus! - wrzasnął Benedetto. Niewiele myśląc, popędzili w jego stronę.

Angelo uniósł dłoń, aby osłonić oczy przed oślepiającymi promieniami słońca. Nie miał czasu, by zareagować. Osaczyli go, szarpiąc za ubranie i okładając pięściami ze wszystkich stron. Zaczął oddawać ciosy, dziko się kołysząc, lecz przeciwników było zbyt wielu. Upadając, złapał jednego za włosy. Zwolnił uścisk dopiero wtedy, gdy uderzył głową o bruk. Roffredo i kuzyni przyparli go do ziemi, a Benedetto wyciągnął zza tuniki sztylet.

- Przytrzymajcie go - rozkazał. - Wytnę mu „G” na policzku, aby mu wpoił szacunek dla naszego rodu.

- „G” jak *gnomo* - rzucił Roffredo. - Nie jest większy od karła.

- *Bastardi* - syknął Angelo przez zaciśnięte zęby. - Kundle, trzeba całej armii Gaetanich, aby utrzymać jednego Lorenziniego.

Ukłucie sztyletu zmusiło go do milczenia. Poczuł na brodzie ciepłą krew. Nagle Benedetto upuścił broń. Angelo usłyszał kroki - nie był to jednak odgłos skórzanych butów, jak przed atakiem Gaetanich, lecz tupot bosych stóp. W pośpiechu nadbiegła inna banda.

- Wybatożyć cesarskie świnie.

- *Viva Papà! Viva Innocente!*

Gaetani skoczyli na równe nogi i popędzili w stronę pałacu biskupa, czując na plecach uderzenia kamieni. Większość wybawicieli Angela kontynuowała pościg, omijając go, lecz dwaj stanęli, by się nad nim pochylić.

- Jesteś za papieżem czy cesarzem? - warknął jeden z nich.

- Za żadnym - wymamrotał na wpół ogłuszony Angelo, próbując opanować przeszywający ból z tyłu głowy. Jak echo powtórzył słowa nauczyciela, uczynił to jednak mniej delikatnie: - Obu mam za nic.

- Jest w porządku - stwierdził drugi. Wyglądził haftowany kaftan Angela, aby obejrzyć herb rodu. Przyjrzał się twarzy chłopca. - Masz czternaście lat? - zapytał.

- A co?

Drugi się uśmiechnął.

- To Angelo Lorenzini, dałbym głowę. Dorósł, lecz nadal jest mniejszy niż osłą mojego wuja.

- Lub wielki zad twojej siostry - wtrącił drugi.

- Słuchaj... nie mieszaj w to mojej siostry.

Angelo zmrużył oczy, patrząc na starszego z chłopców.

- Skąd mnie znasz?

- To prawdziwy *amico* - powiedział tamten do swojego towarzysza. - Nie minęło osiem lat od czasu, gdy jego ojciec wygnał mnie z domu, a już o mnie zapomniał. - Powiedziawszy to, pomógł Angelowi wstać. - Mario Boschi, do usług, *signore*.

Angelo otrzepał ubranie i przycisnął rękaw do rozcięcia na policzku. Rana nadal krwawiła, on zaś zajmował się nią równie troskliwie, jak krzyżowiec opatrujący kikut po odciętej kończynie.

- Mario, jesteś prawie mężczyzną - zauważył.

- Taak. Uczynimy cię podobnym, jeśli wstąpisz do naszej bandy. Wygląda na to, że kochasz ród Gaetanich równie gorąco jak my.

Angelo spojrzał na drugiego z chłopaków, który przypatrywał mu się z zaciekawieniem.

- Co to za banda? - zapytał Mario.

- Rycerze Ojca Świętego. - Przyjazne spojrzenie zastąpiła śmiertelna powaga. - Jeśli się

do nas przyłączysz, możesz mieć gdzieś stronnictwa. Przywykniesz do surowszych cięgów niż te, które dziś oberwałeś. Służymy sprawie papieża i przysięgliśmy oczyścić ulice ze wszystkich, którzy mu się sprzeciwiają. - Spojrzał na koniec alei, gdzie stał pałac biskupa. - Przez jakiś czas Gaetani będą siedzieli cicho.

- Dlaczego? - zaciekał się Angelo.

- Nie słyszałeś dzwonów, *amico*? Fryderyk nie żyje. Świniom odrąbano łby.

Angelo dochodził do siebie, gdy wrócili pozostali, mniej sympatyczni niż Mario.

- Co ty na to? - powtórzył nowy przyjaciel. - Chcesz zostać jednym z nas?

Doktor Bartolo wspomniał, że stronnictwa mają źródło w dawnych błędach. Cóż, miał teraz własną wendetę, o której musiał pomyśleć. Benedetto i jego kuzyni ze stronnictwa gibelinów zranili go, a obdarta drużyna gwelfów Maria przybyła z odsieczą.

- Tak - odrzekł. - I przypieczętuje przysięgę własną krwią. - Chcąc, aby ktoś zauważył jego ranę, dotknął palcem policzka i dramatycznie nakreślił rdzawoczerwony znak krzyża na piersi swej tuniki. Czyniąc to, pomyślał, że ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że syn sprzymierzył się z ulicznymi łobuziakami.

Mario uściśnął mu prawicę, spojrzął na pozostałych i oznajmił:

- Chodźmy, *amici*. Zanim Gaetani poskarżą się *guardia civile*.

Benedetto nie przestawał go nękać nawet w lochu. Przed wschodem słońca czarny mnich wyszeptał przez kratę:

- Bracie Angelo, ukryj pled. Za chwilę będziesz miał gościa.

- Zgaduję, że nie będzie to przyjaciel. Ktoś z ludzi papieża?

- Gorzej. Odwiedzi cię sam *Il Papà*. Przybył do naszego klasztoru późną nocą.

- To mi niespodzianka - wymamrotał pogrążony w półśnie Angelo. - Przyszedł napawać się zwycięstwem nad dawnym rywalem. Pewnie równą przyjemność sprawia mu oglądanie ruin Palestriny...

- Muszę już iść - przerwał strażnik, oddalając się w pośpiechu.

Angelo podniósł się i dotknął palców stóp, jak to czynił co rano, usuwając napięcie grzbietu i ścięgien pod kolanami. Wcisnął pled pod szatę, przepasując jedno i drugie sznurem. Wyrównał tunikę w okolicy pasa, zastanawiając się, czy Bonifacy nie pomyśli, że jego więzień jest zbyt dobrze karmiony. Następnie złożył skrawki pergaminu i pióro tak, by móc je osłonić własnym ciałem, gdy zjawi się papież.

Po chwili nad kratą pochyliła się twarz Bonifacego. Nie był już smukłym młodzieńcem z Todi. Wzdęto go niczym najeżkę, pomyślał Angelo.

- Jak się dziś miewa najmniej lubiany z mych poetów? - zapytał złośliwie papież. - Masz nowe wiersze dla „Margherity, która ślub bierze”?

- Czy ktoś je zamówił? Czyżby ponownie wychodziła za mąż?

Papież się roześmiał.

- Zapomniałem. Życie przechodzi obok, gdy człowiek siedzi w takim lochu. Szkoda, czasy bowiem są zaiste wspaniałe... dla papieżstwa i rodu Gaetanich.

- Nawiasem mówiąc, nigdy nie napisałem tej pieśni. Zasugerowałem jedynie kilka rymów. Jej przenikliwość przekracza mój prosty umysł.

- Nie będę się spierał. Gdybyś miał rozum karalucha, położyłbyś kres swej niedoli i zniknął w dziurze na odpadki. Aby zaspokoić twą ciekawość, dodam, że brat Jakub odbiera nagrodę za swoją pomysłowość w lochu braciszków pod San Fortunato. - Bonifacy przerwał, aby po chwili rzec: - Czy kiedykolwiek powiedziałem ci, co sędzę o owym pamflecie?

Brat Angelo zadumał się nad odpowiedzią. Kiedy spojrzął w górę, by przemówić, ujrzał, że papież rozpiną przód białej sutanny i zaczyna sikać do wnętrza celi. Zakonnik przywarł do ściany, by uniknąć kropel moczu rozpryskujących się o kraty. Kusiło go, by zawołać: „Przydałby się Waszej Świątobliwości większy sznur”, lecz zmilczał, nie chcąc pogarszać swojego położenia.

- Masz szczęście, że żyjesz, garbusie - mruknął Bonifacy, opuszczając sutannę. - Mogłem kazać, by cię spalono na stosie. Przejrzałem cię na wskroś, wybrałem jednak rozwiązanie wymagające więcej czasu. Nie obchodzi mnie, czy spłoniesz tutaj, czy w piekle... albo znikniesz w tej dziurze. - Prychnął na myśl o swym ostatnim żarcie i zniknął z oczu Angela.

Kiedy braciszek Angelo przestał się śmiać z ostatniej zniewagi papieża, znów ogarnęła go błogosławiona samotność. Zaczął krążyć wokół celi. Wizyta papieża wyprowadziła go z równowagi. Pragnął, aby jego wspomnienia były tak jasne jak letnia pogoda panująca na zewnątrz, by jego umysł wędrował łąkami słodkiej i spokojnej kontemplacji.

Okrążając dziurę, po raz pierwszy miał wrażenie, że ściany zaciskają się wokół niego. Spojrzął przez kratę na niebo, zastanawiając się, czy zaczyna stopniowo odchodzić od zmysłów, czy jest powoli, lecz nieodwołalnie wciągany w paszczę gehenny. Ujrzał jaskółkę zataczającą kręgi na nieskończonym błękitnie nieba.

Jedynym miejscem, w które nie chciał spoglądać, była dziura rozwarta pośrodku jego lochu. Bonifacy wzbudził w nim lęk tą insynuacją - lęk, który brat Angelo próbował ukryć przed samym sobą. Jakże łatwo byłoby się ześlizgnąć w otchłań, kładąc kres swemu ponuremu istnieniu.

Na szczęście nadszedł benedyktyn ze strawą, pomagając odsunąć na bok niepokojące myśli. Angelo wyjął z kosza codzienną rację chleba, ser i jabłko. Mnich, opuszczając dzban z wodą, wyszeptał pospiesznie:

- Jutro przekażę ci najnowsze wieści o Marghericie Aldobrandeschi.

Po rozstaniu z księdzem dołączyła do służki przy obrazie Dziewicy. Nella pochyliła głowę w modlitwie, lecz *donna Lucia* nie miała wątpliwości, że kobieta świadomie unika kontaktu wzrokowego. Przypuszczalnie klęczała przez cały czas, gdy jej pani szukała pocieszenia w małym pokoiku za zakrystią.

Donna Lucia opadła na kolana i pochyliła głowę, wpatrując się w stopy Dziewicy wsparte na półksiężycu. Przeżegnała się.

- *Madre Maria* - zaczęła - znów przychodzę do ciebie po przebaczenie i wstawiennictwo. Wiesz, jak głupią i szaloną kobietą byłam od czasu pogrzebu męża. Kiedy umarł, pragnęłam uwolnić miłość, którą tłumiłam w sobie przez te wszystkie lata. Jesteś kobietą. Potrafisz mnie zrozumieć. Wiesz, że okazywałam ją w sposób, który jest zakazany przez naturę i przykazania Kościoła. Nie ośmieliłam się wyznać księdzu, że zgrzeszyłam z synem we własnej sypialni. Bardzo się martwię o Angela. Rozpaczliwie potrzebował miłości i bliskości, którą go obdarzyłam. Chociaż nie rozmawiamy z sobą, potrzebujemy twojej pomocy bardziej niż kiedyś. Twoja miłość jest czysta, Madonno. Błagam... Strzeż go jak strzegłaś własnego boskiego syna. Osłoń go swym płaszczem. Boję się, aby jego pragnienia nie wyrządziły krzywdy jemu lub innym.

Wygładziła przód sukni, przesuwając dłoń po piersiach i brzuchu, tam gdzie przed chwilą błędziły ręce księdza. Była rozdarta między poczuciem winy a koniecznością podjęcia postanowienia.

- Oczywiście, Sanguigno udzielił mi rozgrzeszenia za to, co uczyniłam. Wykorzystał mnie, by zaspokoić własną pożyteczność. Wiem o tym, lecz nie mogę się na niego gniewać. W końcu jak każdy mężczyzna chętnie przyjmie to, co mu ofiaruję... Choć o tym nie wie lub nie go to nie obchodzi, ja również go wykorzystałam. Właśnie dlatego klęczę dziś przed tobą, Błogosławiona Matko. Wstaw się za mną u Boga. Już raz odpowiedziałas na moje modlitwy. Jeśli spełnisz jeszcze jedną prośbę, chociaż może się wydać grzeszna, obiecuję zmienić swoje dotychczasowe życie.

Wstała i znów się przeżegnała, a służąca powtórzyła jej ruchy. Zanim odwróciła się w jej stronę, *donna Lucia* spojrzała na promienną twarz Dziewicy.

- Niechże się to stanie jak najszybciej, droga Matko Boża - dodała. - Pozwól mi raz na

zawsze położyć kres tej niegodziwości.

Minęły cztery miesiące od czasu, gdy brat Sanguigno wygłosił swoją pierwszą homilię i ustał wielki deszcz. We wszystkie parne letnie popołudnia *donna* Lucia szukała schronienia w chłodnych zakamarkach kościoła San Fortunato. Doktor Bartolo kończył zajęcia, gdy na jego pozbawionym zmarszczek czole pojawiały się pierwsze krople potu. W wolne popołudnia Angelo wychodził z domu, aby ciskać kamieniami w gołębie szukające pożywienia na sennych miejskich *piazza* lub włóczyć się ocienionymi zaułkami z Mariem i jego bandą.

Rycerze Ojca Świętego mieli obsesję na punkcie rodu Gaetanich.

- Jedyny wróg, któremu można ufać, to martwy wróg - mówił Mario, gdy któryś z nich wspomniał o Gaetanich. Mało brakowało, a jego słowa by się spełniły. Pewnego dnia chłopcy leżeli na pochyłym dachu górującym nad wąską uliczką, kiedy w oddali mignął Benedetto z dwoma kuzynami.

Nie potrzebowali sygnału Maria. Każdy złapał tyle luźnych dachówek, ile zdołał. Kiedy młodzi szlachcice mieli już przejść pod nimi, jeden z chłopców wydał mimowolny okrzyk i zaczął się zsuwać w stronę krawędzi, dopóki Mario nie chwycił go za skraj tuniki. Inni się przestraszyli, gorączkowo pozbywając się amunicji. Gaetani w samą porę spostrzegli poruszenie, aby umknąć gradowi dachówek lecących w ich stronę. Chwilę później przybyli strażnicy miejscy, aby opatrzyć rannych i przywrócić porządek, lecz Rycerze dawno już uciekli po dachach sąsiednich kamienic.

Podczas mszy w następną niedzielę Angelo dostrzegł, że Benedetto ma na głowie cudaczny turban. Pomyślał, że to rewanż za szramę na policzku. Starszy chłopak przeszył go chłodnym, morderczym wzrokiem, nie mógł jednak dowieść, że Lorenzini brał udział w napaści.

Od czasu, gdy w mieście rozeszła się wieść o napadzie, Gaetani i inni szlachcice nie opuszczali swych pałaców. Rycerze Ojca Świętego spędzili resztę lata, wylegując się beczynnie i grając w kości. Kilku marudziło, że Mario wprowadził do ich bandy bogatego Angela, lecz gdy odkryli, że nigdy nie uprawiał hazardu i gotów jest podzielić się z nimi pieniędzmi, by zyskać przyjaźń, zapomnieli o dawnych skrupułach.

Grali w kości na małym podwórzu za domem, w którym mieszkali Mario i dwaj jego wujowie z rodzinami. Aby do niego dotrzeć, Angelo musiał pokonać labirynt uliczek tak wąskich, że było w nich miejsce jedynie dla obładowanego osła, nie wspominając o dwukołowej furze, czego świadectwem były odchody rozkładające się na ziemi. Z ich odorem

mieszała się woń zupy rybnej dolatująca przez otwarte drzwi. Leciwe domy wsparte na słupach i belkach pochylały się tak bardzo nad uliczką, że kroksztyny na balkonach górnych pięter prawie się stykały. Domostwa wspierały się wzajemnie niczym stare rodzeństwo. Jedyne sklepy w okolicy należały do właścicieli tawern, rzeźników, domokrażnych handlarzy ryb i garbarzy. Każdy z kupców handlujących mięsem wzbogacał wonią własnych produktów odór unoszący się w uliczkach. W tak cuchnącym miejscu nie trzeba się było lękać spotkania z gibelinami.

Poranki stawały się coraz chłodniejsze. Gąsienice skryły się w kokonach, a służący Angela powiększyli składzik na drewno. Odkrył, że swoją nieudolnością zapewnił członkom bandy nowe buty. Chociaż czasami udało mu się wykonać dobry rzut, zwykle nie uzyskiwał liczby oczek, która przyniosłaby mu wygraną, jego kamraci zaś rzucali podwójne szóstki, gdy tylko chcieli.

W większość wieczorów z domu wychodziła rośła dziewczka i stawała apatycznie za Mariem, obserwując grę. Przypatrywała się temu, co robią, z na wpół otwartymi ustami i dolną wargą opadającą na brodę. Skupiała swój gamoniowaty wzrok na Angelu, śledząc go sennym spojrzeniem malowanej lalki. Uśmiechał się i spoglądał w bok, lecz zawsze gdy podnosił głowę, ich oczy się spotykały.

- Nie gap się na nią i nie uśmiechaj - poradził jeden z chłopców. - W przeciwnym razie poprosi Maria, aby wyznaczył wam datę ślubu. - Chociaż dziewczyna musiała to usłyszeć, nie zareagowała. Mario gniewnie zmarszczył brwi.

- Nawet nie myśl, by ją wykorzystać, *amico* - rzucił. - Moja siostra jest bardzo naiwna.

- Nie spuszcza go z oczu, Mario - warknął inny chłopak, Sabatino. - Doprowadzi ją do zguby swoim słodkim oddechem, niczym pantera atakująca zdobycz.

- Racja, ten Angelo to pożądlivy centaur! - wykrzyknął Tonio. - Widzę to w jego rozbieganych oczach. Ma ludzkie oblicze, lecz pod tą zgrabną tuniką skrywa monstrualnego kutasa niczym ogier w rui.

Nawet Mario musiał się uśmiechnąć.

- Kim więc jest, kotem czy koniem? - zapytał.

- To odmieniec - odpowiedział Sabatino. - Sprośny Pan o nogach kozła. Lepiej nie wypuszczaj siostry z domu, gdy jest w pobliżu.

Angelo naciągnął kaptur na głowę, nie chcąc się wdawać w tę głupią rozmowę. Policzki mu płonęły. Nie daj Bóg, żeby się dowiedzieli, że nadal jest prawiczkim. Jestem odmieńcem, pomyślał. Zacząłem ten rok jako syn mojego ojca, a skończyłem jako małe dzieciątko mamusi. Teraz zaś uprawiam hazard z papistami i przegrywam!

Następnego ranka, w godzinie rozpoczęcia nauki, odkrył, że zmiany dopiero się rozpoczęły. Dokonała się w nim kolejna transformacja i doprowadziła do spotkania z bratem jego nauczyciela.

Rozdział piąty

W porze nauki doktor Bartolo przyprowadził obcego mężczyznę.

- Przez najbliższe miesiące będzie cię uczył Filippo - oznajmił. - Nie mogę być w dwóch miejscach równocześnie.

Angelo rzucił okiem na małomównego zastępcę i widząc, jak wlecze się przez komnatę, orzekł, że woli jego lewą nogę.

- Dokąd się pan udaje, doktorze? - zapytał chłopak.

- Zostanę w mieście, *signore*. To waszmość wyjedziesz. Czyżbyś nie wiedział? *Donna Lucia* oznajmiła mi, że jesteś wystarczająco dorosły, aby nadzorować żniwa i pełnić zimowe obowiązki w waszej wiejskiej posiadłości. Filippo uda się tam wraz z tobą, abys mógł kontynuować naukę.

Nie wierząc własnym uszom, Angelo wpatrywał się w Bartola z nieco mniejszą nonszalancją. Kiedy przemówił, jego głos przerodził się w zgrzytliwy jęk.

- Dlaczego? Jak długo mam tam pozostać?

Doktor Bartolo wzruszył ramionami.

- Służąca powiedziała, że *donna Lucia* źle się czuje, co pewnie sam zauważyłeś. Śmierć ojca zebrała swoje żniwo, wasza matka potrzebuje dłuższego odpoczynku. *Maestro Gastaldo* i *Monna Nella* zgodzili się, że łatwiej im będzie bez... dziecka w pobliżu. To ich słowa, nie moje, *signore*. - Na gładkim czole bakałarza pojawiły się zmarszczki. Ściągnął brwi, lecz Angelo nie znalazł dla niego odpowiedzi. Jego wyeksmitowanie nie miało nic wspólnego ze żniwami. Przynajmniej to było jasne. Od kiedy też był dzieckiem?

Milczący brat Bartola, który nie włączał się do rozmowy, zaczął zbierać książki i przewiązał je skórzanym pasem. Angelo zdziwił się nagłością tego działania. Chyba nie oczekiwali, że wyjedzie w tej chwili?

Wyjrzał przez drzwi. Na dziedzińcu, w pobliżu głównej bramy, dwaj słudzy ładowali kufer na dwukołowy wóz. Do pojazdu zaprzężono wołu, a przy sąsiednim słupie stajenny siodłał stępaka Angela i osła dla bakałarza.

Przez głowę przemknął mu rój pytań bez odpowiedzi. Gdzie jest matka? Nie dostrzegł jej. Czyżby nie przysłała się nawet pożegnać? Jak mógł przekazać wiadomość Mariowi? Przecież podróż jest niebezpieczna. Czy słudzący o tym pomyślał? Gdzie, u licha, jest *Gastaldo*?

- Mamy jechać bez zbrojnej eskorty? - zapytał, uznając, że jest to najpoważniejsze z

jego zmartwień.

- Będziecie ją mieli - odparł doktor Bartolo. - Dobrze strzeżona karawana kupców prowadzona przez *sior* Bernardonego z Asyżu wyrusza na północ. Filippo zna owego człowieka. Będziecie jechali z nimi aż do granicy wspólnoty. Powiedziano mi, że od tego miejsca do waszego zamku jest niecałe pięć kilometrów.

- Dlaczego nikt mi o tym nie wspomniał?

Bakałarz ponownie wzruszył ramionami. Na jego nijakiej twarzy pojawił się lekki uśmiezek.

- Powinieneś wiedzieć o tym lepiej ode mnie, *signore*.

Angelo przecisnął się między nauczycielami i zbiegł po schodach, wypadając na pusty podworec oświetlony jasnymi promieniami słońca. Zdawało się, że mury z piaskowca drwią z jego lęku, odbijając echem pospieszny, niespokojny tupot sandałów. Oddech Angela stał się płytki i przyspieszony, chociaż na dworze nie było duszno.

Spostrzegł służącą Nellę chowającą się w drzwiach - szukał kogoś, na kim mógłby wyładować swój gniew. Pogroził pięścią w jej stronę, mając nadzieję, że obserwuje go z mroku swojej kryjówki. Pewnego dnia wróć jako twój pan, przysiągł. Powrócę niczym echo najbardziej przeraźliwego z twych okrzyków.

Kobieta wyłoniła się, niosąc tobołek.

- Wasze śniadanie, *signore*. - Na odchodnym dodała z głębokim ukłonem: - Idźcie z Bogiem. Będę czekała na wasz bezpieczny powrót następnej wiosny. - Udała, że nie dostrzegła jego gestu.

Rozluźnił pięść i przyjął tobołek. W miejscu, którym rzekomo władał, nawet jego gniew nie miał mocy.

Kiedy wędrowcy opuścili podworec, Nella wróciła do zacienionego korytarza. Oparła dłoń na chłodnej, pobielanej ścianie i zaczęła drżeć na myśl o napadzie wściekłości, którego przed chwilą była świadkiem.

Tyle gniewu u tak młodego człowieka! Widok uniesionej pięści zranił ją. Położyła dłoń na piersi, starając się uspokoić bijące niespokojnie serce. Niedawno stracił ojca, a teraz matkę! Mimo oddania *donnie* Lucii czasami, szczególnie ostatnio, nie potrafiła zrozumieć postępowania tej kobiety. Chłopiec miał prawo czuć złość.

Podniosła głowę, widząc panią nadchodzącą z drugiego końca korytarza.

- Pojechali? - zapytała.

- *Si, madonna*. Przed chwilą.

- Pytał o mnie?

Spuściła głowę.

- Nie, pani. Sprawiał wrażenie... zaszokowanego...

- Musiało tak być - powiedziała *donna* Lucia. - Mnie także jest trudno.

Nella skinęła głową.

- Czy mam się przygotować, aby pójść z panią do San Fortunata?

Twarz *donny* Lucii rozpromienił nieoczekiwany uśmiech.

- Nie, Nello. Nie będziemy już musiały tam chodzić. Jeśli czujesz potrzebę modlitwy, możemy uklęknąć przed krucyfiksem w naszej domowej kaplicy.

- Tak - skinęła głową. - Powinnyśmy się pomodlić za hrabiego Angela, aby odzyskał spokój, gdy dotrze do zamku.

Brama miasta rozwarła się ze zgrzytem i Angelo wyjechał przez nią. Za nim podążali ciągnięta przez wołu fura z jego dobytkiem i nowy bakalarz kiwający się na osle. Powietrze poza murami pachniało jesienią, było rześkie i przyprawiające o dreszcz. Żadnego dymu, żadnej przykrej woni wypełnionych odpadkami ulic, żadnego smrodu ludzkich i zwierzęcych odchodów. Nie był to jednak jego dom.

Kupiec i jego ludzie oczekiwali na targanym wiatrem wzgórzu. Mężczyzna marszczył brwi w porannym słońcu, pragnąc najwyraźniej czym prędzej wyruszyć w drogę.

Szarpnął konia i spojrzął w ich stronę, unosząc w siodle tłuste siedzenie i spinając zwierzę, by dołączyć do spóźnionych wędrowców. Zbliżając się do Angela, burknął:

- Co z ciebie za Lorenzini?! Chudy jak wilcze szczenię.

Jego szyderczy uśmieszek mówił: „Nienawidzę szlachty. Nie będę cię tytułował *signore*, dopóki sobie na to nie zasłużysz”. Angelo odwrócił głowę. Nadal był oszołomiony nagłym wyruszeniem w drogę, zbyt pochłonięty własnymi myślami, aby przejmować się słowami kupca, który próbował go zastraszyć.

Na widok nauczyciela nieznamomy zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Miło znów cię widzieć, Filippo.

Bakalarz skłonił głowę. Wreszcie przerwał milczenie, przedstawiając ich sobie.

- *Sior* Bernardone, to mój młody pan, hrabia Angelo Lorenzini. Tuszę, że znasz jego ród - rzekł, podobnie jak chłopak ignorując sarkazm kupca.

- Majątek znajduje się niedaleko Asyżu - wyjaśnił Bernardone.

Dał znak wozom i jucznym mułom oraz zbrojonej eskorcie. Kiedy ruszyli, ponownie zwrócił się do Angela.

- Nazwałem cię wilczym szczeniciem z powodu twego dziadka - wyjaśnił. - Nazywaliśmy go *Il Lupo*. Ten drapieżca potrafił wzbudzić lęk! W dzieciństwie ojciec opowiadał o nim, aby nas przestraszyć i skłonić do posłuchu. Powiadano, że stoczone boje utworzyły istną mapę na jego obliczu: miał płaty skóry zamiast uszu, rozciętą wargę, płaski czerwony nos i bliznę od miecza sięgającą od skroni po brodę. Podobno jego wrogowie, a przynajmniej ci, którzy zdołali przeżyć, prezentowali się znacznie gorzej. Przynajmniej tak mówiono. Pozostawił wiele blizn od bata na grzbietach swoich kmieciów, pozbawiając ich majątków i plonów. Prawdziwy stary tyran! - przerwał, aby po chwili dodać: - Krąży legenda, że pewnej nocy zwyczajnie zniknął w lesie i od tego czasu nie widział go żaden śmiertelnik. Możesz ją słyszeć?

Przyjrzał się chłopcu, próbując odgadnąć jego reakcję. Angelo trwał w milczeniu, więc kupiec wrócił do przerwane go wątku:

- Kiedy twój *papà* przeniósł się do miasta, czuliśmy się tak, jakby ktoś wytrzebił całą watahę wilków. Dzisiaj wycie Lorenzinich budzi nie większe przerażenie niż gruchanie dolatujące z gołębnika. - Kupiec zarechotał z własnego żartu, lecz chłopiec i tym razem pozostał obojętny. - Mój ojciec przyjął to z radością - ciągnął Bernardone. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że przemawiał do samego siebie. - Nie kochał dawnej szlachty podobnie jak ja, czego się zapewne domyślasz. Wiem, że już niebawem wyświadczyście mi łaskę. Ujrzę, jak wasz stary świat ustąpi miejsca nowemu. Widzę nadciągające zmiany, chłopcze. Ludzie tacy jak twój ojciec przenieśli się do miasta, aby złapać wiatr w żagle, a ich chłopci uciekają z wiosek i terminują w gildiach. Pomyśl o tym, gdy będziesz zwiedzał swoje lenno.

Gdy zaczęli wjeżdżać na kolejne wzgórze, oczy kupca wypatrzyły ścieżkę wiodącą w dół do dorzecza Tybru, a następnie do Asyżu i jego domu.

- Jeszcze dzień i będziemy na miejscu - rzucił.

Po chwili posmutniał i zwrócił się do bakałarza:

- Doktorze Filippo, jesteś poetą. Czy na miotanym wiatrami wzgórzu nie stajesz się podobny do anioła z nagrobnej płyty, z nalotem na skrzydłach i wargach, otworami miast źrenic, strzegącego pozbawionych ducha szczątków tych, którzy odeszli? Tam w dole, za doliną wyłobioną przez rzekę, moi przodkowie wędrowali pełni wzniosłych dążeń. Dziś ich nagrobne kamienie obracają się w ruinę, padając obok ideałów, jak pobielełe kamienie w łożysku rzeki.

Na jego policzki wystąpiły rumieńce. Wskazał niebo, jakby dyrygował chórem obłoków.

- Powinni zostawić ich w pokoju! - wykrzyknął w stronę nieboskłonu.

Opuścił ręce, poruszając nimi jak ptak szybujący w słabnącym powiewie.

- Powinni ich zostawić w pokoju! - powtórzył. - Zamiast na siłę przyrównywać do obłąkanych fanatyków religijnych, którzy czystym zbiegiem okoliczności wyszli z tych samych łądźwi.

- Ach, sądzę, że mówisz o swym bracie, świętym Franciszku - wtrącił bakałarz.

Bernardone skinął głową.

- Udana podróż zakończyła się katastrofą! Ostatniego dnia targu w Provins wręczono mi to.

Sięgnął do torby przy siodle i wyciągnął oprawioną w skórę księgę.

- To dar od kupca z Katalonii. Powinieneś być widzieć, jak chytrze łypał okiem, gdym ją rozpakowywał. Nie sądzę, aby miał przyjazne zamiary.

Powiedziawszy to, wręczył księgę bakałarzowi.

- Kolejna legenda o mym sławnym bracie, którym pogardzam z całego serca. Kolejny wkład, który wniósł do mozołu całej reszty naszego rodu, jak inni śmiertelnicy zmuszonego do zarabiania na życie.

Na karmazynowej szyi kupca wystąpiły żyły, pulsując tak, jakby za chwilę miały pęknąć.

- Kości Franciszka od dwudziestu lat spoczywają w Asyżu, lecz głupcy tacy jak ów autor nie przestają ich rozgrzebywać. Czczą go kosztem rodziny, używając nas jako nikczemnego tła jego świętej pobożności. Ojciec mój, który trudził się przez całe życie, aby zostać najbogatszym obywatelem Asyżu, przedstawiony został jako człek opętany miłością do mamony i mistrz oszustw. To sprawia, że krew się we mnie gotuje! Pokazałbym owemu nędznikowi prawdziwe zło, gdyby się tu zjawił. Otwarłbym mu pierś, wydarł szkalujące, wypełnione jadem serce i nakarmił nim, plasterek po plasterku, ryby tam w dole.

Doktor Filippo zwrócił księgę naburmuszonemu kupcowi.

- Interesy poszły dobrze? - zapytał spokojnie.

Kupiec odetchnął głęboko, zanim odpowiedział.

- Całkiem, całkiem - odparł. - Wyprawa do Provins zakończyła się powodzeniem. Wymieniłem wełnę na przednie tkaniny, które wiozę na tych wozach. Szkoda, że nie jesteś żonaty, Filippo. Mam jedwabie tak cienkie, że ledwie skrywają delikatną kobiecą skórę, nadto haftowane brokaty, czarny wyszywany aksamit. Piękne tkaniny! Jedna w drugą! Zamówiłem kolejne u kupców z Flandrii, Normandii i Brabancji na przyszłoroczne targi w Szampanii.

- Znakomicie. Moje gratulacje. A jak sama podróż?

- Przebiegła spokojnie. Kiedy przekraczaliśmy Alpy, nie było śniegu, więc zwierzęta

juczne bez trudu przeszły lodowiec. Nie straciliśmy ani jednego. Nawet myto nałożone przez przewoźników i kasztelanów, których ziemie przekraczaliśmy, nie było wysokie. - Spojrzał badawczo na Angela i dodał: - Choć wielce irytujące.

Chłopak poczuł wilgoć na policzkach, lecz nie wywołały jej narzekania Bernardonego. Słuchając trajkotania kupca, przypomniał sobie słowa zapamiętane z ostatniej lekcji.

- Chłopcze, czemu pochlipujesz jak *bambina*? - zapytał Bernardone. - Czyż człek nie może powiedzieć, co czuje?

Młodzieniec otarł policzki koniuszkami palców.

- *Mi scusi!* Moje łzy nie mają związku z pańskimi słowami, *signor* Bernardone. Przypomniałem sobie fragment z Boecjusza.

Mężczyzna parsknął.

- Boecjusza? Czytujesz jego księgi? Ha! Niepiśmienny wilk musi przewracać się w grobie, gdziekolwiek leży jego ścierwo.

Po chwili dodał bardziej melancholijnie:

- Muszę przyznać, że pewnego razu zapragnąłem, aby przeczytać jego księgę, mam jednak zasadę, którą stosuję gdy najdzie mnie jakaś pokusa. Czując je, zadaję sobie pytanie: „Co przez to zyskam?”. Jeśli nie mogę dostrzec zysku, pragnienie przemija. Do tej pory zawsze tak bywało z waszymi filozofami.

Spiął konia i krzyknął przez ramię:

- Zobaczmy, czy zdołacie nadążyć. Straciliśmy dwie godziny, nie mogę sobie pozwolić na dalszą zwłokę z powodu waszego woźnicy.

U podnóża wzniesienia ścieżka łączyła się z szerszą drogą biegnącą wzdłuż rzeki. Filippo przynaglił osła i zaczął jechać obok chłopca.

- Jaka wypowiedź Boecjusza tak cię zasmuciła, *signore*? - zapytał.

Pytanie to zdumiało Angela. Do tej pory bakałarz nie przemówił do niego ani słowem i sprawiał wrażenie obojętnego na jego los. Nie był przygotowany na łagodną delikatność wyczuwalną w jego głosie, tak niepodobną do irytującego biadolenia, które doktor Bartolo wplatał w swe przemowy.

Przyjrzał mu się uważnie i dostrzegł inne różnice: szczupłą, żyłastą sylwetkę, brązową skórę świadczącą o częstym przebywaniu na powietrzu, czujne źrenice ogara, zmarszczki w kącikach oczu spowodowane ich mrużeniem, gdy świeciło słońce, oraz bruzdy na czole, których nie widywał u Bartola. Skóra jego twarzy przypominała wysuszony pergamin.

Nagle zacytował z pamięci:

- „Najbardziej nieszczęśliwą ze wszystkich przeciwności jest bycie szczęśliwym”.

Bakałarz położył palce na ustach.

- Hmm. Powiadają, że trudniej znaleźć człowieka szczęśliwego niż białego kruka. Sądziłem, żeś był szczęśliwy w Todi?

- Tak mi się zdawało.

- Żałujesz, że musiałeś opuścić miasto?

Angelo pochylił się do przodu, głaszcząc kark swojego wierzchowca.

- Mam tam przyjaciół. Nawet nie zdążyłem się z nimi pożegnać. Powinienem czuć się nieszczęśliwy z powodu wyjazdu, lecz teraz, gdy zadałeś to pytanie, nie jestem pewien. Tyle się zmieniło od śmierci *papà*.

Nauczyciel zmarszczył pergaminową skórę wokół brązowych oczu.

- Ja również nie jestem tego pewien, synu. Wiele wycierpiałeś w ciągu ostatniego roku.

Doktor Filippo spojrział za siebie, w kierunku miasta. Nieśmiały uśmiech zakradł się na twarz chłopca, gdy odwrócił się w siodle, podążając za myślą bakałarza.

- Zostawiłeś za sobą splątany gąszcz - ciągnął Filippo. - Sugeruję, abyś skupił myśli na polanie, która jest przed nami. W mieście nawet potężne rody podlegają władzom miasta i *guardia civile*. W zamku będziesz mógł być sobą, dysponować całą wolnością i odpowiedzialnością, która idzie z nią w parze. To duże wyzwanie, jak na twój wiek. Czeka cię poważny sprawdzian.

Bakałarz przechylił głowę i wpatrywał się w Angela z siodła chybotającego na oślim grzbiecie.

- Niektórzy z najsilniejszych, najbardziej interesujących ludzi, jakich poznałem podczas moich podróży, dorastali bez rodziców. Od najwcześniejszych dni musieli polegać na samych sobie. Teraz ty otrzymałeś szansę. Jeśli mam być szczery, *signore*, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy, pomyślałem o młodym zwierzęciu czekającym, aż wyprowadzą je z jaskini na światło.

Angelo nie odpowiedział, zastanawiając się nad poprzednią uwagą. Słowa bakałarza obudziły w nim niepokój związany z nowymi obowiązkami. Filippo nazwał wiejską posiadłość „polaną”, ale on wiedział, że jest jeszcze bardzo młody. Wiedział, że będzie musiał polegać na rządcy Urso. Wiedział, że to człowiek zacny i spolegliwy, bez reszty oddany jego ojcu.

Filippo zasugerował zmianę tematu rozmowy:

- Chciałbyś poznać innych towarzyszy podróży? Może znajdą się wśród nich ludzie, z którymi przyszły notariusz będzie prowadził interesy.

Angelo wrócił do rzeczywistości.

- Chyba tak - odrzekł powoli, po chwili milczenia.

- Naprawdę chcesz zostać notariuszem? Brat wspominał, że przygotowywał cię do tego fachu.

- Nie mam żadnych pragnień - odpowiedział Angelo. - Zawsze czyniłem, co mi kazano, podobnie jak teraz. - Przynaglił stępaka do szybszego chodu. - Naprzód, poznajmy naszych kompanów, doktorze.

Rozdział szósty

W środkowym wozie nie było żadnych towarów. Drewnianą podłogę wyścielały futra, na których niczym żabka przykucnęło dziecko, bawiąc się stosem monet. Chłopiec łypnął podejrzliwym okiem na przybyszów, przysuwając monety bliżej stóp.

Filippo pochylił się do przodu i zapytał z poważną miną:

- A cóż to za dziwo? Musisz być synem *sior* Bernardonego.

Dziecko uniosło głowę.

- Jestem najstarszy.

- Ile masz lat?

- Sześć.

Filippo mrugnął porozumiewawczo do Angela.

- Pora, abys zaczął pracować u ojca. - Po chwili zapytał: - Jak masz na imię, młody kawalerze?

Chłopiec uniósł dumnie brodę.

- Dante di Angelo di Pietro Bernardone. - Wyprostował się, recytując swój rodowód.

Filippo skłonił się na swym drewnianym siodle.

- Jestem prostym bakalarzem, *sior* Dante. A to mój pan, *signore* Angelo Lorenzini. Nosi to samo imię co twój ojciec.

Chłopiec przez chwilę przypatrywał się młodzieńcowi, po czym odwrócił głowę.

- Mój *papà* nienawidzi szlachty, więc i ja ich nienawidzę. Pobierają od nas myto za przejazd przez ich ziemię.

- Słyszeliśmy o tym - przytaknął Filippo. - Mają do tego prawo - dodał lojalnie. - Powiedz mi, czy potrafisz policzyć pieniądze, które tu trzymasz?

Chłopiec spłonął rumieńcem.

- Umiem liczyć tylko do dwudziestu - wyznał.

- To doskonale. Miewałem uczniów dwa razy starszych od ciebie, którzy nie potrafili zliczyć do dziesięciu. Ile z tych monet znasz? - Sądząc po kształtach i godłach wybitych na monetach, kupiec prowadził interesy z przeróżnymi ludźmi.

Pytanie Filippa sprawiło, że twarz Dantego się rozpromieniła. Zaczął układać monety na futrze, tłumacząc, skąd pochodzą: dukat apostolski, saraceński bizant, neapolitańskie carlino, funt z Lukki, saraceńska drachma, sycylijska augusta...

Bakalarz roześmiał się i uniósł rękę.

- Wystarczy! Gdybym był kupcem z Asyżu, wziąłbym cię jak raz do kantoru. *Addio, sior Dante*. - Skłonił się chłopcu ponownie. - Chodź, *signore* - powiedział do Angela. - Dołączmy do jego ojca, póki droga jest jeszcze dość szeroka. Wykorzystajmy okazję. Może w tym czasie humor mu się poprawił.

Braciszek Angelo był zdumiony i ubawiony, słysząc śpiew mnicha, który przyniósł mu kosz z jadem. Co tego człowieka opętało? - pomyślał. Roześmiał się na głos, gdy usłyszał słowa:

*Panna Aldobrandeschi Margherita
niż Bóg bogatsza, gdy kto zapyta,
co mnóstwo lasów, winnic i łąk miała,
Gwidona z Montfortu poślubiła i owdowiała...*

- Słyszałem tę pieśń na ulicach Rzymu, lecz nigdy w klasztorze - powiedział, gdy za kratą ukazała się twarz benedyktyna. - Czyżby zniesiono regułę milczenia?

- Dziś dzień Wniebowzięcia - odparł tamten. - Wszyscy przyłączyli się do chóru. Ich śpiewy wkrótce zagłuszą mój żaloszny tenor. Wiesz, kiedy zaczęła się historia owej Margherity?

- Kiedy? Jeśli mnie pamięć nie myli, około roku tysiąc dwieście osiemdziesiątego czwartego, gdy jej bogaty *papà* poszedł po swoją nagrodę do nieba. Zostawił córce fortunę, głównie w postaci ziemi na nizinie Kampania, w okolicach Rzymu. Zalotnicy otoczyli ją jak psy ścigające lisa, lecz Gwidon de Montfort ubiegł wszystkich.

- I wkrótce potem zszedł z tego padołu? - domyślił się mnich.

- Niestety. Pojmali go ludzie Piotra Aragońskiego i umarł w więzieniu w Palermo. Młoda wdowa była niepokieszona. Pod nieobecność męża żyła z miejscowym szlachcicem, którego poślubiła na wieść o śmierci Gwidona.

- Ten też umarł? - zaciekawił się mnich.

- Właściwie nie. Większość nie wie, kim był, a przynajmniej nie ci, którym w głowie było jedynie powiększanie majątku. Następny ruch należał do naszego umiłowanego papieża, wówczas kardynała Gaetaniego. Papież Mikołaj w zamian za dawne przysługi uczynił go strażnikiem Margherity. Klasyczny przykład łasicy w kurniku. Ten bez wątpienia zacierał ręce, zamierzając ożenić z nią swojego brata Roffreda. Stała się jednak zabawna rzecz. Zanim zdołał cokolwiek uczynić, opiekę nad niewiastą przekazano kardynałowi Napoleone

Orsiniemu, który bez zwłoki wydał ją za swego brata, Orsella.

Po krótkiej przerwie Angelo wrócił do smętnego wątku opowieści.

- Niestety, młoda dama i tym razem nie miała szczęścia, lecz jeszcze mniej miał go nowy małżonek, Orsello Rosini, który zmarł w dziwnych okolicznościach w ciągu zaledwie jednej nocy. Podejrzewam, że podsunęli mu truciznę. Margherita została ponownie wdową, jeśli zapomnieć o owym drobnym szlachcicu... co, jak mniemam, wszyscy uczynili.

Mnich podniósł kratę i opuścił koszyk. Angelo wyjął jadło i odłamał kawałek chleba, kontynuując opowieść.

- Na krótko przedtem, zanim zostałeś mym gospodarzem, nasz przyjaciel, Benedetto, obecny papież Bonifacy, zdołał wydać Margheritę za swego brata. Roffredo, wówczas dobiegający osiemdziesiątki, miał irytującą przypadłość polegającą na traceniu żon w rozmaitych tajemniczych okolicznościach, zwykle z powodu tyfusu, który jakimś cudem omijał pozostałych domowników. Oczywiście na odchodnym każda z tych nieszczęśnic, czyniła go bogatszym, niż był wcześniej. - Nagle zmroziła go niepokojąca myśl. - Mam nadzieję, że Margherita nie dołączyła do chóru owych męczennic.

- Na szczęście, nie - odparł mnich. - Z tego, co mi powiedziano, wnoszę, iż miała szczęście. Papież chciał, aby Roffredo poślubił hrabinę Fondi, więc unieważnił jego związek z Margheritą.

- Unieważnił? Na jakiej podstawie? - zdziwił się Angelo.

- Jak to jakiej? Przecież już była zamężna. Ze szlachcicem, o którym wspomniałeś. Po ośmiu latach oraz jej związku z Orsellem i Roffredem papież przypomniał sobie nagle, że Margherita była przez cały czas żoną innego. Zwrócił ją więc prawowitemu małżonkowi, a Roffredo jest teraz hrabią Fondi. Gaetani są właścicielami większości rzymskiej Kampanii i podobno dybią na Umbrię.

Braciszek Angelo zachichotał.

- Jestem rad z powodu dziewczyny. Może zdoła dożyć końca swych dni u boku ukochanego. Jeśli zaś chodzi o tych obżartuchów Gaetanich, przestało mnie obchodzić, co robią.

Spojrzał w górę na benedyktyna, który zamykał kratę na kłódkę.

- Dziękuję ci, bracie. Myślę, że rozmawialiśmy dziś dłużej niż przez wszystkie dni, które tu spędziłem. Czy to już dwa lata?

- Ponad. Za kilka miesięcy będziemy świętowali nadejście nowego wieku.

- Trudno przewidzieć, co się zdarzy. - Więzień rozłożył ręce w geście bezradności. - Pięćdziesiąt lat temu świat wydawał mi się taki obiecujący.

Mimo początkowego opóźnienia podróż przebiegała spokojnie. W południe nastrój *sior* Bernardonego nieznacznie się poprawił. Może uświadomił sobie, że zamożna wdowa Lorenzini mogłaby zostać jego klientką po tym, jak zrzuciła żałobne szaty. Dał to do zrozumienia jej synowi. Obiecał też, że przedstawi młodego szlachcica swojemu notariuszowi w Asyżu, który pomoże mu zdobyć własnych klientów, gdy otworzy praktykę w Todi. W pewnym momencie pochwalił nawet Angela za skrytość.

- Od początku uznałem cię za twardego gnat do zgryzienia - oznajmił. - Okazało się jednak, że zostało na nim trochę mięsiwa.

Kolumna wozów podążała bez przeszkód doliną Tybru z dala od lasów, w których czaiło się wiele niebezpieczeństw. Późnym popołudniem dotarli do granicy ziem Todi, Perugii i Asyżu, u styku Tybru i Chiagio.

Kupiec zwrócił się do towarzyszy podróży:

- Dotarliśmy do rozstaju dróg, *amici*. Kiedyś prowincje oddzielały rzeki, lecz mieszkańcy Perugii byli nienasyчени, niech piekło pochłonie ich chciwe dusze. Takim nigdy dosyć! Zajęli wioski po stronie Tybru należącej do Asyżu i uznali równinę za swoją własność. Gdybyśmy w dalszym ciągu jechali przed siebie, moja straż nie zdołałaby pewnie powstrzymać rabusiów. - Wskazał na prawo. - Bezpieczniej będzie przejść przez te wzgórza, lecz wówczas znajdziemy się w lesie o zachodzie słońca i będziemy narażeni na wszelakie niebezpieczeństwa.

Mężczyźni próbowali rozwikłać ten dylemat.

- Jeśli hrabia Capitanio jeszcze dycha, mam sprzymierzeńca na tych wzgórzach - dodał.
- Wystarczy, że nasze wozy dotrą do Coldimezzo. Właśnie tak starzec nazwał tę nędzną namiastkę twierdzy... „środkowe wzgórze”.

Podjąwszy decyzję, dał znak i karawana ruszyła wyżej. Przez dwie następne godziny zwierzęta juczne i woły mozoliły się pod ciężkim brzemieniem, ciągnąc za sobą coraz dłuższe cienie kładące się na zboczach, poganiane przez przeklinających woźniców. W końcu dotarli na polanę pod walącymi się murami i ziemnym obwałowaniem twierdzy. Z lasu, który opuścili, doleciało ich pierwsze pohukiwanie sowy. Pomarańczowe ślepia leśnych zwierząt łapały w zaroślach.

Kupiec wskazał dziurawy mur.

- Szczerbaty jak sam Capitanio. Kiedy mnisi wznieśli bazylikę, by złożyć w niej szczątki mego brata, hrabia stał się człowiekiem pobożnym i darował kamienie z muru na budowę kościoła. Później nie chciał go odbudować. „Jestem teraz pod ochroną świętego

Franciszka”, oznajmił. „Na co mi kamienne mury?”. Myślę, że było to raczej spowodowane brakiem zainteresowania ze strony lokalnych *banditi*. A może Bóg zapomniał o ich istnieniu i zostawił to miejsce w spokoju.

Kiedy zbliżyli się do zamku, z krzaków wynurzyli się dwaj mężowie ciągnący kłodę przez drogę. Kupiec zmarszczył brwi, gdy strażnicy zaczęli podnosić kratę. W promieniach zachodzącego słońca ruszyła ku nim gromadka konnych. Jeden policzył zwierzęta juczne, a następnie skierował rumaka w stronę *sior* Bernardonego.

- Pięć soldów, kupcze, za korzystanie z naszej drogi - oznajmił.

- Jakiej drogi? Widziałem lepsze kozie ścieżki - oburzył się kupiec. - Kto jest panem na zamku?

Nieznajomy uniósł przyłbicę i wykrzyknął:

- Ach! To ty, Bernardone! Szczęściarz z ciebie. Każdego dnia ojciec śpi coraz dłużej, nadal jednak dycha. - Dał znak kmieciom, by usunęli kłodę. - Nie oczekuj żadnych przywilejów, kiedy Guido i ja zaczniemy tu władać.

- Nie wściekaj się na mnie, Buonconte. Pokonałbym was obu, szczeniaki, jedną ręką. - Spojrzał w ciemniejące niebo. - Szczerze mówiąc, liczyłem na waszą gościnność dzisiejszej nocy. Wyruszyliśmy późno z Todi. Eskortujemy młodego sąsiada waszmościów do jego zamku. - Wskazał głową chłopaka: - To syn Iacobella Lorenzini. Dasz mu zbrojnego lub dwóch, aby bezpiecznie przebył resztę drogi?

Hrabia Buonconte przyjrzał się młodzieńcowi, poklepującemu swojego drobnego stępaka, jakby trzymał czarodziejską różdżkę.

- Dziedzic? - mruknął, wydając niski gwizd.

- Wygląda na przyzwoitego młodzieńca, chociaż jest mizerny jak drzewce strzały.

- Tak sądzisz? - Hrabia mruknął porozumiewawczo. - Babcia powie nam, co z niego za ziółko. - Objechał na wysokim rumaku juczne muły, zbliżył się do Angela, skłonił się i wyciągnął dłoń.

- Witaj, *signore*. Jestem Buonconte di Capitanio. Zaszczyc nas swą obecnością na wieczornej uczcie. Brat mój, Guido, wrócił właśnie z wyprawy krzyżowej króla Ludwika. Zapowiada się noc opowieści i pieśni.

- To ja czuję się zaszczycony, *signore* - odparł młodzieniec, odwzajemniając ukłon. W ten oto sposób, ciepło przyjęty hrabia Angelo Lorenzini, ostatni *signore* Torre del Lupo, Wieży Wilka, rozpoczął swój pobyt na wygnaniu.

Gdy *donna* Lucrezia pojawiła się na uczcie w wielkiej sali, zamek ogarnęły ciemności.

Szeleszcząc czarnym atłasem, starucha pokuśtykała na swoje miejsce u szczytu stołu. Angelo wytrzeszczył oczy i posunął się najdalej, jak mógł, by zrobić jej miejsce. Spojrzała na niego badawczo.

Ich ława była oddzielona od środkowych siedzisk, gdzie sługa karmił zupą ostatniego z żyjących synów owej niewiasty, hrabiego Capitania. Buonconte dzielił swój talerz z narzeczoną, a Guido ze swą żoną. Guido opisywał właśnie zajęcie egipskiej Damietty.

- Rozłożyliśmy się obozem, otoczeni przez Saracenów od strony lądu. Król Ludwik rozkazał, abyśmy się wycofali, lecz odnieśliśmy wrażenie, że nieprzyjaciel bada jedynie naszą siłę. Jeden z rycerzy, Gautier d'Autheche, przywdział zbroję i dosiadł konia w swym namiocie. Jego ludzie wzniesli okrzyk i rozsunęli poły, ten zaś ruszył, niepilnowany, w stronę Turków. Nikt z nas nie wiedział, że poganie dosiadają klaczy. Ogier Gautiera uznał, że zmiana obozu leży w jego interesie, i zrzucił swego pana na ziemię. Rycerz leżał na plecach, nie mogąc wstać z powodu zbroi, a przejeżdżający obok Saraceni zadawali mu maczugami jeden cios za drugim. Kilku naszych ruszyło z odsieczą i zaciągnęło go do namiotu. Chirurdzy uznali, że nie grozi mu śmierć, i upuścili krew z obu ramion, tak bowiem leczą wszelkie dolegliwości. Rano Gautier nie żył. Jak się pewnie domyślicie, Jego Wysokość był bardzo rozczarowany. Rzekł, że mimo całej odwagi Gutiera nie chciałby nawet tysiąca takich jak on, rycerz bowiem sprzeciwił się jego wyraźnym rozkazom.

Stara *nobildonna* zignorowała Guida, przenosząc wzrok z głównego stołu na licznie zebranych gości.

- Czyżby Buonconte brał dziś ślub? Czemu nie zbudziliście mnie na ślub? - wymamrotała.

Chociaż nie wypowiedziała tych słów do niego, Angelo pospieszył z pomocą:

- Większość z nas to przejezdni wędrowcy, *signora*. To nie jest uczta weselna.

Spojrzała na niego.

- Powiedziano mi, że będę z tobą wieszerała. Jesteś przedstawicielem czwartego pokolenia wilczego rodu, z którym dzielę talerz. - Przenikliwy wzrok staruchy wprawił Angela w zakłopotanie. - Czemu wcześniej się na mnie gapiłeś, dziecko? - zapytała. - Jesteś jak tamci, zawsze wytrzeszczają gały i rozdziawiają usta. Masz mnie za wiedźmę? Wieśniacy tak uważają. Czy przypominam czarownicę?

Kiedy milczał, nie wiedząc, co rzec, pokręciła zdecydowanie głową.

- Człowiek sztywnieje z wiekiem - rzekła. - Wysychamy jak trzcina, szumimy poruszani kapryśnymi wiatrami. Mamy jednak szczęście, otrzymujemy bowiem coś w zamian. - Popukała się palcem w skroń. - Rozumiemy naturę rzeczy.

Kiedy starucha paplała, Angelo obserwował panujące wokół zamieszanie. Kucharz z kuchcikami wnosili jedno danie za drugim. Pod koniec uczty w przeciwległym końcu sali trupa minstreli przystąpiła do strojenia instrumentów. Bębenek zaczął wybijać miarowy rytm, a po chwili przyłączyły się do niego fletnia Pana, dwie lutnie i donośny bas:

*Serce przenika radosny żar,
Gdy widzę zamki obleżone,
Zwalone blanki, rycerzy trupy,
Luzem chodzące konie...*

Donna Lucrezia skrzywiła się z niesmakiem.

- To nieprzyzwoite, śpiewać pieśni Bertranda de Borna na uczcie weselnej - mruknęła.

*Radość ogarnia duszę mą,
Gdy słyszę „naprzód na wrogi”,
Krzyki bóleści, głośny jęk,
Oręża szczęk złowrogi.*

*Wielcy i mali martwi leżą,
W rowach i trawy gęstwinie.
Panowie, zastawcie włóści swe,
By na wojny iść zwycięskie!*

Spojrzała rozpromieniona na Guida - rosnącego krzyżowca, który skoczył na równe nogi i począł zagrzewać grajków.

- Cały on! Raduje się rozlewem krwi w noc weselną własnego brata. Znałam wielu takich jak on... ukształtowanych pięścią, wypolerowanych kilofem. Jest gwałtowny jak jego niemiecka matka. Wpoiłam moim synom żarliwą wiarę.

Pewnie przypomniała sobie, że Iacobello Lorenzini poślubił kobietę z południa, bo wyprostowała się i odwróciła głowę.

- Weź za żonę kobietę z własnego ludu - pouczyła chłopca. - Nie kogoś takiego jak twoja matka.

Chociaż nie odpowiedział, musiała dostrzec jego cierpienie. Pod wpływem impulsu sięgnęła po misę z sosem, w którym umaczał mięsiwo. Kiedy ich palce się zetknęły, pisnęła i

cofnęła dłoń. Zwinęła palce w pięść i przycisnęła do piersi, obejmując drugą dłonią. Zatrzepotała powiekami, zadrżała i byłaby runęła na podłogę, gdyby Buonconte nie skoczył i jej nie podtrzymał. Rzucił ostre spojrzenie chłopakowi, lecz zdał sobie sprawę, że Angelo jest równie wystraszony jak on.

- Co się stało, *nonna*?! - zawołał. Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko za głównym stołem, w którym jego ojciec przesypiał większość czasu między posiłkami. - Wróćcie na swoje miejsca - polecił pozostałym. - Babci nic nie będzie. - Mimo to Angelo pozostał wraz z hrabią i jego bratem u jej łóżka.

Czyżby zemdląca z mojego powodu? - zastanawiał się.

Donna Lucrezia zamrugnęła, zwracając się do Buoncontego klęczącego przy niej. Chwyciła wnuka za rękaw i przyciągnęła do siebie. Ostre paznokcie wpiły się w jego ramię. Nie wiedziała, że Angelo stoi za muskularnym Guidem.

- *Versipellis*² powrócił z piekła - wyszeptała.

Kiedy Buonconte spojrział na swojego brata, chłopiec dostrzegł cień lęku na jego twarzy. Nie wiedział, czy był on wywołany stanem babki, czy tym, co powiedziała. Nie znał słowa, którego użyła, choć miało łacińskie brzmienie.

Stara kobieta oddychała z wysiłkiem, ze świstem nabierając powietrza. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy, mocniej otuliła się szalem.

- Odejdźcie - szepnęła. - Chcę być sama, by móc opłakiwać młodego Lorenzinięgo.

² *Versipellis* (łac.) - wilkołak, istota zmieniająca wygląd.

Rozdział siódmy

Angelo wyruszał właśnie do Wieży Wilka w ognistym świetle poranku. Kupiec Bernardone przygotował juczne zwierzęta i był już w drodze do Asyżu. Ich karawana się wydłużyła, powiększona o trupę minstreli oraz wóz wypełniony instrumentami i rekwizytami.

Kiedy podworec opustoszał, Buonconte posłał służącą, aby dowiedziała się o zdrowie *donny* Lucrezii, która od wieczery nie ruszyła się z łoża. Dziewka wróciła, płacząc, z wiadomością, że babka hrabiego umarła we śnie.

- *Scusami, signore* - rzekł do Angela. - Wydarzyła się tragedia, muszę cię pożegnać. - Nie patrząc mu w oczy, życzył bezpiecznej drogi. Odchodząc, przystanął uderzony nagłym wspomnieniem. - Hrabio Angelo, kiedyś niósł babcię do jej komnaty po uczcie, rzekła coś, co może cię zaciekać. Powiedziała, że zostałeś zraniony przez miłość. Sam osądz. Przepowiedziała też, że pewnego dnia poznasz kobietę, która jest ci przeznaczona, lecz tego nie dostrzeżesz. Utracisz ją i nie odzyskasz, dopóki nie zgasną w tobie nadzieja i pożądanie, jakie do niej żywiłeś. Tak zapamiętałem jej słowa. - Rozłożył bezradnie dłonie. - Kobiety wygadują takie rzeczy... może zdołasz pojąć, o co jej chodziło. Jestem przekonany, że potrafiła przepowiadać przyszłość.

Angelo podrapał się w głowę.

- Nie jestem pewien, co to może oznaczać - mruknął. - Czy wiesz, co powiedziała wczorajszego wieczoru, gdy pomogłeś jej wstać od stołu?

- Słyszałeś? - Na kamiennej twarzy Buoncontego pojawił się nerwowy uśmiech. - Czasami paplała bez ładu i składu. To nic ważnego, *signore*. - Skłonił się i odszedł w pośpiechu do zamku.

Małemu orszakowi Angela towarzyszyło czterech zbrojnych hrabiego. Zbili się w gromadkę, rozpoczynając krótką podróż do Wieży. Zdawało się, że szum liści wiecznie zielonych dębów rosnących wzdłuż drogi szepcze Angelowi jego imię, zapraszając do domu. W cieniu między drzewami przemknęło jakieś leśne stworzenie. Biegło nisko przy ziemi, w tym samym kierunku co oni, lecz zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

Angelo nie odrywał wzroku od drzew, mając nadzieję ujrzeć je ponownie. Kiedy mu się to nie udało, odłączył się od rycerzy i zaczął jechać obok doktora Filippa. Obaj mieli ochotę na pogawędkę.

- Cóż za dziwny wieczór - zagaił Angelo. - Niech Bóg da wieczne odpoczywanie duszy tej dziwnej niewiasty. Czyś dostrzegł jakiś sens w jej słowach?

- *Donna* Lucrezia mówiła o przyszłości, *signore* - odpowiedział nauczyciel. - Jej przepowiednia może się spełnić lub nie. - Spojrzał z ukosa na chłopca. - Czy miała słuszość, mówiąc, że zostałeś zraniony przez miłość?

- Nie chcę o tym mówić - odparł Angelo.

Bakałarz skinął głową. Chciał zadać inne pytanie, które nie dawało mu spokoju od czasu uczyty. Siedział przy dalszym stole wraz ze sługami, w pewnej odległości od Angela i starej hrabiny.

- Co tak przestraszyło *donnę* Lucrezię?

To gnębiło również Angela.

- Czuła się dobrze. Była trochę zrzędliva, lecz zachowywała się normalnie. Kiedy zanurzyłem kęs wołowiny w sosie, uczyniła to samo. Nagle cofnęła dłoń i krzyknęła. Wystraszyła mnie na śmierć. - Przerwał, aby po chwili dodać: - Może umarła ze strachu?

Bakałarz uczynił znak krzyża.

- Nic nie powiedziała?

- Wtedy nie. Ledwie dychała. Kiedy jednak hrabia Buonconte położył ją na łożu, wypowiedziała słowo, którego nigdy wcześniej nie słyszałem: *versipellis*. Niezależnie od tego, kogo oznacza, rzekła, że przybywa z piekła.

Filippo podrapał się w głowę.

- To pradawne łacińskie słowo. W tym kontekście wydaje się bez sensu. Może właśnie dlatego hrabia powiedział, że czasem babka papie bez ładu i składu.

- Co to słowo oznacza? Zastępy szatana? Czy zaatakował ją upadły anioł?

- Nie, nic z tych rzeczy, *signore*. Oznacza... wilkołaka.

*Il sangue del licantropo, del lupo mannaro*³. Takie było jego ponure dziedzictwo, krew, której nigdy by dla siebie nie wybrał, która wyrządziła tyle krzywdy jego matce. Klątwa jakimś cudem ominęła ojca, by spocząć na nim i towarzyszyć mu do tego dnia, gdy kulił się na posadzce obmierzłego lochu.

Gdy Filippo wyrzekł te słowa, Angelo wiedział, że zasłyszane pogłoski są prawdą. Nic dziwnego, że plotkarze kulili się, gdy ich witał, obnażając zęby w uśmiechu. Nagle jego zwierzęce kły nabrały sensu - nabrał go nawet garb między łopatkami i pochylona sylwetka, która sprawiała, że wolał się poruszać na czworakach niż w pozycji wyprostowanej.

Spojrzał na ledwie widoczne znamię w kształcie gwiazdy na lewej dłoni. Matka,

³ *Il sangue...* (wł.) - krwawy wilkołak.

znająca opowieści o jego dziadku, musiała ją nieomylnie rozpoznać. Może ma kępkę włosów lub wilczą sierść na głowie? Nic dziwnego, że wolała brać cięgi, niż urodzić kolejnego potwora.

Jako dziecko wyszedł raz na dziedziniec podczas pełni księżyca i spojrzął na swoje odbicie w wodzie.

- Spójrz, *mamma!* - zawołał, gdy kobieta wybiegła z domu, aby go odszukać. - Moje włosy zmieniły barwę.

Chwyciła go za rękaw i zaczęła ciągnąć do środka.

- Gelino, natychmiast do domu! Nie wiesz, że wpatrywanie się w tarczę *la luna* może doprowadzić do obłądu?! Nigdy nie wychodź na dwór, gdy jest pełnia! - Wyrwał się jej i radośnie spoglądał w jasny księżyc, dopóki nie wzięła go na ręce i nie wniosła do środka. Od tego czasu rodzice kładli go do łóżka, gdy tylko zapadał zmrok, i szczelnie zamykali okiennice w sypialni. Nie wychodził też na dwór po kolacji.

Angelo wyciągnął się na kocu i spojrzął w niebo przez kratę lochu. Widział jedynie garstkę gwiazd i rozproszone obłoki. Wołał pochmurne noce.

Kiedy księżyc był w pełni, nad kratą pochylał się krąg głów. Pełził wówczas w najciemniejszy kąt celi i naciągał pled na głowę. Trzymał się z dala od zabłąkanych promieni księżyca, które doprowadzały jego zmysły do szału, powodowały, że skórę przechodziły ciarki, a krew zaczynała kipieć. Nie jest jarmarcznym niedźwiedziem nauczonego tańczenia na rozkaz. Mnisi mogą spokojnie wrócić do swych cel i ciepłych łóżek. Nie pokaże im przedstawienia.

Wychodził na światło księżyca, gdy odchodzili, nastawiał uszu, by lepiej słyszeć wycie, baczył jednak, aby nie odpowiadać.

Angelo zdołał przetrwać to, co kmiecie nazywali „miesiącem żniw”, „miesiącem przewiewania” lub „miesiącem zbiorów”. Przeszł z jednej ubrudzonej sokiem z winogron nogi na drugą, stojąc po kostki w lodowatym potoku. Powoli palce przybierały normalny kolor, a woda stawała się fioletowa.

Promienie słońca sączyły się jak płynne złoto przez drzewa na pół ogołoczone z liści. Wieśniacy, rozmawiając, myli nogi w strumieniu tuż za nim. Przed chwilą zakończyli wytłaczanie winogron. Ani śladu pasterki z kozami. O tej porze dnia sprowadzała swoje stado ze wzgórz. Kiedy dochodziła do zagrody, doiła kozy, choć winogrona były już gotowe do wytłoczenia.

Przyłączenie się do wieśniaków było dla niego ogromnym postępem. Chociaż nadal był

przygnębiony nagłym wyjazdem z Todi, podczas pierwszych tygodni w Wieży rzadko opuszczał skryptorium.

Doktor Filippo zasugerował inny kierunek studiów, wyciągnawszy z torby zbiór poezji Owidiusza. Zaczął czytać wiersz, gładząc skórzaną oprawę książki i tłumiąc chichot, gdy poeta opisywał prawdziwe życie i codzienne myśli ludzi.

- Owidiusz obmyślił sygnały, których jego ukochana miała używać podczas uczy wydanej przez męża.

*Smukłe paluszki przybliź do lica,
Dumając, gdzie jest pieszczot łomnica.
Gdy moje słowa zranią cię, luba,
Koniuszek ucha palcem poskubaj.
A jeśli wzruszą, moja jedyna,
Zdobne pierścienie w palcach potrzyмай.
Chęcią mordercy, owładnięta,
Stołu uchwycić się pamiętaj
Niczym ołtarza, gdy męża swego
Chętnie ujrzałabyś martwego⁴.*

Jako przewodnik Angela po literaturze antycznej, Owidiusz uzupełnił stoicko nastrojonego Boecjusza. Pogodniejszy ton oraz zwyczajne obrazy i rady, których poeta udzielał w sprawach miłości - wszystko to podsuwało odpowiedzi na pytania mnożące się w umyśle dorastającego młodzieńca.

- Miałem wątpliwości, czy zapoznać cię z twórczością Owidiusza - wyznał pewnego dnia bakałarz.

- Dlaczego? Jego dzieła czyta się z taką rozkoszą.

- Z powodu sposobu, w jaki zareagowałeś na drodze, gdy wspomniałem, że szykują cię do zawodu notariusza. Twój ojciec przypominał poetę, ty zaś w najbardziej wzniosłych chwilach przywodzisz mi na myśl samego Owidiusza. Kiedy Owidiusz był w twoim wieku, *signore* - ciągnął bakałarz - ojciec wysłał go do Rzymu, a następnie do Aten, by studiował prawo. Być może pewnego dnia spotka cię ten sam los. Owidiusz porzucił jednak karierę prawniczą dla poezji. Chociaż większość nie uznała tej decyzji za roztropaną, przez jakiś czas

⁴ Przekład Z. Kościuk.

poezja dostarczała mu ogromnej radości.

- Tylko przez jakiś czas?

- Stał się ulubieńcem Rzymu, mędrcom uwielbianym przez kobiety, jak możesz odgadnąć z jego utworów. Niestety, pewnego dnia, jak sądzę, nadużywszy wina, zwrócił się przeciwko cesarzowi Augustowi. Jak większość władców, August nie lubił być przedmiotem drwin i skazał Owidiusza na wygnanie, na wybrzeże Morza Czarnego. Przez dziesięć ostatnich lat swego życia na próżno starał się odzyskać łaskę i przychyłność władcy. Można się uczyć na jego przykładzie.

- Praktycznego podejścia przy wyborze zajęcia?

- Z pewnością jest to jeden z wniosków, które można wyciągnąć. Nie mogę się z nim do końca zgodzić, sam bowiem nie jestem szczególnie praktyczny. Koniec końców, każdy musi wybrać własną drogę.

- To może „nie drażnij możnych”?

Doktor Filippo się roześmiał.

- Amen, *signore*. Sam pobłdziłem w tej sprawie. Otwartość bywa okrutnym ciężarem. Papieże i książęta nie mają wyrozumienia dla tych, którzy ośmielają się ich krytykować.

Angelo potrafił sobie wyobrazić, jak ojciec Owidiusza przyjął bunt syna - podobnie zachowałby się pewnie Iacobello Lorenzini. Nieoczekiwane odkrycie zmusiło go jednak do ponownego przemyślenia tej opinii.

Dokonując przekładu *Ars amatoria*, natrafił na fragment: „W dzieciństwie wszyscy z rodu cezara byli zwyczajnymi ludźmi”. Czy jego ojciec czytywał Owidiusza? Albo innych poetów? W domu nigdy nie widział go nad otwartą księgą.

A może czynił to w samotne niedzielne popołudnia? Czy jeździł po wzgórzach okalających Todi z *Ars amatoria* w torbie przytroczonej do siodła? Kiedy go pytali, mówił, że grywa w szachy z zaprzyjaźnionym notariuszem, *maestrem* Maccabeem. Czyżby w rzeczywistości szukał spokojnego zagajnika, w którym mógłby rozkoszować się poezją? Czy umiłowanie poetów było kolejnym elementem jego dziedzictwa?

To właśnie Owidiusz sprawił, że Angelo opuścił mury skryptorium. A dokładnie, słowa: *Inopem me copia fecit* - „dostatek uczynił mnie biednym”.

Pewnego dnia poskarżył się nauczycielowi:

- Mam prawie czternaście lat, a w ogóle nie znam prawdziwego życia. Mama i *papà* zawsze mnie chronili. Muszę poznać ludzi, o których pisał Owidiusz! Inne rodziny, sługi i bakalarzy, takich jak ty i twój brat. Nie znam nikogo prócz ciebie! Nie znam żadnego z

wieśniaków, którzy dla mnie pracują, z wyjątkiem Ursa.

- Okaż cierpliwość, synu. Jeśli Bóg obdarzy cię wystarczająco długim życiem, poznasz więcej ludzi i świata, niż się spodziewałeś lub pragnąłeś. Pamiętaj, że Owidiusz doświadczył również niedoli wygnania.

Angelo był coraz mniej zadowolony, że objeżdża na końskim grzbiecie swoje włości. Pewnego ranka zaskoczył rządcę i bakałarza, mówiąc w wielkiej sali, że chciałby na własne oczy zobaczyć, co się dzieje w jego posiadłości.

- Nie czyn tego, *signore* - zaprotestował Urso, głaszcząc palcami siwiejącą brodę. - Ludzkiemu szacunkowi najlepiej sprzyja odpowiedni dystans.

- Myślisz, że wyjdę na głupca?

Mężczyzna rozłożył ręce, choć pochyleniem drżącej głowy jasno wyraził swoje uczucia.

- Wiem. Nie mam pojęcia o niczym prócz łacińskiej gramatyki - rzekł Angelo. - Czyż nie w tym tkwi problem? Nigdy niczego nie robiłem! Całe moje życie toczy się w głowie! - Przerwał, by po chwili dodać: - Powinienem zacząć od wywożenia gnoju z zamkowej latryny!

- *Signore!* - przerwał mu Filippo. - Nie trzeba przewracać łajna widłami, aby wiedzieć, że cuchnie. Wiem, że żartujesz.

- Obawiam się, że nie - mruknął rządcą. Grymas niezadowolenia zagościł na jego zwykle pogodnym obliczu.

Angelo skinął głową.

- W takim razie zrozumiałeś. Proszę, nie uprzedzaj robotników. Chcę się swobodnie poruszać wśród nich, pomagać tam, gdzie będę potrzebny. Ucieszą się z mojej pomocy, gdy naprawdę będę użyteczny.

- Jak sobie życzysz, *signore*. Codziennie będę cię informował o najcięższych pracach. Zawiadomię, gdy któryś z robotników będzie chory lub zostanie ranny.

Doktor Filippo odwiódł go od zamiaru wywożenia gnoju z latryny, proponując w zamian sprzątanie stajni. Zagrody dla bydła były mniej cuchnące od kloaczego dołu, być może z powodu skromniejszego jadłospisu czworonogów. Mimo to Angelo szybko zrealizował swój zamiar, tak jak przepowiedział Urso.

Objeżdżając swoje włości, odkrył, że większość obowiązków wykonują chłopcy i dziewczęta w jego wieku lub młodszy. Młodzi mężczyźni spoglądali na niego z zaciekawieniem i pewnie śmiali się za jego plecami. Wydawali się jednak zadowoleni, że są spoufalerzeni ze swym panem. Szybko oswoili się na tyle, aby z nim plotkować i wymieniać uwagi na temat służek przechodzących w pobliżu.

Chociaż doktor Filippo nie uważał tego za naukę, Angelo przeżywał z wciąż nowym

zapalem każdy dzień, nie wspominając o posiłkach. Wiele zajęć, które hrabia wykonywał po raz pierwszy, łączyło się ze zbieraniem i suszeniem płodów rolnych, których mógł kosztować podczas pracy. Przytył parę kilogramów, a każdą noc przesypiał snem sprawiedliwego.

Tego roku żniwa opóźniły się z powodu wiosennych deszczy i odwleczonego siewu, co oznaczało, że Angelo miał okazję pracować z młóćcami i zbierającymi pokłosie. Oliwki dojrzały jeszcze później, więc pomagał rozkładać płachty pod drzewami, aby uchronić spadające owoce przed obtłuczeniem.

Pewnego wieczoru Angelo zaszedł do szopy, w której dziewczyna pasąca kozy dwa razy dziennie je doiła. Była w jego wieku, podobnie jak chłopcy pracujący w stajni. Spod jej postrzępionej tuniki wystawały kościste kolana i szczupłe łydki. Strąki czarnych włosów skryły twarz, gdy pochyliła się, by przystąpić do roboty. Kiedy stanął obok niej, spojrzała znad kubła, po chwili go rozpoznając.

- Ach! - westchnęła, odsuwając drewniany kubeł od kopyt zwierząt. Podniosła się ze stołka i zadarła tunikę. Nie miała bielizny.

Angelo nie był na to przygotowany. Poruszony jej kruchą nagością i niejasnym wspomnieniem matki zdejmującej suknię, z trudem wydobył z siebie głos. Zmusiwszy się do spojrzenia na jej ukrytą w cieniu twarz, zapytał:

- Dlaczego się obnażyłaś? Chciałem, abyś mi pokazała, jak się doi kozy.

Dziewczyna powtórzyło swoje „ach”, tym razem ciszej, i opuściła tunikę z tą samą nonszalancją, z jaką ją zadarła.

- Jesteś moim panem, możesz żądać, czego chcesz - powiedziała. - Nie przyszło mi do głowy, żeś w innym celu wstąpił do tej cuchnącej obory.

Koza skończyła jeść i zaczęła się wiercić. Dziewczyna dosypała ziarna do koryta, sprawdziła słupek, do którego przywiązała głowę zwierzęcia, i wsunęła wiadro pod wymię. Ujęła dłoń Angela w taki sposób, aby złapał górną część wymienia palcem wskazującym i kciukiem, a następnie zacisnęła palec środkowy, serdeczny i mały, przesuując dłoń w dół sutka. Strumień ciepłego mleka uderzył w słupek, zamiast trafić do wiadra. Dziewczyna roześmiała się i ujęła jego drżącą dłoń w swoje, aby pomóc mu wycelować.

Kiedy skończyli doić pierwszą kozę, pozwoliła Angelowi poprawić stołek i samodzielnie wydoić następną. Pokazała mu, jak naciskać na przemian, chwytając wymię raz jedną, raz drugą dłonią, szturchać wymię zwiniętymi w pięść palcami, jak żrebię szturcha matkę nosem, by w ten sposób zachęcić zwierzę do wydzielania mleka.

- Potrafię! - wykrzyknął Angelo, uśmiechając się szeroko z zadowolenia.

Kiedy wstał, by odejść, zapytała:

- Czy *signore* przyjdzie tu jeszcze? - Splątane kosmyki włosów zasłaniały jej oczy. Miał ochotę je odgarnąć i przyjrzeć się lepiej twarzy dziewczyny.

- Może - mruknął zakłopotany, że nie udało mu się wymyślić niczego bardziej inteligentnego. Owidiusz pisał, że mężczyzna powinien być wymowny w towarzystwie kobiety, jednak Angelo nie chciał przesadzać w kontaktach z prostymi dziewczkami. Z pewnością nie przesadził.

- Mam ci jeszcze wiele do pokazania - dodała z błyskiem w oczach. - Niełatwo zrozumieć takie stworzenie jak koza.

Wypowiedziała to zaproszenie dziesięć dni przed tłoczeniem winogron. Nie myślał o niej przez dzień lub dwa, kiedy jednak wychodził ze strumienia, przypomniał sobie małe piersi i płaski dziecienny brzuch, który tak po prostu przed nim odsłoniła. Nie odpychało jej jego drobne ciało. Wystarczyło, że był jej panem.

Rozdział ósmy

Przywilej, o którym wcześniej nawet nie pomyślał, sprawił, że zaczął myśleć o pastercie w inny sposób. Przypomniawszy sobie, że nie zapytał dziewczyny, jak ma na imię. Czy jest jedną ze służebnych, z których stajenni tak okrutnie sobie dworują?

Próbował czytać, dopóki słońce nie zniknęło za zachodnią wieżą, lecz dziewczyna uśmiechała się od niego z kart każdej książki, którą brał do ręki. Kiedy był z nią w szopie, nie widział nawet, czy się uśmiechnęła, chociaż zachichotała, ujrzawszy jego pierwszą nieporadną próbę dojenia.

Wieczorny powiew wpadający przez otwór strzelniczy zaczął przewracać strony rękopisu. Angelo wstał i wyszedł ze skryptorium, włócząc się jak nieochrzczona dusza, dopóki nie zaszedł do zagrody kóz. Zwierzęta śledziły jego ruchy szatańskimi żółtymi ślepiami. Słyszał, jak dziewczyna nuci w szopie, słyszał też chlupot mleka w wiadrze.

Podszedł i wypowiedział tylko jedno zdanie, które tego wieczoru przyszło mu do głowy:

- Jutro są moje urodziny.

Prawie na niego nie spojrzała, nawet gdy odgarnął jej włosy za uszy. Zauważył, że się uśmiecha. Nie przestając doić, puściła jedno z wymion, wolną ręką sięgając pod jego tunikę. Kiedy znalazła to, czego szukała, zaczęła naciskać w tym samym rytmie, w jakim naciskała kozi sutek. Naciskała na zmianę, aż uznała, że jest gotów.

Wstała i poprowadziła go na stos siana, zupełnie jakby był baranem. Położyła się na plecach i ułożyła go na sobie, nie puszczając jego nabrzmiałego członka, dopóki nie znalazł drogi do jej wnętrza.

- *Felice compleanno, signore* - szepnęła. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Benedetto Gaetani przewrócił się na brzuch, próbując spać mimo promieni słońca wpadających przez okno tuż obok jego łóżka. Kardynał Conti, jego ojcowsko opiekuńczy wuj, ulokował go we wschodniej komnacie willi, w ulubionym pokoju gości. Benedetto miał w tej sprawie zgoła odmienne zdanie. Do późnej nocy bawił się w towarzystwie rówieśników, jedząc i pijąc bez umiaru. Teraz po prostu chciał spać.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, *signore*. - Dziewczyna wypowiedziała te słowa ostrożnie, nie chcąc go wystraszyć.

Może z powodu dziewiętnastych urodzin, a może dlatego, że o kolejny rok przybliżył

się do osiągnięcia wieku męskiego, wuj sprowadził mu tę dziewczkę. Córka jednej z kochanek kardynała przyszła do jego pokoju z „dodatkowym kocem” - ciężkim zimowym pledem. Wygiął łopatki, czując jej duże piersi, gdy się nad nim nachylała. Pachniała liliami i potem.

- Czy *signore* wciąż się na mnie gniewa?

- Gniewa? Nigdy się na ciebie nie gniewałem - odpowiedział, nie otwierając oczu.

- Martwiłam się, że nie zdołałam cię zadowolić. Sprawiałeś wrażenie poirytowanego, gdy znalazłeś mnie w swym łóżu ostatniej nocy.

Przewrócił się na bok. Lekko uniośł powieki, przypatrując się jej nagiemu ciału, resztkom dzieciennego tłuszczu pokrywającego krągłości. Nigdzie nie dostrzegł ani śladu mięśni, twardych mięśni, które tak podziwiał u brata i kuzynów, gdy chodzili do łaźni w Todi. Ich piękne sylwetki sprawiały, że przypominali wyrzeźbione w marmurze postacie bogów i herosów stojących wzdłuż ścieżek w ogrodach wuja!

- Nie byłem zagniewany, lecz źle się czułem - rzekł, klepiąc się po brzuchu. - Kładąc się spać, byłem wypchany jak kiszka z kiełbasą.

- Jak się czujesz teraz? - Poglaskała jego policzek, pochylając się, by go pocałować.

Odwrócił głowę tak, że jej wargi dotknęły ucha. Nagły obraz kobiecych upławów, obrzydliwych *humidium menstrui*, spowodował, że się wzdrygnął.

- Jestem zmęczony. Nie budź mnie.

- Jak *signore* sobie życzy. - Dziewczyna westchnęła i nakryła się satynowym prześcieradłem, przesuwając nogę tak, by go dotykała.

Udawał, że śpi. Był ciekaw, czy dziewczyna miała zdać sprawę kardynałowi za pośrednictwem swojej matki. Tydzień temu ojciec przyłapał jego i Roffreda, gdy, jak to ujął, „bawili się w Greków”. Czyżby dwaj starcy uknuli spisek, aby go „zreformować” lub poddać próbie?

Czemu nie mieliby naśladować Greków? Kto mógłby zakwestionować męskość Achillesa dziesiątkującego szeregi Trojan, by pomścić umiłowanego Patroklesa? Kto w dziejach mógłby się równać mądrością z Sokratesem? Co z tego, że gościł uczniów w swym domu i ramionach? Wolał ich towarzystwo od nudnej dziewczyny leżącej w łóżku u jego boku. O ile wiedział, była pozbawiona rozumu. Zasnął, próbując wyobrazić sobie pokój, w którym wuj Rinaldo ulokował Roffreda, zastanawiając się, czy jego brat też musi znosić duszący „dodatkowy koc”.

Angelo przechadzał się po okolicy, żując źdźbło słomy. Nagle dostrzegł doktora Filippa czającego się w zamkowym holu, tuż przy wejściu. Pomyślał, że będzie musiał wysłuchać

kolejnego kazania.

- Nie mogłem cię znaleźć, *signore!* - zawołał nauczyciel. - Gdzie byłeś?

- Jak zawsze poszerzałem swoją wiedzę. - Chociaż pytanie wydawało się niewinne, Angelo uznał je za dowód wścibstwa.

Kiedy dotarł do drzwi, mężczyzna gwałtownie nabrał powietrza i zatkał nos pacami.

- Ach, *signore*, wasza tunika jest brudna... cuchniecie capem.

- Nie jestem zdziwiony - odpowiedział Angelo, nie mogąc powstrzymać chytrego uśmiechu. - Przed chwilą baraszkowałem z pasterką.

Chciał się precyzyjnie obok bakałarza, lecz Filippo chwycił go za ramię.

- Angelo, mogę być z tobą szczery?

Chłopak wyprostował się i wyrwał rękaw, zwracając się twarzą do bakałarza. Serce waliło mu jak oszalałe. Nie chciał pozwolić, by Filippo popsuł mu dobry nastrój.

- Wiem, doktorze. Przemówisz z moim pozwoleniem lub bez niego. Przyznałeś już, że jesteś zbyt szczery, czym sam sobie szkodzisz.

- Nie gniewaj się - odrzekł bakałarz. - Nie będę mówił złośliwie. Jeśli palnę ci kazanie... taki mam obowiązek. - Powstrzymał ucznia wzrokiem. - Brat poprosił mnie, abym tu przyjechał, licząc, że choćby w niewielkim stopniu zdołam ci zastąpić zmarłego ojca. Kiedy mi powiedział, że zostaniesz wysłany na to pustkowie, pozazdrościłem ci. Uznałem cię za szczęściarza. Pomyślałem, że w takim miejscu zdołasz odnaleźć siebie, swojego Boga, wyrosnąć na mężczyznę. Czy wiesz, *signore*, że człowiek może umrzeć z pragnienia na jałowej ziemi? Wypędzony szatan krąży po pustyni, kusząc wędrowców. Pustynia może zniszczyć nieroztropnego lub samowolnego człowieka.

Angelo nadal czuł przyjemny skurcz łądźwi. Nie przejmując się tą mową, mocniej zacisnął wargi.

Mógłby zacząć się usprawiedliwiać. Czy nie jest synem swej matki? Czy nie może tak samo jak ona pożądać? Ponieważ Filippo nie wiedział o jej wizytach w San Fortunata, postanowił zaatakować bakałarza.

- Czy nie ty czytywałeś mi Owidiusza, doktorze? Czy to nie ty podsunąłeś mi podobne pomysły?

Zdumiony Filippo cofnął się o krok i spuścił głowę.

- Jeśli tak było, jest mi niewymownie przykro, *signore*. Podsunąłem ci Owidiusza, abyś mógł dostrzec poezję w najdrobniejszym szczególe życia, tak jak on. Pragnąłem, abyś wiedział, że masz inny wybór oprócz zawodu notariusza, który wydaje się nieprawdopodobnie nudny. Chciałem ci pomóc stać się sobą.

- Jestem sobą! - prychnął Angelo.

Z powodu rozpalonych zmysłów i umysłu ogarniętego wściekłością nie dostrzegł węża. Demoniczny, niedawno wykluty w jego sercu gad zatopił zęby w jego niewinnej duszy, niszcząc więź, jaka powstała między nim a nauczycielem.

Filippo się nie poddawał, przemawiając z żarem i głębokim przekonaniem:

- *Signore*, podróżując po świecie, widywałem wielu samolubnych panów, mężczyzn, którzy wykorzystywali i upokarzali sługi, by zaspokoić swe nienasycone żądze. Nie chcę, aby pragnienie przyjemności zniszczyło młodą duszę lub wyrządziło krzywdę tym, których Bóg powierzył twojej opiece. Musisz się nauczyć poszanowania dla innych, szczególnie ludzi, nad którymi masz władzę. Twój tytuł pociąga za sobą odpowiedzialność. Mędrzec powiada: „Jeśli rzucisz to brzemień na wiatr, powróci jako huragan”.

- Nie martw się, doktoru. Nie będziesz świadkiem zachowań, które tak cię niepokoją - syknął chłopak. - Już cię tu nie będzie. Któż potrzebuje twych ponurych kazań? - Poczul żar ogarniający jego kark i policzki. - Jutro rano masz wyruszyć w drogę.

Filippo zgarbił się, patrząc na Angela i nie kryjąc rozczarowania.

- Powiadają, że nie ma groźniejszego głupca nad tego, który został obdarzony inteligencją. Będę się modlił, aby Bóg zdjął zasłonę z twoich oczu, zanim wyrządzisz krzywdę sobie lub innym.

- Już przejrzałem! - krzyknął chłopak. - Przejrzałem na oczy i odkryłem twe zgorzknienie! Skoro tak się tego obawiasz, najlepiej będzie, jeśli opuścisz mnie od razu!

Mówiąc to, zacisnął palce na rękojeści sztyletu, lecz doktor Filippo odszedł już do pokojów służby.

Słaby wiatr rozwiął obłoki wiszące na jesiennym niebie, nie był jednak wystarczająco silny, aby rozproszyć smutek Angela. Jego nastrój miał więcej wspólnego z upartymi wstęgami mgły snującej się w koronach drzew. Chociaż był dzień jego urodzin, niczego bardziej nie pragnął, niż naciągnąć prześcieradło na głowę i zostać w łóżku. Zamiast tego jednak podszedł do okna wieży.

Z miejsca górującego nad zabudowaniami zamku obserwował, jak jego nauczyciel wychodzi, kuśtykając, przez boczną zachodnią furtę. Angelo nie dał mu zbrojnej eskorty, a nawet osła, na którym przybył z Todi trzy miesiące temu.

Na końcu doliny wyrzeźbionej nurtem rzeki Tevere zbierało się na burzę. Patrząc na ciemniejące w oddali niebo, Angelo miał wrażenie, że cała przyroda oplakuje odejście bakalarza. Najniższe gałęzie sosen czepiały się jego odzienia, nagie palce dębów wyciągały

się w stronę jego tobołka. „Nie odchodź! Nie odchodź!”. Wiatr narastał z każdą chwilą, smagając mu twarz, rozwiewając jego szatę niczym monarszy tren. Spośród drzew niskie żałobne wołanie samotnego gołębia ogłaszało smutek leśnych stworzeń.

Wędrowiec odwrócił się na chwilę plecami do wiatru i spojrzął na zamek. Udał, że umieszcza serce na dłoni, a następnie wyciągnął ją ku wieży, z której patrzył na niego Angelo. Przez kilka krótkich oddechów chłopak żałował tego, co zrobił. W końcu Filippem powodowała jedynie troska. Przez ułamek sekundy chciał pobiec za nauczycielem, lecz kiedy otarł oczy rękawem i podniósł głowę, już go nie było.

- Strzeż go, *nonno* - szepnął. - Chroń, gdy będzie szedł przez las. - Wiedział, do kogo się modli. Kiedy owego ranka, gdy opuścili Coldimezzo, Filippo wspomniał o wilkołaku, wiedział, jakie zwierzę towarzyszyło mu w drodze do domu: dziadek, który zniknął w lesie dwa pokolenia temu.

Stał w oknie przez niemal godzinę, ledwie słysząc pianie koguta dolatujące z podwórza. Stado gołębi uniosło się w powiewie wiatru i zatoczyło koło nad zamkowym donżonem. W miarę upływu czasu sympatia odczuwana do bakałarza stopniała. Filippo powinien był wiedzieć, jak bardzo młodzieniec potrzebuje miłości. Sam się do tego przyznał, lecz gdy Angelo znalazł ukojenie w objęciach pasterki, odwrócił się od niego. Zmarszczył czoło, spoglądając w stronę lasu, lecz nie cofnął modlitwy.

Chociaż przez kilka dni unikał dziewczyny, nie złagodziło to chłodu rządcy i innych mężczyzn na zamku.

Nauczyciel lubił męskie towarzystwo. Zabawiał towarzyszy opowieściami o podróżach i wielkim świecie. W przeciwieństwie do Bartola, który porównał rozmowę z niepiśmiennym do toczenia dysputy ze zdechłą cywetą, Filippo nie dopuszczał, aby brak formalnego wykształcenia stanął między nim i robotnikami ukształtowanymi ciężką pracą. W ich oczach Angelo wyczytał rozczarowanie i gniew. Byli zdumieni, że mając okazję codziennie pobierać nauki u takiego męża, odesłał go z powodu zwykłej dziewczki.

Oczywiście wiedzieli, co się stało. Wszyscy wiedzieli. Nawet stajenni odpowiadali na jego pozdrowienie ponurym, zimnym spojrzeniem. Wieśniacy nadal wykonywali polecenia, które im przekazywał za pośrednictwem Ursy. Były to typowe zajęcia po żniwach, od ostrzenia narzędzi po naprawę wozu, przygotowanie paszy dla bydła i obłożenie nawozem ścian domów, aby je ocieplić przed nadchodzącą zimą. W jego obecności pracowali jednak bez okazywania radości, więc rankiem wracał do skryptorium, aby przed nimi uciec.

Na swoim stole znalazł ulubioną księgę Filippa, poezje Owidiusza. To, że nauczyciel celowo ją zostawił, było oczywiste, na woskowej tabliczce bowiem Angelo nakreślił słowa

poety:

Video meliora, proboque; Deteriora sequor

Chłopak jak ślepiec zbadał palcami kształt liter. „Widzę i pochwalam to, co lepsze, ale idę za tym, co gorsze”. Ta wiadomość mogła oznaczać, że doktor Filippo mu przebaczył, a przynajmniej rozumiał jego postępowanie... i nadal miał nadzieję. Wewnętrzny zamęt, który zapanował w sercu Angela sprawił jednak, że rada ta na nic się nie zdała.

Coś złowrogiego czaiło się pod powierzchnią jego duszy. Dziewczęta w zamku wyczuwały niebezpieczeństwo, a mimo to wydawały się podekscytowane. W przeciwieństwie do mężczyzn były bardziej wszechobecne i otwarte niż dotąd. Niezależnie od komnaty, do której trafił, zawsze znajdował jedną z nich przy pracy, zamiatającą podłogę lub myjącą ściany. Zakasywały suknie, szeroko rozstawiając krzepkie łydki i uda, by utrzymać równowagę. Nie nosiły bielizny, więc jego pragnienie wzrastało, gdziekolwiek się zwrócił.

Czego od niego oczekiwano? Nie był przecież dromaderem potrafiącym ukoić pragnienie kroplami rosy. Te dziewczki są jak oaza, która dostarcza mi cienia i orzeźwia, myślał. Nie uskarżał się, mimo chłodnej zimy. Zabawiał się niczym *padre* Sanguigno z haremem swoich penitentek. Ich zbliżenia były szybkie, przypominające parzenie się zwierząt, a dziewczęta wracały do swoich obowiązków, jakby to przelotny wietrzyk, a nie młody pan uniósł im suknię.

Gdy nadszedł czas wiosennej orki, apel doktora Filippa przypominał daleki krajobraz - dopóki prawdziwości ostrzeżenia nie dowiodło z proroczą gwałtownością poznanie Marii Vidone.

Rozdział dziewiąty

Połączyła ich z sobą najprawdziwsza burza. Ulewa zastała Angela w wiosce pod murami zamku. Zapadała noc, a on jechał przed siebie, ledwie mogąc coś dostrzec przez deszcz. Skierował konia do drzwi najbliższej zagrody na szczycie wzgórza. Nagle zza żywopłotu wybiegła Maria, pokrzykując i zaganiając wystraszone kury. Przykucnęła, aby złapać kwokę, i nie zauważyła nadjeżdżającego konia.

Ściągnął wodze, próbując odwrócić łeb zwierzęcia, uczynił to jednak zbyt późno. Kwoka zniknęła pod kopytami konia, a kłęb zwierzęcia mocno uderzył dziewczynę. Kiedy Angelo odzyskał panowanie nad wierzchowcem, siedziała na skraju błotnistej drogi, ciężko dysząc.

Zeskoczył z siodła, nasuwając kaptur opończy na głowę. Podprowadził stępaka do dziewczyny, starając się nie stratować kury.

- Nic ci się nie stało, dziewczyno? - zapytał.

- Chyba nie. - Sprawdziła ręką ramię i zebra. - Chyba niczego nie złamałam. Całe szczęście, że nie dosiadałeś wojennego rumaka, jak większość ludzi z zamku. - Zmrużyła oczy, uważnie mu się przypatrując.

Angelo zapłonął rumieńcem z powodu jej poufałości. Najwyraźniej nie rozpoznała go, a i on jej wcześniej nie widywał. Podobnie jak inne wieśniaczki, spędzała całe dni na gręplowaniu i przędzeniu wełny w zagrodzie oraz pielęgnowaniu domowego ogródka. Niewiasty przynosiły gotowe motki do zamku i odbierały wełnę, anonimowe niczym pszczoły robotnice w ulu.

- Nie pomożesz mi? - zapytała, wyciągając do niego rękę.

Pomógł jej wstać. Podeszła chwiejnym krokiem do piór rozsypanych na drodze. Położył rękę na jej biodrze, aby pomóc zachować równowagę, lecz odsunęła jego dłoń.

- Dzięki, sama sobie poradzę - powiedziała, patrząc na kwokę. - Nieszczęsna staruszko, dokąd cię zawiodły twoje płochy drogi? Zginęłaś przedwczesną śmiercią, a byłaś naszą najlepszą nioską. - Podniosła ptaka i wyrwała garść luźnych piór, wzruszając ramionami: - Wygląda na to, że nieoczekiwanie będę miała co włożyć do wieczornej potrawki.

Spojrzała w stronę jego twarzy zasłoniętej kapturem.

- Możesz się do nas przyłączyć, skoro twój koń dostarczył nam jadła. - Widząc, że mężczyzna się waha, dodała łagodniej: - Chyba że masz powód, aby gnać na zamek.

Przyjął zaproszenie. Gibkie ciało dziewczyny podnieciło go, więc zapragnął lepiej jej

się przyjrzeć w blasku ognia. Zaintrygowało go również jej zachowanie, niewiele bowiem wieśniaczek z takim spokojem przyjęłoby śmierć cennej nioski.

Radował się swoją anonimowością. Wiedział, że gdyby go rozpoznała, poczułaby się zbyt onieśmielona, aby zaproponować mu gościnę. Oczywiście sam mógłby się wprosić, lecz uznał, że tak będzie lepiej. Przedstawił się jako „Angelo”, prowadząc konia na podwórko za żywopłotem. Weszli do chaty przez niskie drzwi a on szczerzej owinął się opończą, aby ukryć delikatną wełnę swojej tuniki.

Usiadł na zydlu w najdalszym kącie, z dala od dymu, który buchał przez otwór w dachu. Jednoizbowe chatynki jego kmieciów miały drewniane belki, ściany z plecionki obrzuconej gliną i strzechę. Po obu stronach surowego drewnianego stołu, na którym dostrzegł cztery misy, ustawiono ławy. Miotła z witek pozostawiła na klepisku równe wyżłobienia.

- Tata i bracia nadejdą lada chwila, chyba że zatrzymała ich ulewa. Chociaż nie będą ci mieli wiele do powiedzenia, nie ugryzą, jeśli nie dostarczysz powodu.

- Jesteś pewna, że będę mile widziany? - Spojrzał niechętnie na martwą kwokę leżącą na końcu ławy.

Zdjęła pelerynę z kapturem, uwalniając loki miedzianych włosów rzucające iskry w płomieniach ognia. Odgarnęła z twarzy kosmyki, ukazując błyszczące zielone oczy oraz piegi pokrywające policzki i nos. Angelo pomyślał, że może być starsza od niego o rok lub dwa.

- Przecież sama cię zaprosiłam, czyż nie? - zapytała, jakby to rozstrzygało sprawę.

Spojrzała w stronę mrocznego kąta izby, w którym się zaszył.

- Twoje oczy świecą jak latarnie w blasku ognia. Mają pomarańczową barwę jak...

Uśmiechnął się.

- Pewnie wolałabyś nie wypowiadać tych słów - przerwał jej żartobliwie.

- Pomyślałam o starym wilku, który od niepamiętnych czasów snuje się po okolicy.

- A jednak! Nie słyszałaś, że jeśli będziesz się wpatrywała w wilcze ślepie, oniemiejesz i staniesz się łatwą zdobyczą? O ile wiem, jest tylko jeden sposób, by temu zapobiec.

Kiedy przerwał na chwilę dla wzmocnienia efektu, dziewczyna odwzajemniła jego uśmiech. Może już słyszała o tym lekarstwie?

- Trzeba zrzucić całe odzienie i uderzyć o siebie dwoma kamieniami. Wilki lękają się dźwięku kamieni. To jedyna ucieczka dla kogoś, kto wpatrywał się w pomarańczowe wilcze ślepie.

- Ha! Chciałbyś to zobaczyć, co? Może i nazywasz się Angelo, lecz aniołem to ty nie jesteś. - Podniosła chochlę. - Jeśli zaatakuje mnie teraz jakiś wilk, porządnie się sparzy.

Z kotła wiszącego nad ogniem naląła wrzątku do dużego kubła. Na chwilę zanurzyła w

nim kwokę, a następnie wyniosła na zewnątrz, by ją oskubać. Wróciła po chwili, a za nią pojawiła się grupka mężczyzn - starszy i dwóch innych, wyglądających na dwadzieścia lat. Jej ojciec pochylił się w progu, oparł topór o ścianę i łypnął okiem w kierunku wskazanym przez dziewczynę.

- To właściciel konia. Zje z nami zupę.

- Cała Maria! - zaśmiał się jeden z braci, opadając na ławę. - Zawsze zaprasza zbłąkanych podróżnych. - Nawet nie spojrzał na Angelo.

- Nie jesteś zbłąkanym wędrowcem - mruknął ojciec, ponownie spoglądając w kąt izby.

- Twoje zwierzę ma piękną uzdę i siodło. - Zabrzmiało to jak stwierdzenie i pytanie.

Angelo ograniczył się do skinienia głową.

- Tak, *signore*.

Dziewczyna wyszła, by dokończyć robotę albo obejrzeć uprząż. Wcześniej nie przyjrzała się bliżej wierzchowcowi, pochłonięta pilną robotą. Dopóki nie wróciła, mężczyźni siedzieli w milczeniu, gapiąc się w ognisko.

- Widzę, że nadal żyjesz - zażartowała. - Możesz zdjąć opończę i się rozgościć. Przynieś sobie stołek i siądź z nami do stołu.

Jeden z braci gwizdnął, gdy Angelo odstąpił gładką haftowaną tunikę, stanowiącą przeciwieństwo prostego przyodziewku domowników. Gdy wyprostował się na całą wysokość, Maria zasłoniła usta, a jej ojciec wstał i skłonił się nisko.

- *Scusami, signore*. Nie rozpoznałem was w ciemności. - Dał znak synom, aby wstali. - To zaszczyt dla tego skromnego domostwa, hrabio Angelo.

- To wasza córka uczyniła mi zaszczyt. Zaprosiła mnie, chociaż stratowałem waszą cenną nioskę. Rano odpłacę w czwórnasób.

Maria zaniemówiła po raz pierwszy od czasu, gdy ją potrafił. Spłonęła rumieńcem, słysząc jego komplement, i wróciła do przygotowywania potrawy. Angelo usiadł przy stole i dał znak pozostałym, aby uczynili to samo.

- Pracujecie dla mojego leśniczego, prawda? - zapytał. - Widziałem, jak rozmawialiście na podwórku.

- Tak, *signore* - odpowiedział ojciec. - Dzięki, żeś mnie zauważył. Jestem Vido, a to moi synowie, Paolo i Martino. Jesteśmy drwalami.

- Jesteśmy wdzięczni za waszą pracę - rzekł Angelo. - Dzięki wam, mimo surowej zimy, na zamku jest ciepło.

Dłonie dziewczyny drżały, gdy stawiała przed nim misę. Własną postawiła w odległym końcu izby, siadając obok niskiej ściany oddzielającej część mieszkalną od stajni. Podczas

posiłku nie wypowiedziała ani słowa, pozostawiając rozmowę mężczyznom. Kiedy Angelo wstał i raz jeszcze podziękował za posiłek, wymamrotała „*Prego, signore*” i spuściła oczy.

Paolo się roześmiał.

- Mało kto potrafi zamknąć Marii usta. Założę się, że gdy tylko wyjdziecie, *signore*, wróci jej mowa.

Angelo zignorował ulewny deszcz i spiął konia, ruszając do zamku, rozgrzany posiłkiem i widokiem piegowatej twarzy Marii Vidone, jej ognistych włosów i oczu błyszczących jasno w świetle lampy oliwnej o knocie z sitowia. Pomyślał, że następnego dnia wyrówna z nią rachunki, wyobrażając sobie szczegóły.

Wjechał na podwórko przed chałupą około południa, wioząc skrzynkę z kilkoma kwokami. Mężczyźni od dawna pracowali w lesie. Kazał leśniczemu dopilnować, aby mieli robotę do zmierzchu. Maria siedziała samotnie przed chatą, przędąc wełnę na kołowrotku. Na jego widok wstała, skłoniła się, a jej oblicze rozjaśnił uśmiech, który nie dawał Angelowi spać przez większą część nocy. Była mniej zdenerwowana niż wtedy, gdy ją opuszczał.

- Widzę, że cię nie wystraszyliśmy - rzekła, podziwiając kury, po czym wzięła skrzyknię z jego rąk i wniosła do chaty. - Powinnam nakarmić drób i od razu pokazać mu grzędy - oznajmiła. - Gdybym je wypuściła, nim się dowiedzą, gdzie jest ich nowy dom, uciekłyby w mgnieniu oka.

Zanim dotarła do ścianki oddzielającej izbę od części dla zwierząt, sięgnął pod jej suknię. Odwróciła się, zasłaniając skrzynką.

- Hola! Nie tak szybko, *signore*. Czy tak dziękujesz za strawę?

- Możesz w ten sposób podziękować mi za kury.

- Czy taka jest ich cena?

Wcisnęła mu skrzynkę do rąk, by miał je czym zająć.

- Moja wartość przewyższa cenę kilku niosek, hrabio Angelo.

Usiadła przy stole i spojrzała na oniemiałego młodzieńca. Mimo to jej uśmiech go zachęcił.

- Nie powiedziałam, że nigdy się nie spotkamy, wolałabym jednak znaleźć się w objęciach anioła, a nie wilczka, jeśli pojmujesz, co mam na myśli. Poczekaj chwilę. Poznajmy się najpierw choć trochę.

Na twarzy Angela pojawił się ciepły uśmiech.

- Dlaczego nazwałaś mnie wilczkiem? Z powodu sposobu, w jaki ogień oświetlił moje oczy wczorajszej nocy?

- Dziś rano rozmawiałam z dziewczyną pracującą na zamku. Wszystkie powiadają, że jesteś lubieżnym szczenięciem swojego dziadka. To nie twoja wina, *signore*.

- Nie przeraża cię to?

- A czemuż by miało? Przecie każdy z nas ma w sobie część zwierzęcia i anioła. Co jakiś czas naszą wioskę odwiedza wędrowny braciszek. Powiada on, że w każdym człowieku przyczajone jest dzikie zwierzę i że można je oswoić jedynie miłością. Podobnie jest pewnie z wilczętami. - Uśmiechnęła się. - Ludzie często porównują mnie do kota. Paolo twierdzi, że jestem raczej czarownicą.

Wstała i odebrała skrzynkę z jego rąk.

- Posiedź sobie chwilę, a ja się nimi zajmę. Później zaparzę nam herbaty. Ty opowiesz mi o dorastaniu w mieście, a ja o życiu w tej wiosce. Od tego zaczniemy.

Usiadła na murku i zwiesiła nogi. Jej łydki i bosc stopy pokrywało błoto. Wysypała ziarno na słomę, zanim otworzyła skrzyknę, i przemawiała do kur, gdy zaczęły dziobać. Chwilę później zawołała go:

- Mogę nauczyć cię czegoś o kobietach, jeśli będziesz cierpliwy i chętny do nauki. Powiadają, że masz jeszcze mleko pod nosem. - Zachichotała. - Nie mam nic przeciwko tobie, *signore*, lecz dziewczęta z zamku twierdzą, że przydałoby ci się kilka lekcji.

Więzień próbował nie myśleć o sekretnych miejscach, które mu pokazała, o różnych sposobach, w jakie pragnęła być dotykana i całowana - w ręce, usta i język - i hojności, z jaką odwzajemniała te pieszczoty. Robił, co tylko mógł, aby odwrócić myśli od jej szmaragdowych oczu błyszczących z takim żarem, że obawiał się, czy lada chwila nie ogarną ogniem strzechy.

Nie starał się jednak tak bardzo, jak powinien. Samotna kropla zabłysła na jego policzku na wspomnienie potoku łez szczęścia, które płynęły z oczu Marii, kiedy się w końcu kochali.

„Kochać się” było właściwym określeniem tego, co robili. Chociaż wydawało się, że skazała go na wieczne oczekiwanie, miała rację, że odwlekała chwilę zaspokojenia.

Kiedy skończyli, zwinęła się u jego boku i powiedziała, że od tego ranka do końca życia będą najwierniejszymi przyjaciółmi. Obejmując go, gładziła garb między jego łopatkami, powiadając, że przyniesie im szczęście i że kocha go jeszcze bardziej, ponieważ różni się od innych mężczyzn.

Piętnaście lat później napisał wiersz opisujący ich miłość. Niezwykła otwartość jej spojrzenia, piegi pokrywające policzki, ramiona i piersi, ubrudzone błotem nogi i ponętne,

święte miejsce, którym się kończyły - wszystko to było źródłem jego natchnienia. Opisał również jej tajemną duszę ukrytą we wnętrzu fizycznego aktu - duszę, która za każdym razem odślaniała się przed nim coraz bardziej.

Nagle ogarnęło go pragnienie odtworzenia poematu na tyle, na ile zdoła. Zebrał skrawki pergaminu zaścielającego podłogę celi, lecz nie znalazł czystego.

Niechże i tak będzie. Usiadł, ciężko dysząc. Musiał się skupić, przypomnieć sobie, kim jest i gdzie się znajduje. Kiedy nadejdzie strażnik, będzie go błagał o strzęp pergaminu, jeśli uzna, że nadal jest mu potrzebny. Przypomniał też sobie, że jest mnichem, który złożył ślub czystości. Może powinien zacząć błagać, aby przez kratę wlał się do środka zimny deszcz?

Ach... Mario!

Z błotnistej drogi znikły resztki śniegu. Słońce oczyściło żywopłot okalający chatę Marii w niecałą godzinę po tym, jak Vido i jego synowie wyruszyli do lasu. Angelo wjechał konno na dziedziniec. Był punktualny i ochoczy jak zwykle. Za chwilę wejdzie do chaty z niecierpliwością, która tak ją bawiła. Później, gdy Maria zaspokoi już jego pragnienie, będą mogli rozmawiać.

Często wspominała, jak kocha ich spotkania, jego zamyślane oczy, dziecięce rysy twarzy i troskę, jaką ją otaczał od pierwszego spotkania. Najbardziej lubiła ranki, gdy przywoził z zamku jedną ze swoich ksiąg, aby jej czytać. Dziwiła się, ile serdecznych uczuć kryje się w tych dziwacznych gryzmołach, po których wodził palcem, rzekomo tłumacząc ze starożytnego języka.

Przez owe miesiące odnosili się do siebie z wielką czułością. Tylko raz, gdy zaczęli się kłócić, podniósł na nią pięść, lecz nagle ogarnął go dziwny smutek i ze łzami w oczach odjechał do zamku.

Chociaż Maria nigdy o nic go nie prosiła, obsypywał ją szczerze darami w postaci jadła, narzędzi i bydła. Nie wiedział, czy załagodziły one gniew jej mężczyzn. Zawsze odjeżdżał do zamku, zanim wrócili z lasu.

Tego dnia, zamiast jak zwykle wybiec mu na spotkanie, czekała w chacie, przy stole. Przesuwała dłońmi po piersiach, zwalniając ruch, gdy palce docierały do brzucha. Miała mu widać coś do powiedzenia. Jej zaciśnięte usta świadczyły o tym, że zamierza to uczynić szybko, zanim jego uwagę odwrócą jej łono i rozkosz, jakiej mu zawsze dostarczało.

Uśmiechnięty Angelo zdołał zrobić nie więcej niż dwa kroki, gdy rzeczowo oznajmiła:

- Będziemy mieli bękarta, *signore*. Mam nadzieję, że uznasz to za szczęśliwą wiadomość i nie będziesz się na mnie gniewał.

Położyła dłonie na brzuchu i czekała. Jego twarz zamieniła się w maskę. Oczywiście oboje wiedzieli, że małżeństwo nie jest możliwe, zważywszy na przepaść, jaka ich dzieliła. Na dodatek nawet jeśli ona, szesnastoletnia dziewczyna, osiągnęła wiek odpowiedni do zamążpójścia, on jest jeszcze chłopcem. Jeżeli dziecko rozwijające się w jej łonie da jej radość, będzie musiała zatrzymać je dla siebie.

Przestał się uśmiechać i zastygł jak marmurowy posąg. Był oszołomiony i wpatrywał się w Marię przez chwilę, która nie miała końca.

Serce dziewczyny pograżyło się w otchłani milczenia.

- Niech cię diabli, Angelo! - krzyknęła w końcu. - Zastanawiasz się, co uczynić, prawda? Słyszę, jak twój umysł klika jak liczydło. Nic do mnie nie czujesz? Będziemy mieli dziecko! Zostaniesz ojcem! - Zaczęła płakać.

Podszedł i usiadł naprzeciwko niej z wyrazem rozdrażnienia na twarzy. Wyciągnęła dłoń, lecz jej nie ujął.

- Czego ode mnie oczekujesz, Mario? Srebra? Małżeństwa zaaranżowanego z mężczyzną z wioski? Chyba nie sądziłaś, że zabiorę cię do zamku? - Przemawiał spokojnie, jak człek rozsądny, nie mógł jednak ukryć sarkazmu w głosie.

Miała przygotowaną odpowiedź. Pochyliła się i oplotła palcami jego złożone dłonie. Nie cofnął ich.

- Chcę, abyś spisał akt wyzwolenia dla mnie i mojej rodziny.

Kiedy się zawahał, przybrała bardziej zdecydowaną postawę.

- Nie proszę dla siebie, lecz dla naszego dziecka. Chcesz, aby twój syn ci służył? Albo córka? Nie sądzę. - Wstała, obeszła stół i stanęła za nim, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Kwoka zagadała z tylnej części izby, dumnie ogłaszając światu, że zniosła jajko. Maria się roześmiała. Napięcie między nimi się zmniejszyło, twarz Angela się rozpuściła.

- Jesteś cudowna, kotku. Myślałem, że mówisz poważnie.

Skinęła głową. Spojrzała na niego ponownie przenikliwym wzrokiem.

- Nie zbijaj mnie z tropu - powiedziała. - Co powiesz naszemu dziecku? - Ujęła jego dłoń i położyła na swoim brzuchu.

Trzymał ją tam przez chwilę, po czym wstał z ławy i wziął Marię za rękę.

- Nie martw się. Nawet gdybym chciał cię odprawić, Bóg powstrzymałby moją rękę tak, jak powstrzymał rękę Abrahama. Inne postępowanie byłoby wbrew naturze.

Wyduła wargi i głośno wypuściła powietrze. Uspokoila się, gdy ją pocałował, i pozwoliła zaprowadzić się na siennik w rogu izby. Kochali się tylko raz, pospiesznie, pragnął jej bowiem dowieść swoich dobrych zamiarów. Odszedł natychmiast do skryptorium, aby

spisać akt wyzwolenia. Jeszcze tego wieczoru Maria otrzymała obietnicę wyzwolenia dla siebie i swoich bliskich.

Rozdział dziesiąty

Tej nocy spał niespokojnie. Przewracając się z boku na bok, rozmyślał o konsekwencjach swego czynu. Być może natura zaaprobowałaby jego dobry uczynek, lecz matka dostanie szału na wieść, że wyzwolił czterech pańszczyźnianych kmięci - w tym trzech silnych mężczyzn - i nienarodzone dziecko.

O brzasku, gdy tylko Vidone i jego synowie wyszli do pracy, kazał osiodłać wierzchowca i pojechał, cały spocony, do wioski.

Maria stała w drzwiach, obserwując promienie słońca przenikające szary całun chmur na porannym niebie. Uśmiechnęła się, widząc go na podwórku o tak wczesnej porze. W odpowiedzi wyjawiał jej swoje lęki.

- Musisz mi oddać dokument - zażądał. - Popełniłem błąd.

Weszła do chaty i usiadła na ławie. Kiedy usiadł obok, pokręciła głową.

- Nie mogę tego uczynić, Angelo - oznajmiła. - To nie byłoby sprawiedliwe wobec naszego dziecka. Na dodatek już go tu nie ma.

Nie był pewny, czy uwierzyć jej ostatnim słowom. Pomyślał nawet, czy byłoby poniżej jego godności wywrócenie wszystkiego do góry nogami w poszukiwaniu pergaminu.

- Nie doprowadzaj mnie do gniewu - zagroził. Jego ton był chłodny i przerażająco spokojny.

Wpatrywała się w niego dużymi, nieruchomymi oczami. Wyczuł jej lęk. Tańczył na jej twarzy jak cienie, gdy patrzyła na płomień ogniska. Wiedziała, że Angelo może zamienić ich życie w piekło.

Zdecydował już, że to uczyni, jeśli nie otrzyma pergaminu i nie zamieni go w pochodnię. Podobnie jak w dniu, gdy odprawił doktora Filippa, w jego wnętrzu przebudziła się zwinięta jadowita żmija gotowa uderzyć z podobnego co wtedy powodu. Nie można wchodzić mu w drogę - nie tam, gdzie jest panem. Bakalarz i Maria przekroczyli dopuszczalną granicę, próbując mu dyktować, co ma czynić na terenie swych włości. Jeśli argumenty i perswazje zawiodą, użyje siły.

Tego samego popołudnia zaczął egzekwować pańskie prawo do łupienia kmięciów, zabierając cielę, które rodzina Marii zamierzała utuczyć i zarznąć. Dzień w dzień posyłał zbrojnych, konfiskujących to baranka, to kury, to prosięta, które podarował dziewczynie. Z północnej wieży zamku obserwował zagrodę Vidonów. Dumął w niej niczym olimpijskie bóstwo, bawiące się życiem śmiertelnych. Z wysokiego zamku obserwował, jak ludzie

wykonywają jego rozkazy. Dałby wiele, aby móc widzieć przez ściany, słyszeć ich lamenty. Mimo to podjęte działania nie dostarczały mu przyjemności, wiedział bowiem, że Maria cierpi. Jak długo jeszcze będzie się opierała? Przecież chce jedynie, by zwróciła mu dokument. To z powodu własnego uporu ściągnęła na siebie niedolę.

Jego wzrastająca wrogość otoczyła dziewczynę niczym żywopłot z jeżyn. Czula kolce ze wszystkich stron. Za pośrednictwem leśniczego, Ursa i zbrojnych błagała go, aby przez wzgląd na miłość bliźniego zaniechał okrucieństw i ulitował się nad niedolą jej rodziny. Mimo to nie oddała cennego dokumentu, Angelo zaś nie zamierzał przestać. Kiedy zauważył, że ojciec Marii zarznął prosię i upiekł na rożnie, aby nie dostało się w jego ręce, rozkazał, by zabrać im mięsivo ze stołu i przywieźć do zamku.

To, co zobaczył ze swej wieży następnego ranka, niepomierne go zaskoczyło. Strażnik z zamku, z twarzą zasłoniętą przyłbicą, przyprowadził do zagrody Vidonów konia. Jeden z braci Marii wskoczył na siodło, wziął od siostry tobołek z jedzeniem, spiął konia, omal nie spadając na ziemię, i ruszył galopem na południowy zachód. Rodzina była coraz bardziej zdesperowana i wyraźnie na coś się zanosilo, chociaż Angelo wiedział, że nadal jest panem sytuacji. Los Vidonów był w jego rękach tak jak koń, którym kierowała niewprawna dłoń drwala.

Miarka się przebrała. Zdradził go jeden z jego własnych ludzi. Tego wieczoru, gdy Vido z synem wrócili z lasu, Angelo kazał odebrać im topory, piłę i inne narzędzia, których używali do pracy. Pomyślał, że teraz dziewczyna będzie musiała ustąpić.

Ona się jednak nie ugięła! Angelo przestał ufać swoim zbrojnym. Może pod osłoną nocy zaopatrują Vidonów w jedzenie, za dnia wykonując jego rozkazy? A może to sąsiedzi pomagają Vido i jego dzieciom?

Zastanawiał się, jak jeszcze mocniej zaciągnąć postronek teraz, gdy pozbawił ich już większości dobytku.

- Urso! Popytaj w wiosce, czy ktoś oskarży Vidonego o popełnienie jakiegoś przestępstwa - rozkazał rządcy następnego ranka. Po tych słowach wyliczył znaną litanię skarg wieśniaków: przepędzanie bydła przez cudzą ziemię, niszczenie żywopłotów, uchylanie się przed pańszczyzną, zanieczyszczanie źródeł, dojenie cudzej krowy, przesuwanie kamieni granicznych, różnego rodzaju kradzieże.

Rządca skłonił głowę i odszedł do wioski. Mimo że wypytywał przez kilka dni, niczego się nie dowiedział.

- Wszyscy są do nich przychylnie nastawieni - oznajmił. Oczywiście jedynym wyjątkiem był Angelo.

Po tygodniu brat Marii wrócił w towarzystwie wysokiego męża w mnisim kapturze. Kimkolwiek był, pozostał w wiosce przez większą część dnia, a następnie wrócił tam, skąd przybył. Angelo po raz pierwszy poczuł, że może stracić panowanie nad sytuacją.

Zbyt późno odkrył, co wydarzyło się za murami, których nie zdołały przeniknąć jego wzrok i słuch. Pewnego ranka podsłuchiwał dwie służki plotkujące obok komórki przy kuchni o rodzinie Vidonów. Wystrzelili ostatnią strzałę, którą mieli w kołczanie, lecz ta dosięgła celu.

- Maria trwa przy swoim - mówiła pierwsza. - Ufa, że pan przestanie ich krzywdzić. Powiada, że poznała lepszą stronę jego duszy i nadal go miłuje.

- Szkoda dziewczyny - westchnęła druga. - I szkoda dziecka, jeśli liczy na jego pomoc. - Angelo skrzywił się na te słowa, a dziewczyna ciągnęła. - Nie zna widać jej braci. Wiedziałby, że Paolo na to nie pozwoli. Zabierać jadło ze stołu? Paolo poprzysiągł, że nie będzie więcej jadł wron. Martino powiedział mi wczoraj, że jego brat pojechał do Todi, aby poskarżyć się biskupowi.

- Kiedy widziałaś Martina? Nie wspomniałaś mi o tym.

Druga zachichotała i ściszyła głos tak, że nie mógł niczego usłyszeć.

Angelo dowiedział się później, że biskup Pietro wysłał Paola ze swoim bratankiem, Benedettem, aby zapoznali się z sytuacją prawną rodziny. Biskup wyprawił następnie obu do Coldimezzo, gdzie hrabia Buonconte sprawował po zmarłym ojcu urząd sędziego.

Wszystkie wspomniane szczegóły wyszły na jaw w następnym tygodniu, gdy hrabia Angelo dei Lorenzini, pan Wieży Wilka, został wezwany na zgromadzenie szlachty - przed oblicze ludzi, którzy mieli być jego rówieśnikami i sprzymierzeńcami. Zamiast tego okazali się sędziami.

Rankiem, w dzień rozpoczęcia procesu, Angelo obserwował z wieży, jak rodzina Vidonów wsiada na wóz zaprzężony w konie, które ktoś im pożyczył. Nie chcąc spotkać oskarżycieli na gościńcu, pognał do stajen i rozkazał, aby natychmiast osiodłano mu konia, na którym pogalopował do Coldimezzo, docierając na miejsce w ciągu niecałej godziny.

Włóczył się po dziedzińcu, dopóki nie dostrzegł w oddali znajomej fury. Chcąc nie chcąc, wszedł na salę.

Hrabiego otoczyło kilku świeckich i prałatów odzianych w szaty świadczące o sprawowanym urzędzie. Buonconte wskazał mu jedno z krzeseł ustawionych w kręgu, a następnie przedstawił tych, którzy mieli rozpatrzyć skargę pańszczyźnianej chłopki Marii Vidone. Poczuli zakłopotanie na widok ludzi, którzy dobrze znali jego rodzinę. Oprócz hrabiego na sali znajdowali się biskup Todi, Pietro Gaetani, który jako obserwator sprowadził

swojego bratanka, Benedetta, sędzia, którego Angelo nigdy nie wcześniej nie widział, notariusz *maestro* Maccabeo, który kiedyś najgłośniej opłakiwał śmierć jego *papà*, oraz minister generalny zakonu braci mniejszych, brat Jan z Parmy. Inny braciszek, pulchny młody skryba, zajął miejsce naprzeciwko Angela z piórem przygotowanym do notowania. Obok Angela siedział hrabia Guido, który pewnego dnia sam mógł zasiąść na miejscu brata.

Wysokie drzwi sali otwały się ponownie i do środka weszła Maria Vidone w towarzystwie ojca oraz braci. Rzuciwszy nerwowe spojrzenie w stronę Angela, przygotowała się do złożenia skargi w imieniu całej rodziny. Mówiąc, trzymała w dłoni, niczym berło, zwinięty akt wyzwolenia. Nie ukłoniła się nawet hrabiemu Buoncontemu i innym dostojnikom.

- *Domini mei...* - zaczęła drżącym głosem, starając się przywołać zasłyszane słowa i frazy.

- *Signorina*, panowie siedzący obok mnie bez wątpienia rozumieją, co powiedziałaś, marnujesz jednak na mnie swą łacinę - przerwał jej z miejsca Buonconte. - Jestem zwyczajnym wiejskim sędzią. Proszę mówić tak, abym zrozumiał.

Angelo osunął się na krzesło, przygnieciony ironią sytuacji. Kiedyś skarżył się doktorowi Bartolowi na niesprawiedliwy system sędowniczy, wymagający składania skarg po łacinie. Jednym słowem hrabia Buonconte uprościł całe postępowanie.

Maria skłoniła się, a następnie spojrzała z uśmiechem w stronę hrabiego, kontynuując swoje wystąpienie pewniejszym głosem:

- *Signori* i wy, wielbni ojcowie, zwracamy się z prośbą, aby nas i dzieci nasze ogłosić na wieki wolnymi oraz by cały odebrany majątek ruchomy i nieruchomy został nam zwrócony i pozostał w naszym posiadaniu, jako tych, którzy mają do niego pełne prawo.

Angelo otworzył usta ze zdumienia. Ciekawe, kto nauczył ją tych słów lub łacińskiego zwrotu, którego przed chwilą użyła. Wypowiedziała formułę bez zarzutu. Uśmiezek na twarzy Benedetta Gaetaniego dostarczył mu nieomyślnej wskazówki w tym względzie.

Maria mówiła logicznie, zwracając się do każdego z sędziów po kolei, nieonieśmielona ich wysoką pozycją. To, że sprawiedliwość leży po jej stronie, wyrażała zarówno postawą, jak i słowami.

- Gdyby ktokolwiek próbował naruszyć w jakikolwiek sposób naszą własność lub nietykalność cielesną, pozwiemy go przed sąd, aby rozstrzygnął skargę według litery prawa.

Buonconte opuścił głowę i spojrzał spode łba na Angela. Jak się w to wplątałeś, przyjacielu? - pomyślał. Następnie odebrał zwój z rąk Marii i rozwinął na kolanach.

- Czy ktoś chce się odnieść do tej skargi? - zapytał.

Ponownie spojrzął na Angela, którego twarz poczerwieniała niczym kardynalska peleryna. Chłopak wiedział, że dokument przemawia wystarczająco donośnie, aby zagłuszyć wszelkie słowa. Pokręcił głową. Nie mógł go obalić.

Buonconte przejrzał akt wyzwolenia i wręczył mu go.

- Rozpoznajesz swój charakter pisma, *signore*?

Angelo skinął głową i odpowiedział słabym głosem:

- Tak.

Hrabia podał dokument innym zgromadzonym. Kiedy skończyli czytać, powstali jak jeden mąż i zgromadzili się za krzesłem sędziego, rozmawiając przyciszonymi głosami. Benedetto Gaetani i skryba pozostali na miejscach, podczas gdy starsi mężowie radzili, co czynić. Angelo skulił się, czując na sobie wzrok triumfującego wroga.

Kiedy mężczyźni na powrót zajęli miejsca, hrabia Buonconte ogłosił:

- Zamykamy posiedzenie w sprawie skargi rodziny Vidonów. Niechaj nikt się nie waży nazywać ich pańszczyźnianymi chłopami, naruszać ich czci lub zgłaszać roszczenia do ich własności. Nakazujemy również, aby wszelki majątek zabrany po sporządzeniu owego pisma został im zwrócony. Ten, kto się do tego nie zastosuje, zapłaci dwa tysiące bizantów za każde naruszenie, z czego połowa pójdzie do skarbcza wspólnoty, druga zaś przypadnie wspomnianej rodzinie.

Maria spojrzała ze smutkiem na Angela. Jej spojrzenie mówiło o tym, co mogłoby się między nimi wydarzyć, gdyby wszystkiego nie zaprzepaścił, zwracając się tak nikczemnie przeciw niej. Doświadczyłeś ze mną jedynie fizycznej miłości, zaledwie przedsmaku miłości absolutnej, mówiło jej spojrzenie. Wybrałaś suchy chleb i kleik zamiast uczty, którą dla ciebie przygotowałam. Objęła brzuch dłońmi i wyszła z sądu w towarzystwie swoich krewnych.

Angelo odwrócił się od pozostałych, pragnąc wyjść, gdy tylko Vidonowie miną podwójne drzwi. Patrzył, jak Maria drepcze do wyjścia i znika w holu, przygnębiony tym, że nie ujrzy jej już nigdy więcej, nie dowie się, czy ich dziecko jest chłopcem, czy dziewczynką.

Ze zdumieniem poczuł dłoń hrabiego Buoncontego na swoim ramieniu.

- Młodzieńcze postęпки bywają głupie, hrabio. Wszyscy uganialiśmy się za młodymi klaczami, które czasem okazywały się zbyt narowiste. Uznaj tę sprawę za zamkniętą. Niech będzie dla ciebie nauczka.

Podobnie jak podczas pierwszego spotkania, szlachcic podał mu dłoń.

- Proszę, zostań na kolacji i poznaj tych poczciwych ludzi. Spotkacie się pewnie w bardziej sprzyjających okolicznościach. Nie mogliśmy dziś zdecydować inaczej, żaden z nas nie chowa do ciebie urazy.

Żaden prócz Benedetta Gaetaniego, pomyślał Angelo. Mimo to przyjął zaproszenie. Nie chciał spotkać rodziny Vidonów w drodze do Wieży. Nie spieszno było mu też usłyszeć plotki, które rozejdą się po wiosce i zamku.

Rozdział jedenasty

Na horyzoncie zaczęły się gromadzić cumulusy podświetlone promieniami wschodzącego księżyca, przybierając wygląd pokrytych śniegiem gór. Ich blask przedłużał zmierzch zapadający za Coldimezzo, gdy goście szykowali się do wieczerzy. Giermkowie biegali po sali, umieszczając pochodnie w uchwytych na ścianach i stawiając na stołach lampy oliwne z knotami z sitowia. Paż w szkarłatnej liberii podszedł do Angela z miską i dzbankiem wody. Młody *signore* opłukał dłonie i osuszył ręcznikiem wiszącym na ramieniu chłopca. Chciałby niczym Poncjusz Piłat tak łatwo uwolnić się od hańby.

Paż wskazał mu jego miejsce między notariuszem Maccabeem i sędzią, którzy czekali na znak, by zasiąść do stołu. Ujrzawszy surowy wyraz twarzy *maestra* Maccabea, Angelo zwątpił w zapewnienie Buoncontego, że żaden z jego zacnych gości nie żywi do niego urazy. Fałdy czarnej jak węgiel jedwabnej szaty sędziego opadały majestatycznymi prostymi liniami od karku po kostki. Maccabeo miał na sobie równie poważną szatę, przepasaną zwykłym skórzanym pasem, do którego przypięty był uchwyt na pióro i kałamarz, symbole jego fachu.

Trzej świeccy stali po lewicy Buoncontego. Ławki po prawej były zarezerwowane dla osób duchownych, lecz czekali tam jedynie biskup Pietro i jego bratanek. Angelo rozejrzał się po sali i dostrzegł ubranych w szare habity mnichów, siedzących wraz ze sługami przy gorszym końcu stołu.

Kiedy goście zajęli miejsca, Maccabeo wyciągnął dłoń poprzecinaną ciemnymi żyłkami, sękatą od przepisywania dokumentów prawnych.

- Dobrze znałem twego ojca - rzekł. - Nie byłby zadowolony z interesu, jaki dziś ubieś.

Angelo spuścił oczy.

- Ja również nie jestem z niego dumny, *maestro* Maccabeo - wymamrotał.

Sędzia odchrząknął, odwracając się w drugą stronę.

- *Signore* Iacobello wspomniał mi, że chciałby, abyś pewnego dnia wstąpił do naszej gildii - kontynuował notariusz. - Prosił mnie nawet, abym wziął cię na terminatora, gdy osiągniesz stosowny wiek. - Maccabeo przerwał na chwilę, przez szczerbate zęby wsuwając do ust łyżkę rosółu z sarniny. Siorbnął i przyjrzał się chłopcu uważnie, jakby zobaczył interesującego stwora, *scitalisa* lub *iaculusa*, w starym bestiariuszu. Jeśli w dalszym ciągu będziesz tak postępował, utracisz dobre imię i nie będziesz mógł wykonywać tego zawodu - ostrzegł. - Jako czołowi obywatele Todi nie możemy narażać naszej reputacji, nawet gdyby oznaczało to wyświadczenie przysługi dobremu przyjacielowi. Masz szczęście, że do tego

żałosnego incydentu doszło poza granicami miasta.

Ponownie począł siorbać zupę, podczas gdy sędzia obgryzający sarni udziec jak echo powtórzył: „Amen”. Angelo spuścił w milczeniu głowę, zmieszany drażniącą wonią potu spływającego pod jego tuniką. Przez szczelinę okienną do wnętrza wpadł promień księżycy, oświetlając jego pierś. Skóra na przedramionach i klatce piersiowej zaczęła go swędzieć, musiał też ukryć dłonie w rękawach. I tak nie miał apetytu. Z oddali doleciało wycie samotnego wilka, odbijające się echem od wzgórz za zamkiem.

Musiał znieść długą, niezręczną ciszę, zanim notariusz przestał siorbać i podjął swój wywód:

- Mimo to gotów jestem przypisać ów incydent młodzieńczemu brakowi rozwagi. Przez wzgląd na twojego ojca uszanuję złożoną mu obietnicę i przyjmę cię do swego domu na ucznia. Musisz jednak pamiętać, że po tym, co się dzisiaj stało, mogę to uczynić jedynie na próbę.

Angelo rzucił okiem na pokrytą plamami twarz Maccabea.

- *Grazie, maestro.*

Zanim notariusz zdołał powiedzieć coś więcej, wilk zawył ponownie, tym razem bliżej zamku. Przy stole zapadła cisza. W uszach Angela to niesamowite wycie zabrzmiało jak wezwanie. Serce waliło mu pod tuniką, a na wierzchu dłoni pojawił się miękki puch.

- *Il licantropo* - wymamrotał sędzia. Goście cicho powtarzali te słowa, spoglądając po sobie.

- Niech San Fortunato chroni nas przed tymi demonami - zmówił modlitwę biskup Pietro. Hrabia Bernardone i biskup rozmawiali o obecnej sytuacji w Kościele. Pietro wrócił do przerwanej tematyki z lekką nutką sarkazmu. - Brat Jan z Parmy, gdyby nie był zbyt pokorny, aby z nami usiąść, mógłby ci więcej powiedzieć. - Machnął ręką w stronę mnichów. - Przez ostatni rok wizytował wszystkie zgromadzenia zakonu... zatrzymywał się w każdym miejscu na dwa dni, spisywał uwagi dla przeora i odpływał dalej niczym obłok. Rozmawiał również z królem Francji, Ludwikiem, kiedy Jego Wysokość wstąpił do jednego z klasztorów, udając się na wyprawę krzyżową.

- Nie wspomniał nic o planach króla? - zapytał Buonconte.

- Mówi równie mało, jak je. Na szczęście młody skryba, którego z sobą przywiózł, jest gadułą.

- Brat Salimbene?

Biskup skinął głową.

- Ma nadzieję, że po wyświęceniu zostanie mianowany kronikarzem zakonu. Wyjawił

mi prawdziwy powód podróży Jana do Francji. Pojechał tam na spotkanie z Hugonem de Digne. Hugon wygłosił homilię opartą na prorocत्वach opata Joachima z Fiore. Opat wyznaczył rok tysiąc dwieście sześćdziesiąty jako datę apokalipsy. Brat Salimbene oczekuje, że minister generalny niebawem ustąpi z urzędu i przeniesie się do jaskini, aby ostatnie lata życia poświęcić modlitwie.

Maccabeo szepnął do Angela:

- Twój ojciec nazywał takie prorocत्वy „obłąkanym fanatyzmem”. Oczywiście, za równie obłąkane uważał powołanie braciszków. Odrzucają oni wszystko, co czyni życie cennym w oczach innych ludzi. Mimo to, stojąc w obliczu śmierci, czuję pokusę przyjęcia takiego powołania i byłbym się na nie zdecydował, gdybym nie pojął za żonę młodej kobiety.

Przerwało mu zamieszanie, które zapanowało w przeciwległym końcu sali. Otworzyły się drzwi i do środka wpadł trzeci braciszek w szacie ubrudzonej po ciężkiej podróży. Rozejrzawszy się po zgromadzonych, podszedł wprost do brata Jana, skłonił głowę i począł szeptać mu coś do ucha. Minister generalny spokojnie go wysłuchał i powtórzył wszystko swemu skrybie.

- Jakie wieści przynosi?! - zawołał Buonconte. - Cóż tak ważnego się zdarzyło, że twój braciszek zaryzykował podróż w nocy?

Brat Jan ponownie szepnął coś swojemu towarzyszowi. Salimbene wstał i podszedł do szczytu stołu.

- Antychryst znów się objawił - oznajmił. - W pobliżu Neapolu widziano wojska cesarza Fryderyka.

Przez salę przeszedł szmer. Angelo czuł się zagubiony. Kilka miesięcy temu Mario powiedział mu o śmierci Fryderyka, gdy całe miasto poderwały na nogi bijące dzwony San Fortunato.

- Antychryst? - wymamrotał sędzia do Maccabea, ignorując siedzącego między nimi Angela. - Przemawia jak papista. Nawet gwelfowie przyznają, że Fryderyk był wielkim człowiekiem. Mówił i czytał w dziewięciu językach w czasach, gdy większość władców pozostawała analfabetami.

Biskup Pietro podążył innym tropem.

- Skąd możemy mieć pewność, że naprawdę umarł? - zwrócił się do mnicha. - Skąd przyszły te nowiny? I co z prorocत्वem głoszącym, że dokona żywota we Florencji? Czy tam skonał?

- Nie, zaiste nie - odparł Salimbene. - Jeden z naszych braci, modlący się na wybrzeżu Kalabrii, miał widzenie, w którym cesarz i pięć tysięcy jego wojowników zginęli w paszczy

wulkanu Etna na Sycylii.

Sędzia prychnął głośno.

- To ma być potwierdzenie wieści o jego śmierci?

- W naszym zakonie nie lekceważymy takich objawień - odparł spokojnie braciszek.

- Wówczas powinniśmy rzec, że żyje, a nie masz go pośród śmiertelnych - stwierdził sędzia. Skrzyżował ręce na piersi i przewrócił oczami z wyraźną odrazą.

- Jeśli nie żyje, nadchodzące lata mogą okazać się trudne dla naszego stronnictwa. Może dojść do ponownych rozruchów wśród ludu - zauważył Buonconte.

- Fryderyk miał wielu synów - przypominał hrabia Guido. - Wiadomo przynajmniej o dwudziestu.

- Liche cienie ojca - odburknął biskup Pietro. - Inna sprawa to jego pomocnicy. Są bardziej przejęci poglądami Fryderyka niż jego dziedzice. Ci, którzy jeszcze żyją, doskonale wiedzą, jak utrzymać posłuch wśród motłochu.

Angelo czuł się coraz bardziej niezręcznie, rozumiejąc, że otaczają go mężowie, których jego druh, Mario, uznałby za gibelińskie świnie. Przypomniał sobie pytanie, które zadał doktorowi Bartolowi. Najwyraźniej Pietro pozostał szlachcicem, powołanie duchowne traktując jako fach.

Skrzywił się też na wspomnienie pomocników cesarza. Podobnie jak ojciec owego kupca Bernardone straszył synów baśniami o *Il Lupo*, jego *papà* przed pójściem spać wprowadził go w przerażenie opowieściami o tyranach i powstaniach podnoszonych przeciw nim, śmiejąc się z potu, który występował na twarzy chłopca. Opowiadał o tym, jak Guido di Suessa pewnej nocy tak szybko uciekał przed rozwścieczonym tłumem, że wpadł do głębokiego kloacznego dołu i zniknął na wieki w cuchnącej otchłani. W jednym z powracających nocnych koszmarów Guido ciągnął go za sobą w dół oślizgłego trzęsawiska.

Niejaki Albertyk, zły na Boga i ludzi, którzy zmarnowali jego ukochanego sokoła, oddał mocz na ołtarz katedry w Trewirze, a następnie powiesił winowajców i kazał ich żonom paradować nago pod szubienicą. Na zakończenie opowieści Iacobello opisał synowi z drastycznymi szczegółami, jak mieszkańcy miasta zbuntowali się przeciw niemu i zmusili do oglądania, jak duszą jego żonę i dziewięcioro dzieci, a następnie przywiązali go do czterech koni i rozerwali na strzępy.

Najgorszym ze wszystkich był zięć Fryderyka, arcydemon Ezzelino, włochaty jak jeden z magotów cesarza. Wiele owych demonów dawno odeszło w niepamięć, lecz Ezzelino, który nienawidził kobiet i sypiał w pełnej zbroi, nadal pozostawał wśród żywych. Do dziś w imieniu cesarza sprawował okrutne rządy w Lombardii i zdaniem Iacobella Lorenzini

gdyby zechciał, mógł stanąć u bram Todi w ciągu kilku tygodni, aby wyróżnić wszystkich leniwych małych chłopców.

Angelo wiedział, że podczas rozruchów na przełomie wieków wielu kasztelanów zbuntowało się przeciwko swoim panom i spaliło ich posiadłości. Wieża została oszczędzona z powodu złej sławy, jaką miał *Il Lupo*. Dziad Angela umieścił swój majątek pod opieką benedyktynów w klasztorze niedaleko Perugii. Mnisi wojownicy z San Pietro ze swymi ogromnymi bojowymi ogierami uosabiali perugiańskie umiłowanie wojny.

Żaden kmicieć nie ośmieliłby się zdrzeć z tymi okrutnymi fanatykami.

Gdy żołądek Angela skurczył się na myśl o tych wspomnieniach, biesiadnicy poczęli rozmawiać o pogłoskach dotyczących narodzin Fryderyka.

- Powiadają, że matka Fryderyka, Konstancja, była zakonnica zwolniona ze ślubów zakonnych, Sycylijczycy bowiem pragnęli zawrzeć sojusz z Niemcami - rzekł biskup Pietro.

- Nie, księżniczka była skwaszoną starą panną. Jej bracia nie posiadali się ze szczęścia, mogąc oddać tę wiedźmę księciu Henrykowi. Miała wówczas co najmniej trzydzieści pięć lat.

- Trzydzieści pięć? Słyszałem, że czterdzieści pięć! Sycylijczycy powiadają, że cesarz nie był w ogóle jej dzieckiem.

- Skądże, skądże. Urodziła na rynku w Menfi, obserwowana przez połowę mieszkańców miasta, aby mogli o tym zaświadczyć.

- Tak, Fryderyk był jej dzieckiem, lecz z pewnością nie dzieckiem Henryka. Fryderyk nigdy nie zaprzeczał, że jego ojcem był rzeźnik z Jesi. Jak inaczej wytłumaczyć jego żądzę krwi?

Hrabia Buonconte słuchał przez chwilę, a następnie zauważył:

- W każdym razie należy podziwiać mądrość tego przymierza. Papież został otoczony przez cesarstwo: Niemcy i Lombardia na północy, Sycylia i Neapol na południu.

Ludzie skinęli głowami. Zjawia polityki ukazała się pośród nich i podsyciona dobrym winem sprawiła, że goście wdali się w długą, wieczorną dysputę.

Angelo szepnął *maestrowi* Maccabeowi, że źle się czuje, i wstał od stołu. Zapadający zmierzch nigdy wcześniej nie wywierał na niego tak silnego wpływu. Czuł mdłości i miał wrażenie, jakby skóra w każdej chwili mogła mu się otworzyć. Wyszedł na świeże powietrze i oszałamiający księżycowy blask zalewający dziedziniec. Księżyc w pełni wisiał wysoko ponad obłokami na horyzoncie.

Wycie wilka przedarło się przez zasłonę drzew tuż za ziemnym obwałowaniem zamku. Chłopak wciągnął nosem wilgotny nocny wiatr i zawył w odpowiedzi na słabnące echo.

- Idę, *nonno!* Idę! - zawołał.

Zbudził stajennego śpiącego na sienniku, każąc mu osiodłać konia, i polecił odźwiernemu, aby otworzył boczną furtę. Strażnik spojrział na niego ze strachem, gdy zaczął prowadzić spłoszonego stępaka do spowitego mrokiem lasu.

Wyszedłszy z zamku, dosiadł konia i ruszył głównym szlakiem, dopóki znów nie usłyszał żałosnego wycia. Skierował konia w zarośla, z których dochodził ten odgłos. Pochylił się, obejmując ramionami koński kark, aby nie pokaleczyć twarzy o nisko rosnące gałęzie. Nie mógł podejść do wilka. Gdy docierał do miejsca, z którego rozlegało się wycie, zwierzę było już gdzie indziej. Małe stworzenia rozbiegały się w zaroślach, spłoszone niespokojnymi kopytami wierzchowca, jednak wilk ciągle znajdował się poza zasięgiem wzroku Angela. Szedł na zachód, śladem księżycy przesuwającego się po niebie.

O świcie chłopak i koń stanęli na szczycie wzgórza górującego nad szumiącymi wodami Tybru. Angelo trwał nieruchomo, czekając, aż niebo zaleje poranne światło, by ujrzeć rzekę płynącą na południe w stronę Rzymu i Todi. Świerzbienie skóry ustało, serce przestało dziko bić.

Na sąsiednim pagórku stał biały wilk - ten sam, który ukazał mu się we śnie rok temu. Utkwił w młodzieńcu badawcze spojrzenie, by po chwili odwrócić się i zniknąć wśród drzew.

- *Capisco, nonno!* Rozumiem! - krzyknął.

Tego dnia miał wrócić do Todi, aby przejąć dom i swoje dziedzictwo z rąk matki i jej sługusów. Mając za sobą wschodnie niebo i pomarańczowe obłoki, spiął konia i zjechał ze wzgórza ku ścieżce prowadzącej do miasta.

Rozdział dwunasty

Godziny poranka mijały, a Angelo zaczął żałować, że w takim pośpiechu opuścił Coldimezzo. Brzuch mu burczał jak kundel przyparty do muru. Nie zabrał z sobą jedzenia, a na dodatek nie tknął kolacji. Mógł jedynie ugasić pragnienie wodą ze strumienia. Rad był jednak z obrotu spraw.

Urso mógł przejąć zarząd nad majątkiem i zwrócić rodzinie Vidonów odebraną własność. Prześle rozkazy przez umyślnego. W ten sposób uniknie wysłuchiwanie drwin sług, którzy jako pierwsi dowiedzą się o zwycięstwie Marii. Niech ją diabli! Niech diabli wezmą jej ojca i braci, i tę przekłętą wczesną porę roku, w której nie można znaleźć w lesie nawet jagody, by zaspokoić głód.

Kiedy dotarł w końcu do domu, zsiadł z konia i udał się wprost do kuchni.

Jego rozdrażnienie się pogłębiło, gdy zastał w środku Gastalda zamiast gotowej na jego usługi Remy.

- To nie moja wina - usprawiedliwiała się kucharka, gdy Angelo stanął w drzwiach. - Ogień nierówno płonie, nie zagotuję wody. Dziś wieje w domu zły wiatr. - Uniosła ręce i otworzyła usta, by zaprotestować, gdy ujrzała Angela stojącego za sługą.

Gastaldo odwrócił się, aby sprawdzić, co jej przerwało. Na widok młodzieńca zrobił krok do tyłu, omal nie wypuszczając z rąk prześcieradeł.

- Czyżbym aż tak się zmienił? - zapytał z ironią Angelo. Nadal chował urazę do służki, który wziął udział w spisku zakończonym jego zesłaniem.

- Co tu waszmość robisz? Nie powinieneś wracać przed latem.

- Zapomniałeś, że jestem *signore*? Przychodzę i odchodzę, kiedy zechcę. - Spojrzał na sługę najgroźniej, jak potrafił, dopóki oblicze Gastalda nie oblało się takim samym czerwonym rumieńcem jak twarz kucharki.

Sługa złożył mu pokłon.

- *Mi scusi!* Zaskoczyłeś nas, *signore*.

- Widzę! Oboje jesteście czerwoni jak papryka. Co tu się dzieje? Mogę dostać coś do jedzenia?

Rema spojrzała na sługę. Gastaldo skinął głową.

- Dopilnuję wody - powiedział. - Daj *signore* jadło.

- Tak - przytaknął Angelo. - Podaj na desce wszystko, co masz pod ręką.

Kucharka zniknęła w komórcę, a obok Angela przebiegła nieznaną mu niewiasta.

- Potrzebuję wody, takiej, jaką macie - oznajmiła Gastaldowi. Wzięła od niego płótna, spojrzała przelotnie na Angela i wybiegła.

Coś nowego! Starsza kobieta, której nigdy wcześniej nie widział, rozkazuje jego słudze? Kobięcina uboga niczym żebrzący mnich, sądząc po liczbie lat na jej sukni? Spojrzał na mężczyznę, który zaczął nalewać wodę z kotła do mniejszego kubła.

- To położna - wyjaśnił Gastaldo, odpowiadając na jego nieme pytanie. - Zjawileś się w sam czas na poród - powiedział, z pośpiechem opuszczając kuchnię.

Przed oczami Angela przesunął się korowód służących, które zapamiętał. Przekrojony bochen chleba i zimne mięsiwo przerwały jego zadumę. Usiadł przy stole, podczas gdy kucharka umieściła nowe polano pod kotłem z wodą. Płótna i woda kazały mu się zastanowić, czy matka i jej słabe zdrowie były główną przyczyną jego zesłania.

- Jak się miewa twoja pani, Remo? - zapytał.

Kobieta nie podniosła oczu.

- Mam nadzieję, że dobrze.

- Masz nadzieję? Gdzie ona jest?

Kucharka westchnęła głęboko.

- W sypialni, z położną, która wyszła przed chwilą.

- Pomaga jej przy porodzie?

Niewiasta pochyliła się jeszcze głębiej.

- Nie mnie pytajcie o takie rzeczy, *signore*. Musicie porozmawiać z Gastaldem.

Zachichotał.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie masz pojęcia, co się dzieje w tym domu?

- Właśnie - odpowiedziała Rema z westchnieniem ulgi.

- Idiotka, tak jak podejrzewałem - mruknął z ustami pełnymi chleba.

Sługa wpadł w pośpiechu do kuchni i próbując zignorować swego pana, znów zaczął napełniać kubel. Angelo pozwolił mu skupić się na tej czynności, jedząc kolejną pajdę chleba, lecz gdy Gastaldo chciał czmychnąć z kuchni, zapytał:

- Kim są rodzice?

- Powiedz mu, Remo - rzucił sługa, wychodząc i rozlewając wodę na posadzkę.

Angelo miał dość tych wszystkich tajemnic i uników. Spojrzał gniewnie na kucharkę.

- Na świętego Marka, co tu się dzieje? Przestań udawać niemowę i powiedz prawdę, w przeciwnym razie zostaniesz ukarana.

Na szczerzej twarzy niewiasty pojawiła się nadąsana mina świadcząca o tym, że poczuła się zraniona. Zaczepnęła powietrza i wypaplała:

- To mama *signore*. Oszczeniła się, wydając na świat pomiot onego braciszka. To najprostsza odpowiedź, jakiej potrafię udzielić. Boże, ochroń posłańca.

Właściwie nie był to pomiot, a szczenię płci męskiej, ciemne niczym sadza na czubku komina, z głęboko osadzonymi oczami czujnie spoglądającymi od chwili urodzin. *Donna Lucia* była wyczerpana, nie krwawiła jednak nadmiernie i jej życiu nic nie groziło. Mamka już karmiła niemowlę. Ktoś powinien pójść po braciszka - najlepiej innego - by jak najszybciej je ochrzcić.

Słumiony śmiech, który rozlegał się po ostatnim poleceniu, uderzył Angela jak żelazna rękawica. Nie minie dzień, a będzie się z nich śmiało całe miasto. Przypomniał sobie, z czego już rechotali słudzy w Wieży. To tyle, jeśli chodzi o reputację rodu Lorenzinich. Bali się nas, a teraz będą nazywać błaznami.

- Gastaldo, muszę iść do piwnicy z winami - powiedział, gdy położna wróciła do komnaty jego matki. Gdy *donna Lucia* była przykuta do łóżka, sługa miał klucze do wszystkich bram, drzwi i kredensów w całym domu.

Mężczyzna uniósł pytająco brwi.

- Pójdę z tobą, *signore* - zaproponował, szukając klucza na kole przytroczonym do pasa.

Gastaldo nie zadawał żadnych pytań, gdy szli na dół, lecz Angelo czuł się w obowiązku wyjaśnić:

- Chcę uczcić szczęśliwe narodziny brata. A może przyrodniego brata? Tak, szczęśliwe narodziny bękarta, mego przyrodniego brata. - Chcę się upić i położyć miłosiernie kres wydarzeniom dwóch ostatnich dni, pomyślał.

Nigdy wcześniej nie był pijany, znał jedynie stan przyjemnego podchmienia, lecz jako powracający pan mógł robić wszystko, co mu się podobało. Matka będzie zajęta niemowlęciem, dochodząc do siebie po porodzie. Był teraz bardziej niż kiedykolwiek panem we własnym domu.

Sługa napełnił dzban z napoczętej beczki.

- Do pełna - rozkazał Angelo. - Pragnę także wznieść toast na cześć zmarłego *papà*. Minął prawie rok od jego pogrzebu.

Gastaldo spojrział nań z podwyższenia, na którym stał.

- Masz słuszność, *signore*. W całym tym zamieszaniu... - urwał, jakby odjęło mu mowę.

- Zaiste, w całym tym zamieszaniu. Mniemam, że mama ma pilniejsze sprawy od myślenia o swym rozkładającym się mężu. - Wyrwał dzban z rąk sługi, podniósł przewrócony zakurzony kielich i startł pajęczynę rękawem tuniki.

Wspiął się po schodach i przeszedł sztywnym krokiem obok komnaty położnicy, do której mężczyźni nie mieli teraz przystępu, aby zejść do sypialni ojca. Przysiadł na stołku obok łoża i opróżnił kielich dużymi łykami, czując ciepło rozplywające się po gardle i piersi, docierające do mózgu.

- *Sogni d'oro, papà!* - powiedział, unosząc kielich w stronę pustej poduszki. - Życzę ci słodkich snów. Bez ciebie nasza rodzina się powiększyła.

Jego umysł zaczęło ogarniać zamroczenie wywołane działaniem trunku i brakiem snu. Pod koniec drugiego kielicha wino przestało mu smakować. Angelo stęknął i czknął kwaśno kilka razy, pił jednak dalej, na siłę. Pił, dopóki nie osuszył ostatniej kropli, a następnie cisnął dzban przez glif, w którym poprzedniego lata dostrzegł żółtego ziarnojada.

Uradowany dźwiękiem, jaki wydał gliniany dzban pękający na dziedzińcu, położył się na łożu, w którym skonał ojciec. Leżał nieruchomo na nierównym sienniku, czując, jak płyn wiruje mu w brzuchu, dopóki nie zaczęły się mdłości. Zdążył jedynie zwiesić głowę za krawędź łóżka. Gdyby nie był tak słaby, a komnata przestała się poruszać, poszukałby nocnika. Nieważne. Żadna ilość torsji nie uwolniłaby go od tego odrażającego bezceństwa, do którego doszło kilka komnat dalej, i jego własnego żalosego zachowania w Wieży Wilka.

Późnym rankiem następnego dnia, z bólem głowy i na miękkich nogach, opuścił dom rodzinny. Szedł przed siebie bez celu. Pragnął jedynie, by od nieuniknionego spotkania z matką dzieliło go jak najwięcej czasu i przestrzeni.

Promienie światła kłuły go w zapuchnięte oczy, gdy dreptał obok *palazzi* należących do miejskiej elity. Blask sprawił, że schronił się w cieniu kupieckiego straganu. Położył dłoń na zamkniętych oczach, próbując ukoić otępiełą głowę. Nagle usłyszał znajome głosy dochodzące od strony klasztornej kościoła i otworzył oczy.

Na dole schodów San Fortunato stali mężczyzna i trzy kobiety. Słychać było kwilenie niemowlęcia. Kiedy Gastaldo go spostrzegł, podbiegł szybko, zanim Angelo zdążył zniknąć w bocznej uliczce.

- *Signore!* - zawołał. - Szukaliśmy cię w całym mieście. Lękaliśmy się, że będziemy musieli prosić braciszka na drugiego ojca chrzestnego.

Angelo wrócił razem z nim do kościoła.

- Gdzie pozostali rodzice chrzestni? - zapytał.

Gastaldo wskazał na służkę stojącą obok położnej i mamki.

- Nella, ja i ty. To wszyscy.

Jego słowa sprawiły mu ból. Czyżby nikt ze szlachty ani krewnych nie zechciał stanąć

w obronie bękarta?

- A jeśli odmówię?

- Wtedy weźmiemy braciszka.

- Czy matka wie, że wróciłem?

- Powiedziałem jej - odparł sługa. - Chce, abyś przemówił w imieniu chłopca. Powinien mieć przynajmniej jednego krewnego wśród rodziców chrzestnych.

- Powinien mieć trzech krewnych, a przynajmniej ważnych obywateli - mruknął Angelo. Cóż za hańba! - Dobrze, chodźmy.

Spojrzał przez ramię położnej na hałaśliwe zawiniątko. Ktoś owinął niemowlę w tkaninę ze złotego jedwabiu tak, że widać było jedynie buzię. Dziecko zapłakało, widząc pochylające się nad nim duże głowy.

- Lubi cię, *signore* - zagruchała kobieta.

Zignorował komplement.

- Jak ma na imię?

- Silvestre - odparła położna. - Nie widać tego, bo jest zawinięty, lecz ma ramiona leśnika⁵.

Angelo chrząknął z niezadowoleniem. Miał dość leśników i wszystkich innych stworzeń leśnych.

- Nazwałbym go „Fortevoce”⁶, bo odziedziczył płuca po swym *papà* kaznodziei.

Mamka zachichotała. Zrozumiała, że tylko ona była w dobrym nastroju. Przez następne miesiące będzie jadła po królewsku: biały chleb, dobre mięso, migdały i orzechy, ryż i grzane wino - choć będzie się musiała obyć bez cebuli, czosnku i octu. Otrzyma też liczne drobne podarki, które osłodzą jej usposobienie i mleko.

Położna skinęła, aby weszli do kościoła.

- Jest trochę chłodnawo. Nie po to się natrudziłam, sprowadzając dziecko na świat, by się teraz przeziębiło.

Kiedy weszli do środka, Angelo nie posiadał się ze zdumienia. Kościół był przystrojony jak na chrzest dziecka porządnej niewiasty. Ktoś rozłożył świeżą słomę od kruchty aż do chrzcielnicy przykrytej aksamitem i lnem. Nie znał braciszka, który na nich czekał. Gdyby *padre* Sanguigno ośmielił się wyściubić swoją gębę, mógłby nie dożyć końca ceremonii. Angelo zacisnął zęby, zastanawiając się, czy zdobyłby się na odwagę, aby wepchnąć *misericorde* między żebra braciszka.

⁵ Gra słów: *silvestris* (łac.) - m.in. żyjący w lesie.

⁶ *Fortevoce* (wł.) - donośny odgłos.

Mamka położyła niemowlę na stole, na jedwabnej poduszce, a położna je rozebrała.

- Podaj go księdzu - wyszeptała. - To zadanie ojca chrzestnego.

Wymamrotawszy pospiesznie jakieś słowa po łacinie, zakonnik naznaczył świętym krzyżem czoło niemowlęcia, kreśląc znak krzyża, a następnie odebrał je z rąk Angela i zanurzył w chrzcielnicy. Ciszę wielkiej katedry rozdarł donośny wrzask. Angelo miał przez chwilę nadzieję, że kapłan zanurzy dzieciaka ponownie i będzie trzymał pod powierzchnią tak długo, aż zimna woda uciszy go na dobre.

Kiedy mamka wytarła i ubrała dziecko, położna zawiązała chrzcielną czapkę na jego głowie, aby ochronić święty olejek. Braciszek pouczył rodziców chrzestnych o obowiązku dbania o duchowy rozwój nowego chrześcijanina i ogłosił, że uroczystość jest zakończona.

Wychodząc z kościoła, Angelo zastanawiał się, jak matka przyjęła wiadomość o jego powrocie. Ponieważ nie mógł zapytać sługi w obecności kobiet, uznał, że pozna to po wyrazie jej twarzy, kiedy się spotkają.

Nie widział jej przez kilka dni, dopóki nie wyszła z położu, a i wówczas stroniła od domowników, nie została bowiem uwolniona od rytualnej nieczystości.

Wbrew radzie położnej *donna Lucia* poprosiła, aby w piątek zaprowadzić ją do kościoła. Angelo wyraził zgodę. Jeśli udanie się tam w piątek może spowodować niepłodność, jak ostrzegały kobiety, tym lepiej. Matka przywdziała suknię ślubną i w towarzystwie tych samych sług, którzy wzięli udział w chrzcie Silvestrego, uroczystość pomaszerowała ulicami Todi. Angelo szedł kilka kroków za nią, ubrany w najlepszą tunikę, z mieczem ceremonialnym u pasa, jako niechętny uczestnik obrzędu. Matka zapaliła świeczkę u drzwi kościoła i weszła do środka. W przedsionku wyszedł jej naprzeciw ten sam braciszek, który ochrzcił dziecko, czyniąc zamaszyste znaki krzyża na całym jej ciele i skrapiając wodą święconą.

Trzymając kraj stuły, *donna Lucia* ruszyła za nim główną nawą.

- Wejź do świątyni Boga - recytował zakonnik, gdy szli. - Wysławiaj syna świętej Maryi Dziewicy, który obdarzył cię błogosławieństwem macierzyństwa. - Angelo ze zdumieniem stwierdził, że choć braciszek przemawiał monotonna, w jego głosie nie dawało się wyczuć ani śladu ironii. Musiał przecież wiedzieć o tym, co było już znane wszystkim mieszkańcom Todi.

Po nabożeństwie matka wróciła do domu ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wiedziała, że gdyby spojrzała na człowieka o złym charakterze lub zdeformowanych członkach, na przykład własnego syna, dolegliwość ta mogłaby przejść na Silvestrego. Nawet gdy gromadka małych chłopców gwizdała i naśmiewała się z nich, wołając: „*Ach, padre Sanguigno*”,

pozostała skupiona i dostojnie kroczyła przed siebie.

Idący na końcu korowodu Angelo uniósł szatę i lekko wysunął miecz z pochwy. Chłopcy rozbiegli się, chichocząc. Poczzerwieniał i spuścił głowę jak matka. Dotarcie na miejsce zajęło im całą wieczność.

W domu *donnę* Lucię natychmiast opuścił poważny nastrój.

- Musimy to uczcić - oznajmiła. - Gastaldo, poleć Remie, aby przygotowała wyborną ucztę. - Odebrała Silvestrego z rąk mamki i położyła na ławie obok kominka w wielkiej sali. Kiedy uroczystość dobiegła końca, skinęła na Angela, aby usiadł przy nich. *Donna* Lucia ułożyła niemowlę na ramieniu i odsłoniła jego twarz. Berbec natychmiast zaczął zawodzić.

- Czyż nie jest piękny? - zapytała. - Jestem szczęśliwą matką dwóch synów. - Wypowiedziała te słowa tak czule, że całkowicie zaskoczyła Angela.

Czyżby zapomniała o wojnie róż i cierniowym murze, którym się od niego odgradziła? Zachowywała się tak, jakby nie wygnała go z domu na długie miesiące, jakby zaledwie wczoraj miło z sobą rozmawiali.

Nagle zrozumiał. Pojął powód jej słodyczy. Trzymała w ramionach jedyną rzecz, której w życiu pragnęła: zdrowe dziecko, którym mogła się opiekować i pieścić go bez ingerencji Iacobella Lorenziniego. Bóg dał *donnie* Lucii drugą szansę, więc objęła swym szczęściem nawet Angela.

Kiedy usiedli, uczyniła coś jeszcze bardziej osobliwego. Posadziła niemowlę na jego kolanach.

- Spraw, aby twój mały braciszek poczuł się mile widziany - rzekła. - Wiesz, że będziesz jego bohaterem?

Kurczowo przytulił zawiniątko, obawiając się, że może upuścić dziecko lub zrobić mu krzywdę. Wykrzywił wargi w uśmiechu, patrząc na drobne rysy Silvestrego, dopóki twarz niemowlaka nie zmarkotniała i nie przybrała czerwono-purpurowej barwy dojrzałej śliwki. Przerażony Angelo odwrócił się do matki, lecz ona nie przestawała się uśmiechać do nich dwóch. Chociaż nie uczynił niczego, co mogłoby wywołać atak płaczu, niemowlę najwyraźniej nie mogło złapać oddechu. Może sprowadził przekleństwo na Silvestrego, myśląc o jego uduszeniu?

- Weź go! - krzyknął, kiedy skóra dziecka równie gwałtownie odzyskała dawny kolor. Wilgotna plama na jego kolanach miała słodką, drożdżową woń.

Rozdział trzynasty

Dumając w swoim lochu, braciszek Angelo doszedł do przekonania, że wydarzenia tamtych tygodni zmieniły bieg jego życia. Upokorzenie, którego doświadczył podczas procesu minęło najszybciej, nie musiał bowiem stawiać czoła plotkom. Wiedział, że przez wiele lat nie wróci do Wieży. Później wypyta o dalsze losy Marii i jej rodziny. Jako wolna kobieta Maria była teraz znacznie bardziej pożądana przez miejscowych kmieciów. Poślubiając ją, sami mogli się wyzwolić, co zapewne uda się jednemu z nich.

Kiedy był nastolatkiem, najbardziej dokuczał mu obraz Marii idącej do łoża z innym mężczyzną, pieszczącej go tak jak jego i, być może, kochającej go bardziej żarliwie. Doskwierała mu myśl, że może spędzić życie u boku jakiegoś prostego wieśniaka - mężczyzny takiego jak jej ojciec lub bracia - szczęśliwsza niż z nim.

Przycisnął pięści do wilgotnej ściany lochu. Jako starzec miał nadzieję, że jej życie okazało się szczęśliwe. Zdał sobie sprawę, że Maria dobiega sześćdziesiątego piątego roku życia, a ich „dziecko” przekroczyło pięćdziesiątkę, starsze zaledwie o kilka miesięcy od Silvestrego. Niewiarygodne! Ściągnął wargi na myśl, że może być dziadkiem, a nawet pradziadkiem.

- Niech ci Bóg błogosławi, kobieto - wyszeptał w wilgotnym mroku. - Żałuję krzywdy, którą ci wyrządziłem. Niechże mi Bóg przebaczy wszystkie błędy młodości.

Wieczór po procesie był pierwszym prawdziwym objawieniem się wilka ukrytego w jego wnętrzu. Podszepty zwierzęcej natury były coraz częstsze w miarę upływu lat. Zdarzały się nie tylko w porze pełni księżyca, lecz także wtedy, gdy Anielem targały silne emocje i namiętności. Najgorzej było zimą, kiedy nadchodziły długie noce i słońce pojawiało się na niebie późnym rankiem. Gdy mieszkał wśród ludzi, w takie dni zwykle zamykał się w swojej komnacie. Stało się to jedną z małych tajemnic domu Lorenzinich. Czasami ulegał pokusie i krążył po ulicach miasta oświetlonych promieniami księżyca.

W trakcie tych epizodów jego zachowanie było zdumiewająco spokojne - przypominał bardziej psa niż dzikiego wilka. Nie było w nim niczego morderczego. Wystarczyło spojrzeć na jego niemal niewolnicze, psie oddanie Silvestremu. Jakże kochał to dziecko!

Zaczął się tarmosić za brodę, głośno do siebie przemawiając - nawyk, który w jego późniejszym życiu wypełniał mu wiele godzin czuwania.

- Zaatakowałem człowieka tylko raz, owej nocy na cmentarzu, kiedy strażnik uderzył mojego brata. - Silvestre był wówczas chłopcem, tamten sobie na to zasłużył.

Oczywiście wydarzyło się to na samym początku wygnania. Wiele z tego, co wówczas uczynił, do dziś pozostało tajemnicą, prawie niczego bowiem nie pamiętał.

Narodziny Silvestrego pokazały mu, jak wygląda skandal. Na ulicach ciągle powtarzano pytanie, od okna do drzwi, od plotkarki po przykładną żonę: „Co się dzieje z bękartem wdowy?”. Nie chcąc wyglądać na jednego z tych śmiechu wartych Lorenzinich, wychodząc z domu, wkładał wytartą tunikę ojca.

Opowieści rozchodziły się po mieście jak ogień trawiący rząd drewnianych ruder, a każdy upiększał zastyszczoną wiadomość. Bohaterem owych plotek był również *padre* Sanguigno, który przez dziesięć miesięcy spędzonych w San Fortunato okazał się niestrudzonym spowiednikiem. Teraz w całym mieście zaczęły ujawniać się owoce jego mozolnego siewu. Późniejsze opowieści ubarwiano wzmiankami o ciskających gromy, rozsierdzonych mężach, którzy ślubowali, że sprawią, by zakonnik śpiewał sopranem, jeśli wytknie nos poza mury opactwa.

Plotki szerzyły się jak ogień, który zniszczywszy jedno domostwo, przenosił się na kolejne. Pierwszy, który przestał być źródłem opał, nie doznawał już dalszych szkód i zostawał zapomniany.

Angelo przestał się przejmować, czy do matki dotrą wieści o jego nieszczęsnej przygodzie z Marią Vidone lub konszachtach z bandą Maria. Szczęśliwa, że ma Silvestrego, przypuszczalnie puściłaby mu to płazem. Niezależnie od tego, jak bardzo skalał ród Lorenzinich, przewyższyła go pod tym względem.

Miał też nad nią inną przewagę, gdy objął należne sobie stanowisko w rodzinie. Zalotnik pragnący spotykać się z owdowiałą panią Lorenzini musiałby go teraz poprosić o zgodę. On też ustaliby wielkość jej spadku po zmarłym mężu.

Były to zresztą czysto abstrakcyjne rozważania.

Na horyzoncie nie było widać żadnego zalotnika. Matka przekroczyła już trzydziesty rok życia i prócz urodzenia księżowskiego bękarta złamała niepisaną zasadę - nie pograżyła się w wiecznym smutku po zmarłym mężu ani nie pogrzebała swych kobiecych namiętności obok jego złożonego w ziemi ciała.

W ten oto sposób Angelo wrócił do rutyny miejskiego życia. Doktor Bartolo, wyszorowany i pulchny jak zawsze, znów zaczął mu udzielać lekcji, przygotowując młodego ucznia do rozpoczęcia terminowania u notariusza.

Wraz z nadejściem jesieni ranki stawały się coraz chłodniejsze. Bakałarz i jego podopieczny spotykali się teraz przy ogniu w wielkiej sali, co było miłą odmianą po

monotonnych zajęciach w skrytorium. Od czasu do czasu uczone wywody przerywały dochodzące z odległego zakątka domostwa wrzaski Silvestre, lecz szybko i one stały się częścią rutyny.

W lekturach i ćwiczeniach pisemnych Angela miejsce poezji zajęły terminy prawne. I dobrze, gdyż pospiesznie opuszczając pałac, zostawił na wsi Owidiusza podarowanego przez Filippa.

- Miejmy nadzieję, że poeci nauczyli cię kwiecistej mowy - powiedział doktor Bartolo. - Jak pewnie zauważyłeś, stanowią oni ulubioną lekturę mojego brata. Teraz kodeksy Teodozjusza i Justyniana nauczą cię o umowach, zobowiązaniach i deliktach stanowiących podstawę handlu.

- Co słyhać u doktora Filippa? - chciał wiedzieć Angelo. Pomyślał, że lepiej od razu wyjaśnić sprawę, aby bakałarz nie żywił wobec niego urazy za odprawienie brata.

- Mieszka w Rzymie. Z trudem wiąże koniec z końcem. Życie w mieście jest drogie dla nauczyciela, lecz Filippo uwielbia inspirację, jakiej mu dostarcza. - W jego głosie dało się wyczuć lekką nutkę gorzkości.

Te nowiny zasmuciły Angela, jednak przypomniał sobie, że Filippo sam skazał się na banicję, podobnie jak teraz zdecydował się żyć w ubóstwie. Poza tym żal nie zdołałby odwrócić tego, co się stało.

Doktor Bartolo szybko przeszedł do historii prawa:

- Nasz system prawny opierał się kiedyś na prawie rzymskim - zaczął - później jednak każda z hord nękających cesarstwo narzucała własne zwyczaje plemienne podbitym ludom. Zmieniano także prawa. U Rzymian ciężar przedstawienia dowodu winy spoczywał na oskarżycielu, lecz u barbarzyńców obowiązek ten leżał po stronie oskarżonego. W ciągu wieków doprowadziło to do powstania kilku nowych sposobów ustalania prawdy.

Pierwszym było *compurgatio*, prawił bakałarz, w którym oskarżony mógł dowieść swojej niewinności, przysięgając kilkakrotnie i w kilku miejscach, iż rzekł prawdę. Mógł też znaleźć zastępczych „kompurgatorów”, aby potwierdzili złożoną przysięgę. Doktor Bartolo podał dwa przykłady pochodzące z VI wieku.

- Królowa z rodu Merowingów, Fredegunda, oskarżyła o znieważenie Grzegorza, biskupa Tours. Biskup oczyścił się z zarzutu, składając przysięgę przy trzech różnych ołtarzach, za każdym przed odprawieniem mszy. Z kolei królowa oskarżona o cudzołóstwo dowiodła, że jej syn nie jest bękartem, skłaniając trzystu szlachciców, aby potwierdzili jej słowa, że niemowlę narodziło się w cudowny sposób z lędźwi jej zmarłego męża.

- Widzę, że ta metoda miała kilka braków - wtrącił z uśmiechem Angelo.

- Rzeczywiście, dlatego Kościół pograżył się w sporach prawnych. Czemu nie postawić owych spraw przed sądem Bożym, mającym postać rytualnej próby, którą miejscowi księża mogliby przeprowadzać za stosowną opłatą: próby ognia, wrzącej i lodowatej wody lub pojedynku? Jeśli Bóg ochronił Szadracha, Mészacha i Abed-Nega w piecu ognistym, czemu nie miałyby uratować niewinnego przed poparzeniem rozgrzanym żelazem? Albo sprawić, by kobieta pragnąca dowieść swojej niewinności, dotknąwszy bosą stopą rozżarzonego do czerwoności lemiesza pługu, nie doznała szkody? W jedenastym wieku papież zakazał stosowania tych praktyk, gdy oskarżonym była osoba duchowna. Później Czwarty Sobór Laterański, zakończony zaledwie kilkadziesiąt lat temu, zabronił księżom urządzania obrzędów religijnych, które z owymi próbami były związane. Dziś praktykowana jest jedynie próba pojedynku.

- Trudno to uznać za sprawiedliwy sposób dowiedzenia niewinności - sprzeciwił się Angelo. - Jeśli waleczny rycerz oskarży starego notariusza, takiego jak *maestro* Maccabeo, starzec zginie, a jego majątek przepadnie.

Bartolo pokręcił głową.

- Niekoniecznie, *signore*. Maccabeo może wynająć silniejszego wojownika, aby go reprezentował. Wiele miast zatrudnia na stałe rycerzy, którzy bronią ich przed roszczeniami rywali. Rycerze owi są jednak porównywani do nierządnic, sprzedają bowiem swoje usługi temu, kto da więcej, i uchodzą za desperatów.

- To zrozumiałe. Ten, który przegra, często ginie, nieprawdaż? Nie jest to zajęcie dla głowy rodziny.

Doktor Bartolo przytaknął.

- Wszystkie owe próby okazały się niewystarczającym sposobem ustalenia prawdy. W wielu wypadkach zwycięzca wyznawał później, że fałszywie oskarżył zmarłego, którego wszak nie było już wśród żywych. Sytuacja ta rodzi pewne pytanie.

- Gdzie był wówczas Bóg?

- Właśnie. W ten oto sposób dochodzimy do obecnego systemu *inquisition*. Dziś poddaje się oskarżonego badaniu, aby ustalić fakty leżące u źródła sporu. Można by oczekiwać, że będzie to ogromny postęp, lecz jak się niebawem przekonasz, praktyka owa jest często daleka od ideału. Jeśli chodzi o kary, tu również dokonały się zmiany. Na przykład w czasach Barbarossy, ojca Fryderyka, restytucja przyjmowała formę chłosty, napiętnowania, oślepienia, obcięcia członków, powieszenia lub ogłoszenia winowajcy wyjętym spod prawa, a dosłownie pozbawionym jego ochrony. Cena za głowę wyjętego spod prawa była równa grzywnie za zabicie wilka. Obecnie sędziowie uważają, że grzywna przekazana wspólnocie i

poszkodowanemu oraz nabycie łaski jest korzystniejszym rozwiązaniem niż okaleczenie oskarżonego lub pozbawienie go życia. Oczywiście, głównym wyjątkiem pozostaje herezja, ci bowiem, którzy się jej dopuścili, nadal bywają paleni na stosie. Człowiek, który nie może zapłacić nałożonej grzywny, zwykle trafia do więzienia i pozostaje w nim, dopóki nie jest zdolny tego uczynić. Więzienia owe to zwyczajne wiejskie areszty i zarobaczone zamkowe lochy. Szczerze powiedziawszy, Kościół, a szczególnie zakony, powszechnie stosuje ten środek. Każdy klasztor ma własne lochy, w których przetrzymywani są zbłąkani braciszkwowie. W ten sposób osiągają cel, przestrzegając jednocześnie przykazania: „Nie zabijaj”. Więźniowie mogą gnąć pod ziemią miesiącami, dopóki nie odpokutują za swoje błędy. Mogą też pozostawać tam do końca życia, jeśli nie okażą skruchy.

Ostatnie słowa bakałarza szydziły zeń niczym drwiące echo. Oczywiście, jako młodzieniec nie podejrzewał, że pewnego dnia sam trafi do klasztornej lochy. Teraz często rozmyślał o tym, że może spędzić w celi resztę życia.

Otwór zasłonił cień. Brat Angelo podniósł głowę i spostrzegł strażnika unoszącego kratę.

- Wyjmij jadło z kosza! - zawołał mnich, pochylając się. - Mam dla ciebie coś jeszcze.

- Czyżby zanosilo się na ucztę?

- Nie, nie przyniosłem ci więcej jadła. Trudno to nazwać ucztą. Mam kilka zacnych kawałków pergaminu i dobre nowiny.

- Dobre nowiny? Chętniej je przyjmę od drugiego kawałka sera. Błagam, rzeknij, że Bonifacy mnie ułaskawił i że niebawem wyciągniecie mnie z tego lochu!

- Wieści nie są aż tak dobre - odparł tamten, spuszcżając kosz po raz drugi. Braciszek Angelo ze zdumieniem znalazł kilka ładnie przyciętych arkuszy welinu.

- Nie uwolnią cię dzisiaj, lecz być może za kilka miesięcy. Papież ogłosił rok tysiąc trzechsetny rokiem jubileuszowym. Wielu ułaskawi. Jak sugeruje opat, powinienes napisać list z prośbą, aby umieszczono cię wśród nich.

- Myślisz, że jest nadzieja?

- Czemu nie? Odsiedziales kilka lat. Powiedziałbym, że poniosles wystarczającą karę.

- Wiem, nie spoglądasz jednak na świat oczami mojego dawnego wroga. Mimo to posłucham rady opata. W obecnym położeniu spróbuje wszystkiego.

- Zacny z ciebie człek! No tak... opat radzi, aby twoje pismo było utrzymane w pokornym tonie.

Braciszek zachichotał.

- Zbyt dobrze mnie znasz, bracie. Zaiste, spróbuję powściągnąć słowa. - Po chwili dodał: - Najbardziej pragnę rozgrzeszenia, zdjęcia ekskomuniki. Mogę pozostać w więzieniu, skoro ty i twój opat tak mnie rozpieszczacie, brakuje mi jedynie sakramentów.

- W takim razie niech Bóg pobłogosławi twoje wysiłki, bracie Angelo - odparł mnich. - Niczego bardziej nie pragnę niż tego, aby pewnego dnia spuścić ci w koszu eucharystię.

Rozdział czternasty

- *Signore*, przybył twój nauczyciel. - Sługa dodał, że doktor Bartolo przyprowadził jakiegoś starszego mężczyznę.

Angelo niechętnie ruszył na lekcję, chociaż ciekawiło go, kogo przywiódł bakałarz. Miał nadzieję, że gość urozmaici nieco monotony wykład z dziejów prawa.

- *Buon giorno, signore!* - zawołał Bartolo, gdy Angelo dołączył do nich przy kominku. - Pozwól, że przedstawię ci mojego starego przyjaciela, *sior* Luciana da Ravennę. Zatrzymał się on przejazdem w Todi, więc poprosiłem, aby przyłączył się do nas tego ranka. Jako skryba uczestniczył w wielu procesach, dlatego może ci dostarczyć praktycznych wiadomości na temat obecnego stosowania prawa. Ostatniego wieczoru prowadziliśmy na ten temat długą dysputę.

Gość był wysokim mężczyzną o długiej, cienkiej szyi, a gdy skłonił głowę, na jego lśniącej łysinie pojawiły się odblaski światła. Przyjacielskie zachowanie *sior* Luciana sprawiło, że Angelo od razu poczuł się swobodnie.

Doktor Bartolo rozpoczął wykład w miejscu, w którym poprzedniego dnia zakończył rozważania.

- Połączenie prawa kanonicznego z prawem świeckim doprowadziło do kilku dziwnych rezultatów. Na przykład dekalog zakazuje Kościołowi zabijania, kiedy więc uzna, że oskarżony dopuścił się herezji, oddaje go władzy świeckiej w celu wykonania egzekucji. Jeśli kat dopuści się przez to grzechu, może oczywiście wyznać go księdzu i przyjąć odpuszczenie.

Sior Luciano dodał, jakby na dany znak:

- Obecnie niektóre władze świeckie, gdy jest to wygodne, uzurpują sobie przynależną Kościołowi rolę tropienia herezji. W mieście, w którym niedawno mieszkałem, obywatele zbuntowali się przeciwko poborcom podatków. Władze zareagowały, ogłaszając jedną trzecią ludności heretykami i skazując na stos, aby dać przykład innym. Postanowiłem wówczas ruszyć w dalszą drogę.

Doktor Bartolo wtrącił:

- *Signore*, czy pamiętasz nasze rozważania o Wielkim Łańcuchu Istnienia i boskim łańdździe stworzenia? Kościół zastosował tę koncepcję w dziedzinie prawa. Ponieważ każdy przedmiot ma swoje miejsce we wszechświecie, każdy musi odpowiedzieć za swoje czyny przed sądem. Przynoszono więc przed oblicze sędziego garnce, które spadły z półki i zraniły

swojego właściciela. Kogut został spalony żywcem, zapomniał bowiem o swojej przyrodzonej roli do tego stopnia, że zniósł jajo. Znam też przypadek świni, którą powieszono za to, że okaleczyła dziecko w kołysce.

Bakałarz przejrzał zwoje trzymane na kolanach. Chłopak wstał i poprawił polana w kominku, gdy mężczyzna porządkował notatki.

- Inkwizycja! - zaczął doktor Bartolo, kiedy Angelo wrócił na miejsce. - Inkwizycja jako metoda dociekania prawdy sprzęgła się z krucjatą Kościoła przeciwko herezji. Niestety, żarliwość inkwizytorów doprowadziła do stosowania wątpliwych praktyk, na przykład posługiwania się torturami w celu skłonienia oskarżonego, aby wyznał swoją winę. Wiele wieków temu święty Augustyn potępił tę praktykę.

Mówiąc to, rozwinął jeden ze swych zwojów.

- W traktacie *O Państwie Bożym*, księga dziesiętna, rozdział szósty, Augustyn pisze: „*Gdyby oskarżony okazał się niewinny, poniesie karę za nieznanne przestępstwo zamiast za zarzucany mu czyn, choć przesłuchującym nie było wiadomo, że się go dopuścił*”. Święty nazywa tę praktykę, cytując: „*niedopuszczalną, godną ubolewania, którą, jeśli to możliwe, zmyć należy łzami*”. Od tej chwili Kościół zawsze poczytywał za nieważne wyznanie winy uzyskane za pomocą tortur.

Angelo zauważył, że gość zaczął wykręcać dłonie spoczywające na kolanach.

- Byłeś świadkiem takiego wyznania, *sior* Luciano? - zapytał.

- Aż nadto wiele razy. - Przez chwilę wpatrywał się w płomienie. - Pomijając niemoralność tortur, nie jest to skuteczny sposób ustalenia prawdy. Człowiek słaby powie wszystko, czego zażądają kaci, silny raczej umrze, niż przysięgnie, że kłamstwo jest prawdą.

Doktor Bartolo zwinął pergamin, który przed chwilą odczytał, i spuścił głowę, wpatrując się w wyłożoną płytkami podłogę.

- Nastaly smutne czasy dla Kościoła i sprawiedliwości, *signore*. Papież Innocenty Czwarty, idąc za przykładem zmarłego cesarza Fryderyka, nakazał Wielkiej Inkwizycji torturowanie ludzi podejrzewanych o herezję. *Sior* Luciano przyniósł mi te nowiny nie dalej jak wczoraj.

- Zaiste - wtrącił się gość - papież zezwala na torturowanie oskarżonego, dopóki ten się nie przyzna, a następnie dopuszcza „dobrowolne” wyznanie. Jeśli obwiniony cofnie wcześniejsze oświadczenie, tortury będzie można powtórzyć do trzech razy. Zwykle stosuje się ławę, koło, hiszpańskie buty i różne męki z użyciem wody.

Policzki bakałarza poczerwieniały, gdy drżącym głosem podjął ten bolesny temat. Zwracał się jednocześnie do swojego przyjaciela i do ucznia.

- Do tej pory tylko ludzie świeccy mogli zadawać tortury, widzę jednak, że nadchodzi dzień, kiedy inkwizytorzy i ich pomocnicy będą mogli czynić to sami ze względu na większą skuteczność i przyspieszenie procesu sądowego. Jestem pewien, że te przebiegłe psy tropiące herezję obmyślą jeszcze bardziej niezwykle sposoby, gdy nabędą wprawę w tym fachu.

Angelo skrzywił wargi w cierpkim uśmiechu.

- Doktorze Bartolo, widzę, że po raz pierwszy zająłeś jednoznaczne stanowisko. Nigdy nie widziałem, abyś był tak poruszony. - Spojrzał na drugiego z mężczyzn, lecz *sior* Luciano wydawał się mniej zaskoczony od niego.

Nauczyciel próbował odzyskać panowanie nad sobą.

- *Scusatemi, signore*, lecz dochodziły mnie już wieści o nadużyciach tego systemu. *Sior* Luciano opowiedział mi o księdzu, który twierdził, że Bóg mu coś objawił. Zaczynał być pod każdym względem. Torturowano go siedmiokrotnie zanim wyznał winę i zgodził się spisać listę swych błędów. Zaczął wyznanie od czasów dzieciństwa, wypełniając wykroczeniami i przestępstwami ponad osiemdziesiąt arkuszy. Czynił to wolno, starając się jak najdłużej przeciągać pisanie, wiedział bowiem, że zaczną go przypalać w chwili, gdy skończy, co oczywiście uczynili.

- To prawda. - *Sior* Luciano skinął głową. - Znałem go. Inkwizytorzy mordują całe wspólnoty, dziesiątki tysięcy ludzi, choćby katarów i waldensów, za to, że postępują z biblijną prostotą i co do litery przestrzegają nauki Jezusa. Ich sposób życia jest zniewagą dla bogatego kleru, który zwie ich heretykami.

Doktor Bartolo wziął głęboki wdech i wolno wypuścił powietrze, a następnie spojrzał na swojego ucznia.

- Powiedziałem, co myślę, będę wdzięczny, jeśli zachowasz te uwagi dla siebie. Nie chcę być przypiekany na stosie niczym wieprz na rożnie ku uciesze gawiedzi.

Angelo zasłonił uszy.

- Niczego nie słyszałem, moje usta są zasznurowane. Cieszę się, że będę miał do czynienia z przyziemnym prawem handlowym zamiast kanonicznym.

- Dzięki temu moje zadanie będzie łatwiejsze - uśmiechnął się bakałarz. - Benedetto Gaetani oprócz Teodozjusza i Justyniana analizuje *Decretum* Gracjana, syntezę prawa kanonicznego, oraz komentarz Rufinusa do dzieła tego ostatniego. Nie będę go nauczał tych przedmiotów, za miesiąc bowiem wyjeżdża do seminarium w Rzymie.

- Ten Benedetto Gaetani? - Angelo mógł wreszcie podjąć temat, którego unikał od miesięcy. - Czy bratanek biskupa wspominał wam o procesie, który odbył się w Coldimezzo ostatniej wiosny?

Doktor Bartolo wyraźnie się zawahał, odzyskawszy panowanie nad sobą. Odwrócił się do przyjaciela i zapytał:

- *Amico*, mógłbyś na chwilę zostawić nas samych?

Sior Luciano podniósł się i poszedł do holu. Kiedy znalazł się w wystarczającej odległości, aby nie móc ich usłyszeć, nauczyciel podjął wątek:

- Powiedział, że okazało się to bardzo... pouczające. W końcu, *signore*, była to jego pierwsza sprawa. Jak się pewnie domyślasz, doradzał dziewczynie, która wniosła oskarżenie, i pomógł jej sformułować prośbę. Byłem zasmucony, widząc, jak dwaj moi uczniowie walczą z sobą. Miejmy nadzieję, że więcej do tego nie dojdzie.

Pochylił się, aby zebrać notatki i przygotować się do zakończenia lekcji. Po chwili spojrzął na Angela i dodał:

- Ufam, że proces był pouczający także dla ciebie, *signore*. Z prawnego punktu widzenia morał wydaje się prosty: nigdy nie zawieraj pochopnie wiążących umów. Inne wnioski, a jestem pewny, że kilka przyszło ci do głowy, pozostawiam twojej rozwadze.

Twarda podłoga na strychu *maestra* Maccabea sprawiła, że pierwszej nocy Angelo miał problem z zaśnięciem. *Maestro* Maccabeo, dotrzymując obietnicy, zaprosił go tej zimy do swojego kantoru i domu jako terminatora.

Ogień w niższych pokojach przygaśł i nawet na strychu, gdzie sypiali słudzy oraz uczniowie, zrobiło się przenikliwie zimno. Gdy w końcu zasnął, zaokrąglony brzuch oraz piegowate policzki i nos Marii Vidone zjawiły się nieproszone w jego snach, powodując, że przekręcił się na bok i zrzucił pled.

Zadrzał z zimna i szczerzej otulił się prześcieradłem. Pośród ciemnej styczniowej nocy z klasztornej kościoła doleciały dźwięki dzwonów. Jak długo tu leżał? Czy dzwonią na nocne czuwanie, czy na jutrznię? Z trudem otworzył jedno oko, szukając oznak brzasku, światła wpadającego przez szparę w okiennicy. Kiedy zapiał kogut, uznał, że nadszedł poranek.

Jako najnowszy uczeń, musiał wstać przed innymi domownikami, aby rozpalić ogień w paleniskach na niższych piętrach. Chociaż była to służebna praca, nie doskwierała mu tak, jak wstawanie o tej ponurej godzinie. Na szczęście, nauczony obowiązkami w Wieży, nie musiał pytać *maestra* Maccabea, jak używać pogrzebacza i szczypiec czy też jak rozpalić ogień za pomocą krzesiwa.

Kiedy przybył ze swym kufrem poprzedniego ranka, notariusz powitał go w drzwiach. Typowym dla niego formalnym tonem przekazał instrukcje nowemu terminatorowi.

- W zwykłych okolicznościach powitałaby cię moja żona i opisała twoje domowe obowiązki - wyjaśnił jego mistrz. - Zwykle ograniczam się do wydawania poleceń w kantorze. Niestety, małżonka wraca do zdrowia po przebytej grypie... pozostaje w łóżu od pięciu dni.

Teraz, przemarznięty do kości i mamroczący ponure przysięgi pod adresem skłonnego do przechwałek koguta, Angelo zwinął posłanie i podczołgał się do drzwi wieżyczki. Wstał i wyciągnął ramiona, aż dotknął obiema dłońmi ścian, trzymając się zewnętrznej strony spiralnych schodów tam, gdzie stopnie były najszersze. Słyszał kiedyś, że na samym dnie Hadesu znajduje się lodowata sadzawka, w której najczarniejsze dusze zamarzają na kość, doświadczając katuszy znacznie gorszych od płomieni w wyższych rejonach piekła. Pomyślał, że oto zstępuje w skutą lodem otchłań.

Po omacku minął komnatę na niższym piętrze, w której spał *maestro* Maccabeo. Przez ciężkie drzwi słyszał kaszel Monny Lety - słabe, dziewczęce pokastywanie. Chociaż nie widział jeszcze żony swojego mistrza, zgadywał, że jest młoda. Podczas obiadu w Coldimezzo notariusz wspomniał, że niedawno powtórnie się ożenił.

Na drugim piętrze schody wychodziły na górną komnatę, w której jadalni domownicy i gdzie spędzali większą część dnia. Była niewielka w porównaniu z ogromną salą w Wieży, więc mieszkańcy jadalni na zmianę: najpierw rodzina mistrza i goście, a następnie służby i terminatorzy. Czerwonawa poświata wskazała Angelowi drogę przez dywan z sitowia. Węgle jeszcze się zarzyły! Wystarczyło jedynie dodać opał i dorzucić kilka węgli.

Chwilę później ogień buchnął z głośnym trzaskiem. Angelo zapalił od płomieni cienką świeczkę, a od niej lampy oliwne zawieszono u sufitu. Większość izby była nadal pogrążona w cieniu, lecz jego mistrz nie wpadnie przynajmniej na kredens i ławy.

Zatrzymał się przy kuchennym palenisku w sąsiedniej komnacie. Mogły się w nim pomieścić kłody sięgające piersi, więc Angelo znów z radością ujrzał kilka słabych jęczyczków ognia.

Kocioł na wodę wiszący nad paleniskiem obok rozna nadal jeszcze parował. Kilka królików w klatce poruszyło się w błyskającym świetle.

Angelo wsunął nowe polano do paleniska i umieścił kilka płonących pomarańczowych węgli w metalowym wiadrze. Wiadro grzało go, gdy niósł je na parter, do kantoru, w którym *maestro* Maccabeo prowadził swoje interesy.

Właśnie napełniał piecyk w pracowni, gdy usłyszał za sobą spokojny głos notariusza:

- Dobra robota, chłopcze. A teraz pospiesz się i opróżnij nocniki we wszystkich sypialniach z wyjątkiem mojej. Żona nadal kiepsko się czuje i nie chce, aby jej

przeszkadzano.

Po tych słowach wręczył Angelowi kopczą świecę. Podobnie jak w domu Angela do codziennego użytku kucharz robił świece ze zwierzęcego łoju, płonące zaś jasnym światłem świece z pszczelego wosku trzymano na wyjątkowe okazje.

- Nie jadam wcześniej rano, chyba że żona może się do mnie przyłączyć - wyjaśnił *maestro* Maccabeo. - Służba śniada wcześniej. Nie trać czasu, w przeciwnym razie będziesz pracował na czczo tego ranka.

Angelo zacisnął zęby i wyszedł z kantoru. Opróżnić nocniki! Idź do diabła, stary pierdoło!

Im bardziej zbliżał się do strychu i odpychającego zadania, tym bardziej kipiał oburzeniem. Mógł się zgodzić na rozpalanie ognia, ale opróżnianie nocników? Na dodatek notariusz zwrócił się do niego „chłopcze”, zamiast *signore*”. Oprócz tego, że wspomniane zadanie stanowiło zniewagę dla jego pozycji, skończył piętnaście lat i uważał się za mężczyznę, który powinien mieć obowiązki jak dorosły. Idąc po schodach, zmagał się z pragnieniem, aby zabrać manatki i wrócić do swojego *palazzo*. Wiedział jednak, że *maestro* Maccabeo traktuje go tak samo jak inni członkowie gildii swoich terminatorów i że ojciec pragnął, aby wykonywał ten fach. W każdym razie nie miał czasu na rozmyślenia. Kucharz kroił już gotowany boczek i smażył placki owsiane.

Po pierwszym tygodniu praca w kantorze stała się nużąca. Obowiązki Angela polegały na paleniu w piecu, otwieraniu drzwi i rozwieszaniu przy ogniu przemoczonych śniegiem opończy klientów. W najlepszym razie spędzał dni na ostrzeniu gęsich piór, robieniu atramentu lub szykowaniu welinu i pergaminu z owczej skóry. Te ostatnie obowiązki przejął po jedenastoletnim chłopcu, młodszym bracie Monny Lety, Enzo, który był drugim terminatorem Maccabea.

Chłopak wydawał się szczęśliwy, że znalazł się ktoś stojący niżej od niego w porządku dziobania, irytując Angela swoim ostrym dyszkantem.

- Nie! Nie! - jęczał. - Zbyt mocno naciskasz pumeks, Angelo. Zrobisz dziurę w welinie i *maestro* Maccabeo będzie zły na nas obu. Welin jest drogi.

Enzo wyjaśnił, że ich mistrz zapisuje prośby klientów na gorszym pergaminie z owczej skóry lub na woskowej tablicy. Welin był zarezerwowany na końcowe dokumenty.

- Pumeks jedynie czyści welin. Teraz trzeba go zmiękczyć kredą i wygładzić strugiem. Błagam, bądź bardziej ostrożny! - Stale wyrażając swoje obawy, chłopak pokazał Angelowi, jak rozkładać pergamin na stole, jak metalowym rylcem przekłuwać małe równoległe otwory na marginesach, a następnie za pomocą linijki kreślić blade kreski między otworami.

Uwaga, z jaką to czyniono, oraz jakość materiałów były znacznie poniżej tego, do czego przywykł, przepisując księgi swojego bakałarza. Początkowo skórzana faktura wybornego materiału piśmienniczego fascynowała Angela i kusiła do popróbowania sił, jednak powtarzalność zajęcia oraz irytujące, nerwowe polecenia współpracowników sprawiły, że pogрузzył się w smutku. Bezbarwna, nieprzerwana monotonia zimowych obłoków pogłębiła jego rozpacz. Pierwsze dni mijały mu w tempie tysięcy.

Czwartego ranka Monna Leta zeszła do poczekalni obok kantoru, aby go powitać. Kiedy staruszek przedstawił ich sobie, spojrzała na niego z taką samą ciekawością, z jaką przez zmrużone powieki obserwował go Maccabeo podczas kolacji na zamku hrabiego Buoncontego. Angelo uznał to za manierę, którą przejęła od swego męża. Badawcze spojrzenie kobiety zachęciło go do uczynienia tego samego. Była trochę młodsza od niego, zbyt wysoka i smukła jak na jego gust, z rudawo-złotymi włosami sięgającymi talii, nieco ciemniejszymi niż jego, nadmiernie dużymi, kościstymi dłońmi i rysami twarzy zbyt ostrymi, jak na dziewczynę. Mimo to sposób, w jaki na niego spojrzała, przyjazne powitanie i coś dziwnie znajomego w jej rysach zmniejszyły chłód panujący w nieogrzewanym przejściu.

Kiedy poszła do komnaty jadalnej, notariusz zapytał:

- Czyżbyś uznał wygląd mojej żony za nazbyt pospolity?

To szczere pytanie zaskoczyło Angela, zdołał jednak wyjąkać uprzejmą odpowiedź. *Maestro Maccabeo* zachichotał.

- W moim wieku byłbym głupcem, gdybym poślubił piękność przyciągającą młodzieńców niczym kwiat pszczoły. Leta jest pełna ukrytego piękna. To istny skarb, prawdziwa perła, lecz tak jak ona skrywa swój blask w niepozornej skorupie.

Notariusz uderzył się ręką w pierś.

- Naucz się dostrzegać to, co ukryte, młodzieńcze. W naszym zawodzie spotyka się rozmaitych ludzi, którzy zwykle nie są tacy, jacy się wydają. Naucz się osądzać wewnętrznego człowieka, a oszczędzisz sobie wielu zmartwień.

Mówiąc to, wskazał schody, na których zniknęła Monna Leta.

- Dość tego! Będziesz miał wiele okazji, aby ujrzeć moją perłę w bardziej sprzyjających okolicznościach. Wracajmy do pracy.

Rozdział piętnasty

Braciszek Angelo przejrzał arkusze pergaminu, które mnich dał mu tego ranka. Tych przynajmniej nie trzeba było przygotowywać. Niektóre były bardziej szorstkie od pozostałych. Podzielił arkusze na dwie części, zamierzając napisać „pokorny” list do papieża Bonifacego na najlepszym welinie. Na gorszym opisał swoje prawdziwe uczucia - list, który chciałby napisać, co wszakże odradzono mu czynić. Pomyślał, że szczerze wyrażenie uczuć, które żywi do Bonifacego, przyniesie mu ulgę.

Kiedy szykował się do pisania, jego umysł był pusty. Przypomniał sobie słowa, które gdzieś przeczytał: „Kiedy brzuch jest pusty, w umyśle pojawiają się jasne myśli niczym przyjaciele pragnący udzielić pomocy”. Pierwszym przejawem jasności było odkrycie, że plan napisania dwóch listów był już u źródła skażony.

Od wieków ludzie wierzący podkreślali, że liczy się instytucja papiestwa, nie zaś zachowanie lub charakter poszczególnych papieży. Jednakże Angelo obserwował, jak w ciągu ostatnich czterdziestu lat rzeczywistość zaczynała coraz bardziej odbiegać od tej prawdy. W tym czasie Kościół wyniósł na papieski tron jedenastu mężów, zdarzył się też okres siedmiu lat, gdy nie było papieża, i jeden rok, w którym było ich trzech. Angelo obserwował wzrost potęgi handlowej państw-miast, któremu towarzyszyła fala zeświecczenia powodująca, że ludzie przestali się uważać za poddanych wyższej władzy. W konsekwencji malał autorytet Kościoła, a papiestwo było wewnętrznie rozdarte z powodu rywalizacji francuskich i włoskich kardynałów.

- Doktorze Bartolo, co się stało z twoim Wielkim Łańcuchem Istnienia? - mruknął z sarkazmem. - Jego ogniwa stają się coraz słabsze z każdym kolejnym papieżem i każdym statkiem kupieckim wpływającym do portu.

Zrozumiał, że stał się jednym z wielu ludzi zniechęconych zepsuciem obecnego papieża. On również pomylił osobę ze sprawowanym przez nią urzędem. Pogarda dla Bonifacego sprawiła, że zapomniał o roli papieża jako namiestnika Chrystusa na ziemi.

Tak, musi spojrzeć wyżej, ponad osobę Benedetta Gaetaniego - odwołać się do niego jak do dobrego pasterza Kościoła walczącego. Może uda mu się skłonić Benedetta, a raczej Jego Świątobliwość, do udzielenia mu rozgrzeszenia tak, jak Chrystus uwalniał ludzi opętanych przez demony, leczył z trądu lub ślepoty... Może jeszcze zmartwychwstanie jak Łazarz. Przywołując te obrazy, zaczął pisać...

Wasza Świętobliwość, Ojczye Święty, Sługo sług bożych,

Zwracam się do Ciebie jak do pasterza trzody, dobrego pasterza, który nie porzuci swoich owieczek w chwili zagrożenia. Usunąłś mnie z owczarni z powodu popełnionych grzechów. Błagam cię, usłysz moje żalosne beczenie, cofnij ekskomunikę i pozwól wrócić do duchowych braci.

Jeśli postanowisz, abym pozostał w lochu, odbędę karę do końca, bom na to zasłużył. Użyj przeciwko mnie dowolnej broni prócz ekskomuniki. Rzeknij: „Udzielam rozgrzeszenia”, a do ostatnich dni zniosę z radością inne kary.

Bracia od świętego Franciszka płaczą, widząc, że stoję na krawędzi piekła. Śmierć mojej duszy jest opacznie bardziej ponura od śmierci córki Jaira. Ujmij mnie za rękę, jak nasz Pan ujął zmarłe dziecko. Zwróć mnie mojemu zakonowi i życiu.

Nie mam Marty ani Marii, aby się za mną wstawiły, choć jestem już cztery lata w grobie. Z powodu smrodu nikt nie odważy się do mnie podejść. Zawołaj: „Łazarzu, wyjdź!”, abym ponownie ożył jako Twój syn i syn boży. Jak trędowatemu, który z powodu choroby został wygnany z wioski, rzeknij: „Bądź oczyszczony”.

O ten dar i nic więcej błagam w imieniu Tego, którego reprezentujesz na ziemi.

*Twój posłuszny syn w Chrystusie,
brat Angelo Lorenzini da Todi*

Przypomniał sobie kogoś, kto mógłby wstawić się za nim w Rzymie. Kiedy jutro rano mnich przyjdzie z jałdem, zwinie pergamin i włoży go do kosza.

- Jeśli to możliwe - powie - każ swemu posłańcowi, aby dostarczył mój list papieżowi za pośrednictwem kardynała Gentilego da Montefiore. To mój brat franciszkanin i przyjaciel.

- Czy Gentile nie jest papieskim penitencjarzem?

- Jest nim, lecz uwolniłby mnie, gdyby nie Bonifacy. Mimo to jest moją największą nadzieją na ułaskawienie.

Kiedy mnich uniesie kosz ze zwojem, bratu Angelowi przyjdzie do głowy kolejna myśl.

- Czy twój posłaniec mógłby poprosić kardynała Gentilego o przesłanie wiadomości mojemu bratu, Silvestremu? Powiedz mu, gdzie przebywam, że nadal żyję i że nie musi się o mnie niepokoić.

- Spróbuję, bracie. Jako strażnik nie mogę rozmawiać z twoją rodziną, lecz kardynał może to uczynić.

Brat Angelo zachichotał.

- Wiem. Nie wolno ci również ze mną rozmawiać. Ufam, że w jakiś sposób Bóg

wynagrodzi ci twoje nieposłuszeństwo.

Codziennie po głównym posiłku w środku dnia Monna Leta zbierała resztki dla okolicznych żebraków, którzy tłoczyli się u drzwi. Czasami był wśród nich żebrzący mnich, a wtedy zapraszała go do domu na kilka dni. Zainteresowanie jej męża zakonem franciszkanów i jego świętym założycielem powodowało, że mnisi zawsze byli mile widziani przy rodzinnym stole. Sypiali na poddaszu, co Angelo przyjmował z mieszanymi uczuciami. Franciszkanie chadzali w zawoszonych łachmanach i śmierdziali jak bele niepranej wełny. Przez całą noc chrapali tak donośnie, że belki drżały, lub modlili się klęcząc, zanosząc Bogu swe jednostajne skargi. Ojciec Angela przysięgał, że zaprosi do domu raczej rabusia niż wędrownego mnicha.

Angelo zastanawiał się, dlaczego braciszczowie nie uczynili kilkuset dodatkowych kroków, aby znaleźć strawę i łożę w San Fortunato. Czemu sypiali wśród obcych, gdy dom ich zakonu znajdował się tak blisko? Bolesne wspomnienia związane z *padre* Sanguignem wzmacniały jedynie wrodzoną nieufność do obcych, dlatego nie śmiał zapytać. Po pewnym czasie zaczął uważać obecność zakonników za coś oczywistego, ignorując ich, jak ignoruje się cienie obłoków sunących po niebie.

Monna Leta na szesnaste urodziny zrobiła mu niespodziankę, prosząc, aby zjadł obiad z nią, *maestrem* Maccabeem i trzema zakonnikami. Choć pracował w kantorze od jedenastu miesięcy, ani razu nie został zaproszony do stołu notariusza. Zdjął fartuch ubrudzony atramentem, umył ręce w misie i poszedł za nią na górę.

Obserwując kołyszące się biodra Monny Lety, zauważył, że w ciągu ostatnich miesięcy jej figura stała się bardziej kobieca. Kościstość zniknęła pod miękkimi krągłościami. Może wydawała mu się mniej chuda, on bowiem również ostatnimi czasy wystrzelił w górę. Był teraz tak wysoki, jak Monna Leta i jej mąż. Woń lawendy płynęła za nią krętymi schodami, stanowiąc bolesne przeciwieństwo nieco mniej aromatycznego wspomnienia pasterki kóz, ubłoconej Marii Vidone. Wpił się paznokciami w poręcz schodów, aby uspokoić myśli, patrząc, jak przed nim kroczy.

Maestro Maccabeo zaprosił go do komnaty i przedstawił braciom. Wszyscy trzej wydawali się co najmniej tak starzy jak jego mistrz. Kiedy Angelo zajął miejsce przy stole, Leta przycupnęła na ławie obok niego, pozwalając mężowi skupić całą uwagę na gościach. I znów ten zapach wiosennego ogrodu, pomyślał. Próbował sobie wyobrazić, jak cudnie muszą pachnąć jej prześcieradła.

- Nadarza się rzadka okazja, Angelo - oznajmił notariusz. - Ci bracia są w zakonie od

chwili jego powstania, przebywali też wiele lat w towarzystwie świętego Franciszka. Brat Leon był nawet jego sekretarzem.

Braciszek pochylił wielką łysą głowę, balansującą niczym kamień wieńczący jego karłowatą postać. Wystawał ponad stół nie bardziej niż chłopiec, a jego roślejsi towarzysze pochylali się nad nim jak rodzice strzegący umiłowanego dziecka. W przeciwieństwie do wyrazu chytrego wyrachowania, jaki malował się na twarzy *padre* Sanguigna, braciszek spoglądał na Angela szczerym wzrokiem, niczym dziecko ciekawe świata. Ciemne zmarszczki otaczały duże oczy koloru leszczyny, co upodabniało go do przestraszonej sowy. Zaokrąglone policzki płonęły wiecznym rumieńcem.

- Mój uczeń świetnie zna łacinę i bardzo się nią interesuje - ciągnął *maestro* Maccabeo.
- Choć pracuje w kantorze niecały rok, już poprawia moje błędy gramatyczne.

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie wpadną mu w ręce nasze nieporadne próby - powiedział brat Rufino.

Maccabeo uniósł brwi.

- Czym dobrze was przedstawił jako historyków? - zapytał.

Brat Leon wzruszył ramionami z nieśmiałym uśmiechem, który Angelo uznał za niezwykle prostoduszny jak na kogoś w tak podeszłym wieku. Notariusz kontynuował swój wywód, zwracając się do Angela:

- Ci trzej bracia przybyli z Rieti, gdzie spisywali wspomnienia dotyczące świętego Franciszka. Brat Leon jest też autorem traktatów.

Na wzmiankę o traktatach Rufino zrobił niezadowoloną minę.

- To przestrogi, *maestro* Maccabeo - sprostował. - Wielka bestia zwana Zbytkiem stara się pożreć nasz zakon, a braciszki wylegujący się w wygodnych łóżach wolą nie zwracać na nią uwagi. Na szczęście brat Leon nie przestaje bić na alarm, wzywając do powrotu naszą Panią Ubóstwo, i nie chce pozwolić, aby nasi bracia pograżyli się w fałszywym spokoju. Można rzec, że nie jesteśmy ostatnio mile widziani w macierzystym zgromadzeniu.

- Dlaczego w takim razie zmierzacie do Asyżu? - zainteresował się notariusz.

Tym razem przemówił Leon, szczebiocząc piskliwym głosem.

- Matka Klara jest umierająca - powiedział. - Pragniemy się z nią pożegnać.

Angelo spojrział na Letę. Pokręciła głową. Tak jak on przestała śledzić przebieg rozmowy.

Leon zauważył jej konsternację i się uśmiechnął.

- Nasz błogosławiony ojciec, Franciszek, utrzymywał, że nie ufundował żadnego z trzech zakonów, że wszystkie zostały założone przez kobiety. Jego matka, Monna Pica,

dostarczyła natchnienia pierwszemu zakonowi braci swym pobożnym przykładem i modłami oraz wpływem, jaki wywarła na jego życie. Matka Klara zapoczątkowała drugi zakon Ubogich Pań, porzucając arystokratyczną rodzinę, by żyć zgodnie z naszą regułą. Rufino jest jej kuzynem, wie zatem, z jakim sprzeciwem się spotkała.

Wyższy z braci zmarszczył czoło i rzekł:

- Czterdzieści lat temu wujowie uznali, że przyniosła hańbę rodzinie, i obiegli jej klasztor. Wywlekliby ją za włosy, gdyby ich nie obcięła. Musiała się ukryć w kościele, przy ołtarzu zgromadzenia. Co za wstyd! - Grymas ustąpił miejsca chichotowi. - Byli równie rozwścieczeni, gdy przyłączyłem się do świętego Franciszka. Nazwali mnie obłąkanym i kontynuowali swoją kampanię przeciwko nam, dopóki do zakonu nie wstąpiły siostra i matka Klary. W owych czasach wszyscy najznakomitsi młodzieńcy i niewiasty Asyżu zniknęli w lesie, aby powrócić jako żebracy, którzy dla Boga stali się głupcami. Tak jak my.

- Głupcy boży - dodał Leon - wstępujący w ślady swojego założyciela.

W oczach zasłuchanego notariusza pojawiło się dziwne ożywienie. Otworzył usta, gotów przemówić, lecz nie chciał przerywać wspomnień braciszka. Kiedy goście przestali się śmiać, zapytał:

- A trzecia niewiasta?

- Nazywał ją „siostrą Jakubiną” - odparł Leon. - Trzeci zakon, tercjarze, jest oparty na regule świętego Franciszka dla świeckich mężczyzn i kobiet. Jakubina mieszka w Asyżu do dziś. Była wielką pociechą i wsparciem dla wszystkich starszych braci. Dała całun, w którym pochowaliśmy naszego mistrza, i poduszkę pod jego głowę. Siostra Jakubina cierpiała jak my wszyscy, gdy Eliasza... - Leon przerwał i zwiesił ramiona. - To stara, przykra historia - westchnął. - Pewnych tematów lepiej nie poruszać.

- W takim razie opowiedz o tercjarzach - poprosił Maccabeo. - Lata zaczynają mi już ciążyć brzemieniem nudnego dostatku. Od jakiegoś czasu myślę o złożeniu ślubów i przystąpieniu do tercjarzy. Żona zgodziła się uczynić to wraz ze mną.

Notariusz zwrócił się w stronę siedzących naprzeciw siebie młodzieńców.

- Angelo, zaprosiłem cię w nadziei, że i ty rozważysz złożenie ślubów. Żyjesz z nami jak syn. Czuję się odpowiedzialny za twój rozwój duchowy, podobnie jak kształcenie w sprawach handlu. Szczególnie po śmierci twojego ojca...

Zaskoczony uczeń spojrział na gospodynię, która niczym zwierciadło odbijała uśmiech męża. Trzej braciszkanie utkwili w nim wzrok pełen oczekiwania.

- Ja... ja nie wiem, co powiedzieć - wymamrotał. - Nie jestem pewny, czy ojciec chciałby...

- Przed śmiercią *signore* Iacobella rozmawialiśmy o różnych sprawach - powiedział *maestro* Maccabeo. - Zwierzył mi się z kilku trosk, między innymi związanych z twoją przyszłością. Zaaprobowałby złożenie ślubów. Nie przeszkodziłoby ci to w karierze wykonywaniu zawodu...

- Co miałbym ślubować?

Braciszek Leon rozłożył dłonie.

- Że będziesz regularnie uczestniczył we mszy świętej w kościele zakonu. W twoim przypadku byłyby to kościół San Fortunato. Odmawiał skróconą wersję godzinek kanonicznych, wyznawał grzechy dwa razy do roku i przestrzegał dni postu wyznaczonych przez Najświętszą Matkę Kościoła. Prócz tego unikał pewnych występków, takich jak nieumiarkowanie w picciu i hazard.

- Zostanie tercjarzem wniosłoby do twojego życia zbawienną równowagę - stwierdził Maccabeo. Zaskoczył Angela, dodając: - Byłoby to dla ciebie znacznie korzystniejsze niż przebywanie w kompanii tych fanatyków, z którymi grywasz w kości.

- Proszę, zgódź się - błagała Monna Leta, nieomal spadając z ławy. - Mężu, powiedz mu, co jeszcze mówiłeś... o gildii.

Notariusz się uśmiechnął.

- Wspomniałem mojej młodej żonie, że rada notariuszy i sędziów przychylnie odebrałaby takie religijne oddanie, rozpatrując twoją kandydaturę. - Rozprostował fałdy tuniki. - Wiem, że współzawodnictwo budzi dreszcz emocji. Jak zapewne wiesz, twój ojciec i ja lubiliśmy rywalizację. Naszą pasją była gra królów, szachy. - Poczzerwieniał, zwracając się do zakonników: - Nigdy jednak nie robiliśmy tego dla pieniędzy.

Dobrze mnie sprawdziłeś, pomyślał Angelo. Być może partię uratowała królowa jego mistrza. Monna Leta ścisnęła pod stołem jego rękę.

Rozdział szesnasty

- Pochwycili mnie w kowalskie szczypce, Mario - jęknął Angelo. - Mistrz wie, że jestem jednym z Rycerzy. Jeśli będę grywał z tobą w kości, nie przyjmą mnie do gildii. Ostrzegł mnie podczas niedawnej wieczery. - Do tej pory terminowanie u notariusza nie przeszkadzało mu w niedzielnych spotkaniach z szajką Maria, w jedyny dzień tygodnia, gdy nie miał żadnych obowiązków związanych z prowadzeniem kantoru, oprócz pory pełni księżyca.

Mistrz wiedział również o mrocznym sekrecie Angela. Podczas gry w szachy musieli rozmawiać z ojcem o przekleństwie ciążyącym na rodzie Lorenzinich, Maccabeo bowiem pozwalał mu wracać do jego *palazzo*, kiedy nadchodziła pełnia księżyca. W istocie - co trudno uznać za niespodziankę - stary człowiek pragnął trzymać go z dala od swego domu.

W większość niedziel, po udaniu się na mszę wraz z domownikami notariusza, Angelo zaglądał do swego *palazzo*, w którym życie stawało się coraz bardziej zaściankowe i obce w porównaniu z tym, co działo się poza jego murami. Po rytuale polegającym na wysłuchaniu tygodniowego sprawozdania Gastalda oraz zjedzeniu wieczery z matką i Silvestrem, biegł labiryntem uliczek do domu Maria. Czasami wykorzystywał nowe znajomości, aby sprowadzać synów arystokratów i kupców na partyjkę kości do Rycerzy. W takie popołudnia zapominano o wojnie między stronnictwami i najważniejsze stawało się to, w czym członkowie bandy byli najlepsi. Jak sądził Angelo, niezadowolony gracz podejrzewający, że Rycerze grają fałszywymi kośćmi, poskarżył się *maestrowi* Maccabeowi.

Mario spuścił głowę, gdy Angelo oznajmił mu złe wieści.

- Przykro mi to słyszeć, *compadre*. Przyniosłeś nam szczęście. Nigdy nie pijaliśmy tak dobrze, jak w ciągu ostatnich miesięcy.

- Nie rozstajemy się na zawsze, Mario. Najwyżej na dwa, trzy miesiące - powiedział z żalonym uśmiechem. - W tym czasie moja dusza, niczym więzień, musi się żywić suchym chlebem.

Wyciągnął dłoń i pomógł przyjacielowi. Krętymi uliczkami dotarli na podwórko, gdzie siostra Maria przykucnęła w słońcu, nie odrywając wzroku od elegancko odzianego młodzieńca drzemiącego przy murze.

- Nadal odsypiamy - wyjaśnił Mario. - Wczoraj graliśmy niemal do białego rana. - Podkraść się na palcach do śpiącego i odpiął sakiewkę od jego pasa. Potrząsnął, sprawdzając jej ciężar, a następnie wysypał na dłoń kilka złotych i srebrnych monet.

- Byłbym je wygrał ostatniej nocy, gdyby ten głupek nie spasował - rzekł, ruszając w stronę domu.

- Włóż kilka do środka - powiedział Angelo.

Na twarzy Maria pojawił się grymas niezadowolenia.

- Co ci do tego? Chcesz nam prawić kazania teraz, gdy cię przekabacili?

- Włóż kilka do środka - powtórzył zdecydowanym tonem. - Jeśli weźmiesz wszystkie, powie, że go okradłeś. Więcej go nie zobaczysz, chyba że w towarzystwie straży miejskiej. Jeśli zostawisz kilka, pomyśli, że resztę przegrał, gdy był pijany. Zechce się odegrać, a ty będziesz miał stałe źródło dochodu.

Mario przesunął dłonią po czole Angela.

- Będzie mi brakowało twego złodziejskiego umysłu. - Wsunął do sakiewki kilka drobnych monet i przyczepił ją do pasa młodzieńca. - Przypomnij mi, *compadre*, abym nigdy nie powierzał ci własnych pieniędzy, gdy otworzysz kantor.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz miał pieniądze, które nie są własnością innego.

Angelo pomacał tunikę, aż znalazł to, czego szukał. Wsunął dłoń do rękawa i wyciągnął zwinięty kawałek pergaminu.

- Uczę się, jak zarabiać pieniądze - powiedział. - Niestety, Gaetani przechytrzył nas obu. Najlepsze interesy można zrobić w Kościele. Czy wiesz, że biskup Asyżu ma połowę ziemi w *contado* otaczającym miasto? Zadbaj też o swojego brata. Zobacz, co wczoraj skopiowałem:

Ja, Corrado di Guittone, daję tobie, opatowi Santa Maria di Campagna, dwanaście modiolli ziemi i winnic za pośrednictwem Wielebnego Biskupa, który darował mi trzysta lat pokuty za to, że zabiłem chrześniaka, którego trzymał na świętej chrzcielnicy. Daruję ową ziemię, aby wznieść na niej kościół, opat zaś nakaze, by kapłani śpiewali psalmy i pieśni w intencji odpuszczenia mych grzechów, a ich ofiary, posty i dary służyć będą zbawieniu i oświeceniu mojej duszy.

Mario zagwizdał z podziwem.

- Dwanaście *modioli* bez pieniędzy?

Angelo skinął głową.

- Właśnie. Opat Letone uwolni Corrada od trzystu lat pokuty i nazwie to sprawiedliwą wymianą.

- A twój uczciwy notariusz? - zapytał Mario. - Jak wygląda w porównaniu z ludźmi

Kościola?

- To zaiste poczciwy człowiek i nieźle mu się wiedzie, ja jednak chcę, by mnie wiodło się wyjątkowo dobrze.

- Jak tego dokonasz...?

- Pożyczając pieniądze na procent - odparł Angelo. - Dlaczego tylko Żydzi mają czerpać z tego zyski? Nie dostrzegam żadnego logicznego powodu. Jeśli pożyczę pieniądze kupcowi, a ten mi je zwróci, wówczas zarobię od czterdziestu do sześćdziesięciu procent w krótkim czasie. Jeśli nie odda, wezmę nieruchomość, którą dał w zastaw. Tak czy owak, będę świetnie prosperował.

Mario zrobił w powietrzu znak krzyża, udając przerażenie.

- Nasza Matka Kościół nazywa to lichwą. Będziesz się smażył w piekle, dlatego proceder ten pozostawiono synom Abrahama. - Mario zaczął snuć teologiczne rozważania.

- Do diabła z klerem i jego grzechami - burknął Angelo. - To gorsi złodzieje od pożyczających na procent. Wierzyciel przynajmniej coś daje w zamian za swój zysk: pieniądze, gdy ich potrzebujesz. To coś bardziej namacalnego od wyznaczenia pokuty przez chytrego kapłana.

Mówiąc to, wsunął pergamin za pazuchę.

- W Lombardii chrześcijanie już są bankierami. Nie wyobrażam sobie, aby w przyszłości kupcy mogli prowadzić interesy bez pożyczania na procent, i zamierzam czerpać z tego zyski.

Mario spojrzał ponad głowę Angela, wznosząc dłonie w górę.

- Najświętsza Panienko! - zakrzyknął. - Kiedy będziesz najbogatszym ze świeckich w Todi, daj jakiemuś zgromadzeniu posag, aby uwolnił mnie od siostry.

Angelo podążył za gniewnym spojrzeniem przyjaciela. Dziewczyna uklęknęła obok pogrążonego w drzemce gracza, wkładając mu rękę pod tunikę aż po łokieć.

- *Sorella!* - ryknął Mario. - Marsz do domu! - Kiedy dziewczyna podniosła się na nogi, brat chwycił ją za kark pchnął w stronę drzwi. Nie poskarżyła się ani nie wydała żadnego dźwięku, lecz spojrzała ponuro na Angela, gdy przechodziła obok niego.

- Jesteś niesprawiedliwy, Mario! - zawołał za nimi. - Ukradłeś mi złoto, a nie pozwoliłeś, aby twoja siostra uczyniła to samo z jego rodzinnymi klejnotami.

Ponieważ nie mógł grać w kości, Angelo wrócił do domu. *Maestro* Maccabeo spodziewał się go dopiero za trzy godziny. W bramie wpadł na zaskoczoną Nellę. Mały Silvestre stał obok, trzymając się jej sukni.

- Uprzedź swoją panią - rzekł, przechodząc obok. - Muszę z nią pomówić.

- Jest zajęta, *signore*... z *maestrem* Gastaldem. - Po chwili dodała niemal szeptem: - Nikt nie spodziewał się, że dziś wrócisz.

- Gdzie są? Przyłączę się do nich.

Kobieta się zawahała.

- W jej komnacie, *signore*.

- Sami w jej komnacie? Nie boi się, że ludzie zaczną plotkować?

- Jest jej kuzynem, *signore*. Rozmawiają o prowadzeniu domu.

- Dobrze wiem, kim jest. - Przez chwilę przyglądał się służce. - Czemu tak drzysz, niewiasto?

Nie odpowiedziała. Podniosła Silvestrego, który zaczął kwilić, słysząc zagniewany głos brata. Angelo wyciągnął rękę, wpijając paznokcie w jej ramię, i rzekł spokojnie:

- Chcesz, abym miał jak najgorsze zdanie o tym słudze? Czy jeśli ich przyłapię, będę musiał zabić tego lubieżnego pawiana?

- Nie, *signore*. *Per favore*. Pani nie chciałaby, abyś ją teraz widział.

Uśmiechnął się kwaśno, zaciskając wargi.

- Nie powiedziałaś dlaczego. Myślę, że lękasz się ich zdradzić.

- Pani źle się czuje - sapnęła kobieta.

- Znowu? Czyżby ponownie dokuczał jej brzuch? Czy chce zmaistrować Silvestremu towarzysza zabaw?

- Nie, *signore*! Proszę tak o niej nie myśleć. Ponownie przywdziała welon.

Zaskoczony opuścił rękę.

- Medyk powiada, że to rodzaj szkorbutu, *signore* - dodała Nella. - Choroba niszczy jej skórę i atakuje dziąsła. Traci zęby.

Poczuł, jak ściska mu się żołądek.

- Skorbut, powiadasz? Czy ksiądz ją widział?

Służąca pokręciła głową.

- Wasza matka nie wychodzi z domu, *signore*. Prawie nie opuszcza swojej komnaty.

Święty Boże, a jeśli zachorowała na trąd? Ona i dziecko zostaliby zamknięci w *ospidale* dla trędowatych. Jak gildia przyjęłaby taką wiadomość? Jakiego widowiska dostarczyłyby kapłan, paradujący z nią ulicami miasta do leprozorium?

Uniósł ramię dwulatka i odsunął rękaw jego koszulki, szukając śladów na skórze dziecka. Silvestre drżał tak jak służka.

- Nikt nie wie?

- Oczywiście, *signore*. Nikt prócz medyka i kilku domowników. - Przytuliła dziecko, gdy Angelo puścił jego ramię, i dodała: - Jesteśmy wierni pani tak jak wy, *signore*.

Zignorował tę uwagę, naciskając skronie czubkami palców. Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł. Lepiej zachować wszystko w sekrecie i mieć nadzieję, że plotkarki się nie dowiedzą. Przy odrobinie szczęścia powinno się udać. Nie zaszkodzi też miły podarunek dla medyka.

Pomyślał z sympatią o matce. Musi być bardzo samotna, skoro towarzystwo tego obłudnego krokodyla Gastalda stało się dla niej źródłem pociechy. Czyż jednak jej cierpienia nie były spowodowane tym, że współżyła z kapłanem?

Zaczął gładzić główkę chłopca, dopóki dzieciak się nie uspokoił.

- Kara za grzech, Silvestre... - mruknął. - Kara za grzech...

Zadumał się nad własnym położeniem. Bękart miał szczęście. Nie odziedziczył przekleństwa rodu Lorenzinich. Czym on sobie na nie zasłużył? Nie mógł przecież zgrzeszyć, kiedy jego ciało formowało się w łonie matki. To jemu należało współczuć.

W owym czasie brakowało mu pociechy - szczególnie pociechy kobiety, czulej i serdecznej. Dumał nad tym przykrym faktem, stojąc przy pulpicie do pisania i przekształcając lapidarne słowa dyktowane przez *maestra* Maccabea w zgrabny dokument prawny. Potarł miejsce na przedramieniu, tam, gdzie podczas obiadu Leta dotknęła go pod stołem. Pióro zaczęło drzeć mu w palcach. Musiał je szybko unieść, aby nie poplamzić pergaminu, omal nie przewracając krowiego rogu, w którym trzymano atrament.

Jestem szalony! Skoro krzywią się na myśl o hazardzie, powieszają ucznia, który pożąda żony swego mistrza. Mimo to nie mógł zignorować podniecającego dotknięcia i serdecznego głosu, którym pozdrawiała go każdego ranka... znacznie przekraczającego zwykłą uprzejmość okazywaną sługom. Na dodatek, prócz dwóch podstarzałych służek, była jedyną kobietą, którą codziennie widywał.

Marzenia na jawie przerwał mu skrzyp drzwi na górze. Notariusz zaczął schodzić do kantoru w towarzystwie Lety owiniętej w pelerynę z gronostajów. W obu rękach niosła puste kosze, rozświetlając uśmiechem ponury pokój.

- Mój wspaniałomyślny małżonek pozwolił odciągnąć cię od zwykłych obowiązków - powiedziała. - Potrzebuję pomocy na rynku, a służebne są dziś zajęte w kuchni.

Już wcześniej nosił jej pakunki, zawsze czynił to jednak w towarzystwie służki. Dwornie skłonił głowę, wycierając pióro z atramentu i próbując ukryć radość. Gdy ponownie dotknęła jego ramienia, podając kosze, spojrział ukradkiem na *maestra* Maccabea. Notariusz

dał znak żonie, lecz nie rzekł ani słowa. Wyraz jego twarzy trudno było uznać za gniewny, raczej za wyrażający pouczenie.

Najpierw zajrzeli do San Fortunata, gdzie Leta zawsze przystawała na modlitwę w kaplicy Przenajświętszej Pani, zanim przystąpiła do załatwiania sprawunków. Stał tuż za nią. Jakże proste i nieskomplikowane musiały być jej modły w porównaniu z lamentacjami jego matki, która klęczała kiedyś przed tym samym obrazem. Angelo nadal widział wgłębienia, które wyźłobiła kolanami. Podobnie jak matka żona notariusza podczas modlitwy narzuciła na głowę pelerynę, aby kształt jej sylwetki go nie rozpraszał.

Spacerując po *mercato*, opowiadała o gościach, którzy przyjdą wieczorem na obiad, i o zakupach, jakie musi zrobić. Mijała trzepoczące skrzydłami kaczki i króliki ze skrupowanymi nogami przed straganami z drobiem, śliskie wnętrzności schnące w chłodnych promieniach słońca na parceli rzeźników i psy grzebiące w odpadkach.

Przystanąła, aby uszczypnąć tłustego kapłona.

- Nie musimy tu niczego kupować. Kucharz zamówi kurczęta u ulicznego handlarza. Będziemy mieli mniej do niesienia. - Skrzywiła się, przechodząc obok kubła z rybami. - Nie wydaje ci się, że pomazano je świńską krwią? Nie wyglądają na świeże. - W końcu zdecydowała się na barani zad i łopatkę sarny. - Potrzebujemy jeszcze boczku. Dla dodania smaku. Na mięsie ugotujemy zupę. - Zaśmiała się i pokręciła głową. - Wszystko ląduje w zupie *maestra* Maccabea. Mój nieszczęsny małżonek! Wkrótce będzie miał mniej zębów niż palców u nóg.

- Moja mama też wkrótce straci zęby - odparł Angelo, natychmiast żałując, że to powiedział. Ta nieporadna próba nawiązania rozmowy mogła sprowokować pytania o chorobę matki. Zamilkł i ukrył twarz za pakunkami z mięsem, które trzymał w rękach.

- Przykro mi to słyszeć, Angelo. - Znów poczuł jej palce na ramieniu, lecz nie zdołał dojrzeć wyrazu twarzy.

W milczeniu obserwował, jak jego pani kupuje kilka długich bochnów chleba i ciasta w piekarni oraz oliwę z oliwek na straganie z przyprawami. Tym razem pomogła mu nieść kosze i obładowani zakupami ruszyli do domu. Dumnie trzymała głowę, pozdrawiając mijanych ludzi i poruszając się z gracją, mimo zakupów, które niosła. Wydawała się czarodziejką z bajkowego świata, promienną miejską nimfą. Kiedy szli opustoszałą uliczką, nie mógł się dłużej opanować i wykrztusił:

- Kocham cię, pani.

Zatrzymała się, przechyliła głowę i uśmiechnęła się słodko.

- My również cię kochamy, Angelo. Mąż i ja jesteśmy szczęśliwi, że u nas mieszkasz.

Wiesz, że Maccabeo uważa cię za syna.

- A ty za kogo mnie uważasz? - Zamarł na chwilę, obawiając się, że odepchną ją jego pochylona postawa i zgarbione plecy. Gdyby jednak czuła do niego odrazę, już dawno dałaby to poznać.

Westchnęła i zwilżyła językiem wargi, pragnąc coś powiedzieć, ale zamiast udzielić odpowiedzi, spojrzała przed siebie i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę domu.

- Leto, kocham cię! - powtórzył, doganiając ją. - Powinnaś mieć mężczyznę w swoim wieku, aby móc go kochać.

Zatrzymała się ponownie, lecz tym razem nie odwróciła się do niego, a uśmiech nie złagodził jej odpowiedzi. Jej ciało stało się napięte, a chłodna reakcja sprawiła, że poczuł, jak serce ogarnia mu fala chłodu.

- Nie słyszałam tego, co powiedziałeś, Angelo - rzekła, wpatrując się przed siebie. - Błagam, nie sugeruj mi takich rzeczy ani o nich nie myśl. To wszystko by między nami popsuło.

Następnego ranka *maestro* Maccabeo dał znak Angelowi, aby wyszedł z nim na zimowe słońce. Zaciekawiony Enzo podniósł wzrok znad pulpitu, obserwując, jak opuszczają kantor.

Chłopak poczuł skurcz żołądka, gdy notariusz zaczął:

- Chciałbym porozmawiać z tobą prywatnie. Chodzi o moją żonę.

Angelo pomyślał, że Monna Leta powiedziała mu o jego wyznaniu. Chociaż Maccabeo mówił spokojnym głosem, Angelo zmuszał się do zapanowania nad emocjami, które mogłyby go zdradzić.

- Mam sześćdziesiąt lat i Bóg jeden wie, ile czasu mi jeszcze zostało, hrabio Angelo. - Po raz pierwszy od czasu, gdy rozpoczął terminowanie, *maestro* Maccabeo użył tego tytułu. - Pewnego dnia, jeśli zechcesz, przejmiesz mój interes i klientów. Pragnę, aby jednym z twych pierwszych zadań było wykonanie mojej ostatniej woli.

Mistrz oparł się na jego ramieniu, gdy szli ulicą.

- Jak już wspomniałem - ciągnął - ojciec twój prosił, bym się tobą zaopiekował, jeśli odejdziesz wcześniej ode mnie. Chcę, abyś uczynił to samo. Kiedy umrę, zaopiekujesz się Monną Letą i Enzem. Wprowadzisz chłopca do interesu... Jeśli zaś chodzi o moją żonę... znasz wielu szlachciców w tym mieście - mówił, trzymając Angela za ramię. - Zyskasz moje wieczne błogosławieństwo, jeśli znajdziesz jej godnego męża. Zasługuje na najlepszego mężczyznę, jakiego ma do zaoferowania to miasto. - Przerwał, pozwalając, by Angelo zastanowił się nad tymi słowami. - Przysięgniesz, że to dla mnie uczynisz? - zapytał.

Serce młodzieńca biło gwałtownie, pełne silnych emocji i pytań. Był zaskoczony, że Maccabeo chce, aby po jego śmierci Monna Leta powtórnie wyszła za mąż. Trzeba to zaliczyć na plus. Jednakże nie wymienił go wśród potencjalnych kandydatów. Czyżby uważał, że jest tego niegodny po incydencie z Marią Vidone? Albo z powodu klątwy, która na nim ciążyła? A może delikatnie dał do zrozumienia, aby zachował dystans? *Maestro* Maccabeo wydawał się szczery, wolny od gniewu i nieufności. Mimo to jego intencja była wyraźna: znaleźć Lecie kogoś innego na męża.

- *Si, maestro* - wyjąkał. - Uczynię... uczynię wszystko, co w mej mocy... dla nich obojga. - Aby potwierdzić przyrzeczenie, chwycił rękę mistrza, lecz jego uściskowi brakowało zdecydowania.

Maccabeo spojrzał mu w oczy. Jego wzrok był przyjazny, lecz głos stanowczy:

- Widzę w twoich oczach rozczarowanie - powiedział. - To, o czym myślisz, nigdy się nie ziści, synu. Pewnego dnia zrozumiesz dlaczego. Tymczasem uczyn dla niej, coś obiecał. - Zrobił kolejną pauzę, aby te słowa zapadły w pamięć ucznia. - Chodźmy więc - rzekł w końcu. - Wracajmy, zanim zjawią się pierwsi klienci. Dziękuję ci za twą obietnicę, *signore*. Jest dla mnie cenniejsza, niż ci się zdaje.

Rozdział siedemnasty

Dwie noce później Angelo zamknął się w sypialnej komnacie rodzinnego *palazzo*, jak to czynił co miesiąc. Obietnica, którą złożył mistrzowi, nie dawała mu spokoju, burzyła myśli, nie pozwalała spać. Zaczął dostrzegać w sobie zmiany, musiał się oprzeć potężnemu pragnieniu, aby wybiec z domu, wciągnąć w płuca nocne powietrze, zawyc z narastającego smutku, zacząć przeczesywać ulice, czego za dnia nie mógłby robić.

Z każdym rokiem wilcze cechy stawały się coraz bardziej wyraźne. Sierść, która w porze pełni pokrywała całe jego ciało, była teraz długa i szorstka. Pięści i stopy stopniowo przekształcały się w pazury. Z trudem zachowywał wyprostowaną sylwetkę, powtarzał sobie, że w sercu nadal pozostał człowiekiem, choć człapał jak niedźwiedź. Często też stawał na czworakach, w tej bowiem pozycji było mu wygodniej. Krążył wokół siennika, który rozłożył na podłodze komnaty, nie mogąc się uspokoić na tyle, by na nim spocząć.

Przed świtem wyjrzał za bramę, węsząc i rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu nocnej straży tropiącej tych, którzy naruszyli godzinę policyjną. Lękał się nie tyle strażników, ile ich psów. Z pewnością rzuciłyby się na niego i musiałyby je zabić, i całe miasto zwróciłoby się przeciw niemu.

Początkowo trzymał się blisko murów otaczających Todi. Przeszedł pod żelazną barierką oddzielającą cmentarz od zabudowań. Był to jedyny zadrzewiony teren w obrębie murów, lecz minął główną bramę. Czuł, że między grobami snują się zjawy silniejsze i dziwniejsze od niego. Skręcił w stronę centrum miasta, węsząc na ulicach, przemycając mrocznymi zakamarkami, by uniknąć jasnego światła księżyca, obok resztek pożywienia, podrobów wyrzuconych przez okno i moczu pozostawionego przez ludzi i zwierzęta. Zignorował to wszystko, dopóki nie natrafił na ślad, który sprawił, że stanął jak wryty.

Zapach był najsilniejszy koło przejścia wiodącego do *mercato*. Kilkakrotnie wciągnął tę woń, prawie przywierając nosem do bruku, po czym ruszył nikiącym tropem, który doprowadził go do targu. W pewnej chwili uskoczył, widząc latarnię nocnej straży.

Kiedy strażnicy się oddalili, wolno ruszył dalej, zapach słabł bowiem na odcinku kilku przecznic. Gdy niebo zaczęło się rozjaśniać, nadal tropił nieznanne stworzenie. Skrzywił się niechętnie, skręcając w kierunku *palazzo*. Musiał wrócić do swojej komnaty, zanim dom zacznie się budzić.

Woń, którą poczuł, była nie do pomylenia, dlatego miał nadzieję odnaleźć ją ponownie kolejnej nocy. W samym środku miasta natknął się na innego wilka! A właściwie wilczycę!

Dawna serdeczność Monny Lety powróciła po kilku dniach chłodnego traktowania, chociaż kobieta zważała, by nie dotykać Angela ani nie ocierać się o niego, a nawet nie uśmiechać się doń zbyt ciepło, on zaś nigdy więcej nie odważył się wyznać, jakie uczucia do niej żywi.

Najtrudniejsza była dla niego pora wiosny, gdy energia krążąca w naturze skłaniała wszystko, co żywe, do rozmnażania się. Co roku tłumił swoje pragnienia, kiedy słońce mijało znak lubieżnego Barana. Mógł jedynie zazdrości mężowi Lety dobrego zdrowia. Monna Leta krzątała się po domu, wykonując codzienne obowiązki i stając się z każdą porą roku coraz bardziej kobieca. Minęły trzy lata od dnia, w którym notariusz poprosił, aby Angelo zaopiekował się jego rodziną, a Leta zganiła go, gdy wracali z targu. Chociaż w porze pełni księżyca kilka razy wymykał się z domu, nigdy więcej nie natrafił na woń wilczycy. Nie wiedział też, czy mógłby się parzyć z takim stworzeniem.

Będąc w Todi, pogrążył się w pracy i studiach, chodząc z Maccabeem na rozprawy sądowe w charakterze skryby i analizując kwestie prawne z notariuszem, który chwalił jego postępy.

- Pamiętaj, co radzą prawnicze księgi - przypominał mu przed rozprawą. - Zapisuj nie tylko oficjalne zeznania oskarżonego, lecz także to, jak zachowuje się na torturach. Westchnienia, krzyki, lamenty, język ciała. - Maccabeo miał bardziej pragmatyczny stosunek do tortur niż doktor Bartolo.

Jego udrękę przerwał na krótko wyjazd do Bolonii, gdzie studiował prawo na tamtejszym uniwersytecie. Czas nauki i egzaminów przeplatał się ze spotkaniami z uczonymi w miejscowych tawernach i nocami spędzonymi z prostytutkami, mającymi grubą warstwę różu na policzkach, których pełno było na ulicach nieopodal uniwersytetu. Angelo próbował znaleźć ulgę w ich ramionach. W Bolonii nikt go nie znał. W Todi musiał unikać rozwiązłych kobiet, które mieszkaly w dzielnicy Maria, obawiając się, że zadawanie się z nimi pozbawi go możliwości wstąpienia do gildii. W Bolonii wynajął pokój w pewnej odległości od uniwersytetu - niezbyt wygodny, lecz zapewniający konieczne schronienie podczas pełni księżyca.

Studiując na uniwersytecie, pracował również jako sekretarz miejskiego *podesta*, *signore* Commacia, który podobnie jak on był zwolennikiem gwelfów. Angelo uważało go za wielkiego myśliciela i sprawnego administratora, jeśli mierzyć dokonania standardami Todi. Kiedy Angelo wrócił do domu, podtrzymywał z nim przyjaźń za pośrednictwem długich listów, mając nadzieję, że w przyszłości ich drogi ponownie się skrzyżują.

Po powrocie podjął pracę w kantorze Maccabea jako płatny czeladnik, będąc zaledwie o krok od przyjęcia do gildii. Odwiedziwszy dom, dowiedział się, że matka lepiej się czuje i ma lepszy humor, chociaż choroba skóry pozostawiła blizny i zmusiła ją do noszenia welonu. Podobnie jak jego mistrz straciła tyle zębów, że mogła jeść wyłącznie miękkie jadalno i zupy. Jej ruchy stały się powolne, a gdy włożyła czarną suknię, nie można jej było odróżnić od staruch plotkujących na miejskich *piazza*. Z radością odpoczywała w towarzystwie synów, trzymając obu za ręce i prowadząc z nimi ciche rozmowy.

W tym czasie w mieście otworzyła swe podwoje nowa szkoła dla szlachty i sześćoletni Silvestre znalazł się wśród pierwszych uczniów. Zajęcia były prowadzone w opactwie San Fortunato pod nadzorem *padre* Sanguigna. Kapłan bez wątpienia dostrzegał chłopca podobnego do niego, przebiegając wzrokiem ławki pełne przejętych młodych twarzy.

Studia prawnicze zajęły Angelowi siedem lat i znalazły oficjalne uwieńczenie w marcu roku tysiąc dwieście sześćdziesiątego, pięć miesięcy po jego dwudziestych drugich urodzinach, gdy sędziowie i notariusze należący do gildii przyjęli go do swego grona.

- To wspaniałe osiągnięcie - piał z zachwytu jego mistrz, choć nawet Angelo zdawał sobie sprawę z miary odniesionego sukcesu. Jako terminator i czeladnik ciężko pracował, ćwiczył umysł i trzymał się z dala od skandali. W pełni zasłużył sobie na szacunek członków gildii.

Kiedy *maestro* Maccabeo ujął go za ramię i poprowadził na podium w głównej sali gildii, Angelo przypomniał sobie ostatnią lekcję doktora Bartola na temat Wielkiego Łańcucha Istnienia, a szczególnie tej jego części, którą tworzyły różne miejskie bractwa.

Członkowie siedmiu głównych gildii są niewiele niżsi stanem od szlachty, z sędziami i notariuszami na samym szczycie. Poniżej notariuszy znajdowali się najbardziej szanowani członkowie nowej klasy mieszczańskiej: bankierzy i kupcy handlujący z dalekimi krajami. Wszyscy zajmujący niższą pozycję - wymieniający pieniądze, handlarze tekstylni, zwykli kupcy, sklepikarze, medycy i aptekarze, kuśnierze i przedstawiciele innych konfraterni, a nawet szlachta - mieli przychodzić do niego po poradę prawną, suto go za nią wynagradzając.

Po oficjalnej uroczystości wprowadzenia Angelo, zgodnie z tradycją gildii, wydał ucztę dla pozostałych członków w wielkiej sali. Oczekiwano też, że w ciągu tygodnia wyruszy w pielgrzymkę dziękczynną do Rzymu, po której miał rozpocząć pracę jako wspólnik Maccabea.

Duma bijąca ze spojrzenia Monny Lety ostrzegła go, że powinien jak najszybciej wyruszyć do Wiecznego Miasta. Jej uśmiech był taki kuszący. Perła Maccabea lśniła teraz blaskiem dojrzałej kobiety, a nadejście wiosny nakazywało Angelowi utrzymywać

odpowiedni dystans. Być może oprócz wiedzy prawniczej podczas lat spędzonych w domu mistrza zdobył też zdrowy rozsądek.

Mimo to w wieku dwudziestu dwóch lat nie ufał, że rozum zdoła okiełznać pragnienia jego serca. Przez siedem denerwujących lat tłumił uczucia, gdy on i Leta dorastali obok siebie - on, kładąc się samotnie na swym pościeli, ona, w komnacie na dole, dzieląc szerokie łóżko ze starym chrapiącym notariuszem.

Wysławszy list do papieża Bonifacego, brat Angelo czekał niecierpliwie na odpowiedź. Niestety, na razie jego nadzieje okazały się płonne. Choć nie został ułaskawiony, przypominał sobie, że brak odpowiedzi jest lepszy od szybkiej odmowy. Był rad, że Benedetto Gaetani zapomniał o jego istnieniu, gdy zabiegał o przyjęcie do gildii. Gaetani studiował wtedy w seminarium i rzadko odwiedzał wuja Pietra w Todi. Teraz jednak Angelo, zamknięty w lochu, byłby rad, gdyby papież poświęcił choć kilka minut na rozpatrzenie jego prośby.

Przypominał sobie, jak zakończył się ich rozejm, jeśli to określenie jest właściwe, podczas jego pielgrzymki do Rzymu, po oficjalnym wprowadzeniu do gildii. Ich drogi nie tylko ponownie się skrzyżowały, lecz także zaczęły z sobą rywalizować.

Angelo usłyszał, że Benedetto został mianowany kanonikiem katedralnym Todi na krótko przed jego przyjęciem do gildii. Opiekuńczy wuj młodego kleryka, poprzedni kardynał Conti, został papieżem Aleksandrem IV i mianował bratanka na ów urząd.

Papież opuścił miasto zaraz po swym wyborze, kiedy najpierw gwelfowie pod wodzą rzymskiego senatora Brancaleonego degli Andalo, a później szlachta skupiona w partii gibelinów rozpoczęli walkę o panowanie w Wiecznym Mieście. Przyjazny i łagodny Aleksander spędzał dni pontyfikatu, podróżując między Viterbo a oddaloną od świata rodzinną willą w Anagni.

Angelo nie wiedział, że Benedetto wyjechał z Todi, aby odwiedzić papieża, i że on kilka godzin po nim ruszy Via Flaminia. Mając jeszcze w uszach echo pochwał członków gildii, świeżo upieczony notariusz wstąpił do przydrożnej oberży w San Gemini, wynajmując najlepszy pokój. Był zdżony całodzienną podróżą, więc szybko zasnął na miękkim pościeli. Kiedy jakiś czas później oberżysta zaczął łomotać do jego drzwi, pomyślał, że budzi go na wieczerzę. Otworzył drzwi i ujrzał, jak ten wyłamuje sobie palce, a na jego twarzy maluje się zmieszanie.

- *Signore*, jest mi niewymownie przykro, lecz do oberży zajechali właśnie dwaj bratankowie papieża i domagają się najlepszej izby. Proszę, zrozumcie, jestem prostym gospodarzem. Byłbyś waszmość tak miły, aby im ustąpić i przenieść się do innej izby? Jeśli

mi pomożesz, dostaniesz ją darmo.

Angelo przetarł oczy, próbując zebrać myśli. Za oberżystą zobaczył Benedetta i Roffreda Gaetanich w podróżnych strojach. Utkwiwszy w nich nienawistne spojrzenie, odpowiedział tak głośno, by było go dobrze słychać.

- Tych dwóch? Tak, oddam im pokój, jeśli uklękną i ucałują mój gibeliński tyłek.

Zaskoczony gospodarz cofnął się w głąb korytarza, aby nie stać pomiędzy Angelem i braćmi. Uniósł dłonie w geście bezradności, spoglądając to na niego, to na nich.

Benedetto odpowiedział równie donośnym głosem:

- Spójrz, Roffredo, to garbus. Czy to możliwe, by chciwy notariusz dostał najlepszy pokój w oberży?

- Jak to możliwe, by Gaetani oskarżali innych o chciwość? - odparował Angelo.

Kiedy wypowiadał te słowa, poczuł, że gniew ogarnia całe jego ciało. Świerzbienie skóry, które do tej pory powracało w miesięcznych odstępach, ogarnęło go całego, a palce lewej dłoni zaczęły się przekształcać w pazury. Gniew wywołał reakcję, która do tej pory pojawiała się jedynie podczas pełni księżyca. Ukrył się za drzwiami, aby bracia nie mogli go widzieć, chociaż oberżysta nadal miał go przed oczami.

- W ambicji chodzi o skalę, nieprawdaż?! - zawołał Benedetto. - Odniosę sukces, lecz nie dzięki mozolnej pracy, jak pospolity urzędnik. Mam wyższe cele i wykorzystuję koneksje, nie zaś prozaiczną pracę, by je osiągnąć.

- Powiedz, że do niego idziemy - wtrącił Roffredo.

Benedetto się wyprostował.

- Jadę na audiencję do papieża Aleksandra Czwartego, naszego wuja. Niedawno obdarzył mnie zaszczytnym urzędem. Zamierzam zwrócić się do niego o dodatkowe beneficjum, którego z pewnością mi udzieli: stanowisko przeora zgromadzenia benedyktynów przy trakcie Foligno. Będę się tam pojawiał raz w roku, czerpiąc z tego duże zyski - oznajmił szyderczo. - Nie dla mnie fartuch zaplamiony atramentem, lecz, jak mniemam, taki właśnie jest los niższej szlachty.

Roffredo ruszył w kierunku oberżysty.

- Wyrzucisz go czy mamy to zrobić sami?

Kiedy się zbliżył, z gardła Angela wydobyło się niskie warknięcie. Obnażył kły i warknął jeszcze raz. Czuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

Oberżysta krzyknął i czmychnął za Roffreda, ten zaś cofnął się kilka kroków z twarzą wykrzywioną zdumieniem i lękiem. Na dole otworzyły się drzwi pomieszczeń dla służby. Po chwili wypadł z nich krzepki mężczyzna z obnażonym mieczem w dłoni i ruszył za Gaetanim.

- Nic ci nie jest, hrabio Angelo?! - zawołał z dołu schodów.

Angelo wycofał się w cień i odpowiedział nieco już spokojniej:

- Wszystko w porządku, Tonio. Panowie, poznajcie mojego przybocznego. Na waszym miejscu nie wystawiałbym na próbę jego oddania, tylko zapytał grzecznie oberżystę, czy w pobliżu nie ma innej przyzwoitej gospody. Myślę, że wszyscy będziemy lepiej spali, wiedząc, że nie odpoczywamy lub nie skradamy się pod jednym dachem.

Po tych słowach zamknął drzwi izby. Spojrzał na polerowany metalowy słupek na ścianie i przyszła pora, by on sam okazał zdumienie z powodu twarzy, która się w nim ukazała. Potarł pokryty sierścią policzek i uczynił znak krzyża, po raz sety zastanawiając się, dlaczego spadała na niego klątwa i jak, co było kolejnym zmartwieniem, Gaetani wykorzystają to przeciwko niemu. Nawet oberżysta mógł skrzyknąć w nocy przeciw niemu motłoch.

Odwrócił się od swojego odbicia i próbując zachować spokój, zaczął się pakować. Wiedział, że choć Tonio nie będzie z tego zadowolony, powinni wziąć z kuchni coś do jedzenia i jak najszybciej się oddalić. Poza tym wyruszając wieczorem, szybciej dotrą do Rzymu.

Jak każdy pielgrzym przybywający do Wiecznego Miasta, Angelo musiał odwiedzić świątynię, którą cesarz Konstantyn wznosił na grobie świętego Piotra i grobach pierwszych chrześcijańskich męczenników. Bazylika Świętego Piotra była miejscem koronacji kilku papieży, namaszczenia Karola Wielkiego na cesarza i wiecznego spoczynku książąt Kościoła. Bogate dekoracje, lśniące mozaiki i żyrandole oraz liczne boczne ołtarze sprawiły, że Angelo poczuł się mały i pokorny. W żadnym kościele tak wyraźnie nie odczuwał obecności Boga pod drewnianym sufitem, który niemal sięgał nieba. Modlił się żarliwie, aby zdołał dobrze wypełniać swe obowiązki, jak przystało na pobożnego syna Kościoła. Mimo złożenia tercjarских ślubów mógłby powiedzieć, że do tej chwili jego duchowa wrażliwość pozostawała uśpiona. W końcu wstąpił do tercjarzy, aby zyskać aprobatę mistrza, Lety i gildii.

Po opuszczeniu bazyliki ruszył na wschód przez ogród w kierunku Tybru i zamku Świętego Anioła - twierdzy, w której kiedyś znajdował się grób cesarza Hadriana. Szedł samotnie późnym popołudniem, pragnąc uwolnić się od myśli i uczuć rozprasających uwagę. Ponieważ czuł się bezpiecznie, pozostawił Tonia w ich kwaterze.

Nagle poczuł głód, minął więc grobowiec i przeszedł na drugą stronę Tybru. Szedł wzdłuż przeciwnego brzegu, rozglądając się za gospodą. Miasto nie zrobiło na nim większego wrażenia. Najwyraźniej nie zdołało się podnieść po złupieniu przez Normanów w

1084 roku i trwających dwieście lat niepokojach. Mieszkańcy żyli stłoczeni w ciasnych, walących się ruderach, jakie widział w dzielnicy Maria w Todi. Górzące na horyzoncie domostwa szlachty sterczały w górę niczym osmolone kikuty. Gdy w mieście rządili gwelfowie, Brancaloneone spalił około stu pięćdziesięciu wież.

Angelo spostrzegł przed sobą gromadkę brodatych mężczyzn w arabskich szatach i turbanach, pogrążonych w ożywionej rozmowie. Blokowali przejście, zmuszając go, aby zwolnił kroku. Pośrodku nich stał człowiek, który w charakterystyczny sposób utykał. Chociaż jego tunika była bardziej znoszona niż kiedyś, Angelo nie miał wątpliwości, kto ją nosi. Zaryzykował powitanie.

- Doktorze Filippo! Twój brat powiedział mi, że nadal mieszkasz w Rzymie. Czy mnie pamiętasz?

Twarcz mężczyzny powoli rozjaśniał uśmiech. Pozostali przyglądali się tej scenie w ciekawym, uprzejmym milczeniu.

- *Signore* Angelo! Co za niespodzianka! Jak urosłeś! - Jeśli żywił urazę z powodu dawnych wydarzeń, nie zdradził tego ton jego głosu. - Co cię tu sprowadza? Sądziłem, że do tego czasu na dobre zadomowisz się w Todi.

- Tak też się stało. Przybywam tu jako pielgrzym, dziękując za przyjęcie do gildii notariuszy - oznajmił dumnie, wiedząc, że Filippo doceni lata studiów, które doprowadziły do tego zaszczytu.

- Gratuluję, *signore* - odpowiedział z ukłonem. - Chodź, powinieneś to uczcić razem z nami. Przedstawię cię moim braciom, uczonym. Zamierzaliśmy kontynuować dysputę nad misą strawy. Być może jedno i drugie sprawi ci przyjemność.

Rozdział osiemnasty

Mężczyźni rozstąpili się, wpuszczając go do swojego kręgu, tak jak rzeka przyjmuje dopływy. Kilku się przedstawiło, chociaż zapamiętał jedynie imię najbliższego, Omar Kasim. Między sobą rozmawiali w obcym języku, lecz do Filippo zwracali się po łacinie. Angelo był rad, że ma okazję pochwalić się znajomością tego języka.

- Ci waszmościowie służyli na dworze Fryderyka w Palermo - wyjaśnił doktor Filippo. - Przybyli tu, aby kontynuować badania zlecone przez zmarłego cesarza, przekładając na łacinę saraceńskie teksty matematyczne i medyczne. Nie wspominając o greckich autorach, których słowa zachowały się w języku arabskim. Są one skarbem ludzkości i dziedzictwem, które Fryderyk pozostawił światu. Uniwersytety i klasztory już mają pożytek z ich pracy, zajęte kopiowaniem przekładów.

Zaczęło padać, lecz zdążyli dotrzeć do celu swojej wędrówki. Cała grupa weszła do pobielanego domu, sadowiąc się na poduszkach ułożonych w kręgu na podłodze izby o niskim stropie. Musieli być oczekiwani, słudzy bowiem zaczęli od razu ustawiać przed nimi misy z wielobarwnymi potrawami o przedziwnej woni. Omar Kasim usiadł obok Angela, pełniąc funkcję gospodarza i tłumacza oraz pokazując, jak należy jeść każde z dań.

- Czym się zajmujesz? - zapytał Angelo, gdy mężczyzna zlizywał z palców sos z delikatnego kawałka jagnięciny.

- Jestem lekarzem - odpowiedział Omar Kasim. - Pracuję nad przekładem dziesięciotomowego traktatu Alego Abbasa *Pantechne*. Zajmie mi to całe lata, jeśli Allah pozwoli mi dokończyć to dzieło. - Wskazał mężczyznę po przeciwnej stronie. - Mój rodak zakończył właśnie tłumaczenie *Theatrum Sanitatis* Abula Asana. Czy znasz któregoś z tych autorów?

Angelo pokręcił głową.

- Może w takim razie słyszałeś o greckim lekarzu Galenie?

- Znam to nazwisko, lecz nie czytałem jego dzieł.

- Ci, których wymieniłem, to saraceńscy Galenowie, a może lepiej, Asklepiosi. - Uśmiechnął się łagodnie, widząc zdezorientowane spojrzenie Angela. Aby oszczędzić gościowi zakłopotania, zmienił temat: - Powiedz, co cię tu sprowadza?

Angelo nie wspomniał o gildii, tak jak uczynił to w rozmowie z Filippem. W tak znakomitym towarzystwie jego osiągnięcie wydawało się błahe.

- Przybyłem jako pielgrzym, aby zobaczyć relikwie i świątynie Rzymu - odpowiedział.

Siedzący obok nauczyciel zachichotał.

- Jeśli spędzisz w tym mieście trochę czasu, odkryjesz, że nie ma w nim szczątków bardziej czcigodnych niż kości świętego złota i nie mniej świętego srebra.

Lekarz udał, że nie dosłyszał żartu. Przez chwilę przyglądał się gościowi.

- Zatem w pewnym sensie przybyłeś tu szukać Boga - stwierdził. - Czyż jednak Bóg nie jest wszędzie, także w miejscu, które opuściłeś?

Angelo skinął głową. Każde dziecko wiedziało, że Bóg jest wszechobecny i strzeże jego kroków, zapisując wszystkie czyny w księdze sądu.

Omar Kasim ciągnął:

- Nasz poeta napisał kiedyś o Umiłowanym:

*Sądziłem, że znajdujesz na zewnątrz mnie,
lecz gdy odsunąłeś zasłonę, pojąłem,
Że jesteś tym, którego opuściłem,
czyniąc pierwszy krok.*

Angelo zadumał się przez chwilę nad tymi słowami.

- Obawiam się, że nie rozumiem - przyznał. - Sens tych strof mi umyka, choć podziwiam ich prostotę. - Wskazał swego dawnego nauczyciela. - Gdym był młodszy, doktor Filippo odkrył przede mną poezję.

- Nadal jesteś młody - przerwał mu Kasim. - Obiecuję, że pewnego dnia je zrozumiesz, kiedy będziesz starszy i zasłona opadnie. Nasza wewnętrzna podróż przypomina fizyczne przejście od dzieciństwa do starości. Choćby dlatego warto się modlić o długie życie i szansę dożycia lat mądrości.

- Mądrości? - mruknął bakalarz. - Czyś znalazł mądrych ludzi w naszym nieoświeconym kraju, przyjacielu? Wiem, że nie stałem się mądry mimo długich lat poszukiwań.

Saracen wpatrywał się przez chwilę w swoje splecione dłonie.

- Kiedy mieszkałem na dworze cesarza, czytywałem filozofów: Arystotelesa, Senekę, Tuliusza, Platona i Sokratesa. Gdym podróżował i spotykał twych rodaków, miałem nadzieję znaleźć nową rasę mędrców, jednak, mówiąc szczerze, spotkałem niewielu dorównujących pogańskim filozofom moralnością i prawością postępowania.

- Wszystko zaczyna się od głowy - wtrącił Filippo. - Rzym przypomina środek kloaczego dołu. Kurię opanowały pycha i chciwość. Lubieżność hańbi władców, a

obżarstwo rządzi wszystkimi. Kiedy francuscy i włoscy kardynałowie walczyli z sobą, Stolica Apostolska była pusta. Rzym to źródło całego tego zepsucia. Prałaci uganiają się za srebrem, zaniedbując opiekę nad duszami wiernych. Zakony zapominają o świętości swoich założycieli. Gdy duchowni wiodą dysputy na uniwersytetach, gorszą ludzi swymi sporami i występkami. Mimo to mamy chrzest i sakrament ołtarza, które zapobiegłyby naszemu zepsuciu, gdybyśmy odnosili się do nich z należną czcią.

- Słyszałem epigram o tym mieście, zanim do niego przybyłem - powiedział lekarz.

*Cały świat nie zaspokoi chciwości Rzymu,
a wszystkie nierządnicę jego lubieżności.*

- Niestety, słowa te są prawdziwe - westchnął Filippo. - Miejsce, które papież czyni swoim domem, czekają moralny upadek i zła sława. Kardynał Hugh powiedział o dworze Innocentego Czwartego w Lyonie: „Kiedy przybyliśmy tam siedem lat temu, w mieście były trzy lub cztery domy cieszące się złą sławą, teraz zaś, gdy wyjeżdżamy, całe miasto to jeden wielki burdel”.

- Nie chodzi jedynie o Kościół - dodał człowiek siedzący po prawej stronie Filippa, kiwając głową w zielonym jedwabnym turbanie do taktu wypowiedzanym słowom. - Wasi możnowładcy upatrują sens życia w wojnie. Nie troszczą się, co ani komu czynią, jeśli tylko zaspokoją swoją żądzę krwi i władzy. Prosty lud, wyzyskiwany przez książęta, przestał im wierzyć, oszukuje i pobłaża ciału, gdy tylko może. - Mówił, gładząc brodę i wpatrując się w Angela. Notariusz odniósł wrażenie, że nieznajomy przeniknął jego najskrytsze marzenia o młodej żonie mistrza.

- Zatem dawni filozofowie byli bez porównania lepsi od ludzi obecnego pokolenia - rzekł Kasim z rezygnacją. - Na szczęście, przetrwała pamięć o wielu uczonych mędrkach, takich jak egipski Hermes Trismegistos, autor czterdziestu dwóch traktatów o filozofii i medycynie, Teofil Afrykańczyk, czy wasi ojcowie pustyni z Nuri i Scytii: Antoni Wielki, Makariusz i pozostali. Na cóż nam jednak owa wiedza, skoro jesteśmy niewolnikami moralnego zepsucia?

Kiedy tak wiedli dysputę, sługa zebrał misy i ustawił pośrodku wazę z wodą, z długimi odchodzącymi odeń rurkami. Lekarz nazwał ją *hukką*, a płonąca substancję, przypominającą umbrę, której dym był filtrowany przez wodę, *haszyszem*, zapraszając Angela, by przyłączył się do mężczyzn wdychających dym.

Młodzieniec beztrąsko wciągnął opary głęboko do płuc, nie chcąc nikogo urazić

odmową udziału w tym zbiorowym rytuale. Ani się spostrzegł, a zaczęło kręcić mu się w głowie i miał coraz większy problem ze śledzeniem przebiegu rozmowy.

- W moim rodzinnym mieście Konya - mówił Omar Kasim - mieszka upojony Bogiem poeta. Nazywamy go Rumi, przybył do nas bowiem z rzymskiej Anatolii. - Jego oczy błysnęły, gdy rzekł do Angela: - Może haszysz pomoże ci zrozumieć strofy, w których powiada pięć rzeczy o Umiłowanym.

Uniósł dłoń, rozkładając szeroko palce, by chować je po kolei w trakcie mówienia.

Po pierwsze, gdy byliśmy od siebie oddzieleni, nie istniał ten świat ani żaden inny.

Po drugie, zawsze byłeś tym, którego szukałem.

Po trzecie, po co nauczyłem się liczyć do trzech?

Po czwarte, moje pole płonie!

Po piąte, czy ten palec oznacza Rabię, a ten kogoś innego?

I czy jest między nimi jakaś różnica?

- Rabia to sławna mistyczka z Basry - wyjaśnił lekarz.

- Wszak policzyłeś do sześciu - zaprotestował Angelo, nie wyzwoliwszy się jeszcze do końca z niewoli zmysłów.

Kasim zaśmiał się niskim głosem.

- Słuszna uwaga, *signore*. Myślę, że „kimś innym” musi być Nasruddin, którego moi rodacy uważają za notorycznego oszusta.

Pozostali mężczyźni zachichotali, słysząc to wyjaśnienie, mimo to Angelo miał wrażenie, że z niego szydzą. Po chwili uznał, że wszyscy mieli pewnie kiedyś do czynienia z owym Nasruddinem. Oszołomiony potrząsnął głową, próbując uwolnić ją od zagadkowego dymu. Doznanie, które wywoływał, było niezwykle, chociaż w żadnym razie nie mógł go uznać za nieprzyjemne. Jeśli chodzi o wiersz, musiał źle zrozumieć słowa, wydawał mu się bowiem zupełnym nonsensem. Zaprzagnął się położyć i słuchać szmeru rozmów.

Pod koniec spotkania zdenerwowany odkrył, że nie może wstać. Może zbyt długo siedział ze skrzyżowanymi nogami na poduszce?

Doktor Filippo uśmiechnął się, pomagając mu wstać, i zaprowadził chwiejącego się Angela do drzwi. Na dworze na dobre rozpadł się ciepły deszcz.

- Może zostaniesz dziś z nami, *signore*? - zapytał.

- Z chęcią bym to uczynił, doktorze - odparł Angelo - lecz o świcie sługa i ja musimy wyruszyć do Todi. - Wystawił dłoń na deszcz. - Jeśli nadejdzie świt...

- Jak chcesz - mruknął nauczyciel.

Na końcu pograżonej w strugach deszczu uliczki dostrzegli chybotającą się latarnię. Filippo skinął na przemoczonego woźnicę kierującego dwukołowym wozem zaprzężonym w wołu i zaofiarował mu denara.

- Mógłbyś odwieźć mojego młodego przyjaciela do jego kwatery? - zapytał.

Woźnica przyjął monetę.

- Już przemokłem do suchej nitki - skrzywił się. - Kilka dodatkowych minut nie sprawi, że stanę się bardziej mokry. Obym tylko zdążył do domu przed godziną policyjną. - Spojrzał na chwiejącego się pasażera. - Chcesz go ułożyć na skrzyni czy zdoła usiedzieć na ławie?

- Potrafię siedzieć! - zakrzyknął Angelo, słysząc oburzającą propozycję woźnicy, nie zamierzał jednak rezygnować z podwiezienia. Cieszył się nawet, że pada deszcz. Krople wody były chłodne i pomogły mu rozjaśnić zamęt w głowie. Nawet nie zadał sobie trudu, by założyć kaptur.

Filippo popchnął go, a woźnica pociągnął za ramię, sadowiąc na ławie tuż za cierpliwym, buchającym parą wołem. Angelo skinął dłonią jak dziewczę rzucające różę i wypowiedział przez ramię słowo podziękui, by wraz z nowym towarzyszem zniknąć za mroczną ścianą deszczu.

Zahipnotyzowany kołysaniem latarni chybotającej się rytmicznie na karku wołu i nadal odurzony haszyszem Angelo zapadł w stan otępienia. Może nawet zasnął. Nie wiedział, kiedy i jak kremowy grzbiet zwierzęcia zamienił się w prześcieradła na łożu śmierci ojca, i ze zdumieniem ujrzał wyniszczoną twarz Iacobello Lorenzinię. W jego uszach rozległ się słaby, błagalny głos: „Gelino!”. Krzyk wydał mu się bardziej odległy niż za pierwszym razem, gdy patrzył, jak ojciec umiera.

Przetarł oczy, próbując odpędzić natrętny obraz, lecz gdy głos przemówił po raz drugi, odpowiedział: „*Si, papà*”, choć za pierwszym razem tego nie uczynił.

Słowa ojca wprawiły go w zdumienie.

- Zaopiekuj się matką, Gelino. Złagodź jej cierpienie. - Ta zwyczajna prośba zdradzała troskę, której *signore* nigdy nie okazał małżonce za życia.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytał Angelo, lecz obraz ojca zaczął się rozmazywać, by po chwili całkowicie się rozpuścić.

Woźnica spojrzał na niego uważnie.

- Niczego, *signore* - odrzekł.

Angelo miał wrażenie, jakby jego umysł przestał funkcjonować. Jedne myśli zastaniały

drugie, wywołując nieopisany mętlik. Jego stosunek do matki w ciągu ostatnich dziesięciu lat byłby zupełnie inny, gdyby słuchał słów umierającego ojca! Ze smutkiem zrozumiał, że był zbyt wściekły na ojca i arogancki, aby wysłuchać ostatnie życzenie umierającego.

Nie cofnie tego, co się stało. Co może uczynić dla matki teraz? Jak złagodzić jej cierpienia? Czy nie o to naprawdę chodziło? Czy nie dlatego przed chwilą ukazał mu się ojciec?

Wrócił myślami do wieczornej dysputy. Musiał wspomnieć lekarzowi, że matka traci zęby. Omar Kasim napomknął, że wykonał kilka protez dla swoich pacjentów, zastępując utracone zęby zębami krowy lub innych zwierząt.

- W dawnych czasach - ciągnął Saracen - gdy ludzie zamożni stracili zęby, kazali robić sobie protezy z zębów niewolników, niejednokrotnie wysadzając je drogimi kamieniami, by pokazać, że są bogaci, wszystkim, których raczyli obdarzyć swym uśmiechem.

W głowie Angela zaczął powstawać mętny plan, gdy kołysał się na wozie podskakującym na ulicznym bruku. Chociaż co chwila jego myśli zbaczały w inną stronę, kolejne widzenie bardzo go zdumiało. Zdawało mu się, że widzi człowieka kryjącego się w cieniu drzwi. Pewnie chciał się schować przed deszczem, lecz Angelo uznał go za kolejnego ducha z przeszłości - obiekt jego bezsilnego gniewu w ów poranek, gdy wyruszył na wygnanie do Wieży Wilka i gdy w drzwiach rodzinnego domu stanęła Nella, oddana służka matki, która miała brać udział w spisku zakończonym jego wygnaniem z Todi.

Kiedy za kilka dni wróci do domu i zapomni o majestatycznych świątyniach Rzymu, wystawi na próbę lenniczą zależność Nelli, prosząc, aby ofiarowała zęby swojej pani. Może nawet każe je ozdobić szlachetnymi kamieniami.

Otępiały i przemoczony, uznał ten plan za prosty i genialny.

Braciszek Angelo nie odczuwał dumy z powodu ostatniego wspomnienia. Plan udzielenia pomocy matce był od początku skażony złym zamiarem wobec służącej. Na szczęście, *donna* Lucia odrzuciła jego pomysł jako idiotyczny i okrutny, zanim wspomniał o ozdobieniu zębów Nelli klejnotami.

- Oszalałeś?! - wykrzyknęła. W świetle dnia, kiedy ustało działanie haszyszu i zniknęły nocne wizje, nie mógł się z nią nie zgodzić. Poza tym, czy rzeczywiście Nella chciała wyrządzić mu krzywdę?

Zdrowie matki wyraźnie się pogorszyło i przypuszczalnie słusznie uznała, że nie przeżyje swojej służebnej. Suchoty, na które zapadło tylu mieszkańców miasta, dodatkowo wyniszczyły jej słaby organizm. Dostawała konwulsyjnego kaszlu za każdym razem, gdy

próbowała coś powiedzieć, plamiąc kołdrę krwią.

Angelo przeprowadził się do domu. W nieliczne dni, gdy matka wstawała z łóżka, pomagał jej dotrzeć do kaplicy *palazzo*, gdzie modliła się tak długo, dopóki pozwalał na to jej stan. Razem z Nellą robili wszystko, co było w ich mocy, aby pocieszyć ją i pogrążonego w smutku Silvestrego. Uczucia Angela do *donny* Lucii złagodniały, gdy patrzył, jak odchodzi. Kiedy kościelny umieszczał jej ciało w rodzinnym grobowcu, płakał razem ze swym małym bratem.

Nella była jedyną służką, którą wziął do siebie po śmierci matki. Wkrótce po pogrzebie sprzedał dom w mieście, wyzwalając Gastalda i pozostałych, aby przenieść się do nowego domu, który zbudował w Colle, prestiżowej dzielnicy Todi, bardziej odpowiedniej dla młodego notariusza stojącego na progu wielkiej kariery. Zabranie Nelli było ostatnim gestem wobec matki. Wiedział, że służąca będzie pocieszeniem i przybraną matką lub babką dla Silvestrego. Było to jedyne zadanie, jakie jej wyznaczył.

Rozdział dziewiętnasty

- *Signore* Angelo dei Lorenzini, możecie zabrać głos!

Angelo podniósł się z miejsca i stanął pośrodku podkowy utworzonej przez członków Wielkiej Rady. Wbrew ostrzeżeniom *maestra* Maccabea nie miał żadnych wątpliwości, przygotowując się do wygłoszenia mowy.

- Jesteś pewny, że chcesz to uczynić? - zapytał opiekun. - Ludzie, którzy parają się handlem, nie powinni zabierać głosu w sprawie stronnictw. Zajmując jakiegokolwiek stanowisko, obrazimy połowę klientów. Mądrą rzeczą jest zachowanie neutralności. W tym mieście są przecież inni notariusze, do których urażeni będą mogli się udać.

Z pewnością siebie typową dla młodych ludzi Angelo obstawał, że jego postępowanie jest słuszne i nie pozwoli się od niego odwieść.

- Chcę zaproponować najlepsze rozwiązanie dla tego miasta - przekonywał. Był pewny, że Wielka Rada zauważy młodego obywatela dążącego do sławy. Nigdy wcześniej nie przemawiał przed zgromadzeniem, lecz dwa lata w roli współnika Maccabea sprawiły, że był znany większości jego członków.

Miał na sobie czarną szatę, będącą symbolem jego fachu.

Pragnąc wydać się nad wiek mądrym, przybrał poważną minę, złożył dłonie na brzuchu i zrobił krótką pauzę, by zebrać myśli.

- *Signori* - zaczął - mam innego kandydata godnego urzędu *podesta*. Człowiek ów jest miejskim zarządcą mającym ogromne doświadczenie. Kilka lat temu byłem jego sekretarzem, gdy studiowałem prawo w Bolonii. Zapewniam was, że mąż ów ma niezwykle zdolności i ze zrozumieniem odniesie się do... do priorytetów... swojego urzędu.

Zawahał się, czy wspomnieć o politycznych sympatiach *signore* Commacia, wiedząc, że ten szczegół poruszy zebranych. Z prawej strony sali, gdzie zasiadali zwolennicy cesarza, dobiegł głośny sprzeciw. Stronnictwo gwelfów rządziło w mieście przez dwanaście lat, od śmierci cesarza Fryderyka, a jego członkowie mieli większość w Wielkiej Radzie. Chociaż gibelini pogodzili się z faktem, że następnym *podesta* zostanie papista, mieli nadzieję, że będzie przynajmniej pochodził z ich miasta i że w taki lub inny sposób będą mogli wywierać nań wpływ. Pieniądze, szantaż lub groźba śmierci mogły się okazać przekonującymi argumentami.

Angelo dobrze się przygotował. Sporządził listę dokonań Commacia i wręczył ją każdemu z członków rady. Rozdając kartki, odczytywał na głos jego największe sukcesy,

niektóre omawiając bardziej szczegółowo. Na zakończenie swojego wystąpienia poprosił radę, aby zaprosiła jego mentora i udzieliła mu posłuchania przed podjęciem ostatecznej decyzji. Z radością stwierdził, że kilku starszych mężczyzn kiwało z podziwem głową, przeglądając listę.

Wielce zadowolony opuścił gmach w mroczny zimowy wieczór. Przed nim kroczył sługa, oświetlając latarnią kałuże stopniałego śniegu i kawałki lodu. Nagle odwrócił się i przed gmachem rady spostrzegł Benedetta Gaetaniego wśród rozchodzących się do domów szlachciców. Ten widok popsuł jego euforyczny nastrój. Nie wiedział, że duchowny wrócił do miasta.

Papież Aleksander dostarczał mu zajęcia przez dwa ostatnie lata, wysyłając w charakterze legata do różnych krajów Europy.

Nie wiedział, czy Benedetto patrzył na niego, czy to cienie migotały na jego twarzy. Światło było marne. Wiedział, że rozeźlił całą szlachtę, zgłaszając kandydaturę Commacia na *podesta* Todi. Mimo to będą musieli z nim żyć, jeśli zostanie wybrany przez Wielką Radę. Czy będą mieli inny wybór?

Wspomnienia brata Angela były dobre i złe. Chociaż rok 1262 okazał się jednym z najlepszych w jego życiu, zdecydowanie nie docenił determinacji gibelinów.

W owych miesiącach przejął większość obowiązków *maestra* Maccabea, który szykował się do przejścia na emeryturę. Mistrz uchwycił się dwóch rzeczy, których Angelo mu zazdrościł - życia i żony. Młodzieniec, aby nie popaść w obłąd, wracał co wieczór do własnego domu.

Objąwszy w posiadanie całe dziedzictwo, mógł się ożenić z każdą młodą niewiastą, której zapragnął, nawet z najszlachetniejszego rodu, wiedział jednak, że małżeństwo nie położy kresu jego zauroczeniu Letą. Uznał, że ślub może poczekać. Rozwój handlu w miastach powodował, że popyt na usługi notarialne był większy niż kiedykolwiek. Chociaż Angelo nie potrzebował dochodów z pracy, gromadzenie i pomnażanie bogactwa stało się dla niego wyzwaniem, nową formą hazardu.

Jak przewidywał, osiągał duże zyski z pożyczania pieniędzy na procent. Nawet jeśli księża uważali go za lichwiarza, zachowywali tę opinię dla siebie, gdyż hojnie łożył na Kościół. Spełnił nawet skryte marzenie przyjaciela, przekazując posag klasztorowi benedyktynów za jego nierozgarniętą siostrę.

- Będzie modliła się za pomyślność twojej duszy do końca swoich dni - zapewnił go Mario. - Ja również to uczynię, choć nie sądzę, by modły hazardzisty były wiele warte. Mogą

nawet zostać policzone przeciw tobie.

- Przyjmę wszystko, co mi dadzą, *amico*... od każdego. - Angelo był rad ze swego dobrego uczynku. Oczywiście nikt nie zapytał siostry Maria, co sądzi o spędzeniu reszty życia w klasztorze.

Tego roku Enzo skończył dwadzieścia lat i zaczął pracować w kantorze jako czeladnik. Zajmował się prowadzeniem ksiąg, podczas gdy dwaj wspólnicy koncentrowali uwagę na zagadnieniach prawnych. Ponieważ trzeba było wykonać wiele pomniejszych prac, Angelo często zabierał z sobą jedenastoletniego Silvestrego, traktując go jak nieoficjalnego terminatora. Zadania te były dla Silvestrego wytchnieniem od nauki. Angelo pamiętał, jak Ojciec łątał go i chłostał podczas lekcji, zamieniając naukę w karę. Przysiągł sobie, że uczyni ją łatwiejszą dla brata. Wspólnie czytali, wymyślali opowieści o rycerzach i ich bohaterskich czynach, grali w warcaby i młynek. W zabawie często towarzyszyła im Nella.

Od czasu wizyty w Rzymie wspomnienia Angela o zmarłym ojcu stały się cieplejsze. Szukając rekompensaty za niedziele, które Iacobello spędzał na grze w szachy, Angelo po mszy zabierał Silvestrego na długie konne przejażdżki po okolicznych wsiach.

Czasami, z błogosławieństwem *maestra* Maccabea, Leta i Enzo jechali z nimi na piknik za miastem. Leta była szczęśliwa, że może lepiej poznać Silvestrego. Nawet zwykle spięty Enzo zapominał o zmartwieniach, kiedy przebywał w towarzystwie chłopca. Pod wpływem Silvestrego wszyscy znów stawali się dziećmi.

- Okazałeś się prorokiem, doktorze Bartolo - szepnął brat Angelo, słysząc własne słowa odbijające się echem od okrągłych ścian lochu - przepowiadając, że twoi najlepsi uczniowie staną się bliźniaczymi gwiazdami świecącymi na firmamencie Todi.

Ostatnio celę coraz częściej zaludniały postacie z przeszłości. Wiedział, że są wytworem jego wyobraźni, lecz dotrzymywały mu towarzystwa, mógł z nimi rozmawiać. Nie oczekiwał jeszcze odpowiedzi papieża, lecz wiedział, że ta kiedyś nadejdzie.

Kiedy on, cieszący się coraz większym wzięciem notariusz, doskonale prosperował w rodzinnym mieście, Benedetto Gaetani wykorzystywał je jako punkt wypadowy swoich podróży, wspinając się na kolejne szczeble kariery i nawiązując nowe kontakty. Był papieskim legatem, katedralnym kanonikiem i przeorem zgromadzenia benedyktynów, a także przedstawicielem Todi w sporach prawnych z kurią rzymską, szczególnie zaś z Patrymonium. Rada płaciła mu za to hojną ręką tysiąc florenów rocznie. Znawcy przedmiotu uważali Benedetta za najlepszego specjalistę w dziedzinie prawa kanonicznego poza Rzymem.

Wszystko, czego się tknął ten rywal Angela, zamieniało się w złoto, jak w legendzie o

królu Midasie. W tamtym okresie Angelo mógłby powiedzieć to samo o sobie. Miał pokusę, aby porozmawiać z Benedetto o tych szczęśliwych latach, lecz Gaetani nie był mile widziany w jego celi, nawet w wyobraźni.

Spoglądając w przeszłość, mógł jedynie pokręcić głową ze zdumienia. Dlaczego mimo tak sprzyjających okoliczności postanowili zaangażować się w walkę stronnictw? Czemu, mając wuja w papieskim pałacu, Benedetto w dalszym ciągu popierał słabnące cesarstwo? I czemu on, Angelo, tak żarliwie występował w obronie partii papieskiej w czasie, gdy na Stolicy Piotrowej zasiadał wuj jego najzjadlejszego wroga? Nie miało to żadnego sensu. Może, jak sugerował doktor Bartolo, była to walka bogatych z biednymi. W przypadku Angela motywy mogły sięgać dziecinnej przysięgi lenniczej złożonej Rycerzom Maria.

Jedno było pewne: popełnił błąd, sądząc, że gibelinowie zrezygnują, gdy rada mianuje Commacia na stanowisko *podesta*.

Kilka miesięcy po objęciu przezeń urzędu w mieście wybuchła istna wojna domowa, a Angelo i Benedetto znaleźli się w samym środku zawieruchy.

Piers brata Angela zapadła się jak przedziurawiony świński pęcherz. Mając świat u swych stóp, opowiedział się po stronie Commacia wbrew radzie doświadczonego *maestra* Maccabea. Nie mógł przewidzieć, że uwikła w ten sposób siebie i innych w ciąg ponurych zdarzeń, nieprzerwane pasmo nieszczęść.

Zgodnie z oczekiwaniami Angela gibelinowie byli rozsierdzeni, gdy Wielka Rada mianowała obcego na stanowisko *podesta* Todi. Byli jeszcze bardziej rozeźleni, gdy dowiedzieli się, że Commacio sprowadził z Bolonii trzydziestu zbrojnych. Położenie nowego administratora od początku przypominało sytuację obłożonego monarchy. Commacio poprosił Angela, aby zwerbował stu mężów z okolicznych miast do jego straży przybocznej. Miejskowa szlachta odebrała ich przybycie jak obcą okupację, narzekając że wypłacanie żołdu zrujnuje miejską kasę.

Jeśli Angelo miał nadzieję na zysk z powodu łatwego dostępu do przyjaciela, nadzieja ta okazała się płonna. Wielka Rada ponownie wprowadziła zakaz noszenia broni oraz organizowania wieców politycznych po kościołach. Mimo to Angelo nie był zaskoczony, gdy Mario Boschi spadł do kantoru, w którym pracował razem z Enzem.

- Świnie maszerują na Palazzo del Commune. Commacio siedzi w środku uwięziony.

- Gdzie są rycerze z Bolonii? - zapytał Angelo.

- Przed głównymi drzwiami. Pozostali ukryli się w środku. Nie mają ochoty na walkę.

Trzeba skrzyknąć, kogo się da. Potrzebujemy cię, *amico*!

Angelo spojrział niespokojnie na Enza.

- Zamknij drzwi - rzekł. - Nie przeszkadzaj mistrzowi, chyba że będziesz zdecydowanie potrzebował jego pomocy. Wróć, gdy tylko będę mógł.

Ruszył do drzwi, aby po chwili zawrócić. Sięgnął za zasłonę, pod którą ukazała się pusta przestrzeń, i wyciągnął miecz trzymany tam na taką właśnie okoliczność. Przypiął broń do pasa, narzucił opończę i pobiegł za Mariem.

Gwelfowie i gibelini stanęli naprzeciw siebie na *piazza* przed Palazzo del Commune, jakby się wcześniej umówili. W chwili gdy Angelo i Mario przybyli na miejsce, na placu znajdowało się kilkuset mężczyzn i chłopców.

Obydwie strony obrzucały się obelgami, a ich szeregi z każdą chwilą się powiększały. Angelo dostrzegł Benedetta Gaetaniego w stroju duchownego, przedzierającego się na czoło gibelinów w towarzystwie Roffreda i kuzynów.

Nie zauważył, z której strony nadleciały pierwszy kamień czy śniegowa kula, lecz już po chwili nad placem zaczęły sypać pociski i kawałki bruk. Nadal wpatrywał się w kanonika, gdy ten wyciągnął miecz spod opończy, dając znak pozostałym. Na ten sygnał zwolennicy obu stron zaczęli wydobywać broń i głośno krzyżeć.

Ciało Angela ogarnęła fala gniewu. W ustach czuł ślinę o smaku mosiądzu. Ruszył przed siebie, próbując pewniej uchwycić miecz.

Równie dobrze mógłby próbować schwytać morskiego minoga. Jego pięści zamieniły się w pazury, a żołądek zacisnął. Z krtani wydobył się ryk wściekłości. Instykt podpowiadał mu, by jak najszybciej się wycofać.

Szlachta była lepiej uzbrojona od gromady łachmaniarzy, która stanęła naprzeciw niej. Jej żelazo przewyższało pałki i kamienie gwelfów. Angelo słyszał jęki dolatujące z obu stron. Obejrzał się za siebie i ujrzał biegnącego ku niemu Benedetta z wysoko uniesionym mieczem.

- *Lupo mannaro*, jesteś trupem! - darł się na całe gardło.

Duchowny nigdy wcześniej nie walczył. Cios pałki sprawił, że osunął się na bruk. Zamknął oczy, wcześniej jednak zdążył posłać Angelowi spojrzenie przepełnione czystą nienawiścią.

Angelo skoczył w uliczkę. Kiedy walka rozgorzała na dobre, pomyślał: Boże, prawie cały zamieniłem się w wilka! Przesunął dłonią po policzku i wystającej linii szczęki, potwierdzając swoje najgorsze obawy. Zamknął oczy, próbując uspokoić oddech.

Kiedy skulił się w cieniu, na *piazza* niespodziewanie zaległa cisza. Krzyki i jęki bólu ucichły, a Angelo usłyszał narastającą kościelną pieśń, która stopniowo wypierała odgłosy walki. Obejrzał swoje dłonie i uznał, że może wyjść z ukrycia.

Na plac wkroczył biskup Pietro, trzymając w górze wysoki metalowy krucyfiks i prowadząc podwójną kolumnę braciszków z San Fortunato. Kiedy procesja dotarła do Palazzo del Commune, rozdzieliła dwie armie niczym biblijne morze. Biskup przystanął, aby przyjrzeć się pobojuwisku.

- Udzielcie ostatniego namaszczenia zmarłym i umierającym - polecił mnichom. - Udam się do *palazzo*, aby odbyć rozmowę z *podesta* Commaciem. - Mówiąc to, przekazał krucyfiks stojącemu z tyłu zakonnikowi.

Franciszkańscy księża rozbiegli się po placu, a bracia uklękli na zboczonym krwią bruku. Angelo przeszedł nad leżącym nieruchomo Benedettem, wytrącając butem miecz z jego dłoni i przyłączając się do swoich. Nie obchodziło go, czy duchowny żyje, czy umarł.

Dostrzegł stojących w milczeniu przyjaciół. Kilka metrów przed nim ksiądz przyklęknął na jedno kolano, czyniąc znak krzyża nad znajomą postacią. Tunika mężczyzny była nasączona krwią. Angelo pochylił się obok zakonnika.

- Jest ciężko ranny? - zapytał.

Ksiądz nie podniósł głowy, zwilżając olejkiem blade wargi leżącego.

- Umarł - powiedział. - Znałeś go?

W oczach Angela zabłyśły łzy. Odwrócił głowę, by po chwili odpowiedzieć przez zaciśnięte gardło:

- To... Mario Boschi - rzekł. - Zapłacę za jego pogrzeb - dodał. - Nie powinien leżeć w grobie dla biedoty.

Biskup Pietro wyprowadził z *palazzo* trzęsącego się ze strachu Commacia. Rycerze z Bolonii utworzyli krąg wokół *podesta*, dobywając broni. Pietro podniósł ręce, nakazując ciszę.

- *Signore* Commacio uda się ze mną do San Fortunato, do kościelnego sanktuarium. W zamian za gwarancję bezpiecznego powrotu do Bolonii dla siebie i swoich towarzyszy zgodził się zrezygnować z urzędu *podesta*. Pozwólcie jego zbrojnym powrócić do swoich miast.

Okrzyk zwycięstwa wstrząsnął połową *piazza* zajmowaną przez gibelinów. Kiedy zakonnicy się przegrupowali, biskup popatrzył wokół, zatrzymując wzrok na Benedetcie, który próbował wstać.

- Pomóżcie mojemu bratankowi. - Skinął na dwóch franciszkanów. - Zaprowadźcie go do waszej infirmerii.

Ogłuszony Benedetto przypatrywał się szeregom gwelfów. Angelo nie miał

wątpliwości, że go szuka. Nadal miał kaptur nasunięty na głowę i odwracał się, by uniknąć ludzkich spojrzeń. Widok zakrwawionego ciała Maria było dla niego wystarczającym wyzwaniem.

Podczas starcia zginęło pięciu gwelfów i dwóch gibelinów. Po wymuszonej rezygnacji Commacia w geście protestu z członkostwa w Wielkiej Radzie zrezygnowało kilku papistów. Wakaty dały stronnictwu cesarskiemu chwilową większość, dlatego czym prędzej wybrali na *podesta* jednego ze swoich, hrabiego Ugolina. Szybko rozeszły się pogłoski, że nowy administrator wyda nakaz aresztowania wszystkich gwelfów, którzy wzięli udział w potyczce, pod zarzutem noszenia broni w ukryciu, wbrew rozporządzeniu rady. Sabatino, jeden z Rycerzy Ojca Świętego, ostrzegł Angela, że widział Benedetta Gaetaniego wchodzącego do siedziby Ugolina, gdy tylko ów objął urząd.

Udział Angela w starciu doprowadził *maestra* Maccabea do wściekłości.

- Jesteś bardzo utalentowany, *signore!* - krzyczał. - Wręcz genialny, a niszczysz kantor takimi wygłupami? Kto ze szlachty przyjdzie do nas po ostatniej awanturze?

Usiedli w kącie jadalni. Maccabeo przesuwając palcami po oparciu krzesła, dotykając słoików drewna, by w końcu oznajmić:

- Postanowiłem sprzedać interes.

- Komu?! - wybuchnął Angelo.

- Jak mniemam, znasz *signore* Jacopa dei Benedetti... owego wysokiego notariusza? Jest starszy od ciebie o rok lub dwa. Złożył mi hojną propozycję jakiś czas temu, lecz do tej pory odmawiałem. Nie mogę pracować tyle, co kiedyś, nie mogę też dłużej polegać na tobie. Obiecał, że przyjmie Enza na czeladnika i wprowadzi go do interesu. Może zdołasz go przekonać, aby wziął cię na wspólnika, jednak zależy to wyłącznie od niego.

Nadal wstrząśnięty śmiercią Maria Angelo powstał z krzesła, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Znał Benedettiego. Poznał go kilka miesięcy temu przed gmachem gildii i namówił na partyjkę kości. Oczywiście Jacopo zachował dyskrecję, widział bowiem, że Maccabeo nie znosi hazardu.

Starzec podniósł dłoń, dając znak, że jeszcze nie skończył.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, zalecam, abyś wyjechał do Wieży Wilka. Nie byłeś tam od lat. O ile pamiętam, od owego nieszczęsnego incydentu z dziewczyną Vidonów. Czas najwyższy, abyś złożył tam gospodarską wizytę, dopóki sytuacja w mieście się nie uspokoi. Z tego, co słyszałem, mogą ci nawet wręczyć nakaz aresztowania.

Rozczarowanie widoczne na twarzy mentora znalazło odbicie na twarzy Angela.

Zwiesił głowę.

- Jak sobie życzysz, *maestro* - odrzekł. - Dziś wezmę udział w pogrzebie przyjaciela, który zginął w walce, a jutro wyruszę w drogę.

Podobnie jak dziesięć lat temu, gdy stał na podwórku oślepiiony słońcem, miał poczucie, że został zesłany na wygnanie do Wieży. Co gorsza, wydawało się, że siedem lat studiów i obiecujący początek kariery wyparowały w jednej chwili. Żałował, że nie odczuwał takiego gniewu jak wówczas, by móc skierować go przeciwko mistrzowi, zdawał sobie jednak sprawę, że rada starszka jest rozsądna. Tym razem sam wybrał wygnanie. Wyszedł, nie pożegnawszy się z Monną Letą i jej bratem, tak jak kiedyś nie pożegnał się z matką.

Rozdział dwudziesty

Angelo chciał zabrać Silvestrego do Wieży, nie wiedział jednak, czy chłopak nie spotka się tam z drwinami. Choć plotki o nim i Marii dawno ucichły, mógł je na nowo wywołać swoim przybyciem. W małej wspólnocie *castello* i okolicznej wiosce hańba procesu mogła pozostać równie świeża, jak nowinki z ostatniego tygodnia. Koniec końców, zostawił brata w Todi pod opieką Nelli i wziął z sobą jedynie dwóch przybocznych. Obiecał chłopcu, że wróci nie dalej jak za miesiąc.

Od ostatniej wizyty w Wieży Wilka minęła niemal połowa jego życia. Czuł się raczej jak pielgrzym zwiedzający okolicę niż pan na włościach. Wysoki zamek wydał mu się wieżą smutków, osiłą nierzeczywistego, ponurego świata. Pogrzeb Maria i myśl, że może nigdy więcej nie ujrzeć Lety, jedynie pogłębiły jego ponury nastrój.

W drodze do zamku zajrzał do wioski, zatrzymując konia i ludzi przed zrujnowanym obejściem Vidonów. Sądząc po jego stanie, Maria wyjechała wraz z rodziną wiele lat temu.

Na podworcze stanął wczesnym popołudniem. Posłał sługę z wiadomością do Ursa, prosząc o spotkanie wieczorem, co dawało mu czas na krótką drzemkę i lekką wieszercę.

Kiedy rządcą przyjechał, Angelo ze zdumieniem stwierdził, że jego zmierzwiłone włosy przybrały śnieżnobiałą barwę, chociaż Urso nadal wyglądał na zdrowego i silnego. Towarzyszył mu młodszy mężczyzna w wieku Angela.

- Za pozwoleniem, *signore* - zaczął Urso - mam nadzieję przekazać obowiązki mojemu synowi, Marcellowi. W oficjalny sposób. Wykonywał większość z nich w ciągu dwóch ostatnich lat. Kiedy jutro zwiedzisz posiadłość, odkryjesz, że radzi sobie równie dobrze, jeśli nie lepiej ode mnie. Wszystko jest w rozkwicie.

Angelo uściskał młodzieńca.

- Z radością zobaczę, czegoś dokonał - powiedział. - Dopóki twój ojciec jest w pobliżu, by służyć ci pomocą, nie ma powodu, abyś nie mógł wykonywać jego pracy. - Odwrócił się do Ursa i dodał rzeczowo: - Musieliście nająć nowych drwali?

Staruszek skinął głową, odpowiadając na pytanie, które nie padło:

- Cała rodzina Vidonów wyprowadziła się z wioski. - Mówił ostrożnie, starając się nie rozdrapywać starych ran i nie wprawiać Angela w zakłopotanie. Było jednak jasne, że Urso chce, aby poznał wszystkie konsekwencje swoich czynów.

- Ojciec i synowie pracują w Asyżu. Kiedy rozeszła się wieść, że hrabia Buonconte... a raczej ty, *signore*... wyzwoliłeś Marię... wiesz pewnie, że poślubienie wolnej kobiety jest

najszybszym sposobem wyzwolenia się z pańszczyzny.

- Ten kij ma dwa końce - zauważył Angelo, przybierając minę prawnika. - W pewnych rejonach utraciłaby wolność, gdyby wyszła za poddanego.

Urso skinął głową.

- Jak wiesz, *signore*, Maria jest mądrą niewiastą. Poślubiła leśniczego z Coldimezzo. Ponieważ hrabia Buonconte uznał twój dokument na posiedzeniu sądu, nie mógł odmówić jej i nowemu mężowi w tej sprawie. Nadal dla niego pracują, lecz czynią to jako wolni *coloni*.

- Jest mądrą niewiastą, jak rzekłeś. - Oczywiście, będzie się czuła szczęśliwa z leśniczym, skoro przez całe życie obracała się wśród drwali.

Zmęczony podróżą i wspomnieniem procesu, które na nowo ożyło, umówił się na poranną przejażdżkę i wstał, aby udać do swych komnat. Gdy był już przy drzwiach, Urso dodał:

- Urodziła syna... sądziłem, że chciałbyś to wiedzieć, *signore*.

Syn! I to zaledwie kilka miesięcy młodszy od Silvestrego! Oczywiście jeśli przeżył zarazę, która cztery lata temu zdziesiątkowała wiejskie dzieci. W innych okolicznościach byłiby pewnie towarzyszami zbaw!

Rozmyślał o tym, objeżdżając swoje ziemie w towarzystwie Ursa i Marcella. Rządca miał rację, mówiąc o urodzaju. Jego stada, winnice i gaje oliwne wyraźnie się powiększyły. Składy pękały od suszonego mięsa, serów, baryłek oliwy i wina, spichlerze zaś pełne były zboża. Z mleczarni dolatywał śpiew dojących, które pracowały przy maselnicach, cedziły zsiadłe mleko i przekładały je do serowych pras.

Na koniec Angelo ofiarował obu mężczyznom beczułkę wina z najprzedniejszego rocznika, aby pokazać, że docenia ich pracę. Oczywiście wiedzieli lepiej od niego, gdzie ów trunek się znajduje. Bez wątpienia będą świętowali we wsi do zmierzchu.

Tego samego popołudnia zaczął krążyć po okolicy, tym razem pieszo, chłonąc znajome obrazy i zapachy - wdychał drażniącą woń nasiąkniętej moczem trawy w stajniach, wsłuchiwał się w hałaśliwe gęganie gęsi i pokwikiwanie prosiąt ssących maciorę. Napłynęło kolejne wspomnienie.

W porze dojenia zaszedł do szopy dla kóz. Pasterka o lubieżnych palcach była pierwszą, która pod nim jęknęła i pocałowała tak, że - mógłby przysiąc - dotknęła językiem jego migdałków. Do diabła z Marią Vidone! Do diabła z mężatkami, takimi jak Monna Leta, które pozostały wierne swym zramolałym mężom! Któż ich potrzebuje, skoro miłość można znaleźć tak blisko, w pokrytej mchem szopie przy murze zamku?

Stanął w drzwiach, pełen oczekiwania. Gdy w przejściu ukazała się postać Angela, ze stołka zerwał się łobuziak o usmolonej twarzy. Chłopak zmrużył oczy, spojrzał na jego pochyloną sylwetkę i rozpoznał dziedzica.

Angelo nie był gotowy na kolejne rozczarowanie.

- Gdzie pasterka? - zapytał stanowczym głosem.

- Ja pasę kozy - wybąkał chłopak, rozkładając ręce.

- Co się stało z dziewczyną?

- Jaką dziewczyną, *signore*? Jak miała na imię?

- Nie mam pojęcia - przyznał niechętnie. Nigdy nie zadał sobie trudu, by ją o to zapytać.

Chłopak podrapał się w głowę.

- Jak wyglądała?

- Zwyczajna dziewczka! Brudna i cuchnąca jak ty. Chude nogi. Pasała owce... - Przerwał na chwilę. - Niewiarygodne! Czyżby od tego czasu minęło dwanaście lat? - Pomyślał, że pewnie tak, skoro tyle liczy Silvestre.

- Dwanaście lat? To Haiee! Moja najstarsza siostra. Od kiedy poślubiła folusznika, pracuje w szopie, gdzie strzygą owce.

Angelo zgrzytnął zębami i wybiegł z szopy. Do diabła i z nią! Nie wiedział, co go bardziej irytowało: swędzenie w kroczu czy świadomość, że wszystkie owe niewiasty wydawały się całkowicie szczęśliwe bez niego, że był dla nich jedynie chwilową odmianą. Wszystkie one to dziwki i nierządnice! Odeszły, gdy tak bardzo ich potrzebował.

Oczywiście mógłby przymusić każdą dziewczkę w swym majątku, tak jak wtedy, gdy miał kilkanaście lat. Chociaż czuł się spragniony, myśl o kopulowaniu z nowym przychówkiem nie wydała mu się szczególnie pociągająca. Dawno zabliznione rany po hańbiącym procesie otworzyły się na nowo wraz z powrotem do Wieży. Powtarzanie bolesnych doświadczeń nie było potrzebne. Nie znał żadnej ze służebnych, które pracowały teraz na zamku. W czasie jego pierwszej wizyty były zaledwie dziećmi. W każdym razie jego i pasterkę lub Marię łączyły przynajmniej wspólne dzieje. Podobnie jak jego i Letę, którą znał równie dobrze lub lepiej od nich... lecz ta karta nie została jeszcze zapisana.

W roztargnieniu uderzył się pięścią w biodro, idąc do skryptorium. Spojrzał na książki rozrzucone po pokoju, przypominając sobie Owidiusza, który uczynił sztukę kochania tak łatwą, jak proste obliczenia.

Owidiusz! Tak, jego księga musi gdzieś tu być. Po procesie wrócił do Todi w takim pośpiechu, że zostawił wszystkie manuskrypty, lecz do tej pory nie odczuwał ich braku.

Wykonał głęboki, uspokajający wdech. Kiedy służąca przyniosła z kuchni kolację, nie

oderwał wzroku od czytanej karty. W końcu podniósł rylec, który nadal leżał tam, gdzie go pozostawił wiele lat temu, i mając przed oczami obraz Marii Vidone falujący w aureoli światła lampy oliwnej, zaczął czytać pierwsze strofy listu Dydony do Eneasza:

*U brzegów Meandru, kiedy śmierć nadeszła,
Smętną elegię tabędzica nuci,
Ach! Próżna, próżna nadzieja ma,
Słowo twych uczuć nie wróci⁷...*

Bolał, że nie jest w połowie tak natchniony, by ułożyć wzniosłe strofy o Marii, podejrzewał jednak, że potrzebuje innego wzoru niż starożytni poeci. Ostatecznie, czy Dydona miała piegowate policzki i nos? Albo pieprzyk pod lewą piersią? Czy Helena z Troi trudziła swoje dłonie usuwaniem wyki z oleistej wełny? Czy Salmakis robiła potrawkę ze stratowanej kwoki? Czy najady w ogóle coś jadły? A marmurowe usta, które ucałował Pigmalion, czy miały lekkie zagłębienie ponad górną wargą? Pyram zabił się z tęsknoty do Tysbe, podczas gdy jego romans z Marią zakończył się w chłodnej sądowej sali.

Wziął do ręki tabliczkę i napisał staranną łaciną: *Radość wielka ogarnęła me serce...* Słowa były ledwie widoczne na stwardniałym wosku.

Przyglądał się literom, by po chwili cisnąć tabliczką o podłogę. Pan Wieży Wilka zakończył wieczór we łzach, gdy ciemności otoczyły jego lampę - we łzach z powodu utraconej miłości i wszystkich niefortunnych zdarzeń, do których doszło po śmierci ojca. Zapragnął być niewinny, tak jak wtedy, gdy miał dwanaście lat, tak niewinny jak młodszy brat. Chociaż czuł bolesny obrzęk na łydkach, nie doświadczył jeszcze boleśniejszego cierpienia złamanego serca.

Dumając w lochu, brat Angelo przypomniał sobie fragment wiersza, który przyśnił mu się owej nocy w Wieży, kiedy ustały gniew i żal z powodu niespełnionych pragnień. Zaczął go zapisywać na welinie, którego nie wykorzystał, przygotowując list do papieża, dodając tu i tam myśli, które na nowo ożyły w jego głowie.

Właściwie nie był to wiersz, lecz nostalgiczne wspomnienie pospiesznych pieszczot, namiętnych chwil spędzonych z Marią. Nie potrafił ani nie chciał podzielić się nim ze światem - wiersz był przeznaczony wyłącznie dla niej.

⁷ Przekład Z. Kościuk.

Kiedy nad Wieżą wstał świt, pobiegł do skryptorium i zapisał tyle, ile zdołał sobie przypomnieć z sennej wizji przerywanej niespokojnym przewracaniem się z boku na bok. Być może ów kawałek pergaminu do dziś kurzy się w zamkowym skryptorium, nikt bowiem nie potrafił go odczytać. Zimny opis miłości, która dobiegła kresu. Kozła skóra, na której spisał swoje myśli, należycie przeżuta, mogłaby posłużyć za materiał na gniazdo dla myszy... przynajmniej na coś by się zdała. Pomyślał, że kopię sporządzoną w lochu czeka podobny los.

Jego słowa nie opisywały bogów ani bogiń, ukwieconych łąk ani niebiańskich ciał, a jedynie dziewczęcą postać, którą nadal miał wyraźnie przed oczami. Mnich ganił dawnego kochanka za wspomnienie nagich piersi Marii. Wiedział, że nie powinien tego czynić, złożył bowiem ślub czystości. Jednak karcenie się nie zdołało wziąć góry nad samotnością. Rozciągnął się na pledzie i zaprosił Marię do swojego lochu. Kiedy zamknął oczy, oboje znów byli nastolatkami ogarniętymi namiętnością. Rozczesywał jej włosy i szeptał do ucha słowa, które lśniły w jego pamięci jak iskierki światła we wnętrzu klejnotu:

Twe zielone kocie oczy płoną namiętnością...
Całuję policzki, brwi, wgłębienie na szyi...
Palce przesuwają się po wilgotnych konturach ciała,
Unoszą na twych piegowatych piersiach,
Czując brodawki twardniejące od oczekiwania...
Naucz mnie tego co sprawia ci rozkosz...

Otwieram cię delikatnie jak kwiat,
Zbierając nektar językiem.
Prześlizguję się po jedwabnej skórcie
I znikam w twoim wnętrzu,
Badając tajemne miejsca.
Nasze pocałunki stają się coraz gorętsze.

Dotykamy się całą wieczność,
Poruszając niczym jedna istota.
Twoje dłonie pieszczą moje ramiona i szyję.
Jęczysz z rozkoszy i delikatnie gryziesz moje ucho,
Dotykając je wilgotnym koniuszkiem języka...
Woń, która nas ogarnia, jest ciepła i surowa,

Pełna zwierzęcej słodyczy...

*Rytm twoich oddechów i krzyków narasta,
Wypreżasz się i pulsujesz obok mnie,
Dopóki nie eksploduje płonący w nas ogień,
Wypalając na wieki znak miłości...*

Ponieważ owej nocy w Wieży był taki podniecony i spragniony miłości, nawet najczulsze wspomnienia łączyły się z ich fizycznym zespoleniem. Jakby pragnąc zrównoważyć zakazane wspomnienia, brat dodał kilka przypadkowych fragmentów, starając się wyrazić uczucia, które dręczyły go w późniejszych latach. Do dziś nie wiedział, dlaczego nie przestał pragnąć Marii, choć rozstali się tak dawno temu. Może lepiej, aby pozostało to tajemnicą?

*Niezwykła kobieto,
Tajemnicza istoto
O nieprzeniknionym umyśle.*

Braciszek otworzył ramiona z na wpół przymkniętymi powiekami. Kiedy marzenie przebrzmiało, ogarnęło go poczucie, że w końcu, po pięćdziesięciu latach, zdołał się z nią rozstać. Zadrżał, czując, jak Maria odpływa z jego lochu.

- Żegnaj - szepnął. - Żegnaj na wieki.

Przewrócił się na drugi bok, twarzą do ściany. Może pewnego dnia znajdzie w sobie dość siły, aby wrzucić pergamin do kloaczego dołu, uwalniając się od niego, podobnie jak uwolnił się od ukochanej kobiety.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kupiec tekstylny przechodzący przez wioskę w drodze na wiosenny targ w Provins dostarczył odmiany, której Angelo tak potrzebował. Skoro nie mógł dłużej nosić czarnej szaty notariusza, zapragnął, aby wiejski krawiec uszył mu bardziej kolorowe odzienie. Wielu kupców nosiło jaskrawe stroje Franków. Może czas najwyższy, aby uczynił podobnie i zaczął się ubierać jak przystało na młodego, beztroskiego szlachcica.

Podniesiony na duchu nowymi ubiorami, Angelo opuścił Wieżę w porze wiosennego przesilenia. Miał nadzieję, że spór między stronnictwami przycichł i będzie mógł w spokoju wrócić do dawnego miejskiego życia. Jeśli zajdzie potrzeba, zaszyje się w swym nowym domu i nie będzie wychodził na ulicę. Na podróż do Todi włożył ciemnoczerwone jedwabne rajtuzy, a na wierzch zarzucił jasnobrązową tunikę i sięgający kolan kaftan ze sprowadzonej z Flandrii czerwonej tkaniny obszytej złotem i przepasanej w pasie. Ubioru dopełniała wełniana opończa z kapturem, spięta srebrnym łańcuchem. Przeszedł na palcach podworcem, aby nie zabrudzić czerwonych trzewików, które pasowały do kaftana.

Chociaż służba nie okazała zdziwienia, nawet jeśli była zaskoczona jego ubiorem, osłupiały wyraz twarzy *maestra* Maccabea, gdy Angelo zajdzie, by mu złożyć uszanowanie, będzie wart ceny przednich materiałów. Dawny mistrz nie będzie mógł jednak rzec ani słowa, skoro usunął go ze swojego kantoru.

Miał jednak nadzieję, że jego widok zrobi wrażenie na Monnie Lecie. Zamierzał popisywać się nowym strojem niczym kogut, niezależnie od tego, czy jej mąż będzie to widział, czy nie. Tym lepiej, jeśli będzie świadkiem owego pokazu!

Przebywając na wygnaniu, Angelo tęsknił za Letą bardziej, niż oczekiwał, szczególnie że inne kobiety z jego marzeń odplynęły w przeszłość. Leta stała się tak nieodłączną częścią jego życia, jak praca w kantorze Maccabea. Jak mógłby ją teraz widywać, skoro został wyrzucony z interesu i, bez wątpienia, z ich domu?

Wraz ze swymi ludźmi wybrał dłuższą, łatwiejszą drogę do Todi, wiodącą przez równinę naprzeciw Asyżu i omijającą wzgórza na północy i zachodzie. Coldimezzo wznosiło się na wzgórzu nieopodal szlaku. Pomyślał, że powinien zajrzeć na zamek i złożyć uszanowanie sąsiadom. Od czasu procesu nie był w tej okolicy. Oczywiście nie krył, że jest ciekaw leśniczego hrabiego Buoncontego i rodziny, która mogła być jego rodziną. Ta myśl oraz nagły obraz Marii rozmawiającej z kupcami i żonami szlachty w Todi spowodowały, że na jego twarzy pojawił się uśmiech. Był pewny, że Maria jest sobą i nie troszczy się ani

trochę, co owe *nobildonny* myślą na jej temat. Wiedziała, kim jest.

Dzień był niezwykle upalny jak na tę porę roku - gorące promienie piekły go w twarz i pierś, kiedy okrążał wzgórze i skręcał na południe. Starał się nie myśleć o Marii, gdy Coldimezzo znalazło się za jego plecami, poczuł jednak znajome pulsowanie w kroczu. Szpik wypełniający mu kości zaskamlał jak wynędzniały pies, gdy przypomniał sobie ostatni ranek spędzony w jej ramionach po tym, jak powiedziała mu o dziecku, które nosi w łonie. Im bardziej oddalał się od zamku, tym większa ogarniała go melancholia.

W południe wędrowcy przystanęli w cienistym zagajniku, popijając chleb i ser winem z bukłaka. Za każdym razem Angelo zatrzymywał bukłak chwilę dłużej, próbując utopić w trunku smętne myśli. Połączenie upału i wina uspiło myśli, czyniąc go sennym.

Całe popołudnie jechał z zamkniętymi oczami, na wpół drzemiąc w siodle, gdy jego koń włókł się za ogierem jadącego przodem rycerza. W jego sennym umyśle powracały zamazane obrazy Marii i Lety witających go z rozpostartymi ramionami.

Pomiędzy Coldimezzo i Tybrem doszedł do wniosku, że musi podjąć bardziej zdecydowane starania, aby uwieść żonę notariusza. Maccabeo pożałuje dnia, w którym go wyrzucił ze swego domu i kantoru. Angelo obróci to na swoją korzyść. Młodzi nie będą się już znajdowali pod czujnym okiem męża. Być może stanie się to początkiem wielu szczęśliwych lat potajemnej miłości. Czuł się też zwolniony z obietnicy znalezienia Lecie męża po śmierci staruszka. Uznał, że Maccabeo zerwał umowę i przypuszczalnie będzie wolał, aby to *signore* Jacopo był wykonawcą jego ostatniej woli.

Jeźdźcy dotarli do miejsca, w którym szlak zaczynał biec wzdłuż wschodniego brzegu Tybru, do rozstajów, na których opuścił go biały wilk w poranek narodzin Silvestrego. Zamknął ciężkie powieki z powodu promieni słońca odbijających się od wody. Próbował przywołać myśli o Lecie, które naszły go w Wieży, gdy jego orszak skręcił do Todi, lecz wino sprawiło, że nie potrafił się skoncentrować. W stanie otępienia rytmiczne ocieranie się tuniki o rajtuzy przypominało szept: „Le-ta... Le-ta... Le-ta...”. Wyobraził sobie, że to rytm ich pieszczot, i znów zasnął w siodle.

Obudził się jakiś czas później, gdy zbliżyli się do miasta, słysząc w oddali śmiech kobiet. Przetarł oczy i ujrzał Todi wznoszące się na szczycie wzgórze, nie dalej jak pięć kilometrów od nich. Mała gromadka wyjechała poza obręb murów, aby urządzić piknik przy drodze do kaplicy Madonna della Campagna.

Stanął w strzemionach i ujrzał łaciatego siwka Monny Lety przywiązane obok małego, opuszczonego kościółka. Zauważył, że Leta zbiera polne kwiaty obok muru. Towarzyszyli jej tylko jedna służka i brat Enzo.

- Muszę porozmawiać z tą kobietą - rzekł przybocznym. - Dotrzymajcie towarzystwa pozostałym, gdy wezmę ją na stronę.

Na widok jeźdźców stojący obok kościoła uczestnicy pikniku zbili się w gromadkę.

- To Angelo! - zawołał Enzo.

- *Signore*, nie poznałam cię w tych szatach! - krzyknęła Leta. Kiedy zsiadał z konia, dodała: - Od miesiąca nie było cię u nas na obiedzie. Mam nadzieję, że złożysz nam wizytę.

Angelo stanął na ziemi, złożył pokłon i uśmiechnął się, próbując ukryć podniecenie wywołane jej serdecznym powitaniem. Jest coraz piękniejsza, pomyślał. Jego umysł nadal był pograżony w pobudzonych winem fantazjach, którym oddawał się podczas drogi.

- Ja też za tobą tęskniłem. Podróż upłynęła wyjątkowo dobrze. W Wieży radzą sobie lepiej, niż sądziłem.

Szli przez pole pełne kwiatów i wysokich traw, słuchając bzyczenia pszczoł. Lśniący czerwony wąz barwy kurtki Angela przemknął u podstawy studni, powodując, że Leta się zatrzymała. Angelo chwycił ją za ramię, gdy wąz zniknął w trawie.

- Przejdiesz ze mną przez most na drugą stronę rzeki? - zapytał. - Chciałbym z tobą pomówić.

Zmarszczyła czoło, przygryzając wargi.

- Chodzi ci o ostatnią rozmowę z moim mężem?

- Tak - skłamał, żałując, że wcześniej nie wymyślił lepszej wymówki.

- Byłam zasmucona, gdy powiedział, że wyjechałeś i że sprzedał interes. Przez ostami tydzień *signore* Jacopo spotykał się z nim niemal codziennie, przeglądając księgi. W ciągu najbliższego tygodnia zamierza przenieść wszystkie dokumenty do kantoru. Odwróciła się do służki. - Pójdę na przechadzkę z hrabią Angelem. Niedługo wrócimy.

- Zostańcie z niewiastą i Enzem - powiedział swoim Angelo, jakby po raz pierwszy wydawał im polecenie. Miał nadzieję, że Leta nie dostrzegła uśmiešku na twarzach rycerzy.

Przekroczyli most, rozmawiając o *signore* Commaciu i rozruchach, które doprowadziły *maestra* Maccabea do wściekłości. Angelo oparł się o kamienną barierkę mostu, nadal odurzony winem. Zaczął sugerować Lecie swój prawdziwy zamiar, mówiąc, że ma nadzieję nadal ją widywać, chociaż nie będzie pracował ani odwiedzał ich domu.

- Będę spotykała się z tobą i Silvestrem na niedzielnej mszy - odparła Leta. - Jestem pewna, że będziemy się też widywali na rynku.

- Przypadkiem? Przypadkowi można dopomóc. - Spojrzał na drzewa rosnące po drugiej stronie rzeki, chcąc odwrócić jej uwagę. Kiedy przycisnęła do piersi bukiet polnych kwiatów,

wyobraził sobie, że jest panem młodym, który wiedzie ją do ołtarza.

- Nasze spotkania trzeba będzie pozostawić opatrności - rzekła z uśmiechem. - Todi to małe miasteczko. Z pewnością nie stracimy się z oczu.

Znaleźli się wśród drzew. Ich rozmowę przerwało krakanie dużego stada srok, które wzbiło się z rosnącego nieopodal dębu. Ptaki wzleciały zwartą gromadą niczym odziani w czarne habity mnisi knujący spiszek.

Kiedy odleciały, Angelo wrócił do tematu. Żałował, że w drodze do domu nie przygotował mowy wyrażającej uczucia, które żywił wobec niej, zamiast bezmyślnie kiwać się w siodle. Skąd jednak miał wiedzieć, że los postawi ją na jego ścieżce? A może coś więcej niż los?

- Sądzę, że to opatrność doprowadziła do mojego rozstania z *maestrem* Maccabeem - zaczął. - Myślę też, że to przeznaczenie pozwoliło nam się dziś spotkać. W końcu będziemy się mogli spotykać tam, gdzie jest wygodnie nam, a nie mistrzowi. - Wyciągnął dłoń, aby jej dotknąć, lecz cofnęła swoją.

- Błagam, Angelo. Wiele lat temu prosiłam cię, abyś nie mówił w ten sposób. Nie wiesz o mnie wielu rzeczy.

- Wiem, że dzielisz łożę ze starcem, który nie zdoła cię zaspokoić tak, jak ja.

Westchnęła i spojrzała mu w oczy z wyrazem rezygnacji.

- Mój ojciec zmarł, gdy byłam mała, podobnie jak twój. I tak jak w twoim przypadku Maccabeo obiecał, że się mną zaopiekuje. Pobraliśmy się, aby uchronić mnie i brata od nędzy. Mówię ci to w zaufaniu, Angelo. Nie byliśmy z sobą jak mąż i żona. Mimo to z czystej wdzięczności nigdy go nie zdradzę. Czy to rozumiesz? Nadal jestem dziewicą. Obiecałam Bogu, że pozostanę nią do powtórnego zamążpójścia. Liczyłam, że pewnego dnia znajdziesz mi męża, miejmy nadzieję, że równie dobrego jak Maccabeo.

Angelo poczuł, że kręci mu się w głowie. Podobnie jak owego dnia na targu, wyrzucił z siebie pierwsze słowa, które przysły mu do głowy:

- Przecież musiałaś wiedzieć, że zawsze marzyłem o tym, by cię poślubić, Leto. - Jego pożądanie sięgnęło szaleństwa. - Pragnę, abyś została moją żoną.

Słyszając, że jest dziewicą, zapłonął jeszcze większym ogniem. Przyszła mu do głowy nieprzytomna myśl, że jeśli będzie jej pierwszym kochankiem, nie zechce innego.

- Pragnę cię, Leto! - Chwycił ją w ramiona, próbując pocałować.

- Nie, Angelo! - krzyknęła. Przestraszył się, że inni mogą usłyszeć. Jej oczy zapłonęły wściekłością. Wypuściła kwiaty, które rozsypały się na ziemi. Uderzała go w twarz, próbując odepchnąć. - Nie możesz! Jestem...

Zasłonił jej usta i rzucił na ziemię. Poczł niezwykły przyplływ siły podsycanej gniewem i żądzą. Czemu nie mozesz być uległa jak inne? - gotował się ze złości. Dlaczego nie chcesz odwzajemnić moich uczuć?

Wściekłość na Maccabea i Letę oraz wymierzony policzek wywołały reakcję, której się najbardziej obawiał. Zanim skończy, pozna go takiego, jaki naprawdę jest - po części mężczyzna, po części wilk - i poczuje do niego odrazę. Pożądanie pozbawiło go rozumu równie gwałtownie jak uderzenie bicia. Nie obchodziło go nic innego oprócz ulgi seksualnego spełnienia.

Sądził, że jej hymen pęknie po pierwszym pchnięciu, chociaż próbowała go z siebie zrzucić. W ostatniej chwili zdążyła uwolnić usta i wbić kły w jego nogę, brudząc krwią ich oboje. Z jej ust wydobył się skowyt zranionego zwierzęcia. Próbując się uwolnić, rozdarła mu pazurami szatę, wbijając się w skórę na plecach. Gwałtowność Lety jedynie podsyciła jego żądzę, powodując, że zanurzał się w niej, dopóki nie poczuł mrowiącego wzbierania wewnątrz lędźwi i silnej eksplozji.

Leżąca pod nim Leta zamarła. Otworzył oczy, próbując złapać oddech. Jej ubranie było podarte i poplamione krwią jak jego. Twarz, która się w niego wpatrywała, nie była jednak twarzą kobiety, lecz pomniejszoną wersją oblicza, które ujrzał odbite w metalowym słupku w gospodzie.

- Ty też... Leto?! - krzyknął zdumiony. - Czy to twój zapach wyczułem nocą na ulicach Todi? - Wydała cichy jęk. Jej oczy, które przed chwilą błyszczały lękiem i wściekłością, teraz wydawały się puste. W pierwszej chwili z przerażeniem pomyślał: Jak zdołam się z tego wytłumaczyć?

Wkrótce złączą ich szukać.

- Doprowadzimy się do porządku - poprosił kobietę leżącą nieruchomo obok niego. Pomógł jej wstać, dochodząc do wniosku, że z ich ubraniami nie da się nic Zrobić. Pozwoliła, aby zaprowadził ją na brzeg rzeki.

Zostawił Letę stojącą po kolana w chłodnej wodzie i poszedł kilka kroków w górę strumienia, przemywając rany, które mu zadała. Piekły, lecz poczuł wdzięczność, gdy jego pazury zaczęły się na powrót zamieniać w palce, a przednie nogi w ramiona.

Odwrócił się w stronę Lety, aby sprawdzić, czy próbuje się umyć... i przekonać się, jakie stworzenie ujrzy.

- Leto, czy jesteś...?

Zniknęła.

- Nie! - krzyknął i popędził do lasu, czując, jak gałęzie jeszcze bardziej rozdzierają jego szaty. Słudzy i brat nie mogą jej zobaczyć w takim stanie! Nie odnalazł Lety i pobiegł nad rzekę. Duży kawałek tkaniny unosił się przez chwilę na środku nurtu, by po chwili zniknąć w głębi kipieli. Ludzie stojący na drugim brzegu musieli go zobaczyć, bo ruszyli pędem przez most do miejsca, gdzie zniknęła. Jeden z mężczyzn dosiadł konia i ruszył w dół rzeki obok kościoła.

- Angelo, co się stało?! - wrzasnął Enzo.

Zaczął gorączkowo szukać wytłumaczenia.

- Niedźwiedź! - krzyknął wreszcie. - Zostaliśmy zaatakowani przez niedźwiedzia! Leta próbowała uciec przez rzekę. - Podniósł się i ruszył wzdłuż strumienia. - Pomóż mi ją znaleźć.

Drugi ze zbrojnych dobył miecza.

- W którą stronę poszedł, *signore*?

- Nie mam pojęcia... Na wszelki wypadek zostań ze służką.

Jeździec na przeciwległym brzegu odnalazł ciało Lety dwieście metrów poniżej mostu. Zatrzymało się na dużym kamieniu w pobliżu brzegu, więc mężczyzna mógł wejść do wody i je wyciągnąć.

Angelo przeszedł przez most i przyłączył się do milczącej gromadki pochylonej nad ciałem. Uklęknął, ciężko dysząc, jakby na całym świecie nie było dość powietrza, by mógł swobodnie oddychać. Mimo cierpienia z radością spostrzegł, że Leta wróciła do dawnej postaci. Z pewnością nie chciała, aby ktokolwiek poznał jej tajemnicę.

Pragnął dotknąć nieruchomego ciała, ująć jej dłoń w swoją, lecz poczuł nieodpartą chęć położenia się. Rany na przegubach rąk i plecach nadal krwawiły. Poczuł, że słabnie. Jeden ze zbrojnych objął go ramieniem i wsadził na siodło.

Dwa dni później biskup Pietro Gaetani odprawił nabożeństwo żałobne.

- Przysłowie mówi - zaczął - że gdy przychodzimy na świat, wszyscy jesteśmy piękni, kiedy stajemy na ślubnym kobiercu, wszyscyśmy dobrzy, a gdy umieramy, wszyscy jesteśmy święci. Chociaż jest to prawdą w przypadku nielicznych, z pewnością można to powiedzieć o Monnie Lecie. - Po tych słowach zaczął z zapalem wyliczać jej liczne cnoty i miłosierne uczynki, wspominając, jaką była radością dla męża.

Każda pochwała pogłębiała niedolę i wstyd Angela. Wpatrywał się w posadzkę, aby nikt nie dostrzegł poczucia winy w jego oczach. Krzywił się za każdym razem, gdy się pochylił, tunika bowiem drażniła rany na plecach. *Maestro* Maccabeo także nie podniósł

głowy podczas mszy, choć jego wargi nieustannie się poruszały.

Kilku młodszych członków gildii, w tym *signore* Jacopo, zgłosiło się do niesienia trumny, kiedy biskup ruszył z procesją na cmentarz. Angelo i Enzo podtrzymywali notariusza kroczącego za trumną. Staruszek zachowywał się tak, jakby lada chwila miał upaść. Wstrząsany szlochem patrzył, jak ciała Lety opuszczają do grobu obok ciała jego pierwszej żony.

Młodzieńcy pomogli mistrzowi wrócić po pogrzebie do domu. Kiedy dotarli do kantoru, staruszek poklepał Enza po ramieniu i podziękował mu.

- Mógłbyś zostawić nas samych? - zapytał. - Chciałbym pomówić z *signore* Anielem.

Kiedy Enzo zniknął na schodach, Maccabeo wskazał Angelowi wygodne krzesło, na którym zwykle siadali klienci. Młodzieniec opadł na poduszki. Pomimo smutku, obawiał się, że Maccabeo odgadł prawdziwą przyczynę śmierci żony, jednak następujące na przemian fale niepokoju i smutku nie osłabiły jego zaciekawienia przemianą Lety. Miał nadzieję, że uda mu się poruszyć ten temat bez wzbudzenia podejrzeń.

Maccabeo otworzył kredens, w którym trzymał małą baryłkę wina dla gości, a następnie wyciągnął kielichy.

Przez chwilę sączyli trunek w milczeniu, dopóki Maccabeo nie oznajmił przyciszonym głosem:

- Wystawiłem dom na sprzedaż, Angelo. Zamierzam wstąpić do zakonu i spędzić ostatnie lata życia na pokucie. Ufam, że modły moich świętych żon pomogą mi w tym zamiarze.

Odstawił kielich, pogrążony w zadumie. Po trwającej całe wieki przerwie, znów się odezwał:

- Chcę ci podziękować, że próbowałeś ocalić Letę. - Podniósł głowę, a w jego oczach widać było troskę. - Słyszałem, że zostałeś poturbowany przez ścigającego ją niedźwiedzia. Czy plecy i ręka dobrze się goją?

- *Si, maestro* - odrzekł lewo słyszalnie Angelo, na dowód pokazując zabandażowany nadgarstek. - Pozostaną blizny, które będą mi przypominać o tym strasznym dniu.

Starzec pokiwał głową.

- Wszyscy byliśmy przerażeni tym, co się stało.

Umilkł, składając dłonie na kolanach. Przyglądał się młodzieńcowi przez chwilę wielkimi, zasmuconymi oczami, jakby miał nadzieję, że uwolni go od przykrego obowiązku.

- Muszę wyznać ci coś o mojej żonie, Angelo. Postanowiliśmy nie mówić ci o tym, teraz jednak powinieneś poznać prawdę. Po twych narodzinach, kiedy okazało się, że

odziedziczyłeś cechy dziadka, *donna Lucia* poprzysięgła, że nie urodzi więcej dzieci twojemu ojcu. Stale mu się sprzeciwiała i wiem, że wielokrotnie bił ją z tego powodu. Przypuszczalnie sam byłeś tego świadkiem, chociaż nie wiedziałeś dlaczego. Było, jak było. Twój ojciec, szukając... czułości... zaczął spędzać czas z wdową mieszkającą w tym mieście... Kiedy byłeś małym chłopcem, założył drugą rodzinę.

Angelo siedział jak skamieniały. Nie miał o tym pojęcia.

- Kiedy to zrobił? Tak rzadko wychodził z domu...

- Rzadko, a jednocześnie wystarczająco często. Niektóre niedzielne popołudnia spędzał w moim towarzystwie, lecz większość czasu poświęcał tej kobiecie i jej dzieciom.

- Dzieciom? Tej kobiety i jej zmarłego męża? Czy mój ojciec miał z nią dzieci? - Zadał to pytanie, choć znał już odpowiedź, choć jego umysł próbował usunąć konsekwencje tego faktu.

- Mieli dwoje dzieci - przytaknął *Maccabeo*. - *Letę...* i *Enza*. Moja żona wiedziała, że jesteś jej bratem, lecz przysięgła nigdy tego nie zdradzić. Uznaliśmy, że byłbyś zawstydzony, gdybyś poznał prawdę o ojcu. *Leta* była niezwykle zakłopotana faktem, że jest bękartem, nikomu więc o tym nie powiedziała. *Silvestre* może doświadczyć podobnego uczucia, gdy dorośnie... lub twoje własne dziecko.

Starzec przyglądał się mu przez chwilę, a następnie ciągnął nieco lżejszym tonem:

- *Leta* była szczęśliwa, mogąc tyle lat gościć cię w swoim domu. Dzięki temu mogła lepiej cię poznać, co sprawiało jej ogromną radość, chociaż czasami prowadziło do... W każdym razie wiesz już, dlaczego tak stanowczo sprzeciwiałem się waszemu przyszłemu małżeństwu.

Angelo skorzystał z okazji, by zapytać:

- Czy ona również cierpiała z powodu przekleństwa dziadka?

- Tak. - *Maccabeo* skinął głową. - Na szczęście przekleństwo ominęło *Enza*. Jestem zaskoczony, że o tym pomyślałeś. Właśnie dlatego pozwalałem ci spędzać noce pełni księżyca we własnym domu. Służba była przekonana, że *Leta* zamykała się w pokoju z powodu miesiączki. Miejmy nadzieję, że *Enzo* też tak myślał.

- Czy błąkała się nocami po ulicach? Czasami sam to robiłem... Pewnej nocy wyczułem jej woń w mieście.

Staruszek skinął głową.

- Rzadko wymykała się z domu, lecz zawsze wracała przed świtem.

Każda z tych wiadomości boleśniej raniła serce Angela. Ukrył twarz w dłoniach, mając ochotę krzyknąć lub wymiotować. Zgwałcił i doprowadził do śmierci swoją niewinną

przyrodnią siostrę, która najlepiej rozumiała jego niedolę, sama jej bowiem doświadczała. Czy w tym, co zrobił w pobliżu opuszczonego kościoła, była miłość? Czy nie zareagował brutalnie, mszcząc się za to, że nie oddała mu się dobrowolnie? A może uczynił to, ponieważ jej mąż usunął go z kantoru?

Jego oddech stał się krótki i urywany. Chciał, aby jeden z bożych aniołów złapał go za kark i wrzucił w najgłębszą otchłań piekła. Zasługiwał na to. Leta była ostatnią ofiarą jego egoizmu, zranioną jego brakiem odpowiedzialności i tym, że jest zły.

Maccabeo mruknął coś pod nosem, po czym wstał i położył dłoń na ramieniu Angela.

- Jeśli może być to dla ciebie pociechą, synu, twoja siostra zmarła w stanie czystości i wznosi teraz pieśni w niebiańskim chórze dziewic. Wiem, że nie miałeś o tym pojęcia, lecz żyliśmy z sobą jak dziadek i wnuczka, nie jak mąż i żona. Nosiła pas cnoty jak zaszczytną koronę.

Angelo strząsnął dłoń mistrza ze swego ramienia i skoczył na równe nogi, zasłaniając usta.

- Przestań! - krzyknął. - Nie mogę dłużej tego słuchać.

Odepchnął staruszka i wybiegł na ulicę, omijając niewiasty niosące miski ze strawą do domu wdowca. Biegł przed siebie, chwytając powietrze w płuca, dopóki nie dotarł do cmentarza i nie odnalazł grobu Lety. Rzucił się na kopiec świeżej ziemi i wybuchnął płaczem, błagając siostrę o przebaczenie.

Rozdział dwudziesty drugi

Brat Angelo zapamiętał jedynie urywki następnych miesięcy, a i tak ich przywołanie pozbawiło go sił. Powróciło do niego tyle spraw, o których rzekomo zapomniał lub miał nadzieję zapomnieć raz na zawsze. Ożywiając dawne wspomnienia, często modlił się o przebaczenie. Wyobrażał sobie siostrę w białej szacie świętej, przepasaną złotą szarfą i zaglądającą do jego lochu. Błagał o nadzieję, aby kiedyś mógł znów się z nią zobaczyć, licząc na słowo zmiłowania, był jednak zbyt zawstydzony, by zaprosić ją do swego cuchnącego lochu.

Pamiętał ranek, choć mogła być to jedynie fantazja, kiedy wspiał się na drzewo i usłyszał od Boga, że z jego powodu ktoś straci drogocenne życie. Czy śmierć Lety była zaplanowana, a on był jedynie narzędziem w ręku Boga? A może została jedynie przewidziana? Próbował rozwikłać tę zagadkę, lecz zaczął mylić jawę ze snami. Czy nie obiecał pomóc w potrzebie chłopcu, którym kiedyś był?

Po pogrzebie Lety zaczął sypiać na cmentarzu, błąkając się między grobem siostry i grobowcem, w którym spoczywały kości jego rodziców. Nikt mu nie przeszkadzał w te upiorne noce, nawet bowiem nocni Stróże, jak wszyscy praworzadni obywatele, lękali się dusz zmarłych. Dla niego takie spotkanie byłoby pociechą. Chciał im zadać wiele pytań. Niestety, jedynymi nocnymi zjawami były wychodzące na powierzchnię spulchnionej ziemi robaki, żuki o lśniącej czarnej skorupie i ślimaki pozostawiające srebrzyste, oślizgłe ślady na nagrobkach.

Był wszakże demon, który nie pozwalał mu spać - nocna wiedźma przytłaczająca go jak kamień lub tańcząca na jego ściśniętej piersi, kiedy kładł się wśród grobów. Śnił, że Leta została wrzucona lub wpadła w najgłębszy nurt rzeki. Nigdy nie udało mu się stwierdzić, co naprawdę się stało. Miał nadzieję, że zawoła go na pomoc, ona jednak milczała, jakby spokojnie zgadzała się na swój los. Pragnęła jedynie oczyścić się z grzechu, który popełniła z jego winy. Pewnej nocy skoczył za nią, czując, jak woda przenika jego ubranie, ciągnie go w dół, aż jego ręce tak osłabły, że nie stawiały oporu, a piersi płonęły od wstrzymywanego oddechu. Przebudził się zlany potem, rozpaczliwie wdychając wilgotne nocne powietrze.

Za dnia błąkał się ulicami Todi, zatrzymując przechodniów, prawiąc kazania nieznanym, błagając napotkanych, aby modlili się za jego duszę, która bez wstawiennictwa wielu ludzi będzie przeklęta na wieki. Pamiętał, że co rano Maccabeo posyłał Silvestrego z jedzeniem na cmentarz i duże, pełne smutku oczy chłopca, który stawiał tobołek na ziemi i

obserwował, jak brat je.

Włosy i paznokcie Angela stały się długie, zaczął zachowywać się jak obłąkany asceta. Miał nadzieję, że jego wygląd nie przestraszy brata, lecz Silvestre sprawiał raczej wrażenie cierpiącego. Rozmowa łagodziła ich ból, jednak chłopak był zdumiony tak długą nieobecnością Angela.

Mieszkańcy miasta zaczęli go uważać za wariata. Z pewną radością obserwowali, jak niegdyś zamożny, szanowany obywatel, *ridotto a un cencio*, znalazł się na dnie. Kiedyś usłyszał nawet słowa, które uznał za komplement - jeden z mężczyzn przekonywał drugiego, że hrabia wcale nie jest taki obłąkany, na jakiego wygląda. Dyskutowano w odległości kilku metrów od miejsca, w którym leżał na bruku. Dwaj mężczyźni spierali się z sobą, jakby był niewidzialny lub miał zaledwie kilka lat.

- W ostatni wtorek sługa Pietra Gaetaniego dał mu monetę, aby zaniósł wiadro ryb do domu jego pana.

- Do pałacu biskupa?

- Taki był jego zamiar. Kiedy obiad nie dotarł na miejsce, poszli na cmentarz, aby odnaleźć hrabiego i dowiedzieć się, co zaszło. Smród doprowadził ich do rodzinnego grobowca Gaetanich z rozkładającymi się zarobaczonymi rybami, nad którymi krążyły roje much.

Drugi z mężczyzn zarechotał.

- Zatem dostarczył ryby do domu, nieprawdaż?

- Jeśli jest głupcem, to z pewnością inteligentnym.

Inteligentnym? Omar Kasim wpadłby we wściekłość, gdyby usłyszał, co uważa się za mądrość w tym ciemnym miasteczku.

Pierwszy z mężczyzn opowiedział drugą historyjkę o weselnej uczcie, na którą wszyscy goście przyszli ubrani w najlepsze szaty. Wszyscy z wyjątkiem hrabiego, który zjawił się w pantalonach, a resztę ciała pokrywały kurze pióra.

- Obłąkany? Zaiste - podsumował - ale nie jak głupek, lecz szchwany lis. - Skinął z szacunkiem Angelowi i rzucił monetę, przynajmniej dostrzegając jego obecność.

Braciszek uśmiechnął się na to wspomnienie. Pan młody, który wyprowadził go z przyjęcia, uczynił to z wielkim współczuciem. Angelo pomyślał, że dostarczył mu okazji do okazania miłosierdzia nieszczęśnikowi.

Pewnej nocy odwiedził go na cmentarzu stary mnich, którego nie zapamiętał z San Fortunato. W umyśle brata Angela wspomnienie to zaczęło się powoli materializować, wyłaniając się zza mgły czasu - podobnie jak franciszkanin wyłonił się spośród mgły

zasnuwającej cmentarz.

Upiorna postać początkowo go zdumiała, nie usłyszał bowiem, jak nadchodzi, i obawiał się, że może być najprawdziwszą nocną zjawą. Braciszek o potarganej czuprynie i twarzy ukrytej w cieniu kaptura mógłby uchodzić za widmo śmierci, jego ruchy były jednak powolne, kiedy sadowił się na płaskim nagrobku naprzeciw Angelo. Zsunął kaptur, odsłaniając białą grzywę.

- Pokój z tobą, hrabio Angelo - powiedział.

Kiedy szok minął, Angelo zapytał:

- Nie lękasz się odwiedzać nocą to miejsce? Nikt tu nie przychodzi po zmroku.

- A ty?

- Ja żyję w ciemności niezależnie od pory dnia, przyjacielu.

- W ciemności? - spytał braciszek w zadumie. - W ciemności rozpacz czy żalu nad sobą? A może to i to?

- To i to, jak sądzę.

- Mam wrażenie, że znalazłeś się we wspaniałym miejscu.

Angelo postanowił poczekać na wyjaśnienie, które niewątpliwie nastąpi. Jeśli ten cmentarz jest wspaniały, pewnie nawet piekło będzie do zniesienia.

- Znalazłeś się na dnie. Nie możesz już dalej spadać. Pewnie uważasz, że żaden człowiek, którego znasz, nie był w gorszym położeniu.

Angelo westchnął na znak, że tak właśnie jest.

Braciszek ciągnął:

- To, coś uczynił siostrze, jest niewybaczone. Jej grób woła o sprawiedliwość, nie sądzisz?

Angelo podniósł głowę, otwierając szeroko oczy.

- Co przez to rozumiesz?

Czyżby braciszek spacerował po lesie owego popołudnia? W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć jego słowom, w jakim celu miałby to jednak czynić? Tamten wiedział!

Zakonnik uniósł ostrzegawczo palec i kontynuował, zanim Angelo zdążył coś rzec.

- Od tego miejsca musisz zacząć, mój synu. Nie mając niczego, pogrążony w całkowitej ciemności. Ten moment może być chwilą, w której wyruszysz do domu niczym syn marnotrawny. Jak mówi psalmista: „Dziś, jeśli głos Jego usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych!”⁸. Masz szczęście, że jesteś pozbawiony ziemskiej pociechy. Może ci pomóc jedynie

⁸ Hbr 3,7-8; wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wydawnictwo Pallotinum, Poznań 1986.

Ojciec Niebieski, który, nawiasem mówiąc, bardziej pragnie zostać znaleziony, niż ty chcesz Go odnaleźć. Pamiętaj również, *signore*, że kiedy my, synowie marnotrawni, wracamy do domu, nie zjawiamy się jako aniołowie lub święci, a raczej tacy, jacy jesteśmy... w łachmanach świniopasa... bez Jego łaski niezdolni do żadnego dobrego uczynku. Nie lękaj się jednak, Ojciec ujrzy cię z oddali i wybiegnie naprzeciw.

Angelo zaniemówił, wpatrując się w oblicze franciszkanina. Kim jest ten zakonnik, który wszystko o nim wie?

Brat Angelo rozmyślał o tym w swojej celi. Zakonnik, którego spotkał na cmentarzu, był wówczas w podeszłym wieku. Przypuszczalnie już nie żył, gdy dziesięć lat później Angelo wstępował do zakonu. Starał się przypomnieć jak najwięcej twarzy z owego okresu, lecz żadna nie była do niego podobna.

Postanowił zaprosić go do swej celi jak doktora Bartola i Marię. Chętnie wdałby się z nim w dysputę, lecz oprócz z trudem przywoływanych obrazów nikt się nie pojawił.

Przebiegł palcami po splątanej brodzie oświetlonej promieniami księżyca i wtedy zrozumiał. Ów brat nie musiał się do niego przyłączać, był już bowiem w lochu. Zaniebanym franciszkaninem, który odwiedził go na cmentarzu, był w rzeczywistości on sam. W końcu dotrzymał obietnicy danej chłopcu, że udzieli mu pomocy w chwili największej potrzeby. Kiedy i jak to uczynił? W nocnej ciszy, kiedy leżał owinięty w koc, pogrążony w głębokim śnie, uciekając przez bramę serca. Jego sny zatraciły wyraźny kształt i nie potrafił odróżnić dziennych widzeń od marzeń nawiedzających go we śnie.

Wtedy, na cmentarzu, zakonnik wskazał grób Lety i powiedział:

- Czy zdajesz sobie sprawę, że musisz odpokutować za swój czyn?
- Jaka to pokuta, bracie? - zawołał Angelo. - Odprawię ją setki razy.
- Wystarczy raz.

Franciszkanin przypatrywał mu się smętnie przez chwilę.

- Pamiętasz opowieść Owidiusza o Likaonie, królu Arkadii, i posiłku, którym ugościł Jowisza?

- Masz na myśli potrawę z ludzkiego mięsa? To z *Metamorfoz*.
- Za karę Jowisz zamienił go w...
- Wilka. Od imienia owego władcy pochodzi określenie *licantropo*, wilkołak.
- Kiedy opat Natalis rzucił klątwę na znany irlandzki ród, wszyscy jego członkowie musieli na siedem lat przyjmować postać wilka, wałęsając się po lasach i słonych bagnach. U Ossyrian każdy mężczyzna i każda kobieta muszą przeżyć siedem lat jako wilkołak. Dopiero po zakończeniu wygnania mogą powrócić do swoich domów i odzyskać dawną postać.

- Sugerujesz, że czeka mnie podobny los?

Braciszek skinął głową.

- Uwięziłeś w sobie anioła, a wypuściłeś bestię, pozwalając, by siała wokół zniszczenie. Z tego powodu będziesz się błąkał jak wilk, którego przypominasz, dopóki nie odkupisz swoich win.

- To sprawiedliwy wyrok - przyznał Angelo. - Nadaję się jedynie do tego, by żyć na pustkowiu.

Franciszkanin położył dłoń na jego pochylonej głowie, udzielając błogosławieństwa, a następnie zaczął się oddalać.

- Pamiętaj, by w tym okresie nie przyjmować ludzkiej postaci - ostrzegł. - Nawet jeśli zapragniesz ludzkiego towarzystwa. - Po tych słowach zniknął we mgle.

- Kiedy się to stanie?! - zawołał za nim Angelo.

Odpowiedź nadlatywała ze wszystkich stron.

- W następną pełnię księżyca, *signore*.

Brat Angelo otworzył oczy i stwierdził, że niebo nad lochem pojaśniało. Jego umysł nadal ożywiały przeplatające się wspomnienia przeszłości. Nie wiedział, czy to jego fantazje, czy rzeczywistość. Przeszłość przestała być dla niego drogą - nawet ta, która ginęła w gęstym lesie jego dzieciństwa. Bardziej przypominała pozbawiony brzegów staw, którego powierzchnia ciągle się zmienia i z którego wyłaniają się myśli niczym ukryte pod wodą kamienie. Miał nadzieję, że pewnego dnia odzyska zdolność trzeźwego myślenia, jak stary wojownik liczący na to, iż doświadczy choćby cząstki siły, jaką posiadał w dniach młodości.

Nad kratą ujrzął zarys postaci benedyktyna. Krata jęknęła w zardzewiałych zawiasach. Zakonnik opuścił jadło, sprawiając wrażenie, że nie ma ochoty na rozmowę.

- Co się stało, bracie? Czy przełożeni skarcili cię za to, że ze mną rozmawiasz?

- Wybacz, braciszku Angelo, dzień zaczął się ponuro.

- Co się stało?

Benedyktyn wciągnął pusty kosz, zanim podzielił się nowiną.

- Nadeszły wieści z Rzymu. Papież wypuścił z więzień wszystkich z wyjątkiem uczestników buntu Colonnów.

Krata opadła z hukiem niosącym się echem w ciszy poranka. Angelo usłyszał trzepot skrzydeł stada wystraszonych ptaków. Kiedy znów zapadła cisza, mnich rzekł:

- Odrzucono twoją prośbę.

- Ach! - Więzień oparł się plecami o omszałą ścianę i osunął na ziemię, w jednej ręce

trzymając bochen chleba, w drugiej jabłko. - W takim razie Bóg, postanowił, że tu dokonam żywota.

- Przykro mi bardzo, bracie Angelo - westchnął współczująco strażnik. - Nasz posłaniec uzyskał posłuchanie u kardynała Gentilego, tak jak prosiłeś. Jego Eminencja obiecał przekazać wiadomość twojemu bratu. Hrabia Silvestre będzie przynajmniej wiedział, że żyjesz.

- Jeśli można nazwać to życiem. - Głos Angela był cichy, ledwie słyszalny w gnijącym powietrzu lochu, jego świątyni samotności.

Żadna chmura nie przesłaniała pełnego sierpniowego księżyca świecącego tak jasno, że przyćmiewał pierwsze gwiazdy. Angelo z przyzwyczajenia udał się w róg cmentarza najbardziej oddalony od bramy, w miejsce, gdzie jego granicę wytyczał mur miasta. Przykucnął w cieniu grobu z kamienia, czekając na pierwsze doznania towarzyszące przemianie. Mościł sobie miejsce, gdy w pobliżu rozległ się słaby głos:

- Angelo? Angelo? Gdzie jesteś? Boję się.

Wyrzwał zza pomnika i spostrzegł brata z latarnią w jednej i dużym tobołkiem w drugiej ręce. Chłopak stał nieruchomo na drżących nogach, które odmówiły mu posłuszeństwa.

- Podejź tu, Silvestre - rzekł Angelo głosem, który nawet jemu samemu wydał się chrapliwy i gardłowy. Nigdy wcześniej zmiany nie objęły jego strun głosowych. Skrzywił się, wyraźnie zdenerwowany.

Gdy chłopak podszedł, wypełził z kryjóWKI. Silvestre uniósł latarnię i wydał stłumiony okrzyk, wpatrując się w niego wytrzeszczonymi oczami. To, co ujrzał, bez wątpienia go zaszokowało, chociaż wydawał się spokojniejszy, gdy odnalazł brata. Postawił ciężki tobołek na ziemi.

- Angelo? To prawda, co o tobie powiadają?

Wilk ujął w łapy pustą dłoń chłopca i polizał ją jak pies. Był smutny, że Silvestre ogląda go w tej postaci. Choć nie mógł tego wечно ukrywać przed bratem, miał nadzieję wyjaśnić mu to w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Silvestre postawił latarnię za pnieniem drzewa. Jego głos przerodził się w szept, gdy zaczął głaskać pokryty sierścią grzbiet brata.

- Przyszedłem, aby cię ostrzec, Angelo. Dziś po południu *maestro* Maccabeo zabrał mnie na posiedzenie Wielkiej Rady. Bratanek biskupa powiedział, że jesteś potworem, którego należy zabić lub wygnać z miasta. Przyjdą po ciebie tej nocy.

Sięgnął po tobołek.

- Musisz uciekać! Przyniosłem ci tyle jedzenia, ile zdołałem udźwignąć.

Chłopiec przykucnął i objął wilka, pociągając nosem.

- *Maestro* Maccabeo powiedział mi, jak będziesz wyglądał, i nakazał, abym się ciebie nie bał.

Angelo trącił Silvestrego nosem. Spojrzał na tobołek, nie wiedząc, co z nim zrobić. Mógł wciągnąć go za grób, gdzie jednak sam się ukryje?

Tym razem jego przemiana była całkowita, tak jak przepowiedział mnich. Próbował zdjąć czarną szatę, którą nosił od śmierci Lety. Silvestre pomógł mu uwolnić łeb i przednie łapy.

Wilk uniósł pysk, wyczuwając obcy zapach. Ku nim zbliżała się krępa postać z pochodnią i pałką.

- Tutaj! - wrzasnął. - Znalazłem go!

- Nie rób mu krzywdy! - krzyknął Silvestre, rzucając się na mężczyznę. Odbił się jednak od jego piersi, uderzył w kamienną płytę i jęknął z bólu.

Chociaż Angelo mógł rozszarpać odsłoniętą szyję strażnika, złapał go zębami za rękę, rozrywając ubranie i skórę na żebrach. Strażnik upadł na plecy, wrzeszcząc z przerażenia i porzucając broń, aby osłonić się przed atakiem zwierzęcia. W oddali zabłyśły światła kolejnych pochodni, rozległy się inne głosy przeplatane ujadaniem psów. Naciągali ze wszystkich stron.

Angelo chwycił zębami tunikę brata i przyciągnął go do drzewa, obok którego postawił latanie. Wilk zaskomlał, trącając Silvestrego nosem i dając znak, aby się podniósł. Chłopak stanął na chwiejnych nogach i podsadzany od tyłu przez brata, zaczął wspinać się na drzewo.

Kiedy zapewnił Angela, że jest bezpieczny i nie zaatakują go psy, ten pobiegł do miejsca, w którym mur był najniższy. Jednym potężnym susem znalazł się na szczycie i przeskoczył na drugą stronę.

Wyciągał łapy, próbując dobiec do rosnących w oddali drzew. Kiedy stanął na czterech łapach, poczuł, że jego ruchy krępuje koszula. Usłyszał za sobą dźwięk miotanych na oślepek pik i kamieni, był jednak poza ich zasięgiem, a kilka susów dalej także poza zasięgiem bełtów kuszy. Aby puścić za nim psy, ścigający musieliby wrócić do najbliższej bramy, a wtedy on będzie daleko. Był pewny, że nie zaryzykują nocą wpuszczenia psów do lasu.

Musiał zrzucić resztę ludzkiego przyodziewku. Zwolnił do truchtu, przystając co kilka kroków i szarpiąc brzeg koszuli. Wiedział, że ma czas. Porządni obywatele Todi będą radzi, że wygnano go z miasta. Przystanął nawet, aby zawyć w sprzeczcie, odwracając łeb w stronę murów.

Pomyślał, że zedrze resztki ubrania, zaczepiając je o zarośla i niskie gałęzie w lesie. Pantalony mocno opinały pachwinę, więc odwrócił łeb, aby sprawdzić, co się dzieje.

Santa Maria Madonna! Ogon! Wielki, szary, gęsty chwost! Byłby pożałował siebie jeszcze bardziej, lecz jego wygląd okazał się tak niezwykły, że uśmiechnął się szeroko. Postanowił uwolnić ogon, by po raz pierwszy nim zamachać, jeśli w ogóle można machać czymś tak ciężkim.

Zwolnił ponownie, zbliżywszy się do ciemnej ściany drzew. Nagle stanął, wstrząśnięty nieoczekiwanym odkryciem. Jako wilk wkraczał w swoje naturalne środowisko, nie miał jednak umiejętności ani doświadczenia pozwalającego przeżyć w takich warunkach.

Jednakże czy miał wybór? *O bere o affogare* - wóz albo przewóz, pomyślał. Taką dostał pokutę, odkupienie grzechów, na które się zgodził. Niespokojny, na sztywnych łapach, zawahał się ponownie, docierając do pierwszych drzew i znikając w ciemnych zaroślach.

Z lasu wyłonił się cień i ruszył w jego stronę.

Rozdział dwudziesty trzeci

Nella otworzyła okiennice w oknie wychodzącym na ulicę. Czekwała, wpatrując się w mrok. Przed chwilą Enzo opowiedział jej o Silvestrem i pobiegł szukać chłopca na cmentarzu.

Wachlowała się nerwowo, próbując osuszyć pot perlący się na skroniach i spływający po policzkach. W końcu ujrzała, jak nadchodzi. Enzo prowadził drżącego Silvestrego za rękę.

Enzo pożegnał się, gdy tylko Silvestre dotarł bezpiecznie do domu. Mimo pandemium, jakie rozpętało się tej nocy, rano musiał wstać do pracy. Jego nowy mistrz, *signore* Jacopo, oczekiwał, że przyjdzie wcześniej i otworzy kantor.

Nella zapaliła świeczkę i zaprowadziła Silvestrego do kamiennej ławy na wewnętrznym dziedzińcu. Zrobiło się chłodniej. Nie była pewna, czy chłopak nadal drży ze strachu spowodowanego tym, co przeżył na cmentarzu, czy z powodu chłodnego nocnego wiatru. Chłopiec nie był senny mimo monotonnego szemrania źródelka pośrodku czworokątnego dziedzińca.

- Powiedz mi, co się stało - poprosiła, gdy się uspokoił. Silvestre potarł dłońmi oczy i policzki. Poklepała go po plecach, zachęcając, by mówił.

- *Maestro* Maccabeo powiedział mi, że światło księżyca zmieni Angela, jednak nie mogłem uwierzyć w to, co ujrzałem. Na moich oczach zamienił się w *lupo*, Nello. Skomlał. Próbowałem go pogłaskać i powiedzieć, że wszystko w porządku. Później nadeszły straże z psami. Chcieli go zabić!

Opowiedział, jak próbował powstrzymać jednego z tych ludzi i jak Angelo stanął w jego obronie. Kobieta uniosła głowę.

- Czy twój brat go zabił?

- Nie, powalił na ziemię i ugryzł. Tamten wrzeszczał nawet wtedy, gdy Angelo go puścił.

- Dzięki Bogu, że nie stało się nic gorszego. Gdyby strażnik umarł, polowałyby na niego całe wsie. Zdołał umknąć?

Silvestre opisał, jak brat pomógł mu wspiąć się na drzewo, a następnie przesadził mur i uciekł.

- Nie uwierzyłabyś, jak wysoko skoczył, Nello. W tym miejscu mur jest tak wysoki jak przed naszym domem. Nie zdołał, niestety, zabrać jadła, które mu przyniosłem. Psy zaczęły ujadać pod drzewem, kiedy jednak strażnicy spostrzegli, że to ja, odciągnęli zwierzęta. Ścigali tylko Angela.

Silvestre pokazał odległość ręką.

- Z drzewa widziałem pola za murami. Angelo przebiegł je jak prawdziwy wilk, zmierzając w stronę lasu. Przednie łapy zaplątały mu się w koszulę i to go spowalniało.

Chłopiec przymknął oczy, próbując przywołać wszystkie szczegóły.

- Po chwili z lasu wyszedł inny wilk. Obwąchały się, lecz nie walczyły z sobą. Tamten zaczął szarpać jego odzienie, dopóki Angelo się od niego nie uwolnił. Później oba pobiegly do lasu.

- Czy był to stary wilk? O białej sierści?

- Być może. Srebrzył się w świetle księżyca jak zjawa.

Nella się uśmiechnęła.

- *Bene*. Dziadek się nim zaopiekuje. Nie martw się, że nie zabrał z sobą jedzenia.

Silvestre wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi oczami.

- Czy tamten wilk to nasz *nonno*!

Objęła go ramieniem.

- Pora do łóżka, Silvestre. Spróbuj zasnąć, jeśli zdołasz. Później do tego wrócimy. To trochę bardziej skomplikowane, niż ci się zdaje.

- Czy jeden ze służących pojedzie ze mną jutro na cmentarz i do lasu? Chciałbym zabrać rzeczy Angela.

- Zrobi to, jeśli mu każesz. - Wzięła go za ramiona i z błyszczącymi oczami dodała: - Od tej pory jesteś panem tego domu, Silvestre. Będę się modliła, aby dobry Bóg uczynił cię lepszym panem od twojego starszego brata. O tym również musimy porozmawiać... kiedy odpoczniesz.

Wilki spędziły pierwszą noc w legowisku na północny wschód od Todi. Angelo przestał dyszeć, tak jak wtedy, gdy sadził przed siebie długimi susami. Powietrze w norze było ciężkie, nieruchome i duszne. Zdawało się, że dziadek nie zwracał na to uwagi. W końcu Angelo przyzwyczał się do smrodu. Zapadając w sen, zauważył, że zaczyna chrapać, podkulając ogon i układając go między łapami. Instynktownie czuł, że poza ta oznacza poddanie. Nie miał problemu z uznaniem dominacji Lorenza. Jako młodszy wilk mógł być silniejszy od niego, lecz pod względem doświadczenia nie zdołałby dorównać nawet szczeniakowi.

Sny, które nawiedziły go tej nocy, były chaotyczne, pełne drzew, śladów i cieni oraz znajomych twarzy, przebywał też w stanie półprzytomności dłużej niż wtedy, gdy był człowiekiem. Warknął na wspomnienie mrocznej postaci strażnika, który zepchnął na bok

Silvestrego. Omal się nie obudził, wspominając ucieczkę i dostrzegając, że drapie pazurami ziemię nory. Później zapadł w głębszy sen pozbawiony marzeń.

Obudził się, gdy dziadek trącił go nosem. Stary wilk lizał rany na jego grzbiecie, by mieć pewność, że się zagoją. Później wypelzł na zewnątrz.

Przez wejście wpadł do środka słup światła. Kiedy Angelo wyszedł z jamy, okazało się, że słońce świeci po niewłaściwej stronie nieba. Widząc, jak niknie za najwyższym wzniesieniem, zrozumiał, że to nie ranek, lecz późny letni zmierzch. *Nonno* Lorenzo pozwolił mu przespać cały dzień. Pomyślał, że pierwsza rzecz, do której będzie się musiał przystosować, to nocny tryb życia oraz dłuższy sen od tego, który uznałby za rozsądny lub przynoszący pożytek wtedy, gdy zajmował się handlem.

W nocy aż nadto zrekompensowali brak aktywności za dnia. Pokonali odległość niemal pięćdziesięciu kilometrów, podążając wyraźnym, wąskim szlakiem prowadzącym w stronę Coldimezzo i Wieży Wilka. Księżyc znalazł się po zachodniej stronie, kiedy Angelo wpadł od tyłu na dziadka, powalając starego wilka na brzuch.

Zastygł w przysiadzie, patrząc, jak *nonno* pełźnie do przodu. Instykt podpowiadał mu, aby obserwować i się uczyć. Dopiero gdy dziadek skoczył, Angelo pobiegł za nim i pomógł mu powalić roczną łanię, która skubała gałązki w pobliżu szlaku.

Kiedy zaspokoili głód, poszli z wiatrem i położyli się pośród drzew, w niewielkiej odległości od padliny. Angelo widział sarnę w pierwszych szarych promieniach świtu. Wpatrywał się w nią, dopóki jego powieki nie stały się tak ciężkie, jak żołądek. Usnął.

Po jakimś czasie dziadek go zbudził. Angelo otworzył oczy i w pierwszym odruchu chciał warknąć ostrzegawczo, widząc intruza odrywającego strzępy mięsa od padliny. *Nonno* upomniał go cicho i obaj zaczęli w milczeniu obserwować lisa. Kiedy ten się nasycił i wrócił do nory, by odpocząć po uczcie, zjawiły się inne zwierzęta, aby zaspokoić głód resztkami - sępy, kruki i, niemal w ostatniej chwili, młody niedźwiedź.

Obserwując to, co się dzieje, Angelo zaczął powoli rozumieć.

Przebywając w Wieży Wilka, widział niewiele niedźwiedzi i lisów, nawet w pobliżu kurnika. Może dziadek zawsze zostawiał resztki drapieżnikom, aby nie musiały się żywić zwierzętami należącymi do człowieka. Przypomniał sobie również, co ludzie powiadali: wilki trzymają inne watahy z dala od swojego terytorium. Lorenzo był jedynym wilkiem, którego widywano w tym rejonie. Angelo nigdy nie słyszał, by w otaczających ciemnościach rozlegało się wycie więcej niż jednego wilka. Znowu *nonno!*

W ciągu kolejnej nocy dotarli do ich dawnego zamku, którego kontury rysowały się wyraźnie w świetle księżyca. Zatem do tego doszło! Wieża znów stała się miejscem jego

wygnania!

Okrażali zamczysko i wioskę, dopóki dziadek nie upewnił się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Następnie, ku zaskoczeniu Angela, ruszyli na zachód, w stronę Coldimezzo. Biegli, dopóki sowy nie ucichły, ustępując miejsca ptakom poranka. Nie polowali tej nocy, zadowolając się kilkoma owadami złapanymi u wejścia do groty, w której ułożyli się na spoczynek. Przespali w niej cały dzień.

Nella pozwoliła Silvestremu opłakać brata. Wrócił z cmentarza i z lasu, niosąc żałobną szatę i podartą koszulę Angela. Zaniósł to wszystko do jego komnaty. Powiedział Nelly, że znalazł wśród drzew pokryte zakrzepłą krwią bandaże, którymi opatrzone rany na plecach brata. Włożył to wszystko do dębowej skrzyni stojącej w nogach łóżka.

Nella nie przestawała myśleć o położeniu Silvestrego. Utracił dwoje najbliższych ludzi, najpierw matkę, a później brata. Z tego, co wiedziała, stracił także ojca, zanim się urodził. Zastanawiała się, czy nie powinna wyjaśnić ostatniej sprawy - powiedzieć mu, że więzy krwi, choć nie więzy serca, łączą go z pewnym człowiekiem mieszkającym w mieście.

Zatroskana przechadzała się tam i z powrotem po dziedzińcu, nerwowo wyłamując palce. Żałowała, że nikt nie może jej doradzić. Myślała o pójściu do *maestra* Maccabea, ten był jednak zajęty sprzedażą kantoru i przygotowaniem do rozpoczęcia życia zakonnego. Chociaż Enzo opiekował się chłopcem, sam był jeszcze dzieckiem, nie zaś osobą dorosłą, u której można by szukać pomocy.

Postanowiła, że najlepiej będzie wyznać prawdę. Kilka dni później, po wieczornym posiłku, wzięła Silvestrego za rękę i zaprowadziła na dziedziniec obok kępy kapryfolium. Wciągnęła woń upojną niczym zapach wina z przyprawami i odchrząknęła. Nie będzie dłużej ukrywała prawdy.

- Niedawno pytałeś o swego dziadka - zaczęła. - O *nonno* Angela, Lorenza, czyli drugiego wilka, którego widziałeś. - Splotła palce, ciągnąc: - Lorenzo nie jest twoim *nonno*. Prawdę mówiąc, nie wiem, kim są twoi dziadkowie ze strony ojca. Jeśli żyją, mieszkają pewnie w Viterbo. Tam przynajmniej mieszkał twój ociec, zanim przyjechał do Todi.

- Viterbo? Sądziłem, że wychował się w Wieży Wilka.

- Ty i *signore* Angelo jesteście braćmi, ponieważ macie tę samą matkę. Nie macie jednak tego samego ojca. Ojciec Angela umarł, zanim Bóg umieścił cię w łonie twojej matki.

- Jak dzieciątko Jezus?

Kobieta zachichotała.

- Nie, twój *papà* nie jest Duchem Świętym. Przyjęło się mówić, że wszystkie dzieci

pochodzą od Boga.

Jej twarz spoważniała.

- Silvestre, czy pamiętasz, jak uczyłeś się czytać i pisać? Pamiętasz zakonnika, który się tobą opiekował?

- Trochę. Był bardzo wysoki!

- Widziałeś też, jak odprawia mszę w San Fortunato.

- Nie pamiętam go zbyt dobrze. Wyjechał dawno temu.

- Sądzę, że nadal jest w Todi, mieszka w opactwie. Od kilku lat nie odprawia jednak publicznie mszy. - Na szczęście przestał też spowiadać, pomyślała.

Chłopiec przesunął palcami po gęstej czuprynie, próbując przywołać niewyraźny obraz.

- Jak się nazywał, Nello?

- *Padre* Sanguigno, nigdy tego nie zapomnę. Słyszałeś, co mówią o nim na mieście?

Silvestre spłonął rumieńcem.

- Słyszałem, jak pewien mężczyzna go przeklinał. Czy to nie grzech przeklinać księdza?

- Może miał powód - mruknęła Nella.

Żałowała, że chłopak nie jest dostatecznie duży, aby bez pomocy słów zrozumieć, o co jej chodzi, on jednak patrzył na nią ciemnymi, niewinnymi oczami. Nie miała wyboru, musiała wyrazić to słowami.

- *Padre* Sanguigno to twój *papà*. Jest twoim biologicznym ojcem.

Sądząc po lawinie pytań, które zadał, Silvestre nie wiedział, co począć z tą wiadomością.

- Czy to dobrze mieć księdza za ojca? Czy syn księdza jest szczególnie cenny w oczach Boga? Czy będę musiał zostać księdzem, gdy dorosnę? Nie wiem, czy tego chcę. Czy *padre* Sanguigno wie, że mamusia umarła? Nie widziałem go na pogrzebie. Czy mogę porozmawiać z tatą, chociaż mieszka w opactwie? Chcę mu powiedzieć o mamusi i Angelu.

Nella poczuła, że kręci jej się w głowie. Przecież podniosła zasłonę i wpuściła do pokoju promień światła. Wzbił się kurz, który osiadał przez wiele lat, i spostrzegła, że otoczył ją tuman oświetlonych słońcem drobin - pytań, na które musiała po kolei odpowiedzieć.

Może nadszedł czas, aby przedstawić Silvestrego księdzu?

Chłopak dorastał, a po odejściu brata na jego barkach spoczęły obowiązki dorosłego mężczyzny.

Westchnęła, kiedy o tym pomyślała. Angelo miał *donnę* Lucię, która wprowadziła go w obowiązki po śmierci *signore* Iacobella. Nagle poczuła się bardziej zmęczona i starsza niż

kobieta czterdziestopięcioletnia. Będzie musiała zebrać wszystkie siły i wykorzystać czas, który jej pozostał, aby nauczyć Silvestrego nowej roli. Chłopiec będzie potrzebował jej uwagi we wszystkich sprawach małych i dużych. Nowy sługa hrabiego Angela z pewnością jej pomoże, trzeba jednak mieć na wszystko oko, aby nie wykorzystał ufnej natury młodego panicza.

Powinien też pojechać do Wieży Wilka i poznać jej dzieje. Czuła się zbyt słaba na tę podróż, a *maestro* Maccabeo mógł w każdej chwili zniknąć za murami klasztoru. Pomyślała, że mógłby go tam zawieźć Enzo, który był bardziej związany z Wieżą niż Silvestre. Niedawno Maccabeo opowiedział jej o narodzinach Enza, uważając, że ktoś powinien powiedzieć Silvestremu jakie więzi rodzinne ich łączą, kiedy będzie wystarczająco dorosły, by to pojąć. Chłopiec i czeladnik tego samego dnia stracili przyrodniego brata.

Snuła plany, masując plecy chłopca. Pora podjąć jakąś decyzję! Zawsze trzymała się na uboczu, córka służącego, która przez całe życie była sługą, niedostrzeganą i nijaką niczym wyblakłe gobeliny kurzące się na ścianach. Dawniej wychodziła z domu jedynie po to, aby pójść na mszę lub pomóc pani i innym sługom na *mercato*. Zawsze chodziła ze spuszczoneym wzrokiem. Teraz musi zdobyć się na odwagę. Trzeba będzie poprosić o pomoc ważnych ludzi w mieście.

Zdecydowała, że następnego ranka uda się na mszę do San Fortunato, a następnie poprosi o rozmowę z przeorem. Wyjaśni, że Silvestre stracił matkę i brata, dlatego powinien porozmawiać z ojcem. Chociaż trudno jej było prosić, wiedziała, że spotkanie z *padre* Sanguignem może dać chłopcu pocieszenie. Oczywiście przeor, wiedząc, co ksiądz ma na sumieniu, uzna jej opowieść za wiarygodną.

Jeśli przetrwa tę próbę, uda się do kantoru *signore* Jacopa. Może notariusz zwolni czeladnika na tydzień lub dwa, aby mogli pojechać do Wieży. Uznała, że będzie to trudniejsze od wizyty u przeora, Jacopo bowiem potrzebował pomocy młodzieńca. Interesy i bogactwo, do którego prowadziły, stanowiły główny cel wielkich kupców Todi. Prośnienie ważnej osoby o zwolnienie cennego pracownika nawet na krótko było niewłaściwe.

Wiedziała, że zniesie to dla dobra chłopca. Jutro. Tego wieczoru w powietrzu unosiło się zbyt wiele drobinek kurzu, czekających, by ktoś się nimi zajął.

- Nie, nie musisz zostać księdzem - zaczęła. - Będziesz miał dość roboty jako nowy pan tego domu i Wieży Wilka.

Biały wilk patrolował stały szlak, obchodząc teren o powierzchni dwustu kilometrów kwadratowych, rozciągający się między Wieżą, Coldimezzo i Todi - miasta, z którego

niedawno wygnano Angela. Chociaż szczególną wagę przywiązywali do granic dawnych włości, obserwowali również drogi, szlaki i ścieżki łączące ich rejon ze światem zewnętrznym. Nigdy nie sypiali z dala od ścieżek, którymi chadzali ludzie, a kiedy dziadek słyszał ludzkie głosy, stukot końskich kopyt, turkot wozów, szczeł zbroi - zawsze przeprowadzał rekonesans, ukryty wśród zarośli.

W lesie mieszkało więcej ludzi, niż sądził Angelo. Widział pustelników kocujących w pobliżu dworów, banitów, czarownice, szaleńców, kłusowników, a nawet całe rodziny - niektórzy żyli w wioskach, inni w jaskiniach, a jeszcze inni na prymitywnych platformach zbudowanych w gałęziach drzew. Nowy świat był dla niego pełen dziwów. Nie byłby zaskoczony, widząc zjawy przeskakujące zwinnie przez kapelusze muchomorów lub smoka wygrzewającego się na skarpie poniżej zamku.

Dziadek pokazywał mu sidła i wnyki zastawione przez leśnych ludzi na ptaki i dziką zwierzynę. Niektórzy mieli ogródki przy obejściach, a nawet hodowali bydło. Żaden z owych uciekinierów nie odważył się napadać na wędrowców czy swoich pobratymców, niezależnie od tego, w jak rozpaczliwym położeniu się znajdował. Wiedzieli o obecności wilka opiekuna, podobnie jak on wiedział o ich istnieniu.

Nocą Angelo i *nonno* zwykle wyruszali na łowy, najczęściej podchodząc jelenia tuż po zachodzie słońca. Odyńce i warchlaki były niebezpieczne, a dzikie kozy pojawiały się jedynie na najwyższych wzgórzach. Te ostatnie były szybkie i zwinne, miały też nad nimi wyraźną przewagę w górzystym terenie. W trudnych czasach napelniali żołądek myszami, normicami i większymi gryzoniami.

Młody wilk wkrótce odkrył, że jego nowe życie jest bardzo niebezpieczne. W lesie nie było medyka, który usunąłby cierni z łapy, oczyścił ranę zadaną ostrym kopytem lub rogiem jelenia. Głód był ich stałym towarzyszem, a pod koniec lata w korytach potoków często brakowało wody. Kiedy przeganiali inne drapieżniki ze swojego terytorium - gromady dzikich psów - zwykle dochodziło do krótkiej zażartej walki, w której rany odnosiły obydwie strony. W jednej z takich potyczek Angelo stracił większą część ucha. Przeciwności te kompensowała jednak radość płynąca z rosnącej siły, gibkiego ciała i prężnych mięśni.

Po kilku miesiącach zaczął samotnie wyruszać na zwiady. Spotykał się z dziadkiem z nastaniem ranka i wyciem dawali znak, gdzie się znajdują. Oznacжали również szlaki, aby mogli odnaleźć się węchem, gdyby zaszła taka potrzeba. Po pomyślnych łowach Angelo zawsze przynosił kawał mięsa swemu nauczycielowi.

Komunikowanie się bez użycia słów okazało się trudniejsze od gardłowej mowy Germanów lub potoczystego języka Saracenów. Angelo i Lorenzo porozumiewali się z sobą

za pomocą różnych dźwięków - skomlenia i skowytu, szczeku i wycia, warczenia, sapania i pochrząkiwania - najczęściej jednak używali języka ciała. Stanięcie na sztywnych łapach oznaczało jedno, na rozluźnionych co innego. Obnażone kły wyrażały wyzwanie, chyba że zwisał między nimi język. Układ ogona lub uszu, uniesiona lub gładka sierść na karku i grzbiecie, cała gama min i spojrzeń, wszystko to było elementem jego nowego języka.

Szczególnej radości dostarczało mu wycie. Co kilka godzin wspólnie z Lorenzem przerywali nocny obchód, aby sobie ulżyć. Przysiadali na zadnich łapach, kierując łby w stronę gwiazd i wyjąc dla czystej przyjemności. Wyli przed rozpoczęciem i po zakończeniu łowów, wyli na alarm lub po to, aby nawiązać z sobą łączność, jeśli byli rozdzieleni. Kiedy wyczuwali obecność innych wilków na swoim terytorium, wysyłali intruzom ostrzegawcze sygnały. Wycie różniło się od siebie długością, głośnością i kadencją - pobrzmiwając echem upiornych, świętych zaśpiewów, mistycznym rytuałem przekazywanym od wieków z pokolenia na pokolenie, stanowiło tak ważny element ich bytu, jak rytmiczne pulsowanie krwi w mięśniach, wieczne i pierwotne niczym wielkie zielone knieje, które przemierzali.

Młody wilk coraz lepiej widział w ciemności. Nauczył się wsłuchiwać w szum wiatru i obserwować pogodę, łowić najdrobniejsze zmiany odgłosów i zapachów lasu. Musiał polegać na nowym sposobie poznawania i wyczuwania otoczenia, który nie miał nic wspólnego z rozumem. Bardziej przypominało to przeczucie lub intuicję i było skuteczniejsze od błędnych założeń, którymi wcześniej często kierował się w swym postępowaniu. W miarę upływu czasu coraz mniej pamiętał miejski świat, w którym kiedyś żył. Skoncentrował się na łowach i pomaganiu *nonno* w strzeżeniu ich terytorium.

Rozdział dwudziesty czwarty

W infirmerii San Fortunato po raz pierwszy od kilku tygodni większość łóżek była wolna. Ponieważ w mieście nie zbudowano publicznego *ospidale* i była tam tylko garstka medyków, prócz niedomagających braci *padre* Sanguigno musiał opiekować się wielu rannymi i chorymi obywatelami Todi. Ostatnie burdy uliczne sprawiły, że skrzydło opactwa, w którym pracował, często było pełne chorych.

Jedynym pacjentem, którego musiał doglądać tego dnia, był strażnik miejski rzekomo poturbowany przez wilka na cmentarzu - tak przynajmniej twierdzili ci, którzy go przynieśli. Wilka w poszarpanej koszuli. Zadał oczywiste w takich okolicznościach pytanie: ile wina wypił ów człowiek tej nocy?

Kiedy podano mu jednak nazwisko bestii, Angelo Lorenzini, ich opowieść wywarła na mnichu takie wrażenie, że trudno mu było skupić myśli na poszarpanym ramieniu chorego. Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz ujrzał chłopca klęczącego posłusznie u jego stóp i proszącego o rozgrzeszenie za to, że podglądał nagą matkę. Urodzony kłamca! Po latach spowiadania wyczuwał takich nieomylnie.

Jego matka! *Donna Lucia*! Jedna z jego ulubionych, jedna z tych, którymi się nigdy nie znudził. Przychodziła do niego bardzo często, do czasu choroby oddając mu swoje dojrzałe kobiece ciało niemal codziennie. Było znacznie bardziej jędrne i zmysłowe niż ciała jego nastoletnich kochanek, na których pozostały ślady dziecięcego tłuszczu.

Dwanaście lat temu upajał się nimi w tym rajku głupców. W owym czasie stał wyprostowany, grzmiąc na najpotężniejszych obywateli Todi, nawet wtedy, gdy współżył z ich żonami. Arogancko wierzył, że w ten sposób dostarcza energii pogrążonemu w apatii miasteczku.

Rozszyfrowali go po ośmiu latach! Jakże inny był ów lekkomyślny młody idiota od zgarbionego braciszka przechadzającego się wśród chorych w infirmerii.

- *Presto, padre!* Proszę szybko iść z nami! - krzyknęło kilku mężczyzn z kruchty kościoła. - *Signore Giacomo* ma atak serca. Potrzebuje ostatniego namaszczenia!

Wziął święte krzyżmo z zakrystii i pobiegł za nimi do łóża umierającego szlachcica. Kiedy jednak pochylił się nad powalonym chorobą *signore*, ten zrzucił prześcieradła, odsłaniając trzymane w ręku narzędzie. Ksiądz rozpoznał je od razu - podobnego zakrzywionego ostrza używał do kastrowania młodych byczków w gospodarstwie swego ojca.

Kiedy go obezwładnili i zakneblowali, *signore* przystąpił do wytrzebienia. Na szczęście

napastnicy byli na tyle przytomni, by sprowadzić medyka, który zatamował krwawienie i założył szwy. Sanguigno pozostał w domu Giacomina, wracając do zdrowia jako gość, a medyk przychodził doń co dzień z balsamami. Pewnego dnia stary *signore* przyprowadził do jego komnaty brzemienną żonę i uniósł prześcieradło, aby mogła zobaczyć, co się stało. Młoda niewiasta krzyknęła na widok swojego pozbawionego męskości kochanka, a następnie zemdląca i trzeba ją było wynieść z komnaty. Słabnące echo niewieścich krzyków mieszało się z rechotem męża.

Od tego czasu braciszek nie pokazywał się publicznie. Poprosił przełożonego, aby pozwolił mu pomagać zakonnikowi prowadzącemu infirmerię, a po jego śmierci zajął jego miejsce. Był zdumiony, gdy przeor powiadomił go, że ma gościa.

- Kto? - Nie wyszedłby, gdyby gościem okazała się kobieta.

- Chłopak podaje się za twego syna - odparł tamten.

Nabrał podejrzeń. Poniósł już karę za swoją głupotę i nie chciał stać się ponownie obiektem zemsty. Po chwili dowiedział się, że chłopiec ma nie więcej niż dwanaście lat i nie wyrządzi mu krzywdy.

- Służąca powiada, że przechodzi trudny okres - dodał przeor. - Twierdzi, że powinien porozmawiać z ojcem. Wygląda na dobre dziecko.

Padre Sanguigno uniósł brwi, słysząc dalsze wyjaśnienia przeora:

- Jeśliś ciekaw, to jego rodzice pomarli, dlatego przychodzi do ciebie, a nie do nich.

Sanguigno spojrział na śpiącego pacjenta.

- Tak, mogę poświęcić gościowi trochę czasu. Jak się zowie?

- Silvestre Lorenzini. Oczywiście obaj wiemy, że jest Lorenzini jedynie z nazwiska.

Sanguigno znów poczuł ostrze noża! Podniósł dłoń, zasłaniając oczy. Zaczął łączyć w logiczną całość słowa przeora. *Donna Lucia*? Nie żyje? Na jego wargach pojawiła się cicha modlitwa: *Requiescat in pace*. Niech jej dusza spoczywa w pokoju.

Przypomniał sobie inne szczegóły dotyczące chłopca. Silvestre był przyrodnim bratem Angela, który zdaniem strażnika okazał się wilkołakiem - tym samym, który zranił go w ramię i uciekł do lasu. Pojął, dlaczego chłopak chciał się z nim spotkać, i jego serce zabiło żywiej.

Kiedy wszedł do komnaty dla gości, oczarowały go wdzięk i uroda dziecka. Silvestre siedział sam, służebne niewiasty bowiem nie mogły wchodzić na teren opactwa. Chłopak miał postawę młodego szlachcica, ciemne loki, długie rzęsy i delikatne rysy odziedziczone po obojgu rodzicach. Nawet smutek widoczny w oczach Silvestre przypomniał mu udręczone spojrzenie jego matki.

Rozmawiali ponad godzinę, zanim brat Sanguigno przypomniał sobie, że musi zmienić pacjentowi opatrunek. Na pożegnanie pocałował Silvestrego w czoło i uściskał. Na odchodnym dodał szczerze, że jest dumny z takiego syna.

Nie było wątpliwości, że ma dużo dzieci w Viterbo i Todi, teraz jednak po raz pierwszy w życiu poczuł, że rola ojca mogłaby mu się spodobać. Miał nadzieję, że Silvestre jeszcze go odwiedzi.

Młody wilk obudził się, słysząc głosy zbliżających się ludzi. Szli między drzewami w niewielkiej odległości od niego. Podniósł się i stanął za przywódcą, który patrzył w tamtą stronę.

Przywarli brzuchami do ziemi, obserwując przejście małej karawany. Kilku mężczyzn rozmawiało, a jeden z nich był bardzo młody, sądząc po wysokim głosie. Dźwięki te rozdrażniły młodego wilka. Pomyślał, że powinien wiedzieć, o czym mówią, lecz wypowiedane słowa zlewały się w niezrozumiałą paplaninę. Ich woń wydała się znajoma, szczególnie tego dzieciaka... i niewiasty jadącej w ostatnim wozie. Musiała być matką rodu, mężczyźni bowiem co jakiś czas zawracali konie, aby do niej zajrzeć. Ponieważ było zimno, siedziała otulona w skórę zalatującą niedźwiedziem.

Nieznajomi wzbudzili w nim osobliwe uczucia. Jego umysł, po kilku cyklach księżyca, stał się dziwnie jałowy, niezdolny do zajmowania się czymkolwiek prócz doraźnych potrzeb. Spojrzał na białego wilka, który zamarł nieruchomo jak pniak, gdy konie i wozy przejeżdżały obok nich.

Kiedy wędrowcy zatoczyli koło, starszy wilk podniósł się na nogi, spoglądając przez zarośla, ani na chwilę nie spuszczać tamtych z oczu. Wydawał się nimi szczególnie zainteresowany.

Podróżni poruszali się wolno, wilki zaś przez cały dzień dreptały ich śladem z wywieszonymi językami. Dopiero gdy w oddali zamajaczyła Wieża Wilka, ruszyli do przodu, do miejsca, z którego mogli obserwować główną bramę.

Wilki mijały zamek i wioskę co kilka dni podczas patrolowania okolicy. Młodszy próbował sobie przypomnieć, czy owa polana w lesie ma jakieś szczególne znaczenie, czy też przechodzili przez nią jedynie z przyzwyczajenia. Może na początku to, że szli tym szlakiem, miało jakiś sens, może bronili terytorium, które zdołał utrzymać biały wilk.

Podróżni minęli wioskę i wspięli się na wzgórze, do bram zamku. Zawołali do kogoś siedzącego w stróżówce. Młody wilk usłyszał szcęk łańcucha i dźwięk podnoszonej kraty. Jego uwaga skupiła się na wiosce i jednej z nor, która wydawała się opuszczona. Jej widok

zaniepokoił go, choć mimo wysiłku nie potrafił odgadnąć dlaczego.

Marcello wprowadził młodego hrabiego i służącą do wielkiej sali.

- *Signore*, czujemy się zaszczyceni waszą wizytą. Brat twój mówił o tobie wiele dobrego, gdy odwiedził nas kilka miesięcy temu.

Spojrzał na chłopca i niewiastę.

- Czy nie miało być was troje? Gdzie *maestro* Enzo?

Niewiasta przemówiła po raz pierwszy od ich przybycia:

- Niestety, nie mogłem przybyć. Kiedy wysyłaliśmy umyślnego z wiadomością, sądziliśmy, że będzie to możliwe. - Po chwili dodała: - *Signore* Angelo także nie mógł przyjechać. Silvestre wyjaśni dlaczego, gdy dołączy do nas wasz ojciec.

Jeśli chodzi o nieobecność Enza, Nella zmieniła decyzję w sprawie wizyty u notariusza. Choć nie miała pojęcia o zawiłościach prawnych, instynktownie czuła, że obecność Silvestrego i Enza może postawić rządcę w niezręcznej sytuacji. Gdyby obaj znaleźli się w tej samej sali i opowiedzieli swoją historię, mogłoby nie wiedzieć, któremu z braci służyć.

Silvestre nosił nazwisko Lorenzini, lecz poddani w Todi z pewnością wiedzieli, że przyszedł na świat rok po śmierci Iacobella. Z kolei nieznanemu Marcellowi i jego ojcu Enzo miał prawo twierdzić, że w jego żyłach płynie krew Lorenzinich. Podobnie jak każdy dorosły mieszkaniec Todi wiedział, kto jest prawdziwym ojcem Silvestrego. Poza tym był ich obłąkany przyrodni brat, który mógł w każdej chwili wrócić, żądając przysługujących mu praw z racji tego, że jest pierworodny. Uznała, że na początek trzeba uprościć sytuację.

Oczywiście, Nella miała swojego faworyta i jedynie troska o Silvestrego skłoniła ją do odbycia tej wyczerpującej podróży. Po całym dniu kołysania się na wozie bolały ją kości i miała posiniaczone plecy, lecz rola matki chrzestnej i anioła stróża chłopca dodawały jej sił. Uśmiechnęła się na myśl o Iacobellu Lorenzinim, który przewróciłby się w grobie na wieść, że bękart *donny* Lucii przejął rodowe nazwisko i majątek.

Drzwi sali otworzyły się i do zebranych podszedł rumiany siwowłosej staruszek. Urso skłonił się gościom i zajął miejsce przy stole.

- Miło mi was widzieć, hrabio Silvestre. Czy syn oprowadził was po posiadłości?

- Uczynię to jutro, *papà*. Cierpliwości - odparł Marcello. - Pozwólmym im chwilę odsapnąć.

Staruszek uśmiechnął się, wyraźnie dumny z syna, a następnie zwrócił wzrok na Silvestrego.

- Jesteś wyższy od brata, gdy ten był w twoim wieku - zauważył. - Założę się, że

bardziej krzepki od niego.

Silvestre splonął rumieńcem, lecz nie odpowiedział.

- Słyszałem, że chcesz mnie o coś zapytać - ciągnął Urso.

- *Si*, powiedziano mi, że znałeś... hrabiego Lorenza... - Chłopiec chciał rzec „mojego dziadka”, lecz ugryzł się w język. Nie przyzwyczyił się jeszcze do tego, że ma nieco inną rodzinę. - Opowiedz mi o nim, *per favore*.

Urso rozejrzał się po sali. Ponieważ nadchodziły chłodne noce, otwory strzelnicze zasłonięto nawoskowanym płótnem. Światło kominka i pochodni rzucało mroczny cień na jego twarz. W komnacie panowała atmosfera doskonale pasująca do ponurej opowieści.

- *Il Lupo!* Tak go nazywaliśmy. Był przerażającą bestią, *signore*, przerażał wyglądem i czynami. Chowaliśmy się po kątach na wieść, że nadchodzi. - Wytrzeszczył oczy i wyszeptał: - Też byś się przestraszył, gdybyś go zobaczył.

Silvestre się roześmiał. Od razu polubił tego staruszka.

- Skąd to imię? Czy naprawdę był wilkiem, czy tylko zachowywał się jak wilk?

Nella pobladła, słysząc tak bezpośrednie pytanie, lecz Urso wcale nie był speszony.

- Dobre pytanie - rzekł. - Było tak i tak. Wielu uważało go za *lupo mannaro*. Nie wiem tego na pewno, lecz którejś nocy hrabia zniknął w kniei. Od tego czasu nikt go nie widział. Byłem w twoim wieku, kiedy to się stało. Ludzie powiadali, że rzuciła na niego klątwę czarownica ukryta pod postacią wilka lub inny leśny demon. Zawsze intrygowało mnie, po co miałby łązić nocą do lasu. Z jego zniknięciem łączy się coś więcej.

Przysunął krzesło do Silvestrego i jeszcze bardziej ściszył głos.

- Niezależnie od tego, co się stało, od tamtej pory wokół posiadłości krąży samotny wilk. Kiedyś był pewnie szary, lecz teraz jest biały jak czapla. Cały czas ma wszystko na oku. Zwykle chodzi między drzewami, jednak zdarza się, że schodzi poniżej linii lasu. Wyje przeciągle, tak smutno, że serce pęka, a po chwili znika w kniei. Usłyszysz go, jeśli zostaniesz tu wystarczająco długo. Muszę jednak powiedzieć, że przez te wszystkie lata nigdy nie porwał dziecka ani żadnego z naszych zwierząt.

- Zabił tamtego człowieka - wtrącił Marcello.

- To inna historia, *signore*. Koło wioski kręcił się nieznajomy. - Urso znów pochylił się w stronę Silvestrego. - Rano znaleziono jego rozszarpane zwłoki obok szopy, do której próbował się włamać. Byliśmy pewni, że to sprawka wilka. Niektórzy chcieli go schwytać, lecz zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Nam nigdy nie wyrządził krzywdy. Większość mieszkańców wioski uważa go za stworzenie nadprzyrodzone.

Skinął głową, by podkreślić swoje słowa, i odchylił się do tyłu.

- Widzisz, chłopcze, wilk żyje dwanaście, najwyżej trzynaście lat. Zbliżam się do sześćdziesiątki, a ten biały duch nadal tu zagląda. Pięćdziesiąt lat po zniknięciu hrabiego Lorenza. Czasami myślę, że ten wilk będzie żył wiecznie.

- Opowiedz mu o nowym wilku, *papà* - przypomniał mu Marcello i odwrócił się do Silvestrego. - Teraz już nie jest samotny.

- Masz rację - przytaknął Urso. - To, co zaraz usłyszysz, *signore*, jest jeszcze bardziej intrygujące. Kilka miesięcy temu zauważyliśmy, że staremu wilkowi towarzyszy młody, nie samica, lecz samiec. Wyśpiewują nam pieśni, wyjąc na przemian. Nikt nie wie, co się stało, choć po okolicy zaczęły krążyć różne plotki i domysły.

Silvestre spojrział na służącą. Skinęła ręką. Najwyższy czas, aby im powiedział.

- Właśnie dlatego tu przybyliśmy - zaczął. - Aby porozmawiać z wami o wilkach...

Urso chciał pewnie zrobić na chłopcu wrażenie, może nawet trochę go przestraszyć opowieścią o białym wilku, lecz Silvestre opowiedział rzeczy tak straszne, że włosy na głowie staruszka stanęły dęba.

Oczywiście kmiecie i zamkowa służba od lat szeptali i plotkowali o hrabim Angelu, podobnie jak o jego dziadku. Mimo to opowieść Silvestrego, który był naocznym świadkiem przemiany brata i który na własne oczy widział spotkanie dwóch wilków i ich zniknięcie w lesie, była bardziej przerażająca niż plotki krążące po wsi.

Sługa patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami.

- Zatem prawdą jest to, co powiadają o dwóch wilkach? Wierzyłem w pogłoski o *Il Lupo*, lecz hrabia Iacobello nie zdradzał żadnych oznak, że jest wilkołakiem, gdy tu mieszkał. A więc do Lorenza dołączył twój brat... zastanawialiśmy się...

- Teraz wiecie - rzekł Silvestre. - Chciałem wyjaśnić, dlaczego nie ma tu mego brata i być może długo się nie pojawi. Najważniejsze jest to, by nikt nie zrobił im krzywdy.

Popatrzył na nich błagalnie, a na jego twarzy malował się tak przejmujący smutek, że Nella musiała go klepnąć w kolano. Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie. Zaczęli rozumieć, dlaczego ta niewiasta uczestniczy w spotkaniu i spędza z chłopcem tyle czasu. Nie wolno jej traktować jak zwykłej służki. Spokój Nelli przypominał Ursowi jego zmarłą żonę.

Silvestre zobowiązał obu mężczyzn do zachowania milczenia.

- Nie mówcie nikomu, dlaczego mają zostawić wilki w spokoju - nalegał. - To musi pozostać między nami.

Nella pokręciła głową, nie mogąc się nadziwić jego młodzieńczej naiwności. Jak mógł oczekiwać, że mężczyźni zachowają dla siebie tak ciekawą historię? Marcello z pewnością

powtórzy ją żonie, lecz nie skłoni jej do zachowania milczenia. Ta powie jedynie siostrze i w mgnieniu oka wieść rozejdzie się po okolicy szybciej niż zaraza. Jednakże Silvestre wyraźnie powiedział, o co mu chodzi. Zwierzęta powinny swobodnie krążyć po okolicy.

Marcello spojrział z szacunkiem na chłopca, który mimo młodego wieku tak dobrze się spisał i w przeciwieństwie do starszego brata nawet wyglądał po pańsku. Kiedy Silvestre zakończył opowieść, rządcą stwierdził rzeczowo:

- Zatem teraz ty jesteś panem na zamku.

Chłopak się skulił.

- Na to wygląda. Mam nadzieję, że brat wkrótce odzyska dawną postać. Tymczasem muszę się wiele nauczyć.

- Masz przed sobą dwóch najlepszych nauczycieli, jacy są w okolicy, *signore*. Zaczniemy jutro wczesnym rankiem, gdy będziesz gotów.

Rządcą spojrział na ojca.

- Podejmiesz się tej roli, *papà*?

- Nie będę mógł się doczekać wschodu słońca! - odrzekł Urso. - Byłem już trochę znużony beczynnym przesiadywaniem po całych dniach. - Zrobił zabawną minę, która sprawiła, że chłopiec roześmiał się śmiechem szczęśliwego dziecka.

- W takim razie *di domattina* - uśmiechnął się Marcello.

Nella złożyła dłonie na kolanach. Silvestre to czarodziej, pomyślała. Potrafi uszczęśliwiać ludzi. Wszyscy go kochają. Czuję, że będzie to udana wizyta.

Jakby na potwierdzenie ciszę panującą na zamku przerwało niesamowite zawodzenie dwóch wilków. Staruszek wskazał kciukiem otwór strzelniczy.

- Wygląda na to, że członkowie twego rodu wybierają się na łowy, *signore*. Dałbym wiele, aby z nimi pobiec... choć raz w życiu.

Rozdział dwudziesty piąty

Trzeciego ranka w Wieży Wilka Silvestre zaszedł do skrytorium, aby obejrzyć księgi i manuskrypty. Chociaż by mógł przeczytać większość z nich, nie wystarczała jego pobieżna znajomość łaciny, lubił skórzany zapach i fakturę woluminów. Próbował je czytać, wiedział bowiem, że brat czynił to w trakcie studiów. Były kolejnym ogniwem łączącym go z Anielem, dlatego skrytorium stało się jego ulubioną kryjówką.

Nella często mu towarzyszyła, szyjąc w kącie obok jednego z dwóch piecyków na węgiel drzewny stojących w komnacie. Październik dobiegał końca i nastąpiły pierwsze chłody później jesieni.

Kochała spokój i powolne tempo życia w Wieży, dalekiego od zgiełku i brudu zatłoczonych uliczek Todi. Próbowała odpędzić myśl o podróży wozem w tę chłodną porę, wiedziała jednak, że niebawem muszą wyruszyć, zanim pogoda popsuje się na dobre przed Bożym Narodzeniem. Dotąd padała jedynie zimna mżawka, lecz już wkrótce obfite deszcze i śniegi sprawią, że szlaki staną się nieprzejezdne, skończy się okres przejściowy, zwiastujący początek zimy, jak mawiała jej matka. Wozy zamienią koleiny w błotnistą maź. Jedyną nadzieję dotarcia do miasta będzie dawał wówczas mróz wystarczająco silny, aby zamienić ziemię w żelazo. Stawy bolały ją na myśl o wozie podskakującym na zmrożonym trakcie.

Pewnego dnia, po zakończeniu lektury, Silvestre wstał, by rozprostować kości, po czym podszedł do otworu strzelniczego i odsunął płótno powstrzymujące wiatr. Z komnaty rozciągał się widok na wioskę. Z kominów i otworów w dachach unosił się dym. Dalej ciągnął się las. Ostatnie liście dębów mieniły się żółcią i brązem na ciemnym tle wiecznie zielonych drzew.

- Nello, czy jest jakiś powód, dla którego musielibyśmy wrócić do miasta? - zapytał, nie odwracając się.

Musiał czytać w jej myślach.

- Ojciec *signore* Angela przeniósł się do Todi, aby być w centrum zmian - odparła. - Pragnął tego samego dla twojego brata, jeśli jednak wolisz życie na wsi, nic nas nie powstrzyma przed pozostaniem.

- A dom w Todi?

- Pewnego dnia możesz go sprzedać. Powinieneś jednak poczekać... przekonać się, czy twój brat do nas wróci. Tymczasem możemy dom zamknąć. Do pilnowania wystarczy sługa lub dwóch.

Chłopcu przyszła do głowy inna myśl.

- Mógłby w nim zamieszkać Enzo, kiedy wstąpi do gildii i wyprowadzi się z domu *signore* Jacopa.

- To dobry pomysł. - Takie rozwiązanie będzie najlepsze dla nich obu, pomyślała. *Maestro* Maccabeo powiedział jej, że gdy sprzeda dom, zamierza dać połowę pieniędzy czeladnikowi, a drugą przekazać braciszkom w San Fortunato. - Pewnego dnia możesz podarować mu dom, zamiast go sprzedawać - podsunęła mu myśl. Enzo zasługiwał na swoją część dziedzictwa. Któregoś dnia będzie musiała wyjaśnić to Silvestremu.

- Świetny pomysł! - wykrzyknął Silvestre. - Mamy tu więcej, niż nam potrzeba.

Roześmiała się.

- Niezupelnie. Musimy posłać po zimowe ubrania i kilka rzeczy z domu.

Przerwało im pukanie do drzwi i po chwili do komnaty wszedł Urso.

- *Buon giorno, signore*. Witaj, Nello - powiedział. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

- Poczekaj, Urso! Powiem ci, jaki mamy plan! - przerwał mu Silvestre, a następnie opowiedział, o czym przed chwilą rozmawiali z Nellą. Mówiąc, usiadł przy pulpicie Angela i uniósł księgę, którą czytał, co przypomniało mu o kolejnej sprawie. - A mój nauczyciel i lekcje? - zapytał Nellę.

- Czego chcesz się nauczyć, *signore*? - zapytał Urso.

- Chciałbym wiedzieć, o czym traktują te księgi. - Wskazał ręką bibliotekę Angela. - Umiem przeczytać proste słowa, lecz chciałbym lepiej poznać łacinę.

- Sam znam kilka wyrazów - odparł staruszek. - Umiem odróżnić „świnie” od „owcy” i „krowy”. Znam też cyfry na tyle, aby wiedzieć, ile zwierząt kupuję i sprzedaję. Musisz odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego chcesz się uczyć i do czego wykorzystasz zdobytą wiedzę. Jeśli będziesz usatysfakcjonowany rolą pana na zamku, nie musisz męczyć umysłu tak, jak to czynił hrabia Angelo.

Chłopiec ściągnął wargi.

- Chciałbym być jak najlepszym panem tych ziem - zdecydował po chwili namysłu. - Czy potrzebuję do tego nauczyciela?

Urso się uśmiechnął.

- Jeśli zdołasz takiego znaleźć. Znam człowieka, którego byś polubił. Mieszkał tu przez jakiś czas. To dobry człek... nazywa się Filippo. Nauczy cię, jak czytać księgi i być dobrym panem.

- Brat doktora Bartola! - wykrzyknęła Nella.

- Zaiste. - Urso zwrócił się ponownie do chłopca: - Powinieneś kogoś po niego posłać, *signore*. Jeśli mogę doradzić...

- Trzeba zapisać wszystko, co mamy do zrobienia - powiedział Silvestre, wierząc się z podniecenia. - Zajmę się tym osobiście.

Wziął woskową tabliczkę i rylec leżący na podłodze obok puplitu, lecz zmarszczył brwi, widząc jej twardą, zeschniętą powierzchnię. Wysunął szufladę, by znaleźć inny materiał. W środku leżały arkusz pergaminu i gęsie pióro.

Zmrużył oczy, próbując odczytać słowa, które na nim napisano. Łacińskie słowa. Rozpoznał pismo i wytworny styl brata. Przeczytał większą część, zanim spojrzął na dorosłych. Jego twarz płonęła jak twarz bezdomnego dziecka pokryta szkarłatną wysypką.

Zdumiona Nella wzięła robótkę i opuściła skryptorium. Silvestre nigdy wcześniej nie kazał jej wyjść z komnaty, aby móc porozmawiać z kimś na osobności. Chociaż była tym zaskoczona, zrozumiała, że powinna się do tego przyzwyczaić. Dorasta i musi spędzać więcej czasu w męskim towarzystwie.

Kiedy zostali sami, Silvestre podniósł pergamin. Na jego poczerwieniałej twarzy widać było zakłopotanie i ciekawość.

- Te słowa napisał Angelo. Niedawno temu. Atrament jeszcze nie wyblakł. Myślę, że to... o kobiecie, którą kochał. Nigdy mi o niej nie wspominał.

- Czy wymienił jej imię? - chciał wiedzieć Urso.

- Nie. - Silvestre spojrzął na kartkę. - Píše jedynie, że miała zielone oczy. - Znów spłonął rumieńcem. - I piegi.

- To Maria Vidone - odpowiedział Urso stłumionym głosem. - Często zastanawiałem się, co naprawdę do niej czuł. Rozstali się w gniewie, kiedy się urodziłeś. Oboje bardzo cierpieli z tego powodu. Powiadasz, że to list miłosny? On go napisał?

- To wiersz. Musiał go ułożyć, gdy był tu kilka miesięcy temu.

- Maria powinna go przeczytać. Może miałyby dzięki temu lepsze wspomnienia. Niestety, nie umie czytać. - Urso spojrzął na swojego młodego pana. - Ktoś musi jej w tym pomóc.

- Z pewnością nie ja! - Silvestre odłożył pergamin i zatrzasnął szufladę. - Nie wiem nawet, o czym pisze.

Staruszek się roześmiał.

- To dobrze, zważywszy na twój wiek, panie młodszy niż wiosna. Hrabia Angelo i Maria byli z sobą... bardzo blisko związani. Może gdy będziesz starszy... - Zachichotał,

widząc zakłopotanie i niewinność chłopca. - Owa niewiasta mieszka niecały dzień drogi stąd, w lesie między Wieżą i Coldimezzo, *signore*. Wyszła za mąż, a jej chłopiec... powinien być teraz w twoim wieku... jego również powinienes poznać.

Spojrzał na zdumionego Silvestre i westchnął.

- Widzisz, *signore*, twój brat i Maria mieli syna. To twój bratanek. Może powinniśmy zwać cię *zio* Silvestrem, wujkiem Silvestrem? - zażartował. - W każdym razie już wiesz, że mieszkają w lesie - ciągnął. - Jeśli kiedyś będziesz chciał ich poznać, zawiozę cię. Tymczasem, gdy już się zdomowisz, powinienes poznać swoich sąsiadów z Coldimezzo, nie ma jednak pośpiechu. To tylko sugestia.

Silvestremu spodobała się wzmianka o „zdomowieniu”. Nie wiedział dlaczego, ale czuł się na zamku jak w domu. Czemu Angelo nigdy nie przywiózł go z sobą do Wieży? Może z powodu Marii, o której wspominał Urso? Przebywając w zamku ze staruszkim, czuł się tak, jakby odzyskał dziadka, którego zawsze mu brakowało. Poznał mężczyznę, z którym spędzał czas i który był przeciw wagą dla Nelli.

Silvestre musiał stawić czoło wielu wyzwaniom - nauczyć się zarządzania Wieżą Wilka, zlikwidować dom w mieście, znaleźć nauczyciela za pośrednictwem doktora Bartola z Todi, przemyśleć to, czego dowiedział się o bracie, Marii, ich synu i rodzinie mieszkającej w lesie, oraz wiersz ukryty w szufladzie pulpitu. Zastanawiał się, kiedy będzie mógł go przeczytać powoli, tak by nikt mu nie przeszkadzał.

Po tym, jak papież Bonifacy odrzucił jego prośbę, brat Angelo prawie nie rozmawiał ze strażnikiem, chociaż mnich go zagadywał. Jego myśli były smętne i poszarpane, jak lata spędzone w ciele wilka, ciężkie i szare niczym obłoki wiszące nad kratą lochu. Zapomniany przez Boga i ludzi, modlił się błagalnymi słowami wypowiedzianymi przez Chrystusa na krzyżu: „*Eloi, Eloi, lama sabachthani*”? Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? Teraz rozumiał rozpacz ukrzyżowanego.

Wychudł, bo nie miał apetytu i nie chciał przedłużać swego pobytu w tej piekielnej czeluści. Obawiał się jednak, że jeśli przestanie jeść, do brzemienia swoich grzechów doda samobójstwo.

Czeluść pośrodku celi wabiła go, zapraszała, aby przyłączył się do gromady zapomnianych dusz, które pogrążyły się w niej w ostatnich dziesięcioleciach. Przypomniawszy sobie, że Bonifacy zasugerował mu ostateczne rozwiązanie, szydząc z niego zza kraty. Mógłby położyć kres swemu narastającemu smutkowi. Kilka razy zsunął pled i zbliżył się do otworu. Bardzo łatwo mógłby przekroczyć jego krawędź i pogrążyć się w nicości. Kiedy w

jego nozdrza uderzył odór podobny do zalatującej siarką woni piekła, cofnął się pod ścianę. Broda go świerzbiła, a policzki i kark oblewał pot. Poza otchłanią nie było pustki, w której wszystko zostanie zapomniane, lecz płomienie Gehenny.

Chociaż wiedział, że został potępiony na wieki, a papież nigdy nie cofnie ekskomuniki, nie było mu spieszno na Sąd Ostateczny. Nie da satysfakcji Bonifacemu, pozwalając, aby zatriumfował nad nim na wieki. To Bóg, a nie papież zdecyduje, kiedy odejdzie.

Czyż jednak nie zmarnował życia? Dość spojrzeć na jego owoce. Co pozostawił po sobie Angelo Lorenzini? Jakie plany miał wobec niego Bóg? Pomyślał o rolach, które odgrywał - chrześcijanina, zakonnika, wilkołaka, notariusza, uczonego, szlachcica, kochanka, syna, ojca i brata - i które w końcu doprowadziły do tego, że stał się więźniem obłożonym papieską ekskomuniką. W jakim celu Bóg sprowadził go na ten padół, skoro jego życie miało się zakończyć w taki sposób? Kim jest teraz? Młynkiem do gnoju, przeżuwanym codzienną porcją jadła, wydalającym ją wieczorem i śpiącym w przerwie między wspomnianymi czynnościami?

Eloi, lama sabachthani?

Strażnik powiedział, że kardynał Gentile obiecał powiadomić Silvestrego o miejscu jego pobytu. Czy rzeczywiście to uczynił? Kardynałowie mają na głowie wiele spraw administracyjnych. Zanim wiadomość dotrze do Silvestrego, mogą upłynąć miesiące, o ile jego prośba nie zostanie zapomniana. Był ciekaw, co dokładnie powiedział Gentile benedyktynowi. Jakich słów użył?

Z trudnością wyobraził sobie Silvestrego jako pięćdziesięcioletniego człowieka. Kiedy wieść dotrze do brata w Wieży Wilka, przerwie jego sielskie życie rodzinne niczym grom leniwe letnie popołudnie. Hrabio Silvestre! Twój obłąkany brat siedzi w lochu w Palestrinie! Cóż miałby uczynić? Zastanawiał się, czy Silvestremu pozwolono by odwiedzić to miejsce, o ile w ogóle zechciałby wyruszyć w drogę. Byłby szczęśliwy, mogąc ujrzeć brata raz jeszcze, zanim dokona żywota w tym lochu. Mogliby pożegnać się, jak należy. Ile czasu minęło od dnia, w którym kardynał Gentile otrzymał jego prośbę?

Kiedy o tym rozmyślał, w otworze ukazała się twarz mnicha, który zawołał przez kratę:

- Braciszku Angelo! Masz gościa. - Głos strażnika był pogodny, więc w sercu Angela ożyła nadzieja.

- Silvestre?

- Nie, brat zakonny. Zaczny kapłan z twojego zakonu.

Słabiutki, świszczący głos starego człowieka odpowiedział na jego pytanie.

- Hrabia Silvestre nie zdążył przyjechać - wyjaśnił. - Poprosił, abym cię odwiedził w

nadziei, że zdołam ci dostarczyć jakiejś pociechy.

- Jesteś księdzem? Wysłuchasz mojej spowiedzi?

Franciszkanin zastukał laską w kłódkę zamykającą kratę i poprosił strażnika, by zostawił ich na chwilę samych. Mnich odparł, że nie mogą zostać sami, jeśli włącz ma być otwarty. Odszedł, więc krata pozostała na swoim miejscu.

Ksiądz spojrział w dół i odpowiedział na pytanie Angela:

- Obawiam się, że nie mogę wysłuchać twojej spowiedzi ani podać ci eucharystii. Powiedziano mi, że Jego Świątobliwość zakazał udzielania ci sakramentów. Możemy jednak porozmawiać. Czy coś cię kłopotuje, bracie, oprócz oczywistej niedoli, jaką jest przebywanie w zamknięciu?

- Czy to mało?

- Istnieją gorsze lochy... lochy umysłu...

- Mój umysł rozważa samobójstwo - wyznał Angelo. - Zacząłem rozmyślać, dlaczego Bóg raczył mnie umieścić na tym padole, by później porzucić w tej norze. - Przyszła mu do głowy nowa myśl i zdumiał się, że wcześniej na to nie wpadł. - Może poddaje mnie próbie, jak Hioba?

- Nie byłbym zaskoczony - odrzekł gość. - Powiadają, że Bóg karci tych, których miłuje. Pomyśl, jak potraktował własnego syna. Pomyśl o tym, co uczynił Hiobowi? Pamiętasz?

W głosie Angela brzmiała ekstaza, dostrzegł bowiem związki łączące dawną historię z jego losem.

- Pozbawił go wszystkiego, co nadawało sens jego życiu: bogactwa, powodzenia, rodziny.

- I pozostawił rozdrapującego czyraki na kupie gnoju, który przypuszczalnie pachniał równie odrażająco, jak ten loch.

Angelo dumiał nad wypowiedzianą myślą.

- A jednak, bracie, bogactwo nie określało, kim był - ciągnął ksiądz. - Gdybyś zapytał Hioba, kim był, czy nie odpowiedziałby: „Panem wielu ziem, niezliczonych stad bydła, z synami i córkami otaczającymi mój stół niczym młode drzewka oliwne”? A jednak wszystko to okazało się ulotne. Nawet ciało, które mylnie wziął za siebie, zostało dotknięte chorobą. Żadna z tych rzeczy nie była prawdziwym Hiobem. Nie było nim nawet jego imię, stanowiło bowiem jedynie tabliczkę, którą rodzice przyczepili temu ciału w dniu narodzin. Siedząc na kupie gnoju, odkrył bezimienne „ja”, które ignorował w latach pomyślności. Czy nie wydaje ci się to znajome?

- Aż nadto - odrzekł Angelo. - Chcesz mi powiedzieć, że to odkrycie jest głównym celem naszego pielgrzymowania na tej ziemi? Trudno to pojąć.

- Znaleźliśmy się tu, aby odkryć, kim naprawdę jesteśmy, i powrócić do źródła, z którego wyszliśmy. Uszanuj swoje wygnanie. Miejsce, z którego wyszedłeś, jest miejscem, do którego musisz powrócić.

W słowach księdza pobrzmiwało echo wiersza zacytowanego wiele lat temu przez Omara Kasima. Angelo powtórzył na głos zagadkowe strofy, by dodać sobie otuchy:

Jesteś tym, którego opuściłem, czyniąc pierwszy krok.

- Wszystko, co później nastąpiło, zostało nam użyczone, gdyśmy wyruszyli na poszukiwania - ciągnął ksiądz. - Jesteśmy duchowymi istotami, bracie Angelo, mieszkającymi w użyczonej ciele i prowadzącymi darowane życie. Za każdym razem, gdy uwalniamy się od tej użyczonej nam tożsamości, odkrywamy swoje prawdziwe jestestwo. Ono właśnie pozostaje, gdy utracimy wszystko inne lub wszystkiego się wyzbędziemy.

Przerwał mu atak kaszlu. Jego wątłe struny głosowe zostały nadwyrężone długą przemową. Nie mogąc ofiarować mu pomocy z czeluści swojej celi, brat Angelo czekał w pełnym szacunku milczeniu. Jego ostatnim majątkiem był nieograniczony czas. Słowa wypowiedziane przez gościa zbudowały go, usłyszał bowiem podobne zdanie z ust swojego mentora, gdy złożył śluby zakonne.

- Powiadasz, że rozmyślałeś o samobójstwie? - podjął ksiądz. - A któż ci powiedział, że przeżywałeś takie myśli? Kto obserwuje twój umysł i nieskończony korowód obrazów? Kto czyni to z całkowitym spokojem? Kim jest ów obserwator, jeśli nie twym prawdziwym „ja”, tą częścią, która przetrwa doczesne ciało? Twoje „ja”, podobnie jak moje, to jednostkowy przejaw tego samego bytu, źródła, z którego wszyscy wyszliśmy. Jesteśmy członkami, kośćmi i naczyniami mistycznego ciała bożego.

- Zatem członek, którym jestem, choruje - jęknął brat Angelo.

- W jaki sposób medyk może przywrócić mu zdrowie? Posługuje się naparami, środkami przeczyszczającymi i lewatywą, nieprawdaż? Upuszcza choremu nadmiar krwi. Wiem to, gdyż przez wiele lat bracia nazywali mnie aptekarzem i pijawką. Mieli dość okazji, by znosić moje leczenie.

Głos księdza ponownie ścichł i Angelo zaczął się lękać, że ich rozmowa wkrótce się zakończy. Poczuł, że żyje po raz pierwszy od czasu, gdy papież odrzucił jego prośbę. Kto wie, czy ten zakonnik do niego wróci, czy nie będzie to ostatnia wizyta w jego lochu?

- Powiedz mi, jakie etapy duchowej pielgrzymki zapamiętałeś - poprosił starzec po chwili. - W jaki sposób opisali je twoi nauczyciele?

Brat Angelo z radością wziął na siebie ciężar rozmowy, dając odpocząć gardłu kapłana.

- Jest ich pięć - rzekł w zadumie, rozkładając palce w ciemności jak Omar Kasim, cytujący swojego krajana Rumiego. - Pierwszy rozpoczyna się w chwili nawrócenia, kiedy odkrywamy iluzję świata i wyruszamy w drogę do prawdziwego domu. Kiedy z oczu opadną łuski, widzimy przeszkody i więzi, które oddzielają nas od celu. Drugi etap, zwany oczyszczeniem zmysłów, rozpoczyna się, gdy podejmujemy wysiłki zmierzające do usunięcia po kolei wszystkich barier i zastąpienia ich cnotami. Pamiętam, jak zapytałem mojego nauczyciela, brata Konrada, jak długo będzie to trwało. Odparł, że do końca naszych dni.

- Słusznie rzekł - przytaknął ksiądz. - Dopóki nie uwolnimy naszych myśli od tego, co uważamy za siebie i nasze. Dopóki będziemy utożsamiali się z tym ciałem, tłamsząc umysł w ciemnym lochu.

Angelo skinął głową, choć nikt nie mógł tego widzieć.

- Po owych trudach następuje etap trzeci, oświecenie - ciągnął Angelo. - Chwila wielkiej pociechy. Nasze modły stają się głębsze, obywiają się bez słów. Odpoczywamy jak dziecko, milcząco wtulone w ramiona Ojca. Często czyniłem to w mej celi. Nasłuchujemy Jego głosu, zamiast przerywać mu własnymi myślami i słowami.

- Tak jak Eliasza, gdy Bóg przemówił do niego cichym, ledwie słyszalnym głosem w powiewie wiatru - zauważył ksiądz. - Upodobało się Bogu, aby przemówić do niego w głębokiej ciszy, nie zaś w burzy, trzęsieniu ziemi lub ogniu. Jak opisałbyś kolejny etap?

Po raz pierwszy od wielu tygodni wargi Angela ułożyły się w coś przypominającego uśmiech.

- W czwartej fazie, nazywanej śmiercią mistyczną lub mroczną nocą duszy, poszukujący czuje się porzucony przez Boga. Słodczy oświecenia odpływa w zapomnienie. Pamiętam wiersz braciszka Jakuba z Todi, który tak opisuje ów stan: „Zdrzutane serce płacze suchymi łzami”.

- To ostateczne oczyszczenie, pozbycie się wszelkiego człowieczeństwa, które uważaliśmy za własne „ja” - dodał kapłan. - To przygniatająca samotność Ogrójca, żądająca całkowitego podporządkowania się woli Boga, determinacja uczynienia kolejnego kroku i wiara, że istniejemy jako byty odrębne wobec naszego Stworzyciela.

Franciszkanin pochylił się nad kratą. Pod kapturem błyszczały oczy przypominające małe gwiazdy.

- Noc duszy to ostatnia przemiana, do której musi dojść, zanim „ja” stopi się z bóstwem w mistycznym związku - mówił Angelo. - Samotność i oddzielenie to piec, w którym wytopione zostaną ostatnie zanieczyszczenia, by pozostało czyste złoto. Jeśli ją przyjmiesz,

przyspieszysz oczyszczenie. W tym czasie możemy jedynie powtarzać modlitwę, którą wypowiedział nasz Pan w ogrodzie: *Ojcze mój Jeśli to możliwe, niech Mnie ominie ten kielich! Wszakże nie jak Ja chcę, ale jak Ty*⁹. Wychył kielich goryczy do dna i uczynił to z radością, jest to bowiem nektar niebieski.

Ksiądz odchrząknął raz. Kiedy przemówił, jego głos był nieznacznie silniejszy od szeptu, jednak słowa pobrzmiwały jasnością w ciszy lochu.

- Mam nadzieję, że to spotkanie dostarczyło ci pociechy, bracie. Jak rozumiem, przeżywasz teraz stan śmierci mistycznej, która poprzedza wieczną radość połączenia z Boskim Małżonkiem. Aby jej doświadczyć, musisz zostać do końca oczyszczony. Nie ruszymy zimą z domu, jeśli odgarniemy tylko trochę śniegu z progu. Noc duszy musi być tak oczyszczająca, jak zaordynuje Boski lekarz choremu członkowi, którym się czujesz.

Kiedy się podniósł, Angelo ujrzał pozbawiony szczegółów zarys wspartej na lasce postaci.

- Nie zdołam dziś rzec nic więcej, bracie. Tracę głos. Odwiedzę cię znów, jeśli wiek i zdrowie pozwolą.

- Zaczekaj! Nie odchodź! - zawołał brat Angelo. - Powiedziałeś, że przysłał cię Silvestre. Skąd znasz mojego brata?

Postać się wyprostowała. Na tle szarych chmur wyglądała jak cienka wycinanka. Angelo usłyszał dumę w słabym głosie, który udzielił mu odpowiedzi:

- Jest moim synem.

⁹ Mt 26,39.

Rozdział dwudziesty szósty

Doktor Filippo przybył pod koniec zimy, po trzynastych urodzinach Silvestrego, gdy stopniały śniegi i na polach pojawiły się krokusy. Ciepły południowy wiatr wiał mu w plecy, świeże liście leśnych drzew rozstępowały się przed nim, powiewając na powitanie, a ptaki wyśpiewywały radosne trele. Młody hrabia, który miał być jego uczniem, zapłacił za jego konia, co oznaczało wyraźną poprawę w porównaniu z osłem, którego dosiadał dwanaście lat temu, ciągnąc nogi po ziemi, i tym, jak wracał piechotą. Dzięki hojności młodego patrona miał na sobie nową czarną togę i kwadratowy kapelusz - „myślącą czapkę”, jak nazywali go studenci uniwersytetów.

Mimo gwałtownego rozstania z Angelem Lorenzinim Filippo zachował miłe wspomnienia o pobycie w zamku. Posłaniec, który odnalazł go w Rzymie, powiedział, że Urso nadal żyje, choć owdowiał. Filippo niecierpliwie czekał na odnowienie dawnej przyjaźni. Ciekawiły go też dalsze losy ucznia i dziwaczne pogłoski o jego zniknięciu. Angelo był w doskonałym nastroju, kiedy spotkali się w mieście rok temu - stał u progu wielkiej kariery.

Ostatnie wieści przypomniały mu ucztę w Coldimezzo i przerażenie starej hrabiny. „*Versipellis! Wrócił z piekła!*”, wykrzyknęła. Syn uznał jej słowa za bezmyślne głędzenie, pasowały jednak do opowieści, którą posłaniec rozpoczął w Rzymie i kontynuował podczas drogi do Wieży Wilka.

Chłopiec, hrabia Silvestre, musiał go wypatrzeć z zamkowej wieży, gdy bowiem Filippo wprowadzał konia przez bramę, stał na dziedzińcu. Obok chłopca spostrzegł niewiastę w średnim wieku, a przy niej Ursa. Dla postronnych mogli uchodzić za parę kochających się *nonni*.

Wolałby spotkać się pierwiej z Ursem na osobności, aby usłyszeć, co wydarzyło się od czasu, gdy opuścił zamek, i poznać jego opinię na temat nowego ucznia. Mimo to szybko wyrobił sobie o nim zdanie. Od razu stwierdził, że chłopak jest bardziej przyjazny i szczęśliwszy od ponurego i opryskliwego brata.

Pierwsza okazja do rozmowy z Silvestrem nadarzyła się po wieczornym posiłku. Zapytał chłopca, co chciałby zyskać dzięki nauce.

- Chcę się nauczyć łaciny, aby móc czytać i pisać. Chcę też poznać liczby - odrzekł Silvestre. Najwyraźniej już to sobie przemyślał. - Urso powiedział, że nauczy mnie, jak być... - zrobił krótką przerwę, próbując przypomnieć sobie słowa staruszka - sprawiedliwym... i

honorowym człowiekiem. Jak być dobrym panem Wieży Wilka.

Filippo skinął głową.

- Widzę, że wolisz się kierować raczej zasadami niż katechizmem.

Na skupionej twarzy Silvestrego pojawił się lekki uśmiech.

- Tak mi się zdaje, chociaż nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem.

Bakałarz zachichotał.

- Dworuję sobie z ciebie, *signore*. Powiedziałem, że nauczę cię, jak przeniknąć pod powierzchnię sytuacji, z którymi będziesz miał do czynienia. Większość ludzi kieruje się nawykami, działa na pamięć... by tak rzec, kieruje się katechizmem.

- Urso mówił, że dużo podróżowałaś po wielkim świecie. Nie wiem, czy mnie się to uda. Chociaż lubię Wieżę Wilka, chcę, abys mi opowiedział o miejscach, które poznałeś.

Na surowej twarzy bakałarza pojawił się szeroki uśmiech.

- Widzę, że kształcenie pana Silvestrego będzie dla mnie wielką przyjemnością - rzekł. - Podejrzewam, że ty również znasz opowieści, które pragnę usłyszeć.

Uniósł brwi, lecz nie chciał pytać o zaginionego Angela pierwszego dnia pobytu na zamku.

- Tymczasem - dodał szybko - będę rad, jeśli wskażesz mi łożę, abym dał odpocząć zadkowi po tygodniu podróży.

Lata spędzone w Rzymie sprawiły, że doktor Filippo nigdy nie był syty wiadomości o sprawach miasta, Kościoła i monarszych rodów Europy. Ciekawość pełnego intryg świata, którą przejawiał Silvestre, dodatkowo podsyciała fascynację nauczyciela. Przybył do zamku ze skarbem w postaci nowych anegdot, wypytywał też podróżnych i wędrownych mnichów o najnowsze wieści i plotki ze świata. Co jakiś czas posłańcy przywozili listy od jego przyjaciół w mieście.

Podobnie jak podczas pierwszego pobytu w Wieży, jego opowieści uświetniały zamkowe wieczery. W coraz dłuższe dni rozpoczynali rozmowy o zmierzchu, aby skończyć przy świetle pochodni. Silvestre zaczął jadać ze sługami zamiast przy swoim stole, aby nie przepuścić żadnej z tych historii.

- Opowiedz nam o rzymskich papieżach - poprosił pewnego wieczoru. - Który był twoim ulubionym? - Półmiski z mięsiwem i ciastami zostały opróżnione, a mężczyźni wycierali rękawami tłuszcz i okruchy z warg, nalewając wino do kielichów.

Doktor Filippo spełnił prośbę młodego *signore*.

- Najsamprzód musisz wiedzieć, że w ostatnim czasie dwór papieski nie przebywa w

Rzymie. Wojna gibelinów z gwelfami czyni to miejsce zbyt niebezpiecznym. Jest to jedna z przyczyn, dla których tak chętnie tu przybyłem. Dostarczyłeś mi wymówki do opuszczenia owego miasta, które z każdym dniem staje się coraz bardziej nieprzyjazne.

Upił łyk wina z kielicha.

- Jeśli zaś chodzi o mego ulubieńca, to jest nim bez wątpienia papież Aleksander - podjął. - To człowiek, jakiego lubię: miłujący pokój, uczony, bogobojny, utuczony i łagodny jak wół. W swojej willi w Anagni przyjmował gości bez butów. Nawet na dworze papieskim w Viterbo nosił się bardziej jak wiejski szlachcic niż władca całego chrześcijańskiego świata. Myślę, że umarł, bo serce mu pękło na wieść o rozlewie krwi w Rzymie.

- Jego bratanek pochodzi z Todi - wtrącił Silvestre.

- Tak, Benedetto Gaetani. Znam tego młodzieńca z opowieści brata, który był jego wieloletnim nauczycielem... uczył też hrabiego Angela. Postanowiłem, że będę śledził jego losy. Jak wiesz, Aleksander mógł mianować swojego bratanka kardynałem, jak to czynili inni papieże. Jednak tego nie zrobił. Obdarzywszy go jednym lub dwoma beneficjami, wykorzystywał Benedetta głównie jako swego wysłannika. Widać uznał, że Benedetto nie dowiódł jeszcze swojej wartości. Myślę, że czeka go długa kariera jako papieskiego legata. Nasz obecny papież, Urban Czwarty, także dostarcza Benedettowi zajęć. Przekonasz się, że szykuje go do wielkich rzeczy. Gaetani bawi obecnie w Paryżu u kardynała Simona de Brie. Urban, nawiasem mówiąc, syn szewca z Troyes, powierzając młodemu Benedettowi prowadzenie swoich spraw we Francji, bardzo mu dopomógł.

Urso podniósł głowę.

- Naszym papieżem jest syn szewca? To niemożliwe!

- To zdolny człowiek - odrzekł Filippo. - Za pontyfikatu Aleksandra był patriarchą Jerozolimy. Przypadek sprawił, że znalazł się w Viterbo, gdy zebrało się konklawe, by wybrać nowego papieża. Nie przeszkodził mu fakt, że w owym czasie francuscy kardynałowie mieli większość w Świętym Kolegium.

Filippo wychylił kielich do dna i zaczął obracać go w palcach, popadając w zadumę.

- Szczerze mówiąc, to, że jest Francuzem, okazało się dlań poważną przeszkodą... podobnie jak ciągle spory między papieżem a cesarstwem.

- Jakże to? Sądziłem, że owe sprawy nas nie dotyczą - rzekł Marcello. Młody rządcą zdradzał taki sam głód wiedzy jak Silvestre. Kiedy pozwalały na to jego obowiązki, często uczestniczył w zajęciach i uczył się pisać.

Filippo wypuścił powietrze z niskim świstem. Kiedy zaczęły się owe obłąkane spory? - zadał sobie pytanie.

- To skomplikowana sprawa - zaczął po chwili. - Aby ją pojąć, trzeba się cofnąć do dwóch Innocentych: Innocentego Trzeciego z początku i Innocentego Czwartego z połowy tego wieku. Konflikt papieża z cesarzem rozgorzał za pontyfikatu Innocentego Trzeciego, kiedy obaj władcy znajdowali się u szczytu swej potęgi i nie było jasne, kto będzie rządził naszym krajem. Uważam za szaleństwo, że wzajemna niechęć przetrwała aż sześćdziesiąt lat. Dziś żadna ze stron nie jest silna.

Uniósł dłonie, spoglądając na zebranych.

- Nie powstrzymało to jednak naszych stronnictw przed urządzeniem rzezi, prawda? Każde miasto ma własne przerażające opowieści. Hrabio Silvestre, pewnie widziałeś ostatnie starcia w Todi?

Chłopak pokręcił głową.

- Musiałem zostać w domu, lecz brat o wszystkim mi opowiedział. Po obu stronach zginęli ludzie.

- Taak, twój brat... - Filippo umilkł na chwilę, lecz po chwili podjął: - Wróćmy do naszych papieży. Kiedy cesarz Fryderyk zmarł w roku tysiąc dwieście pięćdziesiątym, Innocenty Czwarty uznał, że ma szansę przechylić szalę zwycięstwa na stronę papieża. W rezultacie stworzył jeszcze większy problem.

Bakałarz rozłożył palce na stole, czyniąc z nich prowizoryczną mapę.

- Królestwa Sycylii i Neapolu od dawna stanowiły południowy przyczółek i oparcie cesarstwa wraz z Niemcami i Lombardią na północy. Papież wciśnięty pomiędzy nie miał nadzieję przekształcić południe w lenno papieskie, usuwając krewniaków Fryderyka i zastępując ich swoimi ludźmi. W owym czasie syn Fryderyka, Konrad, był królem Niemiec, a bękart cesarza, Manfred, odgrywał rolę regenta przyrodniego brata na południu.

Sługa spostrzegł, że Filippo bawi się kielichem, i napełnił go ponownie. Bakałarz zwilżył gardło i oplótł naczynie palcami, kontynuując opowieść:

- Innocenty obmyślił plan. Skontaktował się z angielskim księciem Edmundem, pytając, czy byłby gotów zostać władcą Sycylii, oczywiście gdyby udało się wyrwać królestwo z rąk Manfreda. W owym czasie dwór papieski znajdował się w Lyonie, więc Innocenty złożył tę samą propozycję Karolowi Andegaweńskiemu, najmłodszemu bratu króla Francji, Ludwikowi Dziewiątemu. Władcy z północy uznali, że Innocenty zwariował. Nie rozumieli, dlaczego uwikłaliśmy się w ten spór, a tym bardziej, dlaczego oni sami mieliby wejść w owo grzęzawisko. Karol był inny niż oni. Nie miał nic przeciwko zostaniu wielkim władcą, równie potężnym jak brat, a nawet Fryderyk. Rola czołowego przywódcy świata śródziemnomorskiego bardzo mu się spodobała, nie był też tak pobożny jak brat.

Urso uśmiechnął się nieoczekiwanie, widząc, że Silvestre przysunął się i oparł głowę na jego ramieniu, walcząc ze snem.

- Czy plan papieża się powiodł? - zapytał, kiedy chłopiec się usadowił. - Jak rzekł Marcello, nie dotarły do nas żadne wieści.

- Cóż, początkowo Edmund i Karol postawili tyle warunków, że z pomysłu papieża nic nie wyszło. Później Konrad zmarł na malarię w obozie wojskowym, a Innocenty podjął próbę samodzielnego ujarznienia bękartów. Zmusił Manfreda do podpisania niekorzystnego traktatu, jednak zagalopował się, uroczyście wjeżdżając do Neapolu z Manfredem prowadzącym jego konia za uzdę. Jak się pewnie domyślacie, Manfred opuścił kondukt żałobny wściekły z powodu doznanego upokorzenia. Zebrał wokół siebie saraceńskich rycerzy ojca i wypędził wojska papieskie z regionu.

- Czy papież zdołał uciec? - chciał wiedzieć Marcello.

- Innocenty nigdy nie wyjechał z Neapolu - odparł Filippo. - Kiedy był w mieście, doznał porażenia i zmarł. To inna historia. Słyszałem od franciszkanów, że sam Bóg pokarał go za opowiedzenie się po stronie plebanów w sporze z bractwami. Przysięgali, że poraziło go w chwili, gdy podpisał bullę popierającą tych pierwszych. W ten sposób powracamy do naszego obecnego papieża, Urbana, który ma dwór w Perugii i nie chce wracać do Rzymu. Manfred w dalszym ciągu jest królem Sycylii i Neapolu, lecz Karol Andegaweński, po czternastu latach podjął wreszcie jakieś działanie. Kilka miesięcy przed moim wyjazdem Rzymianie wybrali Karola na swojego senatora. Ten przeniósł się do Pałacu Laterańskiego, w którym wcześniej mieszkali papieże, i sprowadził garnizon Andegawenów. Rycerze owi, przybyli z Provens i Andegawenii, czerpią wielką uciechę z dręczenia miejscowej ludności. Dlatego z taką radością opuściłem to miejsce, by razem z wami z bezpiecznej odległości śledzić rozwój wydarzeń.

Spuścił oczy i przez chwilę przypatrywał się swemu ponuremu odbiciu w kielichu.

- Któregoś dnia byłem świadkiem, jak pewna zacna niewiasta błagała jednego z owych rycerzy, aby zapłacił za gęś, którą mu sprzedała. Nie tylko odmówił, lecz okulił ją potężnym ciosem w udo. Zaproponował, że wymierzy jej kolejne uderzenie, lecz pierwsze okazało się wystarczające. Mąż owej niewiasty stał obok, bezsilny i drżący z wściekłości na widok młodej żony, która kuśtyka jak starucha. Kto wie, może do końca życia będzie kaleką. Takie są francuskie wojska okupacyjne.

- Jak przyjmuje to papież Urban? - zapytał Marcello.

- Jest zakłopotany! Rzymianie go zaskoczyli, zmuszając do zawarcia nowego porozumienia z Karolem, na którego mocy tytuł senatora obliguje go do zajęcia Neapolu i

Sycylii. Kiedy wyjeżdżałem z miasta, nie doszli jeszcze do porozumienia.

W komnacie panował coraz gęstszy mrok, choć na ścianach płonęło kilka pochodni. Urso podniósł się, trzymając chłopca w ramionach.

- To dobry moment, by przerwać opowieści - rzekł nauczyciel. - Powinniśmy pójść za przykładem hrabiego Silvestrego i udać się na spoczynek. Nasi bohaterowie w najbliższym czasie nie uciekną. Wrócimy do tematu innego wieczoru.

Silvestrego wyrwało ze snu przeraźliwe wycie wilków, które zmąciło nocną ciszę.

- Co się stało, Angelo? - wymamrotał.

Próbował unieść głowę z poduszki, lecz był zbyt zaspany, by wykonać jakikolwiek ruch. Po chwili usłyszał walenie do drzwi i wołanie bakałarza:

- *Signore*, obudź się! Chodź szybko!

Z trudem zwłóknął się z posłania, narzucił tunikę i wyszedł z komnaty. Udał się za doktorem Filippem na dziedziniec, a następnie wspiął po drabinie na zamkowe mury. Kilku mężczyzn ze służby czekało już na nich w pospiesznie narzuconym odzieniu. Słychać było trwożne pytania i zatroskane głosy.

Na niebie widać było bladą, zielonkawą smugę, która przyćmiewała gwiazdy, wypełniając czwartą część nieba. Wydawała się tak bliska, jakby można było jej dotknąć. Na dziedzińcu i błotnistym trakcie biegnącym przez wioskę zaczęli gromadzić się wieśniacy, mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci, w koszulach, tunikach lub innym przyodziewku, w którym udali się na spoczynek. Padali na kolana lub na twarz prosto w błoto, rwąc włosy z głowy, bijąc się w piersi, zawodząc i czyniąc znak krzyża.

- Gdzie jest kapelan?! - słyszał przestraszone wołania dobiegające ze wszystkich stron. - Chcemy się wyspowiadać! - Niektórzy bełkotali coś o aniele zemsty i ukrywali twarze w dłoniach. Inni błagali sąsiadów o przebaczenie za wyrządzone zło.

Silvestre usłyszał głos Marcella próbującego przekrzyczeć wrzawę:

- Udajcie się do kaplicy! Ksiądz już czeka przy ołtarzu! Będzie udzielał rozgrzeszenia! Spowiadajcie się jak najkrócej, pomyślcie o innych oczekujących!

Bakałarz wziął chłopca za rękę.

- Nie lękaj się - powiedział spokojnym, niemal marzycielskim głosem, po czym dodał: - Zawsze zdumiewało mnie, że gwiazdy zawracają sobie głowę śmiertelnikami. Mam wrażenie, że darzą współczuciem nas, ubogich pielgrzymów, jednak zjawisko, które ukazało się tej nocy, zwiastuje wydarzenia wielkiej wagi.

- Co to takiego? - wykrztusił Silvestre, patrząc na niego wytrzeszczonymi oczami. - To

nie gwiazda! Czy to koniec świata?

- Nie sądzę, *signore*. Widywałem już podobne zjawiska. To kometa, jest jednak największa i przeleciała najbliżej z tych, które pamiętam. Będzie potrzebowała prawie całej nocy, aby przebyć niebo. Będziemy mogli oglądać ją przez kilka nocy.

- Czy w nas uderzy? - Silvestre zaczął żałować, że nie słuchał kazań o znakach apokalipsy z Księgi Objawienia i nie wiedział więcej o siedmiu wirujących sferach niebieskich.

- Kometa uczyni to, co zaplanował Bóg, to On bowiem rządzi ruchem planet i gwiazd. Jeśli mamy umrzeć, nic na to nie poradzimy. Czy będziesz się czuł bezpieczniej w kaplicy, razem z innymi?

Niezwykłe zjawisko poraziło Silvestrego. Podobnie jak jego nauczyciel, zrozumiał, że może je oglądać tylko raz w życiu. Ani jeden, ani drugi nie chcieli, by czar prysł. Stali nieporuszeni, nawet gdy trwożliwe wycie wilków zagłuszyło rejwach. Upiorne zawodzenie podkreślało jedynie niezwykłą magię chwili. Przypomniało chłopcu, że przeżywa to doświadczenie razem z bratem, tak jak niedzielne popołudnia w Todi. Żałował, że Angelo nie ma kogoś takiego jak doktor Filippo, kto dodałby mu otuchy, stary wilk bowiem wydawał się równie przerażony, jak jego wnuk.

Mieszkańcy Wieży nie spali przez kilka następnych nocy i powrócili do normalnych zajęć dopiero po upływie tygodnia. Idąc za radą Marcella, Silvestre ogłosił święto, aby kmiecie mieli cały dzień i noc na odespanie. Wielu i tak kiwało się sennie, wykonując swoje obowiązki. Kiedy chłopci i służba znów zaczęli się kłócić z sąsiadami, rządca uznał to za nieomylny znak, że w ich mniemaniu niebezpieczeństwo minęło.

Tydzień później doktor Filippo usłyszał od wędrownego żebraka, że kometa zapisała kolejny rozdział w dziejach papieżstwa. Chociaż oszczędziła mieszkańców Wieży, z wyjątkiem pewnej staruszki, która padła z pianą na ustach przed drzwiami swojej chałupy, zabrała duszę Urbana IV. Przeniosła papieża na Sąd Ostateczny, pozostawiając bez rozwiązania wszystkie problemy jego pontyfikatu.

Kupiec handlujący winami, który rok później, latem roku 1265, przechodził obok zamku, kupił kilka beczulek z najlepszego ubiegłorocznego zbioru. Przekazał też coś, co dla doktora Filippa było cenniejsze od wina i złota - list od jego sycylijskiego przyjaciela, Paganella. Opisywał w nim wybór Francuza Guya Fouquesa na następcę Urbana. Guy pochodził z San Gilles na granicy Provins i Langwedocji, i przyjął imię Klemens IV.

Paganello nie krył radości z tego wyboru. Fouquois był wcześniej świeckim jurystą i

doradcą Ludwika IX, miał żonę, lecz po jej śmierci złożył śluby zakonne. Urban wyniósł go do godności kardynała i wysłał jako legata do Anglii, gdzie zastała go wiadomość o ostatnim zaszczyście.

Ów szczegół stwarzał delikatną sytuację. Nowy papież elekt musiał przejechać przez Vento i miasta północnych Włoch rządzone przez gibelinów na konsekrację w Perugii tak, by uniknąć porwania. Dokonał tej sztuki pod przebraniem, udając prostego mnicha.

Jedną z pierwszych decyzji nowego papieża było wysłanie Benedetta Gaetaniego jako legata do Anglii. Paganello napisał, że młody duchowny wyruszył w drogę do Londynu w towarzystwie kardynałów Jacobusa Sevellego i Tebalda Visconti di Piacenza.

- Zapamiętajcie moje słowa - rzekł Filippo, dzieląc się treścią listu z innymi podczas obiadu - Przed końcem tego wieku wszyscy trzej będą papieżami.

Nie było jeszcze wiadomo, jak Klemens poradzi sobie z Karolem Andegaweńskim. Wpływy rzymskiego senatora zaczęły sięgać coraz dalej na północ. Za jego namową obywatele Parmy utworzyli gildię krzyżowców i złotymi literami wypisali imię Karola na swoim sztandarze. Tym, którzy nie chcieli do niej przystać lub obrazili jednego z jej członków, burzono dom do fundamentów. Według Paganella liczba członków rosła w zdumiewający tempie.

Rozdział dwudziesty siódmy

Doktor Filippo był znudzony. Brakowało mu bodźców, czy to w postaci najnowszych wieści ze świata rzymskiej polityki, czy to uczonych dysput z saraceńskimi mędrkami. Oczywiście miał przyjaciół w zamku, a jego opowieści sprawiały im radość, lecz ich zapas szybko się wyczerpał. Z niecierpliwością oczekiwał wiadomości i listów, które jednak rzadko docierały do Wieży Wilka.

Na szczęście Silvestre obmyślił plan, który miał dostarczyć bakałarzowi zajęcia i wyzwania. Zanim wycofał się z życia publicznego, *padre* Sanguigno założył w Todi szkołę dla chłopców. Silvestre postanowił, że zorganizuje podobną dla dzieci z zamku i wioski. Filippo od razu zapalił się do tego pomysłu, ostrzegł jednak lojalnie swego pana, że napotka na sprzeciwy.

Urso pierwszy wyraził swoje wątpliwości.

- Nie, rodzice się na to nie zgodzą - gderał. - Potrzebują każdej pary rąk, aby się wyżywić. *Bambini* mają obowiązki od chwili, gdy zaczynają chodzić. Kmiecie uznają naukę za stratę cennego czasu, wiedza zaś na nic się nie zda ich dzieciom.

- W ostatnim czasie wielu młodych wyjeżdża ze wsi do miasta - zauważył Filippo. - Odrobina wykształcenia przyniesie im wielką korzyść, gdy będą szukać zajęcia.

- To kolejny powód, aby ich nie uczyć! - odrzekł stary rządcą. - Kto będzie pracował, jeśli wyjadą wszyscy chłopcy i dziewczęta?

Bakałarz rozłożył ręce.

- Rozumiem twoje wątpliwości, Urso... Cóż, takie są nowe czasy.

Zamkowy kapelan zgłosił zastrzeżenia innej natury - nie spodobało mu się to, że Silvestre chce uczyć wszystkie dzieci.

- Uczenie dziewcząt nigdy nie było wolą Boga, chociaż niektórzy ze szlachty to czynią.

- Przecież niewiasty kształci się w klasztorach - odparował Filippo. - Mogę dać przykład z pobliskiego miasta. Świętej pamięci matka Klara, która założyła zakon Ubogich Pań w Asyżu, przez lata korespondowała z Agnieszką z Pragi. Niewiasty owe umiały czytać listy i na nie odpowiadać. Hildegarda z Bingen opisała natchnione objawienia, które otrzymała od Boga.

- Mówimy o wieśniaczkach, doktorze - zachnął się kapelan. - Wyjdą za męża, będą rodziły dzieci i pracowały w polu u boku mężów. Niektórzy z chłopców mogą pewnego dnia wybrać powołanie kapłańskie... to mogę zrozumieć. W przeciwnym razie nie widzę sensu

nakłaniania kmieci, aby wychylali się ponad swój stan. Patecchio w *Księżdzie szkodników* powiada, że wywyższanie tego, co powinno być niskie, jest gorsze niż zaraza.

Opowiedział też pewną historię, aby zilustrować, o co mu chodzi.

- Pewien rzeźnik z Cremony miał dużego psa, który znosił zniewagi od małego pieska innego masarza. Kiedy mały kundel nie przestawał mu się naprzykrzać, duży chwycił go za gardło i wrzucił do Padu tak, że utonął. Gdyby mały psiak nie wywyższał się ponad swój stan, żyłby pewnie do dziś. - Ksiądz pogroził bakałarzowi kościstym palcem. - Wbijesz ich w pychę, doktorze Filippo. Pismo Święte naucza, że panowanie niektórych bywa groźne: niewiast, dziatwy, sług, głupców i ludzi niegodnych. Zachęcanie takowych, aby się wynosili ponad swój stan, narusza boski ład w świecie.

Zamiast wskazać na rzecz oczywistą - że wszystkimi w Wieży, z kapelanem na czele, rządzi dziecko - bakałarz zaproponował kompromis. W okresie próbnym będzie uczył jedynie czterech chłopców, których duchowny uzna za najbardziej zdatnych do złożenia w przyszłości świętych ślubów. Do grupy tej dołączyła jedenastoletnia, niezwykle inteligentna dziewczynka, którą rodzice od urodzenia przeznaczyci do klasztoru i która nosiła już zakonny habit jak mała mniszka.

Dwugodzinne zajęcia odbywały się w niedzielne i świąteczne popołudnia, kiedy kmiecie odpoczywali po całotygodniowym trudzie. W ten sposób nie marnotrawiono czasu. Kapelan przyznał, że umiejętność czytania niedzielnej ewangelii jest pożyteczna, pod warunkiem że ani uczniowie, ani nauczyciel nie będą próbowali interpretować jej przesłania. Zaproponował nawet, że ułoży zdanie podsumowujące temat swego niedzielnego kazania, aby uczniowie mogli je przepisać jako ćwiczenie. W ten sposób nauczą się kreślić słowa, a jednocześnie dobrze zapamiętają treść jego homilii.

Co do liczb, ksiądz przyznał, że nie ma pojęcia o arytmetyce. Liczby należą do dziedziny nauki, nie zaś do sfery wiary. Wyraził obawę, że matematyka może być jakoś związana z wiedzą tajemną lub sekretami Saracenów, to bowiem ci ostatni przekazali ową naukę światu zachodniemu. Filippo skarżył się później Silvestremu:

- Kaznodzieje odrzucają i nazywają dziełem Lucyfera wszystko, czego nie pojmują.

Urso poparł bakałarza, wywodząc, że znajomość liczb może się okazać przydatna. Dodał też, że jego zdaniem doktor Filippo będzie się trzymał z dala od magii, co nauczyciel potwierdził skinieniem głowy. Uczniowie posiadają jedynie umiejętność dodawania i odejmowania, nadmienił jednak, że chce ich nauczyć cyfr rzymskich i arabskich. Pokazał księdzu dwa sposoby zapisu tej samej cyfry, podobnie jak letni deszcz i rzeczny nurt są dwiema postaciami wody.

W ciepłe pogodne dni uczniowie kreślili litery i cyfry na ziemi za pomocą patyka. Przed nadejściem pierwszych deszczy do zamku przybył wóz z Todi z woskowymi tabliczkami i ryłcami zamówionymi przez Silvestrego. Chłopak nie posiadał się ze szczęścia. Na wiosnę miał zamiar sprowadzić pergamin, gęsie pióra i atrament, zamówił też owcze skóry w garbami w Asyżu.

Miał teraz czternaście lat, tyle samo co jego brat, gdy ten pobierał nauki u doktora Filippa. Jako najbardziej zaawansowany z uczniów często występował w roli pomocnika bakałarza. Nauczyciel zauważył z uśmiechem, że uczniem, który najczęściej potrzebuje pomocy młodego panicza, jest poświęcona Bogu przyszła zakonnica. Silvestre nigdy nie sprawiał wrażenia, że uważa ją za utrapienie - zawsze uśmiechał się pogodnie, gdy podchodziła do niego z tabliczką.

Minęła zima i zajęcia trwały już kilka miesięcy, kiedy nadeszło zaproszenie z Coldimezzo. Wieść o zniknięciu Angela musiała dotrzeć do pałacu, pismo bowiem zaadresowano jedynie do hrabiego Silvestrego.

Hrabia i hrabina Guido di Capitanio mają zaszczyt zaprosić pana Wieży Wilka na ucztę w dzień świętej Matyldy, wydaną z okazji zaręczyn ich córki, Vanny, z signore Jacopem dei Benedetti z Todi.

Silvestre był rad, że zdołał je samodzielnie przeczytać, i osobiście ułożył odpowiedź. Najbardziej zaskakującą wiadomością było nazwisko narzeczonego Vanny. Silvestre zapomniał na śmierć o *signore* Jacopo. Zdał sobie sprawę, jak obce stały mu się wydarzenia z rodzinnego miasta, które oddzielały od Wieży całe światy.

Miał nadzieję, że Enzo zostanie zaproszony na ucztę wraz ze swym chlebodawcą. Od czasu wyjazdu na wieś Silvestre widział przyjaciela tylko raz, kiedy pojechał do Todi, aby przekazać mu klucze do domu. Po namyśle uznał, że przybycie Enza jest mało prawdopodobnie. Gdyby obaj wyjechali z miasta, Jacopo musiałby zamknąć kantor na kilka dni. Enzo zdradził, że jego pracodawca rzadko odrywa nos od ksiąg i kończy każdy dzień skrupulatną analizą stanu swoich finansów. Dał też do zrozumienia, że Jacopo nie jest tak uczciwy, jak *maestro* Maccabeo, i że kieruje nim nienasycona chciwość. Podejrzewał, że *signore* uprawia hazard, zwykle przegrywając.

Silvestre miał też inny powód, aby czekać niecierpliwie na ucztę w Coldimezzo. Wyprawa do sąsiedniego majątku stwarzała doskonałą okazję zajrzenia do chatki leśnika. Zaciekawienie Marią Vidone i jej synem wzrastało z każdym odczytaniem wiersza ukrytego

w szufladzie pulpitu. Silvestre nauczył się go nawet na pamięć. Wiosenne ożywienie w gospodarstwach Wieży sprawiło, że lepiej pojął jego sens, i wzmogło zainteresowanie Silvestrego kobietami.

Co najważniejsze, chciał w końcu oddać pergamin jego prawowitej właścicielce - kobiecie, której Angelo dedykował swój wiersz. Czuł, że brat by tego pragnął. Zadanie odczytania wiersza zamierzał powierzyć nauczycielowi, lecz w końcu postanowił, że sam to uczyni. Utwór był zbyt osobisty, aby podzielić się nim z kimkolwiek oprócz Marii.

Wąska dróżka wiła się między drzewami obsypanymi wiosennym listowiem, zmuszając jeźdźców, aby jechali gęsiego. Urso prowadził mały korowód, tylko on bowiem wiedział, jak dotrzeć do chatki leśniczego. Za nim jechali doktor Filippo i jego uczeń oraz zbrojni. Dotarcie do Coldimezzo głównym traktem zajmowało niecałą godzinę, lecz opuścili zamek zaraz po śniadaniu, aby mieć czas na zrobienie objazdu majątku i złożenie wizyty.

Jaskrawe barwy młodych liści otaczały podróżnych lśniącem zielonym kokonem - zielonym jak turmalin, lśniącem jak jadeit, pomyślał Filippo. Rosnące tu i ówdzie poziomki oraz jasne fiołki ozdabiały szmaragdową katedrę kolorowymi plamami, dolatujący zaś z oddali szmer wody przywodził na myśl dźwięk gregoriańskiego chorału. Nurt był wezbrany od zimowych deszczów i stopniałego śniegu.

Magiczne miejsce! Trudno było temu zaprzeczyć. Filippo spędzał zbyt wiele czasu w zamknięciu, na zamku i we wsi. Jego duch potrzebował takiej wyprawy do lasu. Spojrzał na zarośla, oczekując, że napotka oczy niezwykłego zwierza, stworzenia, które mógłby odnaleźć na iluminowanych kartach bestiariusza. Na jego twarzy pojawił się cierpki uśmiech. Doskonałe tło dla jednorożców lub wilkołaków!

Ściągnął wodze.

- Porywający widok, *signore* - rzekł do Silvestrego. - Przywodzi na myśl grację i światłość, które nieprzerwanie napełniają czystą, pierwotną duszę. - Wskazał zwięźnięcie ścieżki. - Tutaj natrafiają na przeszkodę umysłu... tamę budowaną z lęku i niedostatku, gniewu i chciwości... dlatego jedynie krople Boskiej miłości skapują na tych, których widzimy co dnia. Czyż nie byłoby wspaniale żyć w świecie, gdzie miłość może swobodnie płynąć, nie napotykać na żadne przeszkody? - Uśmiechnął się. - Można o tym dumać podczas przejażdżki. Zazdroszczę tym, którzy budzą się codziennie w takim miejscu.

Silvestre zapamiętał słowa nauczyciela. On również dostrzegł tętniący wiosenny rytuał i nowe życie przenikające to miejsce. Obraz, który miał przed oczami, wzmacniał dziwne pragnienie, które czuł od dwóch miesięcy. Postanowił je odpędzić.

Kiedy wędrowcy zbliżyli się do domu leśniczego i jego rodziny, zaczął szukać wzrokiem chłopca w swoim wieku. Obok kamiennej chaty zauważył troje dzieci - dwie dziewczynki i młodszego chłopca - które rozbiegły się między drzewami. Kilka chodzących swobodnie kur rozpierchło się pod końskimi kopytami, a króliki kręciły się niespokojnie w klatkach po zacienionej stronie chaty. Przed drzwiami stała, podpierając się pod boki, kobieta o włosach barwy miedzi.

- Jeśli zmierzacie na ucztę do Coldimezzo, pomyliliście drogę! - zawołała, gdy byli w odległości połowy furlonga¹⁰.

- *Buon giorno*, Mario! - zagrzemiał Urso. - Nie poznajesz starego przyjaciela? Przyjechaliśmy, aby zobaczyć ciebie i twoją rodzinę.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Czy ten starzec to Urso?

Odpowiedział uśmiechem.

- Niebo mnie nie zechciało, więc nadal żyję!

Kiedy zsiadli z koni, dzieci wróciły z lasu i zaczęły przyglądać się ciekawie gościom.

Urso przedstawił przybyłych.

- To mój nowy pan, Silvestre Lorenzini. Może pamiętasz doktora Filipa? Był nauczycielem w Wieży, kiedy jeszcze mieszkałaś w wiosce.

Maria ściągnęła brwi, gdy Urso wspomniał o „nowym panu”, lecz nie zadała pytania, które musiało przyjść jej na myśl. Zamiast tego wskazała dzieci odziane w tuniki lepsze od tych, których Silvestre oczekiwałby u domowników leśniczego, wyjaśniając, że przyszły z zamku, aby pobawić się w lesie.

Najwyższa z trójki, Vanna, wydawała się starsza od Silvestrego o rok lub dwa. To jej zaręczyny miało świętować owego wieczoru. Nowa, dorosła rola dziewczyny przydawała jej dojrzałości, której brakowało dwóm pozostałym. Była piękna i Silvestre pomyślał, że Jacopo zdecydował się ją poślubić, aby była ozdobą jego domu i kantoru. Jaki klient nie chciałby ucałować jej dłoni?

Młodsza dziewczynka i chłopiec byli dziećmi hrabiego Buoncontego. Amata, najbardziej żywa z całej trójki, spojrzała na swojego młodego sąsiada.

- Mam jedenaście lat - poinformowała niepytana. - A to mój brat, Fabiano. Ma dziewięć.

Silvestre przedstawił się i rzucił szybkie spojrzenie swemu nauczycielowi. Uprzedził

¹⁰ *Furlong* (ang.) - dawna anglosaska miara długości, ok. 200 m.

go, że ma wiadomość, którą chciałby przekazać Marii na osobności.

Filippo zrozumiał znak i skinął na zbrojnych. Wzięli dzieci na stronę, zaczęli grać z nimi w jakąś grę i wypytywać o Coldimezzo.

- Czy twój mąż i syn są w domu, Mario? - zapytał Urso, gdy zostali sami. - *Zio Silvestre* chciałby poznać swego bratanka.

Kobieta zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

- Nie. Poszli do lasu, aby sprawdzić sidła. Nie będzie ich przez cały dzień.

Odwróciła się do *Silvestrego* i rzekła z błaganiem w głosie:

- Wyglądasz na miłego chłopca, *signore*. Proszę, mój syn nie wie o mnie i Angelu. Nie ma pojęcia, kto jest jego prawdziwym ojcem. Wprawiliś go w zakłopotanie, nie wiem też, jak zareagowałby mój mąż.

Urso położył dłoń na ramieniu *Silvestrego*.

- Ona ma rację, *signore*. Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, radzę, abyś zachował tę wiadomość dla siebie... przynajmniej dziś... - Przeniósł wzrok z chłopca na kobietę. - Może powinniśmy odjechać, zanim wrócą?

Maria poczuła ulgę, a *Silvestre* rozczarowanie. Chociaż wyraźnie chciała go o coś zapytać, pytanie pojawiło się raczej w jej oczach niż na wargach. Urso dostrzegł to i wycofał się z ukłonem.

Silvestre zauważył, że się zawahała, i zrozumiał, o co jej chodzi.

- Mój brat żyje, lecz... wyjechał... teraz... - Chłopak zaczął się jąkać, gdy zostali sami. Wyraz twarzy niewiasty podpowiedział mu, że uczucia, które Angelo przelał na pergamin, nadal się w niej tłą. Kiedy spłonęła rumieńcem, pomyślał, że jest znacznie piękniejsza od innych wiejskich kobiet.

Włożył rękę za pazuchę, aby po chwili wyciągnąć zwinięty pergamin.

- Angelo napisał ten wiersz dla ciebie kilka lat temu. Znalazłem go w jego pulpicie. To bardzo... - Nie mógł znaleźć słów, więc zapytał: - Chcesz, abym ci przeczytał?

- *Per favore* - odrzekła Maria miękko.

Twarz jej poczerwieniała, gdy linijka po linijce czytał o ich miłości, nie poprosiła jednak, by przerwał. Kiedy skończył, zwinął pergamin i podał go Marii.

- Mógłbyś przeczytać jeszcze raz? - poprosiła.

Uczynił to, tym razem z większą śmiałością, aby przekazać jej dar od Angela.

- Dzięki, *Silvestre* - powiedziała, przyciskając pergamin do piersi. - Chciałabym, abyś pewnego dnia poznał mojego syna... kiedy nadejdzie właściwy czas... - dodała. - Dorastał w lesie, nie przywykł do ludzi. To spokojny chłopiec. Bylibyście dobrymi przyjaciółmi.

- Dziękuję, Mario. Chciałem ci powiedzieć, że przeprowadziłem się do Wieży na dobre. Nie wrócę do Todi. Jeśli ty lub twoja rodzina będziecie czegoś potrzebowali... jeśli będę mógł w jakikolwiek sposób służyć pomocą... dajcie znać. Wiem, że Angelo chciałby, abym to dla ciebie uczynił.

Maria posmutniała, ocierając łzy wierzchem dłoni.

- Twój brat i ja... mogliśmy być najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi... gdyby nie różnica stanu. Pan i wieśniaczka... cóż, to nie mogło się udać.

Próbowała się uśmiechnąć, lecz na jej twarzy malował się smutek.

- Jesteś przystojnym chłopcem. Pewnie dziewczęta ze wsi o tobie marzą. Kiedy się zakochasz, co z pewnością niebawem nastąpi, a twoja ukochana będzie niżej urodzona od ciebie... błagam, nie pozwól, aby głupi obyczaj stanął między tobą i pragnieniami serca.

- Zapamiętam to - obiecał.

Uścisnęła mu dłoń. Kiedy się odwrócił, zapytała:

- Jak mniemam, poślubił córkę jakiegoś pana?

- Nie, Mario. Nie ożenił się i pewnie nigdy tego nie uczyni.

Westchnęła głęboko.

- Życzę udanej zabawy w zamku. Czeka was prawdziwa uczta. Mąż i syn upolowali wczoraj dwa jelenie.

Wyruszyli w dalszą drogę do Coldimezzo. Dzieci z zamku biegły obok, gdy ścieżka była wystarczająco szeroka. Tym razem to Amata zasypywała Silvestrego pytaniami. Była mała i pełna energii, bez trudu dotrzymywała im kroku. Jej zaraźliwy chichot sprawił, że Silvestre śmiał się przez większą część drogi.

Kiedy Fabiano się zmęczył, Urso posadził go na zadzie swojego wierzchowca. Silvestre spojrział na doktora Filippa i dziewczęta. Kiedy bakałarz skinął głową, podał rękę Amacie, a Vanna usiadła za Filippem. Dziewczęta jechały po damsku, lecz Silvestre zauważył, że Amata trzyma go mocniej niż to konieczne, aby nie spaść z konia.

Gdy przybyli do zamku, sługa zaprowadził ich do ich komnat, które mieli zajmować. Filippo skorzystał z tego, że zostali sami, i zapytał Silvestrego:

- Zuchwale z tobą flirtowała, co? Musisz się do tego przyzwyczaić, mój chłopcze. Z pewnością rozmawiała już z hrabią Buoncontem, a przynajmniej *donną* Cristiną, aby znaleźć jej męża.

Widząc, że chłopak poczerwieniał, dodał ze śmiechem:

- Nie martw się. Jeszcze przez kilka lat będziesz bezpieczny. *Signore* Jacopo ma

trzydzieści jeden lat i dopiero teraz się żeni.

Kiedy Amata oplotła go ramieniem, powróciły dawne doznania. Ostatnio tracił głowę w towarzystwie dziewcząt takich jak ona i Gina, odkrył też, że próbuje zrobić na nich wrażenie. Maria przepowiedziała, że wkrótce się zakocha. Czy właśnie tak to się zaczyna?

Był rozczarowany, chociaż bynajmniej nie zaskoczony tym, że Enzo nie zjawił się na wieczornej uczcie. Kuzynki, Amata i Vanna, aż nadto rekompensowały jego nieobecność. Błyszczały jak klejnoty - wykąpane, z długimi włosami lśniącymi od szczotkowania, ubrane w powłóczyście jasnoniebieskie szaty przewiązane w talii. Córka Guida, będąca najważniejszą osobą na przyjęciu, założyła nawet skromny diadem.

Goście jedli zgodnie z dworskim zwyczajem, dzieląc talerz z sąsiadem. Oczywiście, Vanna siedziała obok narzeczonego. Mimo tak radosnej okazji Jacopo włożył czarną togę notariusza - jedyna czarna plama w morzu słonecznych kolorów - i wyglądał tak, jakby pragnął jak najszybciej wrócić do pracy.

- Amatina usiądzie obok hrabiego Silvestrego - zarządził jej ojciec. Chłopiec był uszczęśliwiony i po raz pierwszy rad, że doktor Filippo siedzi z Ursem przy stole dla służby. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było spojrzenie czujnych oczu nauczyciela.

Kolejne toasty wznoszone na cześć narzeczonych sprawiły, że Silvestremu zaczęło wirować w głowie mimo licznych dań, których kosztował. Na szczęście zdołał wygłosić mowę gratulacyjną, którą przygotował z doktorem Filippem, przez cały czas stojąc, choć nieco chwiejnie.

Amata, która - podobnie jak jej młodszy brat - dostała tylko jeden kielich wina, przyglądała się Silvestremu badawczo, bawiąc się jego kłopotliwym położeniem, czekając, jak sądził, by wyszedł na głupca. Z trudem udawało mu się słuchać rozmów, choć dotarło do niego, że ślub odbędzie się za rok, w Todi. Vanna i jej rodzice mieli wkrótce pojechać do miasta, aby poczynić stosowne przygotowania.

Kolejne mowy, dźwięki muzyki i opowieści zlały się ze światłem pochodni i świec wypełniającym salę. Dolatujący z oddali głos Ursa stał się bardziej natarczywy. Wydawało się, że nawet wilki za murami zamku wyją z radością. Silvestre odnosił wrażenie, że słyszy głos trzeciego wilka dobiegający od strony lasu. Wytłumaczył sobie, że to niemożliwe. Jestem pijany, zdecydował, wiedząc, że to ostatnie jest całkiem prawdopodobne.

Heroicznym wysiłkiem woli prowadził rozmowę z Amatą, próbując przekrzyczeć narastający zgiełk. Później, obudziwszy się w środku nocy, w łóżu, w którym nie wiadomo jak się znalazł, stwierdził, że sufit nad nim wiruje. Na szczęście, poprzedniego dnia znalazł latrynę, fala mdłości bowiem gwałtownie pchnęła go w tamtą stronę.

Rozdział dwudziesty ósmy

Między tercją i sekstą goście stanęli na podworcu, szykując się do odjazdu. Większość miała podążyć do Todi i Asyżu. Silvestre i jego mała gromadka zamierzali wyruszyć razem z drugą grupą, aż do rozwidlenia drogi wiodącej do Wieży Wilka.

Silvestre był bez wątpienia najbardziej spokojny z całego towarzystwa. Bolały go skronie, czuł motylki w żołądku. Nie tknął śniadania. Kompani nie przestawali mu dokuczać, przypominając, jak to zasnął podczas uczy. Oczywiście najbardziej bezlitosna była Amata.

Kiedy miał już dosiąść konia, usłyszał głośnie sprzeczkę w pobliżu bramy. Po chwili udali się tam hrabia Buonconte i kilku innych. U wrót stali kupcy, których przywódca głośno wołał, że dawniej nigdy nie płacił myta w Coldimezzo.

Doktor Filippo pochylił się ku Silvestremu.

- Znam tego człowieka. To Angelo di Pietro Bernardone z Asyżu. Podróżowałem z nim kiedyś razem z twym bratem. Zanim się urodziłeś. Mężczyzna w rdzawoczerwonej pelerynie to pewnie jego syn, Dante. Wtedy był jeszcze dzieckiem. Ci młodszy też mogą być jego synami.

Hrabia przyłączył się do sprzeczki.

- *Buon giorno, signor Bernardone*. O co tyle zamieszania? Powtarzałem wielokrotnie, że po śmierci ojca nie będziemy ci okazywali żadnych szczególnych względów. Od tej pory, gdy zdarzy ci się przejeżdżać przez nasze ziemie i korzystać z dróg, będziesz musiał płacić myto jak pozostali.

Silvestre obserwował Amatę wchodzącą po schodach do górnej komnaty nad bramą. Spojrzała przez otwór strzelniczy na klócających się mężczyzn. Wypatrzył ją jeden z nastolatków stojących obok kupca. Kiedy rodzice się sprzeczali, odgrywał przed nią pantomimę. Owinął chusteczkę wokół palca, robiąc z niej kukielkę, by przyciągnąć uwagę dziewczyny. Poczzerwieniała na twarzy i odeszła od okna. Silvestre poczuł zazdrość.

Straciwszy Amatę z oczu, chłopak przerwał wygłupy i Silvestre mógł się skoncentrować na wiodących spór mężczyznach. Kłótnia stawała się coraz gwałtowniejsza. Buonconte uniósł pięść, podsuwając ją pod nos Bernardona. W pierwszej chwili Silvestre sądził, że hrabia zamierza uderzyć kupca, zrozumiał jednak, że Buonconte pokazuje mu pierścień. Przerażony Fabiano złapał ojca za ramię.

Szlachcic mówił z namysłem:

- Znam tajemnicę tego lazurytu, Bernardone. Ojciec zdradził sekret bractwa, gdy mi go

przekazał. Jeśli będziesz wszczynał awantury, pozna go cały świat. Klnę się na jego grób!

Twarz kupca złagodniała, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Popełniłeś poważny błąd, Buonconte - rzekł lodowato. - Zagroziłeś niewłaściwemu człowiekowi. - Zawrócił konia i rzucił przez ramię: - Zaczynij grzać zadek u bram szatana. Może cię wkrótce do siebie zaprosić.

Wręczył opłatę jednemu ze sług hrabiego i dał znak swoim towarzyszom. Goście z Asyżu pospiesznie się pożegnali, aby dołączyć do kupców. Niezależnie od zdania, jakie mieli na temat sprzeczki, której byli świadkami, wiedzieli, że podczas przejazdu przez Perugię będą bardziej bezpieczni w większej gromadzie.

Silvestre został. Ich czwórka miała do pokonania krótszą drogę, chciał się też pożegnać z Amatą. Dziewczyna znów wyjrzała z wieży strażniczej. Śledziła oddalających się kupców, a Silvestre zastanawiał się, czy wypatruje jednego z młodych jeźdźców.

Księżyc przechodził kolejne fazy cyklu w coraz cieplejszym powietrzu nowej pory roku. Kiedy wąż srebrna tarcza zaczęła opadać w kierunku zamku na zachodzie, dwa wilki skończyły obchód terytorium i wczołgały się do grotty położonej niecałe trzy kilometry dalej. Młodsze zwierzę zwinęło się w sennej pozie, lecz po chwili obudziło je stąpanie drugiego. Biały wilk wstał i zaczął krążyć wokół nory. Często przystawał, nasłuchując i węsząc. W końcu wypełził na zewnątrz i wrócił na szlak. Młodszy powłókł się za nim na chwiejnych łapach.

Teraz on również to poczuł - zgiełk i przeraźliwą woń dymu dochodzące od strony zamku w promieniach słońca wstającego za grzbietami gór.

Stary wilk bez wahania ruszył w tamtą stronę. Jego towarzysz biegł za nim co sił w łapach, czując ogień w piersi. Nigdy nie pokonali równie szybko tak długiego odcinka, nawet podczas polowania. Szybkość starego wilka zdumiała go. Przebiegli przez polanę, mijając wioskę zagubioną w lesie, wspinając się na wzgórze między drzewami. Pędzili w milczeniu przerywanym jedynie dyszeniem i odgłosem łap uderzających o leśne poszycie... dopóki nie dotarli do ziemnego obwałowania pod zamkiem. Ciszę brzasku przerywały jęki bólu i szczęk metalu.

Wilki stanęły jak wryte, wystawiając języki i ciężko dysząc. Po chwili jeden za drugim wspięły się na wał i przeszły przez otwartą bramę na podworec, gdzie toczyła się walka.

W ciągu miesiąca, który nastąpił po uczie, wieśniacy z Wieży, a także uczniowie doktora Filipa, trudzili się uprawą roli i sianiem zbóż jarych. Silvestre i jego nauczyciel

siedzieli w skrytorium, gdy do izby wpadł zdyszany Marcello.

- *Signore...* przybył jeździec... z Coldimezzo. Stało się coś strasznego...

Silvestre skoczył na równe nogi i pognał za rządcą, słysząc za plecami kłapanie sandałów bakalarza. Biegając przez główny dziedziniec, przypomniał sobie ostre rysy twarzy i groźny głos kupca. Na dziedzińcu ujrzał zdyszanego posłańca i pokrytego pianą konia.

- Zaatakowali nas, *signore!* - wysapał parobek. - Potrzebujemy pomocy!

- Kto? Zostaliście oblężeni?

- Gromada rycerzy... uderzyli i odjechali w stronę Asyżu. Trzeba pochować zabitych... przyda się każda para rąk, której zdołacie nam użyzyć.

Silvestre odwrócił się do rządcy.

- Zgromadź tylu ludzi i koni, ilu zdołasz. Pozostawimy załogę na zamku, gdyby napastnicy ruszyli w tę stronę. Obejmiesz dowództwo. Zbierz kmieci w obrębie murów.

Silvestre i drużyna, która miała się zająć pochówkiem, wyruszyli, gdy tylko osiodłano konie oraz załadowano na wóz łopaty, kilofy i motyki. Większość konnych i pieszych stanowili mieszkańcy ze wsi. Jadąc na czele pochodu, Silvestre wysłuchiwał opowieści posłańca.

Parobek sądził, że kilku napastników pod osłoną ciemności przedostało się przez ziemne obwałowanie i zabiło ludzi strzegących bramy. O świcie, gdy mieszkańcy zamku zaczęli wkładać przyodzievek, otworzyli bramę i do środka wdarła się reszta bandy, mordując kogo popadnie. Posłaniec uważał, że przybyli wyłącznie po to, aby urządzić rzeź. Zaskoczyli hrabiego Buoncontego i jego rodzinę w kaplicy, gdzie odmawiali poranne modły.

Silvestre poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

- Zamordowali pana i jego małżonkę - ciągnął chłopak. - Państwo nie byli uzbrojeni. Kiedy rycerze odjechali, jeden z naszych ujrzał Fabiana leżącego na skale poniżej kaplicy. Wskoczył lub został wypchnięty przez okno. Nie czekałem, by sprawdzić, czy oddycha... odjechałem najszybciej, jak się dało, by was zawiadomić...

- A jego córka, Amata?

- Nie widziałem jej, *signore*.

Silvestre spiął konia, wiedział jednak, że to daremne. W tych okolicznościach najbardziej pożyteczną rzeczą, jaką mógł uczynić, było dokonanie oceny sytuacji.

- Co z innymi członkami rodziny hrabiego Guida? - zapytał.

- Wyjechali do Todi, aby przygotować wesele - odparł sługa. - Wysłaliśmy do nich umyślnego, powiadomiliśmy też czarnych mnichów z Perugii, choć wiemy, że nie mogą nam pomóc. Idę o zakład, że gdyby hrabia Guido tu był, położyłby trupem kilku z nich.

Kiedy zbliżyli się do Coldimezzo, Silvestre ujrzał słup dymu, który przesłaniał południowe niebo, spowijając zabudowania upiornym pomarańczowym całunem. Na dziedzińcu na stołach podpartych kozłami, a także wprost na ziemi ułożono ciała zabitych. Wóz z dwoma ciałami jechał w stronę cmentarza pod zamkiem.

Silvestre posłał za nim kilku kmieci i furę z narzędziami, po czym zsiadł z konia i zaczął szukać wśród zabitych znajomych twarzy. Zwłoki hrabiego Buoncontego leżały ze skrzyżowanymi rękami na jednym ze stołów. Chłopiec ujął chłodną dłoń zmarłego, zamknął mu powieki i zmówił modlitwę za jego duszę. Kiedy otworzył oczy, zdziwił go pewien szczegół - brak pierścienia na palcu hrabiego. Zniknął pierścień, który hrabia podetknął kupcowi pod nos.

- Kto przyniósł tu zwłoki pana? - zapytał jakąś zawodzącą niewiastę. Spojrzała na niego zdumiona. Jej twarz bez wyrazu świadczyła o tym, że jest w szoku.

Czterej benedyktyni odziani w czarne habity przynieśli kolejne ciało w zakrwawionym prześcieradle. Ułożyli Fabiana w cieniu obok innych.

- Jeszcze dycha - rzucił jeden w stronę Silvestrego, oddalając się w pośpiechu. - Jest cały poturbowany. Potrzebujemy wozu, aby go przewieźć do klasztoru.

Chłopiec rozejrzał się, szukając człowieka, który tu dowodzi. Skinął na jednego ze swoich ludzi i kazał mu iść do zamkowej stajni.

- Pójdź z nim, braciszku, i rzeknij, czego potrzebujesz - poprosił.

Przyklęknął na jedno kolano i przesunął dłonią po bladej twarzy Fabiana. Gładząc włosy nieprzytomnego chłopca, pomyślał o Amacie.

- To syn hrabiego Buoncontego - powiedział. - Znaleźliście jego córkę? Jedenaście lat... mała...

Mnisi spojrzeli po sobie, lecz żaden nie odpowiedział. W końcu jeden rzekł:

- Musi być wśród tych, którzy tu leżą, *signore*... chyba że została już pogrzebana... Możesz sprawdzić z braćmi na cmentarzu.

Kiedy wieśniacy z Wieży i mnisi z San Pietro grzebali ciała, Silvestre krążył między zabitymi. Wypytywał robotników na cmentarzu i rozmawiał z ocalałymi, próbując odtworzyć wydarzenia tego ranka. W końcu udało mu się odnaleźć parobków, którzy przynieśli ciało hrabiego z kaplicy.

- Nie chcę obwiniać żadnego z was, lecz muszę to wiedzieć. Czy któryś widział niebieski pierścień na palcu hrabiego?

- Nie, *signore* - odparł jeden z mężczyzn. - Niczegośmy nie widzieli, wszystko było zakrwawione. Musiał się rzucić na *donnę* Cristinę, aby ją zasłonić. *Bastardi* przebili ich

jednym pałaszem.

- Może zabójcy zabrali go z jakiegoś powodu, *signore*? - podsunął drugi służący.

Silvestre przypomniał sobie sprzeczkę przy bramie i to, jak hrabia podetknął kupcowi pierścień pod nos.

- Mniemam, że zależy to od tego, kim byli zabójcy lub kto ich najął. A *signorina*? Widzieliście ją?

Studzy wzruszyli ramionami, rozkładając bezradnie ręce, lecz jakiś człowiek stojący w pobliżu rzekł:

- Zabrali ją, panie. Widziałem krew na sukni, gdy ją wlekli z sobą... ale nie wiem, ona to była czy inna...

- To szczęście, że uciekli, zanim zdążyli wybić nas wszystkich... - przerwał mu pierwszy

- Jakie szczęście... byłeś w kaplicy i nic nie widziałeś. Ocaliły nas wilki.

- Co powiadasz?! Jakie wilki?! - krzyknął Silvestre. - Nie powiedziano mi o wilkach.

- W życiu czegoś takiego nie widziałem, *signore*. Rycerze rozbiegli się po dziedzińcu i komnatach, podkładając ogień i zabijając wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Nagle przez bramę wpadły dwa wilki i zaszły ich z obu stron. Powaliły łotrów od tyłu, gryząc w te części ciała, których nie osłaniała zbroja. Rycerze nie mogli ich doścignąć pieszo, w ciężkich zbrojach. Znaleźliśmy dwóch leżących na plecach i posłaliśmy ich do piekła.

- Pewnikiem tańczą już z diabłem - dodał ktoś.

- Co się stało z wilkami? - zapytał Silvestre człeka, który rozpoczął opowieść.

- Na sam koniec wilki rzuciły się na konie tamtych, zapędzając niektóre do lasu. Wtedy zwierzchnik owych łotrów kazał im dosiąść koni, gdy jeszcze mogli, i odjechali.

- Czy któryś z wilków został ranny?

- Nie zauważyłem, *signore*. Puściły się w pogoń za konnymi... niektórzy jechali po dwóch, bo stracili wierzchowce. Wilki pognały za nimi traktem i straciliśmy je z oczu.

Silvestre uśmiechnął się lekko, chociaż stał pośrodku krwawej jatki. Dobrześ się sprawił, Angelo, pomyślał. Dziękuję tobie i twemu dziadkowi.

Po powrocie z Todi hrabia Guido rozpoczął żmudne naprawy w Coldimezzo: wznosił kamienny mur, zastępując nim ziemne obwałowanie. Najwyraźniej żaden święty czy anioł, ani nawet dusza zmarłego ojca nie obroniły ich domu przed napaścią.

Tożsamość rycerzy oraz los Amaty pozostały tajemnicą mimo poszukiwań prowadzonych w okolicach Asyżu. W ciągu pierwszego miesiąca po ataku hrabia miał

nadzieję, że zbójcy zażądadają okupu, lecz nic takiego się nie stało. Z upływem czasu Guido musiał pogodzić się z tym, że jeśli jego bratanica żyje, jest niewolnicą albo spotkał ją jeszcze gorszy los. Miał nadzieję, że nie przeżyła porwania.

Ślub Vanny i Jacopa odbył się kilka miesięcy później, niż planowano, a niemal po roku córka Guida urodziła *bambino*, któremu dano na imię Teresa. *Signore* Jacopo ledwie zauważył obecność drugiej niewiasty w domu. Vanna i jej słudzy czynili, co w ich mocy, aby płacz niemowlęcia nie przeszkadzał notariuszowi w pracy.

Ważniejsze dla Jacopa było to, że owego roku, a był to rok Pański 1267, w Todi dokończono brukowanie ulic - wcześniej niż w innym mieście Toskanii czy Umbrii. Wielka rada wyraziła zgodę na wzniesienie nowego Palazzo del Capitano del Popolo, aby dla całego świata był przykładem zamożności Todi. Zmiany owe wieściły jeszcze większy rozkwit interesu notariusza.

W małej Teresinie można było dostrzec iskierkę dziadka. Matka i córka często odwiedzały Coldimezzo, co było idealnym rozwiązaniem dla pochłoniętego pracą małżonka Vanny. Jacopo co jakiś czas przysyłał im listy, prosząc, aby żona wróciła do miasta i w jego imieniu udała się na ucztę lub publiczne zgromadzenie, dzięki czemu nie musiał wstawać od ksiąg. Często rola przybocznego przypadła Enzowi, co młodzieniec witał z wielką radością.

Kiedy hrabia Guido zauważył, że jego córka stała się blada niczym owsiany placek, wyjaśniła, że rzadko opuszcza swój dom w Todi. Co więcej, dodała, w mieście kobiety o bladej cerze uważane są za bardziej atrakcyjne. Bładość oznacza, że nie muszą przebywać na słońcu, jak ludzie z gminu, sługi i niewiasty niższego stanu. Guido prychnął, lecz zachował dla siebie, co o tym myśli. Wiedział, że córka musi bronić męża i żyć zgodnie z jego upodobaniem.

Hrabia zauważył, że chociaż córka zawsze była pobożnym dzieckiem, w ostatnim czasie stała się dewotką. Podczas wizyt na zamku godzinami przesiadywała w kaplicy. Chociaż Guido nie był mężem modlitwy, wymamrotał kilka próśb do Wszechmogącego w intencji swego dziecka i wnuczki, błagając o ich bezpieczeństwo i szczęśliwe małżeństwo. Szczerze znieubił posępnego, chciwego zięcia, który nie odwiedził ich na wsi od czasu zaręczynowej uczyty.

Karol Andegaweński wykonał kolejny ruch. Gdy Teresa przysła na świat, najechał ziemie położone na południe od Rzymu. Rok później Paganello napisał do doktora Filippa, opisując najazd Andegawenów na królestwo Neapolu. Bakalarz przechadzał się po galerii nad wielką salą, czytając słowa przyjaciela:

Pod Benevenuto Karol startł się z wojskami Manfreda, pokonał i zabił syna Fryderyka. Później ogłosił się królem Neapolu i Sycylii. Niektórzy nie są wszakże pewni, czy jego przeciwnikiem był Manfred, na południu bowiem pojawiła się cała rzesza fałszywych Manfredów, których Karol wycinał jednego po drugim. Uwięził również żonę i synów Manfreda.

Filippo słyszał coś jeszcze na temat synów Manfreda. Przyniósł na wieczerzę list. Silvestre i inni mężowie na zamku w napięciu śledzili dramaty rozgrywające się w świecie. Szybko zjedli i gdy tylko uprzątnięto stoły, skupili się wokół bakałarza.

Kiedy Filippo dotarł do fragmentu o Manfredzie, odłożył list.

- Pewnikiem dwaj chłopcy nie byli nawet świadomi swojego losu - stwierdził. - Widzicie, Manfred wychowywał ich w zamknięciu, odizolowanych od świata, niczym zwierzęta w klatce. Nikomu nie pozwolił z nimi rozmawiać. Nie nauczyli się żadnego ludzkiego języka, ich ojciec bowiem był ciekaw, jaką mową będą władali, jeśli wszystko pozostawi naturze. Okazało się, że pochrząkiwali jak świnie...

- Dostał więc to, na co zasłużył - prychnął Urso. - Choć w młodości można było wziąć Marcella za prosiaka - dodał.

Słuchacze zaczęli żartować, lecz Filippo oparł palce na dolnej wardze, nad czymś dumając.

- Gdybyśmy umieli porozumieć się z dzieciątkiem w łonie matki - rzekł - opowiedzieć mu o rzekach, lasach i gwiazdach, a ono potrafiłoby nam odpowiedzieć, czy nie rzekłoby, że zmyślamy? „Nie znam niczego prócz mrocznego, ciepłego morza, po cóż zawracasz mi głowę tymi fantazjami?”. Pewnikiem tak zareagowałoby synowie Manfreda, gdyby pozostawić ich w celi. Można się też zadumać nad inną sprawą... O ile wiadomo, dzieci pozbawione bodźców, które rozpraszają uwagę, mogłyby wejrzeć w prawdziwą naturę rzeczy lepiej od najmędrszych, najbardziej przenikliwych znawców kabały.

Rozłożył pergamin, szukając miejsca, w którym przerwał

- Po usunięciu bękarta - czytał dalej - Karol zwrócił się przeciwko ostatniemu prawowitemu dziedzicowi Fryderyka, jego wnukowi Konradynowi. - Podniósł wzrok, spoglądając na słuchających. - Ów Konradyn był nieszczęsną istotą. Miał zaledwie szesnaście lat i wołałby zapewne grać w ciuciubabkę z żołnierzami. - Użył czasu przeszłego, aby opisać młodego króla, znał już bowiem ponury koniec opowieści Paganella. - Trudno to uznać za równą walkę - podsumował. - Karol pojmał chłopca w Tagliacozzo i kazał go stracić mimo

protestów papieża.

- Bogu niech będą dzięki, że nie zainteresował się nami, maluczkimi - westchnął chudy mąż siedzący w oddali.

- Amen - przytaknął Filippo. - Karol należy do tych, których kronikarze zwa „najsławniejszym na ziemi myśliwym przed Panem”, co uznać trzeba za dyplomatyczne określenie tyrana. Kronikarze, podobnie jak my wszyscy, pragną jak najdłużej cieszyć się życiem. - Pociągnął spory łyk wina i kontynuował: - Karol należy do tych, którzy nie potrafią znieść, że mogliby zostać przewyższeni przez innych. Krąży opowieść o rycerzu z okolic Rzymu, który chęłpił się, że nikt go nie pokona w pojedynku. Słyszac, jak ludzie śpiewają o nim pieśni, Karol tak bardzo się wzburzył, że wyzwiał go na ubitą ziemię, nie wyjawwszy, kim jest. Spotkali się w polu, walcząc zębami i pazurami, zderzając się z sobą jak konie. Pojedynek dobiegł końca, gdy Karol zwałił się na ziemię bez czucia.

Filippo uśmiechnął się cierpko.

- Choć wojownicy słyną raczej z krzepy niż rozumu, czasami postępują równie mądrze jak kronikarze. Kiedy ów rycerz z Kampanii dowiedział się, że mąż, którego pokonał, jest królem, roztropnie wyjechał z kraju. Okazało się, że Karol nie myślał o zemście, lecz o rewanżu w szrankach. Kiedy odzyskał przytomność, chciał jedynie podjąć przerwana walkę, chociaż medycy orzekli, że ma dwa złamane żebra. Na szczęście dla Karola, jego przeciwnik dawno zniknął. - Uderzył zwiniętym listem w stół. - I tak pozostało do dziś - rzekł. - Nasz przyszły cesarz zajął Neapol i Sycylię i Bóg jeden wie przeciwko komu się teraz zwróci. Paganello sądzi, że kolejnym celem jego ataku mogą być Genewa i miasta gibelinów na północy. Jeśli zaś o mnie chodzi, ciekaw jestem, jak Sycylijczycy przyjmą garnizon Andegawenów stacjonujący na ich ziemi. Mają oni przysłowie: „Spokojne antylopy to bezbronna zdobycz”. Nie będą biernie skubali trawy, patrząc, jak lwy andegaweńskie trzebią ich stada.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Gdy pamięć o napaści w Coldimezzo nie była już tak żywa, w Wieży Wilka i okolicznych wsiach znów zapanował spokój. Wiejskiemu życiu rytm nadawały zmiany pór roku. Początkowo kmiecie powrócili do swoich zajęć, lecz wciąż byli zaniepokojeni, nikt bowiem nie miał pewności, skąd przybyli tajemniczy jeźdźcy, ani co było motywem ich działania. Robotnicy rozglądali się trwożnie, przenosząc wzrok z dających schronienie zamkowych wież na las i pola, lecz gdy w ciągu kilku miesięcy nie wydarzyło się nic groźnego, powrócili do dawnego życia.

Także Silvestre, chociaż czasami miewał niespokojne sny pełne obrazów rzezi i zaginionej Amaty, wrócił do nauki i zarządzania majątkiem. Kiedy skończył dziewiętnaście lat, tragiczne wydarzenia stały się jedynie odległym koszmarem.

Trudno było uwierzyć, że minęło siedem lat od czasu, gdy razem z Nellą opuścili miasto! Okres spędzony w Wieży wydawał mu się spokojny, choć w sąsiednim Coldimezzo uznano by go za burzliwy. Silvestre poznał ludzi mieszkających w okolicy zamku i nigdy nie opuszczał ważnych wydarzeń w wiosce - czy były to chrzest, wesele, pogrzeb, kościelne święto, czy zabawa z okazji zakończenia żniw. Często odwiedzał uczniów doktora Filippa, których ten miał piętnastu, aby pomagać im w czytaniu. Przynosił kurę lub gomółkę sera, by cała rodzina miała radość z jego wizyty.

Młody hrabia był bardzo lubiany przez swych poddanych. Był przystojny i szczodry, nigdy też nie wykorzystał swojej pozycji, aby ich gnębić, jak czynili to dawni panowie Wieży Wilka. Poprzedni Lorenzini zapadli im głęboko w pamięć.

Co bardziej spostrzegawczy wieśniacy zauważyli, że hrabia Silvestre zwraca szczególną uwagę na pewną uczennicę. Nic dziwnego. Piętnastoletnia Gina Paoli wyrosła na piękną pannę o różanych policzkach, a urodę jej delikatnych rysów i błyszczących brązowych oczu podkreślał dodatkowo czepek zakonnicy. Co więcej, dzięki swemu panu była najlepiej wykształconą dziewczyną w wiosce.

Z powodu złożonych ślubów, a także by zapobiec plotkom, jedno z rodziców panny zawsze uczestniczyło w lekcjach z udziałem hrabiego. Jeśli uważali, że nazbyt pospiesznie złożyli obietnicę Kościołowi, dobrze to ukrywali. Byli zdecydowani, że w dzień szesnastych urodzin dziewczyna wstąpi do zakonu Ubogich Pań z San Damiano w Asyżu, tak jak przysięgli zmarłej matce Klarze.

Silvestre okazywał zrozumienie dla sytuacji dziewczyny, chociaż ukradkowe spojrzenie

jej ciemnych oczu czy uśmiech wdzięczności sprawiały, że żołądek mu się ścisnął, a nogi trzęsły jak galareta. Kiedy uczyli się wspólnie w zamkowym ogrodzie, zawsze towarzyszyła im Nella, odgrywając rolę *scorsa* i przyzwoitki, chociaż jej serce pragnęło, aby tych dwoje mogło się kiedyś połączyć. Gdy siedzieli obok siebie na ławie, czytając księgę i wdychając wonne powietrze, pilnowała, aby pod rozłożonymi kartami nie dotknęli się dłońmi lub kolanami ani nie pochylili bardziej niż wypada. Jeśli mimo największej czujności czasem do tego doszło, była bowiem zbyt zajęta szyciem, któż o tym wiedział prócz samych zakochanych?

W spisku uczestniczył nawet doktor Filippo. Spełniając życzenie kapelana, starannie dobierał księgi, które czytali. Oczywiście lista lektur nie obejmowała poezji Owidiusza, wiedział bowiem, jak może podziałać na nieprzygotowany umysł.

To on zasugerował, aby hrabia pojechał do Asyżu poznać nową przeoryszkę San Damiano. Oprócz niej tylko piwniczna kontaktowała się z ludźmi z zewnątrz, nawet wtedy jednak goście musieli przekazywać jej wiadomości przez kratę w głównej bramie klasztoru. Nauczyciel powiedział Silvestremu, jaka powinna być treść jego listu.

Po niecałym tygodniu Silvestre otrzymał od zakonnicy dwa listy. Aby zachować pozory neutralności, pozwolił, by nauczyciel Giny dostarczył pismo adresowane do jej rodziców. Doktor Filippo stanął obok, słuchając, jak dziewczyna odczytuje wiadomość, na wypadek gdyby miała jakiś problem z jej zrozumieniem. Skinęła głową, czerwieniejąc na twarzy i wyginając wargi w ledwie widocznym uśmiechu.

Przeorysza pisała, że z powodu sytuacji klasztoru Ubogie Panie zwalniają rodzinę Paoli ze złożonego ślubu. Gina będzie mogła, jeśli zechce, wstąpić do klasztoru lub zrezygnować wedle swego życzenia. Niezależnie od ostatecznej decyzji będą się modliły za jej duszę.

Drugie pismo, w którym przeorysza dziękowała hrabiemu Silvestremu za hojny dar na nowe dormitorium, pozwalające zaspokoić potrzeby rozrastającego się klasztoru, pozostało w szufladzie pulpitu w jego skrytorium. Powściągliwa radość zakonnicy zbladła w porównaniu z radością wieśniaków, którzy dowiedzieli się, że dziewczyna, będąca jedną z nich, zaręczyła się z paniczem na zamku. Młoda para zaplanowała ślub w szesnaste narodziny Giny, w czerwcu następnego roku, w dzień, w który miała zostać oblubienicą Chrystusa.

Silvestre pamiętał o ostrzeżeniu Marii. Nie pozwolił, aby obyczaj stanął między nim i pragnieniami jego serca. Jeśli naruszenie porządku wszechświata zaniepokoiło zamkowego kapelana, nie wyraził na głos swojego zdania. Miał odprawić mszę ślubną... a właściwie dwie, jak się później okazało.

Kapelan wierzył w inne uniwersalne prawo głoszące, że każde radosne wydarzenie musi zostać zrównoważone smutnym. Każda dobra wiadomość musi znaleźć swój negatywny odpowiednik, aby w życiu człowieka panowała równowaga. Owa filozofia sprawiła, że chociaż okazał zdumienie, jak pozostali mieszkańcy Wieży, nie był wszakże wstrząśnięty, gdy pewnego dnia w zamku zjawił się posłaniec hrabiego Guida z porażającymi wieściami. Radość, z jaką powitano w Coldimezzo narodziny Teresiny, przyćmiło wielkie nieszczęście.

Umyślny opisał, jak z Todi przybył na zamek utrudzony jeździec. Hrabia Guido wiedział, że to pomocnik jego zięcia, Enzo. Młodzieniec wolał przyjechać sam, zamiast wysłać posłańca.

Kiedy hrabia wyszedł na podworec, aby się z nim przywitać, notariusz wybuchnął płaczem. Jechał od świtu bez jadła i napoju, więc wyczerpanie, szok i rozpacz w końcu wzięły górę. Guido pomógł mu zsiąść z konia i posadził przy małym stole w komorze obok kuchni. Poprosił, aby podać kielich wina i jadło gościowi, który płakał jak bóbr z twarzą ukrytą w dłoniach. Guido czekał w milczeniu, aż tamten przemówi.

- Odeszła, *signore*... twoja piękna Vanna - wykrztusił. - *Signore* Jacopo stracił północny wiatr... szaleje ze smutku... Nie sądziłem, że jest zdolny do takich uczuć.

Obaj próbowali zapanować nad emocjami, gdy Enzo kontynuował opowieść:

- Poszła na bal... który pewien szlachcic wyprawił z okazji urodzin żony... towarzyszyłem *donnie* Vannie, aby jej mąż mógł spokojnie pracować w kantorze. Wszyscy tańczyli... było ciepło... poszedłem, by przynieść jej coś do picia. Stała, wachlując się pod balkonem, na którym siedziało wielu grajków. Gdy tylko się odwróciłem, usłyszałem wielki huk... jak grom rozdzierający mury... uderzenie wstrząsnęło posadami całego domu.

Serce hrabiego zamarło.

- Galeria? - zapytał szeptem.

Enzo skinął głową.

- Zbyt wielu grajków. Nie utrzymała ciężaru... Vanna zginęła zmiażdżona. Wydobyliśmy ją spod gruzu. Pomogłem zanieść ją do domu.

Przyniesiono wino i notariusz wychylił zawartość kielicha jednym haustem. Wciągnął powietrze w płuca i podjął opowieść:

- Czekaliśmy w holu przed komnatą, gdy służki rozebrały i obmyły jej poranione ciało. Posłaliśmy po *signore* Jacopa, który przybiegł co sił w nogach i wszedł do komnaty. Usłyszałem jęk, jakiego wcześniej nie znałem. *Signore* wypadł z pokoju i przebiegł obok mnie, jęcząc i rwąc włosy z głowy.

Guido słuchał w milczeniu, spuściwszy wzrok, chociaż jego pierś i ramionami co

chwila wstrząsał szloch. W końcu ozwał się spokojnym głosem:

- Powiem żonie. Wyruszymy do Todi o świcie. Dziękuję ci, Enzo. Wiem, że opiekowałeś się moją córką... bardziej niż jej mąż.

- Wielki jest jego smutek - odparł młodzieniec. - Albo poczucie winy. Jedna ze służek rzekła, że gdy rozebrały Vannę, pod miękką suknią znalazły włosiennicę. Kiedy *signore* ją ujrzał, zrozumiał, że nosiła ją, by odkupić jego winy.

Enzo przypomniał sobie inną ważną rzecz:

- Rozmawiając z żoną, *signore*, zasugeruj, aby sprowadzić Teresinę do Coldimezzo. Jacopo w obecnym stanie ducha nie będzie mógł się nią zająć.

Następnego ranka Enzo wrócił wraz z pogrążonymi w smutku rodzicami do miasta. Guido wysłał też umyślnego do Wieży, mając nadzieję, że Silvestre będzie mógł wziąć udział w mszy żałobnej w Todi lub późniejszej uroczystości pogrzebowej w Coldimezzo. Silvestre przybył na pogrzeb i spędził tyle czasu, ile zdołał, na pocieszaniu przyjaciela i zdruzgotanych rodziców Vanny.

Po zakończeniu żałoby Enzo objął stanowisko, które jego zmarły ojciec, jak na ironię, zaplanował dla najstarszego syna, zaginionego Angela. Iacobello Lorenzini nie miałby takich planów wobec bękarta, lecz opiekun chłopca, *maestro* Maccabeo, wypełnił pustkę pozostawioną przez ojca. Klienci znali Enza, którego pamiętali z okresu terminowania u Maccabea, i ufali mu, więc zapewniali młodemu notariuszowi stałą pracę i dochody.

Jego pracodawca - Jakub z Todi¹¹, jak nazywano go od tej pory - nigdy nie powrócił do swego domu i praktyki prawniczej. Kiedy Enzo prosperował, Jakub zyskał sławę obłąkanego świętego, wędrownego *bizzacone*. Chodził po wsiach i miasteczkach Toskanii i Umbrii odziany w długą, lnianą pelerynę z prostym znakiem krzyża. Zapuszczał się w najgłębsze otchłanie żalu i przygnębienia wywołane wspomnieniem swojego dawnego skąpstwa i wizją anielskiej, cierpiącej w milczeniu żony.

Niezależnie od tego, jak bardzo wysiłał umysł, brat Angelo nie potrafił przypomnieć sobie niczego, co wydarzyło się po trzech miesiącach spędzonych w lesie. Uznał, że jego umysł nie był wówczas zdolny do ludzkiego myślenia i zapamiętywania.

Doszedł do wniosku, że wiódł żywot znacznie czystszy niż wówczas, gdy był człowiekiem, kierując się raczej instynktem niż podszeptami umysłu. Nawet teraz, kiedy księżyc był w pełni, a jego promienie zaczynały przenikać do celi, wywołując w nim zmiany,

¹¹ Jakub z Todi (1230-1306) - poeta i mistyk franciszkański, twórca pieśni i traktatów; hymn jego autorstwa, *Stabat Mater dolorosa*, wykorzystał Giovanni Battista Pergolesi w swym dziele *Stabat Mater*.

ogarniał go dziwny spokój. Wolał stan zwierzęcy od wewnętrznego rozdarcia brata Angela.

Objął mu to brat Konrad.

- Zwierzęta nie wątpią w siebie - tłumaczył. - Czynią jedynie to, co każe im Stwórca, ni mniej, ni więcej, bez żadnych ukrytych intencji. Żadne zwierzę nie powiedziało Bogu „przepraszam”. W odróżnieniu odeń człowiek poniża samego siebie niegodnymi czynami, z czystej złości gnębiąc inne stworzenia. W ten sposób wypacza pierwotny umysł, z którym się narodził, umysł niewinnego dziecka lub zwierzęcia. Każde wykroczenie oddala go coraz bardziej od źródła i pogrąża w rozpacz. To nie zwierzęcą naturę człowiek musi w sobie ujarzmić, bracie, lecz niespokojny umysł, z którego wypływają jego nienaturalne pragnienia.

Czy jego przebywanie w wilczej postaci trwało miesiące, czy lata? Bez wątpienia, jak każde zwierzę śledził upływ czasu na podstawie zmian pór roku, chłodnej i ciepłej pogody, grubości sierści, zmian kierunku wiatru, wędrówek ptactwa i tropionej zdobyczy. Jako zwierzę nie posługiwał się kalendarzem, podobnie jak teraz, gdy tkwił w wiecznie chłodnym lochu.

Jedynie legendy o jego pobycie na cmentarzu, mówiące, że musi spędzić siedem lat w skórze wilka, dostarczały pewnej wskazówki co do długości wygnania. A może doszedł do tej liczby, gdy odzyskał dawną postać i zapytał innych, jak długo był nieobecny? Może zaczerpnął tę wiedzę z opowieści, zakładając, że kara będzie odpowiadać archetypicznym cyklom? Siódemka była cyfrą mistyczną - siedem lat brzmi dobrze, także jeśli uwzględnić czas, jaki spędził, nawiedzając okoliczne kościoły. Wszystko zatarło się w jego pamięci, zapamiętał jednak - choć niejasno - zmagania i przeszywający ból, który odczuwał, na powrót stając się człowiekiem.

Angelo zamknął oczy i dotknął skroni koniuszkami palców, starając się odtworzyć ówczesny stan swojego umysłu. Krążył samotnie po lesie, w ciemnym świetle ćwiartki księżyca. Pamiętał, że gnał przez gęstwinę za pokwikującym warchlakiem. Zwierzak był zmęczony i biegł coraz wolniej wąską ścieżką. Angelo dopędził zdobycz i zatopił kły w jej grzbiecie, przygwałdzając warchlaka do ziemi, lecz ta nagle się pod nim rozstała.

Nie nadział się na pal tylko dlatego, że leżał na grzbiecie innego zwierzęcia. Usłyszał przeraźliwy pisk dobiegający z dołu, który zgasł równie szybko jak żywot warchlaka. Dzik nadział się na jeden z pali wkopanych w dno pułapki. On też wył z bólu. Inny zaostrzony kij przeszył mu prawe biodro, unieruchamiając go w niewygodnej pozycji. Każda próba uwolnienia się zwiększała lęk i ostry ból.

Jego ciało stało się dziwnie ciężkie, jednak po chwili skóra zaczęła się rozciągać na wszystkie strony. Poczł zimno i zaczął drzeć. Próbował odpowiedzieć, słysząc wycie starego

wilka, lecz głos uwiązł mu w gardle. Zdołał jedynie wydać krótki rozdzierający krzyk. Stracił przytomność i nie dowiedział się, czy dziadek go usłyszał.

Rok 1270 był rokiem wielkich zmian od krańców Morza Śródziemnego po Wieżę Wilka. W zamku najważniejszymi wydarzeniami były oczywiście ślub Silvestrego i Giny oraz trwające tydzień wesele.

W ciągu dwóch ostatnich lat doktor Filippo skupił uwagę na młodszych uczniach, Silvestre zaś odgrywał raczej rolę asystenta niż żaka. Na kilka tygodni przed ślubem bakałarz wziął ponownie młodego panicza pod swe skrzydła. Chciał mu przekazać garść rad. Nie żeby życie wędrownego, ubogiego nauczyciela nauczyło go czegoś na temat kobiet; dużą część tej wiedzy zaczerpnął z uczonych traktatów o małżeństwie.

- Nigdy nie zapominaj o świętości waszego związku - prawił. - W każdych okolicznościach czcij swoją panią i postrzegaj ją w najlepszym świetle. Nie okazuj jej gniewu ani nie używaj plugawego języka, niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, by ją uderzyć... Wiem, że byś tego nie uczynił, *signore*...

Marcello, człek żonaty od kilku dobrych lat, miał dla Silvestrego bardziej praktyczne wskazówki, podobnie jak jego owdowiały ojciec. Obaj opowiadali mu o zachowaniu niewieścim, z którym będzie się spotykał na co dzień, o tym, jak sobie radzić z przykrymi nawykami lub zmianami nastroju. Rady Ursa, starego i doświadczonego, podkreślały umiar i cierpliwość bardziej niż rady jego syna.

- Marcello słusznie powiada, że czasem to, co Gina będzie czyniła, doprowadzi cię na skraj obłędu - mówił starszek. - Spróbuj jednak sięgnąć głębiej i odgadnąć, dlaczego tak się zachowuje, a odkryjesz, że coraz bardziej ją miłujesz. Pamiętaj, najważniejsze, abyś nie dał się zbić z pantałyku jak Marcello.

W końcu Silvestre zaczął podejrzewać, że małżeństwo to znacznie bardziej skomplikowana sprawa, niż mu się zdawało, nadal jednak przyjmował wszelkie rady. Ci trzej byli dla niego ojcem, starszym bratem i dziadkiem, których nigdy nie poznał. Zapewnił doktora Filippa, że jeśli zechce, może u niego mieszkać do końca życia i uczyć dzieci ze wsi, dopóki będzie mu to sprawiać przyjemność.

Teraz, gdy Silvestre i Gina się zaręczyli, wolno im było się dotykać... oczywiście w dopuszczalnych granicach, często więc ściskali się za ręce, aż czerwieniały im palce. Chociaż doktor Filippo nadal trzymał uczniów z dala od Owidiusza, pożyczył im *Canticum Cantorum*, Pieśń nad pieśniami, czując, że powinni zdobyć pewną wiedzę na temat miłości. Silvestre i Gina siedzieli na dziedzińcu, czytając pierwsze strofy księgi: *Niech mnie ucałuje*

*pocałunkami swych ust*¹²...

Gina westchnęła, unosząc głowę. Był to jej pierwszy pocałunek. Gorliwy Silvestre chybił i trafił w bok nosa. Dał się porwać fali długo hamowanego głodu, całując szyję i policzki ukochanej. Przypomniawszy sobie nawet fragment wiersza Angela i polizał jej ucho. Dziewczyna jęczała, gdy to czynił. Jej długie czarne włosy oplatał czepek z siatki. W końcu ogarnął ich lawendowy zapach, kiedy usta Silvestrego połączyły się z jej ustami. Gdy przysunęła się bliżej, dotykając jego ramienia pierśią opiętą tkaniną sukni, pomyślał, że zemdleje.

- Dzień dobry, dzieci! - usłyszeli głos Nelli dochodzący z odległego końca ogrodu. - Przepraszam, że się spóźniłam. Nie mogłam znaleźć koszyka z szyciem. Piękny dziś dzień, prawda?

Zaiste, pomyślał Silvestre, gdy się od siebie odsunęli i wrócili do lektury. Wskazał kolejny fragment księgi i szepnął Ginie do ucha:

- Czy miłość twa przedniejsza od wina?

Spuściła głowę, koncentrując uwagę na słowach, dostrzegł jednak na jej policzkach dołeczki świadczące o tym, że się uśmiecha.

- Wkrótce się przekonasz - szepnęła.

Tej nocy Silvestre rzucał się niespokojnie na posłaniu, spocony; lękał się, że może dostać gorączki. Zrzucił przykrycie, co ochłodziło jego ciało i sprawiło, że przestał odczuwać pożądanie, a zaczął rozmyślać o swojej ukochanej. Podeszedł do otworu strzelniczego i spojrzał na jej dom pod zamkiem, po raz setny licząc, ile dni pozostało do chwili, gdy będą sami w komnacie. Wyobraził sobie, jak ukochana śpi w swojej chatce, ciekaw, czy siłą woli mógłby nawiedzić jej sny i wspólnie odtworzyć ranek w ogrodzie. Kiedy dumał nad tym, czy to możliwe, drzwi chatki się otworzyły. Gina wyszła na dwór w nocnej koszuli, unosząc ją i opuszczając, jakby się wachlowała. Kiedy odwróciła głowę i spojrzała w stronę zamku, zrozumiał, że o nim śniła.

Czy ich dusze opuściły ciała i spotkały się na nocnym niebie ponad wioską? Silvestre odniósł takie wrażenie, gdyż fala czystej rozkoszy, która przeszła jego odrętwiałe ciało, też wydawała się prawdziwa.

Kiedy Gina wróciła do chaty, Silvestre spojrzał na nagie wzgórza za wioską i las, który się za nimi rozciągał. Dostrzegł samotnego wilka idącego w stronę polany. Zwierzę zamarło na chwilę, wydając żalosne wycie, ponure jak wołanie śmierci. W bladym świetle księżycy w

¹² Pnp 1,1.

nowiu Silvestre nie był pewny, czy wilk jest biały, czy rudawoszary.

Uświadomił sobie, że od tygodnia nie słyszał dwóch zwierząt. Czyżby starszy wilk padł? Modlił się, aby nie było to prawdą. Może samotnie polowały w ostatnie noce? Zapragnął objąć oba wilki przepelnionym miłością sercem, aby poczuły jego radość i miały w niej udział.

Rozdział trzydziesty

Im mniej czasu pozostawało do nocy poślubnej, tym częstsze i mniej dwuznaczne stawały się rady napływające z zamku i wioski. Młodzi wysłuchiwali wskazówek, choć często czerwienieli i drapali się w głowę. Wir przygotowań sprawił, że Silvestre zapomniał o wilkach.

- Pierwszej nocy Gina może się niepokoić bardziej niż ty - przestrzegł młodego pana doktor Filippo. - To normalne, że możecie czuć się niezręcznie, skoro żadne z was nie ma doświadczenia w tych sprawach. Oprócz tego może być przestraszona. Bądź delikatny. Z pewnością dojdzie do krwawienia. Jeśli będziesz zbyt mocno napierał, możesz sprawić jej ból. Uważnie patrz i słuchaj. Powie ci, czy chce, abyś zwolnił lub przyspieszył.

W wiosce matka Giny tłumaczyła:

- Będzie lepiej dla was obojga, jeśli każesz mu trochę pocierpieć.

- Cierpieć? - zdziwiła się dziewczyna. - Mam torturować męża, którego miłuję?

- Tylko odrobinę - uśmiechnęła się matka. - Całuj go, pozwól obejmować swe piersi i pieścić. To wzbudzi jego pożądanie. Dopóki oboje nie zaczniecie płonąć z pragnienia, nie powinnaś mu pozwolić, aby włożył miecz do pieca.

- Pieca? Czemu używasz takich śmiesznych określeń?

Kobieta zachichotała.

- Sama znajdziesz odpowiedź.

- Silvestre - tłumaczył bakałarz - po ślubie powinieneś przestrzegać diety. Pikantne przyprawy i czerwona papryka wzmagają potencję, a jaja i wino, a także ostrygi i ryby dodają mocy.

- Powinnaś unikać dwóch rodzajów jada - ostrzegała matka Giny. - Por i czosnek oraz pewne zioła sprawią, że będziesz miała nieprzyjemny oddech. Inne rodzaje jada, jak fasola, powodują wzdęcia. Skoro mówimy szczerze, pamiętaj o skromności i pozwól, aby mąż pierwszy korzystał z wygodki.

Dziewczyna przechyliła głowę z wyrazem zdumienia na twarzy.

- Rozmawiamy szczerze - mówiła matka. - Gdybyś uczyniła to pierwsza, małżonek mógłby poczuć odrazę, gdyby zobaczył... to, co wydalasz...

- Niewiastę można obejmować na wiele sposobów - wyjaśniał Filippo - przy czym kolejność pieszczot może zwiększać lub zmniejszać przyjemność ukochanej. W *Pieśni nad pieśniami* oblubieniec trzyma lewą dłoń pod głową kochanki, pieści ją zaś prawą. Od tego

możesz zacząć. Objęcia takie nieuchronnie wiodą do pochwy ukochanej, do której wejście przebiegają dreszcze najwyższej rozkoszy.

Bakałarz poczerwieniał i przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się, jak wiele szczegółów zdoła zdzierżyć nieszczęsny Silvestre.

- W pieśni Salomona jest fragment, który to opisuje - wykrztusił w końcu, otwierając egzemplarz Silvestre i Giny na słowach: *Ukochany mój przez otwór włożył rękę swą, a serce me zadrżało z jego powodu*¹³. Co według ciebie oznaczają te słowa?

- Czy w owym rozdziale kochanek nie prosi oblubienicy, by otworzyła przed nim drzwi ogrodu?

- By z miejsca owego mógł dotknąć jej łona? Porozmawiajmy otwarcie... - zaczął nauczyciel.

- O czym zatem prawi król Salomon? - chciał wiedzieć Silvestre.

Doktor Filippo dotknął palcem warg i ściszył głos.

- To wiedza tajemna - rzekł. - Sens tych słów wyjawiał mi pewien saraceński medyk. Opisują one, jak przedłużyć rozkosz twojej ukochanej. Na górnej ścianie łona - tłumaczył - w takiej odległości od otworu - rozstawił palec wskazujący i kciuk - znajduje się miejsce, które ludzie mieszkający za Indusem uważają za święte. Pieszcząc je, dostarczysz żonie nieprzerwanej rozkoszy, znacznie zwiększając wydzielanie miłosnej rosy. Pamiętaj jednak, że moc owego miejsca jest potężna. W przypadku białogłowy tak młodej jak Gina, powinienesz postępować ostrożnie. Trzymaj tę pieszczotę w zapasie jako szczególny dar, który jej ofiarujesz, kiedy wasze dusze się połączą.

Połączenie dusz? Silvestre przypomniał sobie noc, gdy on i Gina unosili się w snach ponad wioską, ciekaw, czy takie połączenie miał na myśli bakałarz. A może w ogóle nie chodziło mu o połączenie bezcielesne?

W wiosce poniżej zamku jedna z ciotek Giny przyniosła kiełbasę długości deseczki do krojenia i zaczęła żartować z siostrzenicy, demonstrując wszelakie pocałunki, uściski i ruchy. Twarz dziewczyny zapłonęła rumieńcem, kiedy matka stanęła w drzwiach i z nachmurzoną miną uciszyła siostrę.

- Sama się tego nauczy, siostrzyczko - powiedziała. - Nie strasz dziewczęcia przedmiotem takiej wielkości.

- Chciałabym sprawić rozkosz Silvestremu - wtrąciła Gina, mimo zakłopotania. - Chcę, aby mnie pragnał.

¹³ Pnp 5,4.

- Silvestre ma dziewiętnaście lat - zaśmiała się rodzicielka. - Wierzaj mi, że nie musisz się o to martwić.

- Po chwili największego uniesienia - zakończył Filippo - przemawiaj do niej z wielką czułością. W ten sposób dasz dowód, że to ją miłujesz, a nie jedynie rozkosz zbliżenia. - Rzekłszy te słowa, podrapał się za uchem, próbując sformułować ostatnią myśl. - Miłość i prokreację otacza aura tajemna, którą wedle mego pojęcia niewiasty rozumieją, zanim się narodzą. My, mężczyźni, możemy jedynie stawać przed nią w bojaźni i drzeniu, jak Abraham przed płonącym krzewem. Możemy jedynie uszanować sekrety miłości oraz białogłowy, które ich strzegą.

Do rad innych starszych dodał swoje kapelan. Wezwawszy do siebie młodych, przeczytał im fragment z Księgi Tobiasza o tym, jak to syn patriarchy Tobiasz i jego oblubienica Sara przegnali demona z małżeńskiej komnaty:

- Umieść kadzidło oraz rybie serce i wątrobę na piecyku z węglem drzewnym. Smród, który się uniesie, odpędzi wszelkie złe duchy, które próbują przeniknąć do izby. Aby zapewnić sobie jeszcze większą ochronę, *signore*, przed udaniem się do łożnicy powinienesz wspólnie z małżonką odmówić modlitwę Tobiasza.

Ksiądz wręczył Silvestremu kopię owej modlitwy, aby umieścił ją na narzucie łoża w noc poślubną.

Myśl o skwierczącej rybie i smrodzie, który z niej bije, nie dawała spokoju Ginie przez całą uroczystość zaślubin i ucztę, która po niej nastąpiła. Czy w komnacie małżeńskiej nie zapanuje tak przykra woń, że odwróci uwagę męża i przyprawi go o mdłości? Oczywiście wypędzenie złych duchów jest rzeczą słuszną i dobrą, lecz ostudzenie zapachu Silvestrego byłoby niepożądanym skutkiem ubocznym. Gdy tylko weszła do komnaty, wysłała łożę lawendą, powiesiła kapryfolium na skrzydle okna i wrzuciła różane płatki do wody w misie.

Chciała rzucić się w jego ramiona, gdy tylko zamkną drzwi. Wreszcie będzie miała go całego dla siebie! Na szczęście welin z modlitwą leżący na kapie łoża sprawił, że miała wrażenie, jakby kapelan był z nimi w komnacie. Silvestre wzruszył ramionami i nie odrywając wzroku od ukochanej, zaczął szukać po omacku modlitwy Tobiasza i Sary. Stanęli razem obok łoża, tak jak przed ołtarzem, nachylając pergamin ku światłu świeczki. Silvestre zaczął czytać równym głosem:

*Bądź wielbiony, Boże ojców naszych,
i niech będzie uwielbione imię Twoje*

na wieki przez wszystkie pokolenia!
Niech Cię uwielbiają niebios
i wszystkie Twoje stworzenia
po wszystkie wieki.
Tyś stworzył Adama
i stworzyłeś dla niego pomocną ostoję - Ewę,
jego żonę,
i z obojga powstał rodzaj ludzki.
I Ty rzekłeś:
Nie jest dobrze być człowiekowi samemu,
uczynmy mu pomocnicę podobną do niego.
A teraz nie dla rozpusty biorę tę siostrę moją za żonę,
ale dla związku prawego.
Okaż mnie i jej miłosierdzie
*i pozwól razem dożyć starości!**

Chociaż pragnęła jak najszybciej objąć Silvestrego, uznała tę modlitwę za wzruszającą. Lata spędzone na przygotowaniach do wstąpienia klasztoru przyniosły efekt. Wzięła męża za rękę i oboje podeszli do piecyka. Umieściła oślizgłe rybce wnętrzości na węglach, aby Silvestre nie musiał ich dotykać, a następnie wzięła z misy szczyptę sproszkowanego kadzidła, westchnęła i rzekła:

- Tę część mamy już za sobą. Niech aniołowie boży otoczą nasze łóże i nas strzegą.

Żadne nie było pewne, co teraz czynić. Po niezręcznym milczeniu, które trwało niemal bez końca, Gina zapytała:

- Odwrócisz głowę, gdy będę się rozbierała? - Silvestre podszedł do okna, a Gina zdmuchnęła świeczkę. Jej koszula leżała tuż obok jego, lecz Gina nie była pewna, czy ją przywdziać. Zwykle naciągała nocną koszulę na tunikę, a następnie zdejmowała tę ostatnią, rano zaś wykonywała owe czynności w odwrotnej kolejności, co w izbie dzielonej z ojcem i braćmi wymagało pewnej zręczności. Uznała jednak, że taki sposób postępowania nie jest właściwy w noc poślubną. Obawiając się, że będą jeszcze bardziej niezręczni, gdy trzeba będzie później zdejmować odzienie, wrzuciła suknię pod łóże i wślizgnęła się nago pod prześcieradło, naciągając je wysoko pod brodę.

Choć w komnacie panowała ciemność, przez okienne skrzydło przebijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Widziała zarys postaci Silvestrego zdejmującego weselne

szaty. W mroku wydał się jej zdumiewająco wysoki i nieco szczuplejszy, niż sądziła. Rozebrał się w milczeniu, pewnie dlatego, że obawiał się rzec coś niewłaściwego. Podchodząc do łoża, osłaniał dłońmi dolną część brzucha, dopóki nie sięgnął po nocną koszulę.

- Nie włożyłam swojej - powiedziała Gina, przyzwyczajając oczy do ciemności. - Możesz też zdjąć kapelusz z piórem.

Silvestre zaśmiał się nerwowo, rzucając wysoki ślubny kapelusz w kąt izby. Usłyszała, jak jego koszula spada na podłogę. Położył się obok niej. W pierwszej chwili wystraszyła się, lecz po chwili odzyskała spokój, gdy zaczął pieścić koniuszkami palców jej brodę i policzki. Była ciekawa, czy szuka jej ust, aby nie chybić, jak za pierwszy razem. Znalazł.

- Kocham cię, droga żono - westchnął.

- Ja też cię miłuję - rzekła, odwzajemniając jego uścisk.

Silvestre wsunął dłoń pod jej głowę, całując szyję i zagłębienie u podstawy szyi. Jej uczucia niczym wahadło przechodziły od strachu do pożądania, gdy drugą ręką zaczął badać jej krągłości, pieścić piersi, brzuch i biodra. Jej ciało napinało się i rozluźniało w rytm niespokojnych emocji, lecz gdy chwycił wargami jedną z jej brodawek, z ust Giny wydobył cichy jęk mówiący, że prawie się poddała. Czując jego twardą męskość na udzie, miała ochotę ją zbadać, uznała jednak, że tej nocy ograniczy się do trzymania dłoni na ramionach męża.

Gryzący smród tłęcej się ryby drażnił nozdrza, lecz przestała o tym myśleć, gdy palce Silvestrego zsunęły się na kręcone włoski, głaszcząc płatki między udami. Zaczęła się więc i poruszać biodrami, czując narastający w środku płomień. Obok jęczał z rozkoszy jej mąż. Rozsunęła nogi i zaczęła błagać go w myślach: Zrób coś, Silvestre! Zaspokój pragnienie, które płonie w moim piecu.

Piec! Tak nazwała go matka. Dobry Boże, miała rację! Moje łono goreje! Silvestre, błagam, dłużej nie wytrzymam! Ujęła jego biodra, przynaglając, by się na niej położył. Chociaż ciężko dyszał i był równie podniecony jak ona, ich zespolenie okazało się bardzo delikatne. Zawahał się, gdy dotknął jej hymenu, lecz chwyciła go za pośladki, napierając palcami stóp na pięty i dając znak: W porządku, pragnę cię całego. Ostry ból, jaki poczuła, tylko na chwilę zakłócił doznawaną rozkosz, lecz pocieszała się, że najgorsze mają już za sobą.

Zaczęła dyszeć i jęczeć, przyciągając go do siebie za każdym razem, gdy się z niej wysuwał. Jej okrzyki stawały się coraz częstsze i głośniejsze, dorównujące dźwiękom, jakie wydawał on. Napięła mięśnie pochwy i zawołała, najpierw do Boga, a później do męża. On

również krzyknął: „O Boże! O Boże!”. Zastanawiała się przez chwilę, czy Najwyższy stworzył ten akt, aby ludzie się rozmnażali, czy też chciał się upewnić, że zawsze będą wzywali jego imię... *Wołajcie radośnie na cześć Pana!*

Udało się! Przez chwilę leżeli wyczerpani, głęboko zespoleni, dopóki Silvestre nie przewrócił się na bok. Wtuliła się w męża, kładąc głowę na jego ramieniu. Poczowała wilgotne, poplamione krwią prześcieradło. Rano służka pomacha nim z okna, aby pokazać światu, że Gina była dziewicą. Jakby ktoś mógł w to wątpić! Miała mieszane uczucia niewiasty, która utraciła drogocenny klejnot, by dzięki temu zyskać skarb jeszcze cenniejszy.

Silvestre mruzczał sennie o swojej miłości do niej, kiedy zasypiała. To zaledwie pierwsza noc, pomyślała, zanim pogrążyła się w przyjemnych złotych snach.

Siedem lat na wsi sprawiło, że w życiu Nelli dokonał się cud. Miała pięćdziesiąt dwa lata, a czuła się młodsza niż wtedy, gdy tu przybyła. Nawet jeśli nie była krzepka, nikt nie mógł jej już uważać za kruchą. Wejście Silvestrego w wiek męski było wszystkim, czego mogła pragnąć przybrana babka. Pełniła też funkcję pomocnicy swojej pani, pragnąc ułatwić Ginie wchodzenie w nową rolę i przekazując wiedzę, jaką zdobyła w ciągu minionych lat, obserwując Marcella i zamkową służbę. Nikt nie traktował jej jak służącą, sam hrabia bowiem widział w Nelli raczej mądrego starszego przyjaciela. Jego przyjaźń, spokojny bieg życia w Wieży Wilka, ciche zakątki w kwiatowym ogrodzie i radość, jaką dostrzegała w oczach młodych - wszystko to było błogosławieństwem, za które dziękowała Bogu w wieczornych modlitwach.

Tak jak Silvestre miał Ginę, ona również miała swego szczególnego towarzysza. Silvestre był drogocennym ogniwiem, które ich z sobą połączyło, a później pretekstem do spotkań i rozmów kilka razy w ciągu dnia. Hrabia nie posiadał się ze szczęścia, kiedy pewnego wieczoru drugi z jego dziadków zjawił się na podwórku, z kapeluszem w dłoni, jak przystoi, kiedy człowiek zwraca się do ojca, prosząc o pozwolenie na oświadczyzny.

- Żyję bez żony już dziesięć lat - rzekł Urso. - O ile umiem zliczyć, mam na karku sześćdziesiąt kilka lat. Chciałbym spędzić dni, które mi jeszcze pozostały, u boku Nelli. Teraz, gdy dorosteś i założyłeś własną rodzinę, nie potrzebujesz, abyśmy wiecznie cię pilnowali. Nella jest wspaniałą towarzyszką, najlepszą, o jaką można prosić Boga, będę ją hołubił tak, jak byśmy byli równie młodzi jak ty i Gina.

Silvestre ściągnął brwi.

- Gdzie zamieszkacie? Nella przywykła do sypiania na zamku, przecież wiesz. Wiejskie życie może nie przypaść jej do gustu, poza tym mieszkasz w jednej chacie z Marcellem i jego

rodziną. W ostatnim czasie nie masz też godziwego zajęcia prócz doradzania chłopcu młodszemu niż twój syn. Jak zdołasz ją utrzymać?

Spoglądał na niego surowo tak długo, jak zdołał, a następnie poklepał zdumionego staruszka po ramieniu.

- To wspaniała wiadomość, Urso! Oczywiście, dam wam swoje błogosławieństwo! Mam nadzieję, że zechcesz zamieszkać w zamku razem z Giną i ze mną. Dam wam jedno skrzydło, będziecie też mogli jadać przy jednym stole razem z moją rodziną. Kiedy urodzą się nasze *bambini*, będą potrzebowały pradziadków.

Oczy Silvestrego zabłyśły, gdy poczuł pokusę, jaką było powtórzenie Ursowi nauk doktora Filippa dotyczących nocy poślubnej, lecz rzekł jedynie:

- Obchodź się z nią delikatnie, Urso. Nie jest tak... sprawna... jak ty. Nigdy też nie była zamężna, tuszę, że wiesz. Gotów bym przysiąc na proroków, że jest jeszcze... panną...

W oddali przy bramie wiodącej na podworec zebrało się kilku strażników. Jeden odłączył się od gromadki i podszedł do Silvestrego. Wskazał nieznajomego stojącego w łukowato sklepionym przejściu. Mówił, że przyniósł hrabiemu pilną wiadomość. Silvestre w życiu nie widział kogoś równie dziwnego!

Młodzieniec przestępujący z jednej bosej stopy na drugą wydawał się jego rówieśnikiem. Na głowie miał kłębowisko ognistorudych włosów, na grzbiecie zaś zieloną tunikę barwy lasu. Kurtka domowej roboty odsłaniała kolana i łydki, podrapane i ubłocone niczym nogi maciory. Młodzian ów ze zdziwieniem i trwogą przypatrywał się podworcowi, zamkowi i ludziom udającym się do swoich obowiązków.

Silvestre przeszedł przez podworec, aby go powitać. Był zaintrygowany wyglądem posłańca - dokładnie tak wyobrażał sobie leśnego ducha. Widząc nadchodzącego Silvestrego, młodzieniec skłonił się, mnąc czapkę w drżących dłoniach.

- *Scusami, s-signore* - wyjąkał, a kolor jego policzków przybrał niemal barwę jego włosów. - W naszej chacie od kilku miesięcy dochodzi do siebie poraniony mąż. Nie wie... albo nie potrafi powiedzieć, jak się nazywa, lecz mama uważa, że może być bratem waszmości.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Tino pierwszy spostrzegł nienormalne zachowanie starego wilka, ich opiekuna. O świcie razem z ojcem poszli do lasu, aby ulżyć pęcherzom. Tino wrócił do chałupy, przecierając zaspane oczy, kiedy ujrzał białego wilka podskakującego i tańczącego na ścieżce wiodącej do drzwi. Podbiegł kilka kroków w jego stronę i zaskowyczał, a następnie wrócił na ścieżkę.

Ojciec obserwował ze zdumieniem zachowanie wilka i syna. Dawno temu wspólnie z małżonką doszli do wniosku, że Tino potrafi porozumiewać się z leśnymi zwierzętami, o czym oni mogli jedynie marzyć.

- Chce, abyśmy za nim poszli. W lesie stało się coś złego - powiedział chłopak.

- Gdzie jest drugi wilk? Może to zasadzka?

- Nie, wilki nigdy nas nie skrzywdziły.

Bruno wziął pikę opartą o ścianę domu.

- Mimo to wezmę ją z sobą.

Tino pobiegł szybko za zwierzęciem po wiosennym błocie, wykrzykując wskazówki podążającemu za nim ojcu, kiedy wilk zszedł z głównego traktu i ruszył ścieżką jeleni. Szukał wzrokiem kawałków materiału zwisających z konarów drzew, wskazujących, że zbliżają się do pułapki. Zwolnił i znikł w lesie, kiedy Tino ujrzał pierwszy znak. Zrozumiał, że coś wpadło do dołu. Panie, byle tylko nie towarzysz naszego opiekuna.

To, co ujrzał, przekroczyło jego najgorsze obawy. Na dnie dołu leżał dzik wbity na pal, obok zwierzęcia zaś mężczyzna, z którego uda wystawały pęknięte drzewce. W przeciwieństwie do piersi warchlaka jego pierś nadal unosiła się i opadała.

Bruno stanął obok syna na skraju dołu, spoglądając ze zdumieniem na mężczyznę.

- *Nudo come un verme* - wysapał. - Nagi niczym robak. Jak według ciebie się tu znalazł?

Tino zauważył wiele niezwykłych szczegółów. Głowa nieznanego wydawała się zbyt duża w porównaniu z wychudzonym tułowiem, a gęste, długie, wypłowiałe włosy opadały na zgarbione plecy. Spod bujnej czupryny zasłaniającej czoło wpatrywały się w niego pomarańczowe oczy - zatrwożone, a jednocześnie przerażające oczy upadłego anioła, które z głębokich oczodołów śledziły ruchy chłopca. Skóra mężczyzny była gruba, a plamy na twarzy miały głęboki odcień dojrzałej oliwki.

Nozdrza mu drgały, jakby starał się wyczuć zapach ludzi. Jedno ucho było całe, lecz

drugie nie miało górnej połowy. Mimo wątego torsu miał potężnie zbudowane nogi i ramiona.

- Nigdy go nie widziałem, *papà* - rzekł Tino. - Chybabyśmy go wytropili, gdyby żył w lesie?

- Wychudły jak kundel - zauważył Bruno.

Tino przyklęknął na jedno kolano, opuszczając głowę i wężąc. Ranny wydzielał piźmową, nieokreśloną woń, która nie była jedynie skutkiem błakania się bez mycia po dziczy Bóg jeden wie jak długo. Chociaż krew, która zaschła na nodze, była rdzawoczerwona jak u człowieka, srebrzyła się na zaschniętych krawędziach rany niczym iskierka odbitego światła księżyca. Coś w tym mężu wydało mu się znajome, jednak nie potrafił rzec co.

Dał nura w zarośla i wyciągnął prymitywną drabinę, którą tam ukryli.

- Zejdę na dół - oznajmił. - Powiedz mamie, że będziemy potrzebowali dwóch kocy, jednego, aby go zawinąć, i drugiego, na którym zaniesiemy go do chaty. Przynies mi też szmatę, aby obwiązać jego nogę. Pozostawię palik w jego udzie, dopóki nie wrócimy do domu, by nie wykrwawił się podczas drogi.

- Mówisz poważnie, synu?

- To nasz dół. Musimy nieść tego człeka, dopóki będzie się w nim tliło życie, lub pogrzebać, jeśli umrze. Nie frasuj się. Jest zbyt słaby, aby wyrządzić mi krzywdę. Wydobędę też dzika, gdy odejdiesz.

Nieznamomy sprawiał wrażenie nieprzytomnego, lecz gdy Tino stanął na dolnym szczeblu drabiny, wydał słabe, świszczące syknięcie, jak rozżarzony węgielek, który wypadł z ogniska. Odślonił mocne białe zęby. Tino przeżegnał się nabożnie i podszedł bliżej.

- Nie lękaj się. Zaopiekujemy się nim - powiedział do starego wilka. - Dobrze... już dobrze... - przemawiał łagodnie, kładąc dłoń na plecach mężczyzny. - Najpierw wyniosę wieprza, a gdy przyjdzie *papà*, wyciągniemy cię na górę.

Warchlak był na tyle mały, że zdołał zdjąć go z pała i wynieść po drabinie. Przez cały czas przemawiał do nieznanego spokojnym głosem. Kiedy oczyszczał dół, nie spostrzegł ani śladu opiekuna, lecz mimo to zawołał w stronę drzew:

- *Papà* byłby na mnie zły, wilku, lecz wygląda mi, żeś miał trudną zimę! - Powiedziawszy to, odciągnął warchlaka w zarośla i zostawił, a następnie znów zszedł do dołu. Mężczyzna próbował warknąć, lecz zdołał wydać jedynie skowyt przepełniony bólem.

Tino pochylił się nad nim. Pogładził go po kudłatej głowie i rzekł:

- Wiem, kim jesteś, *lupo*. Obserwuję ciebie i opiekuna od czasu, gdy jestem chłopcem. Wszystko jest dobrze. - Wziął rękę mężczyzny, unikając dotknięcia ostrych pazurów, i

przyłożył do niej swoją dłoń. Obaj mieli takie samo niewyraźne znamię w kształcie gwiazdy.
- Jak widzisz, ja również mam związki z pełnią księżyca.

Kiedy Bruno wrócił do lasu z kocami, niewiasta zawiesiła nad ogniem kociołek z wodą. Woda zawrzała, gdy na ścieżce pojawił się Tino i jej mąż niosący z wysiłkiem rannego. Krępy starszy mężczyzna stękał z wysiłku, wykrzywając pod ciężarem twarz porośniętą szpeciniastą czarną brodą, zaciskając zęby i głośno dysząc.

Szybko pobiegła do izby. Najpierw dołała trochę wody do miski z lobelią. Postanowiła, że kiedy już go umyje, spróbuje dać rannemu odrobinę naparu, aby lepiej mu się oddychało. Do większej misy naląła dość wody, aby zmiękczyć garść żywokostu lekarskiego. Bruno powiedział jej, że nieznajomy ma przebite udo. Gorący okład z liści spełni funkcję opatrunku. Naszykowała nóż, flaszkę wina i szmaty, aby wytrzeć nimi krew - nie tak czyste, jak by tego chciała, lecz najlepsze, jakie zdołała znaleźć w tak krótkim czasie.

Mężczyźni położyli rannego na sienniku Tina. Kobieta przyklękła i odwinęła koc - tylko na tyle, aby odsłonić ranę. Pomyślała, że mąż nie będzie rad, widząc ją pielęgnującą nagiego mężczyznę. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdziła, że nieznajomy prócz opatrzenia rany rozpaczliwie potrzebuje kąpieli. Z radością powierzyła to zadanie Brunonowi i synowi.

- Potrzyj jego nogę nieruchomo, mężu - poleciła.

Bruno wsunął dłonie pod kostkę rannego, a Tino uklęknął za pokrytą bujnymi włosami głową, kładąc ją sobie na kolanach i głaszcząc czoło.

Zastanawiała się, cóż to za dziwne stworzenie, wyjmując z uda kawałki palika tak, by w ranie nie pozostały drzazgi. Mężczyzna jęknął, lecz nie stawiał oporu. W końcu zrozumiał, że próbują mu pomóc. Nie otworzył oczu.

Końcem noża usunęła resztki drewna z rany, która już zaczęła się zaogniać. Krew płynęła z dziury w nodze, co kobieta uznała za dobry znak - dzięki temu organizm pozbędzie się trucizny. Ze skorupy zaschniętej na nodze wywnioskowała, że stracił dużo krwi. Mógł nie dożyć następnego ranka. Chirurg amputowałby mu pewnie całą nogę.

- Wciel się w rolę poborcy podatków, Tino, i złap mi kurę - poleciła. - Jedną ze starych, która nie znosi jaj. Pospiesz się! Bruno, przynieś trochę wrzątku i płótno ze stołu.

Kiedy syn wrócił z kurą, szybkim ruchem nadgarstka skrzyła jej kark, rozplątała nożem tułów wzdłuż mostka i przyłożyła do rany.

- Co robisz, niewiasto? - zaburczał Bruno. - Z tej kury mogliśmy mieć rosół na tydzień!

- Nie mam wyboru, trzeba wyciągnąć jad - odpowiedziała, nie podnosząc głowy. -

Gdybyśmy ją zjedli, on straciłby nogę. - Wolną ręką odgarnęła włosy z twarzy.

Trzymała kurę, dopóki woda w wiadrze nie ostygła na tyle, aby można było zanurzyć w niej palec. Kiedy odjęła kurę od rany, mięso ptaka miało zieloną barwę.

- Zakop ją, Tino - powiedziała. - Tak, aby żadne stworzenie nie mogło się do niej dostać.

Zanurzyła płótno w kubie, obmywając brud i krew zaschniętą wokół rany, a następnie poliała ją winem, unikając oczu Brunona. Ani chybi uzna to za kolejne marnotrawstwo. Kiedy zakorkowała flaszkę, poleciła:

- Mężu, przynieść mi miskę z żywokostem lekarskim.

Ostrożnie uformowała okład na ranie, przewiązując go kawałkiem płótna. Na zakończenie rzekła zdecydowanym głosem:

- W imię Ojca, Syna i Błogosławionej Maryi. Rana jest głęboka, ciało obolałe, ale wszystko się zagoi do kolejnych narodzin Najświętszej Pani. - Zmówiwszy modlitwę, nakreśliła kciukiem znak krzyża na czole mężczyzny.

Kiedy podniosła głowę, Tino zajrzał do chaty.

- Zaiste mąż ów potrzebuje kąpieli - stwierdziła. - Zapal świeczkę. Zmyję resztę krwi z jego nogi. Jeśli odsłonicie go do pasa i pomożecie przenieść, obmyję mu plecy i piersi. Resztę pozostawię wam. Usuńcie wszelkie robactwo, jakie na nim znajdziecie. Nie chcę, aby nas oblaźło.

Aby pokazać, o co jej chodzi, przysunęła świeczkę do kilku leśnych kleszczy, które znalazła na jego nodze i brzuchu. Wycisnęła tłuste, nabrzmiące krwią odwłoki, wrywając z otworów, które uczyniły w jego skórze. Kiedy usunęła tyle brudu, ile zdołała, z pokrytej szczeciną piersi tego dziwnego stworzenia, jej mąż i syn przewrócili go na bok. Odgarniając potargane rude włosy, przesunęła dłonią po garbie, który spod nich wystawał. Mężczyzna otworzył na chwilę oczy i popatrzył na nią, lecz smętne spojrzenie pozbawione było świadomości.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć - lub krzyknąć - lecz głos uwiązł jej w gardle, powodując, że się zakrztusiła. Próbowwała powstrzymać łzy, odwracając głowę od mężczyzny.

Matko smutków! - jęknęła w duchu. Co się z tobą stało, kochany Angelo?

Ponieważ nadeszła pora, w której drzewa tracą liście, Bruno musiał wrócić do swoich leśnych obowiązków. Toporem odcinał ogromne płyty kory z pni drzew, które obumarły i musiały zostać wycięte. Za tydzień przyjdą drwale z Coldimezzo i będą chcieli wiedzieć,

które drzewa pójdą na opał, a które na deski.

Od kilku dni był rozdrażniony - poirytowany tym, że przybyła dodatkowa gęba do wykarmienia. Nie żeby nieznajomy ozdrowiał na tyle, by dużo jadł. Denerwowało go to, że Maria zostaje sama z obcym mężczyzną. Chociaż wiedział, że jest odpowiedzialny za jego obrażenia, któż mógłby przypuszczać, że ludzka stopa postanie na tym szlaku. Oczywiście, jeśli on... jeśli to jest człowiekiem.

A dzik, który leżał w dole razem z nim? Widział ślady zębów na jego grzbiecie. Gdzie, u licha, zniknął? Chociaż głośno wyraził swoje obawy, żona ani syn nie przejmowali się zwierzęcymi cechami nieznajomego ani faktem, że wilk opiekun znów został sam. Krążył coraz bliżej - Bruno niemal codziennie widywał go o zmierzchu, stojącego nieruchomo na skraju polany i obserwującego ich chatę.

Maria i Tino mieli gotową odpowiedź na wszystkie jego wątpliwości. Kiedy im oznajmił, że z całą pewnością do następnej pełni księżyca nieznajomy nie będzie spał w ich domu, Tino odrzekł spokojnie, niczym wiosenny wietrzyk, że wyniesie go na zewnątrz i będzie spał obok niego. W końcu, czyż i tak nie sypiał w stajni razem ze zwierzętami w każdą pełnię księżyca, aby je uspokoić?

Owego dnia Bruno rzekł Marii, że Tino nie musi znakować drzew razem z nim. Chciał, żeby syn został w domu, gdyby okazało się, że jego matka potrzebuje pomocy.

Dał jasno do zrozumienia, że nieznajomy musi ich opuścić, gdy tylko odzyska siły, a jego udo będzie wystarczająco zdrowe, aby mógł chodzić, nawet gdyby musiał to czynić o kulach. Właściwie to już mu je przygotował. Nie znaleźli na to odpowiedzi, więc poczuł ulgę, wiedząc, że wkrótce odzyska władzę we własnym domu.

Tino przypatrywał się twarzy rannego, podczas gdy matka zwilżała mu czoło mokrą szmatką. Pielęgnując go, kobieta często nuciała i śpiewała pieśni z czasów młodości, mając nadzieję, że obudzą w nim jakieś wspomnienia. Nadal bełkotał bez sensu i przewracał się z boku na bok, chociaż zdołali wmusić w niego trochę jadła i napoju.

- Zmienia się, prawda? - zapytał Tino.

- Coraz bardziej przypomina człowieka - przyznała z uśmiechem Maria. - Jego skóra staje się cieńsza, a paznokcie nabierają różowawej barwy. - Z każdym dniem jego rysy stawały się coraz bardziej znajome. Przypominał dojrzałego chłopca, który dwadzieścia lat temu czytywał jej wiersze i tak uroczo żartował.

- Powinniśmy go ostrzyć i obciąć mu paznokcie - uznała Maria. Podniosła jedną z jego dłoni i się roześmiała. - Trzeba będzie użyć przycinarki do kozich kopyt. - Niechętnie puściła

jego dłoń, układając ją na brzuchu.

- Myślisz, że nigdy wcześniej nie miał ludzkiej postaci?

- Nie, synku, nie uważam tak. Nie jesteś jedyny. Słyszałam podobne opowieści o tym, który nas chroni. Sądzę, że obaj pochodzą z wioski, w której kiedyś mieszkałam. Właśnie dlatego zamek nazywa się Wieżą Wilka.

Zabrała szmatkę i ponownie nasączyła wodą. Przez te wszystkie lata razem ze starym wilkiem przebiegałeś obok moich drzwi, a ja o tym nie wiedziałam. Mogłam przynajmniej wykladać ci trochę strawy, pomyślała.

Pragnęła powiedzieć synowi znacznie więcej, krzyknąć: „To twój ojciec, Tino!”. Mogła też dodać: „Moja pierwsza i jedyna miłość”. Drugie zdanie zaskoczyło nawet ją samą.

Nie była jednak pewna, jak Tino zareagowałby na wiadomość o Angelu. Jak ma wytłumaczyć synowi, co wydarzyło się od chwili, gdy zaszła w ciążę? Jak bezduszny był wobec nich dwojga jej dawny kochanek, kiedy Tino jeszcze się nie narodził? Jak ma mu wyjaśnić, dlaczego poślubiła Brunona i jak wdzięczna jest mężowi za to, że otaczał ją troską przez te wszystkie lata? Jak opisać trudny poród, którego omal nie przypłaciła życiem? Poród, który sprawił, że nie może mieć więcej dzieci. Dlaczego nigdy nie zabrała Tina do zamku, aby mógł poznać swojego wuja? I dlaczego tak cenne były dla niej słowa, które Angelo napisał osiem lat temu, do dziś ukryte w zapieczętowanej wazie, którą zakopła pod klepiskiem chaty?

Fala ciepła, którą wywołała ostatnia myśl, sprawiła, że położyła dłoń na piersi mężczyzny. Czuła pod palcami rytmiczne bicie jego serca, mocniejsze i szybsze, niż oczekiwała. Angelo otworzył oczy, spokojnie wpatrując się w pochylone nad nim twarze.

Maria bez zastanowienia rzekła śpiewnym głosem:

- *Twoje zielone kocie oczy błyszczą pożądaniem.*

- Co ty mówisz? - zapytał Tino. - Przecież jego oczy są pomarańczowe.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy - skłamała, lekko klepiąc pierś Angela. Jego grube wargi poruszyły się po raz pierwszy od czasu wyciągnięcia z dołu, próbując uformować słowo.

- Spójrz, chce nam coś powiedzieć - rzekł Tino.

Pochyliła się nad chorym. Mówił bardzo cicho, lecz była pewna, że zrozumiała:

- *Całuję twoje policzki...* - szepnął, zanim znów zamknął oczy.

- Zostań z nim, synku - poprosiła. Wstała szybko i wybiegła z chaty. Kiedy zdumiony Tino wyjrzał przez drzwi, zobaczył, że matka wpatruje się przez drzewa w bezchmurne niebo.

Zastanawiał się, do kogo lub o co się modli, przyłożywszy dłoń do serca.

Rozdział trzydziesty drugi

Bruno pracował sam w lesie, gdy szlakiem od strony Coldimezzo nadeszli drwale. Tego ranka był wyjątkowo niespokojny. Ranny zaczął wstawać i kuśtykać po chacie, opierając się na Tinie lub Marii, ubrany w bezkształtną tunikę, którą jego żona uszyła mu z koca. Leśniczy zamierzał pobiec do domu, gdy tylko wyda polecenie drwalom. Uznał za dobrą nowinę, iż nieznajomy odzyskał siły na tyle, aby mógł wyruszyć w drogę.

Signore Muto, jak Bruno zwykł go nazywać, bo pozostawał przez cały czas niemy, nie był jednak *sordomuto*, głuchy jak pień, z każdym dniem bowiem rozumiał coraz więcej, szczególnie słowa mające związek z jadłem i napitkiem.

- Jestem głody jak wilk - rzekł pewnego wieczoru żonie, aby natychmiast zasłonić dłonią usta i klepnąć się w czoło, gdy zorientował się, co powiedział. Pomachał *mano cornut*, rogatą dłonią, w kierunku odmieńca, aby odpędzić złe duchy.

- Zimy są ciężkie - przypomniał Tino. - Myślę, że powinien przybrać na wadze, zanim odejdzie. Ludzie, których napotka na drodze, mogą nie być tak życzliwi, jak ty i mama.

Drwale pracowali parami, posługując się toporami i dużymi piłami, którymi ścinali drzewa i dzielili pnie na mniejsze kłocce. Później wracali z siekierami, aby podzielić drewno na szczapy i wywieźć wozami z lasu.

Tego dnia jeden z drwali nie miał z kim pracować.

- Mój towarzysz zachorował - wyjaśnił. - Miałem nadzieję, że chwycisz za drugi koniec piły, Bruno.

Leśniczy westchnął głęboko. Jeśli mu nie pomoże, stracą cały dzień roboczy. Kiedy drzewa znajdą się już na ziemi, zostawi drwała, aby obciął konary, i wróci do chatki.

Wybrał dąb o przeciętnej średnicy. Im prędzej zetną drzewa, tym szybciej będzie mógł pójść do domu. Zniecierpliwiony zapomniał o ostrożności, nie sprawdził najwyższych konarów ani się nie przeżegnał, prosząc anioła, by go chronił od złego.

Przystąpili do pracy, stojąc po obu stronach pnia i uderzając na przemian toporami, aby wyznaczyć stronę, w którą padnie drzewo. Później przeszli na drugą stronę i zaczęli ciąć piłą. Dąb zatrzeszczał, tracąc oparcie, by po chwili zadrzeć i przechylić się z głośnym trzaskiem.

- Uwważaj! - krzyknął drwal, uskakując w bok. Zahaczywszy górnymi gałęziami o sąsiednie drzewa, dąb runął do tyłu, uderzając leśniczego w pierś i powalając na ziemię. Na szczęście Bruno zdążył się przekręcić, unikając zmiżdżenia.

- Nic ci się nie stało, Bruno?

Przygnieciony gałęziami nie wiedział, skąd dochodzi głos. Widział jedynie koniec piły wygięty w literę „V” i chyboczący się nad pniem. Próbował wstać, lecz palący ból w piersi sprawił, że nogi się pod nim ugięły, i opadł na czworaki.

- Myślę, że mam połamane żebra! - odrzyknął, przez co ból się wzmógł. - Odprowadź mnie do domu - jęknął. Może drwał będzie potrzebował do tego pomocy dwóch lub trzech ludzi. Oddychał z trudem.

Hrabia Guido będzie niezadowolony na wieść o wypadku i zmarnowaniu dnia pracy. W jego przypadku oznaczało to brak, zarobku. Tino będzie musiał zająć jego miejsce, zostawiając go w chacie razem z *signore Muto*.

Tak jak obiecał, w wigilię pełni księżyca Tino przygotował dla nich posłanie z liści i konarów sosny niedaleko chaty. Bruno stał w drzwiach i z ręką na obandażowanych żebrach obserwował, jak urządzają sobie legowisko wśród drzew.

Brunona odwiedził medyk, by obejrzeć jego żebra. Oprócz tego, że pochwalił to, co zrobiła Maria, zostawił fiolkę z czarnym eliksirem, który miał pomóc Brunonowi lżej oddychać.

Za wizytę lekarza zapłacił hrabia Guido. Bruno pomyślał, że serce *signore* musiało zmięknąć od czasu, gdy był wojownikiem. Może tragedie, jakie spotkały jego rodzinę, sprawiły, że życzliwszym okiem spoglądał na problemy swoich robotników. Drwale powiedzieli, że gdy nie było przy nim jego małej wnuczki, pogrążał się w rozpacz.

Atak kaszlu sprawił, że Maria stanęła obok niego.

- Podać ci coś do picia, mężu? Chcesz więcej mikstury? - Bruno pokazał jej język i dał znak, żeby sobie poszła. Potrzebował powietrza. Później, kiedy położyli się w ciemności, objęła go.

Kiedy o północy księżyc stanął w zenicie, jego promienie oświetliły izbę, wpadając przez wąskie okno. Bruno przekręcił się na sienniku i zauważył, że Maria leży z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w powałę. Zwierzęta w bocznej izbie poruszały się niespokojnie, szeleszcząc słomą. Kogut zapał, myśląc jasne światło księżyca ze świtem. Bruno poczuł niespokojne drzenie przebiegające falą po kręgosłupie.

Pierwsze wycie doleciało od wschodniej strony polany obok chatki, z dala od miejsca, w którym spali ludzie, jednak po chwili rozległy się stamtąd wyraźne zawodzenia dwóch istot. Bruno chciał otworzyć drzwi, żeby sprawdzić, co się dzieje, lecz gdy zaczął się podnosić, Maria go powstrzymała.

- Pewnym rzeczom lepiej nie przyglądać się zbyt dokładnie - szepnęła. - Możesz zobaczyć więcej, niż należy.

Odwrócił się, spoglądając w jej ciemne oczy.

- Czy zawsze byłaś mi wierna, Mario? - zapytał.

- Wiesz, że będę ci wierną żoną - odrzekła. - Przecież zawsze troszczyliśmy się o siebie, prawda? Wiem, że ten nieznajomy cię niepokoi, lecz pomagam mu tak, jak pomogłabym każdemu rannemu stworzeniu. On odejdzie, a my jeszcze długo będziemy razem.

Wycie wilków zaczęło się oddalać i Bruno pomyślał, że wataha ruszyła na łowy. Gdzie przez ten czas był Tino? Miał nadzieję, że syn wie, co robi, śpiąc obok dzikiego stworzenia.

Maria była szczerą, wspierając i pocieszając męża, ale tak naprawdę rozdzierał ją niepokój o obu mężczyzn. Do małżonka była bardzo przywiązana i czuła do niego wdzięczność. Do Angelo... cóż, to było całkiem oczywiste... Kiedy się o nią opierał lub ją obejmował, stawiając pierwsze niepewne kroki, jej ciało płonęło jak w gorączce.

Wiedziała, że będzie potrzebowała pomocy Brunona, kiedy Angelo odzyska siły. Żebra leśnika zaczęły się zrastać, lecz nadal miał trudności z oddychaniem. Angelo mógł zniknąć w mgnieniu oka. Nie była nawet pewna, czy wróci z ostatniej nocnej wyprawy w towarzystwie opiekuna.

Miała mu tyle do powiedzenia. Poznała tę stronę jego natury jak nikt inny. Angelo stracił poczucie tożsamości. Powinien przypomnieć sobie, kim jest, wiedzieć, że w odległości niecałego dnia drogi mieszka jego troskliwy brat. Gdy Angelo stanie się wystarczająco silny, by odjechać, przekaże wiadomość Silvestremu, by ten się nim zaopiekował. Jeśli zaś chodzi o związek łączący Angela z nią i Tinem, żadne nie potrzebowało dodatkowych komplikacji.

Usłyszała tuż przed wschodem słońca, że wracają nocni łowcy. Bruno chrapał obok niej. Leżała na sienniku, czekając, aż pierwsze promienie oświetlą polanę. Wiedziała, że słońce pomoże im odzyskać dawną postać.

Mężczyźni, którzy przyszedli na śniadanie, nie byli tymi samymi, którzy powłóczyli nogami poprzedniego dnia. Tino promieniował entuzjazmem, a w jego błyszczących oczach i włosach widać było jeszcze dzikie błyski. Po raz pierwszy trzej Lorenzini razem wyruszyli na łowy, chociaż chłopak nie wiedział, co go łączy ze starszymi wilkami. A Angelo? Był całkowicie odmieniony. Chociaż nadal utykał, wstąpiła weń nowa siła, jakby powrócił ze świętego sanktuarium słynącego z uzdrowień. Jego widok uradował Marię, choć wiedziała, że jest już na tyle silny, aby ich opuścić.

Bruno obudził się, kiedy weszli do chaty. Próbował się podnieść, lecz opadł na siennik,

głośno jęcząc. Angelo spojrział na jej męża z cierpieniem w oczach.

Próbował się z nimi porozumieć, sprawdzając, czy nadal umie wypowiadać słowa. Tak dawno nie używał ludzkiego umysłu, że przypominał dziecko uczące się mówić.

- Mogę pracować - rzekł niepewnie. - Byliście dla mnie dobrzy. Mogę pomóc, dopóki Bruno nie wyzdrowieje.

Ponieważ dni były chłodne, Maria przez cały czas podtrzymywała ogień na palenisku. Angelo zbierał chrust na opał, a Tino wykonywał leśne obowiązki ojca. Kiedy pokazał Angelowi, gdzie zastawiono wnyki i pułapki na leśną zwierzynę, ten codziennie je obchodził. Pewnego dnia Tino zaproponował, że nauczy go polować, lecz już po chwili śmiać się z tego pomysłu do rozpuku.

- Nie ma o czym mówić - machnął ręką. - Widziałem, jak polujesz. Nie będę uczył delfina pływać.

Angelo opiekował się też domowymi zwierzętami, dbając, aby miały wodę i paszę. Doił nawet kozę, chociaż nie pamiętał, gdzie i kiedy się tego nauczył. Czynność ta wydała mu się całkiem naturalna. Pielęgnował wiosenny ogród i pomagał Marii podnosić Brunona, trzymając go tak delikatnie, jakby był niemowlęciem. Kiedy wyczerpana niewiasta potrzebowała drzemki, Angelo siadywał przy posłaniu jej męża, czasem w milczeniu, czasem wiodąc z nim cichą rozmowę. Bruno zmienił do niego stosunek, odkąd zaczął pracować na swoje utrzymanie.

- Nazwałem cię *signore Muto* - wyznał leśniczy, kiedy pewnego wieczoru rodzina zasiadła do kolacji. - Czy wiesz, jak się nazywasz?

Angelo przeczesał palcami gęstą czuprynę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Maria chciała wymówić jego imię, lecz trzech mężczyzn byłoby ciekawi, skąd je zna. Tino uśmiechnął się i zasugerował:

- Może *Lupo*?

Bruno skrzywił się z niechęcią, a Angelo wziął do ust kolejny kęs.

- Nie, jakoś inaczej - mruknął, przeżuując sarninę. - Prawie sobie przypomniałem... tymczasem *Lupo* wystarczy... Za dużo teraz gadam, aby być *Muto*.

Któregoś dnia pracował z Marią w ogródku.

- Coraz więcej rzeczy wydaje mi się znajomych - powiedział. - Na przykład dojenie kóz. Prawie przypomniałem sobie, jak mam na imię.

Zaczął się w nią uporczywie wpatrywać.

- Kiedy się śmiesz, Mario, mam wrażenie, że słyszałem już kiedyś twój głos. Może we

śnie? Pamiętam też barwę twoich włosów i oczu. - Machnął ręką. - Nie pytaj skąd. Gdzieś je widziałem, jak malowidło na wazie, która rozpadła się na kawałki, jakby ktoś ją stłukł. - Ukrył twarz w dłoniach, kołysząc głową. - Kiedy moja głowa zacznie normalnie pracować?

Maria odwróciła się od niego, przyklękając na ziemi. Nie odrywając wzroku od grządki, zaczęła wrywać małe chwasty.

- Gdyby to ode mnie zależało, nazwałabym cię Angelo - wyszeptała.

- Myślisz, że Angelo to ja? Anioł?

- Tak. Być może zbłąkany anioł. Zboczyłeś z drogi, lecz kryje się w tobie słodka dusza serafina. To nim jesteś w głębi serca, a nie *lupo*. Ten rozdział twojego życia już się zakończył. - Podniosła głowę. - Nie byłabym zaskoczona, gdybyś pewnego dnia rozpostarł skrzydła i odleciał. Będę smutna, gdy nas zostawisz. - Powiedziawszy to, wstała i pobięła do chaty.

Praca fizyczna wzmocniła Angela i każdego dnia jego myśli stawały się coraz bardziej klarowne. Żebra Brunona się zrosły i mężczyzna nie mógł się doczekać powrotu do pracy. Chociaż utrzymujący się kaszel i ćmiący ból w piersi były niepokojące, uważał, że zbyt długo wylegiwał się na sienniku.

Był w lesie, skąd rozciągał się widok na chatę, kiedy ujrzał, jak Maria prowadzi poważną rozmowę z Tinem i udziela mu jakichś wskazówek. Ostatnio nieznajomy coraz częściej wymieniał spojrzenia i uśmiechy z jego żoną.

Kiedy skończyła rozmawiać z synem, poszła do ogrodu. Bruno spostrzegł, że syn ruszył ścieżką w jego stronę, idąc szybciej niż zwykle. Wyszedł pomiędzy drzew.

- Dokąd wysłała cię mama, Tino? - zapytał.

- Powiedziała, że pora, aby *Lupo* odszedł teraz, gdy już prawie wydobrzałeś. Jego brat to hrabia Silvestre z Wieży Wilka. Mama posyła mnie, abym go tu sprowadził. Kto by pomyślał? Opiekowaliśmy się szlachcicem, mama wiedziała o tym od początku.

Tino ruszył przed siebie, wołając:

- Muszę iść, jeśli mam dotrzeć na miejsce przed zmrokiem!

Bruno spojrział w stronę chaty. Zauważył, że Angelo wyszedł na zewnątrz i przyłączył się do Marii. A więc oszukiwała go przez te wszystkie miesiące. Chciał pobiec, lecz stracił oddech. Ruszył w ich stronę sztywnym, zdecydowanym krokiem, na wyprostowanych kolanach.

- Dlaczego nie powiedziałaś, kogo żywimy?! - zawołał gniewnie. - Od początku wiedziałaś, prawda?

Cofnęła się, kręcąc głową. Bruno zwrócił się do zaskoczonego mężczyzny. Jego twarz i

kark posiniały z gniewu.

- Wiem, kim jesteś i co uczyniłeś tej niewieście wiele lat temu! Chcę, abyś opuścił mój dom! Natychmiast!

- Pozwól mu zostać jeszcze jedną noc, mężu - błagała Maria. - Był dla nas dobry. Rano przyjedzie po niego brat.

Bruno sięgnął po pikę opartą o ścianę chaty, kierując ją w pierś tamtego.

- Powiedziałem natychmiast!

Zaskoczony Angelo uniósł ręce, wycofując się z ogrodu w stronę ścieżki. Bruno podniósł kamień i rzucił w jego stronę, omal nie trafiając go w głowę.

- Dlaczego, Bruno? Za kogo mnie bierzesz? - zapytał Angelo, lecz leśniczy schylił się po kolejny kamień.

- Pozwól, że przynajmniej dam mu trochę jadła na drogę! - krzyknęła Maria.

Mąż chciał coś odrzec, lecz wstrząsnął nim atak kaszlu.

- Nadchodzi kolejna noc pełni księżyca - wydusił. - Twój przeklęty wilk na pewno znajdzie sobie coś dojedzenia.

Jak zachowywałby się anioł zmuszony mieszkać na ziemi? Maria nazwała go „serafinem”. Mimo to nawet serafin musiał jeść, dopóki pozostawał w ludzkiej postaci. Jedzenie. To pierwsza rzecz, jakiej potrzebuje. Potrzebuje też miejsca, w którym mógłby się schronić przed deszczem. Tylko gdzie je znaleźć?

Pierwszą noc spędził skulony w pieczarze, rozpaliwszy ognisko. Rankiem polana była chłodna, a on trząsał się z zimna, nie mogąc się doczekać nadejścia świtu. Wyszedł na szary poranek i zaczął uderzać rękami o tułów, by pobudzić krążenie krwi, pozbyć się „gęsiej skórki”, jak mówił Tino. Nie zaszedł daleko, gdy usłyszał tętent koni. Pod wpływem nawyku wyrobionego przez siedem lat pobytu w lesie zaszył się między drzewami. Kiedy jeźdźcy go minęli, ruszył w kierunku chaty leśniczego.

Nagle za plecami usłyszał dyszenie jakiegoś zwierzęcia. Uklęknął, gdy z zarośli wyłonił się *nonno*. Trącił go pyskiem w pierś. Angelo chwycił wilka za uszy i pocałował w czoło.

- Witaj, stary druhu - rzekł. - Powiedz, jesteś człowiekiem czy aniołem? Wiesz, jaki grzech popełniłem, że spotkał mnie taki koniec?

Usiadł na ziemi, a wilk położył się obok niego, ogrzewając go swoim ciałem. Angelo mówił, drapiąc kark zwierzęcia.

- Dzisiaj jest ta noc, prawda? Zabawimy się jeszcze raz, lecz później będę musiał zdecydować, co uczynić z resztą miesiąca. Zapomniałem, jak to jest być człowiekiem... jeśli

kiedykolwiek to wiedziałem.

Opiekun zamknął oczy, oddychając lekko i rytmicznie. Angelo położył się obok niego i wkrótce zapadł w drzemkę. Półświatomy usłyszał koński galop na ścieżce. Nie wyjrzał, aby sprawdzić, kto to taki, chociaż wilk zerwał się na równe nogi i pobiegł w tamtą stronę. Kiedy wrócił, zaczął szarpać Angela za tunikę, lecz ten go zignorował, zbyt senny, by wstać.

Nie poruszył się aż do zachodu słońca. Jego wygląd się zmienił, a jaskrawe światło księżycy zaczęło wzmacniać jego wilcze cechy. Stał na czterech łapach i wciągnął powietrze. Był gotowy.

Polowali w okolicy Todi i przed świtem złapali młodego jelenia. Nadal uczładował nad padliną, kiedy pierwsze promienie słońca dotknęły jego ramion i sprawiły, że znów stał się człowiekiem. Przeżuwał w najlepsze kęs surowego mięsa ociekającego krwią, lecz to okazało się zbyt wielkim wyzwaniem dla jego ludzkiego gardła i zębów. Zakrzusił się i wypluł mięso. Po chwili nad mięsem zebrał się rój much, a mrówki zwiadowcy zaczęły prowadzić ku niemu swoich towarzyszy. Inni padlinożercy dokończą to, czego nie zdążył zjeść dziadek, a na koniec zjawia się kruki, by obrać padlinę do kości.

Wilk obszedł swoją część zdobyczy, obwąchując resztki. Uniósł pogodnie żółte ślepią i spojrzał na Angela, jakby chciał powiedzieć: w porządku, możesz już iść. Wróć do swojego ludzkiego świata i dowiedz się tego, czego musisz się dowiedzieć.

- Pewnego dnia znowu się spotkamy - powiedział Angelo. - Mam nadzieję.

Wstał, zamachał rękami i spojrzał z uśmiechem na wilka.

- Ciągle nie umiem latać - rzekł. - Jeśli kiedyś się tego nauczę, przylecę po ciebie. Razem opuścimy to miejsce.

Jaką wybrać drogę? Którędy i dokąd pójść? Ruszył szlakiem wiodącym do Todi i trzymał się go, dopóki nie dotarł do rzeki, w której nasycił pragnienie. Podążając wzdłuż niej, dotarł w południe do ruin opuszczonej kaplicy przy moście. Powietrze, które ją otaczało, przypominało całun nieprzeniknionego bólu. Kiedy próbował zbliżyć się do kościoła, natrafił na niewidzialną barierę.

Poczuł silny ból przeszywający trzewia i pierś. Coś w jego wnętrzu próbowało wydostać się na wolność. Upadł na ziemię, trzymając się za brzuch. Stał na czworakach, kiedy coś zaczęło mu podchodzić do gardła, wydobywając się z ust razem ze szpetną wydzieliną. Pośród wymiocin i śliny wił się wąż, który żywił się nim od czasu młodości. Angelo złapał kamień o ostrej krawędzi i uderzał gada, dopóki ten nie przestał się poruszać, a następnie rzucił kamień jak najdalej od siebie. Usłyszał, jak wpada do rzeki płynącej za ruinami.

Dokonało się! - usłyszał w swojej głowie, chociaż nie wiedział co.

Kiedy wstał, poczuł się dziwnie lekki. Niewidzialna bariera nie oddzielała go już od kaplicy. Powłókł się w kierunku otworu w kamiennej ścianie, gdzie kiedyś znajdowały się wrota, i wszedł do środka. Wnętrze pozbawionego dachu kościoła wypełniało rześkie powietrze. Jego uwagę przyciągnęły pogrążone w cieniu fragmenty fresku na najwyższej z ocalałych ścian. Poczł znajomy dreszcz na widok młodej niewiasty klęczącej przed majestatycznym aniołem, a raczej archaniołem, okazało się bowiem, że rozumie łaciński napis umieszczony pod malowidłem. Niebiańską istotą okazał się archanioł Gabriel, ogłaszający przyszłej matce narodziny Chrystusa.

Angelo nie pamiętał, czy wcześniej widział ten fresk, chociaż przedstawiona scena wydała mu się znajoma, jakby był jej naocznym świadkiem lub stanowił jej część. Przypomniał sobie inną Marię, która dostrzegła w nim anioła. Może jest w jakiś sposób związany z tym Gabrielem, może pali się w nich płomień pokrewieństwa? Czy wraz z innymi aniołami obserwował scenę zwiastowania? Upadł na kolana, naśladowując postawę Dziewicy i modląc się, aby przez mrok jego umysłu przedarł się promień zrozumienia.

Był wdzięczny za ten okrucz wiedzy. Poznał jedno z ziemskich miejsc nawiedzanych przez anioły. Od tego dnia przez dwa kolejne lata odwiedzał kościoły. Utrzymywał się z tego, co zdołał wyzebrać w kruchcie, lub goszcząc jako pielgrzym w domach zakonnych i klasztorach, które znajdowały się przy największych świątyniach. Przemierzył pieszo całą Umbrię i rzymską Kampanię. Mimo przerażającego wyglądu nie doznał krzywdy w miastach, gdyż dzięki temu, że był pobożny, uznano go za szaleńca bożego. Czasami proszono go nawet o modlitwę w zamian za jałmużnę.

Wędrując między ludzkimi osadami, musiał stawiać czoło pogodzie i niebezpieczeństwom czyhającym w drodze, przynajmniej jednak pozbył się rozpacz i demona, który go gnębił. Na pustkowiu, w lasach i na wierzchołkach gór jego umysł szybował w zaczarowane rejony. W owych latach nie potrafiłby wskazać granicy rzeczywistego świata i wcale go to nie obchodziło. Domeny, w których się poruszał, były równie niejasne, jak jego postrzeganie czasu i przestrzeni.

Rozdział trzydziesty trzeci

Przesiadując w lochu, brat Angelo dawno temu stracił poczucie czasu. Był przekonany, że od dnia, w którym odwiedził go stary ksiądz, upłynęło kilka miesięcy. Może papież zabronił mu kolejnych wizyt? A może schorowany braciszek odszedł po swoją nagrodę. Wiek księdza i jego słaby świszczący głos nie wróżyły zbyt dobrze.

Z ostatnich słów, które wypowiedział, wynikało, że to *padre* Sanguigno, który kiedyś uwiódł jego matkę - ksiądz, którym pogardzał całą mocą młodzieńczego oburzenia i furii. Poczul ulgę, wybacząc człowiekowi, który zhańbił imię jego rodu. Matce przebaczył dawno temu, obdarzając ją współczuciem, którego nie miał, gdy był chłopcem. Im więcej się uczył o samotności, człowieczej kruchości, potrzebach i żądach, tym łatwiej przychodziło mu akceptowanie postępowania bliźnich. „Zrozumieć wszystko to wszystkim przebaczyć”, powiedział mu kiedyś brat Konrad. Czyż nie o to prosił dla siebie za każdym razem, gdy zwracał się do Ojca: „Odpuść nam nasze grzechy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”?

Wiedział, że „gniewny Angelo” był fałszywym „ja” stworzonym przez jego umysł, podobnie jak „zrozpaczony Angelo” oraz, najrzadszy, „Angelo szczęśliwy” i setki innych samozwańców. *Padre* Sanguigno był, kim był, a teraz jest, kim jest. Postanowił, że nie będzie jak świnia, która inną świnie uważa za niepokalaną. Dopóki pozostawał w terażniejszości, Angelo nie dostrzegał związku między dawną a obecną osobą księdza. Na dodatek rada Sanguigna o całkowitym poddaniu okazała się bezcenna. Wczoraj zapisywał swoje myśli na koźlej skórze, dopóki starczyło miejsca:

Tracąc wszystko,

Duszą łączy się

Z niewyobrażalnym Dobrem.

Strata... i zysk...

Nie można tego opisać...

Napisał te słowa, na jedną bowiem chwilę znalazł się w niebiosach czy też ziemskim raju, by wyrazić się ściślej. Nie potrafił wyjaśnić, jak tam trafił. Po prostu go to spotkało i od tego czasu nie opuścił owego miejsca. W jednej chwili znajdował się po tej stronie zasłony, w drugiej był po przeciwnej. Krople deszczu na omszałych ścianach lochu lśniły niczym tysiące

drobnych kamieni szlachetnych, miniaturowych pryzmatów odbijających tęczę. To właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że przebywa w niebie, a ptaki, owady i obłoki, strażnik oraz inne stworzenia, które widywał, były anielskimi istotami, podobnie jak on sam.

Pomyślał o dawnych znajomych z Todi. Chociaż zachowywali się jak ludzie - gniewali się, śmiali, czuli się utrudzeni i wystraszeni - w rzeczywistości wszyscy byli boskimi istotami, pragnącymi odnaleźć swoją prawdziwą naturę. W powodzi wspomnień przypatrywał im się ze świętej góry - aniołom i braciom zakonnym - pamiętał nawet ich imiona i treść rozmów. Pamiętał, jak rozmawiał z bratem Konradem na wierzchołku tej samej góry o obserwatorze, który przypatruje się wszystkiemu ze współczuciem. W końcu pojął, że sam nim jest. W owej chwili siedział nieruchomo jak posąg, otoczony i wypełniony pokojem, który go ogarnął. Prawie się nie poruszał, a jeżeli, to tylko po to, by zapisać słowa, które nie oddawały wszakże doznanego objawienia.

Zgrzyt unoszonej kraty nie mógł zakłócić tego nowego poczucia spokoju. Usłyszał nad głową głos strażnika:

- Jak głęboki jest jego loch?

- Około dziesięciu metrów - odrzekł. Setki razy zmierzył wysokość poszczególnych kamieni, rozkładając palce, a następnie przeliczając liczbę warstw od posadzki do szczytu celi. Pogrążony w euforii już miał zakrzyknąć, że niebiosa, a nawet ziemski raj są nieograniczone, gdy na tle bezchmurnego nieba ujrzał kontury dwóch głów cherubinów.

- Braciszku Angelo, masz gościa! - zawołał mnich.

- Stań w świetle, Angelo, abym mógł cię zobaczyć. Nic nie widzę.

Brat spełnił życzenie. Głos gościa wydał mu się znajomy, lecz jego barwa była głębsza od tej, którą zapamiętał. Spojrzał w górę, zmrużył oczy i się uśmiechnął.

- Pokój z tobą, Silvestre! Tęskniłem za tobą, bracie.

Wielokrotnie przemierzając wzdłuż i wszerz znajomą okolicę, Angelo odtworzył w końcu swoje dzieje, wydobywając je z najgłębszych pokładów pamięci. Podobnie jak wiosenne słońce, zaczął oświetlać, a później przenikać uporczywą zimową mgłą, która zaciemniała jego umysł. Zaryzykował nawet powrót do Todi i zapukał do drzwi swojego dawnego domu, aby zyskać potwierdzenie. Ze zdumieniem stwierdził, że nie ma w nim chłopca i służącej, jak tego oczekiwał, lecz znajduje się tam inny znajomy człowiek. Kiedy Enzo go rozpoznał, gdy otrząsnął się z szoku, okazał tyle szczęścia i radości, ile można oczekiwać od człowieka, który przez ostatnie lata uczył się noszenia na twarzy maski godności i dostojeństwa na użytek swego publicznego wizerunku.

Pokazał Angelowi list z Wieży, w którym Silvestre lamentował, że ich brat rozpląnął się w powietrzu. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa. Chociaż w ciągu zaledwie kilku godzin przybył, aby odnaleźć Angela w lesie nieopodal zamku, brat zniknął. Do tej pory, dodał, wiadomo było tylko tyle, że ponownie odzyskał ludzką postać.

Angelo szybko podsumował dziewięć ostatnich lat; siedmiu z nich zupełnie nie pamiętał. Enzo opisał mu swoje życie notariusza, opowiedział, jak przejął klientów Maccabea i Jacopa. Przypomniawszy też, że jedynie opiekuje się domem i że Angelo w każdej chwili może do niego wrócić.

- Zatrzymaj dom - rzekł włóczęga. Odmówił też przyjęcia nowej tuniki, aby zastąpić tę zużytą. - Ta, którą mam, wystarczająco dobrze okrywa moją nagość. Niepotrzebna mi nowa.

Enzo gościł go przez kilka dni, dopóki Angelo nie uznał, że musi ruszyć w dalszą drogę. Opuścił dom, nie oglądając się za siebie, i przez nikogo nierozpoznany przeszedł ulicami miasta. Wstąpił do San Fortunato, aby obejrzeć wizerunek Dziewicy, przed którym modliły się jego matka i Leta. Umieszczając kolana w widocznych wgłębieniach, pozwolił, aby ogarnęły go wspomnienia tamtych mrocznych lat. Pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby dokonał żywota w miejscu uświęconym przez Maryję i modlitwy kobiet. Jednak kiedy otworzył oczy, nadal klęczał przez freskiem, a Dziewica uśmiechała się do niego łagodnie.

Usiadł na jednym ze stopni kościelnych schodów, aby chwilę odpocząć. Ogrzany promieniami słońca poczuł spokój niczym medytująca jaszczurka, wygrzewająca się na marmurowej głowie posągu któregoś ze świętych. Usłyszał tupot koni w uliczce wiodącej do *piazza* i obojętnie spojrzawszy na pozłocaną karocę,

Z otwartego okna poleciało w jego stronę kilka monet, a chwilę później karoca zniknęła, dudnienie kół zaś ucichło jak odgłos oddalającego się grzmotu. W jasnym świetle dnia rozpoznał pasażerów - Benedetta i Roffreda Gaetanich.

Wstał i zebrał pieniądze, a następnie wrócił po schodach do San Fortunato, aby wrzucić garść denarów do skrzynki z datkami dla biednych. Wolałby raczej głodować przez tydzień niż przyjąć jałmużnę od ludzi, którzy wygnali go z miasta... i pewnie by go zabili, gdyby mieli taką sposobność.

Poczuł ledwie dostrzegalny skurcz żołądka, jednak wystarczająco silny, by zwrócił jego uwagę. O jednym zapomniawszy, mówił. Zaiste, Gaetani o czymś mu przypomniał: nadal daleko mu do stwierdzenia, że nauczył się przebaczać. Wrócił do ołtarza, aby poprosić o łaskę i zmówić modlitwę dziękczynną za braci Gaetanich. W odpowiedzi poczuł, że musi opuścić bramy miasta i ponownie ruszyć w drogę.

Enzo pchnął umyślnego do Silvestrego, informując go o wizycie Angela. Pisał, że wydawał się zdrowy na ciele i umyśle, choć nie udało się go dłużej zatrzymać. W obecnej chwili był zadowolony z życia pielgrzyma. Ostatnio widziano go, jak zmierzał w kierunku Asyżu, więc być może wstąpi do Wieży Wilka.

List Enza wzbudził wielkie nadzieje w Silvestrem, a Gina podzielała jego radość. Liczyła na to, że w końcu ujrzy swego niemal mitycznego szwagra, o którym nasłuchiwała się tylu dziwnych opowieści.

Silvestre wystawił strażę na głównym trakcie, codziennie patrolujące okolice Coldimezzo i zaglądające do chaty leśnika. Miał nadzieję, że wspomnienia przyciągną brata w te strony, jak gołębia powracającego do gołębnika. Może nawet zajrzy do zamku. Kiedy pewnej nocy usłyszał wycie białego wilka, wyszedł z zamku przez boczną furtę i zawołał w kierunku lasu:

- Bądź czujny, *nonno!* Przeprowadź go do domu, jeśli zdołasz!

Poprosił też o pomoc Guida, który obiecał szukać śladów obecności Angela w pobliżu swojego zamku. Hrabia niedawno otrzymał dobre wieści. Jego bratanica Amatina pojawiła się w zamku dwa miesiące temu w towarzystwie kupca z Asyżu, z którym była zaręczona. Rycerze, którzy napadli zamek sześć lat temu, podążyli ich śladem, mając nadzieję wyrządzić więcej szkody, lecz odbudowany mur ich zaskoczył i zrezygnowali ze swego zamiaru. Guido dodał, że wyzwiał ich dowódcę na śmiertelny pojedynek i pomścił śmierć brata oraz bratowej.

- Co się działo z twoją bratanicą przez te wszystkie lata? - zapytał Silvestre.

Guido westchnął.

- To długa historia, nie chcę zabierać ci czasu, gdy szukasz brata. Mówiąc krótko, rycerz, który ją porwał, przetrzymywał ją przez długi czas. Później udała się z jego córką jako służka do klasztoru Ubogich Pań w Asyżu. Stara *nobildonna* mieszkająca w owym mieście wykupiła ją, a po śmierci zapisała Amatinie cały swój majątek. Dasz wiarę? W jej smutnym życiu dokonał się całkowity zwrot.

- Przywiozła z sobą mojego zięcia, Jacopa. Ach, *signore*, człowiek ten jest w żalonym stanie... Amatina spotkała go podczas swoich wędrówek.

Zamyślony stary rycerz dotknął palcami brody niczym filozof.

- Wierzysz w przypadek, hrabio Silvestre? Może wszystko, co nas spotyka, stanowi część większego planu, którego nie rozumiemy? W każdym razie Teresina była szczęśliwym małym ptaszkiem. Cały czas śpiewała i płażała z radości, że poznała *papà*, chociaż człowiek ten rzadko bywał przy zdrowych zmysłach. Dodam, że dziecko ubóstwa swoją kuzynkę Amatę.

Wieści z chaty leśniczego były mniej pomyślane. Choć zębra Brunona się zrosły, suchy kaszel się nasilił, a każdy oddech stał się bolesnym zmaganiem. Nie przyniosło skutku pojenie leśniczego naparem z lobelii i miksturą przyrządzoną przez medyka. Trudności z oddychaniem przykuły go do łoża, słabł z każdym dniem. Drzewo, które pogruchotało mu zębra, uszkodziło także płuca, a niemożność stania lub siedzenia w pozycji wyprostowanej dodatkowo pogarszała sprawę.

- Czy będzie żył? - zapytał Silvestre Marię i Tina, gdy wyszli z chaty. Kobieta pokręciła głową.

- Być może wkrótce zobaczymy się na jego pogrzebie, hrabio Silvestre - westchnął Tino. - Obawiam się, że *papà* nie zabawi z nami długo.

Kiedy młodzieniec wrócił do swych zajęć, Maria położyła dłoń na ramieniu Silvestrego.

- Chcę mu powiedzieć, kiedy Bruno odejdzie... Może po pełni księżyca łatwiej mu przyjdzie zrozumieć, że jego prawdziwy *papà* jest po części wilkiem. Wiem, że będzie rad, kiedy mu powiem, że jesteście spokrewnieni. Nie widzi świata bożego poza tobą. Mam nadzieję, że zrozumie, dlaczego tak długo zwlekałam... chociaż wiedziałam, że jego prawdziwy ojciec jest z nami od tygodni... Modlę się, aby nie myślał o mnie źle, dlatego że to zataiłam...

Silvestre skinął głową.

- Myślę, że zrozumie twoje położenie. Gdyby pojawił się Angelo...

- To zabiłoby Brunona szybciej niż cokolwiek innego...

Westchnął głęboko. Oczywiście Maria miała rację. Była w naprawdę trudnym położeniu.

- Może Tino mógłby przyprowadzić go do zamku... nie oczekuję, że udzielicie mu schronienia.

Spojrzał na chatę, klatki na króliki, ogród i baldachim drzew ocieniający polanę.

- Jeśli kiedyś zmęczysz się przebywaniem w lesie, Mario, możecie zamieszkać z Tinem ze mną i Giną. Gdyby nie twoja dobra rada, nigdy bym się z nią nie ożenił. Tino mógłby się uczyć, gdyby chciał, a jeśli dusiłby się w zamku, mógłby pracować razem z naszym leśniczym. To wygodne życie.

Niewiasta się zadumała.

- Przyzwyczailiśmy się do tego miejsca - rzekła, lecz nie odrzuciła propozycji.

Mimo podjętych wysiłków Angelo przeszedł niezauważony nawet przez dziadka. W porze pełni księżyca przemknął przez las, podążając na północny zachód. Bezszelestnie

niczym wietrzyk minął Coldimezzo i terytorium starego wilka. Gdyby owej nocy pamiętał o granicach wytoczonych przez ludzi, wiedziałby, że zapuścił się do Toskanii, aby skręcić na wschód do Perugii, a później ruszyć ku podnóżom Apeninów.

Cały następny tydzień przespał w domu gościnnym klasztoru benedyktynów w San Pietro, czasami wyśpiewując godzinki z czarnymi mnichami. Znów zaskoczyło go to, że zna łacinę. Po dwóch latach spędzonych na wędrówce nadal odkrywał nieznane karty własnej przeszłości.

Popołudniami przesiadywał w ogrodzie pomiędzy klasztorem i bazyliką. Naprzeciw jego ławy stał kamienny posąg anioła z dłonią uniesioną w geście błogosławieństwa. Zadał figurze to samo pytanie, które wcześniej postawił wilkowi: Za jaki grzech spotkał mnie ten upadek? Dlaczego zostałem skazany na ludzkie ciało? Przecież wyrządziłem przez to jeszcze więcej krzywdy. Jak mógłbym zmniejszyć winy, zamiast stale je powiększać? Puste oczy kamiennego anioła patrzyły w dal, przez Angela, i chociaż zdawało się, że figura go błogosławi, Angelo nie miał poczucia, że winy zostały mu odpuszczone.

W południe tego samego dnia, w którym opuścił klasztor, zasnął na słonecznym brzegu Tybru nieopodal Perugii. We śnie zawołał Marię Vidone, ukazującą mu się ostatnio w jego duchowych wędrówkach. Wyobraził sobie dziewczynę, którą zapamiętał wiele lat temu. We śnie pojawiły się też wioska oraz górujący nad nią zamek. Wiedział, że niegdyś w nim mieszkał, Enzo zaś powiedział mu, że znajdzie tam brata. Pewnego dnia do niego wróci. Teraz jednak, od czasu gdy modlił się przed obrazem w San Fortunato, jakaś siła ciągnęła go na północ niczym magnes, ku źródłom Tybru ukrytym w sercu gór.

Ciepły, młodzieńczy uśmiech Marii opromienił go jak słońce, jednak po chwili jej oblicze zaczęło się zmieniać, aż stała się niewiastą spotkaną dwa lata temu - inną Marią, tą, która pielęgnowała jego zranioną nogę i nazywała serafinem. Podszedł do niej we śnie i ujrzał, jak płacze wśród drzew nad świeżo wykopanym grobem. Jej rudowłosego syn wtykał prosty krzyż w kopiec ziemi. Kiedy Angelo stanął obok niej, oparła głowę o jego pierś. Otoczył ją ramieniem, próbując pocieszyć tak, jak umiał, by po chwili zacząć przeproszać za to, że ją opuścił. Nie miał wyboru. Musiał iść w górę rzeki, pod prąd. Sen zakończył się dziwną sceną, w której najpierw wychodził z lasu, a po chwili do niego wracał - zawieszony między odejściem i pozostaniem.

Gdy otworzył oczy, dzień miał się ku końcowi. Zerwał się i ruszył w górę rzecznej doliny, szukając młodniaka lub jaskini, w której mógłby znaleźć schronienie na nadchodzącą noc. Słońce skryło się za górami, które stawały się tym wyższe, im wyżej się wspinał. W otoczeniu, z każdą milą bardziej majestatycznym, Angelo czuł się najmniej ważną postacią.

Gdy następnego ranka ruszył w górę rzeki, dolina się zwężyła. Kiedy wszedł między wysokie sosny porastające zbocza wzgórz i zasłaniające słońce, poczuł lęk. Zaczął recytować na głos:

Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną. Może anioły strzegły tego przejścia przed niegodnymi. Pomyślał o wielkich istotach obdarzonych skrzydłami i połyskującym ostrzu miecza trzymającym straż nad wejściem do ogrodu Eden po tym, jak Bóg wygnał z niego Adama i Ewę. Krzyknął w stronę groźnych duchów, które mogły się unosić w pobliżu:

- Zostałem zaproszony! Miałem tu być!

Najpewniej pomyślnie przeszedł próbę. W południe koryto rzeki ponownie się rozszerzyło i Angelo wyszedł na słońce. Zaczął dostrzegać pierwsze ślady ludzkiej obecności - małe gospodarstwa nad brzegiem rzeki, a później bielejące w oddali mury miasta.

Minął przygarbioną pomarszczoną kobiecinę, rzucającą resztki jedzenia stadku kur przed chatą. Widząc, jak kwoki rzucają się na okruchy, przypomniał sobie, że nie jadł od czasu, gdy opuścił klasztor.

- *Perfavore*, babciu - rzekł. - Została ci może okruszyna dla jednego z pielgrzymów bożych?

Oczy jej zabłysły, gdy przypatrywała mu się przez chwilę spod chusty.

- Tak, w zamian za błogosławieństwo.

- Błogosławieństwo? Nie wiem, czy moje błogosławieństwo komukolwiek pomoże.

- Czyżbyś nie szedł w kierunku świętej góry?

- Ja? Idę z biegiem rzeki. Czy właśnie tam dojdę?

- Tak, tam gdzie świętemu Franciszkowi ukazał się ranny anioł.

- Archanioł Gabriel?

- Nie, to był serafin. Sądziłeś, że tam go ujrzysz? - Zmrużyła oczy, bystro mu się przypatrując. - Kazano ci przyjść, nieprawdaż?

- Takie odniosłem wrażenie.

- Ja również. Od lat wypatruję podobnych tobie i zawsze proszę o błogosławieństwo. - Przekrzywiła głowę, w dalszym ciągu mierząc go uważnym spojrzeniem. - W końcu może się okazać, że jeden z was to święty.

Cóż miał rzec? Zamknął oczy i uniósł dłoń w geście kamiennego anioła z klasztoru czarnych mnichów. Panie, otocz opieką to dziecię i zadbaj o nie, pomodlił się. Niech Twój słudzy niebiescy zawsze będą w pobliżu, by je ochraniać.

Wzmocniony potrawką z chlebem ruszył w kierunku wioski, którą niewiasta nazwała Citta di Castello. Podała mu też adres dwóch miejsc, w których może przenocować - kościół na zachodnim brzegu rzeki, trafnie nazwany Buon Reposo¹⁴, i mały klasztor benedyktynów, Sant' Ansovino. Udał się do tego drugiego, podążając za dźwiękiem dzwonów bijących na *Angelas* na kampanili klasztoru. Zgodnie ze słowami staruszki, było to małe zgromadzenie czarnych mnichów, w którym mieszkało zaledwie ośmiu mężów. Mimo to, z powodu dużej pochyłości zbocza, do którego przylegał klasztor, kamienna konstrukcja liczyła kilka kondygnacji.

Mnichów otaczała aura żarliwości i skupienia, której nie dostrzegł w San Pietro. Może miało to coś wspólnego z mniejszym rozmiarem i prostotą zabudowań oraz surowym charakterem miasteczka. A może był to rezultat wpływu wywieranego przez anioły i bliskości świętej góry. Angelo zasnął głębszym snem niż w Perugii i nie odpowiedział na wołanie dzwonu wzywającego mnichów na nocne czuwanie.

Opuściwszy klasztor zaraz po wschodzie słońca, ruszył przez całkiem inny krajobraz niż do tej pory. Choć w górnym biegu rzeka zwęziła się do połowy poprzedniej szerokości, wydawało się, że rozległa, stroma dolina liczy co najmniej piętnaście kilometrów szerokości. Odległych wzgórz nie porastały sosny, lecz rozpościerały się na nich łąki tu i tam usiane kasztanowymi gajami. Żłota barwa majaczących w oddali pól mogła oznaczać, że porasta je zboże lub wyschnięta od skwaru trawa. W lasach po obu stronach rzeki znalazł jeżyny i poziomki, a także grzyby i orzechy.

Po półgodzinie Tyber skręcił na zachód. Kiedy koryto rzeki znów wygięło się na północ, ujrzał górę wznoszącą się na tle bezchmurnego nieba. Górowała nad całym łańcuchem. Jej dumna grań oparła się eonom lat erozji, co wystarczyło, by uwierzyć, że kryje w sobie tajemnicę mocy. Jeśli przyspieszy kroku, dotrze do jej podnóża przed zapadnięciem zmroku. Mnisi z Sant' Ansovino powiedzieli mu, że między głazami leży wioska.

Dotarł tam późnym popołudniem, po mozolnej wspinaczce. W starym opactwie Tifi nieopodal Caprese dostał strawę, nocleg i radę dotyczącą ostatniego etapu wędrówki.

- Dziesięć kilometrów na północny zachód leży miasto Chuisi - wyjaśnił opat, *dom* Roberto. - Powyżej miasta wznosi się zamek hrabiego Orlanda, który podarował górę Alwernia świętemu Franciszkowi i jego braciom. Z zamku będziesz mógł wspiąć się do osady braci na szczycie góry. Większy wszakże odniesiesz pożytek z pielgrzymki, jeśli przekroczysz rzekę - zasugerował - kierując się na wschód, i najpierw wejdiesz na górę

¹⁴ *Buon Reposo* (hiszp.) - dobry odpoczynek.

Casale. Tam znajdziesz szlak wiodący granią, przez wierzchołki Alpe di Catenaia, którym podążał święty Franciszek z Casale na Alwernię. Duch Franciszka cię poprowadzi, gdy będziesz stawiał stopy w miejsca, w których stawał je on.

Dom Roberto pomyślał, że pielgrzym zechce zatrzymać się w którejś z licznych jaskiń i pustelni rozrzuconych wzdłuż szlaku. Poprosił piwnicznego, aby zaopatrzył go w prowiant na kilka dni drogi.

- Te święte miejsca dzieli zaledwie krok od nieba - dodał. - Nie można się oprzeć pokusie, aby odpocząć i pomodlić się w jednym z nich.

Jeśli mnisi z Sant' Ansovino poruszyli go swoją powagą, ci z Tifi urzekli Angela lekkością ruchów i płomiennym obliczem. Ich wygląd wzmocnił jego przekonanie, że stoi na progu świętej przestrzeni, a wszyscy ludzie żyjący u podnóża góry zostali odmienieni bliskością istot anielskich.

Kolejne dni przyniosły jeszcze większą wdzięczność dla opata. Tak jak przepowiedział *dom Roberto*, Angela ogarnęło przemożne pragnienie ukłęknięcia na modlitwę, kiedy zbliżał się do szczytu Alwerni. Surowe piękno tego miejsca nie przypominało niczego, co widział w porośniętych bujną roślinnością dolinach dolnego Tybru. Z wierzchołka góry mógł oglądać wszystkie miejsca rozświetlone uczynkami i cudami pierwszych braci: Umbrię, Toskanię, region Marche, Emilię-Romanię, a nawet Asyż i górę Subasio, gdzie powstał zakon. Na wschodzie Adriatyk lśnił rozjaśniony słońcem niczym szary dywan wysadzany klejnotami, na zachodzie zaś Morze Liguryjskie wiodło ku Korsyce i Francji.

Opat opowiedział mu dzieje tego miejsca. Wspomnił, że *signore Orlando* wznosił na górze kaplicę dla braci, którą nazwał Santa Maria degli Angeli, kaplicą świętej Marii od aniołów, nawiązując do małego kościółka nieopodal Asyżu, w którym święty Franciszek i jego pierwsi uczniowie modlili się do Pana. Angelo, który nie przestawał myśleć o aniołach, uznał tę nazwę za bardziej niż właściwą.

Dotarł do kaplicy i siedzib mnichów pod koniec czwartego dnia wędrówki. Jedzenie zaczęło mu się kończyć i rad był, że spędzi noc pod dachem. Przybywszy do osłoniętego wgłębienia na wierzchołku góry, nie spostrzegł klasztoru, lecz rozproszone proste chaty. Bracia mieszkali niczym pustelnicy w oddzielnych kwaterach zamiast razem, jak bracia konwentualni z Umbrii.

Zapukał do najbliższych drzwi, które po chwili otworzył odziany w szary habit mąż o niezwykle błyszczących niebieskich oczach. Mimo wysokości i chłodnego powietrza nie zadał sobie trudu naciągnięcia kaptura na łysiejącą głowę. Policzki płonęły mu od wewnętrznego ognia. Patrzyli sobie w oczy długą chwilę, wyrażając wzajemne uznanie.

- Pokój z tobą, hrabio Angelo - rzekł w końcu mnich. - Długośmy na ciebie czekali.

W innych okolicznościach tak dziwne powitanie z ust nieznajomego mogłoby go wprawić w osłupienie. Teraz jednak wydawało się jednak całkiem naturalne, szczególnie gdy braciszek się przedstawił:

- Jestem brat Gabriel.

Rozdział trzydziesty czwarty

Wizyta Silvestrego sprawiła, że Angelo był rozdarty. Zamiast skoczyć z radości na wieść o planie uwolnienia, Angelo zaoponował.

- Twoja propozycja jest bardzo uprzejma - rzekł z głębi lochu - lecz wolą bożą jest, abym tu pozostał. Kazał mnie tu wtrącić nasz papież. Jest Namiestnikiem Chrystusowym na tym padole, dlatego muszę czekać, aż uzna, że moja kara dobiegła końca.

Silvestre zwrócił się do strażnika, który stał obok, odsunawszy kratę. Mnich odezwał się przyciszonym głosem, dając im znak, by mówili szeptem.

- Bracie Angelo, odpokutowałeś już wystarczająco za swoje winy. Za każdy dodatkowy dzień, który papież Bonifacy cię tu trzyma, poniesie karę w życiu przyszłym. Wyświadczysz łaskę nieśmiertelnej duszy papieża, zmniejszając ogrom jego niegodziwości.

- Może Bóg pragnie, abym poniósł karę za własne grzechy?

- Nie wierzę - odrzekł benedyktyn. - Czyż Syn Jego nie przyszedł, aby zbawić cały rodzaj ludzki, nawet taką zbłąkaną owieczkę jak Bonifacy? A może raczej takiego zbłąkanego pasterza?

Silvestre przerwał ich uczone dywagacje.

- Skąd wiesz, że nie jest Jego wolą, abym cię uwolnił? Czy zwykłym zbiegiem okoliczności było, że kardynał Gentile zwlekał z przekazaniem mi wiadomości o miejscu twojego pobytu? Czy szerszy plan boży wobec ciebie nie może obejmować ściśle określonej liczby lat i nic ponad to? Czyż Bóg nie może pragnąć, abyś spędził w pokoju ostatnie lata swojego żywota?

- Twój brat ma rację - przytaknął strażnik. - Nie możemy zakładać, że znamy zamiary Najwyższego. Silvestre może być jego narzędziem.

- Przecież już teraz doświadczam pokoju - zaprotestował brat Angelo, by po chwili spojrzeć w górę i uśmiechnąć się lekko. - Często modliłem się, aby ten moment nadszedł. Może nie mylisz się, Silvestre. Może Bóg przysłał cię tu w odpowiedzi na moje błagania.

W końcu osiągnęli porozumienie. Silvestre obiecał bratu, że powróci z kilkoma pomocnikami, wyposażony w liny i konie, w ciemną noc nowiu księżycy.

Domek braciszka Gabriela okazał się wygodny, choć nie było w nim paleniska ani innego źródła ciepła. Promienie słońca wpadające przez otwarte drzwi były słabe i potrzebowały niemal całego dnia, by rozproszyć mgłę okrywającą górę. Nie dostarczyły też

Angelowi żadnego wyczuwalnego ciepła.

Mężczyzna wskazał mu siennik pod jedną ze ścian i usiadł naprzeciw niego. Kiedy braciszek się usadowił, Angelo uśmiechnął się ironicznie, po czym cicho zaśmiał się z fantazji, które nawiedzały go w ciągu ostatnich tygodni. Kiedy Gabriel uniósł brwi, okazało się, że jest tak samo rozbawiony jak on.

- Sądziłem, że na górze spotkam anioła... cały zastęp aniołów.

- Z powodu widzenia, w którym święty Franciszek ujrzał zranionego anioła?

- Z powodu pewnej niewiasty, która rzekła mi kiedyś, że jestem aniołem uwięzionym w ludzkim ciele. Miałem nadzieję, że zostanę powitany przez podobnych sobie. - Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech wyrażający zmieszanie. - Wyobraźnia jest mistrzem iluzji, nieprawdaż? A może powinienem był rzec: urojeń?

- Jesteś pewny, że nie spotkałeś anioła? - Twarz mnicha zajaśniała, gdy dodał: - Przysuń się bliżej i spójrz mi w oczy.

Mijały kolejne minuty, a on wpatrywał się nie w źrenice Gabriela, lecz w coś przypominającego niezmierną otchłań. Poczul, że kręci mu się w głowie. Zachwiał się, a strach ścisnął mu trzewia, gdy spojrzął w dół z krawędzi urwiska. Głowa zakonnika zniknęła. Przepaść wypełnił ognisty blask, gdy Gabriel uniósł dłonie z palcami przypominającymi płonące pochodnie. Ze środka owej jasności doleciał głos przypominający odległe echo:

- Czy człowiek może zamienić się w płomień?

Przerażony Angelo zasłonił twarz i skłonił się nisko, dotykając czołem podłogi. Czekał, niezdolny do wyobrażenia sobie tego, co za chwilę nastąpi. Poczul dłoń klepiącą go w ramię i kiedy w końcu podniósł oczy, ujrzał jedynie mnicha siedzącego ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw niego.

- Nawiasem mówiąc, odpowiedź brzmi „tak” - ciągnął Gabriel - lecz wyjaśnienie zawiodłoby nas zbyt daleko. Pozwól, że zamiast tego powiem ci, umiłowany, kim jesteś oraz dlaczego się tu znalazłeś.

Tajemnicza istota przerwała, czekając, aż Angelo przestanie drżeć i zdoła skupić na nim uwagę.

- Podobnie jak wy, ludzie śmiertelni, zakony składają się z ciała i duszy. Na przykład bracia szarzy, których poznałeś, stanowią ciało zakonu, którego głową jest święty Franciszek, ulubieniec boży. Pani Ubóstwa, którą czcił i polecał wielbić swoim braciom każdym oddechem, jest jego duchem przewodnikiem. Niestety, dzisiaj wielu jego synów nie oddaje czci owej Pani i zakon może utracić duszę. Wraz z towarzyszami przybyłem na tę świętą górę, aby wspierać tych braci, którzy pozostali jej wierni, i wskazywać im kierunek.

- Ilu was jest?

- Oprócz mnie są Fanuel, Raziel i nasz zwierzchnik, Metatron. On to niby pomost łączy to co śmiertelne i boskie, podtrzymując ludzkość. On to niczym obłok i słup ognia wiódł dzieci Izraela przez pustynię.

Na twarzy anioła pojawił się uśmiech.

- Przyjmujemy postać najbardziej zrozumiałą dla tych, którym pomagamy, dlatego ukazałem ci się pod postacią zebrzącego mnicha.

Angelo przycisnął dłonie do skroni, jakby lękał się, że to, co usłyszał, rozsadzi mu głowę. Nie potrafił znaleźć w swoim wnętrzu dość miejsca, aby pomieścić nawet to słabe odbicie świata Gabriela. Mam halucynacje, tłumaczył sobie. Uznał, że musi to być kolejna fantastyczna sfera, którą w ciągu ostatnich lat przemierzał jego umysł.

Gabriel ciągnął swoje wyjaśnienia:

- Będziesz miał udział w tym dziele, umiłowany, wszakże nie u naszego boku, lecz w fizycznym ciele tego zakonu. Staniesz się jednym z braci. Dużo musisz się jeszcze nauczyć i dokonać w świecie ludzi.

Angelo spojrzał przez drzwi na domki rozproszone po wierzchołku góry.

- Czy w tych chatkach mieszkają zakonnicy?

- Tak i nie. Zaprosiliśmy cię na krótko do naszego świata, rozciągającego się ponad sferą, w której poruszają się bracia. - Wskazał domek w dole wzgórza. - Gdybyś zajrzał do tamtej pustelni, odkryłbyś braciszka Hubertyna z Casale, modlącego się przy psalterzu. On jednak wyczułby cię jedynie w postaci poruszenia pary wodnej lub poczuł samą twoją obecność.

Gabriel podniósł się z podłogi.

- Chodź, cieszmy się słońcem podczas rozmowy.

Wierzchołek góry wydawał się całkiem rzeczywisty - taki, jakim Angelo go zapamiętał, zanim wszedł do chatki anioła. Sądził, że gdy siedzieli w środku, zamieni się w coś bardziej niebiańskiego. Nie spostrzegł, że gdy szli, wiatr nie targał już jego szatą.

Gabriel przemówił ponownie, gdy podążali wierzchołkiem na zachód.

- Błogosławiony Franciszek pragnął naśladować naszego niebieskiego Pana, który niczego nie posiadał, nie miał też gdzie głowy złożyć. Reguła jego zakonu była oparta na całkowitym ubóstwie. Pierwsi bracia nie posiadali majątności i używali jedynie tego, co konieczne do życia. Wiedli żywot w skrajnym ubóstwie, pokorze i prostocie. Żadnych domostw, żadnych przywilejów, żadnego prestiżu. Nazywali siebie *minores*, aby odróżnić się od *majores*, wielkich. Franciszek zakazał też swym braciom pobierania nauk. Uważał, że

wiedza nie jest konieczna do duchowego rozwoju i wiedzie do pychy. Niewielu braci było kapłanami, głównie ci, którzy otrzymali święcenia przed wstąpieniem do zakonu. W owych pierwszych dniach bracia chadzali traktami po dwóch, niczym radośni wędrowni minstrele, wzywając ludzi do pokuty i żebrząc o jedzenie.

- Kiedy, jak i dlaczego to się zmieniło? - zaciekał się Angelo. - Bracia, których znam, żyją jak inni zakonnicy w wielkich opactwach, które rzadko opuszczają. Zajmują się kopiowaniem rękopisów. Pełnią posługę kapłańską w parafiach, spowiadają i wykładają teologię na uniwersytetach. Niektórzy wspierają nawet działania inkwizycji. Są zupełnie inni od pierwszy braci, których opisałeś.

Rozmawiając, krążyli wokół chat, w których mieszkali braciszczowie. Z większości chat unosiły się kłęby dymu. Ponieważ na zewnątrz nie było nikogo, Angelo pomyślał, że bracia się modlą, być może w kaplicy wzniesionej przez hrabiego Orlanda.

- Kiedy Franciszek dołączył do grona świętych, jego zakon liczył pięć tysięcy członków - mówił Gabriel. Jego pierwszy następca, Eliasz Bombarone, uznał, że zakon potrzebuje lepszej organizacji i większej stabilności. Zaczął budować opactwa, klasztory, aby bracia znaleźli w nich schronienie. Zachęcał do nauki i zdobywania wiedzy i już wkrótce kilka zgromadzeń posiadało biblioteki, jakich mógłby im pozazdrościć cały chrześcijański świat. Owi bracia konwentualni uważali zakon za narzędzie Kościoła posłuszne woli papieża, wykonujące posługę duszpasterską lub broniące przez herezję. Przyjęli owe zmiany i bardziej swobodny styl życia jako znak postępu w przeciwieństwie do braci spirytualnych, którzy uznawali to za oznakę zepsucia. Zakon stał się posłuszny zwierzchności, co trudno było zaakceptować braciom o bardziej niezależnym usposobieniu. Każda z grup uważa, że podąża jedyną drogą, która może umocnić zakon. Ich poglądy i pasje są nie do pogodzenia, chociaż intencje szlachetne. Zakon stanął wobec takiego samego dylematu jak Poncjusz Piłat: Co jest prawdą? Każda ze stron twierdzi, że znalazła odpowiedź.

- Jeśli prawda oznacza co innego dla braci spirytualnych, a co innego dla braci konwentualnych, jak ja, prosty mnich, mam rozstrzygnąć, co jest słuszne? - wtrącił Angelo.

- Nie będziesz musiał tego czynić. Twoje serce od razu to rozpozna.

Angelo spojrzał na rozproszone chatki. Na zboczu wzgórza pasło się stado dzikich kóz, ostrożnie stąpając nad przepaścią.

- Wiesz, jak to wszystko się skończy?

- Zachęcamy zwierzchników braci spirytualnych, braci surowszej reguły, aby zabiegali o pozwolenie na założenie oddzielnego zakonu. Nowy zakon nie pozbawi konwentualnych ich przywilejów.

- Tak jak mnisi z Citeaux przestrzegają surowej reguły świętego Bernarda, zaś mnisi czarni nie?

Gabriel skinął głową. Doszli do zachodniego krańca szczytu, gdzie słońce migotało i syczało, pogrążając się w wodach dalekiego Morza Tyrreńskiego.

- Potrzebują papieskiego błogosławieństwa, aby to zrobić - ciągnął Gabriel. - Ci, którzy uczyniliby to bez pozwolenia, zostaliby uznani za heretyków. Zamożne duchowieństwo uważa ubogich reformatorów za zniewagę dla swego zbytku. Gdyby dzisiaj święty Franciszek wstąpił do własnego zakonu, skończyłby na stosie; jego konwentualni bracia podburzyliby tłum i zawiedli na stos.

Słońce znikło za najdalszym krańcem ziemi, gdy bolesny obraz sprawił, że anioł zamknął oczy.

Przez dziesięć nocy brat Angelo przewracał się z boku na bok w mroku swojej zawilgoconej celi. Był to najdłuższy okres jego uwięzienia, w którym obserwował, jak co noc ubywa księżycy pogrążającego się w nicości. Spoglądał przez kratę na blady sierp zawieszony nad jego głową, opierając się snowi. Tego ranka benedyktyn podał mu więcej jadła, aby się wzmocnił przed podróżą.

Usłyszał szcęknięcie otwieranej kłódki. Miał ściśnięty żołądek, a po żebrach spływał mu pot. Zawiasy kraty krzyknęły w ciszy jak nurkująca siewka. Nigdy wcześniej nie zauważył, że robią taki hałas.

- Przepraszam, bracie - wymamrotał mnich. - Angelo, opuszczam linę - szepnął. - Poruszę nią, żebyś nie musiał zbliżać się do latryny. Na końcu zrobiliśmy pętle. Wsuń w nie nogi i się podciągnij. Później uchwyc się obiema dłońmi powyżej dużego węzła.

- Mam zabrać pled? - zapytał Angelo. - Nie chcę, aby mój hojny dobroczyńca został obwiniony o to, że mi go podarował.

- Zostaw! - odrzekł mnich. - Zrób tylko to, co powiedzieliśmy.

Angelo chwycił za jedną z pętli. Kiedy zajął odpowiednią pozycję, pociągnął, jakby dawał znak, że wyjął jadło z kosza.

- Jestem gotów.

Zakołysał się w powietrzu, gdy mężczyźni zaczęli ciągnąć. Wyprostował nogi, obawiając się, że uderzy o przeciwległą ścianę, lecz efekt wahadła ustał, kiedy znalazł się w połowie wysokości. Dopiero wtedy pomyślał o skrawkach pergaminu z jego przemyśleniami z ostatnich pięciu lat... i arkuszu welinu, na którym spisał wiersz dedykowany Marii. Kolejna warstwa, którą zrzucił niczym jaszczurczą skórę. Może w przyszłości jego słowa dostarczą

rozrywki jakiemuś więźniowi.

Wrócił do rzeczywistości, kiedy zdał sobie sprawę, że wisi wprost nad dziurą pośrodku lochu. Gdyby lina pękła, zniknąłby na wieki w tej piekielnej otchłani. Z całej siły chwycił linę, czując palenie dłoni. Prowizoryczne siedzisko ocierało boleśnie wychudłe ścięgna podkolanowe. Żałował, że nie wetknął koca lub kawałków pergaminu między pętle a swoje ciało.

Kiedy zbliżył się do otworu, sięgnęły po niego silne dłonie, chwytając za przedramiona. Rama drzwiczek otarła się o żebra i brzuch, gdy wyciągali go na zewnątrz. Chwilę później pod bosymi stopami poczuł aksamitną miękkość wilgotnej ziemi. Pragnął upaść na kolana, aby podziękować strażnikowi i ucałować ziemię, jednak wybawcy podnieśli go za ramiona i zaprowadzili do czekającego nieopodal konia. Kiedy sadzali go w siodle, w przyćmionym świetle latarni spostrzegł, że koń ma obwiązane szmatami kopyta.

- Dasz radę, bracie? - zapytał Silvestre, stając obok niego. - Może powinniśmy jechać razem? Możemy prowadzić konie, dopóki nie opuścimy terenu klasztoru. W ciemności i tak nie będziemy mogli jechać szybciej.

- Może najpierw spróbuję - odrzekł Angelo. - Za chwilę będę wiedział, czy zdołam utrzymać równowagę. - Czuł pieczenie w okolicach żeber. Wiedział, że przez wiele dni będzie miał siniaki, może nawet otarł skórę.

Nikt nie zauważył drugiego mnicha, który zbliżył się do nich w ciemności. W czarnym habicie i nasuniętym kapturze był niewidzialny, dopóki nie stanął pomiędzy nimi, wysoki i szeroki w ramionach jak Silvestre. Przemówił do strażnika ściszym głosem.

- Co czynisz, bracie? Miałeś strzec więźnia.

- Ojciec przełożony! - wyjąkał skamieniały ze strachu mnich, klękając przed zwierzchnikiem.

- Wiesz, że będę musiał cię ukarać... odeślę do zsywania ksiąg. Naraziłeś mnie na pokusę grzechu. Będę zmuszony skłamać, aby ocalić cię od tortur, kiedy zjawią się tu ludzie papieża. Będę musiał rzec, żeś zniknął razem z owymi szubrawcami.

Opat pochylił się i podniósł coś z ziemi. Metalowy przedmiot błysnął w świetle latarni, gdy obracał go w dłoni.

- Weź z sobą kłódkę, *signore* - rzekł do Silvestrego. - Jeśli ją znajdą, wszyscy będziemy w przykrym położeniu. Wrzuć ją do najbliższej rzeki, jaką napotkacie.

Silvestre skłonił głowę.

- Dziękuję, ojcie przełożony.

- Wiecie, że papież Bonifacy każe swoim ludziom przeszukać okolicę? Będę musiał

powiadomić Jego Świątobliwość o ucieczce... za tydzień?

- Lepiej za dwa. Musimy przejść Góry Sabińskie i wrócić do domu przez Spoleto i Foligno. Nie wiem, jak Angelo zniesie podróż. Być może będziemy musieli posuwać się bardzo powoli.

- Mam wysłać posłańca na najstarszym osle? Nie wiem, czy biedak przeżyje tak długą drogę. A może lepiej posłać naszego brata do willi papieża w Anagni? - Wskazał ręką Angela i powiedział: - Nie bierzcie go do siebie. Wasz zamek będzie pierwszym miejscem, które przeszukają ludzie papieża. Mogą również przetrząsnąć domy braci.

- Dobrze go ukryję - zapewnił Silvestre. - Zadbam o wszystko.

Opat przeszedł niczym zjawą przez ciemny podworec do konia, na którym siedział więzień.

- Z Bogiem! Życzę ci bezpiecznej drogi, braciszku Angelo - wyszeptał. - Będzie nam ciebie brakowało. Codziennie będziemy zanosili za ciebie modły, jak to czyniliśmy przez te wszystkie lata. Mam nadzieję, że nie ujrzę już twojej twarzy po tej stronie rajy.

Rozdział trzydziesty piąty

Najprostsza droga z Palestriny do Todi wiodła na północ, w górę doliny oddzielającej Góry Sabińskie i Góry Albańskie. Chociaż mieszkańcy Umbrii mogli dotrzeć do pierwszego punktu orientacyjnego, Tivoli, w ciągu jednego dnia szybkiej jazdy, Silvestre wiedział, że wielu Rzymian, w tym książąt Kościoła, spędza w wiosce letnie miesiące. Ich gromadka wzbudziłaby zaciekawienie, jeśli nie podejrzliwość Umbryjczyków. Dlatego postanowił ruszyć na wschód do przesmyku wiodącego przez masyw Gór Sabińskich do wiosek Olévano i Subiaco.

Kiedy opuścili zabudowania klasztorne, zatrzymali się, aby zdjąć szmaty z końskich kopyt. Zapalili drugą latarnię, by w jej świetle poruszać się w bezksiężycową noc. Wolne tempo pozwoliło Silvestremu zacząć rozmowę z bratem.

- Rozmawiałem z przeorem San Fortunato - powiedział ostrożnie. - Zapytałem, czy byłbyś u nich mile widziany, gdyby papież uwolnił cię z więzienia.

- Co rzekł?

- Powiedział, że byłby rad, gdyby Bonifacy zdjął z ciebie ekskomunikę. Jeśli tego nie uczyni, nie będzie mógł cię uznać za członka Kościoła walczącego, a twoje śluby zakonne pozostaną pustą obietnicą. Myślę, że mogliby przyjąć cię do domu dla gości jak każdego pielgrzyma, byłbyś tam jednak traktowany na równi z Saracenenem lub innym niewiernym. W każdym razie to rozwiązanie odpada. Opat powiedział, że klasztory będą drugim miejscem, które sprawdzą ludzie papieża.

- Zawsze będę się uważał za zakonnika.

- Nic nie stoi temu na przeszkodzie. Możesz mieszkać jak pustelnicy, wśród których przebywałeś na Alwerni. Zamierzam zabrać cię do chaty ukrytej w lesie nieopodal zamku, gdzie pacholki papieża z pewnością nie będą cię szukali. To spokojne miejsce, z dala od ludzi.

Silvestre zachichotał.

- W lasach żyje wielu banitów, więc będziesz się ukrywał wśród swoich. - To rzekłszy, ściągnął lejce i przez dłuższą chwilę przypatrywał się bratu. - Byłeś tam kiedyś - powiedział - trzydzieści lat temu. Rodzina, która w nim mieszkała, opiekowała się tobą, gdy zraniłeś nogę, wpadając do pułapki na dziki. Pamiętasz?

- Tak, trochę. Obraz mam zamazany. Ci ludzie byli wobec mnie życzliwi, chociaż pod koniec coś się zmieniło i mąż owej niewiasty wygnał mnie z chaty.

- Czy rozpoznalbyś ich, Angelo?

- A powinienem? Przez wiele lat żyłem pod postacią wilka. Jak pewnie wiesz, przemiana nastąpiła na cmentarzu w Todi. Kiedy odzyskałem ludzki kształt, nie rozpoznałem siebie, a co dopiero innych.

- Pamiętasz, że kobieta nazywała się Maria, jej syn Tino, a mąż Bruno?

- Tak, gdy mi przypomniałeś. - Jego głos stał się posępny. - Maria to często spotykane imię. Kochałem kiedyś dziewczynę, która tak się zwała. Miałem wówczas zaledwie czternaście lat. Skąd o tym wiesz?

Silvestre uśmiechnął się do niego.

- W Wieży Wilka krążą o tym legendy. Wiem też, że Maria poczęła syna, że się rozstaliście i że poślubiła leśniczego z Coldimezzo. Zaczynasz dostrzegać w tym jakiś związek?

Angelo jechał w milczeniu, dumając nad słowami brata. Silvestre nie potrafił stwierdzić, w którą stronę poszybowały jego myśli.

- Bruno umarł dawno temu - dodał Silvestre po dłuższej przerwie - lecz Maria i jej syn pragną cię zobaczyć. Czekają na nas w Subiaco. Powinniśmy dotrzeć do wioski przed świtem, gdy strażę otworzą wrota.

Trakt doprowadził ich do murów Olévano. Silvestre dał znak w ciemności, aby stanęli i zsiadli z koni. Pomógł Angelowi stanąć na ziemi, a następnie odpiął kilka tobołków przytroczonych do swojego siodła i siodła brata.

- Zauważyłem płytką sadzawkę, gdy mijaliśmy to miejsce ostatniego wieczoru. Zdejmij te strzępy habitu i zmyj z siebie zgniliznę lochu - wyszeptał. - Mam dla ciebie nowe ubranie. Od tej pory będziesz wyglądał jak stary szlachcic, którym po prawdzie jesteś. Będziemy musieli poczekać do świtu, aby przyciąć ci włosy i brodę.

Widząc wahanie Angela, dodał:

- Psy papieża będą szukały obdartego cuchnącego mnicha. Jeśli nas złapią, wszyscy trafimy do więzienia. Jestem pewien, że tego nie chcesz. Możesz zachować starą szatę, jeśli będzie ci jej brakować. Gdy znajdziesz się w lesie, włożysz ją ponownie.

Jeźdźcy wjechali do Subiaco, gdy miasto zaczęło się budzić, skręcając w stronę oberży nieopodal bramy. W szarym świetle tuż przed brzaskiem Angelo spostrzegł parę koni zaprzęzonych do karocy i męża pomagającego starszej niewieście wspiąć się do środka. Serce zabiło mu żywiej.

- Jeśli nie jesteś pewien, wyjaśnię, że kobieta, która opiekowała się tobą w lesie i którą niebawem ujrzysz ponownie, to Maria Vidone. Mężczyzna, który jej pomagał, to twój syn

Tino. Trudno uwierzyć, że ma już pięćdziesiąt lat, prawda? - Po chwili dodał z błyskiem w oczach: - Moja wnuczka wkrótce spodziewa się dziecka.

Angelo drżał. Wyraźnie roztargniony uśmiechnął się do brata, lecz jego umysł analizował to, co przed chwilą usłyszał. Wśród korowodu scen przesuujących się przed oczami jego duszy pojawiło się wspomnienie rozmowy przed chatą leśniczego.

- To ona powiedziała, że jestem aniołem - rzekł. - Mimo tego, jak ją potraktowałem.

- Któż zna cię lepiej od niej, prawda?

Głos Angela zadrżał ze wzruszenia.

- Przez cały czas Maria i nasz syn byli przy mnie.

- Nie mogła mu powiedzieć, gdy Bruno żył. Odkrył to i tak, dlatego przegnał cię z chaty. Obawiał się, że z twojego powodu może ją utracić. Widział, jak bardzo jej na tobie zależało.

Angelo spuścił głowę. Nagle poczuł się niegodny. Silvestre położył dłoń na jego ramieniu i szepnął:

- Chodź, bracie. Czas najwyższy, abyś się połączył z rodziną.

Spacery odbywane wspólnie z Gabrielem górską granią stały się codziennym zwyczajem, chociaż Angelo miał wątpliwości, czy jego towarzysz dzieli czas na dni lub tygodnie, gdyż pojęcia czasu i miejsca były właściwe tylko ziemskiej sferze. Krajobraz otaczający pustelnię anioła ogarniały na przemian światłość i ciemność, chociaż wewnątrz zawsze pozostawało jasne. Mimo że nie jedli ani nie spali przez kilka dni, Angelo nie odczuwał głodu ani zmęczenia.

Czasami kroczyli pod chmurami, które wisały tak nisko, że niemal mogli ich dotknąć. Odnosili wrażenie, że sterują wyspą otoczoną morskimi falami. Pewnego razu, gdy szli między chatkami braci, Gabriel powiedział:

- Pustelnicy żyjący na wierzchołku tej góry mają bardzo różny stosunek do swych braci mieszkających w klasztorach. Niektórzy, jak brat Konrad z Offidy, to prości, pobożni mężowie, których nie interesuje polityka zakonu. Pragną jedynie pozostawienia ich w spokoju, by mogli bez przeszkód żyć według reguły Franciszka. Z kolei młody Hubertyn, mieszkający w chacie, o którą wcześniej pytałeś, ma duszę uczonego i wkrótce zostanie wysłany przez zwierzchność do Paryża. Porzuci jednak filozofię i stanie się wpływowym, wymownym rzecznikiem braci spirytualnych.

Gabriel ruszył w stronę innej grupy chatek, bardziej wystawionych na siły przyrody niż dom Hubertyna.

- Ci pochodzą z regionu Marche i są bardziej skorzy do bitki. Ich przywódcą jest brat Pietro da Fossombrone, który mieszka w pustelni przed naszą. Tommaso da Tolentino i brat Macerata są równie bojowi jak on, tak samo wielu innych, którzy przybyli na Alwernię z oddania dla braci.

Przeszli na zachodni skraj grani górujący nad morzem.

- Tam, w Provins, mieszkają bracia spirytualni, których można uznać za mózg tego ruchu. Brat Hugon de Digne stanie się znany jedynie przez swoje pisma, przyłączył się bowiem do świętego Franciszka w sferze Kościoła walczącego. Jego najbardziej utalentowany uczeń, Pierre Jean d'Olivi, jest błyskotliwym uczonym podobnie jak Hubertyn. Stanie się drogowskazem i latarnią morską dla całego ruchu, chociaż władze zakonne będą mu nieustannie deptały po piętach, dręcząc oskarżeniami o herezję. Jeden z generałów zakonu każe spalić jego dzieła.

Zatoczywszy koło, wrócili do miejsca, z którego wyruszyli. W dole widzieli chaty.

- Wśród tych braci „heretyk” to zaszczytny tytuł. Szybciej od innych wyczują oni gnój obłudy i lęku, z których źródło bierze nienawiść ludzi ich oskarżających.

W niebo wzbiło się stado gołębi. Ptaki zatoczyły milczące koło, jakby pragnęły ich objąć, a następnie zniknęły w dole, pośród chat braciszków. Gabriel uśmiechnął się i powiódł za nimi ręką.

- Stadko braci mieszkających w tych chatach, tak ufających boskiej opatrności jak te delikatne ptaki, stanie się twym sprzymierzeńcem, podobnie jak ty ich. Będziesz jednym z najznamienitszych. Inni pragnący zachować wierność regule świętego Franciszka przyłączą się do was w następnych wiekach.

Chociaż Gabriel nakreślił jasny obraz dalszych losów Angela, przyszedł zakonnik miał wiele pytań dotyczących przeszłości.

- Czy możemy porozmawiać o czasach, które spędziłem na wygnaniu? - zapytał, gdy usiedli w chacie anioła.

- O jakim wygnaniu mówisz? - zdziwił się Gabriel.

- Sądziłem, że wiesz. Przez siedem lat żyłem pod postacią wilka.

- Dwadzieścia dziewięć lat przeżyłeś jako człowiek. Które wygnanie masz na myśli? Czas spędzony w wilczej skórze był krótszym okresem wygnania w ramach dłuższego.

Anioł nakreślił na klepisku kilka koncentrycznych kół.

- Umiłowany, życie przyjmuje wiele form na wielu płaszczyznach. Owe stany są jak zmarszczki na powierzchni stawu, które rozchodzą się od jego środka. Doświadczyłeś

zaledwie kilku lub wyobraziłeś: istoty anielskie, bezcielesne dusze zmarłych, ludzi, zwierzęta, rośliny... Jeden z waszych poetów nazwał ciało szatą okrywającą duszę. Czemu dusza miałaby zmieniać odzienie, jak ludzie zmieniają ubranie? W każdej części ziemi w ciągu wieków zapisano opowieści o takich przemianach. Natrafiłeś na jedną z nich, studiując Owidiusza.

- Czyż nie ma prócz nich istot pozbawionych duszy? - zapytał Angelo. - Nigdy żadnej takiej nie spotkałem, choć Pismo Świąte wspomina o olbrzymach, którzy niegdyś zamieszkiwali ziemię.

- Spotkałeś ich - odrzekł Gabriel. - Natknąłeś się na nich w swym ostatnim wcieleniu. - Angelo usłyszał w głosie anioła rozczarowanie. - Widziałeś olbrzymów, leśne duszki, nimfy i syreny, ogry i trolle. Na wpół ludzkie istoty: centaury, fauny, harpie i minotaury. Zdeformowanych śmiertelników, potomstwo narodzone z nasienia ludzi rozwiązłych, splodzone dzięki podstępowi naszego upadłego nieprzyjaciela. O tych mądrzy wołą nie wiedzieć.

- Nie wspominając o transmutacji i transsubstancjacji - wtrącił z uśmiechem Razel, wtykając do środka posiwiałą głowę. - U podstawy życia, bracie Angelo, kryje się zmiana, będąca najgłębszą istotą wszechświata. Nie dziwota, że raz byłeś wilkiem, a drugi raz człowiekiem. Czyż jest to bardziej zdumiewające od przemiany gąsienicy w motyla? Albo chleba w ciało Boga na słowo kapłana? Albo tego, że ołów zamienia się w drogocenne złoto po zetknięciu z kamieniem filozoficznym?

Razel dotknął cudu, który zawsze intrygował Angela, bardziej nawet od tajemnicy eucharystii. Kiedy pracował w kantorze, marzył o tym, aby osiąść tajemnicę kamienia filozoficznego, gromadząc złoto poprzez przemianę pospolitych metali w ten drogocenny kruszec.

- Czy jakiś alchemik zdołał tego dokonać? - zapytał.

- Bóg na samym początku polecił, abym przekazał wiedzę alchemiczną dzieciom Adama, com uczynił. Obecnie owa wiedza spoczywa pośród kości Henocha w ukrytej komorze grobowca Cheopsa. W owej piramidzie drzemie nieograniczona moc, czekając na odkrycie. - Zachichotał, myśląc o ironii położenia Angela. - Kiepska sprawa, gdy nas bowiem opuścisz, będziesz zakonnikiem, który złożył śluby Pani Ubóstwo i owe poszukiwania nie będą cię już interesować.

Ciemne oczy anioła na chwilę zapadły się w głębokich oczodołach, kiedy jednak skupił wzrok na Angelu, ich spojrzenie było tak łagodne jak krowie mleko.

- W twoim życiu, umiłowany, takie magiczne zdarzenia nie mają większego znaczenia.

Najważniejszą przemianą, nad którą musisz pracować, jest przemiana sposobu myślenia. Ludzki umysł to oszust i kłamca, sam powiedziałeś o nim: „mistrz urojeń”. Umysł porusza się w świecie kłamstwa i snów. Ten szkodnik próbuje cię przekonać, że jesteś zły, gwałtowny, podły, zagrożony, niezdolny do przetrwania. Gdy go jednak ogołocisz z tych iluzji, odzyska swój naturalny stan pomocnika duszy. Musisz się nauczyć rozpoznawać każdy lęk, badać każde pragnienie i kłamstwo, dopóki nie odkryjesz jego fałszywego źródła. Odcinaj je po kolei, jak przycina się drzewo, aby wydawało więcej owoców.

Raziel wyciągnął dłonie, jakby ważył na nich dwie substancje.

- W porównaniu ze zmianami, których byłeś tu świadkiem, możesz to uznać za rzecz prostą, obiecuję jednak, że wypełni wszystkie lata twojego życia i będzie wymagać całej siły, jaką masz. Nie można oczyścić umysłu połowicznie, uczynić go letnim.

- Czy dlatego przyprowadziłeś mnie do tych braci? - zapytał Angelo.

- Ludy Wschodu mają przysłowie: „Ptaki mieszkające na złotej górze odbijają złotą barwę” - odrzekł.

Wziął do ręki odrobinę piasku i przesiał między kościstymi palcami.

- Pewnie słyszałeś kazanie o ziarnie, które padło na urodzajną glebę i przyniosło obfity plon. Na żyzną, miękką glebę, gdzie powietrze i woda mieszają się z ciepłem, które idzie w górę z głębi ziemi. Wilgotna para zrodzona z owego połączenia otwiera łuski nasion gotowych do odrodzenia. Podobnie urodzajna gleba zachęca ziarno, aby uwolniło uśpione w nim życie. Chcemy zasadzić cię w urodzajnej glebie tego zakonu, abyś wyzwolił dobroć, która jest w tobie ukryta.

Angelo pochylił głowę, patrząc na swoje wyprostowane dłonie. Miał jeszcze jedno pytanie, które nie dawało mu spokoju od czasu, gdy pewna niewiasta powiedziała mu, że jest aniołem. Rozmowa o wygnaniu i różnych formach życia przywołała je ponownie. Może te niebiańskie istoty potrafią udzielić mu na nie odpowiedzi.

- Możecie mi powiedzieć, bracia - zaczął - czemu jestem akurat w takiej postaci? Czy dopuściłem się przewinienia... upadłem?

Gabriel przerwał mu podobnie jak wtedy, gdy pytał o istoty pozbawione duszy.

- Powinieneś pomówić o tym z Metatronem - rzekł.

Niechże i tak będzie! Wkrótce otrzyma odpowiedź. Tymczasem dwaj aniołowie dali mu zadanie, które wystarczy na całe życie. W chwili ciszy umysł podpowiedział mu, że nie dysponuje niezbędną mocą i determinacją, aby je wykonać. Jednakże wiedział przynajmniej, od czego zacząć: od obalenia pierwszego kłamstwa, oswojenia pierwszego lęku.

Otworzył złożone dłonie, zwracając je wnętrzem ku górze, a następnie ku dołowi,

badając żyły, skórę i paznokcie, jakby widział je po raz pierwszy. Jakże wiele rzeczy tworzy człowieka, pomyślał. Zmieniające się i starzejące ciało, sprzeczne impulsy umysłu zmiennego niczym kameleon - niezliczone nikczemne i błogosławione wybory, duże i małe, które wyznaczały kolejne lata jego życia, prowadząc do tejże chwili.

- Trudno jest być człowiekiem - westchnął głęboko.

Rozdział trzydziesty szósty

Tino podbiegł, aby powitać ojca w szarym świetle poranka, obejmując go i wyciskając powietrze z jego wątlęgo tułowia. Angelo z radością stwierdził, że chłopak wyrósł na krzepkiego mężczyznę. Nadal bolały go zebra poturbowane podczas ucieczki.

- *Papà*, witaj w domu! - W jego śmiechu dało się wyczuć nutę nerwowości. - Prawie w domu!

Zrobił krok do tyłu, nadal obejmując kościste ramiona ojca. Angelo spostrzegł, że jego oczy lśnią w pierwszych promieniach świtu. Przerzedzone rude włosy opadały na czoło jak oświetlone promieniami słońca zarośla.

Angelo poczuł na policzku ciepłe łzy. Uśmiechnął się lekko do syna, którego nigdy nie widział jako chłopca i tylko przelotnie jako młodzieńca. Był utrudzony, ostatnio bowiem źle sypiał, swoje żniwo zebrała też wyczerpująca jazda na koniu. Z radością przyjął pomoc Tina, który pomógł mu wsiąść do karocy.

Opadł na ławkę naprzeciw Marii i jej syna. Spod chustki kobiety wystawały kosmyki siwych włosów, choć było wśród nich więcej miedzianych, niż oczekiwał. Wydawała się niższa, nadal sprawiała jednak wrażenie silnej. Spoglądali na siebie nieśmiało. Zielone oczy Marii przeszły go na wylot, powodując, że podniósł dłoń do serca.

Tino czuł się w obowiązku przerwać milczenie.

- Widziałem ludzi podróżujących na furze, koniu lub osle, lecz nigdy w izbie na kołach. Jechałeś kiedy czymś takim? - zapytał ze zbytnim ożywieniem.

- Tak - mruknął Angelo. - W ozdobnym powozie papieża, którym straż zawiozła mnie do Palestriny. - Tino wyczuł, że nie było to miłe wspomnienie, i zamilkł ponownie.

Znużony głos Angela sprawił, że Maria zmrużyła oczy. Przyjrzała się jego wychudłym członkom i tułowiu, a następnie podniosła głowę tak, że ich spojrzenia się spotkały. Chciała się uśmiechnąć, lecz przygryzła dolną wargę, aby ukryć jej drżenie.

- Co oni z tobą zrobili, Angelo - westchnęła. - Wyglądasz bardziej przerażająco od upiora. - Usiadła na ławce obok niego. - Tak mi przykro. - Dopiero wtedy zauważył laskę wetkniętą za ławkę.

Zatrzymała uniesioną dłoń.

- Mogę? - zapytała.

Angelo wziął jej ręce w swoje dłonie i uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili ucieczki.

- Powiedziano mi, że już nie jestem zakonnikiem.

Zdumiał się popękaną skórą i zmarszczkami na grzbiecie jej dłoni, przypominającymi żyłkowane skórzane okładki starych rękopisów. Kiedy tak się postarzeliz?

Gdy pierwsze napięcie minęło, Tino uśmiechnął się z ulgą do rodziców. Karoca zaczęła się toczyć, a on wysunął koszyk spod siedzenia.

- Pomyśleliśmy sobie, że w ciągu sześciu ostatnich dni nie jadałeś jak wilk. Czy twój żołądek da sobie radę z mięsiwem?

- Może powinienem zacząć od małej przekąski - odparł Angelo. - Od kiedy sięgam pamięcią, podróżowałem na własnych nogach.

On i Maria siedzieli w milczeniu przez kilka dobrych minut, przyzwyczajając się do wzajemnej bliskości i nowego otoczenia.

Jedno opuściło więzienie, drugie las, czuli się też trochę obco w swoim towarzystwie. Mimo to w jakiś subtelny sposób pięćdziesiąt lat, które upłynęło od czasu spędzonego przez nich w Wieży Wilka, wydało się zaledwie kilkoma dniami rozłąki, jakby opuścili granice czasu. Mieli sobie tyle do powiedzenia, że nie wiedzieli, od czego zacząć.

Tino zabrał się do śniadania - w koszu były oliwki, suszone mięso i kozi ser. Angelo odniósł wrażenie, że syn podczas jednego posiłku zjadł tyle, co on w ciągu tygodnia. W oczach zabłyśły mu łzy, gdy patrzył na obfitość jadła, i doznał olśnienia, uświadamiając sobie, że nareszcie jest wolny.

Kiedy promienie słońca zaczęły wpadać do wnętrza karocy pod innym kątem, odgadł, że dotarli do przełęczy i zacierają na północ. Pamiętał, że dorzecze rzeki Turano tworzy dolinę w masywie Gór Sabińskich. Pomyślał, że koła będą mniej podskakiwać i hałasować i podróż stanie się przyjemniejsza, gdy wjadą na trakt do Rieti, okrążając podnóże gór.

- Zatem oboje nigdy nie opuszczaliście lasu? - zapytał Angelo, zwracając się do Tina, Maria bowiem milczała uszczęśliwiona tym, że może siedzieć obok niego.

- Nie. Silvestre powiedział kiedyś, że mam większe prawo do Wieży niż on, nie wiedziałbym jednak, jak żyć w zamku otoczony tymi wszystkimi ludźmi. Wolę mieszkać w lesie razem z mamą i leśnymi stworzeniami. Prowadzenie majątku nie interesuje mnie tak samo jak ciebie. - Uśmiechnął się. - Jaki ojciec, taki syn, co?

Angelo poczuł ukłucie innego wspomnienia z przeszłości.

- Czy polowaliśmy razem podczas pełni księżyca?

Tino skinął głową i twarz mu pojaśniała.

- To kolejny powód, aby mieszkać wśród leśnej zwierzyny!

Angelo zaczął dostrzegać coraz więcej pozytywnych stron mieszkania w leśnej chacie.

Był podekscytowany tym, że będzie przebywał z Marią i jej synem, mogąc snuć spokojne rozmyślenia wśród drzew. Pogodna reakcja Tina przypomniała mu, że on również może spotkać w lesie dawnego towarzysza.

- Czy biały wilk jeszcze żyje? - zapytał. Po rozmowie z Metatronem na Alwerni domyślał się odpowiedzi, lecz chciał się upewnić.

- Opiekun? Będzie wył z radości na twój widok! - rzekł Tino, oblizując wargi. - Czy jest twoim krewniakiem? Mama tak uważa.

Angelo odwrócił się do Marii, lecz ona przysunęła się bliżej i oparła głowę na jego ramieniu. Była szczęśliwa, że ojciec i syn mogą się lepiej poznać.

- Twoja matka wychowała się w Wieży Wilka. Musiała słyszeć plotki o moim dziadku, Lorenzu. To mój *nonno*, a twój *bisavolo*.

- Czy tak jak inni sądzisz, że będzie żył wiecznie?

- Mam nadzieję, że tak się nie stanie.

Tino spojrzał na niego ze łzami w oczach, lecz Angelo nie był jeszcze gotów, aby opowiedzieć mu o rozmowie z aniołem. Zamiast tego przez większą część ranka zapoznawał go z dziejami Wieży Wilka, pomijając fragment o kłątwie, o której mówił Metatron. Uwaga, z jaką syn wsłuchiwał się w jego słowa, upewniła go, że wcześniej o tym nie wiedział. Mieli dużo czasu, by opowiedzieć o swoim życiu, gdy karoca tłukła się na południe w stronę Umbrii. Angelo miał nadzieję, że gdy zrobi się bezpiecznie, brat przywiąże konia do karocy i do nich dołączy.

Minęli Arsoli i wjechali na równinę. Silvestre zatrzymał karetę i kazał im wysiąść na polanie przy drodze.

- Jeśli chcecie, możecie rozprostować kości i ulżyć sobie w tamtych zaroślach. Najgorszy kawałek drogi już za nami.

Zaprowadził Angela do dużej skały. Brat kroczył sztywno, jakby szedł po świeżo umytej podłodze.

- Siadaj, bracie - rzekł Silvestre. - Chwiej się jak żeglarz, który nie odnalazł jeszcze nóg, którymi stąpa po lądzie.

- Od lat nie chodziłem po takim podłożu - wyjaśnił Angelo. - Czuję się jak raczkujące dziecko, a ziemia jest popękana i nierówna. - Usiadł na skale, obserwując, jak Maria idzie wolno o lasce, a jej chód przypomina lekki, jednostajny ruch wahadła.

Silvestre zawołał Marię i Tina, jednocześnie szukając czegoś w torbie przytroczonej do siodła.

- Mam tu nóż, nożyczki i brzytwę. Możecie je na nim wypróbować. A nie zapomnijcie o

paznokciach.

Wrócił do skały i wziął w ręce splątane włosy Angela.

- Co z nimi zrobimy, bracie? Chciałbyś szpiczastą bródkę Hiszpana, okrągłą brodę Teutona, a może wąsy Anglika?

Angelo rozglądał się wkoło zdumiony otaczającą go zielonością.

- Jaką mamy porę roku? - zapytał.

- Sierpień, braciszku. Za tydzień święto Wniebowzięcia.

- Zetnij całą. - Łypnął okiem do Tina. - Odrośnie do zimy, kiedy mi będzie potrzebna.

Maria się roześmiała. Dźwięk jej głosu zdumiał Angela, gdyż przez większą część drogi siedziała w milczeniu.

- Pewnie pod tym futrem jesteś biały jak bielinek - rzekła. - Masz skórę niemowlęcia. Inaczej niż ostatnim razem, gdyśmy cię myli.

- Jutro późnym wieczorem zajedziemy do Rieti - oznajmił Silvestre. - Jeśli Angelo zostanie ogolony i wytrymowany, będziemy mogli stanąć na noc w zajeździe. Miejmy nadzieję, że w ciągu dwóch następnych tygodni żaden z ludzi papieża nie złoży niezapowiedzianej wizyty w twym lochu.

- Wiele lat temu poznałem kilku braci z Rieti - przypomniał sobie Angelo. - Byłem wówczas młodzikiem, terminowałem u *maestra* Maccabea. Zapamiętałem imiona dwóch z nich, Leon i Rufin. Powiadali, że braciszek Leon był najbliższym towarzyszem świętego Franciszka i pielęgnował go, gdy ten otrzymał stygmaty. Pewnikiem odeszli dawno temu. Wiem. Dawno temu.

- Jego Świątobliwość szaty rozedrze, gdy usłyszy o twojej ucieczce! - wybuchnął śmiechem Silvestre. W pobliżu Rieti zajął miejsce w karecie obok pozostałych. - Miał jednak kilka dobrych lat, na które nie mógł narzekać. - Rozmasował kciuki i palce. - W roku jubileuszowym do Rzymu ściągnęły dwa miliony pielgrzymów. Papiescy bankierzy się obłowili. Datki miały pójść na sfinansowanie wyprawy przeciwko Sycylii, w większości jednak trafiły do szkatuły Gaetaniego.

Angelo skubał miękką skórę na świeżo ogolonej brodzie.

- Zdumiewasz mnie, bracie, swym zainteresowaniem takimi sprawami - rzekł.

- Podziękuj naszemu wspólnemu nauczycielowi, doktorowi Filippowi - odrzekł Silvestre. - Panie, świeć nad jego duszą. Pośród wielu w zamku obudził ciekawość świata. - Przerwał, a gdy znów się odezwał, w jego głosie słychać było melancholię: - Odeszło całe pokolenie, Angelo: Filippo, Nella, Urso, hrabia Guido z Coldimezzo. Tych pewnie pamiętasz.

Zmarło się też pewnie wielu braciszkom. Maccabeo odszedł dawno temu... *padre Sanguigno*...

Przerwał, nie chcąc w obecności Marii i Tina mówić o tym, co łączy go z księdzem. Angelo już wiedział.

- Nie wytrzymał podróży do Palestriny, gdy przybył cię odwiedzić. Wiem, że rad był, mogąc się na coś przydać. Bardzo się zmienił od czasu, gdy go poznałeś.

Angelo ponownie ujął dłoń Marii. Teraz na nas kolej, pomyślał. W Bogu nadzieja, że gotowi będziemy, aby go powitać, gdy wybije godzina. Myśl ta zaniepokoiła go. Uwolniony z lochu po tylu latach, mknąc w karecie z bliskimi ku bezpiecznej przystani, niczego bardziej nie pragnął, jak długo żyć. Była to ogromna zmiana w stosunku do tego, czego życzył sobie w ciągu dwudziestu ostatnich lat. Teraz chciał odnowić więź z rodziną. Dostawszy od życia szansę, nie chciał pierwszych dni wolności marnotrawić na rozmyślania o śmierci.

- Jak papież Bonifacy wykorzystał zgromadzone środki? - zapytał, zmieniając temat.

- Ród Gaetanich jest już w posiadaniu większości ziem wokół Rzymu, przejęli też znaczną część naszej wspólnoty. Ludzie gadają, że po roku jubileuszowym papież wybrał z kasy Kościoła pół miliona florenów, aby nabyć Gaetanim kolejne włości w Toskanii i Umbrii. Brat jego, Roffredo, przez wiele lat piastował urząd *podesta* Todi. Czy dasz wiarę, że Enzo przewodniczy Wielkiej Radzie?

- Gdym go ostatnio widział, był jeszcze młodzianem - mruknął Angelo.

Benedetto i mamona. Opowieść Silvestrego przywołała inne wspomnienie.

- Spór z rodem Colonnów, w który osobiście się zaangażowałem, miał związek z Roffredem i przewozem złotych sztabek. O ile mnie pamięć nie myli, było to w maju roku tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego siódmego, gdyż kilka miesięcy później Benedetto wtrącił mnie do więzienia razem z innymi braćmi. Roffredo przewoził dwieście tysięcy florenów, które miały trafić do papieskiego skarbcza. Złoto „wyciśnięte z krwi ubogich”, jak rzekł jeden z ludzi Colonnów. Hrabia zastąpił konwojowi drogę i odjechał ze złotem. Wtedy to papież wysłał swoje wojska do Palestriny, oblegał miasto i zniszczył zamki należące do jego rodu.

- Doktor Filippo byłby poruszony tymi dramatycznymi wydarzeniami - dodał Silvestre.

- Zbyt szybko umarł. Nie dożył nawet rzezi, jaką Sycylijczycy zgotowali wojskom Andegawenów okupującym ich kraj. Radowałby się tymi wieściami, nie lubił bowiem Karola Andegaweńskiego.

- Mieliśmy inne zmartwienia, kiedym przebywał razem z braćmi na Alwerni. Nie zważaliśmy na to, co się działo poza obrębem naszego zakonu.

Tino milczał, lecz ożywił się na wzmiankę o Sycylijczykach.

- W wydarzeniach tych uczestniczyła bratanica i wnuczka hrabiego Guida. Rodzina Amaty pożeglowała razem z Teresiną do Palermo na rok przed rzezią, którą Sycylijczycy urządzili Francuzom - wyjaśnił Angelo. - Kiedy byliśmy mali, ona i inni z zamku przychodzili do naszej chaty się bawić.

- Kto został panem na zamku, gdy Guido umarł, a reszta rodziny wyjechała?

Tym razem odpowiedziała Maria:

- Jak rzekł twój brat, Gaetani wykupują ziemię w okolicy. Gdy hrabia umarł, syn Buoncontego, Fabiano, był kolejnym z linii męskiej. Skoro jednak zamieszkał wśród braci i złożył śluby, wszystko, co jego, stawało się ich własnością. Amata i Teresina, które przebywały wtedy w Palermo, nie były zainteresowane zamkiem. Zamordowano w nim rodziców nieszczęsnej dziewczyny, która podobnie jak Fabiano miała złe wspomnienia...

- Mnisi byli radzi, mogąc wyświadczyć przysługę papieżowi i sprzedać ziemię jednemu z jego krewnych - dodał Silvestre.

Maria klepnęła go wolną ręką w kolano.

- Na szczęście dla Tina i dla mnie, brat twój pomógł nam kupić nieco lasu wokół chaty, zanim wszystko przeszło w ręce Gaetanich. Z zamku dochodzą ponure wieści. Gaetani to okrutni panowie. Jako wolni *coloni* mieszkający w lesie trzymamy się od tego z daleka. Tino nie pracuje już u nich jako leśniczy. Nie wtrącają się w nasze sprawy i jesteśmy im za to wdzięczni.

Angelo skrzywił się, wspominając akt uwolnienia i swoje ówczesne postępowanie. Słyszając opowieść Marii, był wdzięczny i dumny z jej zdecydowania. Czekaliby ją i Tina okrutny los jako niewolników jednego z kuzynów Benedetta.

Zwrócił się do Silvestrego.

- Dzięki ci, bracie, żeś o nich zadbał. Uczyniłeś to, co sam powinienem uczynić.

Zwracając się do Marii i Tina, dodał:

- Mam też dług u Brunona. Niech spoczywa w spokoju. Przepraszam, że był tak nieodpowiedzialnym człowiekiem. Z pokorą i wdzięcznością przyjmuję, że mimo tego, co zaszło, chcecie, abym zamieszkał w waszym domu.

W uśmiechu Marii pojawił się cień nieśmiałości.

- Ostatnim razem, gdy u nas byłeś, dobrze się sprawiłeś. Bardzo nam pomogłeś, gdy Bruno został ranny.

- Jedni mają łatwiejszą drogę niż inni - dorzucił Silvestre. - Wszak nikt nie wybiera sobie losu. Wszyscyśmy radzi, że twoja niedola dobiegła kresu i znów będziesz z nami.

Angelo przechadzał się samotnie granią Alwerni, obserwując pojedynczy obłok wędrujący po niebie. Podążał zgodnie ze wskazówkami Gabriela, dopóki nie dotarł do poszarpanej rozpadliny na zboczu, która, jak się zdawało, prowadzi do wnętrza góry. Zajrzał do środka.

Wyczuł, że miejsce owo musi być zimne. Porosłe mchem i paprocią skały, tworzące ściany rozpadliny, lśniły wilgotnym, zielonkawym blaskiem. Najwyraźniej słońce rzadko się tu zapuszczało. Ruszył bokiem, przechodząc pod olbrzymią skałą wiszącą nad szczeliną. Kiedy wyłonił się z jej cienia, ścieżka zaczęła pięć się stromo obok kępy karłowatych drzew. W końcu doszedł do krawędzi urwiska. Usiadł, krzyżując nogi i patrząc na przeciwległy koniec rozpadliny, za którym rysowały się odległe wzgórza i wioski. Czekał, aż słońce skryje się na zachodzie, mając nadzieję, że promień światła dotrze do tego skalnego występu.

Wyczuł, że to miejsce jest związane z dziejami zakonu, że na owej wychodni święty Franciszek widział ukrzyżowanego serafina. Mnich spoglądał na niego z bojaźnią, kierowany instynktem ślepcy, w tym czasie bowiem był już niemal całkowicie niewidomy. Gdy Angelo dumiał, szczelina w skale nagle rozblęsnęła. Słup światła w końcu dotarł do miejsca, w którym siedział bez ruchu. Kiedy wpatrywał się w blask, z eteru wyłoniła się postać i podeszła do niego. Anioł usiadł, naśladując pozę braciszka. Jego oczy świeciły jak małe latarnie, a zarys jego postaci otaczały płomienie. Angelo zasłonił twarz dłońmi, nie mogąc znieść silnego blasku.

- Pytałeś o wygnanie, umiłowany - zaczął Metatron. - Jakim grzechem zasłużyłeś na swoje obecne położenie? - Kiedy mówił, stopniowo przybierał postać mnicha, młodszego od Gabriela lub Raziela, z tonsurą okoloną jasnymi włosami. Angelo opuścił ręce.

- Nienaturalne pożądanie - odrzekł anioł, odpowiadając na własne pytanie. - Wybuch wściekłości, nadużycie mocy anielskiej, wszystko, co tak niefortunnie powtórzyłeś w ziemskiej sferze. Rzuciłeś przekleństwo na jednego ze śmiertelnych, pośród których żyjesz obecnie, i dlatego musiałeś podzielić jego los.

- Kogo i jak? Kiedy się to stało?

- Pewnej nocy wśród drzew krążył człowiek obłąkany miłością w godzinie, w której nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się zapuścić w knieje. Nie wiedział i nic go to nie obchodziło, że śledzą go ślepie setek leśnych stworzeń: nocnych drapiezców, elfów, duszków tańczących w upiornych promieniach pełnego księżyca. Przyszedł na spotkanie z ukochaną, na schadzki z leśną nimfą, duchem płodności znanym z uwodzenia ludzi. Istoty tak nadobnej, że nawet ty, postać anielska, stanąłeś oczarowany. W jego i twoim przypadku miłość do stworzenia z innego porządku była rzeczą nienaturalną. Kiedy zespolili się w miłosnym

uścisku, w zazdrosnym gniewie skazałeś go na żywot samotnego leśnego stworzenia bląkającego się wśród drzew.

- Czy dlatego musiałem żyć pod postacią człowieka-zwierzęcia?

- Takie jest prawo wszechświata. Stałeś się członkiem jego rodu, dziedzicem podobnego przekleństwa.

- Ach! *Nonno Lorenzo!* - Jego dłoń przesunęła się po piersi.

Metatron skinął głową.

- Później, jako pan Wieży Wilka, dysponując raczej ziemską niż anielską władzą, miałeś okazję, by naprawić błąd. Zamiast to uczynić, jeszcze bardziej wykorzystałeś swoje przywileje: kolejny przyptyw pożądania, wściekłość, władza użyta do ranienia innych. Przez pozostałe lata wygnania będziesz musiał kroczyć inną ścieżką cichości serca wśród tych pokornych braciszków, skazany na poniewierkę przez władze zakonu i Kościoła. Musisz doświadczyć, jak się czuje człowiek wykorzystany. To również jest prawem wszechświata.

Angelo musiał wyglądać na przybitego, anioł bowiem dodał:

- Nie trać ducha, umiłowany. Moje słowa powinny cię ucieszyć. To twoja ostatnia próba, którą powinienes przyjąć z otwartym sercem. Nasz brat, Fanuel, będzie zawsze w pobliżu, aby ci pomagać. Natchnie cię nadzieją, ufnością i szczerym pragnieniem czynienia dobra.

Metatronowy opis wilczego przekleństwa sprawił, że w skołowanym umyśle Angela pojawiło się kolejne pytanie:

- A Leta? Czemu ona była wilkiem? Albo młodzieniec, którego spotkałem w lesie? Dlaczego został dotknięty przekleństwem?

- Mieli własny powód, aby narodzić się z tej samej krwi co ty, powód, by linie waszego życia się skrzyżowały. Byłeś częścią ich przeznaczenia, podobnie jak oni twojego.

- Tak jak Jezus potrzebował Judasza, aby wypełnić swoją misję?

- W pewnym sensie. Mogę ci powiedzieć, że dzięki waszemu spotkaniu Leta mogła przejść na kolejny szczebel rozwoju. Tino ma przed sobą więcej lat, aby poznać historię i cel swoich narodzin.

Angelo poklepał się dłonią po piersi.

- Kiedy to się dla mnie skończy?

- Będziemy mogli cię uwolnić dopiero wówczas, gdy wyzwolisz tego, na którego rzuciłeś przekleństwo.

Zakonnik zamknął oczy i spuścił głowę, kołysząc nią z boku na bok, jakby lamentował przy zwłokach.

- Jak tego dokonam? - zawodził, nie przestając się kołysać. - Przecież nie mam już anielskiej mocy.

- Kiedy czas odkupienia się przybliży, znów odkryjesz swoją prawdziwą naturę i odpowiedź sama cię znajdzie.

Rozdział trzydziesty siódmy

Angelo uklęknął w miejscu spotkania z Metatronem, w jednej z pieczar na zboczu góry. Po niebie sunęły lekkie, płaskie obłoki jak obładowana towarami flota handlowa. Pomyślał, że kiedyś pożyczał pieniądze i czerpał pokaźne zyski z takich przedsięwzięć. Teraz wydawały mu się równie dalekie jak chmury.

W pewnej odległości od wejścia do pieczary przechodzili nieznamy mnich i wieśniaczka. Oboje mieli na sobie łańchmany, które bracia konwentualni podarliby na strzępy i wykorzystali w latrynie. Nawet wieśniacy z Wieży Wilka włożyliby je tylko do najbardziej podłych prac.

Angelo pomyślał, że ów brat to z pewnością Fanuel, jedyny anioł, którego jeszcze nie poznał. Jego zabiedzony wygląd pasował do powierzchowności niewiasty. Mimo widocznej nędzy kobietę otaczała aura wdzięku i pokory, piękna podkreślonego przez jej delikatne rysy. Przez chwilę coś szeptali, po czym niewiasta zaczęła się oddalać, powoli znikając z pola widzenia.

Angelo wstał i podszedł do wejścia do groty, gdy anioł odwrócił się w jego stronę.

- To *Madonna Povertà* - wyjaśnił Fanuel. - Ta, którą poznasz i pokochasz, przebywając wśród braci. Franciszek czcił ją do ostatniego tchnienia, leżąc nagi w popiele, na łożu śmierci. Pani Ubóstwo jest jedną spośród wielu postaci, pod którymi ukazuje się Boska Matka.

Słowa anioła zdumiały Angela. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszał.

- Wasze Pismo Święte nazywa ją Mądrość, Grecy Sofia. To żeński aspekt bóstwa.

- Słyszałem jedynie o Trójcy Świętej... Ojciec, Syn i Duch Święty - odparł Angelo, z przyzwyczajenia czyniąc znak krzyża.

- Jedni z pierwszych chrześcijan, gnostycy, wierzyli, że Duch Święty, ogniwo miłości łączące Ojca i Syna, stanowi jedno z Boską Matką, która zrodziła wszystko, co istnieje. Całe stworzenie może rzec: „Jestem dzieckiem bożym” i nazywać Stwórcę swoją matką i ojcem. W wieczności Boska Matka nosiła wszystko w swym łonie. Wasze Pismo utożsamia też mądrość z Duchem Świętym, zwracając się do tych, którzy pragną ją osiągnąć. Ojcowie Kościoła jej nie pojęli, potępili bowiem gnostyków, oskarżając ich o herezję. - Westchnął, jakby chciał rzec: Ludzie! Czemu się nad wami trudzimy?

W umyśle Angela załęgła się wątpliwość.

- Jak żeński Duch mógł uczynić dziewicę brzemienną? - zapytał.

- Możesz zapytać o to Gabriela. To on zwiastował Maryi poczęcie. Myślisz jak

człowiek, w kategoriach ludzkiej ciąży. Czy pamiętasz, jak ewangelista opisał to zdarzenie?

Angelo zadumał się, a po chwili jego twarz pojaśniała.

- Pismo Święte powiada, że Duch „zstąpi na nią” i wtedy ona pocnie dziecko - powiedział podekscytowany.

- Dodaje też, że moc Wszechmocnego ją „zacieni”. Nie ma tu mowy o zapłodnieniu w ludzkim rozumieniu. Zastanów się. Jeśli Syn potrzebował ziemskiej matki, aby ukazać się swojemu ludowi, czy nie było rzeczą logiczną, aby owa niewiasta przyjęła Boską Matkę, która w sensie duchowym urodzi Go w wieczności? - Fanuel się uśmiechnął. - Założenia, domniemania, ograniczona wiedza i fantazje... To one rządzą waszymi domysłami, śmiertelni.

- Delikatnie rzecz ujmując - dodał Angelo.

Fanuel wskazał gaj na zboczu.

- Chodźmy, porozmawiamy o tym, co cię czeka. Pora, abyś wrócił między śmiertelnych.

Przechodząc przez polanę, minęli inną pustelnię. Młody mnich przechadzał się to w jedną, to w drugą stronę, jakby wstawiał nogi w swoje własne niewidoczne ślady. Angelo spojrzał na niego z ciekawością, co czyni, lecz Fanuel dał znak, aby szedł dalej.

- To brat Jan z Alwerni - rzekł. - Poznasz go niebawem. - Umiłowany, potraktuj lata, które ci pozostały, jako czas nauki i uzdrowienia. Przez wiele lat twoje serce oplatały węzowe zwoje, ty zaś miałeś władzę nad wieloma i uznałeś, że nie ma dla ciebie żadnych granic, że możesz mieć każdego, kogo zapragniesz, wykorzystywać innych, jak ci się spodoba. Teraz, gdy zły został wygnany z twojego serca, naucz się tego, jak uczynić miękkie to, co stało się twarde. Pozwól, aby twoje serce znów stało się tłumaczem starożytnej mądrości. Z miłością zaproś inne istoty do tego wewnętrznego ogrodu. Do tej pory otworzyłeś go jedynie przed Silvestrem, a i to odrobinę.

W miarę jak anioł mówił, patrzył na Angela coraz bardziej intensywnie.

- Ze szczególną czcią podchodź do boskiej kobiecości. Ona to, jak nic innego, może zmiękczyć i ożywić twoje serce, nauczyć wiedzy i miłości.

Angelo spoglądał nieobecny wzrokiem na odpadający kawałek brzozy kory, wiszący nad ścieżką.

- Czy będziesz mi jeszcze służył radą? - zapytał zamyślony po długiej chwili milczenia.

- Udzielam jej każdemu, kto jej poszukuje i gotów jest wysłuchać odpowiedzi.

- Czy wróciwszy między braci, będę mógł opowiedzieć im o aniołach, które szybują ponad nimi?

Fanuel się uśmiechnął.

- To nie będzie konieczne. Wiedzą o naszej obecności, podobnie jak ty sam ją odkryjesz. Na początku nie będziesz miał żadnych wspomnień, którymi mógłbyś się z nimi podzielić. Dopiero po pewnym czasie z otchłani twojej pamięci wyłoni się wiedza. Mimo to ostatnie wydarzenia będą ci się jawić niczym odległy sen, aż zbliży się kres. Dopiero wówczas, kiedy oczyścisz umysł i będziesz gotów na nowo słuchać, nasze słowa powrócą do ciebie w całej swej przejrzystości.

Fanuel wskazał dłonią wierzchołek góry i podał Angelowi dłoń.

- Chodź, umiłowany - rzekł - pora, byś poznał twych duchowych braci.

Sekretarz podszedł do niego trwożliwie, chociaż był mu wierny i dobrze służył od koronacji Bonifacego osiem lat temu. Żaden podwładny nie przynosi ochoczo złych wieści swemu panu. Dzisiaj miał dwie, które z pewnością wywołają jego wściekłość. Przybrał zasmucony wyraz twarzy, wchodząc do ogrodu willi Gaetaniach, zanim jeszcze przekazał listy. Dwaj kardynałowie, bratankowie papieża, którzy spacerowali z Bonifacym, spojrzeli na sekretarza z nieskrywaną pogardą.

- Kolejne intrygi? Kolejne spiski przeciw nam? - burknął Jego Świątobliwość. Sekretarz znał ten wyraz jego twarzy.

Posłaniec przyklęknął i ucałował pierścień papieża, a następnie wręczył mu list, mając nadzieję, że Jego Świątobliwość nie zirytuje się zanadto, przyniósł bowiem wieści o ucieczce jednego tylko więźnia. Takie wydarzenie nie mogło zachwiać posadami papieżstwa, w odróżnieniu od wieści drugiej.

Przejrzawszy welin, papież zawył. Z wiekiem jego oczy przybrały szarą barwę, lśniły na obrzmiałej twarzy kamiennym blaskiem jak zatopione w lodzie otoczaki.

- Czemu akurat ten garbus? Czy na wieki ma być dla nas udręką?

Autor listu, przeor klasztoru benedyktynów w Palestrinie, nie miał pojęcia, kto uwolnił Angela Lorenzinię. Ludzie ci przyszli ciemną nocą i rozplynęli się wraz z więźniem, zanim mnisi wstali, aby śpiewać psalmy w czas nocnego czuwania. *Boże, przebacz nam wszystkim*, dodawał tajemniczo w ostatnich słowach listu.

Bonifacy zwinął pismo i wręczył je jednemu z bratanków.

- Będzie próbował wrócić do Umbrii. Tam są jego korzenie. Przekaż to kapitanowi straży. Niech wyśle ludzi do każdego domu związanego z rodem Lorenzinich lub braciszki. Przeszukajcie szczególnie dokładnie Todi. Mógł się udać do San Fortunato albo zaszyć na powrót między grobami.

Mrucząc pod nosem, odebrał z rąk sługi kolejne pismo.

- Trzeba go było zgładzić, gdy był w naszej mocy, zamiast skazywać na powolną śmierć. To, że jest wilkołakiem, wystarczyłoby, aby posłać go na stos. - Urwał na chwilę, aby przywołać kardynała, który był już w połowie drogi do wyjścia. - Bratanku, nie trzeba sprowadzać go tu żywego. Chcemy się jedynie uwolnić od tego robaka. Godnie wynagrodzimy żołnierza, który raz na zawsze go uciszy.

- *Capisco*, Wasza Świątobliwość. - Bratanek złożył pokłon i się oddalił.

Dłoń papieża zadrżała, a twarz posiniała jeszcze bardziej, gdy przeczytał drugie pismo. Uważnie zapoznał się z jego treścią, przeglądając je kilka razy.

- Czy nasza udręka z Francuzami nigdy się nie skończy? - warknął. - Czy groźba ekskomuniki nie wzbudza już w nich lęku? Król Filip znów wystawia na próbę naszą siłę. Nigdy nie uda mu się doprowadzić do tego, że zmienimy nasze postanowienia! Przenigdy!

- Przenigdy! - powtórzył jak echo drugi z bratanków, zdając sobie sprawę z waśni między papieżem a francuskim królem i jego wujem.

Wkrótce po koronacji, w roku 1294, Bonifacy ogłosił bullę *Clericis laicos*, zakazującą ludziom świeckim, zatem również monarchom Europy, nakładania podatków na duchowieństwo. Bulla oznajmiała ponadto, że równie poważnym grzechem jak nałożenie podatku, karany ekskomuniką, jest jego uiszczenie.

Król Francji Filip Piękny, który sprzeciwił się papieskiemu postanowieniu, miał też z Bonifacym inne problemy. Uparcie obstawał przy prawie inwestytury, które dawało mu władzę mianowania biskupów na terenie swojego królestwa. Stwierdzenie papieża, że jest to wyłączne prawo Kościoła, nasunęło Filipowi pytanie o zależność lenną. Jakże miał być pewny wierności biskupa, skoro ten został wyniesiony przez papieża zamiast jego samego?

- Co uczynił? - zapytał kardynał, stwarzając wujowi okazję do okazania gniewu.

- Wymyślił kolejną prowokację, podsycił ogień pod wywarem zuchwalstwa, który nieustannie miesza. Posłuchaj tylko: kazał aresztować francuskiego biskupa i osądził go na królewskim dworze, oskarżając o zdradę stanu i brak szacunku. Na dodatek, mnich kaznodzieja z San Domenico, jakiś Jean de Paris, ogłasza wszem wobec, że król miał prawo to uczynić. Napisał traktat, w którym rozważa kwestię naszego prawa własności do dóbr kościelnych. *Rola i władza papieża nad owym majątkiem sprowadza się do roli powiernika występującego w imieniu wspólnoty. Jako powiernik papież może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za każde niewłaściwe użytkowanie ziemskich dóbr Kościoła.* Ten parszywy mnich, o którym nigdy nie słyszałem, konkluduje swój wywód, odmawiając mi wyższej władzy nad tę, którą mają władcy tego świata. Czyś kiedy słyszał o takiej bezczelności?

Kardynał przybrał zatroskany wyraz twarzy, naśladując sekretarza.

- To karygodne, Wasza Świątobliwość - mruknął.

- Ciągnie się to latami - ciskał gromy Bonifacy. - Tydzień temu jeden ze szpiegów doniósł nam o kilku ludziach z rodu Colonnów, którym udało się ująć z życiem, chociaż mieliśmy nadzieję zetrzeć ten ród z powierzchni ziemi. Teraz potajemnie spiskują z Filipem. - Uderzył zwojem w bok wysadzanej klejnotami tiary. - Podobnie jak w przypadku owego pokurcza, błąd nasz polegał na tym, że pozwoliliśmy robactwu przeżyć.

Atmosfera wendety sięgała pierwszych lat jego pontyfikatu. Bonifacy wdał się w spór między członkami rodu, doprowadzając do furii dwóch kardynałów z rodu Colonnów. Rodzina zareagowała, wzniecając bunt przeciwko Bonifacemu i spiskując z królem Filipem. Jako obrońcy braci spirytualnych Colonnowie manipulowali braciszkami, umieszczając ich w centrum rebelii i czyniąc z nich swoich rzeczników. Wszystko to doprowadziło do wykradzenia sztabek złota, które miały trafić do papieskiego skarbcza, oraz ogłoszenia przez buntowników *Manifestu z Longhezzy* tydzień później, wzywającego od zwołania soboru powszechnego i wyboru nowego papieża.

Któż by to zdzierżyć zdołał, pomyślał Bonifacy, wspominając bunt. Wystawiliby na próbę nawet cierpliwość świętego. Colonnowie dysponowali władzą, która w porównaniu z jego równała się zeru, więc bez trudu rozprawił się z nimi we właściwym czasie. Do dziś uroczyste obchodził rocznicę dziesiątego maja - datę, w której ogłosili swój manifest - jako początek zwycięstwa nad tym znienawidzonym rodem.

Zażądał umieszczenia papieskiego garnizonu w Palestrinie, ich mateczniku. Kiedy się nie zgodzili, przykręcił śrubę, usuwając dwóch kardynałów ze Świętego Kolegium. Później przystąpił do trwającego półtora roku oblężenia miasta. W końcu Colonnowie się poddali, a papież kazał zrównać z ziemią ich zamki. Pozabierał im majątki, większością obdzielając własnych krewnych, a następnie zakazał ocalałym członkom rodziny pełnienia jakichkolwiek funkcji świeckich i kościelnych. Jego żołdacy łapali i wtrącali do więzień pozostałych uczestników buntu, w tym mnichów popierających Colonnów.

Nie, choćby nie wiadomo jak bardzo się starali, wrogowie nigdy go nie pokonają. Już wcześniej próbowali go usunąć i srodze się zawiedli. Gaetani miał głębokie poczucie własnego przeznaczenia, wykute w ciągu wielu lat przygotowań do objęcia papieskiego tronu. Jego nieprzyjaciele? Znaczą tyle, co zapomniany sen.

- Jesteśmy zdeterminowani, bratanku - ciągnął. - Historia zapamięta nas jako jednego z potężnych papieży, podobnego Innocentemu Trzeciemu lub Grzegorzowi Dziesiątemu. Nie jesteśmy lamentującym Celestynem, sparaliżowanym żądaniami ziemskich monarchów. Kto nam grozi, grozi samemu Bogu!

Sekretarz pozostał w ogrodzie, na wypadek gdyby papież zapragnął od razu podyktować odpowiedź, ta bowiem z pewnością musi nastąpić! Skryba nie mógł oprzeć się pokusie pomyślenia, że chociaż historia pewnego dnia może uznać Bonifacego za potężnego papieża, człowiek ten nie ma żadnych duchowych przymiotów swoich wielkich poprzedników. Nawet gdyby wszyscy monarchowie Europy padli na twarz przed jego tronem i ucałowali jego jedwabne trzewiki, nigdy nie dorówna pobożnością Grzegorzowi, a już z pewnością ogłoszonemu niedawno świętym papieżowi Celestynowi.

Ukształtowanie terenu dostarczało mizernej osłony przed wiatrem pustelni Pietra da Fossombrone. Trzydziestoosmioletni postulant - przez braci nazywany Angelo da Todi - który siedział wraz z nim, drżał z zimna i rozcierał ramiona. Jego młody mentor nie zwracał uwagi na mgłę przesuwającą się przez chatkę i opadającą z okapu. Miał na sobie krótką brązową tunikę zamiast dłuższego, cięższego szarego habitu, noszonego przez członków zakonu.

- Powiedz, cóż cię przywiodło na tę górę, Angelo? - zapytał. - Dlaczego nie udałeś się do klasztoru w Asyżu lub do domu zakonnego San Fortunato w swym rodzinnym mieście?

Angelo pomyślał o swojej podróży w górę rzeki.

- Czułem, że zostałem wezwany na Alwernię. Byłem przekonany, że mam dołączyć do waszej małej gromadki, zamiast zamieszkać w dużym klasztorze.

Braciszek Pietro się zaśmiał.

- Ze mną było całkiem inaczej. Nie zostałem zaproszony, lecz mi nakazano. Większość życia spędziłem w Ankonie, w regionie Marche. Zwierzchnicy zakonni w Asyżu wysłali mnie tu rok temu, w czasie gdy papież Grzegorz zwołał sobór powszechny w Lyonie. Doszły nas słuchy, że chciał on, aby mnisi przyjęli wspólną własność jak zakony monastyczne. Kilku z nas udało się od razu do macierzystego domu, aby zaprotestować jeszcze przed rozpoczęciem soboru. Uznaliśmy, że taka decyzja pozbawi regułę tego, co w niej najważniejsze.

- Co wydarzyło się w Lyonie?

- Nie doszli do kwestii wspólnej własności. Uczestnicy soboru skoncentrowali się na sporze między duchowieństwem kościelnym a zakonami żebraczymi, naszym i braci kaznodziejów. Duchowni parafialni narzekali na to jak wielu braci wysłuchuje spowiedzi i zwiastuje, że po kościołach nie ma komu dawać na tacę. - Wzruszył ramionami. - W czasach świętego Franciszka nie stanowiło to problemu, więc święty nie wspomina o tym w swojej regule. Głosimy nieopodal kościołów jedynie wówczas, gdy zostaniemy o to poproszeni przez miejscowego księdza. Bardziej leży nam na sercu ocalenie wizji założyciela niż praca w parafii.

- Czy żyłeś wśród braci dość długo, aby być świadkiem rozłamu?

Braciszek Pietro uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Niechaj cię nie zmyli mój wiek. Jestem zakonnikiem od trzydziestu lat. Przywdziałem habit jako piętnastoletni młodzik.

Wstał i zaczął przemierzać wnętrze małej chaty.

- Z bólem obserwowałem zaognianie się sporu - ciągnął - chociaż jego ziarno zostało posiane na długo przed moimi czasami, gdy święty Franciszek stąpał jeszcze po ziemi. - Zamknął powieki i podparł brodę palcami. - Odziedziczyłem manuskrypt opisujący ciężkie próby, jakim poddani będą bracia spirytualni w ciągu tego wieku. Stoi w nim o siedmiu okresach cierpienia. Do tej pory byliśmy świadkami czterech, a piąty wisi w powietrzu. Z powodu protestu władze Asyżu pozbawiły kilku braci habitu. Wygnali nas na górę, abyśmy mogli zadumać się nad tym, co uznali za próbę rozbitcia zakonu. Chcieli, abyśmy odprawili pokutę. Jeśli się nie nawrócimy, a nie mamy takiego zamiaru, skutki mogą się okazać bardzo dla nas bolesne.

Spojrzał uważnie na Angela niczym łucznik, który wyszedł kuszniaka.

- Może powinieneś ponownie przemyśleć decyzję przyłączenia się do nas?

- Zostałem wezwany - powtórzył Angelo. - To konieczny, kolejny etap mojej drogi. Nie wiem, kto o tym postanowił, choć jestem pewny, że to ktoś znaczniejszy ode mnie.

- Niechże więc się stanie - przyjął jego wyjaśnienie Pietro. - Podczas soboru w Lyonie zmarł nasz minister generalny, brat Bonawentura. Hieronim Masci, który zajął jego miejsce, był w przeszłości bardziej przychylny naszej sprawie. Kiedy dowiedzieliśmy się o jego wyborze, w nasze serca wstąpiła nadzieja. Niestety, papież powierzył mu misję zjednoczenia Kościoła wschodniego i zachodniego. W rezultacie zostaliśmy bez przywódcy. Brat d'Ascoli nie przybył nawet na obrady wielkiej kapituły w Padwie w minionym miesiącu. W rezultacie jedyną decyzją, jaką podjęto, było to, że domy zakonne pobudują głębokie lochy, aby zamykać w nich nieposłusznych braci. Jeśli nie rozumiesz tego, jak zakon rozumie „krnąbrność”, wiedz, że większość z nas by o nią posądzono.

Po raz wtóry spojrzał w oczy Angela, badając jego reakcję.

- To błogosławieństwo, że mamy wśród nas kapłana, ojca Konrada z Offidy. Możemy uczestniczyć we mszy i przyjmować najświętszy sakrament. Zdajemy sobie sprawę, że utracimy oba te przywileje w chwili, gdy zostaniemy uwięzieni.

Angelo przełknął grudę, która stanęła mu w gardle, i powtórzył:

- Zostałem tu powołany. - Tym razem wypowiedział te słowa nieco spokojniej.

Późnym rankiem słońce przedarło się przez mgłę, ogrzewając powietrze i ziemię. Dwaj

mężczyźni wystawili stołki na słońce i usiedli po osłoniętej od wiatru stronie chatki. Pietro wrócił do przerwanej opowieści:

- Nie jesteśmy przerażeni tym, że się tu znaleźliśmy - zaczął. - Franciszek uważał tę górę za miejsce święte. Wspiął się tu na rok przed śmiercią z najbliższymi uczniami: Leonem, Rufinem, Masseem i garstką innych. Mianował Massea przywódcą tej małej gromadki, aby godzinami przebywać samotnie w grotcie. Bracia czuli się jak uciekinierzy, wówczas bowiem pierwsza próba już trwała. Nasz mały ojciec mógł doświadczyć podobnych uczuć, gdyż oddał przywództwo bratu Eliaszowi, który wkrótce po jego śmierci został ministrem generalnym.

Pietro wrócił do chatki, aby przynieść zwój.

- Podobnie jak inni, którzy tu mieszkają, powinieneś wiedzieć, że trzymam go w mej pustelni, abyś w razie czego mógł go uratować - rzekł z uśmiechem. - Rozumiesz? Już mnie przekonałeś, że nie jesteś szpiegiem wysłanym z matecznika naszego zakonu. Poważnie traktujemy groźbę, która nad nami wisi.

Rozwiązał szpagat, którym przewiązано zwój spisany na materiale, jakiego Angelo wcześniej nie oglądał.

- Zwą to papierem - wyjaśnił mnich. - Łatwiej na nim pisać niż na welinie, choć nie jestem przekonany o jego trwałości.

Rozwinął metr owego dzieła, aby pokazać Angelowi, że można pisać bez robienia przerw między kolejnymi stronami.

- *Historia septem tribulationum Ordinis Minorum*, „Dzieje siedmiu sądów nad zakonem braci mniejszych” - przeczytał. - Jak się pewnie domyślasz, różni się pod wieloma względami od innych kronik naszego zakonu. W części pierwszej opisuje pobyt świętego Franciszka na Wschodzie, dokąd udał się, by nawrócić sultana, oraz waśnie i spory wzniecone przez braci, wśród których po jego wyjeździe zapanowało rozprzężenie. Część druga dotyczy okresu przywództwa Eliasza, jego arbitralnej interpretacji reguły i surowego traktowanie braci, którzy dochowali wierności ideałom założyciela. Trzecia część została poświęcona czasom, gdy urząd ministra generalnego piastował brat Krescenty. Wygnał on tych, którzy protestowali przeciwko rozwiązłości w zakonie, do odległych prowincji aż po Armenię. Wielu z nich poniosło męczeńską śmierć. Część czwarta to dzieje prześladowania Jana z Parmy przez brata Bonawenturę, który był jego następcą na stanowisku ministra generalnego. Do dziś czcimy Jana jako naszego mentora. Bonawentura wypędził go z Asyżu i zesłał na wygnanie do Grecji.

Zwinął rękopis i starannie przewiązał sznurkiem.

- Lękam się, że piąta próba nadejdzie niebawem. Bracia konwentualni stają się coraz

zuchwalsi, mogą obejść się z nami bardziej surowo niż kiedyś. Naszą jedyną nadzieją jest stworzenie odrębnego zakonu, to zaś tylko papież uczynić może.

Braciszek zamilkł. Angelo zamknął oczy i zwrócił twarz w stronę słońca, ciesząc się ciepłem przez jedną z rzadkich chwil od czasu, kiedy przystał do wspólnoty żyjącej na wierzchołku góry.

Brat Pietro przerwał ciszę równie nieoczekiwanie, jak zamilkł.

- Joachim z Fiore, święty przeor i prorok z Kalabrii, przepowiedział nadejście epoki ducha - oznajmił. - Prorokował, że owym okresie Kościół poprowadzi *papà angelicus*, anielski papież. Tylko z powodu tej nadziei nazywamy się braćmi spirytualnymi. Wiek ducha stanie się czasem naszego wyzwolenia.

Rozdział trzydziesty ósmy

Tak jak zawsze Silvestre zarządził, że wyruszają w drogę, gdy tylko straże miejskie Foligno otworzyły bramy. Twierdził, że stara się wyprzedzić ludzi papieża, lecz Angelo miał wrażenie, że brat pragnie, aby jego podopieczni dotarli do lasu przed pełnią księżyca. Para wilków jadąca karetą w towarzystwie starszej niewiasty przyciągnęłyby uwagę, a przynajmniej zaciekawiała gawieź w równym stopniu, jak brat wędrujący w łachmanach. Nieszczęsna Maria zostałaby schwytana jako czarownica, chociaż każdy, kto by się na to poważył, musiałby pierwiej stawić czoło jemu i Tinowi! Owa niepokojąca fantazja sprawiła, że Angelo zgadzał się z Silvestrem. Księżyc minął już pierwszą ćwiartkę.

Maria drzemała, gdy opuszczali wioskę, opierając policzek na jego ramieniu. Osłonięta kapturem głowa Tina kołysała się miarowo. W odróżnieniu od nich Angelo był całkowicie rozbudzony, wspominając rozmowę, którą odbył onegdaj z bratem Hubertyn z Casale. Przyjaciel opisał dwóch ludzi, których poznał podczas swych wędrówek i którzy wywarli nań wpływ najsilniejszy. Pierwszym był Pier Pettinagno, prosty rzemieślnik ze Sieny, zajmujący się wytwarzaniem grzebieni. Drugą była święta niewiasta Angela, wdowa i pokutnica mieszkająca w Foligno. Czyste, umiłowane dziecię Boże, które zawsze odpoczywa na łonie Ojca, jak ją opisał Hubertyn. Gdyby Silvestre się nie spieszył, dumał, mogliby się wywiedzieć, czy jeszcze żyje. Mogliby jej nawet złożyć wizytę i otrzymać cząstkę mądrości, której udzieliła młodszemu bratu.

Hubertyn opuścił Alwernię rok po przybyciu Angela, aby pojechać na studia do Paryża, nie doczekał zatem spełnienia złowróżbnych przepowiedni braciszka Pietra. Angelo zszedł z góry w roku 1279, aby złożyć śluby i przywdziać habit w mateczniku zakonu. Miał czterdzieści dwa lata. Na uroczystość do Asyżu przyjechali Silvestre i Gina.

Kiedy koła pojazdu skrzypiały i trzeszczały wczesnym świtem, a jego towarzysze drzemali, Angelo wspominał chłodne przyjęcie zgotowane mu przez braci konwentalnych. W końcu przybył z góry Alwernia, siedliska intryg spirytuałów. Garstka braciszków wyszła mu jednak naprzeciw, zachęcając, aby pozostał w Asyżu po oficjalnym wstąpieniu do zakonu. Osaczyli go przestrogi i niepokojącymi plotkami.

- Ojciec Pierre Jean d'Olivi został oskarżony o herezję. Zginie na stosie, a jego pisma posłużą za podpałkę. Minister generalny nakazał też spalenie jednego z traktatów d'Oliviego. Nie jest rzeczą słuszną bratać się z braćmi spirytualnymi, jak sami siebie nazywają.

Podczas miesięcy spędzonych w głównym ośrodku zakonu serce Angela wypełniał

ciągły niepokój. Obfitość jadła i wspaniałe warunki życia, wygodny wełniany habit i biblioteka chlubiąca się większą liczbą woluminów od tej, którą oglądał w Bolonii - wszystko to raziło go niepomiernie. Dlatego tym większą radością było spotkanie bratniej duszy w jednym z przejść rozdzielających półki z rękopisami - dawnego krajana i notariusza, Jakuba z Todi. Nawet dziś serce Angela zabiło żywiej na myśl o duchowym pokrewieństwie, jakie ich złączyło. Od tego dnia on i brat Jakub byli oddanymi zwolennikami braci spirytualnych.

Z zadowoleniem obserwował Tina, który rozłożył się po drugiej stronie karety i zaczął szykować strawę dla całej trójki. Syn otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz Angelo uniósł palec, wskazując głową śpiącą Marię. Porozmawiają, gdy obudzą ją na śniadanie.

Zamknął oczy i znów pogrążył się w zadumie. Dwaj braciszkwowie z Todi, podróżujący razem, aby być w zgodzie z regułą świętego Franciszka, wspięli się na szczyt góry Alwernia zaledwie dwa tygodnie po przypadkowym spotkaniu. Ojciec Konrad z Offidy i młody Jan z Alwerii byli jedynymi braćmi, którzy wyszli im naprzeciw.

Konrad opowiedział im o tym, co wydarzyło się pod nieobecność brata Angela.

- Brat z Marche przyniósł polecenie z domu zakonnego w Ankonie. Nakazał, aby wszyscy bracia wrócili do zgromadzenia w Forano, Pietro da Fossombrone, braciszek Macerata, Tommaso da Tolentino, Traymundus i pozostali. Później dowiedzieliśmy się, że ich nowy przełożony zażądał, aby przerwali protest. Gdy odmówili, uwięził ich wespół z braciszkiem z Castro Mili, który sprzeciwił się takiemu potraktowaniu zakonników. Obeszli się z nim tak okrutnie, że umarł w ciągu zaledwie kilku tygodni.

W zamian braciszek Angelo opowiedział, czego się dowiedział w Asyżu o procesie Jeana d'Olivi oraz zamiarze spalenia jego dzieł.

- Brat Pietro to przewidział - mruknął pod nosem. - Zaiste piąty sąd nadciąga. Módlmy się o siłę, byśmy wyszli z tego zwycięsko.

Tino klepnął go w ramię, rozłożywszy deseczki z jadłem na siedzisku.

- Zjedz coś, *papà* - wyszeptał.

Angelo zmienił pozycję i uśmiechnął się, widząc, jak Maria się prostuje i ociera sen z powiek.

- Witaj, starsza pani - rzekł chropawym głosem, którym często przemawiał wczesnym rankiem.

- Witaj, stary przyjacielu - odpowiedziała ze słabym zielonkawym błyskiem w zaspanych oczach.

Był szczęśliwy. Cierpienie nauczyło go cierpliwości i pokory, to zaś, że zdołał przeżyć, było powodem do dumy. Dobrze jest życie, pomyślał. Wytrzymałem! Wszyscyśmy wytrwali!

Konrad z Offidy przejął rolę braciszka Pietra jako duchowy przewodnik Angela. Mentor i jego uczeń liczyli po czterdzieści kilka lat, jednak dwa lata spędzone w zakonnym lochu za pontyfikatu Bonawentury nad wiek postarzały braciszka Konrada. Był niezwykle szczupły, z długą białą brodą. Nigdy nie wspominał o czasie spędzonym w więzieniu.

W przeciwieństwie do wojowniczych braciszków z Marche ani Konrad, ani młody brat Jan nie chcieli rozmawiać o polityce zakonu, nie zabiegali też o niezależność od macierzystego domu. Uważali się za synów świętego Franciszka i żyli wedle jego reguły jako pustelnicy. Dopóki zwierzchność im w tym nie wadziła, nie wtrącali się w nie swoje sprawy.

Szczególnie Konrad nie chciał powracać do swych doświadczeń w lochu. Posunął się nawet do tego, że na skale w pobliżu chatki wydrapał zawołanie miejscowej gromady *banditi*: „Człek głuchy, niemy i ślepy żyć będzie w pokoju nawet sto lat”.

Jego pustelnia znajdowała się nad parowem, w którym Franciszek ujrzał serafina i gdzie odcisnięte zostały stygmaty na ciele Konrada, co było kolejnym tematem skrzętnie przez niego unikany. W ciągu dziesięciu lat spędzili z sobą niezliczone popołudnia na skalnej półce, gdzie święty Franciszek modlił się w owej cudownej chwili. Nowy braciszek miał aż nadto czasu, aby snuć rozważania o wydarzeniu otaczanym tak wielką czcią przez członków zakonu.

Jakub zamieszkał w chatce braciszka Jana wśród drzew. Jan młodszy był nawet od Pietra da Fossombrone, jednak ze swych dwudziestu lat siedem spędził w habicie. Był oddany pokucie i umartwianiu ciała. Pod habitem nosił kolczugę i żelazną obręcz na nodze.

Duchowa mapa, którą braciszek Konrad wyrysował przed Angelem, nie zawierała takich fizycznych skrajności, być może z powodu wieku ucznia. Miejmy nadzieję, że w jego życiu minął już okres młodzieńczych wybryków. Zamiast tego odsłonił przed nim przesłanie, które Angelo chyba kiedyś już słyszał.

- Postępuj z prostotą - prawil - albo po prostu działaj. Co wolisz. Przynieś wodę, wypiel ogród, narąb drzew. Przyrządź sobie proste jadło. Módl się, gdy możesz. Jedz i śpij, gdy musisz.

Zasada ukryta za jego wskazówkami cechowała się jednaką prostotą.

- Jużeś jedno z Tym, którego szukasz. Dionizy napisał, że niczego nam więcej nie trzeba prócz czujności i uwagi podczas wypełniania obowiązków, czystego pragnienia sięgania do Boga w każdej chwili pośród mroków niewiedzy. Zbędne jest krępowanie ciała węzłami i trudzenie się nad duchowym rozwojem dla niejasnej nagrody. - Po roku dodał: -

Pamiętaj, że Duch zawsze wstawia się za nami. Otrzymasz wszelką pomoc, której będziesz potrzebował w obecnej chwili. Dostrój się do przemiany, która w tobie zachodzi, i z nią współdziałaj. Nie opieraj się, gdy przyjmie odmienny kierunek, niż oczekiwałeś.

Ponieważ Konrad był również jego spowiednikiem, Angelo opowiedział mu swoje dzieje, opisał ścieżkę zniszczenia, która doprowadziła go na szczyt Alwerni. Wspomniał mu też o zmianach, które dokonują się w nim co miesiąc. I tak przecież długo by tego ukryć nie zdołał.

- Kiedy patrzę w przeszłość, nie rozpoznaję człowieka, którym byłem - rzekł pewnego razu Angelo. - Do dziś nie pojmuję, jak mogłem uczynić bliźniemu równie odrażające rzeczy. Odnoszę wrażenie, jakbym przez większość życia pełził przez wstrętne, cuchnące bagno, ścigany krzykami tych, których zraniłem. Godziny czuwania były równie przerażające jak nocne koszmary.

Konrad wysłuchał jego opowieści tak spokojne, jakby Angelo wyznał, że ciągnął służki za warkocze.

- Zwrócę ci uwagę na dwie rzeczy, bracie. Po pierwsze, każde zdarzenie, któreś opisał, służyło twemu ubogaceniu. Gdybyś spojrział na nie z dystansu, dostrzegłbyś szerszy plan zmierzający do twojego rozwoju. Po drugie, krzywdziłeś bliźnich, nie uważałeś ich bowiem za rzeczywistych, podobnie jak nie wydawałeś się rzeczywisty samemu sobie.

W ciągu następnych dni Konrad opisał mu istotę, która przebywa na zewnątrz, obserwując wszystkie nasze myśli i czyny.

- Istota owa współczuje nam, obserwuje, lecz nie chce się wikłać w szczegóły naszego życia. Podobnie jak kontekst słów rzuca światło na ich sens, kontekst miłości może odmienić szczegóły życia w nim zawarte.

To rzekłszy, nakreślił na klepisku chaty plan domu.

- Mistrz murarski projektuje zarys domu, pozostawiając szczegóły murarzom, cieślom i czeladnikom. W końcu jednak to od elegancji projektu zależy, czy gotowa budowla okaże się miła dla oka. Jeśli niczym świadomy czeladnik nauczysz się pracować w owych ramach miłości i współczucia, obserwując własne życie biegnące w wytyczonym kierunku, spoglądając na ludzkie czyny z perspektywy owego bytu szerszego, twój żywot dozna magicznej przemiany. Kiedy poprosisz Boga, aby udzielił ci łaski, w rzeczy samej błagać będziesz, aby pomógł ci osiągnąć wyższy poziom. - Wskazał palcem rysunek nakreślony na piasku. - Niektórzy zwą tę istotę Świadkiem, ja nazywam ją Duszą. To twoje prawdziwe „ja”, Angelo, nie ludzki kształt, który żyje w amoku przez czterdzieści dziwnych lat. Jest to też prawdziwe „ja” innych, których spotkasz na swej drodze. Czy wyrządziłbyś im krzywdę,

gdybyś wiedział, kim są? Gdybyś rozumiał, że są tym samym co ty? Z tego powodu psalmista powiada Bogu: „Przeciwko tobie jedynie zgrzeszyłem”. - Na koniec polecił: - Rozmyślaj o tym, przechadzając się górską granią. Zawsze gdy znajdziesz siebie, swoje prawdziwe „ja”, staniesz się duszą otoczenia. Wspólnie, ty i ja, jesteśmy duszą tej pustelni.

Słowa te wydały się Angelowi nowe, chociaż gdy je usłyszał, poczuł znajomy dreszcz. Jednakże był zadziwiony.

- Zawszem sądził, że serce jest siedliskiem duszy, bracie. Ty zaś powiadasz, że owa dusza istnieje na zewnątrz nas i należy do wszystkich, a nie do poszczególnych istot.

Konrad się uśmiechnął.

- Tobie jednemu powiem to głośno, bracie. Święta Matka Kościół tego nie naucza. Opowiedziałem ci o tym, com odkrył, aby obszar ten wydał ci się znajomy, gdy doń dotrzesz.

Angelo miał wrażenie, że mentor odsunął się od niego i przemawia z odległego miejsca przenikniętego spokojem. Zapytał go, czy rzeczywiście tak jest.

- Uważnie słuchasz - zachichotał Konrad - choć nie jestem pewny, czy nazwałbym to miejsce „odległym”. Dawno temu, gdy umierał jeden z naszych starszych braci, rzekł nam, że wraca do „wielkiego milczenia”. Ponieważ mamrotał, sądziłem, że napomina mnie, abym się ćwiczył w powściągnięciu języka. Dopiero później zrozumiałem sens owych słów, odkryłem również prawdę jego niezamierzonego przesłania. Od tego czasu próbowałem połączyć się z ową ciszą, która mieszka w środku każdego z nas, sprawić, aby wypływały z niej wszystkie moje działania. Nawet w działaniach jest cisza. To inny sposób opisania Świadka lub Duszy, o których pierwiej wspomniałem. - Brat się zaśmiał. - Teraz zaś powiadam, że jest ona w głębi nas samych i na zewnątrz nas. Jak to wyjaśnić? Ów brat, gdy żył jeszcze, opisywał Boskość na podobieństwo orbity, której centrum znajduje się wszędzie, obwód zaś nigdzie. To niezgłębiona tajemnica, braciszku Angelo, nasze słowa i obrazy zawodzą. - Konrad klepnął go w czoło. - Jak możemy mniemać, że takie małe pudełko zdoła zgłębić wzniosłe tajemnice? Przekraczają one zdolności naszego rozumu. Jeśli jednak pewnego dnia doświadczysz owej głębokiej ciszy, zrozumiesz, co miałem na myśli. Kiedy ten czas nastanie, zaczniesz myśleć, poruszać się i mówić z owego miejsca wewnętrznego spokoju i odtworzysz drogę, którą kroczyłeś przez ten świat.

Przez dziesięć lat czterej braciszki wraz z innymi, którzy przybyli w tamtym czasie na Alwernię - w tym Hubertyn z Casale, który ich ponownie odwiedził - wzrastali w poznaniu i świętości. Co jakiś czas na górę docierały wieści z Asyżu lub innego miejsca świata. Dowiedzieli się, że komisja zakonna dokonała rewizji reguły świętego Franciszka, a papież

Mikołaj III wydał bullę opartą na owej wykładni. Papież wraz z ostatnim ministrem generalnym nawoływał braci do pojednania, lecz w kolejnych latach podziały się pogłębiły. Mała gromadka na Alwerni trzymała się surowej wykładni reguły w spokoju swojego odosobnienia.

Papież Mikołaj odnowił również Bazylikę Świętego Piotra oraz rzymski Lateran, przywracając im dawną świetność, wznosił też nową siedzibę papieską w Watykanie, którą kazał ozdobić pięknymi ogrodami. W tym samym czasie pustelnicy naprawiali przeciekające dachy, pielili ogródki warzywne i trwali wiernie u boku Pani Ubóstwo.

Ponieważ poprzedni papież utożsamiał cesarza Fryderyka z antychrystem, przez dziesiątki lat krążyły pogłoski, że monarcha tak naprawdę nie umarł. „Śpi w górach Kyffhaeuser i pewnego dnia się przebudzi, aby rozpocząć tysiącletnie panowanie”, głosiła legenda. W latach osiemdziesiątych XIII wieku duch Fryderyka rzeczywiście się ukazał pod postacią Tilego Kolupa, zwanego też Dietrichem Holzschuhem. Niemiec ów był tak podobny do cesarza, że oszukał wielu, także tych, którzy znali władcę osobiście. Lud doprowadził wreszcie do egzekucji samozwańca, ci zaś, którzy rozgłaszali plotki o powrocie Fryderyka, przenieśli swe nadzieje na jego dziadka, Fryderyka Barbarossę - Rudobrodego - ducha, na którego zawsze można było liczyć.

Jeśli chodzi o innych monarchów, Piotr Aragoński poślubił Konstancję, córkę Manfreda, jedyną żyjącą spadkobierczynię dynastii Fryderyka. Wystąpił on przeciw wojskom Karola Andegaweńskiego na lądzie i słonych wodach mórz. W roku 1285 Piotr i Karol już nie żyli. Chociaż braciszczowie mieszkający na górze niewiele wiedzieli o owych władcach, wspominali o nich w swych modlitwach za zmarłych, a także o innych królach, cesarzach i samozwańcach.

Brat Jakub spisał swoje medytacje w formie pieśni dziękczynnych - laud, które stały się natchnieniem wielu kazań i pieśni w całym regionie. Kiedy później wrócił do Todi, aby wygłaszać kazania w San Fortunato i śpiewać na *mercato*, w mieście wrzało. Benedetto Gaetani, naówczas kardynał, wymusił mianowanie swojego brata Roffreda na *podesta*. W odpowiedzi gwelfowie wzniesli rozruchy, paląc domy szlachty.

Jakub odłożył na bok poezję religijną, biorąc się do pisania traktatów politycznych potępiających arystokrację i bogate duchowieństwo. Wskazywał na wykorzystywanie urzędu przez kardynała Gaetaniego, nieświadom, że najgorsze zepsucie dopiero nadejdzie. Po latach spokoju na Alwerni Jakuba ogarnęło święte oburzenie.

W roku 1288 na Stolicy Piotrowej zasiadał Mikołaj IV, dawny minister generalny zakonu, Hieronim Masci. Postanowił on rozstrzygnąć spór między braciszczkami a kościelnym

duchowieństwem, który osiągnął punkt wrzenia na Uniwersytecie Paryskim. Nie dziwota, że popierał swoich braci mniejszych.

Wysłał on dwóch legatów do Francji, aby raz na zawsze położyć kres debacie - Gerarda, kardynała i biskupa Santa Sabina, oraz kardynała Benedetto Gaetaniego. Francuscy pralaci byli pewni, że ci dwaj rozstrzygną spór po ich myśli. Benedetto zawsze popierał Andegawenów na Sycylii. Z tego powodu francuski papież Marcin wprowadził go do Świętego Kolegium. Byli zdumieni, gdy opowiedział się zdecydowanie po stronie zakonów żebraczych.

- Braciszkanie ci to jedyny zdrowy członek w Ciele Chrystusa - tłumaczył duchownym.
- Jego Świątobliwość nie cofnie nawet najmniejszego z ich przywilejów. - Później złał paryskich magistrów, nazywając ich gorszymi od głupców, a gdy niektórzy powstali, by zaprotestować, zakazał im mówić lub podnosić ten temat w publicznej debacie. - Możecie sobie darować odwołanie do Rzymu! - grzmiał. - Papież Mikołaj pierwaj rozwiąże wasz uniwersytet, niż uchylą najmniejsze z praw braciszków. Gdybym zasiadł na jego miejscu, uczyniłbym podobnie!

Kiedy brat Angelo o tym usłyszał, oddzielony od ziemskich spraw, mruknął do siebie:

- W Paryżu Benedetto Gaetani broni zakonu, lecz pewnego dnia może wystąpić przeciwko niemu. Tak czy owak, podobnie jak my wszyscy, stanie się kiedyś pokarmem dla robaków.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Przebywając w lesie z Tinem i Marią, z dala od wojen i zawirowań wielkiej polityki oraz braterskich sporów między zakonnikami, Angelo odzyskał spokój. Oczywiście Maria nie była już tryskającą energią, wygadaną nastolatką, jaką zapamiętał z czasów swojej młodości, lecz on również się zmienił.

Kiedy zwierzył się synowi, że matka jest małomówna, Tino przytaknął, uśmiechając się ze zrozumieniem.

- Prawda to, ostatnio więcej gada do siebie i drzew niż do świata. Kilka lat temu przewróciła się, uderzając głową o kamień. Od tego czasu dziwnie się zachowuje. Wszystko, co czyni, to jak się porusza i myśli, nagle się spowolniło. Mimo to pozostała moją matką.

Angelo zauważył te zmiany. W trakcie rozmowy Maria często robiła dziwne dygresje lub odpowiadała na pytania, których nie zadał. Mimo to w jej nasilającym się kalectwie dostrzegał słodczy, jaką rzadko widywał u innych ludzi. Rozkoszował się jej śmiechem przerywanym raz łagodną bezbronnością, raz wesołym trajkotaniem. Z radosnym zadziwieniem odkrył, że bardziej ją kocha w tym zdziecinniałym stanie niż wówczas, gdy czuli do siebie pożądanie.

Za sprawą Tina on również zaczął mówić do drzew. W jeden z pierwszych poranków wybrali się na przechadzkę do lasu. Angelo zaczął się głośno zastanawiać, dlaczego syn nigdy się nie ożenił.

- Po co? - Tino wzruszył ramionami. - Kiedy Bruno odszedł, miałem niewiele ponad dwadzieścia lat. Mama mnie potrzebowała. Później, gdy opowiedziała mi o prawdziwym *papà* i opiekunie, białym wilku, o tym, że ciąży na nas klątwa, nie widziałem sensu w płodzeniu kolejnych nieszczęśników na nasze podobieństwo.

Słusznie to i dobrze, pomyślał Angelo. Na nim się to zakończy, przynajmniej w jednej linii. Dziadek dostarczał mu kolejnego problemu, którego rozwiązania nie widział.

Kiedy zapuścili się między drzewa, Tino wyciągnął rękę, przesuwając palcami po igliwiu i liściach.

- Mam tu wszystkich przyjaciół, jakich mi trzeba - wyznał. - Dużo o nich myślę, o tym, jak nas żywią swoimi owocami, ogrzewają drewnem i dostarczają desek do budowy domów. Widywałem ludzi żyjących i śpiących w ich gałęziach, aby mieć schronienie przed dzikimi zwierzętami. Wystrugałem mamie laskę z gałęzi. Nazywam to drzewo moim bratem, mama bowiem powiedziała, że gdym się urodził, było maleńkie. Najwyższe z nich to moje *bisavoli*,

podobnie jak opiekun. Wykombinowałem, że ludzie i drzewa są sobie bliscy od czasu, gdy Adam i Ewa żyli w ogrodzie. - Poklepał się w pierś. - Mama i ja rozmawiamy z nimi w sercu, tak samo jak gawędzimy ze strumieniami, zwierzętami i gwiazdami. Zapytaj, a powie ci, że najstarsze z drzew bywają cudownymi uzdrowicielami.

Tino ze szczególną czcią odnosił się do starego dębu, który minęli.

- Owa pani to drzewo zmartwień mamusi. Jeśli coś ją gryzie, idzie tu i powierza swoje troski drzewu, aby doświadczyć uzdrowienia. Sam wielokrotnie to czyniłem. Ta stara *donna* nosi nasze ciężary, więc nie musimy się nimi frasować. Niedaleko jest sekretne miejsce mamy - dodał przyciszonym głosem.

Widząc stary drewniany krzyż obok ścieżki, Angelo pomyślał, że to grób, który od ponad trzydziestu zim zakrywały opadłe liście i stopniały śnieg.

Każde z nich miało własne miejsce, do którego udawało się w poszukiwaniu samotności. W przypadku Angela była to jaskinia ukryta za wodospadem. Kiedy jeździec z Wieży Wilka ostrzegł ich przed psami papieża wężącymi w okolicy, zabrał tobołek z jadłem i modlił się tam przez dwa dni. Przez zasłonę wody obserwował czterech jeźdźców przekraczających most rozpięty nad strumieniem płynącym od wodospadu. Nie mieli zbroi. Byli tropicielami. Jeden z nich przystanął na moście i spojrzał w jego stronę. Angelo zamarł nieruchomo jak pniak, wstrzymując oddech, dopóki tamten nie odwrócił głowy i nie spiął konia, by dołączyć do pozostałych. Przesiedział w jaskini kolejny dzień, nie wiedząc, czy ludzie papieża powrócą tą samą drogą, którą przybyli, czy będą kontynuowali podróż do Coldimezzo.

Pewnego popołudnia, wracając ze swojej kryjówki, dostrzegł w oddali Marię stojącą na ścieżce, chwiejącą się przez chwilę, jakby nie wiedziała, w którą stronę się zwrócić. Zakradł się od tyłu, z radością obserwując, jak się porusza i mruczy coś pod nosem. Początkowo nie rozumiał słów, dopóki nie podniosła głosu. Przemawiała do czegoś chroboczącego w krzakach przy ścieżce. Uderzała laską zarośla, opierając drugą dłoń na kruchym biodrze.

- Zmykajcie stąd, króliki. Zostawcie mnie w spokoju... wszystkie roztocza, jaszczurki i ptaki. - W jej głosie słychać było irytację, przemawiała jak starzy ludzie ganiący samych siebie. - Jesteś zbyt krucha, aby chodzić sama do lasu, Mario.

Splószyła wiewiórkę. Zwierzątko pomachało ogonem i popatrzyło na nią z pnia najbliższego drzewa, by zawirować i skoczyć na wyższe gałęzie, gdy Angelo stanął obok niej.

Podał jej ramię, aby miała się na czym oprzeć.

- Witaj, Mario. Nie bądź na siebie zła. To nie nasza wina, że się starzejemy. W oczach Ojca nadal jesteś dziećmi. - Przypomniał sobie rozmowę z Fanuelem i dodał: - A także w

oczach Matki.

Maria nie była teologiem, więc nie zapytała o ostatnie słowo. Kiedy ruszyli, zaczęła się tłumaczyć:

- Wszystko zajmuje mi tyle czasu. Spójrz sam, Angelo. Kuśtykam jeszcze wolniej, gdy nadchodzą deszcze i puchną mi kolana.

- Lubię twój chód - odrzekł. - Mogę dotrzymać ci kroku. - Kiedy dotarli do polany przed chatą, pocałował ją w czoło. Nadal było gładkie, chociaż w cieniu drzew porastających obrzeża polany miało niebieskawe zabarwienie chudego mleka. - Czy wiesz, że z upływem lat stajesz się coraz bardziej urocza?

- Oboje jesteście uroczy! - zawołał Tino, idąc w ich stronę przez polanę. - To błogosławieństwo, że możemy być razem.

W ciepłe letnie noce, pierwsze, które wspólnie spędzili, Tino sypiał na zewnątrz. Gdy się ochłodziło, przeniósł się do środka i ułożył siennik w części izby przeznaczonej dla zwierząt. Celowo głośno chrapał, aby dać do zrozumienia rodzicom, że mogą śmiało szeptać, tulić się i śmiać, leżąc obok siebie.

- Mógłbyś nauczyć mnie czytać? - poprosiła Maria pewnego ranka, kiedy się obudzili.

- Oczywiście, Tino może się przyłączyć, jeśli zechce. Poproszę Silvestrego o książki.

- Nie, chciałabym umieć przeczytać coś, co ukryłam wiele lat temu, tak jak pogrzebałam moje uczucia do ciebie. Po śmierci Brunona odkopałam je.

Była to długa wypowiedź jak na Marię, a jeszcze nie skończyła.

- Kiedy się rozstaliśmy, kiedy każde poszło własną drogą, miałam wrażenie, że coś za sobą zostawiłam. Uwolniłam się od tego, co mnie wiązało, lecz uczyniłam to jak zwierzę, które schwyte w sidła, odgryza własną łapę, aby uciec. - Uśmiechnęła się. - Teraz, gdy tu jesteś, część mnie, którą pozostawiłam, jest znowu ze mną.

Był zaskoczony jej słowami, lecz zdumiała go jeszcze bardziej, idąc chwiejnym krokiem, aby przynieść wyblakły kawałek pergaminu z dzbana stojącego na półce. Zalała go fala ciepłych wspomnień, gdy rozkładał na stole zwój z wierszem. Zdołał przeczytać większą część, zanim obraz przed oczami tak się rozmazał, że musiał przerwać.

- Dał mi to Silvestre - wyjaśniła. - Wiedział, że chciałbyś, abym go miała. On i Tino byli wówczas chłopcami.

Angelo zaczął rachować. Napisał te słowa ze trzydzieści pięć, może czterdzieści lat temu. Zacisnął szczęki i wargi, wspominając inne wydarzenia z tego czasu - z okresu, w którym gwiazdy spadały z nieba. Był to ostatni przejaw miłości pogrzebanej w jego sercu, zanim zaatakował własną siostrę i pogrążył się w mrocznej nocy zemsty. Odłożył welin i ujął

dłonie Marii, suche jak jesienne liście, całując to jedną, to drugą. Był zdumiony tym, co się z nim stało.

Później, gdy promienie słońca zalały polanę, usiedli pod domem, opierając się plecami o nagrzaną kamienną ścianę. Angelo wypowiadał na głos dźwięki liter i słów, wskazując je palcem.

Byli w połowie wiersza, kiedy z chaty wyszedł Tino, pogwizdując w czyste niebo niczym szczęśliwy ptak.

- Mam dziś spotkanie z Giną i Silvestrem - oznajmił i machając ręką, zniknął na ścieżce wiodącej do Wieży. Angelo wskazał linijkę zapisaną na pergaminie.

- Myślisz, że...

- Możemy spróbować. - Jej spojrzenie było zdumiewająco nieśmiałe, inne niż pewnej siebie dziewczyny z wiersza. Owego dnia miała dla niego mnóstwo niespodzianek, lecz jej myśli podążały w tym samym kierunku co jego.

Już więcej nie czytali. Kiedy Tino wrócił późnym popołudniem, usłyszał wesołe pogwizdywanie ojca dochodzące z ogrodu i nucenie Marii szykującej kolację.

W pierwszych promieniach poranka, gdy chmury rozproszone po niebie nadal płonęły cynobrową barwą, brat Angelo i brat Hubertyn zaczęli schodzić z góry. Nie mieli pojęcia, jaki to dzień miesiąca - wiedzieli jedynie, że wzgórze się zazieleniło, a nowe liście wyjrzały na zewnątrz, oświetlone bladymi promieniami wiosennego słońca. Wiedzieli wszakże, że nastął rok Pański 1290.

Angelo prawie zapomniał o świecie, przez który teraz wędrowali. Wioski przycupnięte nad Tybrem wydawały się większe, ludzie krzątający się w obrębie murów i poza nimi bardziej niespokojni, a lasy przerzedzone siekierami, piłami i pługami, wdzierającymi się na obrzeża pustkowi. Przypomniał sobie ostatnie napomnienie brata Konrada, radę mentora, która miała im pomóc w zetknięciu z gorączkową bieganiną: „Najgłębsza rzeka płynie najcichszym nurtem”.

Ich celem była Ankona - morski port położony na wschodzie. Nowy minister generalny zakonu, Rajmund Godefroy, umyślił sobie stworzyć kapitułę prowincjonalną w owym mieście, aby zbadać sprawę brata Pietra da Fossombrone i innych więźniów. Gnili oni w lochu od dziesięciu lat, gdy braciszek Angelo przebywał na Alwerni. Razem z Hubertynem Angelo miał nadzieję złożyć świadectwo w obronie braci.

Brat Rajmund, sympatyzujący z braćmi spirytualnymi bardziej niż inny generał od czasu Jana z Parmy, serdecznie powitał braciszków z Alwerni. Ci z radością stwierdzili, że

choć jest głową zakonu, nosi połataną tunikę i chodzi boso, podobnie jak oni. Był też znany z naśladowania świętego Franciszka - odżywiał się tak jak on i posypywał potrawy popiołem, aby popsuć ich smak.

Wszyscy trzej wdali się w długą pogawędkę po kolacji, w wieczór poprzedzający rozpatrzenie sprawy więźniów.

- Od czasu, gdy nauczyłem się czytać, ze szczególną sympatią odnosiłem się do naszych francuskich braci - zaczął generał. - Nie poznałem ich osobiście, lecz podobnie jak wy znam braci spirytualnych za pośrednictwem ich pism. - Rajmund, dorastający w arystokratycznej prowansalskiej rodzinie, w młodym wieku przeczytał rozprawę Hugona de Digne o regule świętego Franciszka, całym sercem zgadzał się też z tezami Pierre'a Jeana d'Oliviego.

- Czekam na spotkanie z bratem Pierre'em na następnym spotkaniu kapitulacza generalnego - dodał. - Odbędzie się on w Paryżu, d'Olive zaś po raz pierwszy będzie miał możliwość stanąć twarzą w twarz z tymi, którzy go oskarżają.

Przesłuchanie nieposłusznych braciszków przez Rajmunda następnego ranka trwało bardzo krótko. Potwierdziło to, co generał podejrzewał: wtrącono ich do lochu za to jedynie, że pragnęli żyć zgodnie z ascetyczną regułą, w sposób, jakiego oczekiwał od swych synów święty Franciszek. Obrazu dopełnili Angelo i Hubertyn, opisując prosty styl życia wspólnoty z Alwerni, zanim zostali wezwani do Marche.

Zniecierpliwiony i coraz bardziej podenerwowany Rajmund uderzył pięścią w stół, wbijając wzrok w ministra prowincji siedzącego naprzeciw niego.

- Wszyscyśmy winni tej zbrodni! - krzyknął. - Nie zagrażają oni zakonowi, jak utrzymujesz, bracie! Ludzie tacy jak oni są raczej dla niego łaską. - Powiedziawszy to, nakazał natychmiast uwolnić więźniów.

Rajmund, Angelo i Hubertyn odczuwali radość, współczucie i przerażenie, gdy udręczeni braciszczkowie wyłonili się z lochu, mrugając jak sowy i zasłaniając oczy przed światłem. Podeszli do czekających na nich przyjaciół na chwiejnych nogach, nienawykli do tego, że ich kostki nie są zakute w kajdany, aby wymienić z nimi pocałunek pokoju. Uklękliby też i ucałowali pierścień zwierzchności na palcu brata Rajmunda, gdyby ów takowy nosił.

Żaden brat z domu zakonu w Ankonie nie przyszedł powitać uwolnionych mnichów. Rajmund uznał to za pewny znak, że ci są nadal w niebezpieczeństwie. Wiedział, że nie zdoła ich obronić przed przełożonymi, kiedy wróci do Asyżu. Choć opuścili swoje cele, minister prowincjonalny mógł uprzykrzyć im życie na wiele sposobów.

Rajmund zebrał garstkę braci spirytualnych w domu poza bramami opactwa, w tym

Angela i Hubertyna.

- Otrzymałem list od Ajtona Drugiego, króla Armenii - oznajmił. - Jego Wysokość jest bardzo zainteresowany naszym zakonem, prosi też o wysłanie misjonarzy do swojego kraju. Myślę, że bezpieczniej wam będzie pod jego skrzydłami niż pośród braci konwentualnych. W ten sposób przysłużycie się też zakonowi, choćby dając dobry przykład.

Brat Angelo na ochotnika przyłączył się do wyprawy, wskazując, że może udzielić fizycznego wsparcia pozostałym, bo dziesięć lat spędzonych w więzieniu pozbawiło ich siły. Brat Rajmund wyraził zgodę. Bracia spirytualni natychmiast opuścili Ankonę, gdy generał był jeszcze w mieście, stłoczeni na galerze handlowej płynącej w kierunku Lewantu.

Obchodząc swoje terytorium, wilk opiekun przystanął na polanie przed chatą. Kiedy zaskowyczał w stronę domu, na jego spotkanie wybiegli Angelo, Maria i Tino. Pozwolił nawet niewieście podrapać się w kark oraz za uszami, jakby był jej ulubionym psem. Przyrządzając potrawkę z sarniny, Maria zawsze odkładała porcję dla wilka.

- Jarzyny z jego ukochanym mięsem? Przyjmuje je od ciebie tylko dlatego, że był kiedyś człowiekiem - powiedział Angelo. - Nigdy nie twierdziłem, że zawsze żył w wilczej postaci. - Po chwili zastanowienia dodał: - Rozumie rzeczy, o których ludzie nie mają pojęcia. Pierwszy raz ujrzałem go we śnie, idącego za mną po śmierci ojca. Odtąd zawsze na mnie czekał, gdy coś mi groziło. - Nie wspominał, że jeden z owych epizodów wydarzył się w noc po procesie w Coldimezzo.

Wyjaśnił dziadkowi, że pobyt w więzieniu zbyt go osłabił, aby mogli razem polować. W przeciwieństwie do pozbawionego wieku białego wilka czuł lata, które dźwigał na karku. W nocie pełni księżyca stawał się domowym pupilkiem pozwalającym, aby drapano jego pokryte sierścią cielsko rozłożone na sienniku, podczas gdy Tino i Lorenzo hasali w jasnych promieniach księżyca. Maria opierała na nim ramiona i uśmiechała się, ujęta niezwykłością zaczarowanego świata, w którym tak swobodnie poruszali się jej mężczyźni.

Po jednej z wizyt starego wilka Angelo zapytał syna, kto będzie obchodził rewir, gdy Lorenzo odejdzie.

- Mógłbyś to zrobić, gdybyś był wilkiem - powiedział. - Opiekun, który staje się wilkiem raz na miesiąc, nie wystarczy. Lękam się, że nasze lasy pozostaną bez stróża.

Tino zadumał się na chwilę.

- Mógłbym się tym zająć - odrzekł. - Mógłbym chodzić ścieżkami opiekuna jako człowiek lub zwierzę, jednak potrzebowałbym na to więcej czasu niż on. - Odwrócił się do ojca. - Naprawdę sądzisz, że kiedyś odejdzie? Albo na powrót stanie się człowiekiem?

- Nie ma o tym mowy. Byłby bardzo stary, gdyby powrócił do ludzkiej postaci. - Po chwili przypomniał sobie o tym, co nieustannie go dręczyło: - Tak czy inaczej, trzeba zdjąć z niego klątwę.

Było to jedno z dwóch zmartwień, które zakłócały jego radość. Zawsze, gdy widział białego wilka, przypominał sobie ostatnie słowa Metatrona: „Będziemy mogli cię uwolnić dopiero wówczas, gdy wyzwolisz tego, na którego rzuciłeś przekleństwo”. Słowa te zdumiewały go dziś podobnie jak dwadzieścia lat temu, gdy je usłyszał. Wciąż zadawał sobie pytanie: „Jak tego dokonam? Przecież nie mam już anielskiej mocy”. Oddałby wszystko, nawet własne życie, aby uwolnić *nonno*. Metatron zasugerował, że te dwie rzeczy mogą być z sobą powiązane.

Co się stanie, jeśli umrze? Z pewnością czeka go wieczne potępienie!

Była to druga część jego dylematu. Papież nie cofnął ekskomuniki. Był przeklęty, a jego ucieczka jedynie rozwścieczyła i dodatkowo usztywniła stanowisko Bonifacego. Jeżeli odda życie, aby ocalić wilka, skaże własną duszę na otchłań piekielną.

Czy jeśli nie uwolni Lorenza, będzie musiał błąkać się bez końca po ziemi jako na pół ludzka wersja dziadka? A co z obietnicą anioła, że on i wilk zostaną razem uwolnieni? Czy jego ofiara zdoła unieważnić papieskie potępienie? Owe trudne zagadki nie dawały mu spokoju, zachęcając do rozmyślań w jaskini za wodospadem.

Rozdział czterdziesty

Chociaż brat Rajmund gorąco pragnął pomóc braciom spirytualnym, znalazł się między młotem a kowadłem. Papież Mikołaj IV, który sam był ministrem generalnym zakonu, kazał spalić traktat Pierre'a Jeana d'Oliviego o Błogosławionej Dziewicy, stawiając Rajmunda przed kolejnym dylematem. Spotkali się w prywatnym gabinecie Mikołaja, by porozmawiać *sub rosa*, w zaufaniu.

- Zrozum, bracie, mam obowiązek podtrzymania decyzji poprzednich papieży - zaczął Mikołaj. - Mikołaj Trzeci określił różnicę między *usus juris* i *usus facti*. Bracia nie roszczą sobie prawa do żadnych dóbr, jednak w rzeczywistości mogą z nich korzystać, pod warunkiem że czynią to z umiarem. Własność zakonu pozostaje w rękach papieża, lecz ministrowie prowincjonalni mogą decydować, jak rozporządzać dobrami. Po Mikołaju Marcin Czwarty wprowadził regułę *sindacus apostolicus* głoszącą, że każdy generał mianuje osobę świecką mającą zarządzać dobrami braci. Sam wyznaczyłeś takiego człowieka. - Po tych słowach, papież przeszedł do sedna: - Reguły owe, dotyczące rozporządzania dobrami, winny zadowolić wszystkich braci. Jednak na południu Francji są tacy, którzy uważają się za bardziej doskonałych od swych towarzyszy. Musisz podjąć kroki przeciwko nim.

Brat Rajmund skinął głową, choć pozostał przy swoim. Hieronim go rozczarował, gdy był jeszcze w nowicjacie. Teraz, kiedy objął urząd papieski, chciał traktować na równi wszystkich braci zakonnych.

- Trudno się rozeznąć, do którego ze świętych zanosić modły w tej sprawie, Wasza Świętobliwość. Gdy mam wątpliwości, zwracam się do świętego Franciszka. Jak sami wiecie z czasów, gdyście byli ministrem generalnym, definicja „umiaru” pozostała wśród braci kwestią sporną... *usus pauper*¹⁵, jeśli wolisz... Jaki poziom wygody jest odpowiedni dla człowieka, który złożył ślub ubóstwa w duchu reguły naszego założyciela? Postawię to pytanie ponownie, gdy na wiosnę zbierze się w Paryżu kapituła generalna. - Papież wyraził zgodę, a Rajmund był rad, że zdołał wyjednać trochę czasu dla francuskich braci spirytualnych.

Kapituła zebrała się w maju roku 1292. Król Francji, Filip Piękny, znalazł się w gronie jej uczestników. Monarcha wstał, aby przywitać brawami braciszka Pierre'a Jeana d'Oliviego, który tak zręcznie stawał we własnej obronie w sprawie *usus pauper*, że przesłuchujący go

¹⁵ *Usus pauper* (łac.) - zasada głosząca, że bracia mogą używać tylko rzeczy absolutnie niezbędnych im do życia.

inkwizytorzy po trzynastu latach oczyścili go z wszystkich zarzutów, które zwierzchność wysunęła pod jego adresem. Grono siedmiu paryskich teologów uznało trzydzieści cztery z jego tez za „niepewne”, lecz zakon nie zdołał udowodnić mu herezji.

Brat Rajmund odczytał również list, który wystosował do zgromadzenia król Armenii. Ajton II był pod tak silnym wrażeniem misjonarzy braci spirytualnych wysłanych przez generała, że sam wstąpił do zakonu. Mimo przyjemności, jakiej dostarczył mu podwójny sukces oraz okazji do osobistego spotkania z bratem Piere'em Jeanem generał był zasmucony, że przedstawiciele obu stron zasiedli po przeciwnych stronach sali zgromadzeń. Podczas obrad kapituły żaden z braciszków nie przekroczył nawy choćby po to, aby przywitać się z drugim.

Po powrocie do Asyżu Rajmund otrzymał mniej zachęcające wieści z Armenii. Bracia z Syrii robili wszystko, co w ich mocy, aby pokrzyżować działania misjonarzy. Zdołali przekonać wielu ormiańskich wieśniaków, że kaznodzieje są fałszywymi nauczycielami, braćmi, którzy zeszli na manowce. Lud wygnał ich z kilku miast, obrzucając błotem i kamieniami, mimo że zaskarbili sobie podziw króla. Brat Pietro da Fossombrone przypomniał swym towarzyszom, że w podczas trzeciej fali prześladowań dziadkowie tych samych Ormian, podobnie jak ich, gnębili braci spirytualnych męczenników.

Koniec końców, bracia tak się zniechęcili, że zaczęli wracać do Italii. Główna grupa pod wodzą brata Pietra dołynęła do Ankony w roku 1294, schorowana i umęczona podróżą. Minister prowincjonalny Marche powitał ich na przystani. Jego wystąpienie można by podsumować słowami: „Nie oczekujcie schronienia ni strawy w żadnym domu należącym do tej prowincji”.

Rajmund wzywał zniechęconą gromadkę do zachowania cierpliwości. Mikołaj IV odszedł z tego świata, zatem przynajmniej ze strony papieżstwa nic im nie groziło. Jeśli francuskie i italskie skrzydło Świętego Kolegium zdoła uzgodnić wspólnego kandydata, nowy papież może spojrzeć na nich łaskawszym okiem.

Bracia zgodzili się czekać. Wrócili na Alwernię, do jedynego miejsca, gdzie byli bezpieczni, modląc się, aby nowy papież okazał się długo oczekiwanym *papà angelicus*. Radowali się tak bardzo, jak przerażony był kalabryjski eremita Pietro da Morrone, gdy doszła ich wieść, że Święte Kolegium wybrało na Tron Piotrowy osiemdziesięciolatka. Kardynał Latino Malabranca z zakonu braci kaznodziejów ostrzegł konklawe, dzieląc się swoją wizją. Anachoreta prorokował wielkie nieszczęście dla Kościoła, jeśli Stolica Piotrowa zostanie bez papieża. Odczytał tajemniczy list adresowany do członków konklawe, a następnie oznajmił:

- W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego wybieram brata Pietra da Morrone.

Radzi z rozwiązania dylematu oraz z tego, że w ogóle udało się dojść do porozumienia, kardynałowie ratyfikowali rozpaczliwą decyzję Malabranca. Wiadomość o wyborze zastała wytrąconego z równowagi samotnika w jego górskiej wspólnotie nieopodal Sulmony.

Pietro nie miał zielonego pojęcia o sprawach tego świata, a tym bardziej o dyplomacji, administracji, nie posiadał też umiejętności niezbędnych do zawiadywania Kościołem - cieszył się sławą z powodu świętości i niezwykle surowych praktyk pokutnych, jakim się oddawał. Niektórzy czcili go jako wcielenie Jana Chrzciciela. Osłabiony wiekiem nie wiedział, co się dzieje, gdy kardynał Malabranca i Karol II Andegaweński wieźli go na osiołku do L'Aquila. Piątego lipca roku 1294 przyjął imię Celestyna V.

Zanim niechętnie przeniósł się do komnat papieskich, nowy papież miał już nieprzejednanego wroga w Świętym Kolegium - kardynała Benedetto Gaetaniego. Niezadowolony księżę Kościoła uważał, że jako legat papieski, pełniący tę funkcję przez trzy ostatnie dziesięciolecia, bardziej sobie zasłużył na koronę papieską niż ten trzęsący się głupiec.

Dwaj bracia reprezentujący stronnictwo braci spirytualnych w zakonie braci mniejszych stanęli przed obliczem papieża następnej jesieni. Pietro da Fossombrone, zwany wówczas bratem Clarino, i brat Macerata poznali sędziwego papieża, gdy wiedli żywot wędrownych mnichów. Liczyli, że zachował ciepłe wspomnienie wczesnych spotkań w jego klasztorze w Sulmonie i zechce poprzeć ich sprawę.

Mieli szczęście. Celestyn był w znakomitym nastroju, a jego pamięć okazała się tak dobra jak zawsze. Podczas całej audiencji papież miał smutną minę wyrzeźbionego w kamieniu męczennika. Płakał, gdy bracia opowiadali mu o cierpieniach, które znosili od przełożonych i współbraci. Skrzyżował dłonie na piersi, gdy opisali swoją wizję nowego zakonu przenikniętego duchem świętego Franciszka i oddanego Pani Ubóstwo. Żałował, że sam nie może prowadzić takiego życia. Wierząc się na pluszowej poduszce bogato zdobnego tronu, oznajmił:

- Potrzebna wam moja opieka i ją otrzymacie. Miałem przywilej oglądania waszego świętego założyciela, gdym był ośmioletnim chłopcem. Patrząc na was, odnoszę wrażenie, jakbym znów go oglądał. - Po tych słowach natychmiast przywołał skrybę.

Celestyn był istotą apolityczną, niezadającą sobie trudu rozważania skutków, jakie duchowe decyzje będą miały na ziemskiej płaszczyźnie. W jego mistycznym świecie heroiczne dusze borykały się z próbami, zmierzając do zjednoczenia z Bóstwem. Zwolnił

dwóch zakonników i innych braci z posłuszeństwa zakonowi, aby mogli żyć wedle surowszej reguły, którą zaaprobowaliby pospołu ze świętym Franciszkiem.

- Od tej pory - ogłosił - zwać się będziecie *Pauperes Heremitaie Domini Coelestini*, ubodzy pustelnicy pana Celestyna. Możecie mieszkać samotnie jak anachoreci zamiast w domach niczym mnisi klaszorni.

Brat Macerata podszedł do papieża i uklęknął. Uśmiechając się tak szeroko, że jego twarz omal nie pękła, chwycił dłoń Celestyna i począł ją całować.

- Bądź błogosławiony, Ojciec Święty. Tyś jest Mojżesz, który nas uwolnił z kajdan i jaskiń rozputy egipskich panów.

Ślubowałem wiele lat temu, że gdy ów dzień nadejdzie, zmienię imię na brat Liberata, uwolnię nas bowiem od konwentualnych ciemżycieli.

Celestyn był coraz bardziej zmęczony, zanim jednak udał się na popołudniową drzemkę, uczynił braciszka Liberata ministrem generalnym biednych eremitów, dając mu prawo przyjmowania nowych członków. Dnia następnego mianował Napoleone Orsiniego kardynałem protektorem nowo powstałego zakonu i rozesłał listy do swoich mnichów, nakazując, aby oddali do dyspozycji braci szałas eremitów. Wydawało się, że jednym pociągnięciem pióra *papà angelicus* położył kres trwającej siedemdziesiąt lat niezgodzie i podziałom w łonie braci mniejszych.

Od chwili nominacji papieżowi zagrażał też Karol Andegaweński. Podobnie jak jego ojciec, pragnął poddać papieża swojej władzy. Przekonał on Celestyna, aby mianował dwunastu nowych kardynałów, w tym siedmiu Francuzów, a następnie przeniósł papieża i jego obłązoną kurię z L'Aquila do Neapolu, będącego ośrodkiem jego władzy. Karol pragnął również, by papież mianował jego młodego syna biskupem Lyonu, jednak im bardziej król narzucał politykę papieżowi, tym bardziej nieszczęśliwy Celestyn wycofywał się do własnego duchowego świata. Niczego bardziej nie pragnąc od spokoju dawnego życia, polecił zbudować replikę swej dawnej pustelni w murach zamku, w którym ulokował go Karol.

W grudniu, pięć miesięcy po wyborze papieża, wszystko stanęło na głowie. Celestyn zgromadził członków kurii zaraz po świcie, zanim dokończyli nocny post. Po raz pierwszy od wielu miesięcy wydawał się radosny, niemal szczęśliwy.

- Ostatniego wieczoru zapadłem w drzemkę, siedząc na papieskim tronie - rzekł do zgromadzonych kardynałów i rządców. - We śnie przemówił do mnie jeden z aniołów bożych, ostrzegając, że dla zbawienia duszy muszę natychmiast ustąpić i powrócić do swojego klasztoru. Tam będę mógł wieść pokorny i czysty żywot, mając spokojne sumienie

do końca swych dni.

- Jakże to, Wasza Świątobliwość?! - zaprotestował kardynał Malabranca. Wiedział, że papież jest wizjonerem, i go za to szanował, jednak ostatnie objawienie wydawało się mu sprzeczne z logiką. - Żaden papież w historii Kościoła nie zrezygnował z urzędu.

- Takie były słowa anioła, drogi Malabranca. Wskazał nawet tego, który ma być mym następcą. - Mówiąc to, skinął wiotkim ramieniem w kierunku kardynała Gaetaniego, wywołując poruszenie wśród członków kurii. Benedetto kiwnął nieznacznie głową na znak zgody, jakby chciał rzec: „Oczywiście, któż miałby być bardziej godny ode mnie?”.

Kardynałowie i reszta zgromadzenia stali jak zamurovani. Czy namiestnik Chrystusa, święty pasterz ludu bożego, może porzucić trzodę tak rozpaczliwie potrzebującą przewodnika? Mnisi i lud otoczyli papieski pałac, śpiewając *Te Deum* i błagając Celestyna, aby nie abdykował. Udręczeni duchowni zastanawiali się, czy to możliwe, czy Celestyn miał prawo to uczynić i kto jest uprawniony do przyjęcia jego rezygnacji, skoro na ziemi nie ma odeń wyższego? Szukając odpowiedzi, zwrócili się do najbardziej uczonego znawcy prawa kanonicznego w Świętym Kolegium, kardynała Gaetaniego. Ów, wywiódłszy argumenty, opierając się na zdrowym rozsądku i prawie Kościoła do obrony własnego interesu, oświadczył, że Celestyn zaiste miał prawo tak uczynić.

Jedni uznali *il gran refuto*, jak nazywano zrzeczenie się urzędu przez Celestyna, za akt tchórzostwa, drudzy za przykład heroicznej pokory. Kardynał Malabranca, wyczuwając, że w grę może chodzić coś więcej niż cudowna wizja anioła, przeprowadził dochodzenie. Odkrył to, co od początku podejrzewał - szczura przyczajonego w spichlerzu. Wezwał wówczas prałatów do wielkiej sali recepcyjnej w Castelnuovo, w której Celestyn usłyszał anielski głos.

- Dziękuję, żeście raczyli tu przyjść dzisiejszego ranka - zaczął, by ku zdumieniu zebranych podejść do papieskiego tronu, odsunąć pelerynę i usiąść. Czyżby sugerował, że to on, dziekan Świętego Kolegium, powinien zostać następcą Celestyna wbrew nakazowi anioła?

- Możecie zaczynać - zawołał.

Zza olbrzymiego tronu rozległ się upiorny głos:

- Malabranca, Malabranca, wszystkich nas oszukiwano.

Brat kardynał wstał i uniósł zasłonę wiszącą za tronem, ukazując tubę wystającą ze ściany. Żaden z zebranych nie był tak przerażony owym odkryciem, jak kardynał Gaetani. Członkowie kurii podzielili się na grupki, dyskutując zażarcie. Malabranca uniósł ręce, przywołując zgromadzonych do porządku.

- Bracia, jak wszyscy wiemy, nasz *papà angelicus* znalazł się w żalonym położeniu.

Mimo owego rzekomego objawienia nie mamy innego wyboru, jak przyjąć jego rezygnację. Umysł i ciało Celestyna są zbyt kruche, aby mógł nadal być przywódcą Kościoła.

Jako następny głos zabrał inny dominikanin, kardynał Piccolo Boccasini.

- Opowieść o papieżu Celestynie i aniele już się rozeszła po mieście. Jeśli lud usłyszy, że został oszukany, wybuchną rozruchy. Chociaż może się to wydać niesmaczne - dodał, bacząc, aby nie spojrzeć nikomu w oczy - uważam, że powinniśmy poprzeć wersję zdarzeń przedstawioną przez Jego Świątobliwość oraz przyjąć jego abdykację.

Kuria zaakceptowała wątpliwą argumentację Boccasiniego, nie mogła jednak zapobiec temu, aby plotki o oszustwie wydostały się z pałacu. Benedetto Gaetani nie zamierzał jednak ryzykować, by na fali buntu pospólstwa doszło do wyniesienia kolejnego antypapieża. Nie pozwolił, aby pustelnik wrócił do swojej celi na górze Morrone. Celestyn próbował uciec do Dalmacji, lecz burza zmusiła jego okręt do przybicia do brzegu. W ten oto sposób pierwszą decyzją Benedetta jako papieża Bonifacego VIII było uwięzienie kruchego pustelnika w wąskiej izbie na wieży zamku Fumone w Ferentino. Przebywający stale w obecności dwóch mnichów, wyszydzany i poniżany przez straż, marniał przez siedemnaście miesięcy w morowym powietrzu, aby w końcu odejść. Tajemniczy otwór w jego czaszce zdaniem wielu wskazywał, że Bonifacy stracił cierpliwość do udającego chorobę Celestyna.

Brat Angelo i jego towarzysze przeżyli najchłodniejszą zimę na Alwerni, jaką pamiętał. Kiedy dotarła do nich wieść o rezygnacji Celestyna, Angelo stał skulony obok brata Konrada przed jego pustelnią, chroniąc się przed ogromnymi niebieskimi płatkami śniegu, spadającymi z grafitowego nieba. Zanim ciemna postać braciszka Liberata, stawiającego ciężkie kroki w grubej oponczy, ukazała się na wierzchołku ścieżki, Angelo wiedział, że ten przynosi złe wieści. Wywnioskował to z ponurego sposobu, w jaki oddech braciszka unosił się w chłodnym powietrzu.

Oprócz nowiny o abdykacji Celestyna Liberate przyniósł również inne wieści - Bonifacy podjął działania zmierzające do zniszczenia zakonu biednych eremitów.

- Unieważnił wszystkie przywileje, którymi *papà angelicus* obdarował braci spirytualnych, i rozwiązał nasz zakon - poskarżył się. - Znowu znajdziemy się w ramionach lub kajdanach braci konwentalnych, którzy mają teraz jeszcze więcej powodów, aby nas nienawidzić. Decyzje Celestyna ich upokorzyły. Jestem pewien, że rychło nastąpi szósta fala prześladowań.

Brat Konrad, który nigdy nie uważał się za biednego pustelnika, wysłuchał go ze spokojem. Jak zawsze stronił od polityki.

- Głową zakonu braci mniejszych pozostaje Rajmund Godefroy - rzekł. - Pewien jestem, że zachował on dawną sympatię dla braci spirytualnych. Tuszę, że znajdzie sposób, aby nas pojednać z resztą zakonu, pozwalając jednocześnie żyć według reguły.

- To ostatnia ze złych wieści, które przynoszę - odrzekł Liberato. - Papież Bonifacy miał dość powodów, aby nie lubić Rajmunda. Po pierwsze, generał nasz jest Francuzem, przyjacielem Filipa Pięknego, którego Jego Świątobliwość uważa za cierń w swoim ciecie. Rajmund jest blisko związany z rodem Colonnów, którego członkowie nazwali farsą abdykację Celestyna i wybór kardynała Gaetaniego. Domagają się oni usunięcia nowego papieża.

- Jaki to ma związek z bratem Rajmundem? - zapytał Angelo. - Nadal przecie jest ministrem generalnym.

- Bonifacy próbował usunąć go z urzędu, ofiarowując mu biskupstwo Padwy. Rajmund odrzucił propozycję, powiadając, że nie jest godny tak szaczonej funkcji. Wówczas papież oznajmił, że skoro nie jest godny być biskupem, nie jest też godny, aby służyć jako minister generalny. Zwolnił go z pełnionej funkcji, a bracia konwentualni w jego miejsce wybrali Jana Mincia.

- Znam brata Jana, to poczciwy człek - stwierdził Konrad.

- Mimo to nie darzy sympatią braci spirytualnych - odparł Liberato. Skrzywił się, drząc z zimna i mocniej otulając się opończą. Szmaty, którymi owinał bosc stopy, były przesiąknięte wilgocią. Angelo otworzył drzwi do swej chaty i trzech mężowie weszli do środka. Gdy tamci siadali, dołożył drew do ognia. Braciszek Liberato odwinął szmaty z nóg, rozkładając je na palenisku, aby obeschły. Rozmasował zsiniałe stopy, wykładając braciom swój plan.

- Brat Clarino, braciszek Tommaso i kilku innych podobnie jak ja uważają, że grozi nam tu śmiertelne niebezpieczeństwo. Wyjeżdżamy do Grecji. W Zatoce Korynckiej jest wyspa zwana Tryksonią, na której mamy nadzieję w spokoju praktykować regułę. Prałat wschodni obiecał dać nam tam bezpieczne schronienie. - Rzekłszy to, spojrzął z nadzieją na braciszka Angela.

- Benedetto Gaetani jak zwykle przeliczył się z siłami - zauważył Angelo. - Znam go od dawna. Jego poczynaniami kierują poczucie własnej wszechmocy, chciwość i rodowe ambicje. Jest skory do bitki i trwa uparcie przy błędnych decyzjach. Ten człowiek nie zawaha się zniszczyć każdego, kogo uzna za swojego wroga, a jestem pewien, że wrogów ma wielu.

- Nie zdoła się utrzymać - orzekł Konrad. - Oglądałem wielu władców duchowych i świeckich, których do upadku doprowadziły intrygi i upór.

- Cóż zatem sądzicie, bracia? - zapytał Liberato. - Pożegłujecie z nami do Grecji?

Konrad pokręcił głową. Nie jego była ta walka.

- Zostanę tu jakiś czas, bracie - rzekł Angelo. - Chcę się dowiedzieć, jakie zmiany przyniesie ten pontyfikat, co spotka ród Colonnów. Mam wrażenie, że z Jego Świątobliwością mają na pieńku nie tylko bracia spirytualni. Powiadasz, że domagają się jego usunięcia?

- Tak, zgadzam się z bratem Konradem - odpowiedział Liberato. - Przepowiadam, że cała Europa będzie jęczeć, zanim jego rządy dobiegną kresu.

Braciszek Angelo umilkł, zastanawiając się, jak uzyskać wsparcie i zaoferować pomoc hrabiemu Sciarze Colonnii.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Papież i nowy generał zakonu mogli zignorować coraz mniejszą garstkę braci spirytualnych żyjących na odizolowanej od reszty świata wyspie oraz ich braci w Italii i Francji, za przykładem Konrada skupionych na modlitwie. Ich głos stawał się jednak coraz głośniejszy.

Bracia na Tryksonii głosili, że to Celestyn był prawdziwym papieżem, kardynał Gaetani zaś jest uzurpatorem. Na drugim krańcu Europy brat Pierre Jean d'Olivi wydał dzieło zatytułowane *Renuntiatione Papae*, w którym stawiał podobną tezę. Brat Clareno dodał ją do katalogu występków w swoich *Dziejach siedmiu prześladowań*, na Alwerni zaś Hubertyn z Casale spisał własną historię zatytułowaną *Arbor Vitae Crucijixi Jesu*. W dziele owym emocjonalny jak zawsze Hubertyn wyrażał święte oburzenie z powodu zbytku, zeświecczenia braci konwentualnych.

Grupka skupiona wokół brata Liberata opierała się wszelkim próbom podejmowanym przez ministra generalnego, aby sprowadzić ich do Marche, oraz wezwaniom papieża, by stawili się w ojczyźnie i tam dostali naganę. Wszak „nagana” owa oznaczała więzienie i tortury, a bracia doświadczyli ich już w większym stopniu, niż tego pragnęli.

Papież Bonifacy zażądał, aby patriarcha Konstantynopola oraz arcybiskupi Patras i Teb pojмали braci. Ojcowe Kościoła wschodniego nie widzieli jednak powodu, aby wykonywać rozkazy płynące z Rzymu, i niczego nie uczynili. Jednocześnie co bardziej lękliwi bracia, czując niebezpieczeństwo, uciekli dalej, do Tesalii. Mieli nadzieję - podobnie jak później Angelo w swym lochu - że zdołają tam przeżyć Bonifacego i przedłożą swoją sprawę przychylniejszemu pasterzowi.

W ciągu ośmiu lat pontyfikatu papież narobił sobie wielu wrogów. Nabijał szkatuły członków swego rodu, poszerzał jego włości i potęgę. Przechadzając się o zmierzchu alejkami ogrodu w willi Gaetaniach, pysznił się odniesionym sukcesem, chociaż ciągle przepychanki i utarczki z Colonnami i innymi sojusznikami Filipa Pięknego powodowały, że czuł na karku każde ze swych siedemdziesięciu pięciu lat.

Filip nieustannie go prowokował. W ciągu trzech ostatnich lat papież ogłosił kilka bulli, wymierzonych przeciwko owemu monarsze, które po kolei obalali teolodzy i prawnicy króla. Poprzedniej jesieni Bonifacy nakazał Filipowi, aby zjawił się na synodzie francuskiego episkopatu. Wykazywał, że ma prawo to uczynić, Stolica Apostolska bowiem sprawuje

władzę nad wszystkimi władcami świeckimi. W odpowiedzi ktoś na dworze Filipa rozpuścił zmyśloną odpowiedź króla, zaczynając się od słów *Sciat Maxima tua Fatuitas*, „Wasza Głupkowatość wiedzieć powinien...”.

Była to najwyższa zniewaga dla jego urzędu, kropla niegodziwości, która przelała kielich goryczy. Bonifacy wydał najbardziej surową ze swych bulli, *Unam Sanctam*, ogłaszając powszechną i absolutną wyższość władzy papieskiej nad drugorzędną władzą królewską. Władcy mieli sprawować swoje rządy jedynie za zgodą papieża! Bonifacy podkreślił tę tezę, nakładając na Filipa ekskomunikę.

W odpowiedzi król Francji zwołał sobór powszechny, aby ten wypowiedział się w tej kwestii. W wezwaniu, które rozesłał po całej Europie, znalazł się akt oskarżenia wymieniający powody, dla których papież winien zostać usunięty. Typowe oskarżenia, pomyślał Bonifacy, przeglądając listę. Większość punktów wymieniono już w *Manifeście z Longhezzy* ogłoszonym przez Colonnów. Filip zarzucał mu świętokupstwo, sprzedawał bowiem odpusty, aby zapełnić watykański skarbiec (jak to czynił Innocenty IV), kradzież, sam bowiem ów skarbiec łupił, brak wiary w nieśmiertelność duszy, nepotyzm (szedł za przykładem poprzednich papieży, mianując kardynałami swoich bratanków). Król dawał do zrozumienia, że wyniesienie tych ostatnich miało związek z następnym zarzutem, sodomią (w jaki sposób zamierzali tego dowieść?). Na koniec wyliczył dwadzieścia cztery inne oskarżenia.

Na szczęście zarzuty Filipa nie koncentrowały się na sodomii, tak jak manifest Colonnów. Bonifacy nie pamiętał już, którego z członków rodu kazał stracić za nazwanie go „królową dopuszczającą się wszeteczeństwa na tylnych schodach pałaców ze sługami i paziarnymi, hołdującą swej skłonności do prostego ludu”. Łajdak ośmielił się powiedzieć to po tym, jak Bonifacy został papieżem!

Wrócił do atrium, kiedy w ogrodzie zaczął zapadać mrok, spoglądając na posągi starożytnych bohaterów, które je ozdabiały. Odpowiedział na atak Colonnów, odpowie też na atak francuskiego monarchy. Już ułożył odpowiedź - dekret o detronizacji Filipa IV zwanego Pięknym - wiedział też, kiedy ją ogłosi: ósmego września 1303 roku. Miał zamiar wyspać się dobrze tej nocy, wiedząc, że o świecie cały świat usłyszy jego głos. Filip doprowadził konflikt do wrzenia, dlatego w ciągu kilku godzin papież rozwiąże go raz na zawsze.

Wszedł do sypialnej komnaty, pragnąc raz jeszcze przeczytać swoje oświadczenie przed udaniem się na spoczynek do zwieńczonego baldachimem łoża. Kiedy podszedł do pulpitu, usłyszał odgłos szybkich kroków na korytarzu i dźwięk pięści łomoczącej o drzwi.

- Wasza Świętobliwość, zaatakowała nas jakaś zgraja! - krzyknął sługa na widok

Bonifacego. - Straże próbują ich powstrzymać, lecz napastników jest zbyt wielu. Ludzie owi gadają z sobą po francusku.

Papież wrócił do komnaty, przywdział wyszywaną złotem kapę i tiarę. Sięgnął po zdobny pastorał, zrobiony na podobieństwo pasterskiej laski, spoczywający na stojaku i udał się do sali recepcyjnej. Kiedy intruzi wdarli się do środka, siedział na papieskim tronie z pastorałem w prawej dłoni. Widząc go opanowanego i w całej powadze Namiestnika Chrystusowego, intruzi mimowolnie się cofnęli.

- Jak śmiecie zamieniać sanktuarium w pole bitwy! - krzyknął, gdy zaczęli iść w jego stronę. - Coście za jedni i czego chcecie? Dłaczego się tu wdzieracie?

Na czoło wysunęli się trzech mężowie. Jeden nosił strój gwardii papieskiej.

- To zdrada? - zapytał papież, spoglądając na nich przenikliwie.

- Jestem dowódcą garnizonu Waszej Świątobliwości w Ferentino. Kilka lat temu pilnowałem, aby papież Celestyn nie uciekł i nie odzyskał tronu. Jestem żołnierzem, więc uczyniłem, co mi kazano, nigdy jednak nie zapomniałem, jak potraktowałeś tego świętego męża ani jak zdobyłeś tytuł.

Bonifacy rozpoznał mężczyznę stojącego pośrodku.

- Sciarra Colonna. Czemu nie jestem zdziwiony, widząc cię pośród tej świętokradczej zgrai?

Hrabia się nie uśmiechnął. Jego oczy płonęły nienawiścią. Pragnął jedynie ujrzeć, jak głowa znienawidzonego rodu Gaetanich drży ze strachu. Nie dam ci tej satysfakcji, poprzysiągł

Bonifacy. Zwrócił się w stronę człowieka, którego uznał za przywódcę gromady.

Francuz uczynił krok w jego stronę.

- Guillaume de Nogaret - przedstawił się. - Doradca Jego Wysokości króla Filipa Czwartego. Benedetto Gaetani, tron, na którym zasiadłeś jako Bonifacy Ósmy, zawdzięczasz oszustwu. Aresztujemy cię za niemoralność i liczne zbrodnie przeciw Kościołowi i wierze. *Servus servorum Dei*, Sługa Sług Bożych! Służyłeś jedynie samemu sobie i czyniąc to, skalałeś swój urząd. Znasz listę zarzutów, które ci postawiono. Wkrótce usłyszysz wyrok, jaki wydadzą na ciebie monarchowie Europy.

Kiedy podszedł do niego z wyciągniętą ręką, Bonifacy zakrzyknął:

- Nie ośmielisz się mnie tknąć! Bóg cię porazi, jak poraził Uzza, który dotknął Arki Pańskiej!

- Przekonamy się? - Nogaret chwycił papieża pod łokieć, po czym silnym ruchem ściągnął z tronu i rzucił na podłogę. Bonifacy był tak zdumiony, że pastorał wypadł mu z ręki

i zabrzęczał, uderzając o kamienną posadzkę.

Doradca Filipa rozejrzał się po zebranych i wzruszył ramionami.

- Nadal żyję. Może Bóg woli mi podziękować za uwolnienie swojego Kościoła od tego robaka. - Na te słowa stojący za jego plecami żołnierze zaczęli szydzić z Bonifacego rozciągniętego na posadzce.

Ten podniósł się jednak i stanął na chwiejnych nogach bez niczyjej pomocy.

- Jak mniemam, mogę tego uniknąć, rezygnując z tronu jak wąż Celestyn? - prychnął, nadymając się i unosząc brodę w górę. - Przenigdy! Nigdy nie usłyszycie z mych ust słów abdykacji.

Chociaż drżał ze strachu, pozostał buńczuczny przez kolejne dni spędzone w domowym areszcie. Słyszał, jak Nogaret przekonywał, że powinni przewieźć go do Francji, aby stanął przed sądem. Sciarra Colonna, pogrążony we własnych mrocznych wspomnieniach, opowiadał się za tym, aby od razu go zgładzić.

- Uczyń to! - odrzekł Bonifacy, chociaż nie był gotów na śmierć. Odmawiał przyjmowania jadła, przekonany, że Sciarra lub inny z jego wrogów dodał do niego truciznę. W czasie tej niedoli rad by usłyszeć pociechę ze strony kurii, lecz większość jej członków, także bratankowie, schroniła się w bezpiecznym miejscu. Rozproszyli się jak apostołowie, którzy porzucili Naszego Pana w ogrodzie, pomyślał. Zostali przy nim jedynie dwaj dominikanie, kardynałowie Malabranca i Boccasini. Niezależnie, od tego, co o nim sądzili, znali i szanowali swoje obowiązki.

Podczas gdy oprawcy debatowali, gwardia papieska zgromadziła mieszkańców Anagni i pozostałych członków rodu Gaetanich. Do wyprawy ratunkowej dołączył także Orsini. Czwartego dnia papieskiej niewoli przypuścili atak na willę i przewieźli Bonifacego do Rzymu, gdzie znalazł schronienie w bezpiecznym Watykanie. Mimo to ciężkie doświadczenia i odmowa przyjmowania posiłków - od tej pory bowiem nie ufał już nikomu - okazały się dlań zbyt trudną próbą.

Trzydzieści pięć dni po napaści Benedetto Gaetani wydał ostatnie tchnienie. Kardynał Piccolo Boccasini zajął jego miejsce jako papież Benedykt XI. Gdy wahadło przesunęło się w drugą stronę, wojska Colonnów z pomocą francuskich najemników obiegły Coldimezzo i inne zamki Gaetaniach w Umbrii, zmuszając członków rodu zmarłego papieża do ucieczki dla ratowania życia.

Maria oparła głowę na ramieniu Angela, jak to często czyniła przed zaśnięciem. O tej porze najwięcej z sobą rozmawiali, dzieląc się myślami przy dźwiękach chrapania Tina

mieszających się z odgłosami zwierząt dobiegającymi z przepierzenia.

- Nadal sądzisz, że pewnego dnia będę mógł latać? - zapytał.

- Taak, choć mam nadzieję, że nieprędko to nastąpi.

- Liczę, że ty również... choć, miejmy nadzieję, nierychło. Jesteś większym aniołem ode mnie. - Przypomniał sobie ów dzień w lochu, gdy po raz pierwszy znalazł się po drugiej stronie zasłony. - Myślę, że w każdym z nas mieszka wyższy duch, który pragnie się wyzwolić. Brat Konrad często o nim wspominał, gdy przebywałem na Alwerni. Później sam go odkryłem, gdy siedziałem w podziemnym lochu. Wszystko, na com spoglądał miało w sobie cząstkę nieba, coś z ducha, który przenikał każdą rzecz. Nawet ptaki i obłoki, które oglądałem przez kratę, i pająki zaplątane w mech porastający ściany. Wszyscy jesteśmy jego częścią. Także mech.

- Dostrzegam go w drzewach.

- Podobne światło bije od ciebie i Tina. - Położył dłoń na ręce Marii, którą oparła na jego piersi. - W każdym razie dziękuję Stwórcy, że uczynił cię człowiekiem, abyś mogła wyprostować moje ścieżki. To ty wskazałaś lepszy pierwiastek mojej natury.

Podniósł głowę, wpatrując się w migotanie płomieni tańczących na ścianie i powale chaty. Tego dnia rozmyślał o Bóstwie wypełniającym cały wszechświat.

- Kiedym siedział w jaskini dzisiejszego ranka - ciągnął - rozmyślałem o aniołach i ludziach, koniach i krzewach. Wpatrując się w błoto miękkie i czarne jak ciepła smoła, pomyślałem o tym, co doktor Bartolo powiedział mi wiele lat temu. O tym, że Wielki Łańcuch Istnienia łączy Boga z najniższym z Jego stworzeń... Pozostawię tobie domyślenie się, kogo mam na myśli...

- Papieża Bonifacego - odpowiedziała Maria bez chwili wahania.

Angelo roześmiał się, lecz nie chciał się pastwić nad swym dawnym dręczycielem.

- Może i tak, lecz zaczynam wierzyć, że wszystkie elementy tego łańcucha, wszystkie odrębne elementy stworzenia, stanowią jedno... Istnieje tylko jedno ogniwo, które wygląda tak, jakby go były miliony. Niczym wywar, który przez całą wieczność gotuje się na ogniu. Ta banieczka to ja, a tamta to ty. Pęczniejemy do momentu pęknięcia. Oto czas naszego przebywania na tej ziemi. Chociaż każda banieczka jest inna, wszyscy zaczynamy i kończymy w tym samym miejscu.

- Chcesz rzec, że Bóg to gigantyczny kocioł z rosółem? - zapytała coraz bardziej sennym głosem.

- Cóż, boską zupą... być może. Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Czuję, że zasypiam - zamruczała. - Porozmawiamy o tym w dzień, gdy oboje

będziemy przytomni.

- Może. Tylko pomyśl, byłem aniołem, nie ty jedna mi to mówiłaś. Teraz jestem zwyczajnym człowiekiem, jednak cały czas pozostaję tym samym Anielem. Ten sam duch ożywia wszystkie postacie, które przyjmuję. I owo coś, moje prawdziwe „ja”, to także Maria i Tino, drzewo i kapusta oraz wszystko inne, co przyjdzie mi do głowy.

- Twierdzisz, że oboje będziemy na wieki jednym i tym samym?

- Coś w tym rodzaju. Przynajmniej tak to pojmuję.

- Przyjemna myśl - westchnęła, zapadając w długie milczenie.

Angelo uniósł głowę, spojrział w mroku na jej twarz i ucałował zamknięte powieki.

- Do jutra, moja duszo - szepnął. - Dobranoc, słodkich snów.

Następnego ranka na polanie pojawiło się słońce rozświetlające błękitne niebo, a także dwaj podróżni. Braciszek Konrad Offidy, pozbawiony wieku podobnie jak biały wilk, jechał na osiołku u boku dosiadającego ogiera Silvestrego.

- Łaska i pokój wam obojgu! - zawołał, widząc Angela i Marię wyłaniających się z chaty oraz Tina podnoszącego głowę znad roboty.

Angelo zauważył, że mentor mierzy go uważnym wzrokiem, oceniając, jak dobrze zniósł pobyt w więzieniu.

- Od lat nie wyglądałem tak dobrze, bracie. Mniemam, że to zasługa tych dwojga - powiedział Angelo. - Gotowym przeżyć w więzieniu jeszcze kilka lat. - Po tych słowach przedstawił bratu swoją rodzinę.

- Rad jestem, widząc cię żywego i wolnego - odrzekł Konrad. - Nie byłem pewny, czy zdołam cię odnaleźć, lecz dzięki twojemu bratu się udało. Przynoszę dobre wieści.

Angelo objął ramionami Tina i Marię, gdy jeźdźcy zsiadali na ziemię.

- Niechaj je usłyszymy.

- Po pierwsze, Bonifacy nie żyje. Nie raduję się z niczyjego zgonu, ten wszakże może ulżyć doli braci. Nowy papież pochodzi z zakonu kaznodziejskiego i ma wysokie mniemanie o naszym. Uwolnił wszystkich braci spirytualnych siedzących w lochach, ciebie również. Ruszę stąd do Todi, aby złożyć wizytę bratu Jakubowi. Wypuszczono go z lochu w San Fortunato i teraz mieszka w domu zakonnym razem z innymi braćmi.

- Przyjęto go do zakonu? A co z ekskomuniką?

- Nowy papież zdjął ją.

Angelo poczuł, że mógłby się unieść i zataczać szerokie kręgi na niebie jak sokół, wzbijając się coraz wyżej. Ciężar ostatnich dziesięciu lat spadł mu z serca, które zaczęło

żywiej bić na widok braciszka wyciągającego z kieszeni mały skórzany woreczek.

- Podczas porannej mszy świętej w Wieży Wilka uprosiłem księdza, aby poświęcił trzy dodatkowe opłatki dla każdego z was. - Spojrzał na Tina i zapytał: - Wszyscyście tu ochrzczeni?

Maria odpowiedziała za syna:

- Mieszkamy w leśnej głuszy, do której nie zaglądają kapłani, dlatego ojczym ochrzcił chłopca zaraz po narodzinach. Później, gdy był starszy, zabrałam go do Coldimezzo, gdzie kapłan zanurzył go w wodzie, jak należy. Tino jest takim samym chrześcijaninem, jak każde z nas. Nigdy nie przyjmował chleba ani wina, lecz wie, co oznaczają.

Kiedy uklękli na polanie, Konrad podał im eucharystię do ust.

- Ciało Chrystusa - szepnął za każdym razem. Aby okazać szacunek, Silvestre przyklęknął obok pozostałych.

W sercu Angela rozległa się modlitwa dziękczynna. To niepojęte, że po tylu latach został nawiedzony przez Pana w tej świątyni natury. Później powtórzył słowa setnika, który prosił o uzdrowienie sługi: *Panie, nie trudź się, bo nie jestem godzien, abyś wszedł pod dach mój*¹⁶. Klęczał ze spuszczoną głową, dopóki Konrad nie klepnął go w ramię. Otworzył oczy i stwierdził, że wstał jako ostatni.

- Angelo, gdy tylko usłyszałem od brata Konrada o cofnięciu twojej ekskomuniki, pojechałem do macierzystego domu zakonu w Asyżu - przerwał milczenie Silvestre. - Spotkałem się tam z nowym ministrem generalnym, braciszkiem Gonsalvusem Hiszpanem. Chyba nie masz mi za złe, że opowiedziałem mu o twoim obecnym życiu?... Nie zdradziłem jednak, gdzie przebywasz.

Po tych słowach wyjął z sakwy list i wręczył bratu.

- Zważywszy na to, coś przeżył, oraz fakt, że mieszkasz obecnie jako ojciec razem z synem i jego matką, Gonsalvus zwolnił cię ze złożonych ślubów. Rozmawiałem też z moim kapelanem i obaj doszliśmy do porozumienia... oczywiście, jeśli ty i Maria... pozwól, że tak to ujmę... Możesz już przyjmować sakramenty, także sakrament małżeństwa.

Angelo spojrział na niego znad listu.

- Dzięki, Silvestre, żeś o tym pomyślał. Gdybym wiedział o nowym papieżu i absolucji, której mi udzielił, sam bym to uczynił.

Wetknął pismo za pazuchę i ujął dłonie Marii. Jej zielone oczy lśniły. Skinęła głową w odpowiedzi na nieme pytanie.

¹⁶ Łk 7,6.

- Powinniśmy byli to zrobić pięćdziesiąt lat temu - rzekła.

Wyczuł przyganę w jej głosie. Miał ochotę powiedzieć coś na swoją obronę, lecz obok stał Silvestre, od trzydziestu lat szczęśliwie żonaty z kobietą z wioski. Angelo nie znalazł żadnego argumentu, więc zwrócił się do swojego mentora:

- Bracie Konradzie, nadal jesteś *prete*, nieprawdaż?

- Kapłanem na wieki, na wzór Melchizedeka - odpowiedział, cytując jeden z psalmów.

- Zatem uczynimy to tutaj i teraz, w lesie. W pobliżu wodospadu jest grotta, sanktuarium równie czyste jak każda świątynia, w której się modliłem. - Zatoczył łuk ręką, wskazując wysokie drzewa otaczające polanę. - Czasami mam wrażenie, że budowniczy katedr wznoszących się w czyste niebo smukłymi łukami, barwnymi witrażami i ogromną przestrzenią pragnęli odtworzyć atmosferę panującą wśród drzew i kwiatów, klimat leśnej samotni.

Silvestre roześmiał się, patrząc na wstające słońce.

- Wiem, że nie możecie się doczekać, aby stanąć na ślubnym kobiercu - rzekł - lecz Gina nie darowałaby mi, gdyby ją to ominęło. Dajcie mi trochę czasu, abym wrócił do zamku i ją przywiózł. Dopilnuję wszystkiego, co trzeba, by właściwie to uczcić.

- Pójdę do lasu - dodał Tino, zbierając się do odejścia. - Muszę dostarczyć jeszcze jedno zaproszenie, choć gość, o którym mowa, będzie się jedynie przyglądał wszystkiemu zza drzew.

Angelo poczuł narastający niepokój na myśl o całej armii kucharzy i sług oraz gości pragnących przybyć na ich ślub. Maria wyczuła zmianę jego nastroju i ujęła go pod ramię.

- To szybko minie - uspokoiła go. - Każdy ślub wymaga pewnych przygotowań.

Rozdział czterdziesty drugi

Zmęczeni trudami pobytu w Tesalii bracia spirytualni zdecydowali raz jeszcze spróbować szczęścia we własnym kraju. Wiadomość o śmierci Bonifacego obudziła w nich nadzieję, że nowy papież zezwoli na założenie odrębnego zakonu. Kiedy jednak dotarli do Perugii, Benedykt XI leżał już na łożu śmierci. Ponieważ Francuzi mieli większość w Świętym Kolegium, rozeszły się plotki, że kolejny papież, pewnikiem Francuz, będzie kierował sprawami Kościoła z Awinionu.

Wielu braci spirytualnych, niechętnie witanych w Umbrii i Marche, przeniosło się na południe, osiadając w rządzonym przez Andegawenów Królestwie Neapolu. Kilka miesięcy później jeden z braciszków przybył na Anwernię, szukając brata Clarena. To, co brat Marco przekazał Clarenowi, posłużyło za materiał do końcowego rozdziału *Siedmiu prześladowań*.

- Sądziliśmy, że będziemy bezpieczni - opowiadał braciszek, gdy spacerowali między drzewami w pobliżu chatki brata Jana. - Miejscowy inkwizytor, Tomas d'Aversa, mnich z zakonu kaznodziejskiego, miał własne powody do skargi na konwentuałów. Kiedy głosił kazania w Neapolu, publicznie i kwestionował stygmaty świętego Franciszka. Papież zakazał mu nauczania na siedem lat, co dla syna świętego Dominika jest takim samym dopustem jak dla nas zakazanie praktykowania ubóstwa. Początkowo traktował nas przychylnie, występowaliśmy bowiem przeciwko zwierzchności naszego zakonu, który obwiniał o swoje położenie. Wysyłając nas w drogę, udzielił jednak przestrogi. „Na straganie rzeźnika nie sprzedawano mięsa za cenę wyższą od tej, którą można by uzyskać za wasze ciało”, rzekł nam w swojej komnacie. Jego przepowiednia okazała się prawdziwa. Karol Drugi miał do nas zgoła odmienny stosunek i rzekł braciszkowi Tomasowi, że pobłądził, zwracając nam wolność. Tomas, chcąc być uczynnym, postanowił ów błąd naprawić. Pojmał tylu naszych braci, ilu zdołał, i oskarżył, że są dulcynianami. Pewien dobry człek z Trewiru ukrył mnie w swojej wieży, skąd mogłem obserwować rozwój wydarzeń.

Brat Clarena dobrze znał taktykę oskarżeń stosowaną przez inkwizytorów. Oprócz ubogich eremitów w całym kraju zaroilo się od sekt głoszących ubóstwo, w tym uczniów „braciszka” Dulcyna z Lombardii. Kościół potępił tych ostatnich jako heretyków i niebezpiecznych wichrzycieli. Nazwanie więźniów dulcynianami oznaczało utożsamienie ich z owym człowiekiem i jego zgrają.

- Ktoś musiał się przecież sprzeciwić ich pojmaniu - zachnął się Clarena.

- A jakże - skinął głową brat Marco. - Pan tych ziem, Andreo, napisał do Tomasa,

informując go, że wśród pojmanyh jest tylko jeden dulcynianin. Hrabia doradził mu też, aby zawsze miał na względzie godność urzędu inkwizytora i wypełniając obowiązki, kierował się prawdą. Jeśli tego nie uczyni, nie zaprowadzi ani ludzkiej, ani boskiej sprawiedliwości.

- Powinniśmy wrócić do mojej pustelni, bracie - przerwał mu Clarena. - Muszę zapisać to, coś mi opowiedział.

Znalazłszy się w środku, Clarena wygładził powierzchnię woskowej tabliczki. Miał zamiar robić notatki. Później z pamięci odtworzy pozostałe szczegóły. Brat z południa zostanie w pobliżu, gdyby miał do niego jakieś pytania, nigdzie bowiem w Italii nie będzie równie bezpieczny jak tu. Wziął rylec w drżące palce.

- Jak na ów list pana Andrea zareagował Tomas? - zapytał.

- Jestem pewien, że hrabia pragnął jedynie przypomnieć o tym Tomasowi... co najwyżej udzielić mu łagodnej reprimendy - wrócił do swej opowieści brat Marco. - Inkwizytor uznał to jednak za wtrącanie się w jego kompetencje w dziedzinie zwalczania herezji oraz podważanie jego władzy. Swój gniew zwrócił przeciwko więźniom, wtrącając nieszczęsnych do starej cysterny w centrum Trewiru i dostarczając tyle powietrza, ile by mieli w zapieczętowanej beczulce wina. Nie mogli nawet wyjść za potrzebą. Po pięciu dniach przygotował publiczne miejsce kaźni, w którym miał ich torturować.

Brat Marco pokręcił spuszczoną głową, zamykając oczy, jakby chciał je ochronić przed powtórnyh oglądaniem obrazów, które wryły się w jego pamięć.

- Czuję się jak tchórz, bo nie siedziałem wraz z braćmi w cysternie. Z wieży, w której się ukryłem, widać było plac i narzędzia tortur na nim ustawione. Chociaż oszczędzono mi oglądania kaźni, później o wszystkim usłyszałem. Kiedy brat Tomas spostrzegł, że biskup i czołowi obywatele miasta źle przyjęli torturowanie świętyh mężów, zaciągnął braci w łańcuchach do zamku w Maginando, samotnej twierdzy, której pan był na tyle nikczemny, by sprzysiąc się z niegodziwym inkwizytorem. Człowiek, który udzielił mi schronienia, znał rycerza z owego zamku, który zdał nam później sprawę z tego, co się działo za jego murami.

Jeszcze tego samego wieczoru brat Clarena zaczął spisywać na zwoju relację rycerza powtórzoną przez mnicha.

W dzień po przybyciu do wraz z więźniami inkwizytor związał się potworną przysięgą: „Jeżeli nie przyznacie się do herezji, niechaj zostaną przez Boga przeklęty, jeśli powoli i z lubością nie pomorduję tutaj was wszystkich. Jeżeli zaś wyznacie, że pobłądziliście, wyznaczę wam lekką pokutę i puszcze wolno”. Bracia odrzekli na to, że nie powinien ich zachęcać do mówienia nieprawdy. Opowiadanie tak nikczemnych kłamstw zadałoby śmierć ich duszy i

znieważyło Boga.

Wtedy brat Tomas wpadł w gniew i wybrawszy najbardziej gorliwego z nich, który był też kapłanem, nakazał go torturować.

Na te słowa zjawił się kat z pomocnikami. Związali nieszczęśnikowi ręce za plecami i unieśli go za pomocą bloku umocowanego do powały. Gdy wisiał już godzinę, bez żadnego ostrzeżenia puścili sznur.

Brat Marco przerwał w tym miejscu swoją opowieść. Clarena był mu za to wdzięczny, znał bowiem wspomnianą torturę. Polegała ona na wyrwaniu ofierze ramion ze stawów, wszakże bez całkowitego oderwania członków od tułowia. Marco wymienił imię owego księdza, lecz braciszek Clarena wolał nie przytaczać go w swojej kronice, aby oszczędzić cierpień przyszłym czytelnikom, gdyby okazało się, że ów był ich przyjacielem.

Gdy wielokrotnie podnoszono i rzucono go na posadzkę, brat Tomas ponawiał pytanie, czy jest lub kiedykolwiek był heretykiem. Kapłan odpowiedział: „Zawszem trwał w katolickiej wierze. Gdybym rzekł inaczej, nie wierz mi, mógłbym to bowiem uczynić, aby uniknąć tortur. Uznaj to za moje oficjalne wyznanie, taka jest prawda. Wszystko inne to kłamstwo wydobyte przez tortury”.

Obłąkany gniewem inkwizytor nakazał, aby do stóp skazańca przywiązać kamień, unieść ponownie, chwilę potrzymać i opuścić, cały czas siekąc golenie trzciniami ostrymi jak miecz. Podciągano go wielokrotnie, aż za trzynastym razem sznur pękł i nieszczęsny runął z dużej wysokości z kamieniem przywiązanym do nóg. Oprawca wiernych spojrzął na ledwie żywego, okaleczonego nieszczęśnika i polecił sługom, aby go wrzucili do kloaczego dołu.

Chociaż był człowiekiem uczonym i szlachetnego rodu, Tomas popadł w tak wielki gniew, że zaczął torturować więźniów własnymi rękami. Gdy jeden z braci pobożnie polecił swoją duszę Chrystusowi, inkwizytor zaczął kopać go w głowę i kark tak mocno, że ów toczył się po posadzce jak piłka. Przez wiele dni brata owego bolały głowa i szyja, a w uszach mu szumiało. Innemu bratu tak mocno ściśnięto głowę, że pękł mu czerep. Wówczas to przerwano tortury i wyniesiono go do kostnicy.

Brat Calreno nie mógł zapisać więcej na jednym posiedzeniu. Wierzchołek góry ogarnęła ciemność, podobnie jak ideały jego towarzyszy, braci spirytualnych. Jak długo jeszcze, Panie, modlił się, jak długo jeszcze wrogowie będą nas zabijali?

Wydawało się, że bracia spirytualni są w całkowitym odwrocie. Jeśli aniołowie na

Alwerni płakali, braciszek Clareno zapomniał o tym wspomnieć.

Maria wygładziła poduszkę i ułożyła na niej głowę Angela. Od ślubu minęły dwa lata. Ucałowała jego policzek i podniosła się z pomocą mężczyzn. Silvestre wzruszył laską ogień i dorzucił drew. Rysy jego twarzy i twarzy Enza spowijał cień. Żony czekały na zewnątrz, aby nie robić tłoku w ciasnej izbie.

Mężczyźni rozmawiali przyciszonymi głosami, co Angelo uznał za właściwe i pasujące do jego obecnego położenia. Czuł się jak aktor występujący w scenie śmierci z moralitetu, pogrążony w mroku nocy, znużony jak nigdy dotąd.

Kilka godzin temu przybył kapelan z Wieży Wilka, aby udzielić mu ostatniego namaszczenia. Wszystkie członki jego ciała osłabły, żaden nie był wolny od bólu. Mimo to upierał się, że nie może odejść, niezależnie od tego, jak chciano by mu na to pozwolić lub jak on sam by tego pragnął. Nie może tak po prostu się poddać, jak to czynią niektórzy umierający. Nie powiedział nikomu o słowach Metatrona ani o przekleństwie rzuconym na jego *nonno*. Tylko on jeden wiedział, że musi pozostać przy życiu, dopóki zdoła. Kiedy kapelan odszedł, poprosił Tina, aby odnalazł wilka opiekuna.

Przekręcił się na łożu, słysząc zgrzyt otwieranych drzwi. Do izby wszedł Tino, prowadząc białego wilka. Enzo skulił się i wycofał w najdalszy kąt. Angelo usłyszał, jak Silvestre go uspokaja:

- W obecności tych trzech zachowuje się jak oswojony szczeniak - zapewnił.

Zaciskając szczęki w agonii, Angelo odwrócił głowę w stronę Marii.

- Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałem, że będę latał? - wyszeptał. - Wkrótce potem obiecałem opiekunowi, że zabiorę go z sobą. - Próbował się roześmiać, lecz jego gardłem wstrząsnął kaszel, a ciało drgnęło pod prześcieradłem.

Zwierzę podeszło i ułożyło się wzdłuż siennika, opierając łeb na piersi Angela. Wilk położył uszy po sobie i z lękiem wpatrywał się w niego dużymi pomarańczowymi ślepiami. Angelo zdołał podnieść rękę i oprzeć ją na zgarbionym wilczym karku. Kiedy kaszel ustał, odzyskał oddech. Przesunął palcami po sierści, ugniatając mocne mięśnie na karku zwierzęcia.

- Zostawcie nas na chwilę samych - poprosił szeptem. Zmusił wargi do uformowania słów, czując ślinę gromadzącą się w kącikach ust. Wiedział, że jego prośba jest ważna. - Muszę mu zadać pytanie. Mam nadzieję, że będzie umiał na nie odpowiedzieć. - Jego umysł w jednej chwili odzyskał czujność, stał się pełen oczekiwania, jak ktoś szukający wskazówek, które doprowadzą go do miejsca, o jakim od dawna marzył. Chociaż mężczyźni byli

zaintrygowani, w milczeniu wyszli na polanę, do swych żon. W końcu Angelo umierał, musieli więc uszanować jego wolę.

Maria nieco się ociągała.

- Wkrótce odejdziesz, prawda? - zapytała, gdy inni wyszli.

- Być może. Nie mogę zostać. Wszystko zależy od tego, co powie mi *nonno*. Pamiętaj, że będę cię kochał zawsze i wszędzie. - Z wysiłkiem wciągnął w płuca ciepłe powietrze i dodał: - Pomyśl, że poszedłem, aby przygotować nam miejsce.

- Żegnaj, kochany. Mówię to na wszelki wypadek. - Przeszła na drugą stronę siennika i pochyliła się, aby uścisnąć dłoń sunącą do niej po prześcieradle. Kiedy się wyprostowała, dotknęła warg koniuszkami palców.

- *A ben presto* - wyjąkał. - Niebawem się zobaczymy.

Widząc, że jego ciało przeszedł dreszcz, zamarła u drzwi, lecz jego palce, zwinięte jak szpony, dały znak, aby wyszła.

Stojący pod nocnym niebem utworzyli dwie grupki, oddzielnie mężczyźni i kobiety. Mężczyźni rozmawiali o wydarzeniach w Todi, snuli domysły o tym, czego Angelo chce się dowiedzieć od wilka, i podziwiali gwiazdy na bezchmurnym niebie. Unikali tego, co oczywiste, że w chatce umiera ich ojciec i brat. Kobiety otoczyły Marię, która pogrążona we własnych myślach wyłamywała palce.

Silvestre stał zwrócony twarzą do chaty i to on pierwszy spostrzegł błysk przez lekko uchylone drzwi.

- Ogień! - krzyknął i popędził wraz z Tinem w stronę domu. Korpulentny Enzo biegł tuż za nimi. Kiedy dotarli do chaty, blask zgasł, pozostał jedynie słaby żar bijący od paleniska.

Tino schylił głowę i zajrzał do środka, aby po chwili zawołać:

- Nie ma ich tam! Żadnego!

Maria podniosła głowę i tylko ona dostrzegła na nocnym niebie dwie spadające bliźniacze gwiazdy, które chwilę później zniknęły.

Gdyby kobiety nie chwyciły jej za ręce, upadłaby na ziemię. Zamknęła oczy, czując na skórze dziwne mrowienie. Ogarnęła ją fala niezwyklej radości i lekkości przebiegająca od głowy po podeszwy stóp, chociaż Gina krzyknęła z oddali. Nie czuła już dłużej ziemi pod stopami. Zdumiona popatrzyła w dół i ujrzała malejącą chatę i ludzi nie większych od karłów, pochylających się nad szarą postacią leżącą na polanie, w której rozpoznała swoje umęczone ciało.

- *A ben presto, angelo mio* - pomyślała, by chwilę później połączyć się z nim w nieopisanym szczęściu.

Epilog

Po śmierci rodziców Tino przejął rolę opiekuna wykonywaną niegdyś przez pradziadka. Przemierzał te same szlaki i sypiał w tych samych jaskiniach pod postacią człowieka i wilka, co tydzień wstępując do Wieży po prowiant. Był ostatnim wilkołakiem z rodu Lorenzinich, który przetrwał w linii *maestra* Enza i jego żony.

Silvestre i Gina, osiągnąwszy wiek mądrości, przekazali Wieżę Wilka swoim dzieciom. Hrabina, która jako dziecko została obiecana zakonowi, skłoniła męża, aby ostatnie lata życia spędzili na modlitwie i medytacji. Kiedy Tino obchodził knieje, mieszkali w jego chacie. Z upływem lat hrabia pojął, dlaczego Tino i Maria tak niechętnie odnosili się do pomysłu opuszczenia lasu, aby całkowicie zanurzyć się w świecie sugerowanym przez jego imię - „Sylwan”.

Z powodu *il gran refuto* i niezdecydowania Celestyna V włoski poeta Dante Alighieri w swojej *Boskiej komedii* umieścił papieża przy bramie piekieł. W roku 1313 papież Klemens V unieważnił werdykt Dantego, kanonizując Celestyna. Od tego czasu żaden z papieży nie przyjął tego imienia.

W trzech pierwszych dekadach XIV wieku przywódcy braci spirytualnych - jedni słabi, drudzy złamani, wszyscy w obszarpanych habitach świadczących o umiłowaniu Pani Ubóstwa - opuścili ciała, aby połączyć się ze swoim duchowym ojcem, świętym Franciszkiem: mądry Konrad, w końcu wolny Liberato, wojowniczy Clareno, uczony Pierre Jean d'Olivi, Hubertyn z Casale i wielu innych nieznanymi z imienia.

W roku 1318 papież Jan XXII ogłosił ze swego dworu w Awinionie: „Wzniosłe jest ubóstwo, jeszcze wznioślejsza czystość, lecz dobrem najwyższym jest posłuszeństwo”. Wyrzekł te słowa *ex cathedra*, nadając im moc nauki Kościoła, przekazał też władzy świeckiej czterech mnichów, którzy ośmielili się być innego zdania. Braci owych spalono na stosie jako heretyków. Działania Jana XXII zaszokowały oba skrzydła zakonu, nie przywróciły mu jednak wewnętrznej jedności.

W kolejnych wiekach bracia podążający śladami świętego Franciszka przyjmowali różne imiona i występowali pod różnymi postaciami. Pierwszymi byli najbliżsi przyjaciele świętego z wczesnych lat istnienia zakonu, po nich bracia spirytualni i ubodzy pustelnicy z

naszej opowieści. Jako odrębna grupa byli określani w różnych czasach jako *zelanti*, *fraticelli* i *reformati*. Mnożyły się też niezależne sekty, biorące nazwę od imion swoich założycieli: klareni, koletyści i amadeiści. Byli bracia kapucyni i kapucyni bosi. W końcu wszyscy oni przekształcili się w obserwantów.

Wpływ obserwantów nasilił się w epoce wielkich odkryć geograficznych i kolonizacji Nowego Świata. To oni, w odróżnieniu do braci konwentualnych, trudzili się pracą misyjną wśród dzikich plemion. W końcu zdobyli zaufanie prostego ludu, który widział, że bracia są pobożni nie mniej od innych. Wreszcie obserwanci zyskali szacunek władców, hierarchów Kościoła i na koniec, papieża.

W roku 1517 papież Leon X nakazał, aby różne grupki *reformati* połączyły się ze sobą, tworząc oficjalnie zakon braci mniejszych. *Reformati* mieli wybierać generała swojego zakonu, który musiał pochodzić spośród nich. Domy braci konwentualnych, pragnące zachować przywileje, dochody i włości, miały się w przyszłości uważać za odrębny zakon. Żadna z grup nie wtrącała się w sprawy drugiej.

Jak na ironię, to ostatnie stanowiło przeciwieństwo oddzielenia, do którego wzdychali ubodzy eremici. Bracia spirytualni z roku 1300 nigdy nie marzyli, że ich ruch wytyczy nowy nurt życia zakonu, tak jak stało się to za życia ich założyciela.

Większość braci konwentualnych w ciągu owych niemal trzystu lat tak przywykła do klasztornej trybu życia, że odrzucili okazję do wewnętrznej reformy i pojednania. Podział na obserwantów i braci konwentualnych oraz istnienie dwóch odrębnych zakonów przetrwał do dziś.

Zachęcam Czytelników do przeczytania *Spisku franciszkanów*, książki będącej dopełnieniem *Śmierci anioła*. Tematem powieści, której akcja rozgrywa się w latach 1271-1274, są losy Amaty, Jakuba z Todi i braciszka Konrada z Offidy. W *Spisku franciszkanów* brat Konrad odsłania tajemnicę kryjącą się za pierścieniami z lapis-lazuli, o którym wzmianka pojawia się na kartach tej książki. Kiedy pisałem *Śmierć anioła*, *Spisek Franciszkanów* został przełożony na siedemnaście języków. Informacje o książce można znaleźć na stronie www.franciscanconspiracy.com.